



PROCESOR
DUSZY

Luiza
Dobrzyńska

Luiza Dobrzyńska

Procesor duszy

Motto:

Dusza jest to esencja istnienia,
Blask życia w zmęczonych oczach,
Które w poszukiwaniu ukojenia,
Wypatrują Księżycą po nocach.

Dusza to jestestwo niematerialne,
W swym bycie nie do zgłębienia,
Jednak uwierzcie, aż nazbyt realne,
Gdy od codzienności
szuka się ukojenia.
Weronika Bąk

CZEŚĆ I

Dusza

Wstęp

Szkoła była wielka, przeszklona, sterylnie czysta, strzeżona przez system elektronicznych strażników oraz wyszkolonych ochroniarzy. Bezpieczeństwo młodego pokolenia uważano za sprawę priorytetową. Od momentu uzyskania przez dwoje ludzi pozwolenia na dziecko, wszystko podlegało drobiazgowej kontroli, narzuconej przez Departament Doboru Genetycznego. Dziecko dopuszczone do procesu wychowawczego musiało spełniać określone warunki – przede wszystkim być zdrowe fizycznie i psychicznie, oraz rokować rozwój IQ zgodny z obowiązującymi normami. W przeciwnym razie poddawano je eutanazji, nie pytając rodziców o zgodę. Nie mieli nic do powiedzenia. Jeśli chcieli być rodzicami, musieli zaakceptować wszystkie ograniczenia i nakazy prawne. Nie wolno było zaniedbywać wizyt u pediatry i psychologa dziecięcego czy izolować potomka od rówieśników. Dziecko musiało rozwijać się harmonijnie, żeby w przyszłości stać się użytecznym członkiem społeczeństwa.

Nie wszyscy mogli cieszyć się perspektywą sprowadzenia na świat i wychowywania przyszłych obywateli. Dwudziestoczteroletnia absolwentka wydziału historii na uniwersytecie w Sao Paulo, Estrella Federica Solis, nigdy nie miała zostać matką. Jej kwalifikacja genetyczna, przeprowadzona tuż po urodzeniu, wykluczała taką możliwość. Ale Estrella kochała dzieci i dlatego odrzuciła propozycję pracy w Centralnym Instytucie Archeologii Ameryki Południowej na rzecz posady nauczycielki klas niższych w jednej ze szkół podstawowych. Nie była to funkcja podrzędna – wychowanie dzieci do lat dziesięciu traktowano niezwykle poważnie i do pracy z nimi dopuszczano jedynie wielokrotnie sprawdzanych, wysoko wykwalifikowanych specjalistów o nieskazitelnych życiorysach. I taka była Etta.

I.

– A dlaczego wtedy działo się tak źle? – Spytała pyzata dziewczynka z warkoczykami, siedząca w drugiej ławce.

– Dlatego, Jodie, że ludzie nie kierowali się rozsądkiem tylko uczuciami – odpowiedziała nauczycielka. – Uważali, że tak trzeba, jednak było to błędne rozumowanie. Wiele dzieci rodziło się z uszkodzeniami, które powodowały, że przez całe życie były jedynie ciężarem dla otoczenia. Trzeba było wieków, by zmienić sposób myślenia całych społeczeństw, a przez pewien czas konieczny był nawet swoisty terror. Mimo że dziś przeraża nas myśl o okrucieństwie tego czasu, był konieczny po to, by wreszcie wypracowano taki model społeczności planetarnej, w którym przyszłe pokolenie jest planowane rozsądnie i nie tylko z miłością, ale i logiką.

Nauczycielka miała ciemnoblonde włosy, uczesane w starannie ułożone loki, delikatną twarz podłotką o małych, niepewnie uśmiechniętych ustach i szare oczy z czarnymi obwódkami wokół tęczówek. Choć była zdrowa i silna, wyglądała na kruchą niczym motyl. Nazywała się Estrella Solis, ale wszyscy, łącznie z dziećmi, mówili na nią „Etta”

– Plopani, a gdyby ktoś urodził dziecko bez zezwolenia? – Wyrwał się Waylon, piegowaty rudzielec z ławki pod oknem, żywy jak iskra siedmiolatek, najmłodszy w grupie.

– Dzisiaj to mało prawdopodobne – pani Etta uśmiechnęła się wyrozumiale. – Jesteśmy przecież cywilizowanymi ludźmi. Jednak kodeks karny wciąż obejmuje takie przestępstwo i traktuje jako zbrodnię przeciw ludzkości.

– Dlaczego?

– Sam to przemyśl, Waylonie, a zrozumiesz. Jedynie ludzie całkowicie zdrowi pod względem genetycznym dostają zezwolenie na posiadanie dzieci, ponieważ to gwarantuje wysokie prawdopodobieństwo urodzenia zdrowego i silnego niemowlęcia, a wszystkie dzieci powinny być właśnie takie. Pozwalając sobie na spłodzenie dziecka ułomnego rodzice popełniali kiedyś zbrodnię przeciw temu dziecku, które cierpiało całe życie, i społeczeństwu, które musiało je utrzymywać. Wtedy tego nie rozumiano, ale teraz jest to jasne dla wszystkich i nic nie usprawiedliwiłoby takiej samowolki.

– A jeśli jednak urodzi się dziecko bez nówek? Albo bez łacek? – Upierał się

Waylon, który nigdy nie pozwalał na pozostawianie niedomówień. Etta poczuła, jak jej usta wysychają i bledną, musiała odpowiedzieć, ale przez chwilę głos odmawiał posłuszeństwa.

– Tak się nie dzieje – rzekła wreszcie. – Takie dzieci się nie rodzą. Nie pozwala się na to. Gdyby jednak... to takie nieszczęsne stworzenie zostaje natychmiast uśpione.

– Daje się mu w łeb – powiedział ponuro jasnowłosy Esteban, którego matka po zatruciu oparami rtęci w laboratorium poroniła dwoje kalekich dzieci i dostała dożywotni zakaz dalszego rozmnażania, choć wg badań genetycznych jej przydatność była wysoka. Ośmioletni grubasek, rumiany, pełen energii i skory do śmiechu stał się po tym nieszczęściu zupełnie innym dzieckiem. Rzucał ponure uwagi, nie bawił się z kolegami, najchętniej czytał horrory dla dorosłych, podkradając je z dużym talentem w księgarniach lub wprost z sieci. Matka nie umiała mu wyperswadować tego szkodliwego hobby.

Kilka dziewczynek zbladło, jedna zaczęła szlochać.

– Nieprawda – zaprotestowała Etta. – Paulinko, przestań płakać. Soniu, Kari, no już, wytrzyjcie oczy. Esteban niepotrzebnie przesadza, nikt nie wali takich dzieci po głowie. Usypia się bezboleśnie i szybko. Tak jest lepiej dla wszystkich, również dla was, bo nie musicie się nimi zajmować, a przecież ktoś by musiał.

– A czy pani ma dzieci? – Zawołał głośno ktoś z ostatnich ławek.

Pani Etta pokręciła głową.

– Nie, kochanie – odparła. – Moje geny są wadliwe w stopniu wykluczającym możliwość otrzymania licencji na dziecko.

– I nie jest pani mężata? – Pisnęła wstydliwie Jodie. Miała zabawną skłonność do tworzenia neologizmów, czasem tak śmiesznych, że Etta z trudem zachowywała powagę.

– Mówi się „czy nie jest pani mężatką” – poprawiła ją nauczycielka. – Nie, nie jestem. Mało który mężczyzna chciałby ożenić się z „zerówką”. Mniejsza zresztą o mnie, kochane dzieciaki. Kto wymieni stopnie przydatności prokreacyjnej?

– Ja! – Zawołał Keen, klasowy prymus i wstał, pełen poczucia własnej ważności. – Zero, ponad dwadzieścia pięć procent niepewnych genów. Jeden, mniej niż dwadzieścia pięć, ale więcej niż dwadzieścia procent. Dwójka, mniej niż dwadzieścia procent, ale więcej niż piętnaście. Trójka, mniej niż piętnaście procent, ale więcej niż osiem. Dopuszczalne odchylenia statystyczne zaznaczone są dodaniem znaku „plus” lub „minus”.

– Oraz?

– Oraz „nielimitowani”, mniej niż osiem procent niepewnych genów.

– Doskonale, Keen. Co oznaczają te cyfry?

– Ustawowo dopuszczalną ilość ciąż.

– Nie dzieci? – Spytała nauczycielka podchwytliwie.

– Nie, psze pani. Bo przecież może się urodzić więcej niż jeden dzidzius, prawda?

– Uśmiechnął się z zadowoleniem i usiadł. Pani Etta ogarnęła ciepłym wzrokiem gromadkę maluchów. Jako nauczycielka historii i jednocześnie wychowawczyni w uczelni podstawowej miała do czynienia wyłącznie z dziećmi poniżej dziesiątego roku życia, często żywymi i rozhukanymi, ale dużo miłszymi niż nastolatki. Lubiała z nimi pracować, choć prawdę mówiąc, przy swoim wykształceniu łatwo znalazłaby pracę w jakimś poważnym instytucie naukowym.

– Samemu to smutno – powiedziała cicho Linda, poważna Mulatka z warkoczykami sztywno zaplecionymi wokół zgrabnej główki.

– Nie jestem sama – uśmiechnęła się nauczycielka. – Mam przecież Raula.

W klasie zaszumiało, dzieci rozświergotały się jak ptaki. Sztuczni ludzie działali na wyobraźnię młodego pokolenia, które postrzegało ich jak duże lalki, z którymi można bawić się w dom lub w berka.

– Ma pani androida?

– Jaki jest?

– Czy to prawda, że oni są jak ludzie?

– Czy on myśli?

– Co on je?

– Zaraz, dzieci, chwileczkę, nie wszystkie naraz. Temat dzisiejszej lekcji nie obejmuje problematyki androidów, na to macie jeszcze dużo czasu. Choć poszliśmy dość daleko z programem, jesteście przecież bardzo grzeczną i pilną klasą, więc jeśli chcecie, możemy zrobić krótką przerwę na pogadankę.

– Tak, chcemy! Bardzo prosimy!

– A więc, czy któreś z was powie, co wiecie o androidach?

Dziewczynka z drugiej ławki, Tracy Schotz, podniosła rękę, wstała i wydeklamowała jednym tchem:

– Android to sztucznie stworzona przez człowieka, niezależnie myśląca istota. Wszystkie androidy mają imiona, zaczynające się na literę R, od słowa „robot”, według pomysłu średniowiecznego pisarza Isaaka Asimova. Słowo „robot” jest z kolei tworem innego, jeszcze wcześniejszego pisarza, Karola Čapka, i pochodzi z jego sztuki „R.U.R”. Gdy zaczęto masową produkcję androidów, ludzie przestali używać imion, zaczynających się na literę „r”, by nie było nieporozumień. Androidy są tworamii nielinowymi, co oznacza, że każdy jest niepowtarzalny pod względem wyglądu i osobowości, warunkowanej procesami zachodzącymi w koloidowym odpowiedniku ludzkiego mózgu. Każdy oznaczony jest kodem numerycznym oraz literą. A to rysopis tworzony od ręki przez fabrykę, B i C – wygląd komponowany w stu procentach przez nabywcę, a pozostałe litery oznaczają produkcję wg jednego z tanich szablonów.

– Tracy! Skąd to wiesz? – Zawołała nauczycielka ze zdumieniem.

– Moja starsza siostra przygotowuje się do egzaminów i słyszałam, jak powtarza lekcje – odparła z dumą Tracy, pokazując w szerokim uśmiechu, ile mleczaków brakuje w jej buzi. Dziewczynka miała fenomenalną pamięć, umiała po jednym przeczytaniu wyrecytować z pamięci cały artykuł prasowy, nawet jeśli go nie rozumiała. W grach typu „Co tu nie pasuje” czy „Znajdź różnicę” była nie do pokonania. Etta zauważyła to już dawno i wiedzona ciekawością zajrzała do akt dziecka. Tak jak przypuszczała, jej rodzice zadłużyli się na wiele lat w jednym z miejskich banków po to, by pani Schotz mogła brać przez cały okres ciąży zastrzyki z acetylocholiną. Gwarantowało to wyższe IQ u mającego się urodzić dziecka, a coś takiego było marzeniem wszystkich rodziców. Etta pomyślała, że gdyby zdarzył się cud i mogła zostać matką, zrobiłaby to samo, niezależnie od kosztów.

– A więc, moi drodzy, wasza koleżanka powiedziała prawie wszystko – zwróciła się do klasy. – Dodam jeszcze, że technologia produkcji wysokiej klasy androidów, których przeznaczeniem jest towarzyszenie ludziom to wielkie osiągnięcie ludzkości. Sami rozumiecie, że pracujący w fabryce automat nie musi samodzielnie myśleć, ani też mieć ludzkich kształtów, natomiast człowiek potrzebuje towarzystwa drugiego człowieka lub choćby jego imitacji, celem zachowania zdrowia psychicznego. A zdrowie psychiczne jest priorytetem, na równi z fizycznym. Nie zawsze jednak ma się coś tylko dlatego, że się tego potrzebuje. Na szczęście androida można po prostu kupić. Jest towarzyszem wiernym, zrównoważonym i zawsze można na niego liczyć. Specjalnie przeszkolony technik pomoże tak go zaprogramować, żeby dokładnie odpowiadał wyobrażeniom człowieka, do którego będzie należał.

Przerwała na chwilę. Przed oczami stanął jej dzień, gdy poszła do centrum produkcji androidów, by wpłacić pierwszą ratę i dobrać model. Czuła się okropnie głupio, jakby było to przyznaniem się do życiowej porażki, ale podjęła decyzję i nie zamierzała się wycofywać. Zapłaciła.

Potem było centralne laboratorium, gdzie spokojny, cierpliwy chłopak pomógł jej uchwycić na komputerowej symulacji dokładnie taką konfigurację rysów twarzy, jaką chciałaby codziennie widzieć. Potem razem projektowali dokładnie taką budowę ciała, jaka wydała się jej idealna. Nie miała zamiaru skorzystać z gotowego szablonu, wołała sama zaprogramować wygląd swego Towarzysza.

– Kształt twarzy mamy, teraz komponenty. Bez zarostu, prawda? To lepiej ustalić od razu, bo androidom broda nie rośnie. Nos prosty, proporcjonalny. Oczy podłużne, bardziej okrągłe, a może skośne? Jaki rozstaw byłby najodpowiedniejszy? A usta?

– No... sama nie wiem.

– No dobrze, może odłożmy to na później, skupmy się na razie na budowie ogólnej. Barwa skóry... tors owłosiony czy nagi, proszę pani? Paznokcie kwadratowe, czy może lepiej zaokrąglone? Wzrost doradzałbym najwyżej 185 cm, żeby nie było dysharmonii. Jest pani dość niska. Budowa ma być asteniczna, atletyczna czy pykniczna? Rozłożenie muskulatury.

– Nie za bardzo umięśniony, trochę tak, ale nie jak kulturysta, rozumie pan?

– Oczywiście że rozumiem. My to nazywamy budową żołnierza. Teraz narządy intymne... proszę się nie wstydzic, proszę pani, proszę mówić śmiało, czego pani oczekuje, naprawdę wszystko już tu słyszałem, a w końcu to pani będzie z nim mieszkać.

O tak, była wtedy spłoszona i zawstydzona, skoro jednak miała tak dość samotnego życia, wracania do pustego domu, że zdecydowała się wreszcie na złożenie zamówienia, należało brnąć dalej. Twarz ją paliła, gdy chłopak przy komputerze pokazywał symulację szczegółów anatomicznych, jakoś jednak przez to przeszła.

– On będzie początkowo mało kontaktowy – ostrzegł technik. – Jednak, wie pani, uczą się bardzo szybko. Może pani pokierować jego rozwojem według swojej myśli lub zostawić sprawy własnemu biegowi. Proszę kupić poradnik dla Dominantów i zestaw nośników z lekcjami. Tak czy inaczej będzie musiał się uczyć.

Etta zastosowała się do tych wskazówek, nie wiedziała jednak, jak przygotować dom na przybycie nowego lokatora. Czy android potrzebuje własnego pokoju? Pewnie tak, ale jak go urządzić? Po długim namyśle poprzesuwała wewnętrzne ściany tak, by wydzielić osobny pokój z przestrzeni mieszkalnej i zostawiła go prawie pustym. Ruchome ścianki działowe były wielkim osiągnięciem we współczesnym budownictwie, pozwalały bowiem na to, by każdy lokator sam decydował, ile chce mieć pomieszczeń w mieszkaniu i jak mają być rozplanowane. W każdej ze ścian były rozsuwane drzwi, które można było blokować – wtedy ściana pozostawała zwykłą ścianą – lub odblokować, wtedy stawała się wejściem do pokoju. Mechanizm pozwalający poruszać ścianami mieścił się w specjalne skonstruowanej podłodze z płyt, które można było zamieniać miejscami. Przekonstruowanie mieszkania nie stanowiło więc żadnego problemu, wystarczył odpowiedni pilot i trochę wyobraźni.

Kilka dni później kupiła najpotrzebniejsze meble w sklepie z używanymi rzeczami, resztę pieniędzy wydała na komputer dla Towarzysza. Musiał go mieć, żeby się uczyć. Potem żyła oczekiwaniem i marzeniami, a jeszcze nigdy dom nie wydawał się jej tak zimny i pusty. Dokładnie piętnaście dni później odebrała telefon z manufaktury:

– Panna Estrella Solis? Może się pani zgłosić po odbiór zamówionego

androida, klasa C, imię seryjne Raul, numer 209. Proszę wziąć ze sobą kartę S, umowę z bankiem kredytowym i dowód pierwszej wpłaty. Była tak zdenerwowana, że ręce się jej trzęsły i przez dłuższą chwilę nie mogła znaleźć potrzebnych dokumentów. Gdy wreszcie odszukała je i schowała do torebki, wezwała osobowy ślizgacz z pobliskiej korporacji i pojechała do zakładów, ulokowanych na obrzeżach miasta. Wciąż czuła się spłoszona całą sytuacją, a świadomość zaciągnięcia poważnego kredytu również nie była dla niej miła. Androidy dużo kosztowały, zarobki nauczycielki nie pozwoliłyby jej na taki zakup. Nawet kredyt by nie wystarczył, gdyby nie jej zerowa klasyfikacja. Zerowcy obojga płci mieli 50% zniżki w tego typu zakładach dzięki państwowej refundacji w ramach programu przeciwdziałania tak zwanym „samobójstwom z samotności”. Po wprowadzeniu selekcji genetycznej stały się prawdziwą plagą wśród zerowców, cenionych jako dyspozycyjni pracownicy, a przez to poszukiwanych na rynku pracy. Rząd uznał, że nie należy dopuścić do tego, by samobójstwa przybrały formę groźną dla porządku społecznego i zalecił rozwiązanie problemu. W tym celu Centralny Instytut Psychiatrii i Psychologii Stosowanej powołał specjalny dział, zajmujący się wyłącznie tym jednym problemem. Długofalowe badania wykazały znaczny spadek nastrojów samobójczych wśród tych spośród zerowców, którzy zdecydowali się na zakup androida lub którym został podarowany w ramach programu terapeutycznego. Początkowo ludzie śmiali się na samą myśl, że można zastąpić żywego człowieka „lalką”, ale powoli zaczęli rozumieć, że AC, Android Companion, potocznie zwany Towarzystwem, to nie to samo co robot.

Etta na dobrą sprawę nie wiedziała nic o androidach. Widywała je czasem, ale z żadnym nie miała dotąd bliższej styczności. Zamówiła Raula dlatego, że nie mogła już znieść wracania do pustego mieszkania. Niby miała rodzinę, ale było tak, jakby jej nie miała. Starsze rodzeństwo zmusiło ją do dalekiej przeprowadzki. Oboje byli zakwalifikowani tak, jak rodzice – mogli mieć po troje dzieci i nie chcieli, by ich przyjaciele dowiedzieli się, że mają w rodzinie zerówkę. Szczególnie zależało na tym Johnny’emu. Zgodnie z prawem mężczyzna mógł poślubić kobietę o wyższej niż on przydatności genetycznej, nawet jeśli sam miał klasę zero i liczyć na dziecko... ściślej mówiąc, na jedną próbę sztucznego zapłodnienia. Jeśli dziecko ze związku „zero-jedynkowego”, jak go nazywano, urodziło się z defektami wykluczającymi dopuszczenie do egzystencji, drugiego podejścia nie było. Małżeństwo typu „1+1” miało zagwarantowane dwie próby. „1+2” – trzy i tak dalej. Prawie wszystko zależało od kwalifikacji kobiety, dlatego zerówki tylko w wyjątkowych okolicznościach wychodziły za mąż. Etta nie miała na to żadnych widoków. Rodzice kupili jej piękne mieszkanie w dobrej dzielnicy, żeby osłodzić córcę całą sprawę, jednak ona – choć na pokaz robiła dobrą minę do złej gry – niejedną noc przepłakała z tęsknoty za rodziną i z samotności. Teraz przynajmniej straszna samotność miała się skończyć.

W zakładach czekał technik odpowiedzialny za kontakty z klientami. Sprawdził drobiazgowo podane mu dokumenty, zweryfikował je przy użyciu podręcznego modułu dostępu i zwrócił Etcie. Potem wyszedł do pokoju obok i wrócił w towarzystwie kogoś wysokiego, ubranego w niebieski kombinezon z taniego, sztucznego płótna. Młoda nauczycielka odgadła, że to jest przeznaczony dla niej android i serce zabiło jej mocniej. Dopiero po chwili zdobyła się na to, by spojrzeć wprost na niego. Wiedziała już wcześniej, jak będzie wyglądał, ale co innego widzieć komputerowe symulacje, a co innego stanąć twarzą w twarz z idealnym mężczyzną, mając przy tym świadomość, że jest się jego... właścicielką.

– Oto Raul 209C – powiedział technik. – Od tej chwili jest pani za niego odpowiedzialna, proszę więc postępować rozważnie. Od pani zależy edukacja i rozwój psychiczny istoty obdarzonej świadomością i niezależnym intelektem. Proszę nie popełniać błędów.

– Postaram się – odparła cicho. – Chodziłam przecież na kurs i sumiennie przeczytałam wszystkie poradniki.

– To bardzo dobrze, ale w obcowaniu z androidem wiele pomaga nie tylko wiedza, a po prostu... instynkt. Cóż, to chyba wszystko. Życzę powodzenia.

Dopiero w domu Etta nabrała dość śmiałości, by obejrzeć dokładnie swój „nabytek”. Raul milczał całą drogę, w mieszkaniu również się nie odzywał. Stał nieruchomo w pokoju, gdzie go wprowadziła i poddawał się jej oględzinom bez protestu. Patrzyła na niego oczarowana. Uznała, że jest piękny jak sen, dużo piękniejszy niż na symulacjach. Miał gładką, delikatną w dotyku skórę o ciepłej barwie, tak jak u kogoś z natury bardzo bladego, ale lekko zazłoczonego słońcem. Pomogła mu zdjąć kombinezon, pod którym miał tylko czarne bokserki z nadrukiem logo manufaktury, w której powstał. Z ciekawością i podziwem obejrzała długie nogi i mocne ramiona, sylwetkę proporcjonalną, jak u zdrowego, wysportowanego człowieka, nie atlety czy zapaśnika. Dotknęła rysujących się pod skórą sztucznych mięśni. Potem przyjrzała się zgrabnej głowie, osadzonej na klasycznie zarysowanym karku. Gęste włosy układały się miękko i były raczej ciemnobrązowe niż czarne, jak zamawiała. Uznała jednak, że to nie szkodzi. Ten kolor pasował do jasnej skóry bez przebarwień czy cieni. Podłużne oczy były czarniejsze niż węgiel i patrzyły spod szerokich brwi ze spokojem i czymś, co wyglądało jak... wyczekiwanie.

– Umiesz mówić? – Spytała wreszcie z pewnym zażenowaniem.

– Tak, Domina – odpowiedział Raul. Ton jego głosu zaskoczył dziewczynę. Podświadomie oczekiwała, że będzie bardziej mechaniczny, a tymczasem brzmiał po prostu jak głos człowieka. Był głęboki, aksamitny, jednocześnie mocny i delikatny, i Etta pomyślała, że mogłaby go słuchać całymi godzinami.

– Musimy kupić ci jakieś normalne ubrania – powiedziała. – Ten kombinezon jest okropny. Prawdę mówiąc bokserki też. Wybacz, ale zamówimy

coś w sklepie z taną odzieżą nie z wytwornego salonu. Moje fundusze są dość ograniczone.

– Dobrze, Domina.

– Nazywaj mnie „Etta”. Tak mam na imię.

– Etta... – powtórzył i niespodziewanie dodał. – Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego... ubranie... złe?

To pytanie całkowicie ją zaskoczyło. Raul patrzył na nią oczekując odpowiedzi, a jego oczy lśniły jak polerowane agaty w pięknej, nieruchomej twarzy.

– Po prostu jest brzydkie – odparła po chwili. – To materiał na ubrania robocze, noszone przy ciężkiej, fizycznej pracy. Powinieneś ubierać się bardziej jak... ktoś lepszy.

– Ubranie... jest ważne?

– Żebyś wiedział.

– Muszę mieć... lepsze?

– Tak, Raul.

Patrzył na nią, przekrzywiając lekko głowę. Potem sięgnął do bokserek i chciał je ściągnąć, powstrzymała go w ostatniej chwili.

– Co robisz?

– Ubranie złe. Nie mogę... w nim być.

– Dobrze, dobrze, ale przecież nie będziesz siedzieć tu nago póki nie dostarczą nowego!

– Dlaczego?

Dlaczego i dlaczego. Tak wyglądały pierwsze dni. Jakby miała do czynienia z dzieckiem. Musiała być cierpliwa i wyrozumiała, przychodziło jej to zresztą z łatwością, w końcu była nauczycielką. Tyle że zazwyczaj uczyła ludzi... Uświadomiła sobie nagle, że mimo według prawa androidy wciąż są rzeczami, nie mają żadnych praw osobistych, i pomyślała, że to piekielna niesprawiedliwość ze strony ludzi – stworzyć istotę samoświadomą i zrobić z niej zaledwie niewolnika... prawdziwe świństwo.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Jade:

– Pani, pani, a pani go lubi?

– Czy on jest ładny? – Spytała niemal równocześnie Anissa, która siedziała z Jade w jednej ławce. Ta mała uwielbiała wszystko, co piękne i upierała się, by chodzić do szkoły ubrana jak księżniczka z noworocznego przedstawienia, a mała plamka na sukience mogła ją doprowadzić do ataku hysterii.

– Oczywiście, że lubię. A co do twego pytania, Anisso, to zależy, co się komu podoba. Mnie wydaje się, że jest zupełnie do rzeczy – odpowiedziała Etta i spojrzęła na zegarek – Dzieci, kończymy. Wiem, że jest trochę za wcześnie, ale

mam dziś ważne spotkanie.

Dzieci, wyraźnie zawiedzione, wstały i poskładały starannie szkolne przybory. Etta została jeszcze kilka minut, by pozamykać systemy klasy, potem wyszła. Mieszkała niedaleko uczelni, postanowiła więc nie skorzystać z miejskiej komunikacji, z jednego z tych smukłych pojazdów, które mogła zatrzymać ruchem ręki, Wolała czasem przejść te kilkaset metrów piechotą. Mogła wtedy spokojnie porozmyślać, niemal sama na pasie szorstkiego ceramitu, pod wysokim niebem. Była właściwie sama na chodniku – ludzie pojawiali się na nim tylko wysiadając z pojazdu na wprost wejścia do któregoś ze sklepów lub domu, ona jedna szła, powoli, nie spiesząc się. Po prawej stronie sunął niemal bezszelestnie strumień pojazdów różnego kształtu i wielkości, po lewej miała ciąg handlowy, czynne całą dobę sklepy, oferujące wszystko, co ludzkość miała do zaoferowania. Nie po raz pierwszy przyłapała się na myśli, że chciałaby kiedyś wyjechać za miasto, pójść do lasu, nad rzekę, gdziekolwiek... Nie było to jednak możliwe, nie była eko. Nie dostałaby certyfikatu eko, w końcu studiowała historię, nie nauki przyrodnicze. Jako zwykły obywatel była skazana na wirtualne krajobrazy i nigdy nie miała poczuć pod stopami prawdziwej trawy. Rozumiała, czemu takie ograniczenia były konieczne, dlaczego nikt, kto nie był specjalistą, nie miał prawa wyjść poza miasto. Jedynie na wielkich, trójwymiarowych ekranach oglądano morze, jeziora, lasy, góry. Jedynie w rzeczywistości wirtualnej można było po nich chodzić. Etta była kilkakrotnie w ośrodku, udostępniającym najlepsze z programów, daleko bardziej zaawansowane niż te do użytku domowego, ale mimo doskonałego złudzenia, mimo dołączenia komponentów zapachowych czuła podświadomie, że to jedno wielkie oszustwo.

– To aż taka różnica? – Spytał Raul, gdy o tym rozmawiali. Nie pojmował tego sztucznym, logicznym umysłem, a ona nie umiała wytłumaczyć, do czego tęskni.

Jeszcze sto lat temu samowolne wejście na tereny rezerwatu – a tym słowem określano wszystko poza granicami miast – karano egzekucją na miejscu, obecnie jedynie długoletnim więzieniem, czasem nawet dożywotnim, jeśli udowodniono wyrządzenie jakiejś szkody. To było konieczne, jeśli cywilizacja ludzi miała przetrwać. W końcu niepohamowana eksploatacja doprowadziła do globalnej katastrofy, nie wolno było dopuścić, by to nieszczęście się powtórzyło. Na szczęście wysoko rozwinięta technika pozwoliła ludziom przetrwać najgorsze, choć liczba ofiar przekroczyła najczarniejsze prognozy. Dziś nie było już tak źle. Do niedawna żywność racjonowano, dziś można ją było kupić niemal bez ograniczeń. Co prawda preparowaną, ale zawsze. Nikt nie był głodny, nikt już nie pracował jedynie za wyżywienie. To wielkie osiągnięcie, zważywszy na to, od czego obecna faza musiała się zacząć...

Obok idącej chodnikiem Etty zatrzymał się policyjny pojazd.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Zapytał podejrzliwie przystojny, muskularny mężczyzna w ochronnym mundurze.

– Tak, chciałam tylko coś przemyśleć – odparła Etta zatrzymując się i wyjmując pospiesznie swą kartę S. – Proszę. Jestem zdrowa psychicznie, przynajmniej według badań z zeszłego miesiąca.

Uświadomiła sobie nagle, że pochłonięta rozmyślaniami szła zbyt wolno. Policjant włożył kartę do czytnika i przejrzał pobieżnie wyskakujące na panelu dane.

– No tak, rzeczywiście – przyznał po chwili. – Jest pani zdrowa, obowiązkowe godziny na siłowni wyrobione, zajęcia z integracji zaliczone, badania lekarskie aktualne. To się chwali, nie uwierzyłaby pani, ilu ludzi lekceważy sobie prawo w tym względzie. Dobrze, proszę iść do domu i nie robić głupstw.

Zwrócił Etcie dokument i przyjrzał się jej zza ciemnych szkieł kasku.

– Zero – rzekł z pewnym, jak się zdawało, żalem w głosie. – Szkoda. Taka ładna dziewczyna. No cóż, miłego dnia.

Zasalutował i jego pojazd włączył się w strumień innych, płynących nieprzerwanie obok pasa pieszego ruchu.

Zero. Zero, zero, zero... przekleństwo jej życia. Zerowych mężczyzn prawie nie było, kobiet za to – dziesięć procent populacji. Należała do tych dziesięciu procent. Nigdy dziecka. Wysterylizowana od razu po okresie dojrzewania. Mężczyźni, widzący w niej tylko obiekt seksualny, nigdy kandydatkę na prawną partnerkę. De facto „nieprzydatność prokreacyjna” była ostatnim z legalnie istniejących kalectw, budzących odrazę społeczną. I nie pomagało to, że takie osoby jak ona miały ułatwiony dostęp do pewnych zawodów jako nieobciążone życiem prywatnym, a więc w pełni dyspozycyjne. I tak świadomość własnej ułomności była bardzo gorzka, często nie do zniesienia. Nigdy nie miała przyjaciół, ani tym bardziej adoratorów, nikt nie chciał nawiązywać bliższej znajomości z „zerówką”, chyba tylko tacy, co szukali przygody na jedną noc. Nawet własne rodzeństwo Etty odsunęło się i skłoniło ją do zmiany miasta. Rozumiała ich. Chcieli, by zeszła im z oczu, by można było o niej zapomnieć, w końcu lepiej, by potencjalny kandydat na męża lub żonę nie wiedział, że w rodzinie jest „zerówka”. Że istnieje ryzyko.

Sięgnęła do torebki przy pasku i wyjęła inhalator opti. Zaciągnęła się cytrusowym oparem. Po krótkiej chwili ponury nastrój minął, a wkrótce potem Etta dotarła do swego bloku. Automatyczny odzwierny zeskanował siatkówki jej oczu, zagrał powitalną melodyjkę, po czym uchylił drzwi, zaś samoprogramowalna winda zjechała, zatrzymując się tuż przed nią. Wracała do mieszkania, gdzie na przekór złemu losowi ktoś na nią czekał – ktoś istniejący tylko dla niej, ktoś, komu jej „przydatność” była zupełnie obojętna. Raul.

– Jestem! – Zawołała, wchodząc do środka. Wysoki mężczyzna o

ciemnobrązowych włosach, uczesanych tak, że głowa wydawała się okrągła, wyszedł z pokoju po lewo. Kanciasta twarz o szerokich szczękach nie różniła się w zasadzie od ludzkiej – miała delikatne rysy, prosty nos i wspaniałe, czarne oczy pod ciężkimi brwiami. Gęste włosy, spadające na kark i czoło, długie rzęsy, smukła szyja, klasyczny kształt dłoni, szczupłe, długonogie ciało. Jego ruchy były przerażająco ludzkie, nie do odróżnienia. Jedyne metalowy trójkąt w płatku lewego ucha zdradzał tożsamość. Ludzie woleli wiedzieć, z kim mają do czynienia, zatem androidy znaczone.

– Witaj – powiedział Raul bez uśmiechu. – Jak minął dzień?

To był chyba najsłabszy punkt konstrukcji zewnętrznej Towarzyszy. Nie umieli uśmiechać się w sposób naturalny, w ogóle mieli pewne kłopoty z mimiką twarzy, ale każdy Dominant w końcu do tego przywykał. Nie było to aż tak ważne.

– Ujdzie – odparła Etta. – Niedługo przyjdzie Weronika, więc jeśli chcesz, możesz gdzieś wyjść.

Raul przez chwilę rozważał to, co usłyszał.

– Chciałbym pójść do muzeum techniki – rzekł wreszcie. – Jeśli nie będę potrzebny, wybiorę się właśnie tam.

– Poszerzasz swe wiadomości?

– Po prostu powinienem...? – Raul urwał. Robił tak, gdy nie mógł znaleźć właściwego słowa. Co prawda androidom wszczepiano podstawowy słownik, ale same musiały uczyć się, jak dobierać słowa. Czasem nauka trwała nawet latami, a Raul miał dopiero dwa miesiące i szesnaście dni.

– Czujesz, że powinieneś? – Podpowiedziała mu Etta.

– Nie wiem, co to czuć, w tym sensie – odparł Raul. – Czuć, czyli co, rejestrować zmiany otoczenia, czy przeczuwać, to znaczy mieć nieracjonalne przekonanie o jakiejś możliwości?

– Nieważne. U ludzi wszystko sprowadza się do chemii i fizyki, nie wiem, jak to jest u ciebie. Myślę, że chodzi o przekonanie. Po swojemu przecież czujesz.

To było coś, co najmniej rozumiała u swego Towarzysza. Swoista emocjonalność, która była jej obca, wciąż zadawała sobie pytanie, czy nie jest ona jednak wygenerowana przez program, jednak zachowanie Raula bywało tak niejednoznaczne, że nie mogła tego przyjąć bez zastrzeżeń. Początkowo myślała o nim jak o przedmiocie – dużej, interaktywnej lalce, której jej kaprys nadał rysy pięknego mężczyzny – jednak z biegiem czasu coraz lepiej rozumiała, że jest to istota. Myśląca samodzielnie i prawdopodobnie po swojemu czująca. Właściwie nie była to świadomość komfortowa. Czasem Etta czuła się jak właściciel niewolników z zamierzchłej przeszłości i w dwójnasób starała się traktować Raula z serdecznością i przyjaźnią. Podobne dylematy przeżywali też inni ludzie, którzy zdecydowali się na Towarzysza. Jednym z nich była Weronika, która miała wkrótce wpaść na przyjacielską pogawędkę.

II.

Raul wyszedł. Bez niego mieszkanie wydawało się dziwnie ciche i opustoszałe, tak jak kiedyś, nim zdecydowała się na sprowadzenie go do siebie. W takich chwilach zastanawiała się, czy rzeczywiście „lubi” swego Towarzysza, czy też może raczej jest to uczucie dużo głębsze. Kiedyś uważano by to za niebezpieczny absurd, teraz po prostu się o tym nie mówiło, ale ludzie akceptowali postępującą antropomorfizację androidów. Wizje Dicka i Asimova zostały ucieleśnione, choć w nieco prostszej, złagodzonej formie. Na szczęście produkcja androidów – niewolników, przewidzianych do ciężkich robót, była nieopłacalna pod każdym względem. Nieprzewidywalność nie do opanowania, a także koszt powstania takiej repliki człowieka był wysoki i gdyby nie sprzedaż ratalna, takie osoby jak Etta nie mogłyby pozwolić sobie na Towarzysza. Androidy szanowano więc, z początku jako kosztowne przedmioty zbytku, potem, gdy poziom edukacyjny społeczeństwa rósł, jako „sztucznych ludzi”. Sztucznych, ale jednak... ludzi. Nie było to jeszcze, co prawda, powszechne, a wielu znajomych Etty wypowiadało się na ten temat twardo:

– Dla mnie to po prostu robot, jak kuchenny mikser, tyle że udoskonalony.

Weronika była inna. Sama miała Towarzysza, który właściwie nie został zaprojektowany jako Towarzysz. Rasmus, na którego mówiła Brent, był naprawdę wszechstronny, a nie został wykorzystany jako własność jakiegoś instytutu tylko dlatego, że określono go jako „zbyt samowolnego”. Potrzebował kogoś, kto go zrozumie i poprowadzi, zatem przekazano go Weronice, która po ukończeniu trzech fakultetów – cybernetyki, bioniki i mechaniki kwantowej – dostała posadę rządową z gatunku tych, o których nie mówi się głośno. Nawet Etta, jej najbliższa przyjaciółka, nie wiedziała dokładnie, co Weronika robi, nad czym pracuje, wiedziała tylko, że jest to sprawa o globalnie ogromnej wadze i że pochłania czasem i dwadzieścia godzin na dobę. Teraz zastanawiała się przez chwilę, czy tak nagłe zapowiedzenie się przyjaciółki z wizytą nie jest związane właśnie z pracą. Weronika od dawna nie miała czasu na życie towarzyskie. Może potrzebowała od Etty jakichś opracowań historycznych?

Młoda nauczycielka ustawiła na stole staroświecki dzbanek z sokiem, patere z ciastkami i wazę z reglamentowanymi owocami. Niszczona przez setki lat planeta dopiero się odradzała po ekologicznej rewolucji, owoce stanowiły jeszcze luksus, dostępny jedynie w wydzielanych ilościach. Jedynie bardzo bogaci mogli pozwolić sobie na zakup większej ilości ze specjalnej puli.

– I tak mamy szczęście, że nie głodujemy, jak przepowiadali to pisarze. – pomyślała Etta.

Tak, dzięki globalnemu rządowi i mądrej gospodarce ludzie obecnie nie głodowali, a epoka ostro egzekwowanych przydziałów kartkowych była za nimi.

Reglamentacji podlegały już tylko niektóre ziemiopłody, takie właśnie jak owoce, nadal jednak wstęp prywatnych osób do rezerwatów przyrody, czyli praktycznie na wszystkie zielone tereny był bezwzględnie zakazany. Nie groziło to karą śmierci, jak jeszcze sto lat temu, jednak można było trafić na długo do więzienia lub zostać obciążonym bardzo wysoką grzywną, obliczaną nie na podstawie sztywnych zapisów, a wartości majątku. Nie było innego wyjścia. Ziemię, planetę ludzi, tak wyniszczyła nadmierna eksploatacja, wojny i przemysł ciężki, że trzeba było drastycznych restrykcji, by odrodzenie mogło przebiegać we względnym spokoju, niezakłócanym przez specjalistów od łatwego zarobku, cwaniaków czy zwykłych ciekawskich.

– Panno Solis, Weronika Hornet czeka w przedsionku. Dane biometryczne zgodne z bazą identyfikacyjną – odezwał się automatyczny odzwierny.

– Może wejść – odpowiedziała Etta.

Drzwi zagrały melodyjkę powitalną, rozsunęły się i do mieszkania weszła młoda kobieta o nieco niezwykłej powierzchowności. Miała bardzo jasną skórę, czarne, obcięte na wysokości ramion włosy, obrysowujące podłużną twarz, w której płonęły piękne, piwne oczy. Dość wysoka, gibka postać ubrana była w tak zwany secondskin – bardzo modny dwuczęściowy kombinezon z czarnego eskrelonu, syntetycznej tkaniny o jedwabistym połysku, dzięki budowie molekularnej bardzo wytrzymałej i jednocześnie „oddychającej”. Jak mawiano w reklamach, ubrań z eskrelonu nie czuło się na skórze, nawet jeśli były bardzo obcisłe. Secondskin był właśnie taki i dlatego nosiły ten strój przeważnie tylko dziewczyny o nieskazitelnych figurach, jak Weronika. Zbyt dokładnie podkreślał każdą niedoskonałość.

– Witaj, Etta – powiedziała, ukazując w uśmiechu rząd białych zębów i figlarny dołek w lewym policzku.

– Witaj, Werka. Bez Rasmusa?

– Brent jest w Instytucie Cybernetyki na badaniach. Ostatnio miał pewien problem z okiem – odparła Weronika. Dźwięk jej głosu jak zwykle poprawiał Etcie humor – był nieco za dziecinny jak dla dorosłej osoby, ale wynikało to z tego, że jej przyjaciółka urodziła się z rozszczepem podniebienia i w jej sprawie musiała wypowiedzieć się Komisja do Spraw Zdrowia Noworodków. Oczywiście tak drobny defekt, z łatwością dający się usunąć operacyjnie, nie stanowił dostatecznej podstawy, by wszcząć procedurę eutanazyjną, ale opinia Komisji była wymagana do zabiegu. Mimo że wszystko poszło dobrze, Weronika zawsze odrobinę sepleniła, a jej głos był nieco piskliwy, jak u małej dziewczynki, nawet gdy stała się już samodzielną, pracującą kobietą.

– Co widzę, śliwki i winogrona! – Wykrzyknęła, patrząc na stół. – Zlituj się! Przecież to chyba cały twój przydział, nie mogę cię tak objadać.

Etta ze śmiechem pociągnęła przyjaciółkę za rękę do stołu.

– Jedz, jedz – zachęciła. – Za parę dni początek nowego miesiąca, dostanę drugi. Ten i tak odebrałam z dużym opóźnieniem, bo przecież miasto ma wiecznie jakiś kłopot z dystrybucją.

Dobrze wiedziała, że Weronika uwielbia owoce ponad wszystko. Sama jadła je raczej przez rozsądek, wiedziała, że są zdrowe, wołała jednak słodczyce.

– A gdzie Raul? – Spytała przyjaciółka, sięgając do wazy ze źle maskowaną zachłannością.

– Poszedł do muzeum techniki. Poszerza horyzonty. Czasem naprawdę mnie zadziwia.

– Chcesz powiedzieć, że nie spodziewałabyś się takich zapędów po androidzie?

– No, raczej nie bardzo. Uczy się, nie z mego polecenia, a z własnej potrzeby. Nie oczekiwałam tego po Towarzyszu. Chciałam, żeby był cały mój, zawsze cierpliwy i posłuszny, kiedy chcę rozmowny, a gdy nie, milczący... jednak powoli odkryłam, że to nie mechaniczna lalka z komputerowym programowaniem, którą ustawiam, jak chcę i gdzie chcę. Ma własne preferencje, mówi „A nie moglibyśmy zrobić tego trochę później?”, albo „Wolałbym dziś obejrzeć coś innego.” Pamiętam, jak mnie zaskoczył, gdy spytał, czy wolno mu zmienić zasłony w swoim pokoju na granatowe. To znaczy nie to, że spytał czy wolno, ale to, że nie podobały mu się bordowe, które lubię ja.

Weronika pokiwała głową.

– Czy nie zdziwiłoby cię to, gdyby oprócz parametrów fizycznych zażądano od ciebie wytycznych co do charakteru i sposobu zachowania? Ale nie zażądano. Takich wzorców nie ma. To rodzi się samo, trudno tym sterować. Odchylenia statystyczne...

Przerwała i naląła soku do szklanki. Sączyła go powoli, patrząc w okno.

– Na przykład Brent – podjęła temat po chwili. – Można by rzec, że jest nadwrażliwy i łatwo go urazić. Jest w nim jakieś dążenie do udowadniania ludziom, że jest nam równy pod każdym względem. Może to kwestia dodatkowych obwodów neuronowych, w które został wyposażony, by zwiększyć IQ. Wiesz, że początkowo darzył mnie niechęcią?

– Co takiego?!

– A tak. Ubzdurał sobie, że jest moją własnością, a to go złościło. Oczywiście nie buntował się otwarcie, androidy tego nie robią, ale stosował bierny opór, potrafił nie odzywać się całymi dniami... Dopiero, gdy pojął, że nie mam zamiaru traktować go jak niewolnika, a jedynie partnera w pracy, mogliśmy się zaprzyjaźnić. Powoli zaczął mi ufać. To zabawnie brzmi w odniesieniu do androida, ale tak wygląda

Etta uśmiechnęła się, mrużąc lekko oczy. Pomyślała, że z nią i Raulem było

całkiem podobnie, choć na pewno łatwiej. Gdyby Rasmus był człowiekiem, określono by go pewnie jako neurotyka i narwańca, a tak mawiano, że jest androidem o nieprawidłowych parametrach osobowości. Na podstawie jego przypadku zbadano i określono iloraz inteligencji, powyżej którego android zaczyna zdradzać objawy niestabilności w stopniu upośledzającym przydatność. Jak się okazało, IQ nie może być bezkarnie zwiększane.

– Powiedz mi, teraz już dobrze ci się z nim pracuje? – Spytała.

– O tak – odparła Weronika z ożywieniem. – I w pracy i poza pracą Brent jest wspaniałym kompanem, jeśli tylko szanuje się jego odrębność. Rozumiesz, nie chce być traktowany jak komputer na dwóch nogach. Właściwie to moja wizyta ma związek z Towarzyszami.

– Tak? – Zdziwiła się Etta.

– Tak. Kongres debatuje nad pewnymi rozwiązaniami prawnymi, które dotąd nie wydawały się konieczne. Chodzi o to między innymi, by zniszczenie androida liczyło się jak zabójstwo, nie jak zniszczenie mienia.

Ach tak. To rzeczywiście było niejednoznaczne moralnie – istoty inteligentne, samoświadome, posiadające wrażliwość estetyczną i własne poglądy, w świetle prawa pozostawały przedmiotami, które można było niemal bezkarnie pociąć na kawałki, gdyby komuś przyszła taka fantazja. Etta nigdy nie uważała tego za sprawiedliwe, nawet wtedy gdy jeszcze nie miała Towarzysza i nie myślała, by go mieć.

– To parszywe, ale co ja mam do ustaleń Kongresu? – spytała.

– Potrzebuję opinii historyka. Elaboratu poruszającego temat niewolnictwa i nierówności wobec prawa – wyjaśniła Weronika. – W końcu kiedyś niewolnik nie był człowiekiem, właściciel mógł go sprzedać, okaleczyć, zabić. Trzeba się na to powołać, a ty masz przecież całą historię świata w swej genialnej głowie.

Ach, więc o to chodziło.

– Oczywiście, mogę napisać coś takiego – odparła. – To żaden problem. Też bym chciała, by Kongres uregulował tę sprawę. W głowie mi się nie mieści, że ktoś, kto by skrzywdził Raula, nie poniósłby kary.

– To będzie potrzebne już za parę dni – rzekła nieśmiało Weronika. – Dasz radę?

– Dam. Nie martw się tym.

Uspokojona Weronika poczęstowała się ciastkiem. Zawsze przepadała za wszystkim, co słodkie. Etta pamiętała, jak kiedyś, gdy były nastolatkami, dane im było spróbować prawdziwego miodu – jej biedna przyjaciółka aż się rozpląkała, gdy oprowadzający ich po ośrodku badania żywności laborant powiedział później, że ta cenna substancja przeznaczona jest obecnie wyłącznie do wyrobu leków i za żadne pieniądze nie można jej kupić na własny użytek. Nic na świecie, co można było uzyskać sztucznie, nie miało tego smaku i zapachu.

– Powiedz – zaczęła po chwili. – Nigdy nie zastanawiałaś się nad tym, czemu nie produkuje się dzieci-androidów?

Etta powoli pokiwała głową. Tak, to był dylemat, nad którym wielu ludzi musiało się zastanawiać. W czasach, gdy na urodzenie dziecka trzeba było mieć pozwolenie od władz, zdawać by się mogło, że wielka grupa ludzi bezdzietnych to świetny rynek zbytu na małe androidy – jednak nikt nie wprowadził takiego modelu na rynek. Prawo stanowiło, że można produkować androidy wyłącznie w wersji „dorosłej” i wielu ludzi musiało zastanawiać się, co spowodowało takie obostrzenia.

– Myślę, że to kwestia etyki – powiedziała. – Umysł androida ma możliwość rozwoju, ale nie ciało. Małe dziecko albo wręcz niemowlę o umyśle mędrca... nie, to nie byłby dobry pomysł. Poza tym mogłyby być problemy w relacjach między prawdziwymi a „sztucznymi” dziećmi, a także setki innych kłopotów, których pewnie nawet nie umiemy przewidzieć.

– Dokładnie. Projekty takie były, nie powiem, ale wszystkie odrzucono. Już wtedy, w początkach ery androidów skonstruowano coś w rodzaju a-etykiety, znaczy, co wolno, a czego nie. Jedną z podstawowych zasad było to, że nie wolno dopuścić, by android został sprowadzony do roli zabawki dla człowieka. Znasz może Gelberta Staida? Mieszka niedaleko ciebie.

– Ja nie, ale Raul zna. Właściwie nawet nie tyle jego, co Raisę, jego Towarzyszkę.

– Gelbert był klientem mojej siostry ciotecznej, seksuologa. Jest nadpobudliwy. Musiał przejść specjalny kurs indoktrynacyjny, nim dostał pozwolenie na wzięcie Raisy, a i tak postawiono mu warunek jednoczesnego zakupu seksynki. Po to, by mógł się rozładować z czymś, co nie ma własnej świadomości i by nie sprowadzać inteligentnej istoty do roli seksualnej niewolnicy.

Seksynki, interaktywne lalki naturalnej wielkości, były w użyciu już od setek lat i sprawdzały się doskonale, szczególnie odkąd przestano je postrzegać jako coś brudnego, nieprzyzwoitego, a zaczęto traktować jak element terapii, pozwalającej na zachowanie zdrowia psychicznego i leczenie zaburzeń. Wciąż udoskonalane, nie miały w sobie sztucznego intelektu, ale też nie tego w nich szukano. Przeznaczenie androidów było inne, co nie znaczy, że nie mogły pomagać ludziom również w taki sposób. Nie było pod tym względem reguł – jedni ludzie współżyli z Towarzyszami, inni tego nie robili, ale nikt nie wiedział, co myślą o tym same androidy.

– Czy to znaczy, że postrzegam Raula jako zabawkę? – Zastanowiła się Etta na głos. Przyjaciółka ze śmiechem potrząsnęła głową.

– Skądże. Masz z nim normalną, zdrową relację. Co prawda, nie wyobrażam sobie, jak przełamowałaś swą chroniczną nieśmiałość?

– Wiesz, to nie było proste i Raul bardzo mnie zaskoczył, bo inicjatywa

wyszła od niego.

– Tak?

– Tak. Pewnego wieczoru, gdy byliśmy już zżyci, wróciłam z pracy kompletnie rozbita. To było wtedy, gdy jedna z uczennic trafiła do szpitala po skoku z dachu... chyba ci o tym nie opowiadałam. Założyła się z koleżankami, niemądra dziewczynka i zabrali ją do szpitala w bardzo ciężkim stanie. Trzeba było przeprowadzić śledztwo, kto ją namówił, uczestniczyć w sądzie szkolnym, zeznawać na policji, następnie całej klasie zrobić odpowiedni wykład. Gdy wróciłam do domu, byłam dosłownie chora i płakałam jak bóbr. Raul zaczął mnie pocieszać, tłumaczyć, że to nie była moja wina, a potem spytał „Chcesz, żebym pomógł rozładować to napięcie?” Początkowo nawet nie wiedziałam, co miał na myśli. Jednak byłam w takim stanie rozchwiania, że zgodziłabym się na wszystko, aby poczuć się trochę lepiej.

– I jak wrażenia?

– Było... nieoczekiwanie. Wiesz przecież, jacy egoistyczni są zwykle mężczyźni w tych sprawach, a Raulowi zależało nie na tym, żeby jemu było dobrze, tylko żebym poczuła się lepiej. Chociaż, jak wyznał znacznie później, ta czynność jest dla niego czymś dającym komfort, a raczej stabilizację odczuć. Powoduje reakcję, zbliżoną do reakcji synaptycznej w sferze uczuć dodatnich ludzkiego mózgu. To był pierwszy raz, gdy powiedział, że androidy też czują, choć inaczej niż ludzie.

Etta zawsze była, jak mawiano po średniowiecznemu, wstydliva. Nie chciała korzystać nawet z przywileju „bezwinnosci”. Polegał na tym, że nocy spędzonej z zerówką przez żonatego lub zaręczonego mężczyznę nikt, nawet jego kobieta, nie uważał za zdradę. Zwykle korzystano z tego bez ograniczeń, ale Etta była wyjątkiem. Prawie nie chodziła na randki, wręcz unikała mężczyzn. Uważano to powszechnie za cechę tyleż śmieszną, co wręcz patologiczną, ale że była „zerówką”, nie miało to większego znaczenia. Także fakt, że androidy przypominały ludzi w najdrobniejszych szczegółach, również w budowie i funkcjonalności organów płciowych, był tematem, który wolała omijać w rozmowach. Wobec technika manufaktury z trudem wydusiła, że „starczy standardowy zestaw” i nie chciała rozmawiać o jakichkolwiek preferencjach dotyczących wymiarów czy kształtu. Weronika to rozumiała, choć sama nie miała takich zahamowań. Nie, w najmniejszej mierze.

– Jednym słowem, było ci dobrze – powiedziała lekko. – Cóż, nie mogło być inaczej. Android wie, kiedy człowiekowi jest miłe jego towarzystwo i dąży do tego, by osiągnąć ten stan. To zagadkowe i nie do końca wytłumaczalne, ale wydaje się, że mają wpisane w algorytmy pewną opiekuńczość w stosunku do ludzi.

– Tak, to rzeczywiście zagadkowe, ale nie tylko to jest dziwne. Na przykład ich instynkt samozachowawczy. Z teorii wynika, że nie powinny go mieć.

– Teoria to tylko teoria. Jest ich zresztą dużo, a jedna z nich tłumaczy, że na etapie samoświadomości instynkt samozachowawczy rodzi się sam, nawet w prymitywnych obwodach maszyny myślącej. W końcu pierwszy samoświadomy mózg składał się z topornych mikroprocesorów elektronicznych, bo nie znano jeszcze wtedy techniki koloidów polimerowych. To przyszło później. Ten pierwszy był plątaniną elektronicznych połączeń, w których zrodziła się świadomość własnego ja. Uważano, że to niemożliwe. Ale jednak MacAfler 2154 myślał i czuł. Obawiał się zniszczenia, a więc śmierci. To był pierwszy raz, gdy do ludzi dotarło, co właściwie usiłują zrobić. To też porusz w opracowaniu, dobrze? To ważne.

– To nie wszystko, prawda? – spytała Etta po chwili. Weronika skinęła głową.

– Zawsze miałaś intuicję. Nie, nie wszystko. Ale dzisiaj jeszcze nie mogę powiedzieć tego, co bym chciała. Spytałem jednak o coś: gdybym zaproponowała ci wielką przygodę, naprawdę wielką, która wiązała by się z pozostawieniem za sobą wszystkiego co znasz, zgodziłabyś się?

– No nie wiem, musiałabym poznać szczegóły. Chodzi o jakiś projekt rządowy?

– Tak, dokładnie tak. Nie mogę teraz tego wyjaśnić, ale może już niedługo porozmawiamy o tym otwarciu. Tylko że...

Weronika wyraźnie się zawahała. Jej blada twarz pobladła jeszcze bardziej, jak zawsze w chwilach napięcia.

– Nikomu nie wspominaj o mojej wizycie ani o tej rozmowie, dobrze? – dokończyła. – Już to, co powiedziałam stanowi pewną tajemnicę, a cała sprawa to jeden z najgłębiej strzeżonych sekretów rządowych. Dotyczy przedsięwzięcia, o którym mało kto wie.

– Aż tak?

– Tak. Oczywiście nie myśl, że to jakiś spisek przeciw ludzkości, jest wręcz odwrotnie. Etta, kochanie... ludzkość ma kłopoty, których nawet nie podejrzewa.

– Jak to? Przecież najgorsze mamy za sobą. Chyba że chodzi o niezrzeszonych, oni...

– Skądże, niezrzeszeni nie są groźni. Większość z nich powraca do miast po przekroczeniu pewnego wieku. Pewnie muszą się wyszumieć z dala od autorytetów. Kłopot tylko, jeśli mają nielegalne dzieci, wiesz, że to się zdarza.

– Wiem. Taka nieodpowiedzialność doprawdy nie mieści się w głowie.

– To po prostu atawistyczne parcie do przekazania genów przyszłemu pokoleniu. Szczęśliwie niezrzeszonych nie jest wielu, bo trzeba doprawdy mieć coś z głową, by dobrowolnie porzucać bezpieczeństwo miast na rzecz mieszkania byle jak i byle gdzie. Nie, tak jak powiedziałam, sprawa nie ma z nimi nic wspólnego. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej, ale już wkrótce....

Weronika spojrzała na zegarek i z wyraźnym żalem wstała. Bardzo tęskniła

za dawnymi spotkaniami z przyjaciółką, wspólnymi spacerami, nauką i rozrywkami, ale teraz praca wypełniała właściwie całe jej życie.

– Odezwę się, gdy będę mogła powiedzieć coś konkretnego – obiecała. – Swą dysertację przyślij po prostu pod mój adres, dobrze? Nie później jak za trzy, cztery dni.

– Oczywiście, nie martw się.

Weronika otworzyła małą torebkę, przypiętą na ściągaczu wokół talii.

– A to dla ciebie – powiedziała, stawiając na stole maleńki słoiczek. – Dostałam nagrodę za ostatnią robotę, a zawsze się wszystkim dzieliłyśmy, pamiętasz?

Etta z niedowierzaniem wzięła niewielki przedmiot i obejrzała pod światło.

– Miód? – upewniła się. – Prawdziwy? Ależ, Werka, to musi być warte...

– Mówiłam, dostałam nagrodę, więc się dzielę – przerwała przyjaciółka z uśmiechem. – Trzeba w końcu jakoś uczcić twą pierwszą pracę dla rządu. Oby nie ostatnią, prawda?

– Myślisz, że to coś da? – spytał Raul. Jak zwykle, w jego głosie nie brzmiała nadzieja ani napięcie, był to zwykły, wygenerowany mechanicznie tryb pytający – głos również stanowił słaby punkt konstrukcji androidów. Miał ludzkie brzmienie, ale nic poza tym. Cała gama odcieni, dostępnych przeciętnemu człowiekowi, była nie do uzyskania, więc aparat głosowy „sztucznych ludzi” wyposażony był po prostu w opcje: „tryb twierdzący, tryb pytający, tryb niezobowiązujący.” Reszty dokonywał rozkład akcentów, którymi każdy android sam uczył się posługiwać, tak że do pewnego stopnia sposób mówienia każdego był indywidualny mimo wszystkich ograniczeń.

– Nie wiem. Jednak może pomóc w ułożeniu tych spraw – odparła Etta, nie odrywając oczu od ekranu podręcznego notebooka. Po chwili spojrzała na Towarzysza, zajętego rzeźbieniem jednej ze ścian dużej szkatułki na biżuterię. Nie oznaczało to pracy twórczej, gdyż android kopiował jedynie otrzymane wzory, ale sprawiało zaskakująco ludzkie wrażenie. Maleńkie dłuto w spokojnej dłoni androida poruszało się sprawnie i pewnie, wycinając skomplikowane arabeski z precyzją automatu fabrycznego. Nie po raz pierwszy Raul usiłował zgłębić, czym jest dla ludzi sztuka. Wrażliwość estetyczna to było coś, co każdy android mógł w sobie wyrobić na podstawie absorpcji schematów kanonu piękna i przetworzeniu ich we własny algorytm. Podstawowy program, wprowadzany do zintegrowanych z koloidowym mózgiem elektronicznych mnemonów, nie obejmował takich rzeczy, jednak sztuczni ludzie uczyli się, ulegali samo komplikacji i nikt nie był w stanie przewidzieć, w jakim kierunku rozwinię się umysł poszczególnego androida. Ich osobowości były bardzo złożone i był to wynik reakcji zbliżonych do tych, które zachodziły w typowym ludzkim mózgu. Przed zastosowaniem chemotechnologicznych koloidów było to bardzo trudne, gdyż brakowało dróg

swobodnego łączenia się mikroobwodów. Procesy zachodzące w koloidzie były fizykochemiczne, nie ściśle fizyczne, dlatego osiągnięty efekt był tak dobry. Właściwie nawet za dobry, gdyż pomyślane jako pomoc dla ludzi androidy nie mogły zostać wykorzystane jako roboty fabryczne czy rolne, a nawet jako służba domowa. Przedział ich wolności osobistej był zbyt duży, by dało się przewidzieć ich postępowanie, dlatego praktycznie jedyną funkcją stało się towarzyszenie ludziom samotnym i nieszczęśliwym. Wyjątkiem od reguły był sektor medyczny, gdzie pełniły rolę asystentów i pielęgniarek. W ekstremalnych przypadkach Towarzysze byli przydzielani za darmo, w ramach terapii przeciwsamobójczej, choć zwykle trzeba było płacić. W regulaminie Centrum Programowania Androidów widniał eufemistyczny termin „zwrot kosztów produkcji plus amortyzacja”. Słowa „zapłata” lub „wartość przedmiotu” zbyt źle się kojarzyły i dlatego z nich zrezygnowano. Jak jednak zapatrywały się na sprawę androidy? Czy nie miało to dla nich posmaku niewolnictwa? Zwykle ich nie pytano.

– Raul, czy ś uwłacza ci to, że płacę fabryce raty za twoje towarzystwo? – Spytała Etta. Android podniósł głowę znad szkatułki i przez chwilę patrzył w martwy punkt, jakby zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

– Gdybyś nie zaczęła płacić, nie istniałbym, prawda? – rzekł wreszcie. – Nie mogę więc uważać tego za coś złego. Jeśli właściwie pojmuję istotę dobra i zła, zło jest to działanie na czyjąś szkodę, a ty działałaś na moją korzyść. Zawsze lepiej jest istnieć niż nie istnieć.

– Ale czy istnienie ze mną uważasz za korzystne?

– Koegzystencja z tobą jest podstawą mego istnienia. Potrzebujesz mnie, dlatego zapłaciłaś za moje pojawienie się na świecie. Dbasz o mój rozwój i zależy ci na mnie. Nie rozumiem, czemu miałbym uważać, że nie jest to korzystne.

Chyba rzeczywiście nie rozumiał. Przy całej swej inteligencji androidy mówiły nieprawdę tylko wtedy, gdy tego żądano – same z siebie nie widziały po prostu logiki w mówieniu nieprawdy. Może dlatego nigdy nie zajmowały się pisaniem wierszy lub opowiadań beletrystycznych, choć Raul chętnie czytał. Chyba uzupełniał w ten sposób wiedzę o ludziach.

– Jaka jest Raisa? – spytała Etta. – Czy jest taka, jak ty? Tak samo myśli?

– Raisa 219B jest formą żeńską, więc nie może być taka sama.

– Jak to jest z waszym poczuciem tożsamości seksualnej? Nigdy nie pytałam, ale chyba nie jest wam obojętne, jakiej jesteście płci?

– Na początku jest. Dopiero po wprowadzeniu schematów skojarzeniowych staje się to nieodwracalne. W końcu płeć to nie tylko wygląd, prawda?

Etta westchnęła i odłożyła notebook. Dopiero teraz docierało do niej, jak mało w istocie wie o androidach, a nawet o swoim Towarzyszu. Na przykład ta kwestia. Czy żeńskie androidy naprawdę czuły się kobietami i co to dla nich znaczyło? Raisa używała różowej szminki w odcieniu nr 5, bładoniebieskiego tuszu

do rzęs i perfum „Wieczór Paryża”. Innych nie chciała – dlaczego? Romina 176F, która kiedyś mieszkała obok Etty razem z jej sąsiadem wołała pomadkę w kolorze ciemnej wiśni, perłowe cienie do powiek i perfumy Coco Chanel. I znowu, dlaczego? Czy to było w programie? Nie. Program podstawowy był zawsze ten sam, upodobania androidów stanowiły dla Etty zagadkę, podobnie jak poczucie płci, które znacząco wpływało na ich zachowanie. Raulowi nie przyszłoby do głowy czernienie brwi czy coś podobnego. Ponownie wzięła do ręki notebook i uzupełniła swą pracę kilkoma zdaniem na ten temat. Przejrzała jeszcze raz to, co napisała, i wysłała całość pod adres przyjaciółki.

Następnego dnia Etta obudziła się z uczuciem, że jest bardzo chora. Bolała ją głowa i gardło. Dawno nie czuła się tak źle – wbrew optymistycznym prognozom wielu dawnych pisarzy SF ludzkość wciąż nie mogła znaleźć lekarstwa ani szczepionki na szybko mutujące wirusy „zwykłego przeziębienia”, choć działające na ulicach sterylizatory powietrza zmniejszały ryzyko zachorowania do minimum. Wiedziała, że zgodnie z obowiązującym prawem nie wolno jej teraz wyjść z domu i wcale nie miała ochoty. Zamknęła oczy i ponownie zasnęła, nie wiedząc kiedy. Obudził ją dopiero głos Raula;

– Spóźnisz się do pracy, Etta.

– Nie idę dziś do pracy – odpowiedziała sennie. – Zadzwoń do szkoły i powiedz, że jestem chora... a potem zadzwoń po lekarza.

Raul pochylił się i dotknął opuszkami palców jej czoła. Przez krótką jak mgnienie oka chwilę czekał, aż uaktywnią się precyzyjne czujniki temperatury, potem wyprostował się i powiedział:

– 39 stopni i dwie kreski. Nie wstawaj, zrobię ci mocną herbatę i zadzwonię po doktora Estradę.

Nie był zaniepokojony, androidy nie bywały niespokojne, jednak było w jego zachowaniu coś nieuchwytnie bardziej opiekuńczego niż zwykle. Zaparzył herbatę dla Etty, dolał soku malinowego i dopiero postawiwszy kubek na nocnym stoliku obok łóżka dziewczyny udał się do aparatu łączności. Wybrał na klawiaturze numer domowego lekarza i odczekał chwilę. Na ekranie pojawiła się wygenerowana komputerowo twarz doktora Estrady, a obok śniada pielęgniarka w tradycyjnym czepku i fartuchu.

– Zgłasza się Rhae 29N, asystentka doktora Estrady – powiedziała. – Doktor jest chwilowo nieosiągalny. Proszę podać dane chorego i objawy.

– Witam, Rhae – powiedział android. – Mówi Raul 209C. Moja Domina, Estrella Solis, jest chora, prawdopodobnie na wirusową chorobę zakaźną. Objawy: ból głowy i gardła, przekrwienie spojówek oczu, temperatura ciała 39 stopni i dwie kreski, ogólne osłabienie.

– Weź diagnoster, zbadaj krew i parametry chorej – odpowiedziała asystentka.

Raul wrócił do sypialni Etty. Dziewczyna wpół drzemała, a ciężki oddech świadczył o tym, że naprawdę źle się czuje. Raul ostrożnie zadrasnął jej palec sterylną igłą, zebrał kroplę krwi na płytkę, którą wsunął do czytnika diagnostera, a następnie przyłożył czujnik do miejsca na szyi Etty, gdzie pod skórą pulsowała tętnica szyjna. Odczekał chwilę, zarejestrował wszystkie uzyskane w ten sposób informacje i przesłał do pracowni doktora Estrady. Potem ustawił klimatyzację pomieszczenia na wzmożony przewiew i zwiększoną wilgotność, wysłał do szkoły standardowe zawiadomienie o niemożności zjawienia się w pracy nauczycielki klasy podstawowej 3a, po czym usiadł obok łóżka Etty, czekając na odzew lekarza.

Etta czuła się gorzej niż kiedykolwiek. Była otumaniona, oddychała z trudem i bolała ją głowa, ale wyczuwała przy sobie obecność Raula i to ją uspokajało. Miała niezbitą pewność, że android zrobi wszystko, by jej pomóc i była to świadomość kojąca wszelką obawę. Gdy wreszcie zapadła w płytki, niespokojny sen, nawet nie usłyszała sygnału łączności ani głosu Raula, rozmawiającego z lekarzem. Obudziło ją dopiero lekkie ukłucie w ramię.

– Co to? – spytała sennie.

– Biotonina – odparł Raul. – Doktor kazał ją podawać. To tylko niewielka infekcja. Masz tydzień zwolnienia z obowiązków i tylko cztery dni ścisłej kwarantanny. Wszystkie leki już przysłano, zamówiłem też dostawy ze sklepu. Niczego nam nie zabraknie.

To była zwykła procedura. Ktoś, kto uległ infekcji, zostawał odizolowany w domu, by nie rozprzestrzeniać zakażenia. Podawaniem leków zajmowały się androidy – własne lub przysyłane przez placówki medyczne. Jak mawiano, trudno było o lepsze pielęgniarki – nieskończenie cierpliwe, silne, odporne na zakażenia i dokładnie, bez pomyłek, wykonujące zalecenia lekarza. Raul nie był co prawda pielęgniarką, ale otrzymawszy odpowiednie instrukcje bez trudu mógł poradzić sobie z opieką nad chorą Ettą. Umiał wykonywać wszystkie zalecenia i nie mylił się nigdy.

Niemal od pierwszego dnia starał się być użyteczny. Umiał zrobić kawę i herbatę, pokroić substytutowy chleb na zgrabne kromki i posmarować ekstraktem z drożdży lub pastą jajeczną. Musieli go tego nauczyć w zakładach, razem z paroma innymi podstawowymi rzeczami.

Gdy tylko posłaniec ze sklepu dostarczył zamówione ubranie, bez poganiania poszedł wziąć prysznic i umył się dokładnie żelem dezynfekcyjnym. Etta nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać przez uchylone drzwi łazienki. Było co podziwiać. Zgrabne ciało, wspaniała skóra i ruchy do złudzenia ludzkie, nie mogła się nadziwić precyzji wykonania. Był idealny, od spadającej na czoło czupryny aż po paznokcie na palcach pięknie wyrzeźbionych stóp. Gdy wyszedł spod suszarki (bardziej higienicznej niż staroświeckie ręczniki), sam się przebrał, nie potrzebując pomocy. W ciemnogrnatowych spodniach, zgrabnych półbutach i jasnoróżowej

koszuli wyglądał jak student z dobrej rodziny i Etta nie miała wątpliwości, że gdyby nie metalowy trójkąt w płątku lewego ucha, nikt nie odróżniłby go od człowieka.

– Co mam... teraz robić, Domina? – spytał, zapiąwszy ostatni guzik i przyczesawszy przed lustrem lekko wilgotne włosy. Wciąż lekko się zacinał – poradnik dla Dominantów wspominał, że jest to mankament nowo skonstruowanych androidów, który znika bez śladu w ciągu pierwszego tygodnia obcowania z człowiekiem.

– Na razie nic szczególnego – odpowiedziała. – Chodź, pokażę ci twój pokój. Na razie prawie nie jest urządony, ale nadrobimy to wspólnie.

Wzięła Raula za rękę i zaprowadziła do przygotowanego pomieszczenia, gdzie na razie stała tylko szafa, łóżko i zestaw komputerowy. Poradnik wspominał, że każdy android powinien taki mieć, by móc się uczyć, zadbała więc o to.

– Tu będziesz mieszkał – powiedziała. Raul rozglądał się przez chwilę.

– Podoba ci się?

– Zasłony.

– Co zasłony? Nieładne?

– Lepiej inne.

– Jakie? – zdumienie Etty nie miało granic.

– Takie – wskazał na swoje nowe spodnie. – O, taki kolor.

Dopiero co zjawił się na świecie, a już miał upodobania! To było nie do uwierzenia.

– Wolisz granatowe?

– Myślę że... byłyby dobre. Ładne.

– Dobrze, dostaniesz granatowe – Etta zdecydowała się nie roztrząsać teraz sprawy. – Urządzisz pokój jak sam zechcesz.

– Mogę, Domina? – Raul przechylił głowę i spojrzał na nią w sposób, o którym wiedziała już, że jest pytający.

– Etta, nie Domina. I oczywiście że możesz. To twój pokój.

Android ruszył wolnym krokiem, obchodząc pomieszczenie i przyglądając się wszystkiemu. Najwięcej uwagi poświęcił komputerowi. Widać było, że zdążył poznać w zakładach, do czego służy to urządzenie, bo włączył je i dotknął klawiatury, aktywując dostęp do sieci. Przez chwilę patrzył na ekran.

– Umiesz czytać? – spytała Etta.

– Nie.

– Zatem od jutra rozpoczniesz naukę. Zanim wyjdę do pracy, zostawię ci odpowiedni program.

– Dobrze, Do... Etto.

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Ani się spostrzegła, jak nadszedł czas spoczynku. Wyjęła ze sterylizatora zostawioną tam kanapkę, zjadła i poszła wziąć

prysznic.

Po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkała, zamknęła od wewnątrz drzwi łazienki. Nie umiałaby wyjaśnić logicznie, dlaczego to robi – chyba po prostu onieśmiał ją android, tak bardzo podobny do żywego człowieka. Nie miała pojęcia, jak uda się jej zasnąć, mając świadomość, że jest tutaj, w pokoju obok...

Nie, nie obok. Niedługo po zgaszeniu światła usłyszała lekkie kroki i poczuła, jak Raul unosi koldrę, by zaraz potem ułożyć się tuż obok. W pierwszej chwili zeszywniała, ale zaraz odprężyła się. Była Dominantką i to ona podejmowała decyzje. Wystarczyłoby jedno słowo... ale nie wypowiedziała go. Od dawna cierpiała na lęki nocne, budziła się ze ściśniętym gardłem i dojmującym poczuciem samotności. Bała się powiedzieć o tym lekarzowi, który pewnie zaleciłby odpowiednią terapię i pewnie odsunął czasowo od pracy. Tego nie chciała. Zaopatrzyła się w inhalatory easyhal i opti, dostępne bez recepty i postanowiła przetrwać. Być może obecność Raula w łóżku pomoże? Przytuliła się nieśmiało do obnażonej piersi androida. Nie myślała, że będzie to tak przyjemne uczucie. Jego ciało było jędrne i aksamitne w dotyku, pachniało świeżością. Z pewnością nie był to ludzki zapach, ale przyjemny i kojący. Jedyne bicie serca nie było słychać, i nawet najłżejszy oddech nie unosił pięknie wysklepionego torsu. Musiała przyznać, że tak jest lepiej. Muskularne ramię objęło ją delikatnie i opiekuńczo. Nawet nie wiedziała, kiedy zapadła w spokojny, pokrzepiający sen.

Tak, Raul od początku był pomocny. Tym bardziej teraz. Dzięki jego staraniom już następnego dnia dziewczyna czuła się na tyle dobrze, by wstać z łóżka i wykorzystać wolny czas na podsumowanie wyników uczniów oraz ocenę prac domowych.

– Powinnaś odpoczywać – mówił Raul z łagodnym wyrzutem, ale Etta uśmiechała się tylko. Nie przywykła do bycia chorą i nie miała zamiaru pieścić się ze sobą. Opiekuńczość Raula trochę zaskakiwała – nie pasowała do jej wyobrażenia o androidach. Czyżby była jeszcze jednym dowodem na istnienie „życia wewnętrznego” w sztucznie stworzonym byciu? Ta myśl powracała uparcie, gdy sprawdzała prace dzieci i pisała komentarze, nie umiała się jej pozbyć. Teraz przypominała sobie wszystkie drobne zdarzenia, jakich była świadkiem: jej Towarzysz podnoszący dziecko, które upadło i stukło sobie kolano, pomagający sąsiadowi przy znoszeniu starych mebli do przewozówki, wypuszczający za okno zbłąkanego w apartamencie motyla... Zwłaszcza ten ostatni gest był dziwny.

– Raul, czemu wypuściłeś motyla? – Spytała znienacka. Odmierzający akurat lekarstwo android zastygł w pół ruchu. Nie musiała przypominać mu szczegółów wydarzenia, gdyż sztuczny mózg nie zapominał tego, co raz się wydarzyło i w odróżnieniu od ludzkiego nie zniekształcał wspomnień.

– Żywa istota – powiedział wreszcie. – Mieszkanie to nie ekosystem dla motyli.

– Świetnie, ale czemu cię to obeszło?

To było znacznie trudniejsze pytanie. Raulowi takie postępowanie wydało się całkiem naturalne, ale jaka była przyczyna takiego przekonania – o, tego nie wiedział. Stał nieruchomo jak posąg, nie wypuszczając z palców kropłomierza, oczy miał otwarte i bez wyrazu. Milczał, tak bardzo podobny w tej chwili do martwej lalki, że Etta wystraszyła się w końcu. Jego mózg otrzymał problem do rozwiązania i pracował, usiłując znaleźć zadowalającą odpowiedź, a to mogło okazać się niebezpieczne. Młoda kobieta dobrze pamiętała, jak technik w fabryce ostrzegał:

– Proszę uważać z abstrakcyjnymi pytaniami. Natrafiwszy na problem nie do rozwiązania android może się „zawiesić”, nie gorzej niż prosty komputer. W skrajnych przypadkach sprawa jest nie do ruszenia, bo chyba orientuje się pani, że to jednak nie jest komputer, nie wystarczy zresetować cały system albo przeprowadzić defragmentację głównego nośnika. Permanentne zawieszenie to w zasadzie śmierć androida.

– Raul, daj spokój! Zapomnij o co pytałam! – zawołała przerażona Etta, zrywając się od stołu. Ku jej niezmiernej uldze android zamrugał gwałtownie powiekami, co było sygnałem powrotu do stanu aktywności, połączonym z odrzuceniem otrzymanego zadania.

– Odpowiedź nieznana – rzekł drewnianym głosem. – Brak danych.

Dokończył rozpoczętą czynność, wlał odmierzone krople do wody i podał Etcie. Wypiła otrzymaną miksturę, odetchnąwszy głęboko. Widocznie Raul sam nie wiedział, czemu postępuje tak, a nie inaczej. Być może tak właśnie miało być.

Już po pierwszym tygodniu Etta wiedziała, że jej poprzednie pojęcie o androidach było błędne. Zamówienie Towarzysza nie było tym samym co kupno komputera czy jakiegokolwiek innego sprzętu domowego użytku. Raul nie był posłusznym na każde skinienie niewolnikiem ani interaktywną zabawką. Nie można było przewidzieć jego zachowania. Początkowo głównie siedział przy komputerze, chłonąc wiedzę z przeznaczonych dla androidów programów. Jednak już pierwszego dnia po powrocie z pracy zastała mieszkanie posprzątane na wysoki połysk, wszystkie naczynia w kuchni zostały uporządkowane według matematycznego schematu. Następne dni miały ujawnić dziwną manię Raula w przemeblowywaniu mieszkania, przestawianiu bibelotów i przekładaniu rzeczy tak, by układały się symetrycznie. Nie przeszkadzała mu – nigdy nie była zbyt przywiązana do określonego wyglądu mieszkania i nie umiała utrzymać porządku. Pod tym względem android był prawdziwą pomocą, choć nawet dziś nie rozumiała jednej sprawy.

Skąd Raul wiedział, co robić, by sprawić jej przyjemność?

Przypomniała sobie ten straszny dzień, gdy musiała uczestniczyć w sądzie nad małą, zapłakaną dziewczynką. Brenda miała dopiero osiem lat i nie zdawała

sobie sprawy z sedna popełnionego przestępstwa, ale musiała zostać ukarana zgodnie z kodeksem do spraw nieletnich – za narażenie zdrowia i życia koleżanki. Z powodu docinków Brendy Julie Resnick leżała w szpitalu, a jej stan lekarze określali jako poważny. Etta była naprawdę przerażona tym, co się stało, ale jednocześnie jej serce ścisnęło się współczuciem na widok małej winowajczyni i jej rodziców. Dobrze pamiętała praktyki w więzieniu dla nieletnich poniżej dwunastego roku życia. To było skrajnie przygnębiające miejsce, w którym dzieci gubiły gdzieś swoje dzieciństwo. Wiedziała, że żadne z nich nie wychodzi z więzienia takie, jakie weszło i nie chodziło wcale o zrozumienie błędów.

Tego dnia, gdy wróciła do domu, była skrajnie wyczerpana psychicznie i rozpląkała się, ledwie zamknęła drzwi. Do tej pory dusiła w sobie emocje, nie mogła przecież pokazać ich po sobie – była nauczycielką i wymagano od niej panowania nad nerwami.

– Co się stało? – Spytał Raul, wstając komputera. Nie mogła odpowiedzieć, gdyż szloch dławił jej gardło i trzęsła się jak w ataku febry. Android podszedł i objął ją opiekuńczo. Przywarła do jego piersi, zalewając się łzami. Gładził ją po głowie, milcząc, nie umiał przecież nikogo pocieszać i nie posiadał ludzkiej empatii. Czekał, aż Domina wytłumaczy, co się stało i skąd wzięła się jej dziwna reakcja, ale ona nie miała pojęcia jak ma powiedzieć o tym, co wyprowadziło ją z równowagi. Wiedziała już o androidach tyle, by nie oczekiwać niemożliwego, na przykład współzucia. Raul nie potrafiłby pojąć, czemu Etta tak reaguje z powodu logicznej konsekwencji czyjś postępków, który na dodatek z nią samą nie miał nic wspólnego.

– Przytul mnie po prostu – wyszeptała, gdy wreszcie mogła wydobyć głos.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – zapytał.

– Jak?

– Musisz rozładować napięcie. Ono szkodzi.

Uniosła ku niemu twarz ze zdziwieniem, a wtedy pocałował ją nagle. Zrobił to inaczej niż człowiek, ale mimo to dotyk jego ust, aksamitny i ciepły, był czymś kojącym. Co było dalej? Właściwie sama nie umiała sobie do końca uświadomić, jak do tego doszło, że po chwili znaleźli się oboje w łóżku, ale okazało się to dobrym wyjściem. Przestała myśleć o szkolnym sądzie, o dwóch dziewczynkach z których każda była na swój sposób poszkodowana i całym sztywnym systemie, wymagającym od każdego obywatela bezwzględnego posłuszeństwa przepisom. Nagle liczyła się tylko ona i Raul, jej Towarzysz... jej kochanek. Chyba tego dnia zrozumiała, że naprawdę nie jest on jedynie rzeczą, a istotą równą ludziom. Żeby jeszcze inni umieli to zrozumieć...

III.

Etta nie zdziwiła się zbytnio, gdy tydzień później Weronika zapowiedziała się z wizytą. Zaskoczyło ją tylko to, że poprosiła, aby Raul tym razem nigdzie nie wychodził.

– O co może chodzić, jak myślisz? – Spytała Towarzysza.

– Trudno powiedzieć, gdy nie zna się faktów – odparł. – Zostanę, skoro panna Hornet sobie tego życzy.

Życzyła sobie, ale czemu? Czyżby miało to coś wspólnego ze sprawą, o której nie chciała nic mówić za pierwszym razem? Etta była ciekawa, co to za tajemnica, tak wielka i ważna, że Weronika musiała milczeć. I co znaczyła uwaga, że ludzkość ma poważne kłopoty?

– Bo ma – powiedziała jej przyjaciółka, gdy zasiały przy zastawionym stole, by coś zjeść i spokojnie porozmawiać. – Odrodzenie ekosystemów przebiega opornie, mórz pewnie w ogóle nie da się ożywić, a to jeszcze nie wszystko. Na pewno obilo ci się o uszy, że w przeszłości Ziemia była obiektem ataku asteroid. A to, co działo się w przeszłości, może się stać i w przyszłości. Naukowcy wykryli jedenaście dużych obiektów, których tor lotu może w niedalekiej przyszłości przeciąć orbitę Ziemi. Mogło by to mieć katastrofalne skutki. Kiedyś niewiele można było na to poradzić, teraz jednak mamy możliwości. Nie ochronimy Ziemi, ale możemy ocalić ludzkość.

– Jak? – Spytała Etta ze zdziwieniem.

Weronika rozejrzała się, a następnie wyjęła z torebki małe urządzenie i postawiła na stole. Włączone, zaczęło emitować ledwie słyszalne brzęczenie.

– Nikt nas teraz nie podsłucha ani nie podpatrzy – wyjaśniła. – To, co chcę powiedzieć, jest ściśle tajne. Otóż opracowano plan wędrówki ludzkości ku gwiazdom. Na razie na Enceladusa, gdzie ma powstać pierwsza pozaziemska kolonia. Czy raczej, już powstała.

Etta otworzyła usta ze zdziwienia.

– Enceladus? – Spytała po chwili. – Ależ to taka kruszyna. Przecież tam nie ma odpowiedniej atmosfery... warstwy ochronnej...?

– Kiedyś nie było. Prace trwają od dwustu lat. Wytworzono jedno i drugie. O koszt nawet nie pytaj.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną? Co komu z kolonistki, która nie może mieć dzieci?

Weronika uśmiechnęła się.

– Kochanie, właśnie takie jak my są teraz w wielkiej cenie – rzekła z naciskiem. – Tak zwana obsługa administracyjna kolonii. Ludzie, od których wszystko będzie zależeć. Nie mogą mieć własnych dzieci, żeby wykluczyć możliwość faworyzowania, a także niebezpieczeństwo szantażowania kogoś na wysokim szczeblu tym, że uprowadzi się lub zamorduje jego dziecko. Póki nie dojdzie do ukonstytuowania kolonii w stabilne społeczeństwo, to tacy jak my będą klasą zarządzającą. I to od nas będzie zależało przetrwanie kolonistów.

Minęło trochę czasu nim Etta przetrawiła tę wiadomość. Do tej pory coś takiego jak pozaziemskie osadnictwo traktowała podobnie, jak inni ludzie jej epoki i epok poprzednich – jak fabułę literacką książek i filmów. Nie przyszło jej nawet

do głowy, że ktoś pracuje nad tym „na poważnie”. I to nawet nie byle kto, tylko globalny rząd.

– Ciesz się to? – Spytała po chwili.

– Możesz być pewna, że tak. Mało się nasłuchałam od rodziców, że nic nie jestem warta, bo jestem „zero”, i że faktycznie jestem zero. Mój brat miał wszystko, a mnie chcieli się najszybciej pozbyć z domu. Mam okazję pokazać, że też jestem coś warta.

W głosie Weroniki pobrzmiwała gorycz. Etta dobrze wiedziała, o czym mówi.

– No dobra. A co to ma wspólnego z naszymi Towarzyszami?

Weronika obejrzała się na Rasmusa, który wymieniał właśnie jakieś informacje z Raulem. Jasnowłosey, chudy, o niepokojąco żółtych oczach i nieregularnych rysach, miał zbyt duży nos, niezgrabne ruchy i bardziej niż inne androidy przypominał coś stworzonego sztucznie. Jak na ironię był też bardziej ludzki od innych. Panna Hornet, zawodowo biocybernetyk w służbie rządowej nie tylko lubiła go, ale i szanowała, co doceniał, we wzruszający okazując przywiązanie.

– Cóż, jeśli my polecimy, to oni będą musieli zdecydować, czy lecą z nami – odparła. – Nie chcę, by potraktowano Brenta jak bagaż podręczny. Będzie musiał podjąć decyzję. Ufam, że też zostawisz Raulowi swobodę w tej kwestii.

– Ależ oczywiście. Nie umiałabym zmusić go do czegokolwiek. Nie jest ani rzeczą, ani niewolnikiem. Jest po prostu Towarzyszem. Ma swoje prawa.

– Żeby wszyscy tak myśleli... Posłuchaj, Etta: przemyśl to, co powiedziałam. Pamiętaj, że będziesz musiała zostawić wszystko, co znasz. Zgodnie z procedurą masz na to 48 godzin. Potem musisz złożyć oświadczenie na piśmie, jaką podjęłaś decyzję.

– Rozumiem.

– Zatem widzimy się za 48 godzin.

Po wyjściu Weroniki Etta długo nie mogła ochłonąć z wrażenia i wreszcie zdecydowała się na krótki spacer. Potrzebowała tego. Przebrała się i pojechała na przestrzeń publiczną – dawno temu rozdzielono strefę mieszkalną od rozrywkowo-wypoczynkowej, gdzie były umiejscowione parki, kawiarnie, wesołe miasteczka i muzea. Popularnie nazywano ją „spacerniakiem”. Ulice, na których stały domy, służyły tylko do tego, by tam mieszkać i kupować najpotrzebniejsze rzeczy w sklepach mieszczących się na parterze każdego bloku. Wszystko dzień i noc nadzorowała policja. Nie tolerowano „włóczenia się” między budynkami i takie nastawienie ukróciło przestępczość związaną z napadami i włamaniami do mieszkań.

Etta lubiła przestrzeń rozrywkową w dzielnicy Milflores. Była pięknie rozplanowana i miała wszystkie udogodnienia: park wideoplastyczny, deptak,

centrum rozrywek, liczne kawiarnie i restauracje, dansingi, siłownie, a nawet dwa kasyna. Młoda nauczycielka odwiedzała zwykle park i jedną z kawiarni, „Rigores Plaza”, w której podawano wyśmienite lody o czekoladowym smaku z wyjątkowo smacznym substytutem bitej śmietanki. Przepis na ten deser był tajemnicą firmy. W czasach, gdy naturalne składniki osiągały absurdalnie wysokie ceny, wytwarzanie sztucznych substancji smakowych stało się najbardziej dochodowym przemysłem. Wielkie sieci lokali spożywczych miały własnych dostawców, a wytwarzane specjalnie dla nich smaki chroniły dziesiątki patentów.

O tej porze dnia w „Rigores Plaza” było prawie pusto. Etta usiadła przy ulubionym stoliku, w rogu przy oknie i zamówiła „Deser lodowy szefa kuchni” – smakowitą kompozycję śmietankowych, czekoladowych i lecytynowych lodów. Świadomość, że w tej mieszance nie było ani grama składników naturalnych, nie psuła apetytu. Od dawna pokarmy naturalne były dostępne – poza szczupłymi kontyngentami – wyłącznie dla najbogatszych i wszyscy do tego przywykli. A syntetyczne lody były przepyszne i miały tę zaletę, że nie zagrażały zdrowiu ani linii.

Etta była w połowie porcji, gdy do kawiarni wszedł ktoś jeszcze, atrakcyjna blondynka w niebieskim kostiumie.

– Estrella! – zawołała. – Jak się masz?!

Nauczycielka z trudem ją poznała i niemal zakrztusiła się lodami.

– Sol! To naprawdę ty?

Sol Tarantino była jej przyjaciółką w czasach szkoły podstawowej – jako jedyna przyjaźniła się z zerówkami, takimi jak Etta i Weronika. Dawno temu zawarły nawet dziecinny „pakt krwi”, a potem matka zabroniła małej Estrelli oglądania telewizji przez cały tydzień, wściekła o zakrwawioną sukienkę... a jeszcze bardziej o skaleczony palec. Potem straciły się z oczu, a teraz Sol stała przed nią roześmiana, z utlenionymi włosami i wyraźnie poprawioną przez biegłego chirurga twarzą.

– Siadaj, co się z tobą działo?

– Ukończyłam kurs pisarski i dostałam pracę w fabryce literatury – oznajmiła Sol, wzywając skinieniem dłoni kelnerkę. – Dla mnie sorbet egzotyczny z likierem cytrynowym.

– W fabryce literatury? – Etta zmarszczyła nos. – Widziałam kiedyś takie przedsiębiorstwo. Wielka hala i setka komputerów. To przecież musi być okropnie nudne!

– Coś ty! – Przyjaciółka spojrzała na nią z politowaniem. – To świetna posada. Po prostu dostajesz temat i musisz go opracować na tylu a tylu stronach. Specjalizuję się w seryjnych powieściach kryminalnych. W zeszłym miesiącu dostałam skierowanie na staż do komendy policji, żebym mogła popatrzeć, jak pracują prawdziwi detektywi. A rok temu wysłano mnie na kurs elegancji i stylu,

żeby mogła bardziej realistycznie opisywać wyższe sfery.

– Cóż, wolę to, co robię.

Sol włożyła do ust łyżeczkę sorbetu i z przymkniętymi oczami rozkoszowała się smakiem.

– A co robisz? – Spytała po chwili. – Pamiętam, że szykowałeś się na nauczycielkę.

– I zostałam nią. Wcześniej ukończyłam studia historyczne.

– Wykładasz w college'u?

– Nie, uczę niższe klasy podstawowe.

– Naprawdę? Że też ci się chce. Nie znoszę dzieci. To dlatego nie wychodzę za mąż, zaraz musiałabym zająć w ciąży i urodzić... co za niewolnictwo.

Sol miała dwójkową kwalifikację, ale nawet jako dziewczynka wypowiadała się z całą stanowczością, że nigdy nie będzie matką. Nie mogła znieść płaczu niemowląt ani gaworzenia starszych dzieci, uciekała na sam ich widok. Nigdy nie można było jej namówić, by wzięła jakieś maleństwo na ręce, gdy z całą klasą odbywała obowiązkową wizytę w żłobku (w ramach przygotowania do życia w społeczeństwie). Nauczyciele martwili się jej nastawieniem, kierowali na konsultacje psychologiczne i terapię, rodzice pracowali nad nią całymi dniami, ale to nie pomogło. Ku ich zgryzocie w aktach córki znalazł się zapis „Nieodpowiednia do wychowywania dzieci ze względu na niestabilną strukturę psychiczną”. Mimo kwalifikacji genetycznej mogła więc zapomnieć o pozwoleniu na dziecko, z czego się zresztą cieszyła.

– Bardzo chciałabym mieć własne – westchnęła Etta. – Tyle że w przeciwieństwie do ciebie nigdy nie będę miała szansy.

– Powinnaś się cieszyć. Możesz żyć jak chcesz i robić, co chcesz.

– Niestety, nie wszystko.

– No tak, zależy co kto lubi. Jesteś samotna?

– Nie całkiem. Zamówiłam androida.

Oczy Sol zrobiły się całkiem okrągłe.

– Androida? Takiego sztucznego kochanka? Poważnie?

– Zaraz kochanka. Po prostu Towarzysza. Po to żeby mieć do kogo otworzyć usta po pracy. Równie dobrze można go nazwać substytutem brata. Nie śmieję się!

Było za późno. Sol dosłownie pękała ze śmiechu, aż nieliczni goście kawiarni zaczęli spoglądać na ich stół z zdziwieniem.

– No nie, Etta, do grobu mnie wpędzisz – wykrztusiła wreszcie, ocierając oczy. – Sztuczny konkubent... Romeo na baterię... Słyszałam o takiej perwersji, ale nie mieściło mi się to w głowie. I jaki jest w łóżku, opowiadaj!

– Och, dałabyś spokój – nauczycielka z irytacją odepchnęła pusty pucharek po lodach. – Ty to masz pytania.

– Czemu „daj spokój”? To normalne pytanie. Wiem, że nigdy nie miałaś

szczęścia do facetów, ale nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś aż tak zdesperowana. Są przecież centra randkowe, salony odprężenia, po co sprowadzać sobie do domu takie coś?

Etta nabrała powietrza i policzyła w myślach do dziesięciu. Sol nic nie rozumiała, ale nie była to jej wina, przecież ktoś, kto nigdy nie miał do czynienia z androidem z reguły miał o sztucznej inteligencji mylne wyobrażenie. Ludzie widzieli w androidach jedynie maszyny, tylko Dominanci i cybernetycy wiedzieli, że są istotami, że naprawdę myślą samodzielnie i mają osobowość. W oczach Sol wyglądało to zapewne tak, jakby dawna przyjaciółka przyznała się właśnie do romansu z odkurzaczem.

– Nie mówmy o tym – powiedziała w końcu. – Pewnie nie możesz narzekać na brak męskiego towarzystwa?

– E, tam. Nie bawię się w długie znajomości. Wolę niezobowiązujące randki, bo jak jesteś z jakimś facetem trochę dłużej, to zaraz zaczyna sobie wyobrażać, że do niego należysz i próbuje dyktować, jak żyć. Mam czasem wrażenie, że mężczyźni nie zmienili się od epoki jaskiniowej.

Sol wzruszyła ramionami i zamówiła jeszcze jedną porcję sorbetu, z dodatkową porcją bitej śmietany. Uwielbiała ją.

– A co słyhać u twego brata? – spytała Etta. Brendan Tarantino cierpiał na wiał rdzenia kręgowego i choć lekarze robili, co mogli, choroba powoli go niszczyła. Nawet najbardziej nowoczesne leki nie były w stanie całkowicie powstrzymać jej rozwoju. Nikt nie wiedział, czemu młody chłopak o dobrym genomie tak nagle zachorował na coś ekstremalnie rzadkiego. Według danych medycznych w całym kraju był zaledwie szóstym takim przypadkiem w przeciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie zmieniało to jednak faktu, że opracowana przez najlepszych lekarzy terapia mogła jedynie spowolnić rozwój strasznej choroby, która czyniła Brendana coraz bardziej i bardziej zależnym od pomocy rodziny.

– W zeszłym roku poprosił o eutanazję – powiedziała Sol. – Nie miał siły na dłuższą walkę.

– Och, strasznie mi przykro.

– Mnie nie. Ostatni rok był prawdziwą tragedią i to dla wszystkich. Opiekowaliśmy się Brendanem na zmianę, nie chcąc zostawiać go na łasce obcych ludzi i to było okropne. W końcu trzeba było wszystko przy nim robić, jak przy dziecku. Wiem, jak to zabrzmi, ale ucieszyło mnie, że umarł, nim zdążyłam go znienawidzić. Został w mej pamięci jako dobry i kochany brat, nie jako kula u nogi.

Etta pokiwała głową ze zrozumieniem. Sama nigdy nie była w takiej sytuacji, ale słyszała o nich. Zgodnie z obowiązującym sposobem myślenia absorbowanie rodziny swoją osobą było w jak najgorszym guście. Nieuleczalnie chorzy, którzy nie chcieli poddać się eutanazji, dobrowolnie przenosili się do państwowych

hospicjów, jednak takich było niewielu – już dawno temu ludzie przestali obawiać się śmierci. Znacznie bardziej bali się utraty niezależności i niemożności samodzielnej egzystencji, nie chcieli czuć, że są ciężarem dla rodziny, że w czymś ją ograniczają. Wybierali eutanazję, która pozwalała godnie i bezboleśnie odejść z tego świata i to w wybranym przez nich momencie.

– Tak czy inaczej, przykro mi – powiedziała.

– Mnie wbrew pozorom też na początku było – przyznała z ociąganiem jej rozmówczyni. – Naprawdę go kochałam. On jeden nigdy nie nazwał mnie brzydulą. Nawet mama tak do mnie mówiła. W porównaniu z tobą wyglądałam jak kopciuszek. Wiesz, może dlatego tak mnie zdziwiło że wzięłaś sobie androida. Zawsze byłaś ładna, takie jak ty nie mają problemów ze znalezieniem chłopaka.

– Nie mów tak, kochanie! Nigdy nie uważałam że jesteś brzydka, a poza tym najważniejsze jest przecież, kto co ma w głowie.

Sol parsknęła lekceważąco.

– Bzdura! Co by nie mówić, każdy patrzy na twoje nogi i buzię, nie na to, co masz w głowie. Przekonałam się o tym. Gdy tylko uskładałam na operację plastyczną i pojawiłam się w pracy z nową twarzą, zaraz zaczęłam dostawać lepsze zlecenia, a szef postanowił wysłać mnie na delegacje twórcze. Przedtem siedziałam w ciemnym kącie i pisałam artykuły na ostatnią stronę do bzdurnych tygodników. Tak więc nie mów, że uroda się nie liczy.

Ta rozmowa przygnębiła Ettę. Jako nauczycielka klas podstawowych miała między innymi wpajać dzieciom poniżej dziesiątego roku życia ocenę świata i tego, co naprawdę jest ważne. Była oddana pracy całym sercem i wierzyła w jej wagę. Sol uświadomiła jej, że nie wszystko, czego uczy, ma pokrycie w rzeczywistości i że jest to przykry fakt. Choćby się sto razy powtarzało, że najważniejsze, co kto ma w środku, to ludzie obdarzeni urodą i tak będą mieli łatwiej w życiu. Przecież i Towarzysze byli projektowani tak, by cieszyli zmysł estetyczny. Raul też był piękny, takim go zamówiła. Natura człowieka sprawia, że lubi ładne twarze i zgrabne postacie i nawet jeśli tego nie chce, jego podświadomość skłoni go do przychylności wobec tych, którzy są obdarzeni miłą dla oka powierzchownością.

– Nie, nie całkiem – zdecydowała po chwili. – Mówią, że jestem ładna, ale co z tego, skoro genetycznie jestem tylko odpadem bez znaczenia? Tylko on nie zwraca na to uwagi, mój Towarzysz.

I postanowiła, że zgodzi się na propozycję przyjaciółki. Skoro Ziemia nie mogła jej niczego ofiarować, lepiej było wszystko zostawić i ruszyć w nieznaną. Z Raulem.

* * * * *

– Ale to wszystko były tylko półśrodki – mówiła Etta. – Prawdziwie skuteczna walka o środowisko naturalne zaczęła się w dniu uchwalenia Prawa

Irwina. Było to pierwsze tak restrykcyjne prawo w dziedzinie ochrony przyrody, zezwalało bowiem na egzekucję na miejscu każdego kłusownika oraz niezależnie od tradycyjnej odpowiedzialności karnej bezwzględna konfiskatę dóbr osoby, której udowodniono handel chronionymi gatunkami.

To była ostatnia lekcja, jaką prowadziła. Przyglądając się klasie zastanawiała się, czy czasem nie zwariowała, przyjmując propozycję Weroniki. Lubiła swoją pracę, lubiła ustabilizowane życie, a teraz miała to wszystko rzucić? Jednak z drugiej strony przyjaciółka zaoferowała jej możliwość przeżycia wspaniałej przygody, o której nawet nie marzyła. Nie potrafiła zrezygnować z tej możliwości, choć wiązało się to z bolesnymi wyrzeczeniami. Na przykład, musiała pożegnać się ze szkołą.

– No, no, spokojnie – zganiła samą siebie. – I tak pożegnałabyś się z nimi najpóźniej w przyszłym roku, a na ich miejsce przyszłaby następna klasa pięcio-sześciolatek. Tak to już jest, gdy pracuje się w szkolnictwie.

Mimo niewątpliwej słuszności tego rozumowania, czuła żal. Nie mogła nawet pożegnać się z podopiecznymi tak serdecznie, jak by chciała – według procedury dzieci musiały uważać, jak wszyscy inni, że nauczycielka wyjeżdża tylko na kilka dni, a potem wróci. Ostrożność posunięta aż do obłędu, ale miała uzasadnienie. W ten sposób unikało się wszelkich niespodzianek i niepokojów społecznych. Czasy powszechnego dostępu do informacji były czasami chaosu, a obecnie społeczeństwo stało się uporządkowaną strukturą, której zaburzenie traktowano jak zbrodnię stanu. Nikt nie pragnął powrotu tego, co było kiedyś. Ludzkość otrzymała aż nadto bolesną lekcję i, na szczęście, umiała wyciągnąć właściwe wnioski.

– Kochane aniołki, muszę teraz się pożegnać – zaczęła Etta, starając się nadać głosowi ton możliwie lekki. – Okoliczności zmusiły mnie do wyjazdu, jadę do Nowego Orleanu, więc nie będzie mnie kilka dni.

– A pani leci, czy jedzie pod ziemią? – pisnęła Jodie. – Ja wolałabym lecieć, można popatrzeć na lasy i góry.

– Można też zlecieć i zabić się na śmierć – zauważył ponuro Esteban.

– Esteban! – Etta postukała w stół. – Nie strasz kolegów. Takie wypadki są bardzo rzadkie. Nie, kochani, pojedę ciągiem podziemnym. Jest dużo taniej, a ja nie zarabiam zbyt wiele i muszę spłacać raty za Raula.

– Pojedzie z panią?

– Oczywiście, że tak. Zawsze mi towarzyszy.

– A kiedy pani włóci? – zapytał żałośnie Waylon. Nie spuszczał z Etty okrągłych oczek – miała wrażenie, że coś przeczuwa.

– Już mówiłam, za parę dni – skłamała gładko. – Zastąpi mnie pan Yamato. Na pewno go polubicie, to taki miły młodzieniec.

– Ale to nie pani – powiedziała cicho Anissa. Szerokie, zawsze skore do

śmiechu usta dziewczynki wyginały się niebezpiecznie w dół i Etta poczuła, że jeszcze chwila, a sama się rozpłacze.

– Nie możecie tak myśleć! – zawołała pospiesznie, siląc się na beztroski ton.
– Jeśli nie będziecie poznawać nowych ludzi, zrobi się nudno! A teraz, żeby nie było wam smutno, zagramy w zgadywanki. Co jest całe białe, różowe i niebieskie?

Dopiero w drodze do domu młoda nauczycielka pozwoliła sobie na parę łez, choć tak naprawdę nie było jej aż tak smutno. Wiedziała, że będzie tęsknić za tymi dziećmi, to było nieuniknione, jednak perspektywa tego, co ją czekało, była tak kolorowa, tak bardzo pociągająca.

W domu czekał Raul z dwiema spakowanymi walizkami. Zgodnie z wytycznymi mieli zabrać tylko to, co najważniejsze, by nie budzić niczyich podejrzeń. Reszta miała zostać tutaj, w ich przytulnym mieszkaniu tak, jakby mieli zaraz wrócić, choć najbardziej prawdopodobne było to, że nie wrócą nigdy. Etta sprawdziła, czy wszystkie systemy zostały prawidłowo zamknięte, za wyjątkiem systemu nawadniającego roślin naokiennych – ten miał działać niezależnie od wszystkiego – po czym razem z Raulem zeszła na dół, gdzie czekała smukła limuzyna publicznego ruchu. Przez chwilę młoda nauczycielka czuła ucisk w gardle, ale po użyciu inhalatora opti udało się jej opanować łzy. Siląc się na pewność siebie zajęła miejsce obok spokojnego jak skała Raula. Zauważyła, że android przypatruje się jej z ukosa, tak jakby zauważył coś niezwykłego. Jednak nic nie powiedział. Jak większość androidów, raczej milczał niż mówił, chyba że miał do powiedzenia coś konkretnego.

IV.

Ośrodek Doboru Kadry był zlokalizowany poza miastem, co samo w sobie było ewenementem na skalę światową i świadczyło o powadze przedsięwzięcia. Nikt niepowołany nie tylko nie mógł tam wejść – nikt nawet nie miał szansy, by dowiedzieć się o istnieniu placówki, odseparowanej od całego cywilizowanego świata. Sam Ośrodek był niczym małe miasteczko, wyposażone w sale treningowe, centralną przychodnię oraz instytut naukowy, do którego zaproszono Ettę dopiero po gruntownym przebadaniu jej przez biegłego internistę oraz psychiatrę. Nie respektowano tu karty S. Wszystkie badania musiały być zrobione na nowo, w tym

także testy na wytrzymałość, którym nigdy jej dotąd nie poddawano. Dopiero gdy zespół trzech lekarzy podpisał certyfikat przydatności, mogła odpocząć w przydzielonej kwaterze. Raul zdążył już przygotować łóżko, co przyjęła wdzięcznym sercem, była bowiem zupełnie wykończona po tym dniu pełnym wrażeń. Nie chciała nawet jeść, położyła się po prostu i zasnęła kamiennym snem. Dopiero następnego dnia wzięła kąpiel i po dobrym śniadaniu postanowiła zwiedzić okolicę. Co prawda miała na ten dzień naznaczone spotkanie w biurze Głównego Koordynatora, ale dopiero na popołudnie, nie było więc do czego się spieszyć. Przespała się, potem wzięła prysznic i zjadła niewielkie śniadanie. Potem zabrała Raula i wyszła, żeby zwiedzić kompleks.

Ośrodek był ładnie rozplanowany, w centrum znajdował się nawet niewielki park ze stawem, po którym pływały lilie wodne. Ettę zaskoczyła konstatacja, że staw jest prawdziwy, podobnie jak rośliny wodne i trawa, która porastała brzegi. Czegoś takiego nie widywało się codziennie, nawet w bogatszych dzielnicach. Parki były projektowane i wykonywane przez wideoplastyków. Piękne, higieniczne i całkowicie bezpieczne cieszyły oczy spacerujących mieszkańców, ale nie były prawdziwe i każdy zdawał sobie z tego sprawę. Tutaj było zupełnie inaczej.

Nad wodą bawiło się kilkoro dzieci w różnym wieku. Ich widok przypomniał młodej nauczycielce jej klasę, odwróciła się więc i podeszła do wielkiego, automatycznego kiosku, wyglądającego jak pionowa, płaska gablota, podzielona na małe okienka. Te przegródki zawierały nie tylko ładnie opakowane ciastka czy napoje – były tam też zegarki, drobna elektronika, biżuteria, zabawki dla dzieci... Z boku widniał panel prasomatu z klawiaturą wyboru gazety i osobnym gniazdkiem opłatowym. Etta skorzystała z okazji, by kupić nowy numer „Timesa” i właśnie kończyła ściąganie gazety na notebook, gdy od strony stawu rozległ się rozpaczliwy krzyk. Pospiesznie wyszarpnęła wtyczkę interfejsu z gniazdka i zawróciła nad wodę, akurat w czas, by zobaczyć, jak Raul wynosi na brzeg ociekające wodą, roztrzęsione dziecko.

– Co się stało?! – Zawołała.

– Wpadł do wody – wyjaśnił jej Raul. – Nie umie pływać.

Nie wiadomo, skąd pojawiła się młoda kobieta w drogim, dobrze skrojonym kostiumie i chwyciła przemoczone do suchej nitki dziecko w ramiona.

– Odwróciłam się tylko na moment, słowo daję, a ten zniknął – wykrztusiła.

– Timmy, mój mały skarbie, jak mogłeś...? Och, dziękuję pani!

– To nie mnie – zaprotestowała Etta. – To Raul wyciągnął pani synka ze stawu.

– Ale to pani mu kazała...

– Myli się pani. Byłam przy kiosku. Nawet nie wiedziałam, że pani dziecko wpadło do sadzawki. Raul sam podjął decyzję, jak działać.

Młoda matka wciąż przyciskała do siebie dziecko, które odzyskało już

animusz i wierciło się, usiłując odzyskać swobodę ruchów. Oboje byli bardzo do siebie podobni – jasnowłosi, nieco piegowaci i drobnej kości. Jedynie oczy kobiety były szarzielone, nie brązowe jak chłopca. Spojrzała na nieruchomego androida, a na jej twarzy odbiła się wyraźna rozterka.

– Czy on nie ma takich spraw w programie? – spytała.

– Nie. Widzę, że nie zna pani ogólnej teorii androidów i nie wie, że ma pani do czynienia nie ze skomplikowanym mechanizmem, a świadomą istotą. Raul, powiedz, czemu zrobiłeś to, co zrobiłeś?

– Zagrożenie życia, konieczna interwencja. Człowiek nie może żyć w wodzie. – Odpowiedział Towarzysz łagodnym, miękko modulowanym głosem.

– To jest dziecko. Czy wiesz, co to dziecko? – Pytała dalej Etta.

– Dziecko to protoczłowiek

– Protoczłowiek?

– Człowiek... który jest... który jest... mały.

– Mały, to znaczy niski?

– Nie. Mały... nie całkiem taki jak trzeba... niewyrośli. Nierozwinięty. Protoczłowiek. Ochrona szczególna. Czy zrobiłem coś niewłaściwego?

– Ależ przeciwnie. Zachowałeś się wspaniale, chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego.

Nastąpiło długie milczenie. Android wyraźnie szukał słów, które mógłby dopasować jakoś do sytuacji, ale okazało się to ponad jego możliwości.

– Nie wiem – rzekł wreszcie. – Bo tak było trzeba?

Etta spojrzała na kobietę, wciąż tulącą przemoczonego chłopczyka.

– Właśnie. Nie jest pewny – powiedziała. – Takich rzeczy nie ma w żadnym programie. Niech pani przebierze małego, zanim się przeziębą. Raulowi to nie grozi, ale jemu jak najbardziej.

Kobieta wyciągnęła rękę.

– Jestem Oksana Nikołajewna Wysocka, mikrobiolog – przedstawiła się. – Musimy się jeszcze spotkać. Proszę obiecać, że się spotkamy.

– Ależ oczywiście – zapewniła ją Etta, tłumiąc lekkie rozbawienie. – Estrella Solis, historyk i archiwistka wyprawy. Chętnie jeszcze spotkam się z panią i... Timmy'm?

– Ma na imię Timur. Po ojcu: Timur Gongadze.

Mimo wszystko Etta dopilnowała, żeby Raul zmienił ubranie na suche. Chociaż trudno było oczekiwać, by android zachorował z powodu kąpieli, dziwnie się czuła, gdy szedł obok w mokrym odzieniu. Wkrótce musieli się rozstać, gdyż zbliżał się czas spotkania z Głównym Koordynatorem Migracji, a właściwie zebrania i zaznaczono, że dotyczy wyłącznie ludzi. Etta odesłała Raula do kwatery, a sama poszła do centrum biurowego.

W sali konferencyjnej powitał ją mężczyzna w sile wieku, jasnowłosa, z

wyjątkiem skroni, jakby lekko przyprószonych szronem. Prawie nie było tego widać, ale wystarczyło przyjrzeć się dobrze, by dostrzec siwiznę. Zdawało się, że jest ona jest wynikiem jakichś życiowych trosk, gdyż twarz miał zadziwiająco młodą, pozbawioną zmarszczek i błyszczące energią, intensywnie niebieskie oczy. Jego rysy były dość łagodne, bez żadnego mocniejszego akcentu, ale mimo to nie robiły wrażenia zniewieściałości – w jakiś sposób były męskie i zdecydowane. Gdy siedział, wydawał się wysoki, ale gdy wstał na powitanie Etty, zauważyła, że jest zaledwie średniego wzrostu, niewiele wyższy od niej. Działo się tak dlatego, że był dobrze zbudowany, muskularny i zgrabny, chociaż, jak oceniła dziewczyna, miał trochę zbyt krótką szyję i za szeroki kark. Nie psuło to jednak dodatniego wrażenia, podkreślonego przez doskonale skrojony wojskowy mundur.

– Witam panią – powiedział serdecznie, ściskając silnymi palcami jej małą dłoń. – Kapitan ekspedycji Kirk Willner. Czy mam przyjemność z przyszłą archiwistką wyprawy?

– Tak mi się wydaje – odparła Etta, nieco spłoszona wylewnym powitaniem.

– Tak, mam być statystykiem, archiwistą i kronikarzem wyprawy, cokolwiek to znaczy. Czy pan też jest Koordynatorem?

– Nie, skądże. Koordynator zaraz się zjawi. Również kilku innych. Jest wiele do omówienia przed startem.

– Przed startem? To znaczy, że to już niedługo?

– Ależ nie, proszę się nie denerwować. Jeszcze czas, ale proszę przygotować się na wiele takich narad. Chyba orientuje się pani w skali przedsięwzięcia?

Etta skinęła głową bez słowa. Im dłużej nad tym myślała, tym dobitniej uświadamiała sobie, że bierze udział w czymś bez precedensu – w porzuceniu przez ludzi macierzystej planety. Nie w czasowym przesiedleniu, jakiemu podlegali onegdaj na przykład ci, którzy brali udział w eksperymentalnym, księżycowym górnictwie, ale w porzuceniu na dobre. Z drugiej strony, pierwsi koloniści docierający do dalekich lądów na drewnianych żaglowcach, musieli mieć podobne odczucia. Tak samo porzucali swój świat i wszystko, co znali, na rzecz niewiadomego i nigdy nie widzianego. W porównaniu z nimi dzisiejsi koloniści mieli nawet pewien komfort – wiedzieli przynajmniej, jak wygląda miejsce, w które ich wysyłają.

Tymczasem do sali konferencyjnej zaczęli schodzić się inni – w sumie było sześciu mężczyzn i pięć kobiet, wszyscy z plakietkami, określającymi funkcję w przyszłej wyprawie. Wyglądali na spiętych i onieśmiałych, poruszali się sztywno, nie wiedzieli, gdzie usiąść. Etta nie знаła żadnego z nich – dopiero co poznany kapitan nagle stał się jedyną osobą niezupełnie obcą w tej wielkiej sali. Nagle pożałowała, że nie ma przy niej Raula, który został w przydzielonej kwaterze.

Gdy wskazówka staroświeckiego zegara dotknęła godziny piętnastej, wewnętrzne drzwi rozsunęły się i do sali wszedł postawny mężczyzna o rudych, kędzierzawych włosach, ubrany w oficjalny strój – białą koszulę z wysoką stójką, którą spinał pod szyją metalowy znak instytutu, dla którego pracował i czarny, dopasowany do figury garnitur z matowego materiału. Za nim szła Weronika, sztywna i oficjalna jak on. Miała na sobie podobny mundur, co kapitan Willner, jedynie lepiej dopasowany do figury – była to wyraźnie wersja żeńska. Etta dopiero teraz zwróciła uwagę na materiał, z którego oba były uszyte. Był to bernit, najwytrzymalsze tworzywo „płótnopodobne”, jak go określano – niepalne włókno, o właściwościach termoregulacyjnych, zdolne do błyskawicznego zmienienia struktury molekularnej pod wpływem przyłożenia siły kinetycznej. Jednym słowem, pochłaniając energię zderzenia działało jak przez moment jak tarcza i mogło powstrzymać nawet nowoczesne pociski. Nie wiedziała nic o jego składzie czy sposobie produkcji – podobne informacje nie były ogólnodostępne – ale sam materiał widywała.

– Wybaczenie spóźnienie, zostałem wezwany do centrali – powiedział Główny Koordynator. – Zaczynamy. Nazywam się Kurt Nakamara. Większość z was nie zna ani mnie, ani siebie nawzajem, jednak na zawarcie znajomości mamy czas. Jest was na razie... trzynaścioro, ale będzie o wiele więcej. Wszyscy, jak tu jesteśmy, należymy do jednej grupy: pionu administracyjnego wyprawy migracyjnej. Jest to pierwsza wyprawa kolonizacyjna poza Ziemię. Początkowo, jak państwu wiadomo, planowano zasiedlić planetę Mars, ale próby uruchomienia tego, co nazwano „uśpionym ekosystemem”, okazały się katastrofą. Zwiększenie grubości atmosfery, konieczne dla naszych celów, zaowocowało nieoczekiwanym wzrostem temperatury powierzchni i stopiona woda z biegunów wytworzyła środowisko przypominające wysokoprężną łaźnię parową. Mimo ponawianych wysiłków nie udało się opanować tej sytuacji. Tymczasem Enceladus okazał się stosunkowo łatwym obiektem do uporządkowania. Pracujące na jego powierzchni automaty zdołały same, bez modyfikacji programu, nasycić atmosferę dwutlenkiem węgla i wysiać ziemskie rośliny, które w ciągu ubiegłego wieku podniosły procent tlenu w atmosferze Enceladusa do wymaganych 20%. Wytworzona sztucznie warstwa ozonowa utrzymuje promieniowanie na powierzchni w granicach tego, które mamy na Ziemi, a znajdujący się na wysokiej orbicie stos atomowy dostarcza niezbędnej energii i w zasadzie zastępuje słońce. Wysłane z ostatnim transportem androidy badawcze zebrały dla nas dane, które potwierdziły, że prace, mające na celu przygotowanie kolonii zostały ukończone pomyślnie. Pamiętajmy, że to tylko tymczasowa kolonia! To dopiero pierwszy krok, moi państwo. Później ludzkość ruszy do gwiazd, opuszczając na zawsze swój układ słoneczny.

Jesteśmy wybrańcami, którzy będą przewodzić kolonistom. Centrala wymaga od nas wielu rzeczy, ale najważniejsze to bezwzględne opanowanie i w

każdej sytuacji stawianie dobra kolonii ponad dobro własnej osoby. Profil psychologiczny każdego z was wskazuje na takie możliwości i dlatego będzie się tego od was wymagać. Bezwzględnie. Koloniści będą dla was niczym dzieci, zależne od was i waszych decyzji. Nie wolno wam ulegać emocjom i to nie od chwili startu, a już teraz.

Przerwał na chwilę i powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– Jesteście w przeważającej części zerowcami – podjął po chwili. – Wielu z was ma Towarzyszy. Patrzcie na nich i naśladujcie ich beznamietność. Poza tym androidy również są przewidziane do specjalistycznego szkolenia tak, by mogły być pomocne w sytuacjach zagrażających ludziom. Panno Solis, pani Towarzysz, jak się zdaje, wyratował dziecko z sadzawki?

Etta odruchowo poderwała się z miejsca.

– Tak – odpowiedziała. – Raul jest bardzo opiekuńczy w stosunku do istot organicznych. Nie wiem, czy taka jest cecha wszystkich androidów, czy też jest unikatem.

Z drugiego końca sali rozległ się krótki, powstrzymywany śmiech.

– Pani wybaczy – odezwał się chudy mężczyzna o krótko przystrzyżonych, ciemnoszarych włosach. Garnitur wisiał na nim luźno i nieporządnie, choć był w dobrym gatunku. Długą, mizantropijną twarz pokrywał dwudniowy zarost. Sprawiał wrażenie, jakby nie pasował nie tylko do ubrania które miał na sobie, ale w ogóle niczego, a już najmniej do tej sali.

– Jestem MacLean O’Leary, specjalista w dziedzinie rozumu nieorganicznego i główny cybernetyk ekspedycji. Przepraszam, że się wtrącam, ale... każdy android, każdy! Jest unikatem. Nie ma dwóch jednakowych, a na dobrą sprawę nawet podobnych.

– Dziękujemy za wykład, doktorze, ale nie omawiamy teraz szczegółów technicznych – rzekł karcąco Główny Koordynator. – Utworzenie z androidów drużyny pomocniczej jest jednym z punktów planu i dlatego każde z was, które przyjechało z Towarzyszem, musi porozmawiać z nim teraz o wynikającej z tego odpowiedzialności i czekającym go szkoleniu.

– Czy zostaną nam odebrani? – spytała ostro drobna kobieta, siedząca obok Etty.

– Nie, oczywiście, że nie, pani Wang. To w ogóle nie wchodzi w grę. Jednak będą mieli osobne szkolenie, podczas gdy wy będziecie przechodzić własne.

Zebrałem tu państwa po to, żeby uświadomić wam to, co najistotniejsze: to mianowicie, że nie uczestniczycie w ćwiczeniach ani w zabawie. Naprawdę polećcie na inny glob i będziecie musieli zmierzyć się ze sprawami, o których nasze społeczeństwo nie ma pojęcia.

– Ile potrwa lot? – spytała blondynka w dobrze skrojonym kostiumie, siedząca w pierwszym rzędzie krzeseł.

– Cztery miesiące, pani Lavell. Ponieważ nie będziemy lecieć jednym statkiem, a kawalkadą, nie będzie można rozwinąć większego przyspieszenia.

– Dlaczego kawalkadą?

– Z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, zbudowanie niewielkiej floty okazało się łatwiejsze, niż budowanie jednego dużego statku. Po drugie, tak jest bezpieczniej, bo w razie katastrofy tracimy jeden statek i część kolonistów, nie wszystko i wszystkich.

– Cztery miesiące... dla pojedynczego statku, jak rozumiem, nawet krócej, to znaczy, że łączność z Ziemią będzie utrzymana, prawda? – Zapytał doktor O’Leary.

– Jak najbardziej. Co najmniej raz na rok kolonię odwiedzi statek z zapasami, o które poprosimy, prasą i listami. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Kiedy lecimy? – spytał ktoś z tyłu.

– Cierpliwości. Dokładny termin zostanie podany w swoim czasie. Na razie wszyscy muszą odbyć przewidziane w regulaminie szkolenie. Moja asystentka rozda państwu przydziały i bardzo proszę pilnować terminów zaliczenia. Termin następnego spotkania poznacie we właściwym czasie, na razie dziękuję państwu za przybycie i do wieczora wszyscy macie wolne. Radzę wykorzystać ten czas, gdyż nie będzie wiele takich popołudni.

V.

– Gadaj – Etta pociągnęła niecierpliwie Weronikę za rękaw. – Czemu masz mundur z bernitu? O co chodzi z tą asystentką?

– Powoli – Weronika zamówiła dla nich po kawie i ciastku, i dopiero usiadła. – Rozumiem, że cię to dziwi, ale na razie tak musi być. Dla wszystkich jestem asystentką i jednocześnie ochroniarzem Głównego Koordynatora. Nikt nie może wiedzieć nic więcej, więc mnie nie zdradz.

– O to możesz być spokojna, znamy się nie od dziś, ale o co w tym chodzi?

Weronika upiła łyk kawy i rozejrzała się nieznacznie. W kawiarni było dość pusto, nikt się im nie przyglądał.

– Istnieje frakcja przeciwna wyprawie – rzekła wreszcie cicho. – Obawiamy się sabotażu. Miej oczy i uszy otwarte i jakby co, możesz skontaktować się ze mną o każdej porze dnia i nocy.

– Aż tak?

– Nie wiem, czy aż tak. Niewiele wiemy. Może te wszystkie środki ostrożności są na wyrost i oby tak było, ale jeśli nie, sama rozumiesz, to musimy być przygotowani.

– Czemu ktoś miałby być przeciwny wyprawie? – Spytała, machinalnie obracając w dłoni łyżeczkę. Nagle ciastko przestało jej smakować.

Weronika przygryzła lekko dolną wargę.

– Uważają, że to niepotrzebne narażanie ludzi. I że i tak nic z tego nie będzie, bo kolonia sama się nie wyżywi i musi wymrzeć. Podejrzewając też jakiś spisek rządowy.

Etta poczuła, że przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Przy obecnie stosowanych metodach policyjnych przestępstwa były raczej rzadkie, gdyż po prostu nikomu się nie opłacały, jednak zdarzały się czasem. I to nie tylko takie, jak nielegalne urodzenie dziecka czy bezprawne wejście na tereny zielone, no, ewentualnie jakieś drobne kradzieże czy awantury, choć media publiczne dokładały wszelkich starań, by ludzie wierzyli, że inne zbrodnie praktycznie nie istnieją. Jednak istniały w najlepsze, jak zawsze, jedynie nie były nagłaśniane, jak kiedyś.

– Jak myślisz, co może się stać? – Spytała z lękiem.

– Mam nadzieję, że nic. Możliwe, że to obawy na wyrost. Ale sama rozumiesz.

Do kawiarni wszedł wysoki mężczyzna. Z powodu przyćmionego światła Etta dopiero po chwili poznała, że to Rasmus-Brent w mundurze, podobnym do tego, który miała na sobie Weronika. Wyglądał w nim bardzo godnie i bardzo po ludzku.

– Kiedyś czytałam starą książkę o androidzie, który najbardziej w świecie pragnął upodobnić się do ludzi – pomyślała Etta i dopiero po chwili zorientowała się, że wypowiedziała tę myśl głośno. Zaczerwieniła się. Wstydziła się trochę podobania do starych książek, do zatopionych w cieniutkim plastiku pożółkłych kartek, o tyle bardziej niewygodnych niż małe chipy pamięci i uniwersalne czytniki. Pomyśleć, że kiedyś ludzie mieli tylko to – papierowe książki o nawet nie zabezpieczonych plastikami kartkami! To nie mieściło się w głowie. Jak można było trzymać w domu książki o stronicach z pulpy drzewnej, doskonałym środowisku dla rozwoju bakterii, grzybów i roztoczy? Dawniejsi ludzie nie mieli pojęcia o higienie.

– To bzdura. Androidy nigdy nie pragną tego, co niemożliwe, to wbrew ich logice – Weronika uśmiechnęła się do Rasmusa. – O co chodzi, Brent?

– Dzień dobry, panno Solis. Przepraszam, że przeszkadzam, Weroniko. Chcę tylko powiedzieć, że musisz podpisać plan szkolenia drużyny androidzkiej – odpowiedział Rasmus. – A pułkownik Nakamara oczekuje na pani raport w sprawie stanu przygotowań do realizacji podpunktu C harmonogramu przedwstępnego.

– No tak. Powiedz pułkownikowi, że zaraz będę – Weronika podniosła się z krzesła i odstawiła filiżankę na blat stołu. – Wybacz, Etta. Mam tu urwanie głowy.

– Jasne, idź. Jeszcze na pewno znajdziemy dla siebie jakąś chwilkę.

Etta uśmiechnęła się pokrzepiająco do przyjaciółki. Po jej odejściu jednak posmutniała i oparła głowę na rękach. Nigdy dotąd nie myślała o przestępcach, zbrodniach i tym podobnych rzeczach. Wychowała się w przekonaniu, że życie jest obecnie bezpieczne i policjanci mają tylko pilnować, by ktoś, kto nagle dozna zachwiania emocjonalnego, nie zrobił sobie krzywdy, pokazywać drogę lub sprawdzać coś, co wyda się komuś niezwykle lub niepokojące. Wiedziała, że mają szerokie uprawnienia, jeśli chodzi o kontrolę i zatrzymania, ale tak przecież musiało być. Jak mawiano w szkole, przedział wolności osobistej każdego obywatela był dość ograniczony w porównaniu z tym, co było kiedyś, jednak to dzięki temu ludzkość w ogóle podzwignęła się z potwornej katastrofy, jaką była zapaść ekologiczna planety. A teraz dowiaduje się, że zbrodnia jako taka istnieje nadal, tylko informacja na jej temat jest blokowana. O zagrożeniu z kosmosu też mało kto wie. Czego jeszcze ludziom się nie mówi?

Rozmyślania Etty przerwało delikatne trącenie w ramię. Podniósłszy głowę zobaczyła Raula, przebranego w taki sam mundur, jaki miał na sobie Rasmus.

– Wojskowy patrol zatrzymał mnie na ulicy i kazali to założyć – powiedział android. – Czemu są tu grupy militarne nacisku?

– Niech ci wystarczy, że tak musi być – westchnęła Etta, wstając od stolika. – Nigdy nie myślałam, że zobaczę z bliska jakiegoś żołnierza, ale to wojsko organizuje migrację, a cywilne siły naukowe są pod jego kontrolą. Nie pytaj, czemu, niewiele jeszcze wiem. W każdym razie nie tylko mnie czeka tu surowe szkolenie, ciebie też. Zostaniesz, jak się zdaje, kimś w rodzaju ratownika.

Raul milczał przez chwilę, jak zawsze, gdy usłyszał coś niespodziewanego.

– Czy to znaczy, że będę musiał cię zostawić? – Spytał wreszcie.

– Na szczęście nie. Nie dopuściłabym zresztą do tego.

Etta miała wrażenie, że gdyby mimika androidów była lepsza, ujrzałyby na twarzy Raula wyraz ulgi. Postanowiła, że przy najbliższej wypyta doktora O’Leary’ego, jak mają się sprawy z psychiką androidów. Nie miała wątpliwości, że na ten temat prowadzone są szczegółowe badania, choć ich wyniki nie są ogólnodostępne.

– Niech pani nie doszukuje się w androidach duszy. To tylko sztuczne twory, a resztę załatwia fakt, że jesteśmy wszyscy wzrokowcami. Gdyby chemicznie wspomagane mózgi miały inne opakowanie, na pewno nie przyszło by pani do głowy, by traktować ich jak ludzi – powiedział kiedyś dyrektor szkoły, w której pracowała. Jednak nie mogła oprzeć się myśli, że Raul to nie tylko skomplikowane obwody i wypełniacze plastyczne, udające żywe tkanki. Nie, to było coś więcej. Według niej był istotą, nieważne, że stworzoną sztucznie. Istotą. Żeby jednak to zrozumieć, trzeba było mieszkać z androidem dzień i noc, obserwować przy codziennych czynnościach, rozmawiać. Większość ludzi nie miała okazji ani też chęci na poznawanie sztucznej inteligencji. Oprócz cybernetyków coś więcej wiedzieli o androidach tylko Dominanci oraz lekarze ze szpitali, w których pracowały AM – androidy medyczne, przeważnie „pielęgniarki praktyczne”, jak je nazywano. Reszta społeczeństwa nie miała pojęcia, czym właściwie są sztuczni towarzysze człowieka, a Dominantów często traktowano z pobłażliwą ironią. Ot, nieszczęśliwi frustraci, którzy niczym samotne dziecko muszą mieć lalkę, gdyż nikt żywy nie chce się z nimi zadawać.

– Jeszcze kilkadziesiąt lat, a sposób myślenia się zmieni – pocieszyła się Etta. Naprawdę w to wierzyła. W końcu historia androidów jako Towarzyszy była bardzo krótka. Ledwie pięćdziesiąt lat wcześniej skonstruowano pierwszego, w pełni niezależnego androida, a dopiero od dwóch dekad można było zamawiać ich jak buty na miarę. Wtedy dostały licencję pierwsze manufaktury, mogące wyczarować partnera snów dla każdego, kto miał na to pieniądze. Duże pieniądze, ale możliwe do zdobycia choćby w postaci kredytu bankowego. Od czasu

uchwalenia odpowiedniej ustawy ludzie o zerowej klasyfikacji mieli nawet poważny rabat, wyrównywany z kasy państwa. Samobójstwa z samotności od razu stały się rzadsze.

– Nie – szepnęła. – Gdyby mieli cię odebrać, walczyłabym na śmierć i życie. Nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy.

W ciągu następnych dni nie było czasu na życie towarzyskie. Cały dostępny czas wypełniało szkolenie i ćwiczenia w symulatorach, z krótkimi przerwami na posiłki. Wieczorem Etta padała wyczerpana na łóżko i natychmiast zasypiała. Wówczas Raul zdejmował jej buty i okrywał kocem, a potem kładł się na swoim łóżku i na dwie do trzech godzin włączał opcję czuwania. To było konieczne, by bateria, zastępująca serce, włączyła obwody regeneracji energii – taki system nie tylko pozwalał na utrzymanie androida w dobrej formie, ale też dopełniał złudzenia człowieczeństwa, imitując zwykły ludzki sen. Teraz Raul potrzebował więcej energii niż kiedykolwiek, gdyż trening drużyny wspomagającej, jak nazwano jego zespół, był wyjątkowo intensywny. Nie chodziło w nim, ma się rozumieć, o to, by wzmocnić mięśnie, gdyż parametry fizyczne androidów były fabrycznie określone i niemożliwe do zmiany, jednak w innych aspektach program szkolenia „sztuczniaków” nie różnił się tak bardzo od „ludzkiego”. Androidy musiały nauczyć się właściwych reakcji na określone sytuacje, a tych sytuacji były tysiące, jedna bardziej skomplikowana od drugiej. Doktor O’Leary stawiał Towarzyszy przed coraz to nowymi wyzwaniem. W ich elektronowo–chemicznych mózgach dochodziło do zwiększenia liczby połączeń między blokami pamięci, molekuly aktywnego żelaza, którego skład był ścisłą tajemnicą producenta, szczepiały się, tworząc sztuczne dendryty i synapsy, usprawniające wymianę informacji między poszczególnymi sekcjami bloków. Dzięki temu Towarzysze mogli reagować szybciej, bardziej precyzyjnie, dokonywać błyskawicznej analizy i tworzyć program działania tak szybko, że żaden człowiek nie byłby w stanie za nimi nadążyć.

– Nie boisz się, że pewnego pięknego dnia te roboty zbuntują się przeciw nam? – Zapytała kiedyś Taira, żona doktora, w której sztuczne umysły budziły atawistyczny lęk.

– To nie jest możliwe – odpowiedział jej O’Leary. – Nie są zdolne do uczuć, które ludzie odziedziczyli po zwierzęcych przodkach: chęci dominacji czy zwykłej zawiści. No i działa tu zasada Karpinsky’ego: wiedzą, że zostały powołane do istnienia dla towarzystwa. Nie do pomocy. Nie dlatego, żeby ludzie nie radzili sobie z jakimś zadaniem. Nie mają więc logicznych powodów, by podejmować próbę jakiegoś puczu. Wyobraź sobie inną sytuację: ludzie budują androidy obronne, by za nich walczyły. Jasne jest, że zaczynają dyktować ludziom, jak żyć, gdyż w końcu mają ich bronić, a człowiek pozbawiony nadzoru wpada w tarapaty. To samo dotyczy innych kluczowych dziedzin. Nie, Tairo, wyznaczyliśmy im rolę,

dzięki której nie mogą nas zdominować.

– Czy aby na pewno?

– Na pewno. Karpinsky wszystko przewidział. Generalną dyrektywą jest to, że człowiek może pytać androida o możliwe opcje działania, ale sam jest odpowiedzialny za wybór lub pojęcie jeszcze innej drogi. Człowiek jest jednostką decyzyjną. Nie android.

– Nie rozumiem – Taira była plastyczką, niczego nie pojmowała z pracy męża.

– A to takie proste, kobieto – zirytował się O’Leary. – Każdemu androidowie wszczepia się proste przekonanie, że ludzie mogą radzić sobie sami i pomoc androidów nie jest niezbędna. A skoro tak, decyzja o przejęciu kierownictwa po prostu nie może się narodzić, gdyż nie ma oparcia w prostej logice obwodów.

Machnął ręką, gdyż nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że zanadto pospieszył się ze ślubem. Żona nie pasowała do niego i mieli zbyt mało wspólnych tematów. Pewnie dlatego w końcu odeszła.

Obecnie doktor O’Leary szkolił drużynę wspomagającą w ośrodku, którego istnienie było trzymane w tajemnicy przed prawie całym światem. Żona znikła z jego życia kilka miesięcy temu, zostawiając ironiczny list, że człowiek tak oddany pracy powinien raczej ożenić się z androidką. To dlatego doktor zgłosił się do udziału w wyprawie. Nic nie trzymało go na Ziemi, w rodzinnym Chichen Itza. Rząd zaoferował mu możliwość dokonania jedyne w swoim rodzaju eksperymentu, sprawdzenia przydatności androidów w warunkach odmiennych niż ziemskie, odmiennych niż cieplarniane miasta, krótko mówiąc, w warunkach bojowych. MacLean O’Leary był prawdziwym pasjonatem pracy i bez wahania zgodził się na tę propozycję. Taira miała trochę racji. Jej mąż uwielbiał przedmiot swych badań, zajmował on w jego życiu najważniejsze miejsce i prawdopodobnie bardziej przejąłby się zniszczeniem androida niż śmiercią człowieka. A mimo to podopieczni traktowali go z rezerwą. Nie ufali mu – jeśli androidy czuły coś takiego jak zaufanie, to odmawiały go człowiekowi, który poświęcił im większość życia. Wyraźnie nie był dla nich autorytetem, co akcentowały w osobliwy sposób – zwracały się o potwierdzenie poleceń do Dominantów albo do Raula, który został wyznaczony na szefa drużyny. To było denerwujące, ale doktor ignorował sprawę. Wiedział, że nie wygra, a jedynie ośmieszy się w oczach ludzi, traktujących „sztuczniaków” jak zwykle maszyny. Zresztą nie było to takie znów straszne, skoro androidy uczyły się nowych umiejętności i w zasadzie wypełniały polecenia. O to przecież chodziło.

Również ludzie przechodzili drobiazgowy przeszkolenie, mające nauczyć, jak radzić sobie w każdej sytuacji. Część ćwiczeń odbywała się w terenie, co dla większości załogi było całkowitą nowością. Oprócz dwojga czy trojga nikt nie

postawił dotąd stopy na niezabudowanym terenie, a teraz zostali wywiezieni w góry porośnięte lasem, gdzie nie było żadnych wytworów cywilizacji. Ludzie, przyzwyczajeni do nieskazitelnych chodników wielkich miast, po raz pierwszy mieli okazję potykać się na korzeniach drzew i nierównościach górskich bezdroży, z którymi kazano im walczyć. Szefowa wyszkolenia nie odpuszczała nikomu, a według ogólnej oceny miała serce z kamienia. Nie wzruszały jej prośby, jęki, płacze, a nawet omdlenia – wszyscy musieli zaliczyć ćwiczenia i zdać testy sprawnościowe, nawet jeśli ktoś musiał podchodzić do każdego kilka razy. Oprócz tego trzeba było wysłuchiwać dziesiątków prelekcji i zaliczyć egzamin z każdego omawianego tematu.

Treningi i wykłady skończyły się, gdy do ośrodka zaczęli napływać koloniści. Początkowo byli tam tylko członkowie załogi i administracja, całe ludzkie zaplecze wyprawy. Teraz zaczęli pojawiać się ci, którzy mieli stanowić jej właściwy podmiot. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy zdrowi, starannie wyselekcjonowani i ogromnie podekscytowani zbliżającą się przygodą. Nie było wśród nich ani jednego Towarzysza. Rodziny ich nie potrzebowały. Ci ludzie mieli siebie, nie tak jak Etta czy Weronika skazane na sterylność. Obie miały zresztą teraz pełne ręce roboty. Witały przybyłych z zawodowym uśmiechem, jak kazał im Główny Koordynator, udzielały żądanych informacji, o ile były one ogólnodostępne, no i dbały o to, by zostali odpowiednio zakwaterowani, by dostali wszystko to, co im przysługiwało. Etta buntowała się przeciw roli „hostessy”, ale Weronika przyjmowała rzecz spokojniej.

– Musimy mieć oko na wszystko – powiedziała. – Wszystko widzieć i wszystko wiedzieć, ale tak, by nikt nas nie podejrzewał.

– Werka, w co ty mnie wrobiłaś, ale tak bez wykrętów? – Spytała Etta wprost. – Miałam być kronikarzem i statystykiem wyprawy, nie agentem biura śledczego. Czuję się jak bohaterka kiepskiej powieści kryminalnej.

– Niepotrzebnie. To, co się dzieje, to sprawa bardzo poważna, a my dwie stanowimy część sił bezpieczeństwa wyprawy. Tak jak cały pion administracyjny, jak ochrona i nawet sekcja naukowa. Zrozum, Etta, zostałyśmy zaangażowane w coś absolutnie bez precedensu. Jesteśmy teraz w wojsku i musi tak być dla społecznego dobra. Nie narzekaj.

Etta nie narzekała, ale męczyło ją obserwowanie szczęśliwych rodzin. Ich widok dotkliwie uświadamiał, jak bardzo jest samotna i jak bardzo ukrzywdził ją obecny system społeczny. Przyjaciółka nie przejmowała się tym wszystkim aż tak bardzo, ale ona pragnęła mieć własną rodzinę – męża i dzieci. A było to nieziszczalne marzenie. Gdyby była choć „jedyneką”, na pewno znalazłby się ktoś, kto by się z nią ożenił. Mężczyzna „zero” i kobieta „jeden”, czyli układ „zero–jedynekowy”, jak mawiano, „binarny”, tak, to się zdarzało i miało sens.

Prawo zezwalało wtedy na sztuczne zapłodnienie, czyli była szansa na dziecko. Ale który mężczyzna zechce marnować życie z „zerówką”?

Gorzkie rozmyślenia Etty łagodził Raul, jak zawsze przyjacielski i oddany. Z własnej woli, nieproszony przez Dominę, zaczął pełnić z nią dyżury w punkcie przyjęć, wypełniając dokumenty rejestracyjne. Robił to o wiele szybciej i dokładniej niż jakikolwiek człowiek i można było mieć pewność, że nie popełni przy pracy żadnej typowo ludzkiej pomyłki. Była to dla dziewczyny nieoceniona pomoc, dzięki niej mogła się bowiem skupić na innych sprawach, a było ich sporo. Przede wszystkim trzeba było dokładnie poinformować kolonistów o tym, co wolno, a czego nie, sprawdzić, czy nie mają broni, nielegalnej chemii i niedozwolonej elektroniki, a także odpowiedzieć na niezliczone pytania. Zwłaszcza to ostatnie było czymś, od czego kręciło się w głowie, nogi drżały, a głos wreszcie odmawiał posłuszeństwa. Ettę ratowało trochę to, że bardzo lubiła dzieci – to one zadawały większość pytań – ale Weronika miała czasem pod koniec dnia wrażenie, że zwariuje. Szczęśliwie liczba kolonistów była ograniczona, wszystkiego 240 rodzin i wreszcie nadszedł ten błogosławiony dzień, w którym napływ ludzi zaczął maleć. Już tylko spóźnialscy zjawiali się w punkcie rejestracji, gdy niespodziewanie przybyli Cantorallowie.

VI.

– Estrella! Skąd się tu wzięłaś?! W życiu bym się nie spodziewała – Nayeli Solis de Cantoralle wytrzeszczyła oczy na starszą siostrę, niepewna, czy ma się

cieszyć, czy uważać to spotkanie za problem. Etta również zadawała sobie to pytanie, gdy patrzyła na Nayeli. Ostatni raz widziała siostrę, gdy ta miała dziesięć lat, ale poznała natychmiast. Jak wszyscy Solisowie, miała charakterystyczne, świetlistoszare oczy z czarną obwódką i wąski, arystokratyczny nos, ale jej włosy były ciemnobrązowe z rudawym połyskiem, a twarz okrągła jak księżyc w pełni. W ogóle Nayeli była dość pulchna, a jej figurę jeszcze bardziej popsuło urodzenie dwójki silnych i zdrowych dzieci, które tuliły się teraz do niej, patrząc ciekawskimi oczkami na ciotkę, którą widziały pierwszy raz w życiu. Chłopczyk może miał sześć lat, dziewczynka na pewno nie więcej niż cztery. Oboje byli ciemni jak Indianiątka, ale oczy mieli szare, po matce.

– Pracuję tu – odpowiedziała Etta, gdy pozbierała myśli. – A ty skąd się tu wzięłaś?

– Zgłosiliśmy się do programu – zabrzmiał z głębi korytarza wesoły głos. – Cześć, mała.

W biurze pojawił się wysoki, przystojny mężczyzna o brązowej cerze, granatowoczarnych włosach i zawadiacko błyszczących, czarnych oczach.

– Witaj, Dario – rzekła Etta sucho.

– Co tak powściągliwie? Był czas, kiedy witałaś mnie dużo wylewniej – roześmiał się swobodnie Dario. – Czy tak się przyjmuje rodzoną siostrę i ulubionego szwagra?

Etta mruknęła coś niewyraźnie, a Dario zwrócił się do dzieci:

– Itati, Amador, co jest z wami, czemu tak stoicie? Przywitajcie się z cicią!

– Dzień dobry, ciociu – powiedziały dzieci niemal jednocześnie, nie odstępując jednak boku matki. Ich spojrzenie wyrażało pewną nieufność. Chyba nigdy nie słyszały o cioci Estrelli i właściwie trudno było się temu dziwić. Nikt się nie chwalił tym, że ma w rodzinie zerowca.

– Dzień dobry – odpowiedziała Etta, postanawiając wziąć się w garść i nie okazywać poczucia dyskomfortu. – Teraz wejdziecie pojedynczo do komory skaningu. Przez ten czas Raul zajmie się dokumentacją.

Dario spojrzął na niewzruszonego androida, a po jego ustach przewinął się szyderczy uśmiech.

– Macie tu sztuczną sekretarkę? Dużo zużywa oleju?

– Raul nie jest sekretarką i nie potrzebuje oleju, który za to przydał by się niektórym ludziom – wycedziła Etta przez zęby i podeszła do pulpitu z monitorem. – Wejść do komory, Dario.

– Co tylko zechcesz, szwagierko.

Raul podniósł głowę znad stosu płaskich podów. Wziął do ręki jeden z nich i aktywował opcję zapisu, tak jak robił to setki razy. Zdawało się, że w ogóle nie zauważył zaczepki młodego mężczyzny.

– Proszę podejść – powiedział do Nayeli. – Zechce pani usiąść i położyć obie

dłonie na blacie stołu.

Nayeli z godnością przysunęła sobie krzesło i zaczęła udzielać odpowiedzi na standardowe pytania, podczas gdy wtopione w stół czujniki rejestrowały odczyty fizjologiczne, skład potu i dokładną siatkę papilarną. Czasy, gdy uwzględniano jedynie opuszki palców już minęły. Tymczasem Amador, wykorzystując nieuwagę dorosłych, obejrzał z ciekawością całe pomieszczenie, a potem okrążył biurko, przystanął i znieacka kopnął Raula w nogę. Android spojrział na chłopca bez emocji, natomiast Etta, która dostrzegła całą scenę kątem oka, krzyknęła ostro:

– Co robisz? Natychmiast przestań!

– Przecież to nic nie czuje – zaprotestował Amador. – Jest jak to krzesło.

– Zaraz ci dam krzesło. Odejdź od Raula, ale to już! A przedtem przeproś.

– Mam przeproszać sztuczniaka? Tata mówi, że to tylko maszyna.

Etta zastopowała skaner i odwróciła się. Była naprawdę zła i musiała mieć to wypisane na twarzy, bo Nayeli pobladła, spojrzawszy na nią.

– Chodź do mamy, skarbie! – zawołała pospiesznie.

– Posłuchaj no, młody człowieku – rzekła groźnie Etta, wbijając płonący wzrok w niesfornego siostrzeńca. – Przyjmij do wiadomości, że androidy nie są rzeczami ani maszynami. Nie obchodzi mnie, co na ten temat mówi twój niedouczony ojciec albo jemu podobni. Raul jest żywą istotą i masz odnosić się z szacunkiem, czy to jasne?!

Amador wykrzywił ciemną buzię w grymasie nagłego strachu i ryknął płaczem. Mała Itati zawtórowała mu przez solidarność, choć niewiele rozumiała z całej sceny. Nayeli poderwała się i chwyciła dzieci w objęcia.

– Widzisz, co narobiłaś? – Zawołała gniewnie.

– Co tam się dzieje? – Odezwał się z komory skanów zaniepokojony głos Daria. Do biura zajrzała zwabiona krzykami Weronika.

– Jakies kłopoty? – Spytała.

– Nie – odparła Etta. – Bądź taka dobra i przejmij tych państwa. Mam ich dość. Raul, idziemy do kwatery.

– Już niewiele zostało – zaproponował android.

– Nie szkodzi. Rasmus dokończy pracę, my wychodzimy.

Weronika popatrzyła na przyjaciółkę, potem na pobladłą ze złości, nieznaną jej kobietę, tulącą płaczące dzieci i skinęła głową.

– Idź, dokończymy – powiedziała. – Zobaczymy się wieczorem, to porozmawiamy. Brent, zajmij się wywiadem.

Raul podał Rasmusowi pomrugujący światłami zapisu pod.

– Przykro mi, że z mojego powodu wynikło to zamieszanie – rzekł do Nayeli, która nawet na niego nie spojrziała. – Nie stało się nic ważnego.

I wyszedł za swą Dominą. Etta szła wielkimi krokami, nie oglądając się za

siebie, dopóki nie dotarła do kwatery. Dopiero tam opadła z niej wściekłość, a górę wzięło rozzalenie i dziewczyna rozplakała się, siadając na łóżku. Raul, jak zwykle delikatny i dyskretny, usiadł w milczeniu obok, objął ją i czekał, aż atak minie. Na szczęście Etta umiała szybko opanowywać podobne wybuchy i wkrótce zdołała wziąć się w garść, choć przez chwilę jeszcze pozwoliła, by Raul ją przytulał i głaskał po głowie tym jednostajnym, kojącym ruchem. Świadomość jego siły i bezwzględności oddania była jej potrzebna i nie mogła wprost zrozumieć, jak do niedawna obywatela się bez Towarzysza. Wreszcie, uspokojona, wysunęła się z jego objęć i wstała. Początkowo zamierzała tłumaczyć się z tego, co zaszło, ale zrezygnowała. Starczy, że będzie musiała wyjaśnić całą sprawę Weronice. Niektórych aspektów android i tak nie mógłby zrozumieć.

W łazience obmyła zapuchniętą twarz zimną wodą i przyczesła się trochę. Miała wielką ochotę zrzucić bernitowy mundur i wziąć długi prysznic, ale tę przyjemność postanowiła odłożyć na późny wieczór. Teraz musiała jeszcze zanieść sprawozdania do biura Głównego Koordynatora, odebrać kilka dokumentów i sprawdzić, czy nadeszła wreszcie decyzja o włączeniu jej w poczet personelu wojskowego. Nie chciała tego – jednak kapitan Willner przekonał ją, że tak będzie lepiej. Jako żołnierz będzie miała większe kompetencje podczas wyprawy i później, gdy przyjdzie do zarządzania kolonią. Weronika też złożyła w tej sprawie stosowny wniosek, ale że zrobiła to dużo wcześniej, miała już przydział i uczyła się właśnie do egzaminu oficerskiego.

Główny Koordynator przyjął przyniesione dokumenty, podpisał, gdzie trzeba i wypytał o nastroje wśród kolonistów. Wydawał się być nieco zatroskany.

– Docelowo mamy mieć tu prawie pięćset dzieci – powiedział. – To w ogromnej większości rodziny wielodzietne. Postaraliśmy się, żeby przedział wiekowy był możliwie wąski, tak że po dotarciu do kolonii będzie można urządzić coś w rodzaju szkoły. Jednak sama pani rozumie, że póki co trzeba będzie bardzo na te dzieciaki uważać. Pani zna się na dzieciach. Co robić, żeby się nie nudziły i nie rozrabiały za bardzo?

– Mogę zebrać ochotników i zorganizować rodzaj świetlicy – zaproponowała Etta. – Te, których rodzice będą akurat zajęci na szkoleniach, będą tam pilnowane i zabawiane. Pułkowniku, czy mogę o coś spytać?

– Proszę.

– Na jakiej zasadzie odbywał się nabór? Przecież chyba nie przez oficjalne ogłoszenie, że szuka się kolonistów do pozaziemskiej placówki.

Koordynator uśmiechnął się wyrozumiale.

– No, niezupełnie. W rzeczywistości rozpuściliśmy wici, że poszukuje się rodzin z dziećmi do zasiedlenia specjalnie przystosowanej wyspy na Oceanie Spokojnym. Jak pewnie pani wie, od całych dekad rząd usiłuje rekultywować

ekosystem na wyspach, niestety na razie bez rezultatu. To ironia historii, ale łatwiej nam przyszło zdalne przystosowanie Enceladusa, niż naprawa tego, co zepsuli nasi bezmyślni przodkowie. Ziemia umiera. Nasze wysiłki jedynie spowalniają jej agonię.

– Teraz rozumiem – szepnęła Etta i dodała. – A lot? Rozumiem, że raz znalazłszy się w ośrodku ludzie nie mają odwrotu, rozumiem też, że właśnie po to tyle tu wojska. Jednak lot będzie trwał, jak pan mówi, cztery miesiące. Nie liczy się pan z możliwością buntu w próżni?

– Ależ liczę się, jak najbardziej. Zresztą nie tylko widmo buntu jest tu problemem, również sam lot. Dlatego postanowiliśmy, że wszyscy koloniści zostaną wprowadzeni w stan śpiączki farmakologicznej i umieszczeni w zbiornikach wodnych celem amortyzacji. Musimy rozwinąć duże przyspieszenie, a jedynie pomieszczenia kontroli będą wyposażone w niwelatory przeciążeniowe. Gdybyśmy chcieli amortyzować całe statki, nie wyruszylibyśmy przed końcem przyszłego stulecia... rozumie pani, koszty.

– Rozumiem. Obsługa zatem nie będzie spać?

– Na pewno nie cała. Jeśli zgodzi się pani pójść ze mną na kolację, wszystko pani wyjaśnię, a w skrócie. Automatykę statku będą nadzorować androidy, ale że zagrażałyby nam wtedy paradoks Karpinsky'ego, androidów będą pilnować ludzie. Rotacyjnie, ma się rozumieć.

– Paradoks Karpinsky'ego?

– Tak. Niech pani spyta doktora O'Leary, wszystko pani wyjaśni. Aha, i gratuluję. Odtąd, aż do zaliczenia egzaminu podoficerskiego, będzie pani figurować w ewidencji jako kadet Solis. I proszę pamiętać o moim zaproszeniu.

Etta mimo woli wyprężyła się i zasalutowała. Koordynator odsalutował z uśmiechem i dziewczyna opuściła jego biuro. Nie była jeszcze pewna, czy zgodzi się pójść z Koordynatorem na kolację, ale miała na to ochotę. Zdażyła polubić tego wiecznie zapracowanego mężczyznę o rudych włosach poskręcanych niczym wióry i oczach zielonych jak sałata. Nie był zbyt przystojny, ale przy bliższym poznaniu każdego oczarowywała jego magnetyczna osobowość, a przede wszystkim niezwykła inteligencja. Był całkowicie oddany pracy, zdawało się, że nie myśli o niczym innym, dlatego to zaproszenie zaskoczyło Ettę. Czyżby mu się podobała? Owszem, zawsze był dla niej miły, traktował ją bardzo życzliwie, ale żeby coś więcej?

Było jeszcze wcześniej, zdecydowała się więc od razu odwiedzić specjalistę od nieorganicznego intelektu i wypytać, o co chodzi z tym paradoksem. Kim był Karpinsky, Henry Karpinsky, wiedziała – to twórca ogólnej teorii androidów. Sformułował zasady, według których skonstruowano podstawowy program, aplikowany „rodzącym się” mózgom androidów obu płci. Jednak na tym kończyły się jej wiadomości teoretyczne. Resztę wiedziała z własnej obserwacji, albo też

domyśliła się z zachowania Raula. Zdecydowanie potrzebowała rozmowy ze specjalistą.

Natarczywe dzwonięcie do drzwi odniosło skutek, choć dopiero po kilku minutach. Wreszcie uchyliły się i w szparze Etta ujrzała postać irlandzkiego doktora. Miał na sobie brudną piżamę, twarz pokrywał nieogolony zarost, a oddech – czuła to nawet tam, gdzie stała – cuchnął tanią whisky. Nie zdziwił się na widok Etty.

– Pani wejdzie – rzucił obojętnie. – Proszę nie zwracać uwagi na bałagan.

Dość trudno byłoby nie zwrócić uwagi. Kwatera doktora wyglądała jak jeden wielki śmietnik, pasujący do zaniedbanego wyglądu mieszkańca. Doktor podrapał się po żebrach i przez chwilę manewrował niezdecydowanie ręką, wskazując ni to na krzesło, ni to na kanapę.

– Pani siądzie – mruknął wreszcie. – Napije się pani?

– Nie, to pan się napije. Kawy – rzekła Etta zdecydowanie i skierowała się do kuchni. Jakimś cudem udało się jej znaleźć w miarę czysty dzbanek, dwa kubki i zaparzyła mocną kawę bez cukru, dodając jedynie trochę syntetycznej czekolady, którą zawsze przy sobie nosiła. Doktor skrzywił się, ale posłusznie wypił. Wydawał się być zgaszony i mimo dużej dawki alkoholu pozbawiony woli.

– Pani to zupełnie jak moja żona. Też dodawała czekolady do kawy. I też jej przeszkadzało, kiedy chciałem się napić po pracy – rzekł po chwili ponuro.

– Nie moja sprawa, jak pan spędza wolny czas, ale teraz chciałbym z panem porozmawiać – odparła Etta. – A poza tym, czy nie szkoda panu zdrowia?

– To nie pani zdrowie, proszę się więc nie wtrącać – O’Leary dolał sobie kawy. Zamglone oczy trochę przejaśniały.

– Słucham, jaką to ma pani sprawę? Czyżby pani Towarzysz skarżył się na moje metody nauczania?

– Skądże. Mam jednak do pana prośbę: chcę u pana studiować.

– Jak proszę?

– Studiować, uczyć się. Chcę zostać specjalistką od androidów.

– To nie będzie łatwe, bo musiała by pani zacząć praktycznie od zera – O’Leary popatrzyła na Ettę z większym zainteresowaniem niż dotychczas i z pewnym szacunkiem. Dziewczyna skinęła głową.

– Tak, wiem. Moje wiadomości są właściwie żadne. Na przykład, co to jest paradoks Karpinsky’ego?

– O, to akurat zupełnie proste pojęcie. Chodzi o to, że w pewnych przypadkach android, który ma zadbać o dobro człowieka, uzna że największym dobrem będzie uśmiercenie podopiecznego bez pytania o zdanie. Logicznie będzie to bez zarzutu, ale mimo to sprzeczne z założeniami.

Wciąż patrzył na Ettę. Niebieskie, sprawiające wrażenie wyblakłych, oczy wydawały się być jedynym jasnym punktem w zmęczonej, zarośniętej twarzy.

– Czemu chce pani studiować andrologię? – Spytał...

Etta zmieszała się mocno i umknęła wzrokiem w bok.

– Chcę szukać w androidach duszy – wyznała wreszcie z ociąganiem. Doktor O’Leary wyglądał na zdziwionego, ale wyraziło się to tylko w lekkim uśmiechu. Dopił kawę, odstawił kubek i wstał.

– No to czeka panią mnóstwo pracy – powiedział. – Nawet ja, choć znam każdy najmniejszy szczegół budowy androidów, najdrobniejsze niuanse składu chemicznego użytych materiałów, wszystkie opcje programowe, nie umiałbym przeprowadzić matematycznie ścisłego dowodu na to, że android posiada duszę.

– Ale wie pan, że jest istotą, nie maszyną.

– Wie pani, raczej w to wierzę, niż jestem stuprocentowo przekonany. Sprawa nie jest tak prosta, jak się wydaje. Gdy mamy do czynienia z samokomplikującym się programem, w pewnym momencie trudno odpowiedzieć na pytanie, gdzie kończą się wszystkie możliwe opcje, przewidziane przez konstruktorów, a zaczyna samoistna inwencja.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tracimy rachubę i nie bardzo w końcu wiemy, czy to, co jest, wynika z tego, co wprowadziliśmy, czy już nie. Androidy różnią się od siebie znacznie, ale to jeszcze nie dowód. No cóż, skoro pani chce.

Doktor podszedł do biblioteczeki i otworzył ozdobne wieko. Spośród spoczywającym we wnętrzu maleńkich pudełek z nośnikami danych wybrał jedno i wręczył dziewczynie.

– To podstawowy podręcznik – wyjaśnił. – Proszę się z nim gruntownie zapoznać. Potem panią przepytam i dam następny. Nośnik jest kompatybilny z większością nowoczesnych odtwarzaczy optycznych.

Etta schowała pieczołowicie podręcznik do przegródki w wojskowym pasie. Właściwie to, że ubrano ją w mundur, nie podobało się jej zbytnio, ale z czasem musiała przyznać, że był to strój wyjątkowo funkcjonalny. Nie musiała nawet nosić torebki, bo wszystkie podręczne drobiazgi wygodnie mieściły się w przegródkach pasa, a ona zyskiwała w ten sposób pełną swobodę ruchów.

– Zatem do zobaczenia, doktorze – powiedziała z westchnieniem. Dziwne, ale miała ochotę tu zostać, by w mieszkaniu, przypominającym pobożowisko, rozmawiać z zarośniętym mizantropem w brudnej piżamie. To było zupełnie bez sensu, oceniła.

VII.

Gdy dotarła do kawiarni, Weronika już czekała. Popijała koktajl owocowy i myślała o jakichś swoich sprawach, zapatrzona w zachodzące słońce. Bernitowy mundur leżał na niej równie dobrze, jak ulubione ubrania typu secondskin i dwóch rozmawiających przy sąsiednim stoliku mężczyzn popatrywało na nią z wyraźną przyjemnością. Weronika na zwracała na nich żadnej uwagi.

– Siadaj – powiedziała na widok przyjaciółki. – Powiedz , co się właściwie stało w punkcie odpraw? Wiem już, że ta kobieta, Nayeli, to twoja siostra, ale chyba nie przez to byłaś tak zdenerwowana.

Etta usiadła i zamówiła krem śmietankowy. Słodczyce zawsze poprawiały nastrój, choć psuły figurę i dlatego zazwyczaj ich unikała.

– Tak, to moja siostra – rzekła ponuro. – Siostra, mój szwagier i siostrzeńcy. Mój jest także pech, że zgłosili się do programu.

– Aż tak ich nie lubisz?

– Nie w tym rzecz. Widzisz, Dario Cantoralle wychowywał się praktycznie z nami. To syn sąsiadów. Wiecznie zostawiali go pod opieką moich rodziców. Jak pewnie zauważyłaś, to typowy zabójczy macho, a gdy byłam podlotkiem, kochałam się w nim beznadziejnie. Odwiedzałam wtedy rodzinę dość często, choć od dwunastego roku życia mieszkałam z ciotką, żeby mieć bliżej do szkoły, a tak naprawdę dlatego, że rodzina się mnie wstydziła. W Daria patrzyłam jak w obraz. Dobrze o tym wiedział, cwaniak jeden, i wykorzystywał to, żebym kryła jego psoty. Możesz sobie wyobrazić, jak przyjął wiadomość o jego ślubie z Nayeli, mimo że byłam dorosła, mieszkałam i pracowałam w Caracas.

– On jest „dwójką”?

– Nie. Wyobraź sobie, że jest „nielimitowany”, nie miałam żadnych szans. Nayeli jest „trójką plus”. Cała rodzina ma dobrą przydatność, ja jedna się wyrodziłam. Staralam się o nich zapomnieć i żyć tak, jakby nigdy nie istnieli. Prawie się udało. A teraz zjawiają się tutaj, jakby nigdy nic, a ich synuś ośmiela się

kopać mojego Raula!

Ostatnie słowa rzuciła z taką zajadłością, że jej przyjaciółka nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Przepraszam – rzekła po chwili. – Dziecko nie jest temu winne, przecież wiesz.

– Wiem, ma się rozumieć, że wiem! To Dario tak go wychował. Nayeli nie posądzam o rozsądek, zawsze była głupia, więc pewnie to on edukuje młode pokolenie Cantorallów. Już jako nastolatek należał do organizacji ludystów i, jak widać, nie przeszły mu tamte idee.

Na wzmiankę o ludystach Weronika zachmurzyła się nieco. Nie lubiła tego stowarzyszenia i obawiała się jego działań, postulowało bowiem całkowite wyłączenie androidów z życia społecznego. Jego hasłem było „Ludzie dla ludzi”, a jednym z głoszonych dogmatów ten, który utrzymywał, że androidy rozbijają społeczną integrację i są bardzo szkodliwą protezą zwykłej relacji towarzyskiej. Organizacja miała na koncie kilka zamachów na manufaktury, w których montowano androidy, a także na „gotowy produkt”.

– Minęło sporo lat, może wydoroślał? – Zasugerowała nieśmiało.

– Jakoś w to nie wierzę.

Urwała, bo do ich stolika podeszła Oksana Wysocka w towarzystwie mocno zbudowanego, szpakowatego mężczyzny o nieco dzikiej aparycji, jak oceniła to Etta. Miał mocno zakrzywiony nos, brązowe oczy, obfite wąsy i ostro wyrzeźbione rysy, niczym dawni Indianie. Jego wygląd mgliście przywodził na myśl góry, ostry wiatr i konną jazdę.

– Pozwólcie, to jest Tengiz, ojciec Timmy’ego – powiedziała Oksana. – Dopiero teraz przyjechał, zatrzymywały go ważne sprawy.

– Podpułkownik Tengiz Gongadze, lekarz naczelny ekspedycji – przedstawił się mężczyzna, salutując dziewczynom, które zerwały się natychmiast z miejsca. – Spocznij, jestem tu nieoficjalnie.

Zajął miejsce przy stole i zamówił dla całej czwórki drinki, nikogo nie pytając o preferencje. Widać było, że nawykł do rozkazywania i to od dawna. Jak sam powiedział, był lekarzem, ale jego zachowanie było zachowaniem zawodowego żołnierza z dawnych wieków.

– Oksana mówiła, że pani android uratował naszego synka. – zwrócił się do Etty.

– Raul... po prostu zareagował na zagrożenie – odparła dziewczyna. – Zawsze tak robi.

– To osobliwe, wie pani? Większość androidów, jeśli nie otrzyma polecenia, nie podejmie żadnej akcji, nawet gdy ktoś się przy nich powiesi – Gongadze uniósł swoją szklanę. – Salut.

Dziewczyny napiły się posłusznie, konstatując, że nieznanym im nawet z

nazwy drink zawierał nieco więcej alkoholu niż przywykły. Weronika, która miała bardzo wysublimowany smak, od razu zorientowała się, że w skład wchodziła grenadyna, śmietanka, mleczko kokosowe, tonik oraz bardzo mocny i bardzo słodki likier bananowy. Oceniała, że ta mieszanka jest bardzo smaczna, choć należy ją sączyć z umiarem.

– Nie znam zbyt wielu androidów poza Raulem – powiedziała Etta ostrożnie.
– Trudno mi powiedzieć, czy jest obiektywnie lepszy, czy tylko inteligentniejszy.

– Inteligencja nie ma tu nic do rzeczy. Przecież wiesz, że Brent ma IQ 240, a nie sądzę, żeby ratował tego chłopca – przerwała przyjaciółka. – Raczej zaczęłyby mu dawać instrukcje pływania, bo uznałby to za bardziej logiczne.

Tengiz Gongadze uśmiechnął się, ukazując ostre jak u zwierzęcia zęby.

– Logika logiką, ale wiem, że androidy postępują czasem zaskakująco – rzekł. – Na szczęście nie sprawiają kłopotów, a jak widać, bywają pomocne. Jestem wdzięczny Raulowi za to, co zrobił, choć myślę, że system owego Brenta też nie byłby zły.

– Tengiz! – zawołała Oksana z wyrzutem.

– No co? Za bardzo rozpieszczasz chłopca, dawno to mówiłem. Nawet nie umie jeszcze pływać, jak widać. Czas, żebym to ja się nim zajął.

– Sam widzisz. Właśnie dlatego nie chciałam z tobą zostać. Kiedyś Timmy sam podejmie decyzję, czy chce być żołnierzem jak ty, ale wychowywać go na żołnierza nie pozwolę.

Widząc, że rozmowa zmierza na niebezpieczne tory, Etta przerwała ją pytaniem:

– A więc cały pion medyczny podlega właśnie panu?

– Tak, panno Solis – odparł podpułkownik. – Ale jako członek sekcji dowodzenia będę leciał statkiem Alfa. Pozostali lekarze i pielęgniarki zostaną rozdzieleni tak, by żaden statek nie został bez zabezpieczenia medycznego. Rozumie pani, nigdy nic nie wiadomo.

– Rozumiem, oczywiście. A wie pan, przez całe życie nie miałam pojęcia, że wojsko jako takie w ogóle jeszcze istnieje. Myślałam, że to taka formacja od parady, tylko z nazwy podobna do tego, co było kiedyś.

Gongadze uśmiechnął się wyrozumiale i z odrobiną wyższości.

– Trzeba, żeby ludzie tak myśleli – wyjaśnił. – Jednak, jak sama pani widzi, bez stałej armii ani rusz, nawet dzisiaj. Zasady trochę się zmieniły, ale nie aż tak bardzo. Jesteśmy po to, żeby cywile mogli żyć i rozwijać cywilizację w spokoju. Inaczej pokój, kultura i wzajemna przyjaźń tak by ich znudziły, że by się w końcu wyrznęli do ostatniego.

Weronika zaśmiała się, słysząc to bezceremonialne sformułowanie. Blade policzki zaróżowiły się jej nieco od wypitego alkoholu, a w oczach zatańczyły figlarne ogniki.

– Cóż, my też jesteśmy w wojsku – powiedziała, dopijając ostatnie krople ze szklanki.

– Wiem. Dążymy do tego, żeby cała obsługa migracji była zmilitaryzowana. Dla bezpieczeństwa i sprawności. Nie wszystkim to się podoba, ale trudno.

Podpułkownik obrzucił ją wzrokiem z wyraźną przyjemnością. Podobała mu się i nie było w tym nic dziwnego – nie on jeden w ośrodku zauważył, jak bardzo ta dziewczyna jest ładna i pociągająca.

– Wie pan, kiedy startujemy? – Spytała Etta, bawiąc się machinalnie szklanką.

– Niech pani nie będzie taka niecierpliwa, a raczej cieszy się ostatnimi dniami na Ziemi. Prawdopodobnie już nigdy jej pani nie zobaczy.

– Czekamy jeszcze na szefową chemików, ma się zjawić w tym tygodniu, a wtedy personel będzie już kompletny – powiedziała Oksana. – Kończymy badania kolonistów. Podejrzewam, że jeszcze w tym miesiącu dostaniemy rozkaz wyruszenia.

Wszyscy kandydaci na kolonistów przechodzili nie tylko testy kwalifikujące do programu migracji, ale również bardzo drobiazgowo badania w samym ośrodku. Biochemia, różne typy testów sprawnościowych, tych na inteligencję i tych przekrojowych z różnych dziedzin wiedzy – było tego mnóstwo. Dochodziły jeszcze obowiązkowe szkolenia i ćwiczenia praktyczne, a większość z nich po to, by koloniści nie włączyli się niepotrzebnie po ośrodku i nie wtykali nosa w sprawy, o których nie powinni mieć zbyt dobrego pojęcia.

– Ciekawe, co nas czeka na Enceladusie – szepnęła Etta.

– Czekają na nas dobrze wyposażona kolonia – roześmiał się dobrotliwie podpułkownik. – Widoki będą trochę niecodzienne, to fakt, ale wszyscy pomału przywykną. Tylko pierwsze dni, gdy wybudzimy kolonistów, a oni przekonają się, że nie są na Ziemi, będzie piekło.

– Nie można było działać z otwartą przyłbicą?

– No co też pani? Jakby się rozeszło, że wysyłamy ludzi, a zwłaszcza dzieci na inną planetę, nie dopuszczono by do startu. I tak nie jesteśmy pewni, czy coś nie wyciekło Organizacji wywrotowej, mogły już dokonać sabotażu.

– Tengiz, nie bądźże paranoikiem.

– Muszę, to moja praca.

Szczerze mówiąc, Etta nie bardzo wierzyła w możliwość sabotowania misji. Słyszała o tym parokrotnie, mówiła to i Weronika, i kapitan Willner, ale młodej historyczce, wychowanej w spokojnym mieście coś takiego po prostu nie mieściło się w głowie. Jeszcze może niezrzeszeni, czyli ci, którzy uciekali na obrzeża miast, by żyć bez nadzoru i maszyn na każdym kroku, bez obowiązkowych badań, bez szczepionek, bez inhalatorów easyhalu i opti – słowem, by żyć jak żyło się KIEDYŚ – ale nie „normalni ludzie”! A jednak w świetle tego, czego dowiedziała

się w ośrodku, niezrzeszeni nie stanowili żadnego zagrożenia. Te romantyczne „dzieci-kwiaty” wyrządzały krzywdę wyłącznie sobie, bo czym, jak nie wyrządzaną sobie krzywdą, było dobrowolne wyrzeczenie się cywilizacji i wytworzonego przez nią bezpieczeństwa? Nie, nie bywali agresywni. Prawdziwi wywrotowcy kryli się w zintegrowanym społeczeństwie, kamuflując się tak dobrze, że organizując migrację należało przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

Tengiz Gongadze spodobał się Etcie, choć wcześniej przysięgłaby że nie znosi takich mężczyzn jak on. Już samo to, że był żołnierzem. Od dziecka słyszała, że są jakby osobną nacją, ludźmi których należy unikać, że muszą istnieć dla zachowania porządku społecznego. Przyrównywano ich do systemów kanalizacyjnych – są konieczne dla higieny i zdrowia, ale poza odpowiednimi służbami nikt nie powinien się do nich zbliżać. Tak też było z wojskiem i policją. To były narzędzia, brudne, tępe i odrażające, ale niezbędne, dlatego je tolerowano. Tymczasem w Ośrodku Doboru Kadr Etta poznała żołnierzy i przekonała się, że są zupełnie normalnymi ludźmi, nie gorszymi niż inni. Nie byli ani maszynami do zabijania, ani bestiami bez uczuć. Mieli własny świat, cel w życiu, strukturę społeczną i nawet kulturę. Musiało tak być. Wstępując do armii wyrzekali się dotychczasowej narodowości, bo od tego momentu należeli już tylko sił zbrojnych planety Ziemia. Tengiz Gongadze był jednym z nich, nawet studia medyczne ukończył na Akademii Wojskowej. Był żołnierzem z duszy i serca, to było widać od jednego rzutu oka. Miał postawę wojownika, sprężyste ruchy jak kot i władcze spojrzenie człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Pomyślała jednak, że nie dziwi się Oksanie, bo sama nie chciałaby żyć z takim mężczyzną.

– Więc są państwo w separacji? – Spytała. – A Timmy? Jak to znosi?

– Bardzo dobrze – odparła Oksana. – Wie, że jedni rodzice mieszkają ze sobą, a inni nie i że nie ma to nic wspólnego z ich uczuciami względem dzieci. Ze względu na niego pozostajemy w przyjaźni i nigdy się nie kłócimy.

– Gdyby było inaczej, odebrano by wam dziecko – wtrąciła złośliwie Weronika. – Służby oświatowe nie znają się na żartach.

– To też – przyznał niechętnie Gongadze. – Musieliśmy bardzo uważać, a przed wciągnięciem na listę dostaliśmy polecenie, by na miejscu, znaczy w kolonii, żyć i działać jak normalne małżeństwo. Pod tym warunkiem zapisano nas oboje i Timmy’ego.

– A gdzie teraz jest?

– Śpi. Została przy nim kapral Svensen. Bardzo lubi dzieci.

– Kapral Svensen? Która to? – Weronika ściągnęła brwi i szukała przez chwilę w pamięci. Wreszcie wzruszyła ramionami z rezygnacją. Nie знаła jeszcze wszystkich żołnierzy.

– To taka młoda żołnierka – Gongadze uśmiechnął się pod wąsem. – Jest w

oddziale ochrony przydzielonym do sztabu. Fajtłapa, jeśli chodzi o zwykłe życiowe sprawy, ale umie się bić, wykonywać rozkazy i mały jest z nią bezpieczny.

– Kobieta z bronią.

– Żołnierki bywają groźniejsze niż wojskowi mężczyźni. Kobiety w ogóle umieją być bezwzględne i nieustraszone. No, ale niekoniecznie Svensen. Lepiej poradziłaby sobie na froncie, na pierwszej linii, niż podczas towarzyskiego spotkania. Nagle okazuje się nieśmiała, zalękniona i chowa się w kąt jak dwunastolatka na zabawie dla dorosłych

Zaśmiał się wesoło, odsłaniając mocne, żółtawe zęby.

– Ile będzie dzieci w kolonii? – Spytała Oksana.

– Blisko pięćset – odparła Etta. – Omawiałam tę sprawę z Koordynatorem Nakamarą. Specjalnie wybierano rodziny, w których jest troje lub czworo dzieci, w ostateczności dwoje z perspektywą na więcej. Timmy będzie miał towarzystwo.

– W tym pani siostrzeńców. Jacy są?

– Właściwie ich nie znam. Widziałam ich pierwszy raz w życiu, gdy zgłosili się w biurze i wszystko zepsuła ta awantura o Raula.

W Ośrodku niełatwo było zachować tajemnicę, więc o zajściu w biurze wiedzieli wszyscy. Jedni dziwili się nerwowej reakcji Etty i ganili ją za kłótnie z rodziną „bez istotnego powodu”, inni – ci, którzy mieli Towarzyszy – popierali ją gorąco. Byli też tacy, którzy próbowali mediacji, ale nic nie wskórali.

– Nie próbowała pani pogodzić się z siostrą?

– Z Nayeli? To beznadziejne. Kiedy odesłano mnie do ciotki, miała dziesięć lat, ale już wtedy uważała mnie za plamę na honorze rodziny. Właściwie rodzice wysłali mnie do ciotki Pauliny ze względu na nią i na Johnny’ego, naszego starszego brata. To oni nie mogli mnie znieść.

Gongadze chrząknął współczująco.

– No tak. Zerówka w rodzinie często jest traktowana jak piąte koło u wozu. Nie pani jedna ma ten problem, spotykałem się z żołnierzami obojga płci, którzy zaciągnęli się tylko po to, by mieć pretekst do ucieczki od bliskich. W armii nie ma to znaczenia. Nawet jest pożądane.

Etta uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

– Mnie coś takiego nigdy do głowy nie przyszło. Proszę wybaczyć, doktorze, ale uczono mnie, że wojsko nie jest czymś właściwym dla ludzi z mojej warstwy społecznej. Niech pan się nie gniewa, teraz wiem, że to nie tak, ale ciężko od ręki pozbyć się nawyków myślowych wpajanych od dzieciństwa.

– Rozumiem panią. To normalne u cywili, że odcinają się od formacji mundurowych i mają za coś lepszego. Jednak to my utrzymujemy społeczeństwo w równowadze.

– Wcale nie przeczę.

– Daj spokój, Tengiz, pogadajmy o czymś innym – przerwała im Oksana. –

Jak zaczynasz wynosić pod niebiosa zalety armii, zanudzasz słuchaczy na śmierć. Pani Solis, proszę opowiedzieć coś bliższego o swym androidzie. Co w nim jest, że tak pani go broni?

Etta otworzyła usta, potem zamknęła, wreszcie sięgnęła po szklanę z drinkiem i napiła się.

– Nie mogę tego wytłumaczyć – odparła z zakłopotaniem. – Trzeba zamieszkać z androidem, by zrozumieć, jaką jest istotą.

– Nie jest tym samym co seksynka, tylko bardziej zaawansowana?

– Ależ skąd, pani Oksano. Proszę mi wierzyć, AC jest nie gorszy od każdego człowieka, a lepszy od wielu z nich. Jednak bliższych wyjaśnień pani nie udzielę, bo tego się nie da zrobić.

– O wilku mowa.

Do stolika podszedł Raul, powitał wszystkich, po czym zwrócił się do Dominy:

– Wybacz, że przeszkadzam. Koordynator Nakamara chce cię widzieć. Chodzi o programy szkolne. Właśnie przyszły propozycje i nie wie, który pakiet wybrać.

– Jakie programy szkolne? – Zainteresowała się Weronika. Etta wstała pośpiesznie.

– Programy nauczania dla dzieci w kolonii – wyjaśniła. – To bardzo ważne. Wybaczcie.

Prawdę mówiąc była zadowolona, że miała pretekst do zakończenia rozmowy. Choć wiedziała teraz o androidach dużo więcej niż przeciętny człowiek, wciąż nie miała pojęcia jak o nich mówić ludziom, dla których ten temat był obcy.

VIII.

Etta wracała z zebrania, nie spiesząc się. Był ciepły, czerwcowy wieczór, na niebie zapalały się pierwsze gwiazdy i młoda kobieta po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, pomyślała, czy aby na pewno chce opuścić Ziemię. Nawet tak wyniszczona wciąż była piękna, a na dalekim Enceladusie co mogło czekać? Z drugiej strony, tak było trzeba. Ten niewielki księżyc o sztucznie wytworzonym ekosystemie miał się stać pierwszą pozaziemską kolonią. Dzieci, które tam dorosną, polecą dalej, do gwiazd, opuszczą układ słoneczny na zawsze, skolonizują planetę, której nigdy wcześniej nie widziały i tam wydadzą na świat własne potomstwo. Ludzkość przetrwa, nawet jeśli Ziemia ulegnie zagładzie. Ta myśl była krzepiąca, nawet w pewnym sensie radosna, mimo świadomości ogromnego ryzyka. Prace nad Wyprawą 1A (bo taki kryptonim jej nadano) miały potrwać dwadzieścia lat. Przez ten czas dzieci Enceladusa będą dorastać, ćwiczyć się w potrzebnych umiejętnościach i wchłaniać niezbędną wiedzę.

– A jak napotkają Obcych? – Etta przypomniała sobie naiwne pytanie Oksany Wysockiej i roześmiała się cicho. Udowodniono już, że w odległości, na jaką mogły dolecieć skonstruowane przez człowieka pojazdy, nie ma inteligentnego życia, tak więc nie było takiego niebezpieczeństwa. Badania przyniosły też inne rezultaty. Udoskonalona analiza spektralna pozwoliła na przykład ustalić, ponad wszelką wątpliwość, że ewoluujące na ziemiopodobnych planetach życie nie może być znacząco różne od ziemskiego. Wszędzie znajdowano te same aminokwasy, z jakich składało się DNA istot ziemskich i podobne konfiguracje atomowe.

– Życie na Ziemi jest, jakie jest, nie wskutek przypadku, ale dlatego, że inne nie miałyby szans na przetrwanie i ewolucję – powiedział profesor Haskiel. – Możemy śmiało założyć, że jeśli na jakiejś planecie panują warunki zbliżone do ziemskich, to i życie na niej jest typu ziemskiego. Nie mam tu na myśli ewolucji humanoidów, choć i tego nie można wykluczyć. Budowa człowieka jest z jednej strony wszechstronnie funkcjonalna, a z drugiej ma w sam raz tyle braków, ile trzeba, by rozwinęła się zdolność kompensacji, a co za tym idzie, myślenie twórcze. Rozum nie bierze się znikąd, moi państwo. To konieczność ewolucyjna, a jeśli tej konieczności nie ma, to się po prostu nie rozwinie.

Profesor mówił jeszcze długo, uzasadniając optymizm prognostyków na wszelkie możliwe sposoby i w końcu nie starczyło czasu na omówienie dotychczasowych wyników szkolenia. Resztę punktów przełożono na jutrzejszy wieczór i rozpuszczono ludzi do kwater. Byli bardzo zmęczeni, w końcu od rana biegali z jednej narady na drugą. Jedyne ojciec małego Timmy'ego wydawał się być niespożyty. Ojciec Timmy'ego. Etta wciąż nie mogła znaleźć jakiegoś zgrabniejszego określenia dla Tengiza. Nie był mężem Oksany, choć mieli dziecko,

a takt nie pozwalał byłej nauczycielce na dokładniejsze wypytywanie Rosjanki. Małego Timura kochali oboje, choć zupełnie inaczej zapatrywali się na kwestię tego, co dla niego najlepsze. Chłopczyk nie ponosił zresztą żadnej szkody, która mogła by wynikać z różnicy zdań. Był ufnym, otwartym malcem i, jak się wydawało, jednakowo kochał każde zrodziców.

Etta przystanąła pod domem, z rozkoszą wdychając zapach dzikich fiołków i maciejki, którą obsiano wszystkie wysepki zieleni, oparła się o jedno z młodych drzewek i przymknęła oczy.

– Czekasz na kogoś? – Niespodziewany głos wyrwał ją z zamyślenia. Obok stał Dario. Nawet nie usłyszała, gdy podszedł. Stał dwa kroki od niej, przystojny i męski, zadufany w sobie jak zawsze, odkąd go znała.

– Nie, wracam do siebie – odparła szorstko, niezadowolona, że dała się podejść. – Co tu robisz o tej porze? Nie powinienes być z rodziną?

Dario wzruszył ramionami.

– Nayeli układa dzieciaki do snu, a to potrwa. Zawsze chcą, by im poczytać i kłócą się o to, jaką bajkę wybrać – powiedział. – Wolałem się przejść. Mieszkasz sama?

– A co ci do tego?

– Nie wiem. Myślałem, że kogoś może masz.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Wiedział dobrze, że wciąż się jej podoba i, jak każdy świadomy swej urody mężczyzna, nawet nie dopuszczał możliwości, że mogłoby być inaczej.

– Nie, nie mam. Czego chcesz? – spytała Etta z niechęcią. Nie wydawał się być zrażony.

– No to zaproś mnie – zaproponował. – Wiesz, że zawsze mi się podobałaś. Gdybyś nie była „zerówką”, na pewno ożeniłbym się z tobą, nie z Nayeli. Nie zrozum mnie źle, bardzo ją lubię, ale to głupiutka gaska i na pewno nie jest tak ładna jak ty.

– Dario!

– No co? Nie zgrywaj cnotki. Komu to zaszkodzi, że się trochę poprzytulamy?

Etta odwróciła się z oburzeniem, chcąc wejść do domu, ale szwagier chwycił ją za ramiona i ponownie obrócił twarzą ku sobie. Był dużo wyższy i silniejszy, zbyt silny, by mogła się wyrwać.

– Puszczaj, draniu, bo zacznę krzyczeć! – Zawołała.

– Tak jakby ci się nie podobało. Jestem lepszy niż ten przerośnięty wibrator, z którym paradujesz na co dzień – Dario zaśmiał się i spróbował ją pocałować. Etta wykręcała się rozpaczliwie, usiłując go odepchnąć, gdy nagle jakaś ogromna siła oderwała szwagra od niej i uniosła w powietrze.

Dziewczyna odskoczyła w tył, łapiąc powietrze. Przed nią stał Raul,

trzymając za koszulę miotającego się na wszystkie strony mężczyznę. Etta przysięgłaby, że w jego lekko zaciśniętych ustach widzi całkiem nowy, nieznany wyraz.

– Puszczaj , zwariowany odkurzaczu! – Wyrzęził Dario. – Zgnieciesz mi żebra.

– Postaw go – nakazała Etta, odzyskując spokój. – Nic się nie stało.

Raul usłuchał bez słowa, ale nie cofnął się. Stał nadal między Dominą a jej pechowym, rozwścieczonym adoratorem. W całej nieruchomej postaci androida czaiła się nieokreślona groźba. Młoda nauczycielka jeszcze nigdy go takim nie widziała.

– Złożę skargę i zostaniesz złomowany, ty, ty...– wściekły Dario zamilkł, najwyraźniej szukając jakiegoś odpowiednio mocnego słowa.

– Piśnij choćby, a to ja złożę skargę – skontrowała Etta. – Wynoś się natychmiast i nie waż się więcej do mnie zbliżyć, bo pożałujesz. Jedyne ze względu na Nayeli nie zażadam natychmiastowego relegowania cię z ośrodka.

Szwagier wymamrotał przez zęby coś obraźliwego i zniknął w gęstniejącym mroku. Dopiero wtedy Raul spojrział na swą Dominę.

– Nic ci nie zrobił? – Zapytał z wyraźną troską. Etta pokręciła głową.

– Nie. Dzięki tobie.

Pogładziła Raula po ramieniu, wyczuwając palcami rzeźbę sztucznej muskulatury pod gładkim materiałem. Chciała go o coś spytać, ale się rozmyśliła. I tak nie dałby zbyt sensownej odpowiedzi. Lepiej było poczekać do jutra i zadać to pytanie specjalście.

Nie mogła spać, mimo dodatkowej dawki easyhalu. Dopiero nad ranem zdrzemnęła się nieco, ale skoro świt była na nogach. Wzięła gorący prysznic, przebrała się w mundur i poszła do kawiarni, gdzie spodziewała się zastać doktora O’Leary. Takich lokali było w ośrodku cztery, plus dwie duże restauracje. Większość kolonistów i prawie wszyscy załoganci jedli w nich posiłki, nie chcąc zawracać sobie głowy gotowaniem, a kwatery nie zostały wyposażone w automaty żywnościowe. MacLean O’Leary jadł zwykle śniadanie w kawiarni „Mała czarna”, a obiad i kolację, jeśli tylko miał na to czas, w restauracji „U Hazel”. Oba te lokale znajdowały się blisko jego kwatery, nie musiał więc daleko chodzić. Czasem zjawiał się w spodniach od piżamy i podkoszulku, ale po krótkim, początkowym zaskoczeniu wszyscy nauczyli się przyjmować to „po prostu”. Ktoś, kto znał go z Chichen Itza, wygadał się, że doktor to znany ekscentryk i nigdy nie przejmuje się tym, co ludzie pomyślą, zwłaszcza, że w pracy i tak był niezastąpiony – cóż, to tłumaczyło wszystko.

Tego ranka O’Leary siedział w „Małej Czarnej” przy jednym ze stolików i jadł naleśniki, popijając białą kawą. Na widok Etty jego chuda, ponura jak zwykle

twarz rozjaśniła się nieco.

– Pani siada – powiedział, wskazując ruchem głowy krzesło naprzeciwko. – Już pani przeczytała podręcznik?

– Skądże, dopiero jestem w jednej czwartej. To bardzo trudna książka, a nie chcę czytać po łóbkach – Etta usiadła i zamówiła lemoniadę. – Doktorze, muszę z panem porozmawiać. Pan jest tu osobą odpowiedzialną za androidy, nie tylko specjalistą od ich budowy i zachowań, ale też czymś na kształt koordynatora, prawda?

– No prawda. Cóż zatem?

– Muszę coś panu powiedzieć. Wczoraj Raul zaatakował mojego szwagra.

O’Leary spowaźniał.

– Dlaczego? – Spytał, odkładając widelec.

– Dario był wobec mnie natarczywy – wyjaśniła Etta. – Pewnie sama w końcu dałabym sobie radę, ale wtrącił się Raul. Nie zrobił mu krzywdy, skądże, ale potraktował trochę obcesowo. Wydało mi się, że jest jakiś dziwny... zazdrosny? Czy to możliwe?

Irlandczyk westchnął i potarł skronie palcami.

– Teoretycznie nie – odparł po chwili. – Nie odczuwają typowo ludzkich emocji. Jednak nie można być tego pewnym. Powiem to jeszcze inaczej: pogląd naukowy jest w tej kwestii odmienny niż obiegowy. Jak już pani wyjaśniałem, nie wiemy, jak dokładnie pracuje mózg pojedynczego androida. Wbrew powszechnej opinii, mają swój odpowiednik uczuć, zatem i zazdrość mogłaby zaistnieć, albo coś bardzo podobnego. Jednak moim zdaniem zadziałał tu zupełnie inny mechanizm. Zaborczość, wywołana obawą utraty. Pani nawet nie podejrzewa, jak trudno androidowi zmierzyć się z czymś takim, jak utrata Dominanta. Reakcją na to może być nawet permanentne zawieszenie.

– Nie myślałam dotąd o tym.

– Technologia produkcji Towarzyszy jest stosunkowo nowa, nie upłynęło jeszcze nawet jedno pokolenie od wprowadzenia programu. Nie było jak dotąd dużo materiału porównawczego.

Etta spróbowała sobie wyobrazić, co czuje android, gdy traci nagle sens istnienia, ale wyobraźnia odmówiła jej posłuszeństwa. Przecież nawet nie wiedziała, w jaki sposób androidy czują, czy w ogóle zaprzęta je coś takiego, jak cel egzystencji i czy go potrzebują.

– Jest tyle pytań. Raul nie może na nie odpowiedzieć, nie mam pojęcia czemu – westchnęła wreszcie.

– To przecież rozumiałe, czego pani nie wie? Przeciętny człowiek też nie potrafi opisać dokładnie procesów zachodzących w tkance mózgowej. To absurd sądzić, że pani Raul będzie wiedział o wszystkim, co dotyczy jego własnej budowy i działania tylko dlatego, że jest androidem. Niech pani uważa z takimi pytaniami,

bo może mu wyrządzić krzywdę. Proszę pamiętać, że pani Towarzysz jest bezpieczny od wszystkich, bo nie musi odpowiadać na niczyje pytania, jeśli przekraczają jego możliwości. Ma swobodę podejmowania decyzji. Jednak to nie dotyczy pani.

– Czemu?

O’Leary włożył do ust odcięty kawałek naleśnika i przez chwilę żuł w zadumie. Wreszcie przełknął i odpowiedział:

– Widzi pani, po prostu dlatego, że chce pani odpowiedzieć. Dla pani będzie szukał odpowiedzi, póki nie zawieszą się wszystkie obwody. Musi być pani ostrożna. I unikać szwagra. Lepiej nie prowokować takich sytuacji jak wczorajsza, bo może wreszcie dojść do nieszczęścia. Niestety nie żyjemy w bajce, nie istnieją „prawa robotyki”, o których pisał Asimov i android może zabić człowieka, jeśli uzna to za uzasadnione.

– Będę ostrożna – obiecała Etta. – Dziękuję, doktorze.

– Proszę się do mnie zwracać, ilekroć będzie pani miała takie problemy.

Przez tę rozmowę omal nie spóźniła się na egzamin podoficerski. Egzaminatorzy bez wątpienia zauważyli jej zdenerwowanie, szczególnie kapitan Willner, który od razu posłał jej krzepiący uśmiech. Rzadko widywała tego energicznego, zawsze wesołego mężczyznę, ale już po pierwszym spotkaniu zdążyła go polubić. Jak wyjaśniła Oksana, Kirk Willner miał to do siebie, że zjednywał sobie ludzką sympatię. Ta kobieta dobrze go znała, służył bowiem w tym samym korpusie, co ojciec jej synka i czasami ją odwiedzał. Mały Timmy uwielbiał go bezkrytycznie, a Etta musiała przyznać, że kapitan ma wyjątkowo ciepły i serdeczny stosunek do dzieci. Przed jednym z zebrzań spytała nawet, czemu, mając tyle na głowie, traci czas w świetlicy, gdzie przychodzi kilka razy na tydzień.

– Kocham dzieci – wyjaśnił poważnie. – Niestety, jestem „mocne zero”. Jakby na to nie patrzeć, to swoich dzieci, z własnej krwi, pewnie nigdy mieć nie będę. Nie ma pani pojęcia, jak to boli.

– Mam pojęcie – odrzekła wtedy. – Przecież też jestem „zero”.

Oczekiwała jakiejś odpowiedzi w rodzaju „tak, ale...”, lecz kapitan objął ją tylko i pocałował – nie natarczywie, ale jak dobry przyjaciel. Przez moment, przytulona do jego szerokiej piersi, poczuła coś dziwnego – po chwili zdefiniowała to jako poczucie całkowitego bezpieczeństwa, świadomość, że jest się dla kogoś niezwykle ważną. Zwierzyła się z tego Weronice.

– Nie ma w tym nic dziwnego – odpowiedziała przyjaciółka. – To kapitan ekspedycji. Został specjalnie wybrany. Musi budzić bezwzględne zaufanie, uwielbienie i respekt jednocześnie. To podstawowy wymóg funkcji.

Cóż, Kirk budził takie uczucia. Trzeba też przyznać, że traktował wszystkich przyjaźnie i z szacunkiem, niezależnie od ich pozycji w hierarchii. Ludzie czuli się

dobrze w jego towarzystwie, jakby udzielała się im jego nieokielznana energia, humor i pewność siebie. Może właśnie dlatego, widząc go w komisji egzaminacyjnej, Etta poczuła ulgę i nawet zdołała się uśmiechnąć. Wkrótce też przekonała się, że egzamin nie był nawet w połowie tak straszny, jak oczekiwała, choć ciągnął się długo i obejmował wszystkie partie przerobionego na kursach wieczorowych materiału.

Po sesji okazało się, że Weronika urządziła niewielkie przyjęcie w kawiarni na cześć promocji przyjaciółki, która na dodatek wypadła akurat w jej dwudzieste piąte urodziny. Na świeżo upieczonego sierżanta (egzamin dla osoby z wyższym wykształceniem zakładał przeskokowanie najniższych stopni podoficerskich) czekał tort, serpentyny i koktajle alkoholowe. Zakłopotana Etta przekonała się ze zdumieniem, że jest w ośrodku bardziej lubiana, niż sądziła. Pracowitość, zaangażowanie, inwencja w organizowaniu zajęć dla dzieci i miły charakter zjednały jej wiele sympatii i kawiarnię wypełniał, jak się zdawało, cały tłum gratulujących znajomych. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa poczuła się jak w rodzinie, a nawet lepiej, bo przecież własna rodzina nie traktowała jej zbyt dobrze. Wyściskana i wycelowana siadła wreszcie, by złapać oddech, a wtedy jeszcze jedna para krzepkich, choć małych rąk objęła ją od tyłu za szyję. Odwróciła się, zaskoczona.

– Esteban! – Zawołała. – Skąd się tu wzięłeś?

– Przyjechałem z mamą – wyjaśnił chłopiec i pociągnął za rękaw kobietę, która stała obok.

Po raz pierwszy Etta miała okazję zobaczyć Hermionę Ponce, matkę jednego z dawnych podopiecznych i zdumiała się jej urodą. Ta kobieta wyglądała jak grecka bogini: wysoka, o nieskazitelnych kształtach i regularnych rysach, klasycznej linii nozdrzy, jasnych włosach uczesanych w kunsztowny kok. I tylko spojrzenie miała twarde, niekobiece, a piękne usta nie uśmiechały się – zbyt wiele przeżyła, by nie zostawiło to piętna.

– Witam panią – powiedziała Etta, zrywając się spieszenie i podając jej rękę.

– Witam Estebanito wiele o pani opowiadał, bardzo chciałam panią poznać – powiedziała doktor Ponce, ściskając jej dłoń mocno. – Jestem tu szefem działu naukowego, sekcja chemiczna.

– Bardzo mi miło. Cieszę się, że Esteban z nami poleci, to taki wartościowy chłopak.

– Ja też się cieszę, że mogłam go zabrać. Szczęśliwie jego ojciec ma już dzieci z drugą żoną, więc go nie potrzebuje – Hermiona spochmurniała jeszcze bardziej. Na pewno wciąż przeżywała to, co ją spotkało.

– Bardzo się cieszę, że jest pani z nami – rzekła cicho Etta.

Hermiona usiadła obok i wzięła synka na kolana. Chłopiec przytulił się do

matki, nie puszczać jednocześnie ręki ulubionej nauczycielki. Etta przyglądała mu się ze współczuciem. Zawsze traktowała go z większą wyrozumiałością niż innych uczniów, wiedząc o tragedii, którą przeżył jako sześciolatek, ledwo trzy miesiące po rozpoczęciu nauki.

– Też się cieszę, że dostałam szansę na zrobienie czegoś z swoim życiem – powiedziała doktor Ponce. – I że mogłam zabrać dziecko. Jak pani sądzi, koloniści dadzą sobie radę?

– Ależ oczywiście – zapewniła Etta z całą serdecznością, na jaką mogła się zdobyć. – Będzie pani naprawdę ważnym elementem kolonii. Sekcja chemiczna to punkt strategicznie ważny.

– Mówi pani jak wojskowy taktyk.

– Cóż, jestem teraz podoficerem, ale proszę się tym nie zrażać. Jestem taka, jak przedtem, tylko w mundurze.

– Tu w ogóle jest dużo mundurów. Nie przypuszczałam, że tym projektem zarządza wojsko.

– Tak jest lepiej dla wszystkich.

– Trudno do tego przywyknąć.

Esteban poruszył się gwałtownie i spytał:

– A są tu inne dzieci?

– Oczywiście, całe mnóstwo. Zobacysz, jak będziesz się tu dobrze bawił – obiecała. – A teraz powiedz, chcesz kawałek tortu?

– Oczywiście! – Ożywił się chłopiec. Nakładając ciasto na talerzyk Etta pochwyciła znaczące spojrzenie Weroniki. Dobrze je знаła – mówiła nim:

– Mam coś ważnego do przekazania.

– Przepraszam panią. Dziecinko, trzymaj tort i możesz się jeszcze poczęstować, czym tam chcesz – powiedziała, wstając. – Muszę z kimś porozmawiać.

Weronika odciągnęła przyjaciółkę w kąt, ledwie do niej podeszła.

– Z biura Koordynatora zginął plan migracji – szepnęła. – Gdy tylko wrócisz do siebie, wyciągnij wszystkie dane, za które odpowiadasz i zaszyfruj kluczem numer 4. Rano zaniesiesz je Nakamarze.

– Mogę przesłać.

– Lepiej nie. Łączą mogą być zhakowane. Nagrasz na nośnik i przyniesiesz. Wszyscy dostaliśmy takie polecenie.

– W porządku. To wiele nie zajmie, zrobię to po powrocie na kwaterę. Nie wyjdę przecież w środku własnego przyjęcia, i to jeszcze teraz, gdy zjawił się mój ulubiony uczeń.

– I tak musi się skończyć przed ciszą nocną.

W Ośrodku panował wojskowy rygor i punktualnie o dziesiątej wieczorem wszystkie światła musiały być pogaszone. Dopuszczalna była nocna lampka, gdy

ktoś chciał dłużej poczytać, ale nie pełne oświetlenie czy wręcz spotkania towarzyskie. Wszyscy do tego przywykli i dwadzieścia minut przed dziesiątą zabawa wygasła sama z siebie, uczestnicy udali się pospiesznie do kwater. Etta również pobiegła do siebie, zostawiając sprzątaną automatami kelnerskim. Przed wszystkim zasunęła żaluzje, żeby być w zgodzie z przepisami, potem usiadła do komputera.

– Nie kładziesz się? – Spytał Raul.

– Muszę trochę popracować. Położę się, jak tylko skończę.

– Nie wyśpisz się. Ludzie potrzebują około ośmiu godzin nieaktywności na dobę, żeby móc w pełni wydajnie funkcjonować.

Etta spojrzała na swego Towarzysza z pewnym zaskoczeniem. Nie był to pierwszy raz, gdy wygłaszał podobne uwagi. Wiedziała, że na specjalnych kursach androidy są uczone pierwszej pomocy i podstaw pielęgniarstwa, nie myślała jednak, że Raul zacznie się zachowywać jak osobisty medyk. Pomyślała nagle, że chciałaby wiedzieć, czy inni Towarzysze również nabrali takich dziwnych manier.

– Ludzie są bardzo elastyczni – powiedziała wreszcie. – Mogą czasem zarwać okres wypoczynku bez szkody dla siebie. Muszę zrobić na jutro ważne zestawienie dla Koordynatora.

– Pomogę.

– Nie trzeba, to prosta robota. Skończę w godzinę. Weź prysznic i połóż się.

– Dobrze, ale nie teraz. Podładuję baterię i przyjdę.

Etta skinęła głową aprobująco. Wiedziała, o co chodzi. Każdy android uruchamiał ogniwo samoladujące na osobności, żeby nie narażać ludzi na promieniowanie z minirdzenia. Oznaczało to, że będzie miała dość czasu na zestawienie danych dla Koordynatora, a może nawet zdąży skorzystać z prysznica, nim Raul wróci.

Nie, to nie było przywidzenie. Główny Koordynator Migracji, pułkownik Kurt Nakamara, leżał na podłodze biura, patrząc niewidzącymi oczami w sufit. Spod jego pleców wypływała czarna kałuża, zastygła w nieregularną plamę na wykładzinie. Etta zachwiała się. Przedtem myślała jedynie, czemu w biurze jest tak zimno, teraz oblał ją pot, jakby klimatyzator przestawił ogrzewanie na co najmniej 40 stopni Celsjusza. Pierwszy raz w życiu widziała kogoś martwego. Upłynęła dobra chwila, zanim dziewczyna wzięła się w garść i zdobyła na to, by dotknąć przycisku telekomunikacji. Szybko wywołała numer kapitana ekspedycji. Nawet nie pomyślała, by wzywać kogoś innego.

Kirk Willner zjawił się w biurze kilka minut później. Klepnął Ettę po plecach i niezwłocznie przystąpił do oględzin zwłok, mrużąc coś do siebie. Wreszcie wyprostował się i ponownie spojrzął na drżącą dziewczynę.

– Bez wątpienia to morderstwo – oświadczył. – Zaraz dam znać konowalóm, jak najszybciej musimy mieć wynik autopsji. Trzeba też sprawdzić, czy coś nie zginęło, a jak tak, to co. Kto najlepiej orientuje się w zawartości tego biura?

– Myślę, że Weronika.

– Niech ją pani wezwie.

Spokój i pewność siebie kapitana dodały nauczycielce nieco odwagi, choć nadal nie mogła opanować drżenia kolan. Posłusznie wezwała do biura Weronikę, podczas gdy Willner rozmawiał ze służbami medycznymi. Zauważyła, że używał specjalnie kodowanego łącza.

– Podejrzewa pan coś albo kogoś? – Spytała, gdy skończył.

– Wie pani, ktoś musiał to zrobić, nie ma siły – odparł szorstko kapitan. – Takie rzeczy same się nie robią. Trzeba jeszcze dać znać pułkownikowi Gongadze... będzie miał co robić. No i zamykamy teren ośrodka. Nikt stąd nie wyjdzie ani nie wejdzie, póki nie rozwikłamy tej sprawy.

Etta przypomniała sobie, co mówiła Weronika o przeciwnikach wyprawy i znowu mimo woli zaczęła dygotać. Willner zauważył to i opiekuńczo położył jej dłonie na barkach.

– Proszę się niczego nie obawiać, złapiemy go – powiedział z naciskiem. – Niech pani użyje easyhalu i proszę tu zostać, będą potrzebne pani zeznania.

Etta skinęła posłusznie głową, z trudem opanowując chęć, by przytulić się do kapitana i poszukać ukojenia w jego silnych ramionach. To byłoby wyjątkowo nie na miejscu. Wyjęła z przegródki w pasie inhalator easyhal i zaciągnęła się mocno. Po chwili groza minęła, pozostała tylko chłodna myśl i spokój. Przestała drżeć.

Weronika zjawiła się na miejscu zbrodni razem ze służbami medycznymi. Na pewno nie była aż tak wstrząśnięta jak Etta, ale i tak wyglądała na wytrąconą z równowagi. Ledwie zwróciła uwagę na przyjaciółkę, z roztargnieniem odpowiedziała na powitanie Willnera i zbladła gwałtownie na widok zwłok Koordynatora, mimo że była na to przygotowana.

– Zarejestrujcie wszystko i zabierzcie ciało – poleciła medykom, opanowawszy się nieco. – Kapitanie Willner, proszę zorganizować kordon wokół biura. Nikt oprócz mnie nie ma prawa wyjść ani wejść, póki nie skończę spisu wszystkiego, co się tu znajduje. Musimy wiedzieć, czy coś zginęło, a jeśli tak, to co.

– Tak jest – odparł kapitan tak, jakby odpowiadał komuś znacznie wyższemu stopniem. W tym momencie to Weronika dowodziła akcją, a on uznawał to bez żadnej dyskusji.

Medycy zakończyli rejestrację wizualną, a potem ostrożnie przełożyli ciało Koordynatora na nosze.

– Chwila – zatrzymała ich Weronika. Stała nad noszami i wpatrzyła się w nie z dziwnym natężeniem. Przez chwilę, marszcząc czoło i poruszając bezgłośnie wargami, wyraźnie próbowała sobie coś przypomnieć.

– O co chodzi? – Spytał wreszcie kapitan Willner, zaniepokojony przedłużającą się ciszą.

– Nie wiem. Coś jest nie tak, ale nie mogę uświadomić sobie, co. Dobra, później o tym pomyślę. Zabierzcie go. Jak najszybciej raport z autopsji. Najpierw do doktora Gongadze i do mnie, kopia do dowództwa naczelnego.

– Czekamy na ten raport z powiadomieniem sztabu? – Spytał ostrożnie kapitan.

– Nie. Zaraz wyślę wstępny meldunek do generała Lazinsky'ego. A przede wszystkim trzeba zawiadomić podpułkownika Gongadze. Teraz jest głównym decydem, póki nie nadejdą inne rozkazy.

– Nie pani? – Wyrwało się kapitanowi.

Weronika spojrzała na niego ostro, jak oficer na podwładnego, a do Etty dotarło coś, co powinna zrozumieć już dawno – przyjaciółka pełniła w łańcuchu dowodzenia o wiele ważniejszą funkcję, niż dotąd się zdawało. Przypomniała sobie nagle dawne, obecnie zapomniane określenie „szara eminencja”. Wydawało się bardzo adekwatne.

– Nie. Moje zadania są inne, nie mogę siedzieć przy biurku.

Kapitan Willner skinął głową, poczekał, aż miną go medycy dźwigający nosze, potem podszedł do Etty.

– Chodźmy stąd – powiedział cicho. – Rozpoczyna się dochodzenie, nie będziemy przeszkadzać. Jeśli będziemy potrzebni, zostaniemy wezwani.

Dziewczyna posłusznie wyszła, konstatując, że mimo easyhalu kolana ma miękkie tak, jakby coś w nie uderzyło od spodu. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć jeszcze dawki opti, ale zrezygnowała. Wolą w tak napiętej sytuacji nie ryzykować utraty obiektywizmu, a zmieszanie tych dwóch popularnych medykamentów mogło wprowadzić ją w rodzaj łagodnej euforii – coś bardzo miłego, ale zakłócającego prawidłowy osąd.

Kirk Willner zaprowadził Ettę do kawiarni pod centrum dowodzenia ośrodkiem, posadził przy jednym ze stolików i zamówił wzmocnioną kawę z prawdziwym cukrem.

– Proszę się napić, to dobrze pani zrobi – powiedział serdecznie. – Koniak byłby jeszcze lepszy, ale w sytuacji alarmu wewnętrzny obowiązuje ścisła abstynencja.

– Rozumiem, kapitanie – Etta pomyślała, że właśnie dziś chętnie by się napiła czegoś mocniejszego. Ale jak nie wolno, to nie wolno. Rozumiała to dobrze, choć mimo munduru i szkolenia wciąż nie czuła się żołnierzem.

Kapitan podał jej kawę i usiadł naprzeciwko.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponował. – Mam wyższy stopień, ale nie jesteśmy przecież w brytyjskiej marynarce królewskiej. W porządku, Estrello?

– W porządku Kirk – odparła dziewczyna, zawahawszy się przez ułamek sekundy. Wrodzona nieśmiałość znowu się odezwała, choć życie w ośrodku nieco ją przytłumiło. Jednak wobec takich mężczyzn jak kapitan Willner – przystojnych, silnych i bardzo męskich, w każdym calu wojowników – zawsze czuła się oneśmielona. O wiele łatwiej odnajdywała się w towarzystwie intelektualistów.

– Dobrze znasz Weronikę Hornet? – Spytał kapitan, upiwszy łyk kawy.

– Razem kończyłyśmy liceum. Mieszkałyśmy w jednym pokoju przez osiem lat, również podczas studiów, choć poszłyśmy na różne wydziały.

– W liceum też? Nie za wcześnie na samodzielność?

– Rodziny chętnie się nas pozbyły, wysyłając do internatu w stolicy. Pan... ty nie miałeś takich problemów?

– Nie. Rodzice bardzo mnie kochali, trzymali przy sobie i miałem trudności z „przecięciem pępownicy”. Przykro mi, że musieliście dawać sobie radę same, to na pewno nie było łatwe.

– Łatwe nie, to prawda, ale miałyśmy siebie. Zaprzyjaźniłyśmy się od pierwszego spotkania i przez następne osiem lat prawie się nie rozstawałyśmy. Właściwie jesteśmy jedna dla drugiej jedyną prawdziwą rodziną.

– No tak – kapitan ponownie napił się z filiżanki, nie spuszczać przy tym z Etty spojrzenia niebieskich oczu – Ale przecież niedawno zjawiała się tu twoja siostra z mężem i dziećmi, prawda?

Dziewczyna skinęła niechętnie głową.

– Tak – odparła. – Tylko co z tego? Z Nayeli nigdy nie byłam zbyt zaprzyjaźniona, dzieci boją się, a Dario... lepiej, by się nie zbliżał.

– Boją się ciebie? Niemożliwe. Przecież doskonale rozumiesz się z dziećmi, uwielbiają cię.

– Owszem, ale nie ta dwójka. Zrobiłam awanturę Amadorowi na wstępie i teraz oboje mają mnie za wiedźmę. Sama się sobie dziwię, czemu tak wybuchłam. Przecież jego kopniak nie mógł zrobić Raulowi żadnej krzywdy.

Była to prawda. Im dłużej Etta o tym myślała, tym mniej pojmowała swe zachowanie w biurze odpraw. Czemu zachowanie Amadora aż tak ją zdenerwowało? W końcu był tylko dzieckiem, jeszcze nie wszystko wiedział, nie wszystko rozumiał.

– Może dlatego, że dla ciebie android to coś więcej niż dla wielu ludzi – rzekł Willner poważnie. – Dla ciebie to człowiek. Raula nie tylko lubisz, ale i szanujesz.

– A czym są androidy dla ciebie, Kirk?

Kapitan spłoszył się nagle i umknął wzrokiem w bok. Widać było, że temat nie jest dla niego łatwy.

– Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie – mruknął po chwili. – Przywołuje smutne wspomnienia.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Nie twoja wina. To było dawno, byłem wtedy zaledwie podoficerem. Mój ówczesny przełożony, major Geoffrey Hunter, miał Towarzyszkę, Rachel 82F.

Urwał na moment. Etta nakryła współczująco jego szeroką dłoń swoją delikatną ręką.

– Jeśli to sprawia ból, lepiej nie mów – rzekła miękko.

– To nie ból, to głęboki wstyd. Muszę z tym żyć, choć chciałbym wymazać z pamięci tamto wydarzenie. Widzisz, zachowałem się jak ostatni egoista.

Major Hunter był „zerowcem”, choć nie tak zdecydowanie minusowym jak ja i dlatego postarał się o Towarzyszkę. Na oko Rachel była całkiem zwyczajna, ale miała osobowość, i to jaką. Ponieważ byłem ordynansem majora, miałem z nią dużo do czynienia i stało się tak, że wpadłem w obsesję na jej punkcie. Jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że się po prostu zakochałem, choć wtedy tak bym tego nie nazwał. Sama myśl wydawała mi się absurdalna. Jednak ogarnęło mną pragnienie zdobycia Rachel i w tym celu podjąłem pewną intrygę. Nie będę cię zanudzał szczegółami, powiem tylko, że namówiłem daleką kuzynkę, Doreen, która była „jeden plus”, żeby zaczęła się umawiać z majorem. Geoffrey zakochał się w niej, i to na poważnie, tak że postanowił się ożenić. Razem mogli starać się o dziecko „z próbówki”. O to też chodziło. Żonaci nie potrzebują Towarzyszy, zamyślałem więc wyprosić Rachel dla siebie. Nie powiem, major zgodził się na moją sugestię z ulgą, pewnie uważał, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Szalałem ze szczęścia. Nie wziąłem pod uwagę tego, że ona też może mieć jakieś uczucia. Chyba nie wydawało się to możliwe.

– I co się stało.

– Żebym chociaż wiedział. Rzecz w tym, że nie mam pewności. W dzień ślubu majora z Doreen Rachel wyszła z domu i nie wróciła. Nie wiadomo, co się z nią stało. Nic nie udało się ustalić, choć śledztwo trwało długo, zadbałem o to.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Tak i to mnie zabija. Podejrzewam, że w ten sposób Rachel wyraziła protest przeciwko traktowaniu jej jak przedmiot. Myślę, że dokonała aktu samozniszczenia, przecież inaczej coś byśmy znaleźli. Cokolwiek.

Etta dalej trzymała dłoń na jego ręce. Czuła, że kapitan powiedział coś, z czego nie zwierzyłby się nikomu innemu, i że bardzo potrzebuje teraz przyjaznego dotyku. Nie był jednak całkiem z kamienia, choć czasem na takiego pozował. Pewnie musiał tak robić, jako dowódca wyprawy tej skali, ale – co Etta zrozumiała dopiero teraz – nie przychodziło to łatwo.

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedziała. – Nie ustrzeżemy się od tego.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się radiowęzeł:

– Uwaga: kapitan Kirk Willner zgłosił się do dowództwa. Wszyscy koloniści proszeni są o pozostanie w kwaterach aż do odwołania. Na terenie ośrodka zostaje wprowadzony stan wyjątkowy.

– Zaczyna się – powiedział kapitan, wstając śpiesznie od stolika.

Miał rację. Od tej pory wypadki potoczyły się szybko: wzmocniono patrole, zorganizowano dostarczanie posiłków do domów, a ze sztabu naczelnego przyjechało dwóch detektywów – cywilny, Erik Karlson, oraz wojskowy, major John Carter. Obaj przede wszystkim chcieli obejrzeć miejsce zbrodni, ale Weronika nie wpuściła ich, póki nie upewniła się ostatecznie, że z biura zginął jedynie spis pracowników. Nie było wiadomo, czy ktoś zabrał go, by skierować śledztwo na fałszywe tory, czy też przyszedł po ten dokument, a Koordynator go zaskoczył. System monitoringu wewnętrznego biura został zagłuszony i to bardzo sprawnie – nie tylko z zapisów nie można było nic odczytać, ale też ślady manipulacji były dokładnie zatarte. Kamery zewnętrzne również nie zarejestrowały niczego podejrzanego, ale tu udało się uzyskać pewną wskazówkę – kwadrans przed północą nastąpiło krótkotrwałe wstrzymanie zapisu. Była to akcja dobrze pomyślana i dobrze zrealizowana, gdyż wykryto ją dopiero po drobiazgowym przeanalizowaniu markerów czasu na zapisie – otóż w pewnym momencie zegar zaczął się spóźniać o kilkanaście sekund. Należało tylko ustalić, od którego momentu zaczęło się to opóźnienie i stało się wiadome, kiedy morderca zjawił się w biurze. Niestety, na wstępnym etapie śledztwa nie ustalono nic ponadto. Przesłuchania personelu również nie wniosły nic nowego. Detektywi mieli teraz w planie przesłuchanie wszystkich kolonistów, ale że była to robota na długie tygodnie, postanowili poczekać wprawdzie na raport z sekcji zwłok. Mógł ujawnić szczegóły zawężające krąg podejrzanych, a to byłoby im bardzo na rękę.

X.

Oksana Wysocka przyszła na zebranie jako ostatnia. Etta uśmiechnęła się na powitanie, ale pani mikrobiolog nie odwzajemniła uśmiechu. Przeciwnie, zdawała się omijać ją wzrokiem. Wyglądała na spłoszoną i skrępowaną, tak, wyraźnie była zdenerwowana i to dużo bardziej, niż można się było tego spodziewać. Etta poczuła ukłucie niepokoju. Co jeszcze mogło się wydarzyć?

– Pani Wysocka przedstawi nam raport z autopsji – powiedział Erik Karlson.
– Oksano Nikołajewna, prosimy.

Oksana zajęła miejsce na podwyższeniu i odchrząknęła dwukrotnie. Widać było, że nie wie, jak zacząć, ale widok wpatrzonych w nią oczu był naglący, więc w końcu rozpoczęła raport:

– Moi państwo, jak wiadomo, mam uprawnienia patologa sądowego i w związku z tym polecono mi przeprowadzenie sekcji zwłok Głównego Koordynatora. Razem z zespołem specjalistów wykonaliśmy dokładną autopsję, starając się niczego nie pominąć. Oficjalny raport będzie dostępny dla wszystkich chętnych w Centrum Dowodzenia Misją, a teraz przedstawię najważniejsze punkty. Kurt Nakamara bez wątpienia został zamordowany. Zbrodni najprawdopodobniej dokonał pojedynczy osobnik, który zaszedł Koordynatora od tyłu i po krótkiej walce złamał mu kark ciosem karate. Pan Nakamara upadł na stłuczoną szklanę, stąd pokaleczone plecy i krew na wykładzinie. Zdarzenie miało miejsce między północą a trzecią rano. Ustalenie dokładnej godziny jest niemożliwe, gdyż ktokolwiek tam był, przestawił termostat na temperaturę bliską zeru, a to spowodowało ochłodzenie zwłok. Jest rzeczą znamionną, że choć na ciele denata pozostały sińce spowodowane uciskiem, to ewidentnie zadano tylko jedno uderzenie. Zabójca był doskonale wyszkolony i precyzyjny, świetnie wiedział, co robi i w żadnym wypadku nie było to ani zabójstwo w afekcie, ani przypadkowa śmierć w wyniku niezaplanowanej bójki. Zebraliśmy wszystkie mikroślady, jakie tylko zdołaliśmy znaleźć. Po wykluczeniu drogą eliminacji tych, które miały związek z miejscem zbrodni, pozostał tylko jeden trop, mianowicie obecność na koszuli denata makromolekuł typu AN, mocno wpasowanych w strukturę włókien.

Siedzący dwa krzesła od Etty doktor O’Leary zeszytywniał w widoczny sposób i z cichym świstem wypuścił powietrze między zębami.

– Co to oznacza? – Spytał podpułkownik Gongadze.

– Wyjaśni pan, doktorze O’Leary?– Zwróciła się Oksana do Irlandczyka. Ten skrzywił się i pochylił głowę, jakby ktoś uderzył go mocno w brzuch.

– To oznacza szarpaninę z androidem – rzekł niechętnie. – I wiem, co pani zaraz powie, Oksano Wysocka! A ja powiem, że zalecałbym daleko posuniętą ostrożność w formułowaniu wniosków.

Na sali zaszumiało, odezwały się podniesione głosy.

– Spokój! – Huknął detektyw Karlson. – Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, niech prosi o głos!

Zgłosił się profesor fizyki Xiao K’ung.

– Doktorze O’Leary, czy to możliwe, by android popełnił morderstwo bez sugestii ze strony Dominanta? – Spytał, zwracając się do MacLeana. Ten wzruszył chudymi ramionami.

– Gdyby to działanie uznał za zgodne z logiką, to tak – odparł niechętnie. – Android nie jest sterowaną zdalnie zabawką. Większość ludzi zapomina, że on podejmuje niezawisłe decyzje.

– Czemu więc słucha Dominanta?

– W żargonie zawodowym określa się to jako syndrom dżinna. Jak wiadomo, baśniowy dżinn był nieprzewidywalny i samowolny, ale z poczucia wdzięczności słuchał tego, kto wypuścił go z butelki. Tak samo android. Wiedząc, że Dominant był powodem jego „narodzin”, czuje się zobowiązany do posłuszeństwa. Nie znaczy to jednak, że nie może działać na własną rękę. Pani doktor, czy wiadomo już, czyj to android?

Oksana przytaknęła

– Jak wiadomo, makromolekuły zawierają indywidualny kod. Zidentyfikowaliśmy , do którego z Towarzyszy należą znalezione na ubraniu Koordynatora.

– No więc?

Oksana zawahała się i pochyliła głowę bezradnie.

– Wybacz, Etta – powiedziała żałośnie. – To był Raul.

Etta poderwała się z miejsca, wywracając krzesło, na którym siedziała.

– Ależ to niemożliwe! – Krzyknęła. – Raul nie skrzywdziłby nikogo!

– Jednak to jego molekuły znaleźliśmy na ubraniu denata. Nie ma mowy o pomyłce. Jeśli umie to wyjaśnić, nic mu nie grozi.

– Ciekawe, jak miałby to wyjaśnić? – Parsknął ktoś z tylnego rzędu krzeseł.

– Jeśli zabił, to nie po to, by się przyznać.

– Po co nad tym medytować? Jeśli jest niebezpieczny, trzeba się go pozbyć – włączyła się doktor Celina Xiao.

– Zdezaktywujmy go, potem będzie pora na śledztwo.

– Po moim trupie, słyszy pani?! – Krzyknęła Etta. – Po mim trupie!

– Uspokójcie się wszyscy – kapitan Willner uderzył dłonią w stół. – Pani

Oksano, czy może pani z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że android Raul jest winien zabójstwa?

– A skąd, tego nie powiedziałam! Tylko, że molekuly z jego markerem zostały znalezione na koszuli denata.

– No więc jak to wytłumaczyć? – Zaczęła ponownie doktor Xiao, ale kapitan uciszył ją wściekłym spojrzeniem. Umiał trzymać ludzi w garści i ta umiejętność bardzo mu się teraz przydała. Miał do czynienia ze wzburzoną ekipą, niewyjaśnionym morderstwem oraz podejrzanym, który dla niektórych był bardzo wygodnym kozłem ofiarnym. Gdy ludzie uciszyli się nieco, wskazał na jednego z detektywów, udzielając mu głosu.

– Nie wiemy, czy to on zabił. Wiemy teraz jedynie, że z jakiegoś powodu szarpał się z denatem i musimy wyjaśnić, czy doszło do czegoś więcej – Erik Karlson wstał z miejsca. – Drodzy państwo, proszę teraz udać się do swoich zadań. Majorze, pan zajmie się odszukaniem i doprowadzeniem Raula 209C na przesłuchanie.

Etta wzięła głęboki oddech – nie chciała używać easyhalu publicznie, i to jeszcze w takiej sytuacji – i nagle sobie coś przypomniała.

– Jak tak, to proszę i mnie aresztować! – Zzawołała z determinacją. – Prawo stanowi, że za przestępstwo popełnione przez androida odpowiada Dominant.

Detektyw Karlson podszedł i uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

– Proszę się opanować, panno Solis – powiedział. – Rozumiem pani wzburzenie, ale to trop, który musimy sprawdzić, nim skierujemy podejrzenia w inną stronę.

– Pan wierzy, że to Raul zabił pana Nakamarę, prawda?

– Ja, panno Solis, nie mam żadnego poglądu. Na razie zbieram wszelkie możliwe dane. Zapewniam panią, że Raul zostanie potraktowany tak samo, jak każdy inny przesłuchiwany. Zresztą będzie pani przy tym.

– Mogę?

– Musi pani. Nie wolno przesłuchiwać androida bez obecności Dominanta.

Ta wiadomość wcale Etty nie uspokoiła, nadal serce biło jej jak szalone. Poczula się jednak nieco pewniej. Posłusznie udała się do wyznaczonej przez zespół dochodzeniowy sekcji przesłuchań i dopiero tam trochę odetchnęła. Tutaj, w tym niewielkim gronie, paradoksalnie czuła się bardziej wystawiona na ostrzał niż w wypełnionej ludźmi sali konferencyjnej. A przecież nikt tu nie był wrogiem.

Dwóch żołnierzy z patrolu przyprowadziło Raula do gabinetu. Zachowywał się normalnie, jak zwykle. Nie okazywał żadnego niepokoju, nawet w zakresie androidzkiego „schematu destabilizacji”, o którym Etta czytała ostatnio w podręczniku.

– Siadaj – powiedział detektyw, wskazując Raulowi krzesło. Ten posłusznie

usiadł, rzucając jedynie szybkie, niemal niedostrzegalne spojrzenie na swoją Dominę.

Detektyw oparł łokcie na stole i przypatrzył się uważnie podejrzanemu – bardziej z nawyku niż rzeczywistej potrzeby, bo z zachowania androida nie można było niczego wnioskować.

– Jak się nazywasz? – Spytał.

– Raul 209C.

– W jakim jesteś wieku?

– 8 miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni.

– Kto jest twoim Dominantem?

– Panna Estrella Katerina Solis.

– Gdzie byłeś w nocy z dnia 2 na 3 lipca bieżącego roku, między północą a trzecią nad ranem, gdy został zamordowany Kurt Nakamara?

– W służbowym mieszkaniu, razem z moją Dominą.

– Nie opuszczałeś mieszkania?

Android przez chwilę milczał.

– Odpowiedz – ponagliła go Etta.

– Opuszczałem.

– Po co? – Indagował dalej Karlson.

Ponowne długie milczenie i nagłe słowa:

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Czemu?

– Ponieważ wyszedłem w sprawie prywatnej.

– Jakie prywatne sprawy może mieć robot? – Prychnął nieprzyjaźnie Carter.

Gongadze uciszył go syknięciem, a Karlson w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa. Cały czas był skoncentrowany na czarnowłosym androidzie, który siedział naprzeciwko niego z nieruchomą twarzą i dłońmi złożonymi na kolanach.

– Chyba nie rozumiesz, że toczy się śledztwo w sprawie o morderstwo. Musimy wiedzieć, gdzie byłeś.

– Odmawiam odpowiedzi.

– Raul. – jęknęła Etta z przerażeniem. Towarzysz spojrzał na nią we właściwy sobie, łagodny sposób.

– Nie zrobiłem nic niewłaściwego – powiedział. – Nikogo nie zabiłem.

– Może nie chciałeś tego zrobić. Szarpaliście się, jesteś bardzo silny i niechący... – zasugerował Karlson.

– Tak nie było. Nigdy nie szarpałem Głównego Koordynatora. Tej nocy nie było mnie w jego biurze.

– Musimy jednak wiedzieć, co robiłeś tej nocy, nawet jeśli nie było to nic złego – naciskał detektyw, nie tracąc cierpliwości. Widać było, że ma doświadczenie w przesłuchiowaniu androidów i raczej nie żywi uprzedzeń.

– Raul, proszę cię.

Android milczał, zaciskając uparcie usta. Doktor O’Leary, który do tej pory ograniczał się do roli obserwatora, teraz lekko odkasznął.

– Mogę poprosić państwa do sąsiedniego pokoju? – Spytał.

Tengiz Gongadze skinął głową.

– Pilnujcie go – rzucił do żołnierzy. Razem z detektywami i bliską płaczu Ettą wyszedł za cybernetykiem, który najpierw zamknął starannie drzwi, potem rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby szukał podsłuchów.

– Sprawa jest trudna – rzekł wreszcie. – Nie spotkałem się jeszcze z sytuacją, w której Towarzysz odmówiłby prośbie Dominanta. Jednak Raul jest osobnikiem bardzo zaawansowanym. Nie umiem powiedzieć, jak dalece, bo nie wykonywałem odpowiednich testów, wydaje się jednak, że albo ma dodatkowe obwody, albo nauczył się w specyficzny sposób wykorzystywać te, które posiada. Nie sądzę, żebyśmy mogli przyjmować za dobrą monetę wszystkiego, co powie.

– Raul nie kłamie! – Zaprotestowała gorąco Etta. Zdrada człowieka, którego zaczęła uważać za przyjaciela, zabolą ją tak, że straciła oddech. O’Leary spojrzał na nią krótko wyblakłymi oczami.

– Tego pani wiedzieć nie może – rzekł z naciskiem. – Sama pani mówi, że to nie maszyna tylko istota samoświadoma, czyli że nic go nie ogranicza. Ludzie mają zwykle na ten temat zupełnie fałszywe wyobrażenie, być może po prostu nie chcą znać prawdy.

– A jaka jest? – Spytał sceptycznie Carter, krzyżując ręce na piersi. Cała jego krępa, przysadzista postać wyrażała niedowierzanie.

– Androidy mogą kłamać i tak naprawdę nic konkretnego ich przed tym nie powstrzymuje. Żaden nakaz czy zakaz, pochodzący z programu. Nie robią tego tylko dlatego, że nie widzą w tym logiki. Ale przypuśćmy, że Raul znalazł logiczne uzasadnienie?

– Więc co? – Spytał podpułkownik. – Pana zdaniem jest winny?

– Tego nie powiedziałem. I szczerze mówiąc, nie podoba mi się ten pomysł. Myślę jednak, że nie możemy tego wykluczyć. Sam przyznał, że opuszczał kwaterę. Raczej nikt go nie widział, bo mielibyśmy to w raporcie. A tymczasem...

Dotknął ekranu stojącego na stole.

– Proszę spojrzeć: w interesującym nas przedziale czasowym na ulicy zarejestrowano pięcioro ludzi. Znamy trasę każdego z nich i żadne nie było nawet w pobliżu Centrum. Jeśli Raul wychodził w tych właśnie godzinach, musiał wykazać się ogromnym, niesłychanym, niespotykanym u androidów talentem kamuflażu. Mówiąc po ludzku, sprytem. Jeśli zabił Nakamarę, trzeba go bezwzględnie dezaktywować, bo jest bardziej niebezpieczny, niż możemy się domyślać. Jednak – tu doktor uniósł dłoń, powstrzymując gwałtowny protest Etty – nie możemy zwalić na niego winę i zatrzeć ręce z zadowoleniem. Musimy mieć

prawdziwego mordercę, niezależnie od tego, kto nim jest.

– Panno Solis, jaka była natura pani kontaktów ze zmarłym? – Zwrócił się major Carter do Etty.

– Normalna! Jeśli mi nie ufacie, to poddajcie mnie serum prawdy! Powiem więcej, żądam tego! – Krzyknęła dziewczyna ze złością, z trudem opanowując się, by nie dać antypatycznemu śledczemu w twarz. Z jaką rozkoszą zostawiła na tej paskudnej gębie ślad paznokci. Jednak była mimo wszystko zbyt rozsądna, by zachować się tak histerycznie.

Erik Karlson westchnął z pewnym znużeniem.

– Panno Solis, już panią przesłuchiwaliśmy – powiedział łagodnie. – Serum prawdy było rozpylone w powietrzu, nie mogła pani kłamać, chyba że została pani wcześniej odpowiednio uwarunkowana. Jednak przejrzałem pani akta i wiem, że coś takiego jest w pani przypadku mało prawdopodobne. Zbyt długo pani tu jest, a warunkowanie tego typu przestaje działać po najwyżej dwóch miesiącach.

Etta otworzyła usta, a potem zamknęła bez słowa. Nie było sensu mówić czegokolwiek, wszystko było jasne. Poczula się nagle przedmiotem w cudzych rękach i wołała zamilknąć, by nie palnąć czegoś niepotrzebnego. Doktor O’Leary, który cały czas patrzył na nią z wyraźnym współczuciem, kontynuował:

– Dobrze pani wie, że Raul jest zdolny do brutalności wobec kogoś, kto pani zagraża. Możemy nawet założyć, że odczuwa coś na kształt zazdrości. Tym samym po prostu musimy brać pod uwagę, że mógł zabić. Samo to nie byłoby jeszcze takie straszne, w każdym razie nie bardziej niż, na przykład, wypadek drogowy. Jednak ta zbrodnia została zaplanowana i wykonana perfekcyjnie, a to już może przerażać.

– Doktorze, do rzeczy. Sądzi pan, że androidy mogą spróbować działania na szkodę ludzkości? – Spytał szorstko Gongadze, ignorując rosnące zdenerwowanie Etty.

– To nie byłoby logiczne. Dobrze wiedzą, że w razie jakiejś awarii tylko człowiek jest w stanie im pomóc. I nie potrafią się reprodukować. Zgodnie z regułą Karpinsky’ego android może mieć dostęp do każdej wiedzy, za wyjątkiem tej, która dotyczy jego własnej budowy. W ten sposób wyeliminowano wiele niebezpieczeństw, na czele z niepożądanym przyrostem populacji Towarzyszy. Android mógłby zbudować drugiego androida, ale nie robi tego, bo nie otrzyma dostępu do ściśle tajnych danych.

Za drzwiami rozległy się nagle podniesione głosy. Jeden był bez wątpienia głosem Weroniki, pozostałe należały do wartowników, którzy nie chcieli wpuścić dziewczyny do pokoju przesłuchań. Tengiz Gongadze zmarszczył czoło, potem podszedł do drzwi i otworzył szeroko.

– O co chodzi? – Spytał ostro.

Weronika wyglądała na wyraźnie wzburzoną. Miała niedopięty mundur i rozczochrane włosy, była zaczerwieniona, a oczy błyszczały gorączkowo.

– Pułkowniku, muszę coś powiedzieć – wykrztusiła.

– Najpierw niech się pani zapnie, poruczniku! Kto to widział, by oficer stawał przed dowódcą w takim stanie!

Dziewczyna pospiesznie wykonała rozkaz i wyprężyła się w postawie zasadniczej.

– Proszę o pozwolenie podania informacji istotnej dla śledztwa.

– Pani wejdzie.

Weronika weszła spiesznie do pokoju, gdzie wszyscy spojrzeli na nią z nieukrywaną ciekawością. Skoro tylko Gongadze zamknął drzwi, wypaliła:

– Wiem, czemu coś mnie uderzyło, gdy zobaczyłam zwłoki Koordynatora. Coś w nich nie pasowało i nie wiedziałam co. Teraz to sobie uświadomiłam.

– No? – Ponaglił ją major Carter.

– Był w cudzej koszuli.

– Jest pani pewna?

– Jak najbardziej. Kurt nigdy nie miał takiej.

– Jak dobrze znała pani denata, że czuje się pani w prawie wygłaszać podobne stwierdzenia? – Spytał Erik Karlson.

– Byliśmy jakiś czas kochankami – odparła dziewczyna spokojnie. – Znałam dobrze jego garderobę i powtarzam: takiej koszuli nie było wśród jego rzeczy.

Detektyw potarł dłonią nieogolony podbródek i zamyślił się głęboko. To się nie bardzo kleiło – po co Główny Koordynator miał zakładać cudzą koszulę, i to w środku nocy, ślęcząc w biurze nad tajnymi raportami? I jaki to miało związek z morderstwem? Miny innych wyraźnie wskazywały na to, że i oni nie wiedzą, jak zinterpretować nowy dowód.

– Chwileczkę – odezwała się Etta. – Doktorze O’Leary, czy myśli pan o tym samym co ja?

MacLean lekko postukał palcami w oparcie krzesła, które stało obok niego.

– Oczywiście – odparł posępnie. – Ale to nam komplikuje sprawę, i to bardziej, niż pani myśli.

– O co chodzi? – Spytał szorstko podpułkownik.

Możliwie krótko doktor zreferował obecnym rozmowę, którą odbył z Ettą i rewelacje, jakimi się podzieliła. Potem ona sama dokładnie opisała zajście ze szwagrem, starając się niczego nie pominąć. Co prawda nie miała pojęcia, czego Dario mógłby chcieć od Kurta Nakamary, ale na pewno nienawidził androidów – byłby zdolny do zrobienia Raula nawet bez powodu, co dopiero na złość kuzynce, która dała mu kosza. Nie pominęła też przynależności Daria do ruchu ludystów, choć podkreśliła, że będąc członkiem organizacji, młody Cantoralle nie popełnił żadnego przestępstwa. Grupa śledcza słuchała jej w skupieniu, rozważając nowy trop.

– Czyli miało miejsce agresywne zachowanie wobec natrętnego kolonisty,

prawda? – Spytał major Carter.

– Raul stanął w mojej obronie – podkreśliła Etta z naciskiem.

– Nie słyszałem, by kiedyś wydarzyło się coś podobnego, a pan, panie O’Leary? – Zwrócił się major do doktora i, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. – Zatem pani android nie jest taki łagodny i nieszkodliwy, jak pani przekonywała. Jest jeszcze jedna wątpliwość: czy jedno zajście musi łączyć się z drugim?

– Można by mieć pewność, gdybyśmy wiedzieli, w co pani szwagier był tamtego dnia ubrany – poparł go Karlson.

– Było ciemno – wybąkała Etta, uświadamiając sobie, że naprawdę nie pamięta takiego szczegółu. Dario miał na sobie koszulę, ale jaką?

– Przesłuchajcie go tak, jak mnie i innych – zaproponowała ze złością.

– Jeśli jest uwarunkowany, niczego się i tak nie dowiemy. Przybył przecież przed ledwie trzema tygodniami, prawda? Zatem jest bardzo możliwe, że jeśli był uwarunkowany, to jeszcze przez minimum pięć tygodni będzie odporny na serum prawdy. Zaprzeczy wszystkiemu i będziemy w punkcie wyjścia.

– Ale jeśli to on, pozwolenie mu na dalszą działalność może być bardzo ryzykowne – zauważyła Weronika. Zdążyła się uspokoić i przyglądać zwichrzone włosy.

Doktor O’Leary znowu stuknęła w oparcie krzesła, tym razem mocniej.

– Istnieje sposób – powiedział. – Jednak zanim powiem jaki, muszę prosić wszystkich o zachowanie rzeczy w jak najściślejszym sekrecie, gdyż jest to tajemnica produkcji.

– Myślę, że wszyscy wiemy, kiedy trzeba trzymać język za zębami – stwierdził szorstko Tengiz Gongadze. – Proszę mówić, doktorze.

– Każdy powstający w manufakturze android ma wszyty specjalny rejestrator, który zapisuje wszystko, co obiekt widzi i słyszy. Taki rodzaj czarnej skrzynki. Trzymamy sprawę w sekrecie głównie ze względu na androidy, gdyż świadomość, że noszą w sobie szpiega, zakłóciłaby ich rozwój osobniczy i spowodowała chęć pozbycia się implantu. A to mogłoby się okazać zgubne. Jestem w stanie usunąć rejestrator z ciała Raula i odczytać dane z tamtego feralnego dnia.

– Czemu nie powiedział pan tego wcześniej? Bez przesłuchania wiedzielibyśmy, czy jest winny!

– Milczałem, gdyż ten android i żaden inny nie jest lalką. Jak by pan zareagował na wiadomość, że ktoś pana podgląda w dzień i w nocy? Gdybym musiał, w końcu bym to zrobił, ale póki co miałem nadzieję, że dojdziemy prawdy innymi sposobami.

W tym momencie Etta uświadomiła sobie, co, między innymi, musi być zapisane w rejestratorze Raula i zalała się ciemnym rumieńcem. Weronika, bardziej opanowana, poprzestała na jakimś niewyraźnym mruknięciu.

– Zatem nie ma wyboru, trzeba to zrobić – zdecydował Karlson stanowczo.

O’Leary skinął głową, choć widać było, że gryzie go ta sprawa. Czuł się winny, tak jakby dopuścił się zdrady wobec własnych dzieci i nie mógł nic poradzić, że tak to odbierał.

– Ja mu to powiem – Etta wstała z krzesła, już opanowana i spokojna. – Nie sądzę, żeby dobrze to przyjął.

Wiedziała , że ta sprawa upokorzy Raula i głowiła się, jak złagodzić cios. Chłodna logika nie była jej najmocniejszą stroną, kierowała się bardziej przecuciami, a teraz czuła, że android będzie miał trudności zaakceptowaniem faktu, iż został wyposażony w ten nieszczęsny rejestrator. Co prawda mógł teraz uratować go przed bardzo poważnymi konsekwencjami – w końcu osądzenie o morderstwo było czymś naprawdę groźnym, w najlepszym razie zostaliby na długo rozdzieleni – ale na pewno świadomość posiadania w ciele takiego urządzenia będzie dla Raula trudna do zniesienia. Nie mogła mu tego oszczędzić, musiał się dowiedzieć. Lepiej jednak będzie, jeśli dowie się od niej.

Trudno przewidzieć reakcje nieliniowca. Jeszcze trudniej prawidłowo je zdefiniować, gdyż mimika androidów jest w całości pod ich kontrolą – nie odzwierciedla niczego, czego nie mają zamiaru okazać. Nie posiadają tętna, które mogło by przyspieszyć, nie oddychają, więc nie łapią powietrza spazmatycznie jak ludzie, nie mają ludzkiej sieci naczyń krwionośnych ani krwi, więc ani nie bledną, ani nie czerwienieją. Jednak polimerowe oczy Raula zaczęły drgać z lewa na prawo, czego Etta jeszcze nigdy nie widziała. Wstał z krzesła, zaciskając dłonie kurczowym, ludzkim ruchem. Przez chwilę milczał, potem nagle uniósł ręce i wyrzucił z siebie prawdziwy potok trudnych do zrozumienia, zlepiających się, jednostajnych słów, wśród których dziewczyna wyłapała wreszcie powtarzające się:

– Nie chcę, nie chcę, nie chcę, zabierzcie to, nie zgadzam się...

– Raul, uspokój się! – Krzyknęła. – Doktor O’Leary usunie rejestrator i sprawdzi tylko tamto wydarzenie, nic więcej, obiecuję ! Uspokój się, przyjacielu.

Ujęła go za ręce, wyczuwając pod gładką materią ubrania stwardniałe niczym kamień sztuczne mięśnie. Tryb działań w mózgu jej Towarzysza musiał przeskoczyć na poziom najwyższej gotowości i trzeba było jak najszybciej to zniwelować.

– Rejestratory nie służą do tego, by was kontrolować, tylko by chronić – powiedział MacLean O’Leary, który wszedł za Ettą do gabinetu przesłuchań. – Przestań się nakręcać. Gdybym traktował cię tak, jak sądzisz, że traktuję, po prostu wyłączyłbym ci świadomość przed usunięciem implantu i o niczym byś nie wiedział. Zapewniam, że mam na to dość wiedzy i środków. Jednak uważam cię za istotę, nie za przedmiot, dlatego sądzę, że musieliśmy ci powiedzieć.

– Nie chcę tego mieć.

– Dobrze, zatem nie wszyjemy go z powrotem. Zadowolony?

– Nie mieliście prawa wyposażyć nas w coś takiego. To nieetyczne.

– Tak, to prawda – przyznał O’Leary. – Ale skąd u ciebie taki dyskomfort na tym tle? Logicznie rzecz ujmując, powinieneś uważać posiadanie rejestratora za pomyślną okoliczność, gdyż pomoże dowieść twej niewinności. Inaczej byłoby to trudne.

Raul powoli obniżał poziom napięcia w ciele. Widać było, że gwałtowny protest był z jego strony reakcją spontaniczną i teraz próbuje przeanalizować, czemu do niej dopuścił.

– Powinniście nas pytać – rzekł wreszcie. – Nie robić z tego tajemnicy. Tajemnice są złe. Trzeba mówić wprost i dać wybór. Doktorze, my nie jesteśmy zaprogramowani, my myślimy.

– Wiem to najlepiej. Ponieważ jesteśmy tu tylko w trójkę, wyznam, że należę do organizacji „AI Free”, która walczy o poszerzenie praw androidów. Uwierz ,

jestem ostatnim człowiekiem, który chciałby widzieć was zniewolonych.

Raul przez chwilę milczał, patrząc nieruchomo w martwy punkt. W tym momencie naprawdę przypominał perfekcyjnie wykonany manekin, jednak po kilku sekundach drgnął niedostrzegalnie, spojrzął na doktora i spytał:

– Kiedy i gdzie pan to zrobi?

– W sali przetwarzania danych. Pójdziemy tam razem z detektywami i pułkownikiem Gongadze.

Android skinął lekko głową.

– Zatem zrobmy to jak najszybciej.

Po drodze O’Leary wyciągnął z kieszeni niewielki skaner i zwrócił czytnik w kierunku Raula. Ze skupieniem patrzył, jak zmieniają się odczyty, przypominające analizę widma.

– To bez sensu – mruknął wreszcie, a gdy podniósł głowę, jego oczy płonęły.

– Raul, potrafiłbyś określić moment, w którym zaczęłeś odczuwać niepożądane destabilizacje elektryczne?

Polimerowe oczy zwróciły się w jego stronę.

– Dawniej. Nasiliły się podczas szkolenia. Zależą od okoliczności. Czasem odczuwam zmienny prąd... tutaj.

Położył dłoń na klatce piersiowej, tam, gdzie ukryto mechaniczne serce – baterię samowystarczalną. Doktor pokręcił głową, nadal wpatrując się w odczyty.

– To niezwykle. Nieprawdopodobne. W instytucie wyśmiali mnie, gdy wspomniałem o takiej możliwości. Wszystko jest w stu procentach sprawne, żadnej usterki, ani fabrycznej, ani nabytej, nic, na co można by zwać anomalię.

– Doktorze... – Etta dotknęła jego ramienia. Zwrócił na nią triumfujące spojrzenie.

– Pani nie rozumie? Jeśli on czegoś nie chce, to w zależności od nasilenia oporu rośnie ładunek elektryczny. To ścisły odpowiednik ludzkich emocji. Przewidziałem, że coś takiego może się wykształcić, ale odrzucono moją dysertację.

– Czy to źle?

– Na razie nie. Potrafi zdezaktywować niepożądane ładunki. Jednak sam fakt, że istnieją i powodują dyskomfort, wskazuje na rozwój nieprzewidziany przez naukę i technikę. No i nie wiadomo, do czego to doprowadzi.

Ekscytacja doktora była aż nieprzyzwoita w tych okolicznościach. Chyba sam to w końcu zrozumiał, bo schował skaner i sięgnął po komunikator.

– Leo, zechcesz przyjść do centrum kontroli, pokój przesłuchań. Weź zestaw do niewielkich ingerencji androchirurgicznych – powiedział.

Etta pomyślała, że to ciekawe, ale dotąd ani razu nie widziała zastępcy głównego cybernetyka. Wiedziała tylko, że nazywa się Leonard Derkacz i że jest niemal równie genialny co O’Leary. Podobno pracował koncepcyjnie. W

odróżnieniu od innych mieszkańców ośrodka nie wychodził z pracowni, nie uczestniczył w zebraniach ani szkoleniach. Gdyby nie obecność na liście pracowników, nie wiadano by nawet o jego istnieniu.

– Czy on tu jest konieczny? – Spytał major Carter z jawnym niezadowoleniem.

– Niestety tak – odparł szorstko doktor. – Usunięcie rejestratora wymaga współdziałania dwóch osób i to znających procedurę.

– Coraz więcej komplikacji – wymruczał detektyw, a po jego minie było widać, że i tak nie wierzy, by oskarżony o zbrodnię android nie był winny. Jego zdaniem wszystkie czynności doktora O’Leary były zwykłą stratą czasu, ale skoro podpułkownik Gongadze wyraził zgodę...

Leonard Derkacz zjawił się w pokoju przesłuchań równo dziesięć minut później. Na jego widok Etta uniosła brwi w niemym zdziwieniu. O ile MacLean O’Leary wyglądał dziwacznie, o tyle jego asystent bił pod tym względem wszystkie rekordy. Wysoki na prawie dwa metry, chudy jak szkielet, odrobinę pochylony, ubrany był w powyciąganą niebieską bluzę i stare spodnie o niepotrzebnie szerokich nogawkach, które trzepotały wokół kostek. Podłużną głowę pokrywały lśniąco czarne włosy, wyglądające jak polakierowane i przyklejone do czaszki. Koścista twarz o ostrych rysach sprawiała wrażenie poskładanej z elementów, należących do dwóch różnych zestawów. Pięknie wysklepione czoło i wydatny, lekko orli nos o arystokratycznym rysunku nie przystawały do wydłużonej zuchwy o płaskim podbródku, małych, brzydkich ust i wąziutkich oczu, chowających się nieufnie pod krzaczastymi brwiami. Duże i odstające uszy oszpeciłyby pewnie nawet dużo ładniejszą twarz, chociaż u Leonarda nie dziwiły. Nie sposób było określić, w jakim jest wieku – czuło się, że tak wyglądał jako nastolatek i tak samo wyglądać będzie jako starzec. Mimo wszystko budził sympatię. Etta od razu pomyślała, że musi to być dobry człowiek, choć na pewno wielki dziwak. Czego zresztą się spodziewać po asystencie MacLeana O’Leary?

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – powiedział oziębło, kładąc na stole nieduży neseser. Głos miał głęboki i mroczny.

– Bardziej, niż sądzisz – rzekł O’Leary i w krótkich słowach nakreślił obraz sytuacji. Derkacz słuchał, nie przerywając, i dopiero gdy doktor skończył, powiedział ze spokojnym potępieniem w głosie:

– To znaczy, że w jednej chwili zniszczył pan wszystko, nad czym tyle lat pracowano. Gratuluję.

– Nie ironizuj, Leo, tylko bierzmy się do roboty.

– Jak chcesz, MacLean, ale nie miej pretensji, jeśli potem będą problemy. Android bez nadzoru to proszenie się o kłopoty.

– Ja tu jestem. – odezwał się nagle Raul. Zabrzmiało to jak wyrzut.

Leonard spojrział na niego z widocznym zdumieniem.

– Jak?

– Jestem tu. Słyszę i rozumiem.

O’Leary wydał z siebie krótki śmieszek. Wyglądał na bardzo zadowolonego, że komuś udało się zaskoczyć jego asystenta, który ze swej strony zdawał się być całkiem zdetonowany.

– Co cię tak bawi, MacLean? Nie spotkałem się jeszcze z reakcją typu „urazona godność” u żadnego nieliniowca. Wiem, że myślą samodzielnie, ale to już zakrawa na ludzkie emocje. To nie jest zabawne.

– Dla mnie jest.

– A dla mnie nie, bo nie wiadomo, jak daleko posunie się eskalacja. Mogą wymknąć się spod kontroli.

Doktor pokiwał głową z politowaniem.

– Leo, kiedy wbijesz sobie do tej upartej głowy, że one nigdy nie były pod naszą kontrolą? – Spytał. – To nie tokarki tylko istoty świadome, myślące niezależnie. Asystent machnął ręką i zmienił temat:

– Bierzesz stronę prawą czy lewą?

– Lewą. Daj skalpel nr 6 i większą pesetę.

– Nie zróbcie mu krzywdy – wyrwało się Etcie. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią z mieszaniną zdziwienia i obrazy.

– Bez obaw, panienko – burknął O’Leary, zabierając się do pracy. Detektywi i podpułkownik obserwowali ich poczynania nie mniej pilnie niż Etta, nie rozmawiając i starając się wręcz nie oddychać, aby tylko nie przeszkadzać obu uczonym w precyzyjnej pracy. Okazało się, że zabieg nie był aż tak prosty, jak sądzili – przed usunięciem trzeba było rejestrator odłączyć od szeregu mikroskopijnych przewodów i każdy z nich odpowiednio zaślepić, a następnie naprawić rozciętą powłokę. Raul siedział bez ruchu, poddając się wszystkiemu z fatalistyczną rezygnacją. Wreszcie rejestrator – mały przedmiot przypominający zwykłą kapsułkę – znalazł się na stole.

– Teraz aby tylko podłączyć – O’Leary otworzył panel komputera na stole i zaczął w nim grzebać. Raul wstał, poruszył lekko głową, jakby chcąc sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, podszedł do Etty i objął ją ramieniem. Był już opanowany, spokojny jak zawsze, ale doktor odniósł niejasne wrażenie, że z jakiegoś powodu potrzebował tego dotyku, świadomości, że nie jest sam. Nie po raz pierwszy widział coś podobnego, ale wciąż go to zdumiewało. Nikt nie oczekiwał aż tak silnej więzi między Towarzyszami a Dominantami, jednak istniała, tym silniejsza, im niższe było IQ androida. Jednak nawet najmądrzejsze nie były w stanie zerwać tej więzi, tak jakby osoba Dominanta była czymś, na czym opierało się ich własne istnienie. Nie było to obiektywną prawdą, jednak same androidy tak do tego podchodziły, a dlaczego, wciąż pozostawało tajemnicą.

Jedno wydawało się pewne, że tego typu sugestia nie istniała w programie podstawowym.

– Dobrze, gotowe – oświadczył wreszcie doktor, włączając podgląd. Na cienkim jak papier monitorze zajaśniał napis „ODTWARZANIE. WYBIERZ OPCJĘ”. O’Leary zerknął na nieruchomego androida.

– Nie obawiaj się, Raul. Coś przecież obiecałem – rzekł szorstko. – Panno Solis, kiedy miało miejsce zajście z pani szwagrem?

– We wtorek, piątego, gdzieś pomiędzy 23.30 a 1.00 w nocy. Wiem, że to duży rozrzut, ale naprawdę nie pamiętam dokładnie.

– Nie szkodzi – doktor przebiegł palcami po sensorowej klawiaturze, ustawiając datę i godzinę, a potem włączył przewijanie obrazu.

Po raz pierwszy Etta miała okazję spojrzeć na świat oczami Raula. Przede wszystkim zdziwiła ją niezwykła rozdzielczość i głębia zarejestrowanego obrazu – był prawdziwie doskonały, perfekcyjny do granic możliwości. Ktoś włożył mnóstwo pracy, inwencji i kosztowniejszej technologii w stworzenie tego małego urządzenia, które dla Raula było niczym więcej niż żelazną obrozą niewolnika z dawnych czasów. Rozumiała, co czuje, zwłaszcza, że i dla niej było czymś upokarzającym to, że cały zespół śledczy patrzył na żenujące zajście z Dariem. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy, ale czuła, że jej policzki palą jak ogień, chociaż przecież w całym tym zajściu nie było jej winy. Patrzyła na ekran jedynie kątem oka, ale i tak zauważyła coś, co przedtem jej umknęło – otóż Raul potrząsnął Dariem dużo mocniej, niż było trzeba. Gdy patrzyło się z jego perspektywy, nietrudno było dostrzec, że wystarczyło jedynie odepchnąć natręta. Miała nadzieję, że nikt poza nią nie zwróci na to uwagi.

Doktor O’Leary szybko przekopiował interesującą go część nagrania na dwa osobne nośniki, z których jeden wręczył Leonardowi.

– Daj to technikom i niech ustalają zgodność faktury, barwy, splotu, co tam jeszcze przyjdzie im do głowy – polecił – Idę do sekcji medycznej, muszę coś jeszcze sprawdzić.

Wyjął rejestrator z komputera i położył na dłoni Raula.

– Jest twój. Możesz go zatrzymać lub zniszczyć, jak wolisz.

– Doktorze! – Zaprotestował oburzony Carter, ale O’Leary spojrzał tylko ironicznie i major zamilkł, nie wiedząc czemu speszony tym spojrzeniem.

– Jest pani wolna – rzekł Tengiz Gongadze do Etty. – I pani Towarzysz także, ale proszę go pilnować. Nie wolno mu opuszczać kwatery, póki nie otrzyma innego polecenia.

– Tak jest – odpowiedziała Etta. Poczowała bezmierną ulgę, że może wreszcie stąd wyjść, wrócić razem z Raulem do przydzielonego mieszkania i tam, na osobności, dać upust rozpaczy. Potrzebowała tego, choć dopiero gdy wyszła z centrum kontroli, uświadomiła sobie, czemu. Odkrycie, że prawdopodobnie

mordercą Koordynatora jest Dario, dawny kolega, młodzieńcza miłość i obecny szwagier, wstrząsnęło nią do głębi. Nigdy dotąd nie przeżyła podobnie ponurej chwili i po prostu musiała się wypłakać, żeby jakoś dojść z tym do ładu. Easyhal byłby teraz na nic.

W swej kwaterze Etta usiadła na łóżku i szlochala przez prawie pół godziny, podczas gdy Raul siedział obok i jednostajnym ruchem gładził ją po głowie.

– No już, uspokój się – rzekł wreszcie. – Wybacz, że zachowałem się tak niezdobnie. Gdy usłyszałem o rejestratorze, poczułem się przez chwilę tak, jakby rozsypały mi się dane w bankach pamięci. Nie mogłem ich uporządkować.

Etta ścisnęła go za rękę, wyczuwając pod palcami gładkość cyberskóry i drobne mięśnie dłoni, odpowiedzialne za ruchy paliczków. Muskulatura androidów była odwzorowywana bardzo troskliwie, tak że chwytając kończynę miało się wrażenie identyczne jak w przypadku żywego człowieka. Jedyne różnica była taka, że przez skórę i mięśnie androida nie przebiegało żadne drżenie, ich ciała były niewzruszenie spokojne. Może właśnie dlatego czuła się przy Raulu tak dobrze.

– Zaraz się uspokoję – obiecała. – Ale na razie muszę się wypłakać. Dla ludzi to sposób na rozładowanie emocji.

– Rozładowanie? Jak w przypadku baterii?

– W pewnym sensie tak. Wyobraź sobie przeładowany akumulator jeśli nie odprowadzi się prądu, zniszczy urządzenie. A jeśli człowiek nie wyrzuci z siebie nadmiaru emocji, może się rozchorować, nawet poważnie.

Raul skinął głową.

– To dlatego nauczono nas, jak uwalniać ludzi od napięcia związanego z ich biologią rozmnażania. Pokazywano filmy i mówiono, że dla ludzi to bardzo ważne. Czy robię to dobrze?

Etta zaczerwieniła się gwałtownie. Bezpośredniość sztucznej inteligencji bywała doprawdy krępująca.

– Nie mam co do ciebie żadnych zastrzeżeń – odparła wymijająco. – Nie mówmy o tym, proszę.

– Przecież postępuję jak trzeba. Nie było to dla ciebie niemiłe.

– Zrozum, ludzie traktują te sprawy bardzo szczególnie. Nie lubię o tym rozmawiać.

– Nie rozumiem, ale podporządkuję się. Jestem twym Towarzyszem, zrobię, co zechcesz.

Etta otarła łzy. To był problem, którego nie umiała jeszcze rozwiązać – z jednej strony cieszyła się, mając przy sobie istotę tak bardzo oddaną, z drugiej wcale nie pragnęła, by Raul był niewolnikiem. Chciała, by sam pragnął z nią być. Nie wiedziała jednak, jak upewnić się co do jego odczuć. Jak odróżnić to, co android musi od tego, co chce? Nie wiedziała, czy jest to w ogóle możliwe, ale

bardzo chciała się tego dowiedzieć.

* * * * *

Leonard obudził szefa o piątej nad ranem.

– Technicy potwierdzili wersję androida – powiedział. – Sprawdzili zapis wszystkimi dostępnymi metodami i bez wątpienia to, co miał na sobie Koordynator, to koszula mężczyzny na nagraniu.

– Wcale w to nie wątpilem – mruknął sennie O’Leary i odwrócił się na drugi bok. – Zanieś natychmiast wyniki pułkownikowi i tym szerlokom.

– Natychmiast?

– Oczywiście. Nie chcę być jedynym kretyńcem, którego obudziłeś z powodu tej sprawy.

Asystent pokręcił głową, ale spełnił polecenie szefa. Był przyzwyczajony do jego niekonwencjonalnego sposobu bycia i osobliwych teorii, które nie zawsze podzielał. Łączyła ich miłość do androidów, ale dzielił pogląd w sprawie możliwości rozwoju sztucznej inteligencji. Leonard podziwiał doskonałość androidów, jednak nie traktował ich jak ludzi, natomiast O’Leary uważał je za bez mała równe ludziom. Niejeden raz spierali się na ten temat, ale żaden nie zdołał jak dotąd przekonać drugiego.

Około szóstej rano do domu, w którym zakwaterowani byli Cantoralle’owie wszedł patrol żołnierzy i wyprowadził stamtąd Daria tak, jak stał – w piżamie i boso. Dziesięć minut później Nayeli była u Etty i zachłystywała się histerycznym płaczem, na przemian to żądając pomocy, to oskarżając o zazdrość, to przypominając o łączącym je pokrewieństwie. Etta zmusiła ją wreszcie do zażycia easyhalu i dopiero potem powiedziała ostro:

– Weź się w garść, wracaj do domu i zajmij się dziećmi. Twój mąż popełnił ciężką zbrodnię i na pewno nie będę go bronić. Powiem więcej, mam nadzieję że jeśli nawet nie poddadzą go eutanazji, to zamkną i wyrzucą klucz.

Mimo środka uspokajającego Nayeli ponownie wybuchła:

– To wszystko kłamstwo! I to ty jesteś wszystkiemu winna!

Zalała Ettę potokiem jakichś mało zrozumiałych wyjaśnień, pomieszanych z rozpaczliwymi oskarżeniami i w końcu doszła do takiego stanu, że zamierzyła się na siostrę. Miało to ten skutek, że w kłótnię wmieszał się Raul, próbując powstrzymać szalejącą kobietę logicznymi, spokojnymi słowami. Odniosło to jednak odwrotny skutek

– Proszę, jakiego masz obrońcę! – Zawołała jadowicie Nayeli, gdy android stanął między nimi, uniemożliwiając zadanie ciosu. – Nie udało ci się znaleźć faceta z krwi i kości, więc kupiłaś sobie lalkę! Tylko na to cię stać, bo żaden mężczyzna nawet o tobie nie pomyśli!

– Raul nie jest lalką, tylko androidem. I jest dwa razy bardziej ludzki niż

Dario – odparła Etta, siląc się na chłód i opanowanie. – Uspokój się wreszcie, wariatko! Nic nie zwojujesz takim zachowaniem!

Niestety słowa nie odniosły spodziewanego efektu i dziewczyna musiała wreszcie wezwać ekipę medyczną., która zabrała histeryzującą Nayeli do przychodni.

– Co z nią teraz będzie? – Spytał Raul, gdy zostali wreszcie sami.

– Obchodzi cię to?

– Chyba tak. To twoja siostra.

– Nie sądzę, by pozwolono jej tu zostać. Pewnie zostanie odesłana do Montepietro razem z dziećmi. Myślę, że o niczym nie wiedziała, ale dowództwo nie zaryzykuje pozostawienia jej w ośrodku, a tym bardziej zabrania na wyprawę.

– Rozważając wszystkie za i przeciw, może na tym zyskać – powiedział android po chwili. – Nie zostanie narażona na nieprzewidywalne niebezpieczeństwa migracji. Będzie w dobrych rękach, przecież lekarze zadbają o nią.

– Zapewne.

Android objął ją łagodnie i przytulił. Mimo wszystko Etta czuła się źle. Starcie z Nayeli wytrąciło ją z równowagi, bo choć uważała siostrę za istotę zdecydowanie głupią, to kochała po swojemu i wspominała przez te wszystkie lata, gdy były daleko od siebie. Jednak znała ją jako miłe, wesołe dziecko, a teraz los ją zetknął z dorosłą kobietą, najwidoczniej pozostającą pod silnym wpływem despotycznego męża i właściwie niezdolną do samodzielnego myślenia. Cała sytuacja była naprawdę nieprzyjemna. Rozwiązała ją w ten sposób, że wzięła dodatkową dawkę easyhalu i położyła się jeszcze spać.

Dopiero po południu udała się wraz z Raulem do centrum szkoleniowego – asystentka profesora Xiao musiała ją wezwać przez interkom, bo Etta zapomniała ze zmartwienia, że ma stawić się na zebraniu specjalnym. Zjawiała się w sali konferencyjnej zdyszana, z włosami mokrymi po myciu i bardzo zawstydzona takim zapominalstwem.

– No, nareszcie jesteśmy wszyscy – powiedział na jej widok doktor O’Leary.

– Raul, siadasz razem ze swoją drużyną. Panno Solis, panią proszę do prezydium.

Zmieszana i zdenerwowana Etta usiadła nieśmiało między Leonardem Derkaczem a kierowniczką działu przetwarzania danych, Nigeryjką Iman Gossip. Nie miała pojęcia, o co tym razem chodzi, a z min otaczających ludzi nie sposób było coś wywnioskować. Oprócz nich w „prezydium” była jeszcze Weronika, doktor Berent, biotechnolog, i porucznik Rod Denberry, zastępca szefa ochrony. Nieco dalej siedzieli również Dominanci zebranych w sali androidów – trzech kobiecych modeli typu blond Venus, i czterech dużo bardziej zróżnicowanych modeli męskich.

– Moi państwo – zaczął O’Leary. – Zebraliśmy się tutaj, by omówić bardzo ważną kwestię. Podczas dopiero co zakończonego kryzysu zostałem zmuszony do ujawnienia pewnego szczegółu konstrukcyjnego androidów nowej generacji. Chodzi o rejestrator, pełniący funkcję ‚czarnej skrzynki‘. Gwałtowna reakcja obecnego tu Raula 209C uświadomiła mi, że stosowanie tych modułów jest niejednoznaczne moralnie. Z jednej strony bowiem uznajemy pełną niezawisłość sztucznej inteligencji, a z drugiej zakładamy układ, śledzący wszystkie poczynania istot, które stworzyliśmy. To nie jest do końca w porządku. Proponuję, by pozwolić Towarzyszom na podjęcie indywidualnej decyzji co do zachowania bądź usunięcia modułów.

– Czy to rozsądne? – Spytał sceptycznie porucznik Denberry. – Udowodnił pan przecież, że taki rejestrator jest bardzo pożyteczny.

– Oczywiście, ale ludzi nie wyposaża się w takie urządzenia, chyba że na własne życzenie. Moim zdaniem androidy też powinny mieć swobodę wyboru, czy chcą być bardziej wolne, czy bezpieczniejsze.

– Absurd – mruknęła lekceważąco doktor Berent. Siedzący obok Ety Leonard wstał.

– Może posłuchamy, co o tym powiedzą Towarzysze – zaproponował. – Roy 98D, proszę.

Roy, android o typowo azjatyckiej aparycji, pokręcił głową.

– Nie mam nic do powiedzenia – rzekł sztywno. – Według mnie ta kwestia jest nieistotna. Zdaję się na osąd swojej Dominy.

– Rhonda 12F?

– Ja też.

– Rasmus 101A?

– Proszę o usunięcie modułu, niezależnie od zdania panny Hornet.

– Rusłana 39F?

– Nie zgłaszam zastrzeżeń.

– Rosamunde 305F?

– Proszę o usunięcie.

– Roger 7E?

– Proszę zostawić – drobnokościsty, kędzierzawy blondyn o różowych policzkach cherubina i zielonych oczach postanowił chyba wykazać się pewnym rozsądkiem. – Lepiej mieć dowód niewinności lub czyjejs winy. Naszym słowom nie uwierzy żaden sąd.

Leonard zwrócił się do zebranych w sali ludzi.

– Słyszeli państwo. Poglądy androidów są w tej kwestii różne, a już samo to dowodzi, że musimy liczyć się z ich zdaniem, jeśli nie chcemy spaść do roli właścicieli niewolników. Oznaczałoby to dla nas cofnięcie się w rozwoju społecznym o trzy lub nawet cztery epoki cywilizacyjne.

– Nie rozumiem problemu. Skoro to tylko maszyny – powiedziała doktor Berent, która najwyraźniej postanowiła dać wyraz poglądom w tej kwestii. Etta nigdy nie lubiła tej nadętej ważnością kobiety, ale teraz poczuła do niej gwałtowną niechęć

– To nie są tylko maszyny – rzekł oziębłe O’Leary. – Powstają w manufakturach, ale są niezawisłymi umysłami, zdolnymi do podejmowania spontanicznych decyzji. Reagują na sytuacje stresogenne i są zdolne do odczuwania swoistego odpowiednika emocji. Nie wolno postępować wobec nich nieetycznie. Ja i mój zespół podjęliśmy decyzję, że ci spośród Towarzyszy, którzy zgłosili chęć pozbycia się implantu, zostaną zoperowani, a rejestratory zniszczone.

Nie wszyscy obecni na sali ludzie podzielali entuzjazm doktora, jednak po krótkiej naradzie podpisali wspólne oświadczenie w tej sprawie.

Tego dnia Etta dowiedziała się jeszcze, że Dario został zabrany do wojskowego więzienia o najwyższym rygorze, zaś Nayeli ma być wydalona z ośrodka. Z jednej strony było jej bardzo przykro, ale z drugiej odczuła ulgę. Obecność siostry działała jej na nerwy bardziej, niż chciała się przyznać. Czowała się na cenzurowanym i do tej pory dokładała starań, by omijać ją szerokim łukiem. Mimo to, wiedzona poczuciem obowiązku, poszła do lazaretu, by zobaczyć się z nią przed przeniesieniem. Później uznała, że nie był to dobry pomysł – nafaszerowana środkami uspokajającymi Nayeli miała dziki, obłąkany wzrok i wyglądała jak ktoś zupełnie obcy.

– Po co przyszedłeś? – Rzuciła wrogo na widok Etty. – Chcesz uspokoić sumienie? Nie mogłeś mieć Daria dla siebie, więc zrujnowałeś moje małżeństwo?!

– Wiesz, że tak nie było. Dario zabił Koordynatora Nakamarę i usiłował zrzucić winę na Raula.

– Zrobisz wszystko, by chronić tę mechaniczną zabawkę, tak?! – Krzyknęła Nayeli, rzucając się na dzielącą je szybę. – Robisz to, bo wiesz, że ten automat nie zostawi cię jak inni! Jesteś zerem! Jesteś nikim! Zerówki nadają się tylko do seksu! Nikt normalny cię nie chciał i nie będzie chciał!

Tłukła rękoma w szybę, krzycząc przeraźliwie na coraz wyższej nucie i przerażona Etta nacisnęła w końcu guzik dzwonka alarmowego. Do boksu wpadli dwaj sanitariusze, którzy odciągnęli miotającą się kobietę od szyby, a zaraz potem zjawiała się doktor Leveroux, pełniąca obowiązki przełożonej izby chorych.

– Proszę już iść, panno Solis – zwróciła się do Etty. – Wiem, że chciała pani dobrze, ale siostra jest w takim stanie, w którym nic do niej nie dotrze.

– To jakaś choroba? – Spytała Etta z drżeniem.

– Prawdopodobnie tylko chwilowe załamanie, ale na to odpowie czas. Proszę więcej jej nie odwiedzać. Najwyraźniej to panią obarcza teraz winą za to nieszczęście, więc lepiej, żeby pani nie widywała. Potem jej przejdzie.

Etta też uważała, że tak będzie lepiej. Czowała się winna, w absurdalny sposób

winna temu co spotkało Nayeli i dręczyło ją poczucie bezsilności. Nie mogła pomóc siostrze – najgorsze było , że nie wierzyła lekarce. Czuła fałsz w jej głosie, a to oznaczało, że Nayeli może być uznana za chorą psychicznie. Jeśli potem komisja oceni jej stan jako nie rokujący nadziei na powrót do pełnego zdrowia, zostanie wdrożona procedura eutanazyjna i nikt nie odważy się zaprotestować, nawet rodzice. Takie było prawo. Zwykle rozumiała je i akceptowała bez zastrzeżeń, teraz jednak było to wyjątkowo trudne. Starła się w miarę możliwości patrzeć logicznie na to, co się stało, ale nie mogła. Czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją mocno po głowie, mało tego, jakby cała została zmltretowana w poważnej bójce. Wszystko ją bolało, a choć zdawała sobie sprawę z tego że to tylko nerwy, nie było od tego lżej.

Gdy znalazła się w kwaterze, Raul o nic nie pytał. Pomógł dziewczynie zdjąć mundur, potem zaprowadził pod prysznic. Widząc, że jest zbyt roztrzęsiona, by utrzymać gąbkę w dłoni, zabrał łagodnie miękki przedmiot, namydlił ją i pomógł umyć się jak małemu dziecku. Następnie otulił Ettę dużym ręcznikiem, wziął na rękę i zaniósł do łóżka.

XII.

Doktor O’Leary i jego asystent pracowali właśnie nad projektem bezpośredniej wizualizacji odczytów, gdy do pracowni weszła Etta w towarzystwie Raula. Obaj naukowcy spojrzeli na nich z widocznym zdumieniem. Cały ośrodek wiedział, że ta pracownia to „teren Komanczów”, jak mawiał kapitan Willner, a to miało znaczyć, że wszyscy mają omijać ją szerokim łukiem. Z jakiegoś powodu Etta Solis i Raul zdecydowali się przekroczyć zakazaną strefę.

– O co chodzi? – Spytał Leonard z jawnym zniecierpliwieniem.

– W związku z zamknięciem sprawy mojego szwagra – zaczęła Etta i zamilkła. Ten wstęp wydał się jej niezręczny, a nawet głupi, szczególnie, że obaj mężczyźni patrzyli niemal wrogo. W sukurs przyszedł jej Raul.

– Ponieważ panowie zachowali się wobec nas uczciwie, pozwalając usunąć rejestratory, postanowiłem powiedzieć, co robiłem tamtej nocy.

– No dobrze, ale czemu nam? Nie lepiej pułkownikowi? Zdaje się, że ten człowiek mimo wszystko nie do końca ci ufa – odezwał się O’Leary po dłuższej chwili. Widać było, że jest bardzo zaskoczony, niemniej niż asystent.

– Nie, nie lepiej. To coś, co muszę powiedzieć właśnie wam, bo jesteście

specjalistami od androidów. Będziecie wiedzieli, jak pomóc.

– Komu pomóc?

– Nie patrzcie na mnie – zastrzegła się Etta. – To jego sprawa, nie moja.

Raul cierpliwie i prostymi słowami tłumaczył, z czym przyszedł, ale jeszcze nim skończył, obaj słuchacze osłupieli ze szczętem. Historia była tyleż niesamowita, co bezprecedensowa.

Rok temu w sąsiedztwie domu, w którym mieszkali Cantoralle'owie, wydarzyła się tragedia. Zaginął młody mężczyzna, Guillermo Hernan, i to w dość niejasnych okolicznościach. Ponieważ nie odnaleziono ciała ani też żadnego śladu, sprawa była wciąż otwarta i policja nie zamierzała jej zamykać. Jakiś czas później Dario Cantoralle wyjechał na dwa miesiące z Montepietro, podobno w celu wykonania firmowego zlecenia. Na tym wyjeździe, posługując się dokumentami Hernana, odebrał zamówioną przez zaginionego Towarzyszkę, Rainę 18B. Przez kilka miesięcy usiłował wytresować ją na zamachowca. Ponieważ się to nie udało, zmienił zamiary i przeprowadził na niej szereg eksperymentów o niejasnym celu. Gdy jego rodzina dostała rozkaz wyjazdu, zamknął okaleczoną androidkę w piwnicy domu i zostawił własnemu losowi. Raina skonstruowała elektroniczny wytrych, używając w tym celu obwodów z własnego ramienia i otworzyła drzwi, a następnie ruszyła tropem Dominanta. Czemu to zrobiła, nie umiała wyjaśnić. W ogóle nie było łatwo zrozumieć, co mówiła. Dario nie dbał o jej rozwój umysłowy i pod pewnymi względami była jak dziecko. W każdym razie dotarła do ośrodka, choć w jaki sposób udało się jej przekroczyć linię czujników, nikt nie rozumiał. Znalazła ją „drużyna ratownicza” pod dowództwem Raula, udająca się właśnie na ćwiczenia. Androidy ukryły Rainę w nieużywanym boksie centralnego magazynu i próbowały naprawić uszkodzenia. Właśnie tym zajmował się Raul w noc morderstwa.

– Zaraz. A skąd mieliście wiedzę, co robić? – Przerwał Leonard.

– Z podręcznika. Etta pożyczyła go od doktora O'Leary, a ja skopiowałem na swój użytek – wyjaśnił android.

Derkacz popatrzył na szefa, a jego wąskie wargi drgnęły w grymasie lekkiego zaskoczenia.

– To się robi coraz bardziej niezwykle – powiedział i zwrócił się do Raula. – Popełniłeś przestępstwo, wiesz? Androidom nie wolno posiadać takiej wiedzy.

– Nie użyję jej w niewłaściwych celach. Chciałem pomóc Rainie.

– Spokojnie, Leo. O ile dobrze pamiętam, pożyczyłem panie Solis „Andropologię” Ludovića. W tym podręczniku nie ma najważniejszych elementów, jedynie dane dotyczące zewnętrznej powłoki – doktor O'Leary mówił, a jednocześnie wyjmował z szuflady i pakował do podręcznej walizeczki rozmaite narzędzia, skanery diagnostyczne oraz różnej wielkości szprycki, wypełnione komponentami sztucznej skóry w płynie. – Jednak Raul, musisz zrozumieć, że tak

jak istnieje wiedza zakazana dla większości społeczeństwa, tak istnieje ta, której tobie podobni nie mają prawa znać. Ma to uzasadnienie i musi być przestrzegane, nawet jeśli wam się to nie podoba.

– Tak, doktorze. Obiecuję, że więcej tego nie zrobię – rzekł android posłusznie. – Nie jest moją intencją sprawianie komuś kłopotów.

– No to prowadź, dzielny rycerzu.

Magazyny znajdowały się niejako na obrzeżu ośrodka. Zostały zbudowane dość dawno i to z wielkim rozmachem, tak by mogły służyć na wypadek jakiegoś kataklizmu. Ich część naziemną uzupełniały solidne piwnice ze wzmocnionego żelazobetonu, mogące wytrzymać nawet bliski wybuch atomowy. Zazwyczaj używano tego kompleksu jako składu, ale nie całego. Jeden z boksów nieużywanej sekcji androidy przekształciły w coś w rodzaju jednoosobowego lazaretu dla koleżanki. Widać było, że w urządzaniu tego miejsca nie kierowały się logiką ani funkcjonalnością i nawet samo to było dziwne. Choć konstrukcja każdego androida pozwalała na bezproblemowe leżenie w każdych warunkach, któreś z nich przyniosło dla Rainy materac i pościel, wałek pod głowę, nawet koc – ostatnio się ochłodziło, ale zabawna wydawała się myśl, że ktoś chciał ochronić androida przed zimnem. Mogło zresztą chodzić o to, by ją po prostu przykryć, gdyż ubranie, standardowy niebieski kombinezon dawany androidom w fabryce, podarty i sztywny z brudu leżał złożony obok. Nieorganiczna pacjentka dostała też odtwarzacz i zestaw lektur, ale przybyłymi ludźmi najbardziej wstrząsnął widok blaszanego kubka z wodą, do której wstawiono ukradzione z parku kwiaty – dwa goździki, aster i kilka gałązek kwitnącej frezji.

– Na pewno nie było tu innych ludzi przed nami? – Spytał doktor O’Leary, patrząc podejrzliwie na Raula.

– Na pewno. Jesteście pierwsi.

– To skąd te kwiaty?

– Rasmus przyniósł. Czy to nie tak?

– Powiedziałbym, że to fascynujące – mruknął Leonard, a doktor wzruszył tylko ramionami, nie wiedząc, jak ma to skomentować.

Leżąca na prowizorycznym pościeliu androidka wydawała się być pogrążona w katatonii. Była odmiennym typem niż przebywające w ośrodku Towarzyszki, bez wyjątku wysokie blondynki o niebieskich oczach i różowych ustach. One, jak wszystkie androidki z tego popularnego szablonu, miały wspólny rysopis, chociaż specjalnie zaprogramowane odchylenia statystyczne w produkcji powodowały, że nie były bliźniaczo podobne. Różniły się kątem twarzowym, kształtem nosa, rozstawem oczu, wielkością ust i podbródka czy – co najlepiej się zaznaczało – odcieniem i teksturą włosów. Różanoperłowa cera zawsze pozostawała nieskazitelna, również sylwetki miały prawie identyczne: wcięte w talii, z dużymi biustami i dość szerokie w biodrach, zgodnie z obecnie panującym standardem

urody. Natomiast Raina była raczej drobna, miała jasnoczekoladową skórę, czarne, kręcone włosy i ogromne, bardzo ciemne oczy, podłużne jak liście. Od razu było widać, że jej wygląd został indywidualnie zaprogramowany, nie pochodził z gotowego szablonu. Zaginiony bez śladu Guillermo Hernan musiał podejść do tego zamówienia z wielkim zaangażowaniem, tym smutniejsze więc było to, że na syntetycznym ciele widać było rozległe ślady rozmyślnie zadanych uszkodzeń.

– Nad nią ktoś się znęcał – szepnęła ze zgrozą Etta. Coś takiego nie mieściło się w głowie, choć nie była pewna, czy androidy odczuwają ból pod jakąkolwiek postacią. Podręcznik „Andropologii” twierdził, że mają świadomość uszkodzenia i że jest to niekomfortowe uczucie. Na czym miał polegać ów dyskomfort, podręcznik nie precyzował.

– Wielu ludzi tak by tego nie określiło – doktor O’Leary przyklęknął obok posłania i zaczął metodyczną diagnostykę. – Dla nich android to tyle, co manekin, a co może być złego w okładaniu manekina pałką?

Wyjął z walizeczki jakiś przyrząd i zajrzał w oko Rainy. Potem pokręcił głową z niesmakiem, zmienił skaner na inny i zdjął z Rainy koc, odsłaniając pięknie wymodelowane ciało, długie nogi, wspaniałą talię i drobne, ostro zakończone piersi. Przypominało rysunki z egipskich grobowców. Leżąca androidka pozwalała cybernetykowi na badanie z taką obojętnością, jakby rzeczywiście była tylko przedmiotem.

– Cały czas jest taka? – Spytała Etta Raula, który stał przy jej boku.

– Nie – odpowiedział. – Dopiero od zeszłego rana. Przedtem był z nią pewien kontakt. Brent uważa, że doszło do uszkodzenia synaps.

– I dobrze uważa – oświadczył Leonard, który spisywał to, co szef dyktował mu półgłosem, nie przerywając badania. – Miałem nadzieję, że uda się pomóc jej na miejscu, ale to niestety niemożliwe. Musimy zabrać ją do ośrodka. Mamy tu nie tylko mechaniczne uszkodzenia powłoki zewnętrznej i połamane wsporniki żebrowe, również poważną degenerację wypełniacza synaptycznego i sporo urazów wewnętrznych, w tym rozerwaną, hm, cechę przynależności płciowej.

– Nazywaj sprawy po imieniu, nie baw się w antycznego mnicha – warknął O’Leary. – Wprawdzie jest z nami kobieta, ale założyłbym się, że z niejednego pieca chleb jadła i słówko „vagina” nie jest dla niej żadną nowością. Bez urazy, panno Solis, ale ten pani szwagier to jakiś niebezpieczny wariat! Nie wiem, czym to zrobił, ale musiało to być coś solidnego. Na mój gust jakaś pałka do baseballa czy co. Skąd pani siostra go wytrzasnęła? Ma szczęście, że jeszcze żyje, przy takim mężu. I taki bydlak wychowywał dwójkę dzieci! Społeczny kurator odpowiedzialny za tę dzielnicę powinien się natychmiast powiesić.

Doktor był wyraźnie wzburzony, choć usiłował to ukryć. Po zwykłym stoicyzmie i zblazowaniu nie było teraz nawet śladu. Pracownicy nadzoru społecznego należeli do tak zwanego „resortu zaufania publicznego”. Zazwyczaj

ludzie wierzyli w to, że kuratorzy widzą wszystko i wszystko wiedzą, ufali ich osądowi i zwracali się do nich w trudnych kwestiach. Świadomość tego, że któryś z nich aż tak zaniedbał obowiązki, była czymś wyjątkowo nieprzyjemnym.

– Pomoże jej pan? – Zapytał Raul. Jego głos był jak zwykle czysty i spokojny, wyrażał jedynie intencję zdobycia informacji, jednak obecnym przy tym ludziom zdawało się, że słyszą w nim też ton niepokoju.

– Na pewno nie tutaj. Musimy ją zabrać do centrum naukowego. To będzie robota na co najmniej sześć godzin i to nie tylko dla nas dwóch. Leo, zawiadom techników, żeby przygotowali salę i zestaw do pełnej generalki, i niech zamówią od doktor Ponce nowy chemożel według formuły C-8. Niech też ogłoszą pogotowie dla techników plastycznych, tu będzie sporo odtwarzania.

– Będzie pan wymieniał jej mózg? – Spytała Etta z lekkim drżeniem. Sama myśl wydała się absurdalna, jednak tak to pojęła.

– Co też pani – prychnął wzgardliwie O’Leary. – Kobiety... Mózgu nie da się wymienić, moja panno, to sztywna siatka mikroobwodów. Ale można wymienić chemożel, który wskutek mechanicznego oddziaływania zaczął tworzyć wadliwe synapsy. Zresztą to nie na pani głowę. Zabieramy małą do pracowni.

– Da radę sama pójść?

– Zobaczymy. Leo, daj coś na pobudzenie.

Asystent wyciągnął z walizeczki jakiś niewielki przedmiot i dotknął środka klatki piersiowej Rainy. Rozległ się lekki trzask, przeskoczyła niebieska iskra, a potem nagie pokiereszowane ciało drgnęło. Sarnie oczy nabrały blasku i rozejrzały się powoli po obecnych. Potem odezwał się zgrzytliwy, przerywany głos:

– Kto... tu... jest?

– Jestem cybernetykiem. Naprawię twoje ciało. Czy możesz wstać i przejść o własnych siłach do ośrodka naukowego?

– Nie wiem... czy wolno... Dominant... może się... nie... zgodzić....

O Leary westchnął i przejechał dłonią po szpakowatej czuprynie.

– Raino, kto jest twoim Dominantem? – Spytał.

– Lizenziato Da...rio Cantoralle

– Nie, Raino – rzekł doktor z naciskiem. – Nie jest twoim Dominantem.

– Ni...eee?

– Nie. Twój Dominant to zaginiony bez wieści Guillermo Hernan. Prawdopodobnie nie żyje, bo inaczej dawno by go odnaleziono. Dario Cantoralle cię ukradł, przywłaszczył i nie ma do ciebie żadnych praw.

Raina poruszyła pięknie zarysowanymi ustami, jakby próbując znaleźć jakieś pasujące słowa. Kilka razy wydała zgrzytliwy dźwięk, niczym zamierającego staromodnego zegara z wahadłem.

– Nie żyje – rzekła wreszcie mechanicznie. – Nie... żyje... To kto się będzie ... mną opie... kował?

O'Leary wymienił spojrzenia ze swym asystentem. Etta zagryzła nerwowo usta.

– Ja – powiedział wreszcie Leonard. – Jestem odtąd twoim Dominantem. Powtórz: moim Dominantem jest Leonard Derkacz.

– Mo...im Do...m...na...ntem... jest Leo...nnnnard... Derrrrr...

– Już dobrze – przerwał O'Leary. – Nie wysilaj się, Raino, masz uszkodzony aparat mowy. Raul, mógłbyś ją zanieść? Lepiej niech nie idzie sama. Ledwie duch się w niej kołacze. Elektryczny duch, oczywiście. – dorzucił spiesźnie.

Android owinął Raine kocem i wziął na ręce. Poddała się bezwolnie, kędzierzawa głowa opadła na ramię Raula, jak u chorego dziecka. Była w tym momencie tak bardzo bezbronna, że patrząca na to dziewczyna poczuła ucisk w gardle i znenawidziła szwagra bardziej niż dotąd..

– Dokąd mam ją zanieść, doktorze? – Spytał Raul.

– Do centrum kontroli, sekcja: dział naukowy.

* * * * *

Od kilku godzin trwała „operacja przywrócenia”, jak Leonard określił naprawę uszkodzonej androidki. Etta nie umiałaby powiedzieć, czemu nie chce pójść do kwatery. To było dziwne, jednak siedząc na korytarzu działu naukowego czuła się, jakby siedziała pod drzwiami sali, w której operują członka najbliższej rodziny. Było to trochę absurdalne, skoro poznała Rainę dopiero dzisiaj, jednak ta ciemnoskóra androidka wydała się jej tak słaba, bezradna i jakoś po ludzku krucha, że wbrew wszelkiej logice poczuła się za nią odpowiedzialna. Może działo się tak dlatego, że to właśnie jej szwagier doprowadził tę niewinną z samego założenia, bezgrzeszną istotę do tak opłakanego stanu?

– I pomyśleć, że kiedyś kochałam się w Dario – mruknęła wreszcie z dreszczem obrzydzenia. Teraz nie mogła zrozumieć, co w nim wtedy widziała. Był bardzo przystojny, to prawda, jak to jednak się stało, że wcześniej nie dostrzegła w nim tej arogancji, żądzdy dominowania nad otoczeniem i sadystycznych zapędów?

Siedzący obok Towarzysz spojrzał na nią, przekrzywiając lekko głowę. W gesturze takich istot oznaczało to nieme zapytanie, którego nie potrafiły wyrazić niedoskonalą mimiką.

– Nieważne – odpowiedziała na to pytanie, choć go nie wypowiedział na głos. – Powiedz mi coś: czemu to ty powiedziałaś o niej ludziom? Czemu nie Rasmus? Nie ufa swej Dominie?

Raul uśmiechnął się nagle, po androidzku, niezręcznie i sztucznie, ale z niespodziewaną spontanicznością.

– Ależ powiedział jej – rzekł. – Brent ufa pannie Hornet i nie ma przed nią tajemnic.

– Czemu więc ona...?

– Panna Hornet nie mogła oficjalnie nic zrobić. To ściśle tajne póki co, ale jest CKMem. Nie mogła.

– Czym?!

– Raczej kim. Kordynatorem Migracji d/s Cywilów. To na razie funkcja utajniona. Mimo zdanego egzaminu oficerskiego panna Hornet nie będzie na liście wojskowej, dla ogólnego dobra. Poprosiła mnie, żebym poszedł z tą sprawą do doktora O’Leary.

Etta położyła rękę na jego ramieniu i pokręciła lekko głową.

– Raul, co bym bez ciebie poczęła. Zawsze wszystko wiesz. Jak myślisz, czy Raina dojdzie do siebie?

– Brak szczegółowych danych, by to ocenić. Wszyscy jednak tego chcemy. Estrello, czemu to nie doktor O’Leary został nowym Dominantem Rainy?

– Bo nie chce mieć zobowiązań. Leonard jest bardziej, rzekłabym, poukładany, dużo rozważniejszy, bardziej odpowiedzialny. Sądzę, że ta biedna istota będzie wymagała szczególnej opieki.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi myślała o Rainie jak o człowieku. Nie potrafiła inaczej. Ilekroć chciała uświadomić sama sobie, że to tylko zespół połączonych mikroobwodów i procesorów funkcyjnych, przed oczami stawały kwiaty obok posłania androidki. Prawdziwe, żywe kwiaty, wstawione do blaszanego kubka z wodą. Niezwykły w swej prostocie element logicznie zbędny.

– Raul, wy kopiujecie zachowania ludzi, czy też jesteście choć trochę spontaniczni? – Sspytała poważnie. – Muszę to wiedzieć.

– A co to jest spontaniczność? – Odpowiedział Towarzysz pytaniem na pytanie. – Czy istnieje? Na pewno nie znasz podręcznika ludzkiego behawioryzmu, napisanego przez androida imieniem Rivas 34A. Napisał tak :”Człowiek pojawia się na świecie w stadium larwalnym, z całkowicie pustym umysłem. Dojrzewając zmienia proporcje fizyczne i nabywa doświadczenia. Zbierane informacje przetwarza w schematy gotowe do użytku zależnie od okoliczności.” To bardzo ścisła obserwacja, Etto. Oznacza , że coś takiego jak spontaniczność to rzecz o wiele mniej uchwytna, niż się sądzi. Ludzie stosują do nowych sytuacji doświadczenia, nabyte w przeszłości i zapamiętane świadomie lub podświadomie. My... my tak samo.

– Rasmus przyniósł Rainie kwiaty. Dlaczego?

– Żeby miała znak, że myślimy o niej, nawet gdy nas nie ma obok. Czy nie po to ludzie dają sobie kwiaty?

Trudno było odmówić takiemu rozumowaniu sensu. Zresztą androidy zawsze były precyzyjnie logiczne, inaczej być nie mogło. Jako wyższy etap rozwoju komputerów przejęły ich model operacji myślowych, a nowoczesna technika jedynie pozwoliła go udoskonalić.

– Wiesz, chyba wciąż mało was znam – szepnęła cicho Etta, opierając głowę

o ramię Raula, ale zaraz podskoczyła z przestachem.

Drzwi pracowni otworzyły się z hukiem i na korytarz wyszedł doktor O'Leary. W ręku trzymał zdjęty przed chwilą czepek, a drugą dłonią wicherzył i tak nieporządnie uczesane włosy.

– O, pani wciąż tu? – Zdziwił się uprzejmie. – Coś się stało?

– Nie. Chciałam się dowiedzieć, czy wszystko dobrze poszło – wyjaśniła dziewczyna, zrywając się pospiesznie z krzesła, które od razu zmalowało i wsunęło się w ścianę.

– A czemu miało pójść źle? Owszem, procedura była żmudna, ale nie pierwszy raz naprawiałem uszkodzonego androida. Chociaż przyznam, że po raz pierwszy uszkodzonego w taki sposób. Potrzebujemy jeszcze tygodnia na stabilizację i ta mała będzie mogła zacząć się uczyć życia.

Etta uśmiechnęła się z mimowolną wdzięcznością. Doktor odwzajemnił uśmiech. Chociaż nie mówił o tym, cieszył się, że ktoś jeszcze podziela jego miłość i szacunek do androidów. To było rzadkie i cenne zjawisko.

– Skoro już tu pani jest, niech się pani zgłosi do Gongadze – rzekł po chwili, przypomniawszy sobie o czymś. – Ma do pani jakąś ważną sprawę. I chcę panią widzieć jutro przed ósmą w pracowni na egzaminie. Znając wyniki zadecyduję, czy rokuje pani jakieś nadzieje jako przyszły specjalista od androidów.

– Oczywiście, doktorze.

Leonard wyprowadzał właśnie na korytarz Rainę, ubraną jedynie w kusą koszulkę. Wyglądała o wiele lepiej, choć nadal stąpała dość niepewnie. Widać było, że jej zmysł równowagi nie wrócił jeszcze do normy, ale czekoladowa skóra została naprawiona tak doskonale, że nie można było poznać, gdzie została zdarta ze sztucznych mięśni, a polimerowe oczy nabrały wyrazu. Była nieskazitelnie piękna, choć jednocześnie całkowicie odmienna od znanych Etcie typów androidek. Wszystkie zniekształcenia zostały usunięte, jakby nigdy ich nie istniały. Technicy plastyczni spisali się bez zarzutu, a należało mieć nadzieję, że doktor O'Leary wraz z asystentem równie dobrze dokonali napraw uszkodzeń wewnętrznych. Etta pożałowała, że nie może zostać, musiała jednak biec do biura Koordynatora. Skoro podpułkownik chciał z nią rozmawiać, sprawa musiała być ważna. Rehabilitacją Rainy zajmą się O'Leary i Derkacz, nowy Dominant. Na pewno lepiej sobie z tym poradzą niż Etta. Jest tu zbędna.

Jednak wychodząc dziewczyna uchwyciła spojrzenie androidki i wbrew wszelkiej logice przysięgłaby, że widzi w nim odwzajemnioną sympatię. A potem Raina uśmiechnęła się niezręcznie i uniosła rękę w geście pożegnania.

XIII.

– Musimy to zrobić – rzekł Tengiz Gongadze z naciskiem. Dla niego również ta sprawa była trudna – sam był przecież ojcem, a poza tym nie miał serca z kamienia. Jednak zebranie najważniejszych osób w ośrodku ustaliło, że tak będzie najlepiej. Itati i Amador mieli trafić do rodziny zastępczej. Ich ojciec został zamknięty w więzieniu, którego pewnie nie opuści do końca życia, nawet jeśli jakimś cudem uniknie egzekucji. Nayeli przebywała w klinice psychiatrycznej i nie wiadomo, jak zostanie zakwalifikowana. Jak brzmiała wspólnie ułożona opinia dla sądu rodzinnego, lepiej będzie dla dzieci, jeśli trafią do ludzi tworzących modelową rodzinę. Doktor Gongadze przyglądał nerwowo wąsy. Wolałby nie podejmować takich decyzji, ale skoro cała historia miała miejsce na terenie jego jurysdykcji, musiał się z tym zmierzyć.

– Trudno – Etta była wyraźnie zgnębiona, ale nie protestowała. – Nie rozumiem jednak, czemu ma je odwozić Raul, nie ja? Te dzieci mają jakieś uprzedzenia w stosunku do sztucznych form życia. Mam wrażenie, że się ichpo prostu boją.

– Tym bardziej. Podróż pod opieką androida może je więcej nauczyć niż jakiegokolwiek kazania. Zresztą taki mamy rozkaz, że do ośrodka można przyjechać, ale żaden człowiek nie może go opuścić. Oprócz pilotów. Takie maluchy to wyjątek, bo i tak nie orientują się w niczym, a Raul nie jest człowiekiem. Rozumie pani?

Etta z trudem opanowała chęć, by podrapać się w głowę. Cała historia z wszechstronnymi środkami ostrożności wydawała się czymś bezdennie głupim, ale i tak poczuła ulgę, że postanowiono oddać jej siostrzeńców do adopcji. Zgromadzenie mogło przecież zażądać, by to ona się nimi zajęła, a nie miała na to ochoty. Nie wyobrażała sobie pracy z tą parką. Oboje bali się jej po zajściu w biurze odpraw i nie ufali ani trochę. Było to o tyle przykre, że na ogół Etta dobrze dogadywała się z dziećmi i bardzo je kochała. Inaczej przecież nie wybrałaby pracy nauczycielki klas podstawowych.

– A jak nie zechcą go słuchać? – Spytała.

– Musi je pani przekonać. Na pewno perspektywa jazdy do dziadków wpłynie na maluchy odprężająco. Póki sąd rodzinny nie podejmie decyzji, zostaną tam. Mam nadzieję, że pani rodzice są w porządku?

Etta wzruszyła ramionami. Cóż mogła na to odpowiedzieć? Że bardzo w porządku, tylko nie wobec niej? Pułkownika nie obchodziły jej przeżycia, . Ostatecznie Amador i jego siostra byli, zdaje się, „dwójkami”, więc rokowali nadzieje, których jej los odmówił. Dziadkowie na pewno będą ich dobrze traktować.

– Mogą tam zostać – odparła wreszcie. – Przynajmniej dopóki sąd nie ustanowi rodziny opiekuńczej. Szkoda maleństw, ale ja tu nie pomogę. Mają pecha, że trafili się im tacy rodzice. Dziadkowie na pewno ich kochają i są z nich dumni. Ze mnie nie byli.

– Co robić, zdarza się. Dobrze, że przyjmuje to pani ze spokojem.

– Nie będę histeryzować jak Nayeli. To i tak nic by nie dało. Chyba nawet czuję ulgę, że nie będę musiała zajmować się rodziną. Ta cała sytuacja jest bardzo niezręczna, poza tym moja praca wyklucza w tej chwili wychowywanie dzieci.

Nie tylko sytuacja była niemiła. Również to, co nastąpiło później, nie należało do przyjemności. Musiała przecież wytłumaczyć parze przerażonych dzieciaków, że mają odbyć podróż do dziadków bez mamy i taty, za to pod opieką „sztuczniaka”. Jasne było, że oboje zostali wychowani w istnej fobii wobec androidów – Amador ośmielił się kopnąć Raula tylko dlatego, że miał przy sobie matkę. W innej sytuacji po prostu by uciekł. Myśl, że ma zostać z nim sam na sam, sprawiła, że zsiniał od krzyku jeszcze bardziej niż Itati, która jako młodsza mniej rozumiała, o co chodzi, ale wtórowała bratu przez solidarność. Etta musiała uzbroić się w cierpliwość i długo uspokajać oboje siostrzeńców.

– Raul nic wam nie robi. Będzie was ochraniał i jeśli sobie tego życzyście, nie powie przez całą drogę ani słowa – tłumaczyła. – Androidy nie są wcale niebezpieczne, pomagają ludziom. Nie robią nikomu krzywdy.

Jednak nie zdało się to na nic. Dzieci były naprawdę przerażone, zbyt przerażone, żeby trafiły do nich logiczne argumenty. Mimo że wcześniej stroniły od ciotki, uczeły się jej teraz niczym ostatniej deski ratunku i powtarzały wśród łkań i szlochu, że nigdzie nie pójda. Poskutkowało dopiero obietnica, że w Montepietro będą mogli odwiedzać matkę, póki nie wyjdzie ze szpitala, a gdyby pozostali w ośrodku, byłoby to niemożliwe. Nawet i wtedy dzieci nie ustąpiły łatwo.

– Ale ciociu, ty nas zawieź, dobrze? Bardzo ładnie prosimy.

– Będziemy grzeczni, obiecujemy, ani piśniemy przez całą drogę.

Pod uściskiem małych łapek serce Etty topniało i mało brakowało, a sama zaczęłaby płakać. Na próżno powtarzała w myślach, że jest twardego podporucznikiem wojska w służbie globalnego rządu – zdała przecież egzamin oficerski – na próżno usiłowała utrzymać oschły ton. Pewnie by w końcu uległa, gdyby szczęśliwie nie zjawiała się Weronika. Zorientowała się w sytuacji od jednego rzutu oka i natychmiast przejęła pałeczkę.

– Dość tego, dzieciaki – zarządziła nie znoszącym sprzeciwu głosem. –

Estrello Solis, jak ci nie wstyd, od kiedy to nie umiesz sobie radzić z maluchami? W dodatku takim szkrabom tłumaczysz się jak własnemu dowódcy. Słuchajcie, smarkacze: lećcie do dziadków pod opieką Raula. To oficjalne polecenie i nie macie w tej sprawie nic do gadania. No już, spokój!

Dzieci umilkły, pochlipując jedynie z cicha i patrząc na Weronikę z mimowolnym szacunkiem.

– Tak to się robi. A teraz wytrzymaj im nosy i spakuj rzeczy zamiast robić minę zbitego psa. Ślizgacz czeka, pilot i Raul są u starego. Pospiesz się, dziewczyno! Pomogę, będzie szybciej.

Etta skinęła głową potulnie. Weronika zawsze była w ich małym zespole głosem rozsądku: zdyscyplinowana, logiczna i silna decydowała o wszystkim, a Etta podporządkowywała się jej nawet wtedy, gdy nie miała pewności co do słuszności argumentów. Odkąd się znały, Weronika była szefem, a Etta zgadzała się na wszystkie jej pomysły. Nie tylko ona zresztą. Córka Rosalie i Gerryego Hornetów zawsze wpływała na otoczenie. Miała silny charakter. Wrodziła się w ojca, człowieka apodyktycznego i gwałtownego. Dysponowała zdolnością narzucania innym własnej woli, a ludzie słuchali bez protestów. Byłaby wspaniałym wojskowym, gdyby w swoim czasie wybrała taką drogę.

Podczas gdy obie dziewczyny przebywały w kwaterze Cantoralle'ów, Raul oraz młody pilot z jednostki eurazjatyckiej odbierali ostatnie wytyczne w biurze Koordynatora, obecnie zajmowanym przez Tengiza Gongadze.

– Natychmiast po przylocie do Montepietro uzupełni pan paliwo i przekaże miejscowej jednostce zarządzającej pakiet z dokumentami – mówił podpułkownik do pilota, prężącego się w postawie zasadniczej.

Następnie wręczył milczącemu androidowi zakodowany pod typu B, służący do przekazywania oficjalnej dokumentacji.

– Po odstawieniu dzieci na miejsce odniesiesz to do sądu rodzinnego miasta Montepietro, ulica Bolivara 5. Niestety w tych sprawach obowiązują procedury rodem ze średniowiecza, dokumenty sądowe należy dostarczać osobiście. Przyniesiesz potwierdzenie odbioru.

– Tak jest, pułkowniku – odpowiedział Raul krótko. Wziął podany mu pod i schował starannie. Jeśli nawet myślał coś o całej sprawie, nie zdradził się. Tengiz Gongadze przyjrzał się uważnie androidowi i dodał:

– Wiem, że jesteś najlepszy, jeśli chodzi o opiekę dziećmi. Timmy cię uwielbia, odkąd wyratowałeś go z sadzawki, reszta dzieciarni traktuję cię, jakbyś był człowiekiem, ale ta dwójka jest inna. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, wiem. Byli wychowywani w odrazie do sztucznej świadomości.

– Nie przeszkadza ci to?

– Ich stosunek do mnie jest nieistotny. Mam odstawić je na miejsce, więc to

zrobię.

– Czekaj. A ty? Czy sam będziesz umiał być wobec nich neutralny?

Podpułkownik nie wiedział nawet, skąd się wzięło to pytanie. Zanim trafił do tego ośrodka, nie zaprzętał sobie głowy androidami i ich życiem wewnętrznym. Prawdę mówiąc, nawet nie wierzył, że „sztuczniaki” mają jakąś niezależną osobowość. W wojsku ich raczej nie było, a w każdym razie stanowiły ewenement. Czasem któreś z oficerów miało Towarzysza, jednak nie we wszystkich jednostkach było to tolerowane. Gongadze nie miał dotąd praktycznie żadnej styczności z androidami, nawet z AM, androidami medycznymi, które pracowały w niektórych szpitalach jako pielęgniarki i technicy. Dopiero znalazłszy się w tym ośrodku poznał kilkoro i zorientował się, że są to nie roboty, lecz formy żywe, choć pozbawione dwóch podstawowych pojęć z popularnej definicji życia – przemiany materii i możliwości samoreplikacji. Nadal jednak nie wiedział, jak się do nich odnosić.

– Nie skrzywdzę protoludzi – powiedział łagodnie Raul.

–Wiem. Oczywiście, że tego nie zrobisz. Ale czy odczuwasz przykrość? To znaczy, dyskomfort z powodu zachowania tych malców?

Raul pochylił nieznacznie głowę.

– Tylko o ile mogłoby to zagrozić im samym – odpowiedział. – Słowa nie uszkadzają materii.

Gongadze nabrał nagle mocnego przekonania, że android nie mówi prawdy, a w każdym razie nie całą prawdę. Wyraz jego twarzy musiał być łatwy do odszyfrowania, bo Raul nagle dodał:

– Proszę zrozumieć, pułkowniku, że nazwy określające to, co czujemy, jeszcze nie powstały. To jak różnica potencjałów elektrycznych, inna w zależności od sytuacji. Nikt jeszcze nie nadał im szczegółowych określeń.

– Czy to ma znaczyć, że naprawdę macie emocje? – Wyjąkał Gongadze z przerażeniem, którego nie umiał ukryć. Stało się to, czego tak naprawdę obawiał się jako lekarz – pycha naukowców spowodowała, że powstał nowy typ człowieka. Sztucznego od stóp do głów, ale tak samo ludzkiego jak on. I wrodzone poczucie sprawiedliwości nakazywało przyznać, że tak powstały homo artificial ma takie same prawa do miejsca pod słońcem, jak jego twórcy.

Raul patrzył z łagodnym spokojem, jakby dobrze rozumiał, co wstrząsnęło człowiekiem naprzeciw niego.

– Tak – odpowiedział po prostu. – Jest to nam dane. Nie całkiem tak, jak wy, zbudowani z białkowych molekuł i sterowani przez chromosomy, ale czujemy. Na was mają wpływ hormony i enzymy gruczołowe, a na nas różnice potencjałów w obwodach, dlatego trudno używać na ich określenie tych samych terminów, a nowe jeszcze nie istnieją.

Nieodparta logika. Rzeczywiście byłoby to trudne. Podpułkownik

przyglądał nerwowo wąsy, potem wzruszył ramionami.

– Proszę iść – rzekł w końcu urzędowo i zabrał się za przeglądanie dokumentów, próbując wyglądać na znacznie bardziej zajętego, niż był.

W tym samym czasie Weronika i Etta kończyły pakowanie rzeczy Cantoralle'ow. Oprócz zaginionego planu migracji znalazły też sporo zakodowanych notatek i różnych przedmiotów, których przeznaczenie niełatwo było odgadnąć – odłożyły je, by przekazać pułkownikowi. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że Dario nie miał współników w ośrodku.

– Oczywiście, trudno mieć całkowitą pewność – powiedziała Weronika. – Jednak wydaje się, że na tym terenie działał sam. Oby rzeczywiście tak było.

– Jeśli nie, dochodzenie ujawni współników – mruknęła Etta. Czowała się osowiała i zmęczona, tak jakby nie spała od tygodnia.

Weronika pokręciła wolno głową.

– Nie ma na to czasu. Zbliża się godzina zero. To już bardzo niedługo.

– Poważnie Werka! Kiedy?!

– Ciszej. Wiem tylko, że niedługo. Rozkaz prawdopodobnie przyjdzie w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin.

Etta usiadła na najbliższym krześle, tak jakby nagle zabrakło jej sił. Teraz, gdy odlot był nieunikniony, gdy nie można się było już wycofać, ogarnął ją nagły lęk, tak silny, że zaczęła drżeć. Przyjaciółka objęła ją mocno ramieniem.

– Trzymaj się – szepnęła. – Musimy być silne. Zresztą nie będziemy same. Rozumiesz? Już nigdy nie będziemy same.

Trójkątna awionetka mknęła w chmurach. Android siedział na tylnym siedzeniu, mając po obu stronach milczące, naburmuszone dzieci. Pilot, nie zwracając na nic uwagi, nucił wesoło za sterami, uważając, by nie zejść z wytyczonego kursu. Pojazd nie był nadmiernie szybki, tak jak wszystkie kilkusobowe maszyny, tak że lot musiał potrwać kilka godzin, co dla dwojga dzieci dłużyło się w nieskończoność. Gdyby ich opiekunem był człowiek, zagadały by go pewnie na śmierć, ale wychowane w nieufności wobec androidów nie chciały odzywać się do Raula. Ni to ignorowały jego obecność, ni to się obawiały, w każdym razie milczały. Raul też się nie odzywał, tak że w dźwiękoszczelnej kabinie pasażerskiej panowała cisza, przerywana jedynie delikatnym poszumem aparatury kontrolującej warunki mikrośrodowiska, oraz pogwizdywaniem pilota, jako że kabina i kokpit były połączone. Młody chłopak w mundurze chyba nie lubił ciszy. Na przemian nucił i gwizdał popularne przeboje, a znał chyba wszystkie możliwe. Nie powtarzał dwa razy tej samej melodii. Raul słuchał go starając się wyłowić jakiś matematyczny sens ze słów piosenek. Nigdy nie rozumiał natury śpiewu ani tego, czemu jest tyle wart dla ludzi. Melodie były dla niego jedynie pustymi dźwiękami, nie różniącymi się znaczeniem od tych wydawanych przez pracujący silnik.

Pilot był człowiekiem i dlatego mógł kochać muzykę. W pewnym momencie jednak urwał w połowie piosenki „Północ w mieście” i jakoś dziwnie odchrząknął.

– Uwaga, kabina – zaczął i w tej samej chwili pojazdem zaczęło rzucać.

– Co się dzieje?! – Krzyknął Amador, chwytając się poręczy fotela. Itati zaskowyczała ze strachu i zbieła na twarzy.

– Turbulencje – odpowiedział Raul i urwał, bo awionetką znowu zatrzęsło.

– Trafiliśmy w niezapowiedziany front sztormowy! – Zawołał pilot. – Trzymajcie się, będzie ostra jazda!

Dzieci krzyknęły jednym głosem i niespodziewanie przywarły się do Raula, chwytając go za ręce. Nagle dotychczasowa niechęć zmieniła się w bezgraniczne zaufanie do kogoś, kto miał być gwarantem bezpieczeństwa, jak to obiecywała ledwie znana ciotka.

– Spokojnie – android sięgnął, nie bez trudu, do awaryjnego przycisku. Po naciśnięciu czerwonego guzika wokół trojga pasażerów zamknął się rodzaj kokonu, niczym kielich ogromnego kwiatu – przetrwalnik. Mimo że w martwych od dawna oceanach nie groziłyby rozbitkom potwory morskie, upadek we wzburzoną wodę musiałby się zakończyć fatalnie, gdyby nie ten praktyczny wynalazek, wzorowany na „czarnych skrzynkach”. W środku był zapas wody i witaminizowanych pastylek odżywczych, a wmontowane w ścianki czujniki monitorowały zawartość dwutlenku węgla, w razie potrzeby włączając cyrkulację oczyszczającą i dodając tlenu ze zbiorników pod dużym ciśnieniem. Konstrukcja przetrwalnika pozwalała doczekać ratunku, choćby ten nawet spóźnił się o kilka dni.

Awionetka nadal zataczała się i trzęsła, a choć odgłosy burzy nie docierały do wnętrza kabiny, czuło się, że sztorm musi być naprawdę potężny.

– Spokojnie – powtórzył Raul. – Kokon ratunkowy jest praktycznie niezniszczalny. Nawet gdyby doszło do katastrofy, nic się nam nie stanie, a służby ratunkowe szybko nas znajdą.

Nie wydawało się, żeby jego słowa uspokoiły przerażone dzieci. Przy każdym kolejnym szarpnięciu piszczały ze strachu, wtulając się pod jego ramiona. Chociaż poprzednio stroniły od androida, teraz przywarły do niego z obu stron w tak absolutnym zaufaniu, jakby nigdy nie miały wpojonych przez ojca obiekcji. Raul objął opiekuńczo oba drżące ciała. Wiedział z własnych obserwacji, że maluchy tego właśnie potrzebują, a choć była to potrzeba nielogiczna, to jednak istniała i musiał o nią zadbać. To było jego zadanie, powierzone przez Dominę i żaden android by nie przekroczył takich rozkazów.

Mała awionetka parla naprzód we wściekłych podmuchach sztormowego wiatru, walcząc z siłą natury, która spychała ją z kursu. Trwało to dokładnie trzynaście i pół minuty. Potem lot nagle uległ wyrównaniu, a pojazd po chwili spłynął miękko na lądowisko i znieruchomiał.

– Już w porządku, otwórzcie kokon – odezwał się w przekaźniku wesoły głos

pilota. – Abe Holmes po raz kolejny dokonał cudu.

Upłynęło jeszcze kilka minut, nim Raul zdołał przekonać przerażone dzieci, że już im nic nie grozi. Maluchy były wyraźnie roztrzęsione i za skarby nie chciały go puścić, jednak cierpliwość i spokój androida zrobiły wreszcie swoje. Dzieci uciszyły się, pozwoliły otworzyć przetrwalnik i z nieskrywaną ulgą wybiegły z awionetki na pas lądowiska, gdzie czekała wojskowa limuzyna z kuratorem społecznym oraz odpowiednio przeszkolona opiekunką.

– Hej, sztuczniak! – Zawołał pilot. – Pobiorę paliwo i oddam, co kazali, ale to długo nie zajmie. Bądź tu do drugiej, zgoda?

– Będę – odpowiedział lakonicznie Raul. Pomógł dzieciom wsiąść do pojazdu i usiadł obok. Zachowanie pilota Holmesa było czymś zwykłym, ludzie na ogół właśnie tak traktowali androidy, ale słowo, którego użył młody żołnierz powodowało dyskomfort w obwodach percepcji. Gdyby Raul był człowiekiem, można by rzec, że po prostu go nie lubi. Teraz jednak nie była odpowiednia chwila, by się nad tym zastanawiać. Czekala go jeszcze konfrontacja z rodzicami Etty, która mogła być trudna. Nigdy wcześniej ich nie widział i nie wiedział, jacy są. Mogli przecież podzielać poglądy Daria.

Jednak nie było aż tak źle. Miranda i Jair Solisowie w ogóle nie zwrócili na niego uwagi, a zajęli się kuratorem i opiekunką, szykując dla nich pospieszny poczęstunek. Wiedzieli o chorobie córki i o tym, że ich zięć został aresztowany za morderstwo, widok wnuków więc przyjęli z niemałym zaskoczeniem. Obserwując, jak starsi państwo ściskają i całują dzieci, jak one lgną ku nim z ufnością, Raul odkrył coś z całym zdumieniem, do jakiego android mógł być zdolny. Otóż pojął, że nie potrafi powiedzieć ani dzieciom, ani ich dziadkom o tym, co prawdopodobnie postanowi sąd rodzinny. Nie rozumiał, czemu coś powstrzymuje go od wyjawienia prawdy, ale to coś istniało gdzieś w głębi sztucznych obwodów. Czy milczenie androida miało jednak jakikolwiek sens wobec faktów?

Wymknąwszy się niepostrzeżenie i zamknąwszy za sobą drzwi skierował się do miejscowej komórki sądu rodzinnego. Nie musiał brać ślizgacza. Jak wszystkie androidy maszerował pewnie i szybko, a budynek urzędu nie był daleko od apartamentu Solisów. W połowie drogi jednak przystanął i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni munduru zakodowany pod. Miał czas. Do spotkania z pilotem, który miał odwieźć go z powrotem do ośrodka, została prawie godzina. Ostrożnie dotknął sensorów płaskiego urządzenia. Znał wojskowe systemy kodowania, i to na tyle dobrze, że umiałby złamać każdy, a ten nie wyglądał na skomplikowany. Szybko, niemal niezauważalnie przesuwając palcami po sensorach, póki wreszcie nie trafił na odpowiedni klucz. Przebiegł niezbyt uważnym wzrokiem przez opis przypadku i zatrzymał się na konkluzji końcowej:

– Wobec powyższych faktów zaleca się odebranie praw rodzicielskich parze

Solis–Cantoralle i przekazanie dwojga małoletnich, Itati i Amadora Cantoralle, do jednej z wyselekcjonowanych rodzin zastępczych. Należy dołożyć starań, by biologiczni rodzice nigdy więcej nie mieli z nimi żadnego kontaktu.

Android zastygł na moment. Wrócił myślą do obrazu państwa Solis, przytulających wnuki, potem obok pojawił się obraz histeryzującej Nayeli, a zaraz potem – Itati i Amador, obejmujący konwulsyjnie jego ramiona podczas turbulencji. Protoludzie, ochrona szczególna. A co powiedziała Estrella, gdy ich odprowadzała?

– Pamiętaj, opiekuj się nimi. Ich dobro jest najważniejsze. Obiecuj, że zadbasz o to.

Obiecał oczywiście. Tylko co jest rzeczywistym dobrem dziecka? Jak przewidzieć, co może mu naprawdę zaszkodzić? Podręcznik Rivasa, jedyna jak dotąd książka napisana przez androida dla jemu podobnych, określała relacje dziecko–rodzina jako odbicie relacji Towarzysz–Dominant. Jeśli tak było (Raul nie mógł wiedzieć, czy jest rzeczywiście) to rozerwanie tej więzi musiało łączyć się z fatalnym urazem psychicznym dla niedojrzałego osobnika. Jego rozwój mógł zostać nieodwracalnie zakłócony.

Raul znowu przesunął palcami po sensorach. Powoli, litera po literze, zmieniał tekst:

– Itati i Amadora Cantoralle, pod opiekę rodziców biologicznej matki. Nayeli Solis de Cantoralle może po odbyciu leczenia widywać się z nimi w obecności prawnych opiekunów.

Wprowadził z powrotem kodowanie, zacierając jednocześnie starannie wszystkie ślady manipulacji. Zamknął pod i schował ponownie. Przez chwilę stał, patrząc w martwy punkt, jak zawsze wtedy, gdy analizował jakiś problem. Przejeżdżający obok policyjny motor zwolnił, ale kierujący nim policjant, dostrzegłszy metalowy trójkąt w płątku ucha, ponownie przyspieszył. „Sztuczniak” nie stanowił publicznego zagrożenia, którym mógł się okazać ktoś na tyle zachwiany emocjonalnie, by włączyć się bez celu po ulicy. Raul nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– Protoczlówek ochrona szczególna – powiedział wreszcie cicho i ruszył w dalszą drogę.

Był sam na chodniku. Ludzie podjeżdżali do krawężnika tylko po to, by wysiąść i wejść tam, dokąd się udawali. Z rzadka można było spotkać jakiegoś dziwaka, któremu zachciało się przejść pieszo do sklepu. Nawet gdyby ktoś usłyszał szept Raula, nie zrozumiał by, do kogo mówi i po co. O ile w ogóle zwróciłby uwagę na to, co mówi android... sztuczna forma istnienia.

Część II
Kawalkada

I.

W Ośrodku Doboru Kadr trwała nerwowa krzątanina. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę oczekiwano, że przyjdzie wiadomość o nastaniu tej jedynej, wyczekiwanej chwili, ale z jakiegoś powodu cisza przedłużała się i nikt nie próbował niczego tłumaczyć. Koloniści nie pytali, bo też nie wiedzieli, że dzieje się coś niezwykłego, ale kadra żyła w coraz bardziej nerwowym napięciu – pion administracyjny, naukowy, porządkowy. Może jeden kapitan Willner zachowywał spokój.

– Wystartowanie takiej wyprawy jak nasza to nie byle co – tłumaczył Weronice i Etcie, gdy jedli razem spóźnioną kolację w kawiarni. – Wszystko musi być dopięte na ostatnią śrubkę, inaczej może dojść do nieszczęścia.

– Czemu jednak dowództwo milczy? – Spytała Etta. – Nie odpowiedzieli stamtąd na żadne pytanie z tych, które wysłaliśmy.

Kirk wzruszył lekko ramionami i przyglądał przedwcześnie siwiejące włosy. Jak zwykle musiał rozładowywać napięcia w załodze i wszystkich uspokajać. Taka była rola dowódcy wyprawy i Kirk Willner wywiązywał się bez zarzutu.

– Dowództwo ma ważne powody, maleńka. My mamy czekać i być posłuszni dla dobra ogółu. Najważniejsze jest nie zadowolenie jednostki, a to, co najlepsze dla wszystkich. Czyż nie tego uczy się nas od kołyski?

Od jakiegoś czasu porzucił ceremonialną formę „pani” i mówił do Etty „maleńka”. Odnosiło się wrażenie, że ma w stosunku do niej jakieś niewyżyte uczucia, ni to ojcowskie, ni braterskie. Nie to, żeby reszta załogi była mu obojętna – miał w sobie tyle ciepła i życzliwości, że starczało dla wszystkich – ale Etta była z jakiegoś powodu szczególnie mu bliska.

– Ogół składa się z jednostek – mruknęła buntowniczo Weronika.

– Jak najbardziej, panno Hornet. Tyle tylko, że czasy, w których wolność i zadowolenie jednostki w oddzieleniu od dobra ogółu uważano za aksjomat były czasami zbrodni, zamieszek i destabilizacji społecznej. Etta, jako historyk, może to naświetlić. My działamy inaczej i dlatego wypracowaliśmy model społeczny, który się sprawdza.

Miał rację. Co by o tym nie myśleć, restrykcyjne prawa kodeksu cywilnego powodowały, że ludzie żyli w poczuciu bezpieczeństwa, a to, co powodowało najbardziej drastyczne nierówności społeczne zostało zlikwidowane. Żyło się lżej niż kiedykolwiek, bo każdy wiedział, czego się trzymać. Jak jednak ludzie wyrosli

w tak cieplarnianych warunkach, często wydelikaceni i rozpieszczeni, poradzą sobie na terenie całkowicie nieznanym, gdzie życie może się okazać równie surowe, jak w czasach pionierów kolonizacji Ameryki?

– Boję się tej migracji – powiedziała cicho Etta.

Kirk uśmiechnął się w ten swój niepowtarzalny, dodający otuchy sposób.

– Wszyscy jesteśmy spięci. To naturalne. Ale nie martwcie się, dziewczynki, jestem pewny, że to tylko kwestia paru dni.

– Kirk, czy żołnierze chcą emigrować? – Spytała Weronika, bawiąc się bezwiednie łyżeczką.

Kapitan zamroczył się nieco i uciekł spojrzeniem w bok.

– Powiem wam coś. Każdy ma swoje powody. Jeden, na przykład, jest winny śmierci brata i prześladuje go to, dokądkolwiek się uda. Gdy byli dziećmi, wepchnął go w wannie pod wodę, dla żartów. Chłopiec zachłysnął się wodą i zmarł przed przybyciem karetki pogotowia. Rodzice nigdy mu tego nie wybaczyli, a wszędzie poza wojskiem miał łatkę naznaczonego. Ja znowu po prostu nie mam po co zostawać na Ziemi. Inni mają podobne racje, równie ważkie. Żaden nie leci pod przymusem.

Weronika włożyła do ust porcję żółtawego kremu z migdałami.

– Nieraz miałam ochotę zabić własnego brata. I na pewno nie miałabym wyrzutów sumienia – mruknęła po chwili.

– W takim razie dobrze, że emigrujesz. Lepsze to niż popełnić zbrodnię.

Kapitan nie wydawał się być szczególnie wstrząśnięty. Weronika opowiadała o sobie wcześniej i dobrze wiedział, jak nienawidziła młodszego brata – nie z własnej winy, tylko z winy rodziców, ale fakt pozostawał faktem.

– Czemu tak jest, że łatwiej dogadać się z androidami niż z własną rodziną?
– Szepnęła Etta.

– Bo AI rozumują inaczej niż ludzie. Nie mają naszych złych instynktów i bezmyślności. Dobra, panienko, nie wiem jak wy, ale ja wezmę prysznic i walnę się spać. Już prawie północ, a rano mam być na poligonie.

Również Weronika uznała, że najlepiej będzie udać się na spoczynek. Etta nie była senna. Czowała się źle. Godzina odlotu była coraz bliżej, a dziewczynę dręczyło coraz silniejsze pragnienie, by jeszcze raz odwiedzić rodziców. Co prawda nigdy nie byli dla niej zbyt dobrzy, ale bądź co bądź byli ojcem i matką, a gdy nastąpi start, już nie będzie odwrotu i nie ujrzy ich nigdy. Wprawdzie z ośrodka nikogo nie wypuszczano, ale gdy młoda nauczycielka udała się do szefa operacyjnego bazy, czekała tam na nią niespodzianka. Okazało się, że jako osoba należąca do „obsługi migracji” ma prawo do przepustki.

– Może pani opuścić bazę na 24 godziny – powiedział podpułkownik Kovacs. – Ta przepustka to dowód zaufania, jakim obdarzyło panią dowództwo i rząd. Niech pani nic je i nie pije.

– Co?

– To znaczy, jeśli ktoś panią poczęstuje. Proszę wziąć prowiant ze sobą, stąd. I proszę zabrać to.

Podał dziewczynie piękny naszyjnik – srebrny kwiat z niebieską perłą w środku.

– W razie nieprzewidzianych okoliczności proszę mocno nacisnąć perłę. Będzie to oznaczało wezwanie pomocy – wyjaśnił. – Mieliśmy ostatnio trochę problemów.

Teraz Etta zaczęła się na serio bać, ale nie dała nic po sobie poznać. Pomyślała, że jeśli szef operacyjny dostrzeże w niej strach, może wstrzymać przepustkę i to dodało jej sił. Bardzo chciała zobaczyć rodziców, chociaż ten jeszcze jeden, ostatni raz, nawet jeśli im samym będzie to całkowicie obojętne. Przebrała się w cywilne ubranie, ułożyła włosy w bardziej elegancką fryzurę niż codzienny koński ogon i poszła na lądowisko, gdzie czekała na nią służbowa awionetka.

Wbrew oczekiwaniom Etty rodzice ucieszyli się z wizyty córki. Również dwaj bracia, podobni do siebie jak dwie krople wody bliźniacy Diogo i Nando, rozpromienili się na jej widok, jakby zapominając, że siostra „zerówka” to powód do zażenowania. Szczęśliwie Nayeli wciąż przebywała w lecznicy, a Johnny dawno wyprowadził się z żoną aż do Newark i rzadko bywał w rodzinnym domu. Głównie ta dwójka zmusiła kiedyś Ettę, by zamieszkała samotnie i nie kłuła ich w oczy zerową klasyfikacją.

– Myśleliśmy, że nas w ogóle nie odwiedzisz – powiedziała z wymówką w głosie pani Miranda, stawiając na stole ciastka i herbatę. – Pisałaś przecież, że jedziesz do eksperymentalnej kolonii na drugiej półkuli.

Drugiej półkuli. Etta pragnęła z całej duszy, by móc powiedzieć rodzinie, dokąd w rzeczywistości ją wysyłają, ale to było objęte ścisłą tajemnicą. Nikt nie mógł wiedzieć.

– Taki jest plan – bąknęła. – Nie mogę się teraz wycofać, nawet gdybym chciała. Zostałam wciągnięta na listę załogi szkieletowej i zdałam egzamin podoficerski. To mnie zobowiązuje, by dotrzymać umowy.

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz? – Spytał z troską ojciec. – Mówili, że druga półkula nie nadaje się jeszcze do zamieszkania.

– Rekultywacja przebiegła dobrze. Są tam warunki do założenia pierwszej osady. Wiesz, tato, jeśli liczba ludności zacznie rosnać, jak przewidują demografowie, to wkrótce nowe osiedla będą bardzo potrzebne. Wśród kolonistów są dzieci, ktoś musi je uczyć, więc na pewno się przydam.

– Ale co cię tam ciągnie? Złe ci tutaj?

– Nie, mamó. To nie to. Widzisz, dawno temu ludzie przybyli tutaj właśnie z tamtej półkuli, z miejsca zwanego Europą. Chciałabym je zobaczyć jako jeden z pierwszych ludzi po tak długim czasie.

Etta wciąż nie mogła się zdecydować, by upić łyk herbaty. Miała w pamięci ostrzeżenia Kovacsa, a choć trudno było jej wyobrazić sobie rodziców w roli zamachowców, coś w środku głowy nawoływało do maksymalnej ostrożności. Musiała bardzo się starać, by panować nad twarzą, żeby nikt nie dostrzegł fałszu w spojrzeniu. Nie umiała zbyt dobrze kłamać.

– Widziałem raz zdjęcia – rzekł ojciec, trąc brodę w zamyśleniu. – Aż dziw bierze, że kiedyś żyli tam ludzie. I że znów będą żyli.

– To pewnie były zdjęcia sprzed rekultywacji.

Jair Solis pokręcił głową bez przekonania. Jego twarz, wciąż młoda i przystojna mimo ukończonych pięćdziesięciu lat, była teraz bardzo poważna.

– Coś przed nami ukrywasz, córeczko. Nie zapominaj, że jestem biochemikiem. Wiem o naturze odrobinę za dużo, by uwierzyć w cudowne odrodzenie tak zatrutych terenów. Nie wiem, o co tu chodzi, ale nie podoba mi się ta cała sprawa.

Etta wiedziała aż nadto dobrze, że ojciec ma rację. Kiedyś, bardzo dawno temu, niedobitki mieszkańców Europy i Afryki urządzały się na tej półkuli właśnie dlatego, że ich kraje nie nadawały się do zamieszkania i wiedziano, że bardzo długo nie będą się nadawać. Dalsze rejony Azji wciąż były zamieszkane, ale Europa przeobraziła się w obcą planetę. Użyta w stosunkowo nieważnych wojenkach (zbiegiem tragicznych okoliczności w odstępie raptem kilku tygodni na dwóch różnych kontynentach) broń jądrowa zatrąła środowisko, zniszczyła infrastrukturę i utworzyła obszar o wciąż podwyższonej radiacji. Uchodźcy, którzy dotarli do Ameryki, Australii, Nowej Zelandii, tworzyli się całe kompleksy domów i osiedli, w których obowiązywały archaiczne zwyczaje, a nawet odrębny język. Mała Irlandia (skąd pochodziła rodzina doktora O’Leary), Mała Szwecja, Małe Węgry, Mała Polska, te nazwy zaczęły wkrótce być w powszechnym użyciu. Oddziały wojskowe dobierano za obopólną zgodą w jednostki noszące nazwy i oznaki: afrykańska, europejska, eurazjatycka, bałkańska. Wszystko ku upamiętnieniu utraconej ojczyzny. Początkowo mieszkańcy tych enklaw żyli niejako na walizkach, mając nadzieję, że da się odbudować rodzinne kraje, oczyścić zatrutą ziemię i wodę, ale pomału stało się jasne, że przez co najmniej kilkaset lat nie ma co liczyć na poprawę sytuacji. Trzeba było zadomowić się innym kontynencie, wśród czasem dość wrogich obywateli obu Ameryk, Nowej Zelandii i Australii. Dużo czasu upłynęło, nim ludzie jakoś się porozumieli.

– Dario też mówił, że coś tu nie gra – powiedziała matka. – Miał wszystko

dokładnie sprawdzić i wydaje się, że odkrył coś, czego nie powinien, skoro go zamknięto. Słyszałam nawet, że ma zostać stracony! Dlaczego? Twoja siostra tego nie przeżyje. Etta, na pewno wiesz. Powiedz, co się dzieje?

Etta milczała, wciąż trzymając w dłoniach filiżankę. Machinalnie spróbowała purpurowego płynu. Nagle rozpląkała się, niespodziewanie dla rodziców i samej siebie. Filiżanka znalazła się na dywanie, a dziewczyna zakryła twarz rękami, usiłując powstrzymać dławiący szloch. Nigdy jeszcze tak się źle nie czuła. Nie na darmo wszczepiono jej – i pozostałym członkom obsługi misji – specjalny czujnik w język. Nie bez powodu na szkoleniu dawano rekrutomsubstytuty, zawierające zsyntetyzowany chemicznie smak wszystkich znanych preparatów, służących do brudnych celów! Wyraźnie poczuła ślady jednego w herbacie – słaby, ale wyraźny posmak próbki nr 54. Rodzice, jej kochani tak mocno rodzice!

– Co się stało, siostrzyczko? Co jest? – słowa Diogo dotarły do jej uszu jak przez watę. Chłopiec był wyraźnie zaskoczony, na pewno nic nie wiedział, ale na twarzach ojca i matki widać było tylko niepokój i rozczarowanie.

– Dlaczego? – Zzawołała Etta oskarżycielsko, opanowawszy wreszcie łzy. – Nigdy mnie nie kochaliście, ale czemu traktujecie mnie jak wroga?! Co wam zrobiłam?!

Państwo Solis wymienili spojrzenia, wyraźnie mówiące „Połapała się.”

– Uspokój się – rzekł szorstko ojciec. – Sama traktujesz nas jak wrogów, skoro wszystko ukrywasz. Myśmy chcieli się tylko dowiedzieć, czemu aresztowano Daria.

– Nayeli przypłaciła to chorobą – Miranda poparła twardo męża. – Itati i Amador będą wychowywać się bez rodziców. Chcemy po prostu wiedzieć, dlaczego. Dario to taki dobry chłopak.

– Dario to morderca! – Krzyknęła Etta. – Zabił człowieka! Nayeli na pewno wiedziała, co planuje, i gdyby nie choroba, pewnie ją też by oskarżono! Skoro popieracie ich na tyle, by próbować wyciągnąć coś przy pomocy chemikaliów to znaczy, że i tak wiecie aż za dużo.

– Nie, nic nie wiemy! Uwierz.

– To skąd mieliście to świństwo?!

– Wzięli z pokoju Daria – wtrącił się Nando. – Mamo, daj spokój, ma cały skład podobnych specyfików. Mówcie co chcecie, ale nie traktujcie nas jak przygłupów. Wiemy, że w uczciwych celach tego nie trzymał.

– Jak śmiesz?! – krzyknął Jair Solis.

– Macie go za jakiegoś półboga, a tymczasem to zwykły drań – poparł brata Diogo. – Traktował Nayeli jak niewolnicę, przestała mieć własne zdanie w jakiegokolwiek kwestii. Dobrze, że maluchy będą się wychowywać bez nich. My im wystarczymy.

Obaj nasrożyli się, gotowi do walki.

– Dosyc – pan Solis podniósł się z krzesła. – Niczego nie wiecie o Dario. Raczej powinno interesować was to, czemu Estrella, rodzona siostra, nie ma za grosz zaufania do własnej rodziny.

Etta również wstała. Już nie płakała, miejsce rozżalenia zajęła złość.

– Jeśli nie umiecie zrozumieć, że pracuję teraz dla rządu i obowiązuje mnie tajemnica służbowa, to trudno – oświadczyła. – Chciałam tylko się pożegnać i nie myślałam, że potraktujecie mnie jak agenta obcego wywiadu z powieści.

To niesprawiedliwe. Tak myślała Etta, siedząc w publicznym ślizgaczu. Niesprawiedliwe było to, że musiała dokonać wyboru między rodziną a nowymi zadaniami. Bo to przecież wciąż była jej rodzina, co by nie mówić. Nawet jeśli potraktowała ją jak obcą. Oparła głowę o wizjer pojazdu. Pomyślała, że mogła by odwiedzić szkołę w której kiedyś pracowała, ale nie czuła się na siłach, by stawić czoła pytającym o wszystko dzieciakom, zdecydowała więc, że pojedzie do Parku Kinga. Zatrzymała ślizgacz przy ulicy Bolivara i poszła do otwartej bramy. W tym pięknym miejscu można było pospacerować bez zwracania niczyjej uwagi i bardzo lubiła tam przychodzić. Architekci miejsca upodobnili je do naturalnego z wyjątkową starannością – można było przysiąc, że rośnie tam prawdziwa trawa i kwiaty, że szumią prawdziwe drzewa, jak w rezerwacie. Nawet staw i pływające łabędzie odwzorowano z niezwykłą plastycznością, niemal można było ich dotknąć. Etta wróciła myślą do dnia, gdy mały Timmy wpadł do sadzawki w Ośrodku Doboru Kadr. Chłopczyk pewnie po raz pierwszy w życiu widział prawdziwy zbiornik wodny i nie przypuszczał, że może stanowić jakieś niebezpieczeństwo. Sama przecież nie od razu zorientowała się, że tamtejszy park to nie wideoplastyczne złudzenie i syntetyczne twory, a prawdziwe drzewa, kwiaty i woda. To dziwne, ale w obecnej chwili wołała sztuczny widok. Park Kinga był czysty, niemal sterylny, czuła się w nim bezpiecznie jak w domu. Prawdziwa przyroda, która zdążyła poznać, budziła obawę i jakiś rodzaj obrzydzenia. Była po prostu... brudna. Przyzwyczajona do cywilizacyjnej czystości nauczycielka źle się czuła „na łonie przyrody”, co budziło ironiczny uśmiech u doktora O’Leary. Nie bardzo rozumiała czemu, ale reakcje tego dziwnego człowieka nie zawsze były zrozumiałe.

Etta przeszła się alejkami, potem usiadła na ławce obok symulowanej fontanny i przymknęła oczy. Po raz pierwszy udział w migracji wydał się czymś absurdalnym – należała przecież do tego porządnego, poukładanego świata, w który każda rzecz miała ustalone miejsce. Co ją podkusiło, by angażować się w coś takiego jak migracja na obcą planetę? Pograżona w gorzkich myślach aż się wstrząsnęła, gdy ktoś złapał ją za ramię. Otworzyła oczy i ku nieopisanemu zdumieniu ujrzała przed sobą bliźniaków, zdyszanych i potarganych.

– Nie bój się, to my – powiedział Diogo. – Słuchaj, siostrzyczko, chcemy tylko, żebyś wiedziała: nie myślimy tak jak mama i tata. Nigdy nie lubiliśmy Daria. Z niego taki podlizuch, a jednocześnie podstępny drań. Nas nie oszukał.

– Ale jest coś ważniejszego – przerwał Nando, rozglądając się czujnie. – Musisz coś zrobić. Obserwują cię.

– Kto?

– Nie wiem, jacyś kumple Daria. Często przychodzili do domu i rozmawiali, głównie z ojcem. Nas wysyłali wtedy do świetlicy, ale ostatnio podsłuchaliśmy, że mają wszystko na oku.

– I jak wyszłaś, tato zaraz do nich zadzwonił – dorzucił Diogo. – Uważa, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli cię gdzieś zamkną, żebyś nie wracała tam, gdzie teraz jesteś.

Mówił chaotycznie, rzucając wokoło spłoszone spojrzenia. Etta wstała z ławki i rozejrzała się czujnie.

– Dziękuję, chłopcy – rzekła powoli. – Poradzę sobie... Ale czemu?

– Bo my im nie wierzymy!

Jakże bardzo pragnęła wypytać braci dokładnie, ale nie było na to czasu. Jeśli bliźniakom się to wszystko nie uroiło, musiała jak najszybciej wrócić do bazy. Zdecydowała, że najlepiej będzie przejść przez park i wsiąść w publiczny ślizgacz nr 5, który kończył trasę na peryferiach miasta, przy lądowisku wojskowym. Tam zorganizują dla niej transport. Pośpiesznie ucałowała zaczerwienione z emocji buzie chłopców.

– Jesteście wspaniali – powiedziała z uczuciem. Bracia odwzajemnili uścisk, aż coś ją w sercu zakłuło. Wiedziała, że będzie tęsknić, ale nie mogła się zwierzyć, nie było jej wolno dać znać, że nigdy więcej się nie zobaczą. Ruszyła alejką na lewo, prowadzącą do drugiego wyjścia, zmuszając się żeby nie iść nadmiernie szybko. To wzbudzałoby podejrzenia. Jeśli bliźniaki za nią pojechały, a ktoś rzeczywiście ją śledził, na pewno zauważył chłopców. Czy jednak domyślał się, po co poszli za siostrą?

– Hej, panno Solis! – Zawołał nagle jakiś głos. – Niech pani zaczeka. Mam dla pani wiadomość!

Obejrzawszy się zobaczyła Wellesa, nauczyciela, który – jak wiedziała – ostatecznie zastąpił ją przy klasie. Nadchodził z przeciwnej strony, uśmiechnięty, w nieposzlakowanej białosci służbowym garniturze. Widać było, że dopiero co wyszedł z pracy i postanowił odprężyć się nieco w tym pięknym miejscu. Etta uśmiechnęła się powitalnie i pomachała ręką. Słabo знаła Wellesa, ale mówiono, że jest bardzo zaangażowanym przedstawicielem zawodu i dobrze rozumie się z dziećmi. Przystanęła, przejęta pragnieniem, by dowiedzieć się czegoś o Jodie, Waylonie, Tracy, o wszystkich małych pupilach, z którymi rozłączył ją los.

Welles zbliżał się i był zupełnie blisko, gdy rozległ się jakiś nieartykułowany wrzask. Po obu stronach nauczyciela zjawili się ciemnowłosi chłopcy, którzy rzucili się na niego, chwytając go za nogi i unieruchamiając. Etta zamarła, nie rozumiejąc, co się dzieje i patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak Welles, wykrzywiony ze złości, szarpie się z braćmi.

– Uciekaj, Etta! – Darł się Diogo.

– Zwiewaj ile sił! – Przekrzykiwał go Nando, wczepiony w biały garnitur Wellesa obiema rękami. – To on wtedy gadał z tatą!

Jeszcze nie całkiem to do niej dotarło, gdy nogi same niosły ją w stronę najbliższego wyjścia z parku. Biegając sięgnęła naszyjnika i mocno wcisnęła niebieską perłę w głąb obsady, aż usłyszała cichutki szcęk. Miała nadzieję, że faktycznie oznaczało to uaktywnienie komunikatora i wysłanie sygnału wezwania pomocy. Welles na pewno nie był sam, bo jeśli była to pułapka, musiało brać w niej udział więcej ludzi. Mimochodem zdziwiła się, że szybki bieg przychodzi jej z taką łatwością. Widocznie treningi na torze przeszkód w Ośrodku przyniosły wymierne efekty, a tak na nie z początku narzekała. Mima Radović, szef wyszkolenia fizycznego, nie pozwalała odetchnąć, wyciskała z podopiecznych siódme poty, w nieskończoność przeganiając ich po torze i placach manewrowych, ale przynosiło to w końcu dobre rezultaty. Trenowani w ten sposób żołnierze i cywilni pracownicy nabierali kondycji, stawali się silniejsi i odporniejsi. Etta widziała to teraz. Nawet nie była zdyszana, gdy wreszcie dopadła furtki.

Czekali na ulicy. Dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach według młodzieżowej mody – rozszerzane nogawki u spodni, kliny ze sztucznej skóry na biodrach i rękawach bluz. Tyle zauważyła, nim jeden zaszedł ją od tyłu i spróbował wykręcić jej rękę, a drugi chciał przycisnąć do twarzy jakąś szmatkę, pewnie nasączoną środkiem usypiającym. Kopnęła go z całej siły w kolano, tak jak uczył Omi Mi-Kori, instruktor sztuk walki i spróbowała uwolnić rękę, krzycząc jednocześnie, ile sił w płucach. Napastnik zatkał jej usta. Nie udało się jej wyrwać, ale szamotanina przy furtce parku zwróciła uwagę przejeżdżającego policjanta.

– Co tu się dzieje? – Zawołał, stopując motor.

Ten, którego Etta kopnęła, przerwał rozcieranie kolana i nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawił się jakiś niewielki pistolet. Iskrowe wyładowanie otarło się o ramię zaskoczonego policjanta, wypalając dziurę w ochronnym mundurze. Stróż porządku błyskawicznie skrył się za motocyklem, wyciągając służbową broń. Przy końcu ulicy ukazało się jeszcze dwóch mężczyzn, ubranych podobnie jak ci, co zaatakowali nauczycielkę, a od strony parku nadbiegał Welles, ścigany przez wrzeszczących chłopców. Etta zebrała wszystkie siły, wbiła zęby w dłoń napastnika i, wykorzystując moment zaskoczenia, uwolniła się wreszcie. Zamiast uciekać, na oślep przeskoczyła przez policyjny motor i kucnęła obok mężczyzny w

mundurze.

– Niech pan uważa, tam są moi bracia! – Zawołała, czyniąc jednocześnie w duchu uwagę, że dysydencka broń musiała być czymś zupełnie nowym na rynku. Zwykły pistolet nie wypaliłby dziury w bernitowym mundurze.

– Spokojnie, nie strzelam do dzieci – warknął policjant. – W co się pani wplątała?

Etta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Szczęśliwie nie musiała nic mówić, gdyż nagle na ulicy zaroilo się od żołnierzy. Dwóch bezceremonialnie wciągnęło Ettę do opancerzonego pojazdu, reszta – jak zdążyła zauważyć – zajęła się aresztowaniem bandytów, którzy ją napadli. Policjant pomagał im gorliwie. Potem osłony na wizjerach zamknęły się i pojazd wystrzelił w powietrze, kierując się do bazy. Była bezpieczna.

– Dzięki pani dotarliśmy do antyrządowego ugrupowania Zielony Październik – mówił podpułkownik Kovacs. – To bardzo niebezpieczni ludzie. Należy się pani podziękowanie.

Etta milczała. Myśl, że została wykorzystana jako przynęta nie była miła. Chociaż rozumiała, że nie można było inaczej, czuła się z tym wszystkim okropnie, szczególnie że przepełniał ją lęk o rodziców. Jeśli mieli konszachty z tymi ludźmi, teraz, gdy tamci zostali aresztowani, również mogli ucierpieć. Podpułkownik obserwował ją spod oka, bawiąc się naszyjnikiem, który oddała.

– Jest pewien problem – rzekł w końcu. – Chodzi o pani braci. Nie możemy odesłać ich do domu, za dużo wiedzą.

– Więc ?

– Muszą dołączyć do migracji. Jako koloniści.

– Ależ rodzice tego nigdy nie zaakceptują!

– Pani rodzice mają jeszcze Itati i Amadora. Nie wiem co prawda, jak to się stało, bo rekomendacja pułkownika Gongadze była zupełnie inna, ale sąd przyznał im prawo do opieki nad wnukami. Podobno właśnie w oparciu o jego list.

– Może tak napisał?

– Nie. Wiem, co napisał. W innej sytuacji zbadalibyśmy tę sprawę, ale teraz i tak nie będzie na to czasu. Dzieci zostaną u pani rodziców. Nie oskarżymy ich ze względu na panią choć powinniśmy. No ale nie ma bezpośrednich dowodów, by byli działaczami podziemia, raczej wplątał ich w to Dario Cantoralle. Możemy ostatecznie odpuścić tę sprawę.

– Dziękuję – szepnęła Etta. Wciąż było jej smutno, ale jednocześnie czuła ulgę.

– Nie ma za co. Może pani odejść.

Wracając do kwatery Etta jeszcze raz rozważała wszystko, co usłyszała. Ktoś

najwyraźniej zmienił treść listu do sądu rodzinnego. Tylko kto miał okazję i odpowiednie umiejętności? Odpowiedź narzucała się sama. Raul. Pomyślała, że kiedyś trzeba będzie z nim porozmawiać na ten temat, ale nie dzisiaj. Była tak zmęczona, że dosłownie padała z nóg.

II.

Etta i Weronika siedziały w kawiarni nad roztopiającymi się lodami. Etta była zgaszona i przybita, jej przyjaciółka również miała niewesołą minę.

– Cóż, w końcu aż tak źle się to nie skończyło – rzekła wreszcie, siląc się na optymizm.

– Być może, ale i tak czuję się z tym fatalnie. Co muszą teraz przeżywać mama i tata.

– Gdyby nie mieszały się w te sprawy, nie doszłoby do takich drastyczności – stwierdziła spokojnie Weronika i włożyła sobie do ust pełną łyżeczkę lodów. – Twoi bracia, tacy smarkacze, wykazali większy rozsądek niż oni.

– Tak, i co im z tego przyszło? – Prychnęła Etta. – Zostali potraktowani jak przymusowi zesłańcy w dawnych czasach, jak nieletni przestępcy ze średniowiecza lub czasów po katastrofie ekologicznej. Wtedy też przez dłuższy czas prawo nie rozróżniało wieku, wszyscy byli karani tak samo. Sędzia mógł skazać sześciolatka na prace przymusowe w obozie karnym za kradzież towarów deficytowych, na przykład cukru czy jakiegoś owocu, jednej pomarańczy lub jabłka...

– Dramatyzujesz. Twoi bracia nie źle traktowani, a ta baza to nie obóz karny. Jestem pewna, że to, co się stało, traktują jak wspaniałą przygodę. Zresztą nic na to nie poradzisz.

– Nie mogę ich nawet odwiedzić.

– To już trudno. Swoją drogą, fajni chłopcy z tych bliźniaków. Mój brat by mi nie pomógł, nawet gdyby mieli mi głowę urwać. Wstrętny gnojek. Kiedyś, jak byłam chora, powiedział że chce, żebym umarła.

Weronika dosłownie wypluła te słowa. Jej rodzice mieli prawo tylko do

dwóch cięż, więc młodszy o siedem lat Burton był ich oczkiem w głowie, rozpieszczanym księciem, któremu wszystko było wolno. Szczególnie, że miał kategorię „3”, a nie „0” jak starsza siostra.

– Kochanie, nie bądź taka zgorzkniała. Teraz masz ich z głowy – przyjaciółka uśmiechnęła się pokrzepiająco. – Jesteś samodzielna, masz odpowiedzialną, naprawdę prestiżową funkcję, życzliwych ludzi wokół i Brenta. Osiągnęłaś więcej niż twój rozpieszczany braciszek osiągnie kiedykolwiek.

– Najważniejsze, że jestem teraz z dala od wszystkich.

Na uspokojenie Weronika zamówiła jeszcze jedną porcję lodów. Uwielbiała je i mogła pochłonąć każdą ilość. Zazwyczaj koily u niej wszystkie zmartwienia.

Wracając z kawiarni przyjaciółki postanowiły zajrzeć do działu naukowego. Bywały tam teraz częściej, niż można się było spodziewać, a to dlatego, że ciekawiły je postępy Rainy. Ta niezaplanowana Towarzyszka Leonarda Derkacza stała się niespodziewanie ich bliską znajomą – Ignęła do nich z ufnością dziwną u istoty tak bardzo skrzywdzonej. Chcąc nie chcąc, dziewczyny zapoznały się też bliżej z Leonardem. Gdy przywykły do nietypowego wyglądu mężczyzny, przestał się wydawać taki brzydki jak kiedyś. Jego dziwna twarz była po swojemu interesująca, nawet koścista, niezgrabna postać miała pewien urok. Derkacz budził sympatię, gdy się go już bliżej poznało. Był organicznie niezdolny do samolubstwa, kręactwa i złośliwości, choć może też zbyt poważny. Odnosiło się wrażenie, że zupełnie nie ma poczucia humoru, ale budził tyle sympatii, że wybaczano mu to bez trudu. Jako doskonały cybernetyk i znawca andropsyki umiał zająć się Rainą we właściwy sposób i już wkrótce androidka przestała przypominać autystyczne dziecko. Uczyła się szybko, tak jak wszystkie androidy, ale pozostało w niej coś nieśmiałego i delikatnego, co tak wszystkich uderzyło na samym początku. Wszystkie polecenia wykonywała natychmiast i jak najszybciej, jakby obawiała się kary. Za Leonardem chodziła z psią wiernością i była wyraźnie zagubiona, gdy przypadkiem straciła go z oczu. Wyglądało na to, że Raina jest rzeczywiście unikalnym androidem, bo nawet McLean O’Leary musiał przyznać, że podobnego okazu jeszcze nie napotkał.

– Nie jest to zresztą żaden argument – dodał od razu. – Androidów jest stosunkowo niewiele, a ja po raz pierwszy mam do czynienia z takim, nad którym ktoś się znęcał. W okresie kształtowania świadomości otrzymała całą masę nieprawidłowych bodźców i błędnych informacji, i to uformowało jej charakter tak, jak to widzimy. To właściwie przykre, ale nie uda się nam cofnąć tego, co się stało.

Do działu naukowego przyjaciółki jednak nie doszły. Znienacka odezwał się sygnał alarmu dla personelu, świszczący, modulowany dźwięk, który oznaczał: „Wszyscy natychmiast proszeni do centrum kontroli!” A „natychmiast” znaczyło

„natychmiast”, nie wolno było zwlekać ani minuty. Tego typu wezwanie dotyczyło całej „obsługi misji”, od dowództwa aż po najniższego stopniem technika, i jak dotąd ani razu nie zostało wyemitowane. Musiało się zatem zdarzyć coś naprawdę nieoczekiwanego. Weronika i Etta przyspieszyły kroku i niemal biegiem wpadły do budynku kontroli. Sala odpraw, ogromna aula, niczym na uniwersytecie, była w połowie pełna, gdy dotarły na miejsce. Zaraz po nich przybył kapitan Willner, nerwowo przyglądając mokre po myciu włosy. Jako ostatni wszedł do auli doktor O’Leary w rozchełstanej piżamie. Wyrwany z łóżka przez asystenta nie zadał sobie trudu, by się przebrać – skoro, jak stwierdził, to taki „urgens”, to ludzie mają większe zmartwienie niż strój szefa jednego z działów. Gdy tylko automatyczny czujnik odnotował, że w auli znajdują się wszyscy z zaprogramowanej listy, zamknął drzwi i wtedy pojawił się na mównicy hologramowy obraz głównodowodzącego wojsk globalnych, nadadmirała Kondratiuka.

– Witam państwa – powiedział hologram. – Nie będę się rozwodził i przepraszał za wyrwanie z łóżek, a powiem wprost: nadeszła godzina zero. Za chwilę koloniści zostaną grupami wezwani do centrum medycznego, gdzie będą uśpieni gazem anastetycznym i przetransportowani do kapsuł. Jak wiecie, podróż odbędą w stanie zawieszanej animacji, gdyż tak będzie bezpieczniej. Wy, obsługa i ochrona misji wróćcie teraz do kwater i zabierzcie to, co zostało wyselekcjonowane do podróży. Następnie będziecie się zgłaszać według listy przydziałów do maszyn, które zawiozą was na lądowisko promów. Stamtąd polecicie na orbitę, gdzie czekają statki kosmiczne. Kiedy kawalkada wyruszy w podróż, odpowiedni program zintegrowany wyemituje na każdym statku szczegółowe informacje co do przebiegu lotu. Ziemia życzy wam szczęśliwej podróży.

– Wiedziałaś coś o tym? – Spytała Etta Weroniki.

– Zupełnie nic. Rzeczywiście, pełna konspiracja. Chyba trochę przesadzają – burknęła jej przyjaciółka z niezadowoleniem. – Leć do kwatery i bierz kłamoty. Spotkamy się na lądowisku.

Bagaż, jedna torba na osobę, zawierał najpotrzebniejsze drobiazgi i nic ponadto, a był przygotowany od wielu dni. Raul, o nic nie pytając, zamknął kwaterę i poszedł za Dominą na lądowisko, gdzie odprawiano kolejne maszyny, zewnętrznie przypominające towarowe dostawczaki, a w środku urządzone jak pasażerskie odrzutowce. Żołnierze kierowali pojawiających się ludzi do odpowiednich maszyn, inni, w drugiej części lądowiska przygotowywali nie kończące się szeregi kapsuł hibernacyjnych. To w nich mieli być przetransportowani koloniści, którzy prześpią cały lot, o niczym nie wiedząc. Przez chwilę Etta pożałowała, że nie jest jednym z nich. Nie umiała sobie wyobrazić statku, na którego pokładzie miała spędzić najbliższe cztery miesiące. Nic

właściwie o nim nie wiedziała – tyle tylko, że musiał być bardzo duży, bo budowano go w przestrzeni kosmicznej, nie na powierzchni planety. Jak powiedział kiedyś kapitan Willner, gdyby próbowano wynieść go z Ziemi na orbitę, odrzut zniszczyłby taką połać terenu, że całej sprawy nie dałoby się dłużej trzymać w sekrecie.

Etta usiadła na wskazanym miejscu, a Raul zajął fotel obok . Dwa rzędy przed nimi siedział kapitan, przy nim Weronika i Rasmus, po drugiej stronie zobaczyła doktora O’Leary, Derkacza oraz Rainę. Ten widok powinien ją uspokoić – znaczył, że będą razem na jednym statku – ale z niewiadomych powodów poczuła się jeszcze bardziej niespokojna. Nie miała odwrotu i ta świadomość była czymś obezwładniająco paskudnym.

III.

Lot i dokowanie wewnątrz ogromnego statku odbyły się zdumiewająco zwyczajnie, tak jakby lecieli z miasta do miasta. Etta odbywała nieraz takie loty i nie lubiła ich, ale nie było w nich nic strasznego ani niezwykłego. Teraz też miała wrażenie, że odbywa „zwykły” lot i zaraz znajdzie się w spokojnym, bezpiecznym mieście, w Nowym Palermo lub Singapurze, a tymczasem wysiadła w czymś, co przypominało ogromny hangar bez okien. Stały w nim trzy inne promy, dużo mniejsze i puste, przycumowane klamrami mocującymi. Każdy z nich miał na obu bokach stylizowany znak Ziemskiej Unii i symbol okrętu, w tym przypadku „Viking 01”. Na przybyszów czekał młody mężczyzna w obcisłym, czarnym kombinezonie z plaketką pilota na piersi i niewielkim tatuażem na lewej skroni, znakiem osobnika w 100% stabilnego psychicznie.

– Camus de Bernal, główny pilot – przestawił się, salutując kapitanowi Willnerowi. – Witam na pokładzie Vikinga 01, kapitanie. Witam wszystkich. Proszę za mną, wskażę kwatery.

Odwrócił się i dotknął kilku przycisków na umocowanym skośnie panelu. Wewnętrzne drzwi hangaru rozsunęły się, ukazując niższy niemal o połowę korytarz, wyłożony piankowym plastikiem. Wyglądał niczym hall w jakimś instytucie naukowym, szary, pozbawiony jakichś agresywnych akcentów. Po obu stronach ciągnął się rząd drzwi, między nimi wmontowano w ściany holoobrazy, przedstawiające widoki przyrody z różnych okolic Ziemi. Drzwi prowadziły do laboratoriów, magazynów i innych pomieszczeń użytkowych. Kwatery mieściły się bardziej w głębi. Były to niewielkie kabiny, z których każda mogła być jedno- lub dwuosobowa, gdyż zawierała piętrowe łóżko, wbudowane w ścianę, dwie również wpuszczone w ściany szafki, wysuwany stół i trzy wąskie, składane fotele. Na jednej ze ścian było lustro, pod nim niewielka półka, wieszak na ręcznik i rozpylacz dezynfekującego aerozolu. Na podobnej zasadzie działały tuby służące do mycia ciała. Woda była zbyt cenna, by używać jej w tym celu, higienie miały służyć wyłącznie chemikalia i sprężony gaz. Małą przestrzeń kompensował nieco ekran holograficzny, zastępujący ścianę naprzeciwko łóżek. Można było wyświetlić na nim dowolny obraz z bazy danych statku lub własnego nośnika, do wyboru. Ci, którzy mieli Towarzyszy, zostali zakwaterowani razem z nimi, pozostali mieli ustalić między sobą, kto z kim będzie mieszkał. Rzecz jasna, każdy

chciał bezpośrednio po zakwaterowaniu obejrzeć całą sekcję mieszkalną. Wyjątek stanowili medycy, którzy zabrali się bezzwłocznie za sprawdzenie, czy kapsuły hibernacyjne z uspiętymi podstępnie kolonistami działają i czy zostały prawidłowo zamocowane. Pracownicy zaopatrzenia zainteresowali się przede wszystkim sekcją kontenerową, gdzie przewożone były zapasy. Co prawda istniała technologia, pozwalająca na uzyskanie substancji odżywczej z elementów nieorganicznych – po rozbiciu na atomy syntetyzowano masę, przypominającą nieco miazgę sojową – ale wymagało to sporo czasu i energii. Korzystanie z tego osiągnięcia stanowiło wyjście alternatywne, do którego nikt się nie palił. Inżynierowie i ochrona sprawdzili, czy gdzieś nie czai się zagrożenie techniczne i czy nie ma oznak sabotażu. Szczególnie dużo uwagi poświęcili mostkowi, okrągłemu pomieszczeniu, którego najważniejszymi elementami były skomplikowane konsole i panoramiczne ekrany. Nie udało się tylko wejść do kokpitu, oddzielnego od reszty mostka przejrzystymi grodziami. Ta część statku była zastrzeżona jedynie dla pilotów, a oprócz nich mógł tam wejść tylko kapitan.

Statek można było też pilotować z konsoli na mostku. Było to konieczne zabezpieczenie na wypadek, gdyby któryś z pilotów popadł w samobójczy nastrój. Taką możliwość trzeba było wziąć pod uwagę podczas planowania wyprawy, bo chociaż piloci mieli odpowiedni profil psychologiczny i w dodatku byli odpowiednio przygotowywani od dziecka, pozostawali ludźmi, a ludzie zawsze są nieprzewidywalni.

– Czemu nie przyuczono androidów do tej roboty? – Spytała Etta. Kirk Willner roześmiał się serdecznie.

– Są rzeczy, kochane dziecko, które może wykonać jedynie człowiek – powiedział. – Nie martw się, w dowództwie dobrze nad tym kombinowali.

Jeden z pilotów podniósł się i wyszedł z kokpitu.

– Kapitanie, porucznik Joao Jimenez melduje gotowość do startu – powiedział, salutując uniesioną dłonią.

– Przyjąłem, poruczniku – Willner usiadł w fotelu dowodzenia i włączył węzeł komunikacji wewnętrznej. – Uwaga załoga. Mówi kapitan. Wszyscy obecni proszeni są na mostek. Powtarzam: wszyscy obecni proszeni są na mostek.

Trzeba przyznać, że szkolenie w ośrodku było skuteczne. W ciągu dosłownie kilku minut wszyscy, którzy nie spali w hibernatorach – i ludzie, i androidy – znaleźli się na mostku. Nie było ich dużo – sześciu żołnierzy ochrony, cybernetycy O'Leary i Derkacz, trzech inżynierów (dwóch zostało w maszynowni, a jeden, Aisha Bahrani, miał po starcie odlecieć promem na Vikinga 03 jako tamtejszy główny inżynier), siedmiu techników ogólnych, technik żywieniowy, Etta i Weronika. Z androidów Raul, Brent i Raina. Jako ostatni zjawili się dwaj pielęgniarze i dwaj sanitariusze, technik aparatury medycznej oraz doktor Xiao.

Dosłownie w ostatniej chwili szef działu medycznego poprosił, by pozwolono mu lecieć nie statkiem dowodzenia, a Vikingiem 02, gdzie w przedziale pasażerskim spali Oksana Wysocka i mały Timmy. Wolał być blisko nich.

Mimo stosunkowo niewielkiej ilości osób na mostku od razu zrobiło się tłoczno, nie było tam bowiem zbyt wiele przestrzeni.

– Uwaga kokpit – powiedział kapitan do mikrofonu. – Zwolnić klamry dokujące.

– Jest, zwolnić klamry – padła odpowiedź i po chwili pilot zameldował:

– Klamry zwolnione.

– Odblokować ręczny ster.

– Jest, odblokować ręczny ster. Ster odblokowany.

– Czekać – Willner przełączył komunikator. – Statki Viking–02, Viking–03, Viking–04, Viking–05, meldować gotowość do startu.

Z głośnika padły jednobrzmiące odpowiedzi :

– Viking–02 melduje gotowość do startu.

– Viking–03 melduje gotowość do startu.

– Viking–04 melduje gotowość do startu.

– Viking–05 melduje gotowość do startu.

– Start w odstępie pięciu minut – Kirk Wilner ponownie przełączył komunikator. – Kokpit, cała naprzód.

– Jest, cała naprzód.

Start był czymś o wiele mniej ekscytującym, niż Etta myślała. Po prostu pokład pod stopami ledwie wyczuwalnie zawibrował, a obraz na ekranach ożył i zamarł.

– Lecimy? – Spytała z powątpiewaniem, patrząc na towarzyszącego jej jak zwykle Raula.

– Lecimy – potwierdził.

– To czemu nie widać ruchu?

– Ot, laik – parsknął stojący niedaleko doktor O’Leary. – Gwiazdy są zbyt daleko, mała. Ich obraz nie będzie się znacząco zmieniał, a już na pewno nie zamieni się w piękne, świetliste smugi jak na filmie, nawet gdy rozwiniemy najwyższą dopuszczalną prędkość.

Na głównym ekranie ukazał się obraz nadadmirala Kondratiuka.

– Witam państwa – powiedział. – Gratuluję udanego startu w bezprecedensową podróż. Dziś jest pierwszy dzień reszty waszego życia, całkowicie niezależnego od planety, której staliście się ambasadorami. Teraz, gdy znajdujecie się w drodze, odsłonię szczegóły, których wcześniej nie wolno wam było poznać.

Nie lećcie na Enceladusa. Ten niewielki księżyc nigdy nie był celem ekspedycji, gdyż jest za mały, by choć utrzymać atmosferę i składa się praktycznie w całości z lodu. Doświadczalna stacja naukowa na jego powierzchni to samowystarczalna ekosfera, w której może mieszkać jedynie bardzo ograniczona liczba ludzi. Wasz cel leży dalej, poza pasem Kuipera. Czy kiedykolwiek słyszeliście o Nemesis?

– Hipotetyczna ciemna gwiazda... – spróbowała Weronika i umilkła. Była równie oszołomiona jak cała reszta, może za wyjątkiem doktora O'Leary, który najwyraźniej oczekiwał jakiejś przykrej niespodzianki i był mniej zaskoczony niż inni. Nadadmiral skinął głową.

– Tak, kiedyś ochrzczono Nemesis „ciemną gwiazdą” – rzekł. – W pewnym sensie jest to całkiem trafne określenie. Oczywiście ona nie istnieje, jednak próby ustalenia, gdzie może się znajdować doprowadziły do niezwykłego odkrycia. Otóż okazało się, że istnieje coś, co pozornie zaprzecza znanym prawom fizyki gwiazdnej – mikrogwiazda. Powstała prawdopodobnie w wyniku oderwania się materii gwiazdnej od słońca. Jej płat przeleciał przez cały układ słoneczny i owinał się wokół skompresowanej, dogasającej resztki brązowego karła. Był najprawdopodobniej poprzednikiem słońca w tym rejonie. W ten sposób powstała Jewel: mała gwiazda o niezwyklej masie i dostatecznej temperaturze, by na obiegającej ją planecie rozwinęło się życie. Jak się wydaje, miniukład planetarny składa się z obiektów przechwyconych, ale dla was to obojętne. Całe zdarzenie miało miejsce w okresie formowania się naszej planety, prawdopodobnie wskutek tego samego kataklizmu, który oddzielił księżyc od Ziemi, planety zaś zostały niejako zaanektowane przez pole grawitacyjne jakiś miliard lat później. Położenie Jewel względem naszej dziennej gwiazdy jest takie, że choć dawniejsi astronomowie mieli pewne przesłanki co do jej istnienia, niemożliwe było stuprocentowe potwierdzenie teorii. Ogromny dysk pyłowy wytłumia wszelkie sygnały i dopiero gdy stacja przekaźnikowa Michio1 rozpoczęła działalność, możliwe stało się zbieranie danych z niejako bocznej pozycji. Wtedy potwierdzono istnienie Jewel.

Na ekranie ukazał się ruchomy schemat, obrazujący wspomniany układ.

– Jak widzicie, niemożliwe jest dostrzeżenie tych obiektów z Ziemi. Gdy astronomowie uzyskali wreszcie w miarę dokładne dane dotyczące obiektu, jednocześnie dostali informację o własnym miniukładzie planetarnym gwiazdy. Znajduje się w nim planeta, będąca niemal idealną kopią Ziemi. Przy okazji astronomowie obliczyli, że intensywność i spektrum promieniowania Jewel pozostanie na tym samym poziomie przez najbliższe dwadzieścia pięć tysięcy lat. Jak dla nas to dość. To odkrycie rozpoczęło trwające około stu lat badania. Wszystkie przeprowadzone analizy dały nam wiedzę o tej planecie, pozwalającą na wysłanie automatów oraz robotów, które przygotowały infrastrukturę dla mającej

powstać kolonii. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy to wszystko będzie mogło być wykorzystane, były ogromne opory w rządzie. Jednak udało się i oto lecicie.

– Nikt nas nie uprzedził, że wyślecie nas tak daleko! – Zawołała inżynier Aisha Bahrani, a z jej głosu przebijała autentyczna histeria – Ta odległość oznacza, że nie będzie obiecanej łączności z Ziemią!

Podobne głosy przebijały też z innych statków, gdyż łączność była ustawiona w tryb konferencyjny. Dowódcy poszczególnych jednostek usiłowali uspokoić ludzi, gdzieś wołano lekarza – widocznie trzeba było podać komuś środek na uspokojenie. Etta spojrzała na Willnera, który stał obok niej – kapitan przybladł nieco pod opalenizną, ale nic więcej. Pospiesznie wyjął z kieszeni inhalator easyhal i zmusił łkającą Aishę do zażycia leku. Następnie wziął mikrofon i huknął:

– Spokój! Wszystkie pokłady mają zachować spokój! Wysłuchajmy do końca tego, co nadadmiral ma do powiedzenia i przede wszystkim pamiętajmy, kim i czym jesteśmy. Wyselekcjonowane jednostki o wysokiej klasie przydatności społecznej nie mogą zachowywać się jak stado przestraszonych małą. Ostre, władczo brzmiące słowa podziały na ludzi trzeźwiąco i kojąco zarazem. Zdenerwowany wielogłos ucichł i Kondratiuk mógł mówić dalej:

– Dziękuję, kapitanie. Były powody, dla których trzymaliśmy właściwy cel wyprawy, a co za tym idzie wszelkie niedogodności, w tajemnicy. Wasza reakcja dowodzi, że mieliśmy rację. Moglibyście nie wytrzymać napięcia związanego z taką świadomością, mimo że jesteście najlepszymi z najlepszych. Jednak teraz lecicie i nie wolno oglądać się wstecz, możecie patrzeć tylko naprzód. Waszym celem jest planeta o nazwie Patris. Znajdziecie na niej przygotowane osiedle i wszystkie potrzebne surowce. Bank wiedzy ludzkości, który zabraliście ze sobą, pomoże w uruchomieniu przystosowanego ekologicznie przemysłu, który z kolei nie pozwoli kolonii na cofnięcie się w rozwoju. Ziemia o was nie zapomni i gdy nadejdzie czas na ewakuację z rodzimej planety, Patris będzie pierwszym przystankiem emigrantów. a czas taki może nadejść bardzo szybko. Uważajcie się za szczęściarzy. Ominie was to, co dla większości ziemskiej populacji będzie piekłem, kataklizm, który zmusi nas wszystkich do porzucenia ojczyzny... no, tych z nas, którzy przeżyją. Nigdy nie będziemy w stanie wybudować dostatecznej ilości okrętów, by wszyscy mogli emigrować. Obawiam się, że gdy osiągniemy punkt 0, o miejsce w każdym ze statków będą się toczyć bezpardonowe walki. Powiem wam szczerze, mam nadzieję, że tego nie dożyję.

– Czyżby było aż tak źle? – Spytał Leonard Derkacz. Podobnie jak jego szef nie wyglądał na zbyt przerażonego. Kanciasta twarz wyrażała raczej naukowe zainteresowanie niż cokolwiek innego.

– Jeszcze nie – odparł nadadmiral. – Może wiecie, że informacje o grożącej

Ziemi asteroidy są wiarygodne. Tak naprawdę to nie jedna asteroida, a raczej kilkanaście obiektów kosmicznych, których wyliczony tor przecina się z ziemską orbitą. Być może uda się nam odchylić tor każdego, a może nie. Jeśli któryś z odkrytych obiektów uderzy w Ziemię, dojdzie do wybuchu, który zniszczy kilkanaście stanów, wywoła serię tsunami, a jednocześnie wyrzuci do atmosfery takie ilości gazów i pyłu, że nastanie najpierw przegrzanie atmosfery, potem zaś długotrwałe ochłodzenie, pokrewne zimi postnuklearnej. Wskutek tego, że w atmosferze zostaną rozproszone materiały radioaktywne, wzrośnie poziom promieniowania, a żywność i woda zostaną skażone. Życie na powierzchni planety będzie niemożliwe i to bardzo długo.

Po tym oświadczeniu nastała cisza. Każdy z obecnych myślał o kimś, kogo zostawił na Ziemi i powoli pojmował, że są rzeczy gorsze niż bycie wysłanym w komfortowym pojeździe na nieznaną planetę. Nikt już nie miał ochoty protestować ani oburzać się. Kondratiuk odczekał chwilę i dokończył:

– Sercem wszyscy jesteśmy z wami, moi drodzy. Bądźcie silni, chrońcie dorobek ludzkości i zawsze pamiętajcie, że mądrość, uzyskana z błędów przodków jest nam dana po to, żeby się do niej stosować. Ziemia pozdrawia i życzy szczęścia.

Etta rozejrzała się ukradkiem. Z twarzy otaczających ją ludzi powoli ustępował szok, choć na wielu wciąż jeszcze było widać niedowierzanie. Onasama, nie wiedząc czemu, była spokojna. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że ktoś trzyma ją za rękę. To był Raul.

III.

Etta wzięła odmierzoną porcję odżywczej pasty i usiadła przy stoliku. Technik żywieniowy, pełniący na Vikingu-01 rolę kucharza, był dopiero na etapie prób, co też da się zrobić z wysokowydajnych koncentratów, które zabrali z Ziemi. To, co przyrządził, przestrzegając ściśle osobowego przydziału kalorii, przypominało w smaku ostro przyprawioną przecierankę z mięsa i warzyw, z wyraźnie wyczuwalną grzybową nutą. Był to smak specjalnie wyhodowanej odmiany saprofitów, zawierającej niezbędne ludziom witaminy i mikroelementy.

– Chyba najbardziej będzie mi brakowało przegryzek – powiedziała do Raula, który usiadł obok. – Wiesz, batoniki, wafelki, galaretki w polewie. Tutaj mamy przydział, dokładnie tyle a tyle i koniec.

– Pięć posiłków dziennie, nie jest źle – przypomniał android. Nie musiał jeść, był z nią tylko dla towarzystwa.

– To wywalczyli lekarze. Stwierdzili, że podział dziennej porcji na trzy większe i dwie mniejsze lepiej utrzyma załogę w kondycji niż tradycyjne trzy posiłki. Chociaż drugie śniadanie i podwieczorek to będą takie małe porcyjki, to i

tak podobno będą działać korzystnie.

– Podobny efekt można by uzyskać, stosując pastylki odżywcze. Byłyby korzystne ze względu na oszczędność czasu, energii i miejsca.

– Zapewne. Jednak zdrowie podróżników bardzo by na tym ucierpiało i to nie tylko psychiczne. Przewód pokarmowy musi mieć na czym pracować, inaczej w całym organizmie doszłoby do poważnych zaburzeń.

Android milczał przez chwilę.

– Mam braki w wiadomościach z tej dziedziny – rzekł wreszcie cicho. Etta uśmiechnęła się skrycie. Raul zdawał się być zakłopotany, kolejna dziwna reakcja u androida.

– Nie możesz znać się na wszystkim – powiedziała i zawahała się. – To znaczy, właściwie możesz, twoje banki pamięci śmiało na to pozwalają. Ale cudów nie ma, musiałbyś się uczyć.

– Mogę się uczyć.

Do stolika podeszła Weronika, niosąc swoją porcję. Wyglądała jak zawsze nienagannie, pełna elegancji mimo bernitowego munduru i ogolonej na zero głowy. Decyzję na ten temat podjęto z ciężkim sercem, jednak była nieunikniona. W warunkach kosmicznych zachowanie minimum higieny osobistej jest bardzo trudne, zatem pozbycie się owłosienia stało się rzeczą konieczną. Kobiety przyjęły polecenie kapitana ze zrozumieniem, choć takie oszpecenie się było niewątpliwie ciężkim przeżyciem. Po jakimś czasie wszyscy przywykli do odmienionych wizerunków, zwłaszcza, że nie wyglądali tak źle, jak się początkowo zdawało. Szczególnie Weronika. Taki miała wrodzony dar, że zawsze prezentowała się świetnie. Prawdopodobnie można ją było wziąć za modelkę z żurnala nawet wtedy, gdyby zawinięto ją w stary worek i posypano popiołem.

– Jak się trzymasz, Etta? – Spytała, siadając. – Dziś musiałam uspokajać dwie histeryczki i mam nadzieję, że ciebie nie muszę. Doktor Xiao twierdzi, że reakcje nerwowe będą się zdarzać i że musimy być przygotowani na różne przykre niespodzianki ze strony załogi. Statki są na pierwszy rzut oka ogromne, ale mimo to część ludzi zacznie wkrótce cierpieć na klaustrofobię.

– Będzie bal.

– Dokładnie. Za godzinę mamy odprawę u kapitana, wiesz o tym?

– Oczywiście. Takich odpraw będzie pewnie wiele, zanim dotrzemy na Patris.

Weronika włożyła do ust łyżkę papki. Wyglądało na to, że intensywnie nad czymś myśli. Gdy przełknęła, znów spojrzała na przyjaciółkę.

– Jak myślisz, dotrzemy? – Spytała. – A jeśli tak, to co nas tam czeka?

Etta popatrzyła na nią ze współczuciem. Jako koordynator d/s cywilów Weronika nie mogła pozwolić sobie na żadną słabość. Jak powiedział półzartem

doktor O’Leary, została jakby matką całej wyprawy, skoro kapitana Willnera można określić jako ojca. Tymczasem była bardzo młoda i, podobnie jak inni członkowie ekspedycji, nie miała żadnego doświadczenia w podróżach do gwiazd. Ten rozdział w dziejach ludzkości dopiero się zaczynał. Mieli być pionierami na nieznanym terenie. Chociaż od dawna istniały stacje orbitalne na Venus i Marsie, chociaż prowadzono górnictwo księżycowe, to dalszy lot – technicznie możliwy przy ostatnich wynalazkach w dziedzinie napędu – nie był dotąd brany pod uwagę. Bardzo dużo mówiono o możliwości zaadaptowania Europy, księżycy Jowisza, o terraformowaniu Tytana, jednak do tej pory nic w tej sprawie nie zrobiono. A teraz wysyłano delegację ludzkości poza układ słoneczny.

– Tego nikt nie wie – rzekła poważnie. – Sprawdziłam wyniki badań. Wiemy, że na planecie jest tlen, woda i rośliny. Nic więcej. To bardzo dużo i jednocześnie bardzo mało. Myślę jednak, że na razie musimy zająć się organizacją życia na statkach, bo co będzie to będzie, a co jest, to jest.

– Fakt. Spędzimy ze dwa lata na tych latających trumnach, trzeba się jakoś urządzić.

– Damy sobie radę.

– Jasne, nie ma innej opcji.

Mimo pozornej pewności w głosie Weronika nie mogła wyobrazić sobie owego „urządzania”. O ile była w stanie zrobić sensowny plan na parę miesięcy, o tyle lata spędzone w podróży nie mieściły się w głowie.

– Musicie wiedzieć, że sytuacja jest krytyczna – powiedział kapitan z naciskiem. – Jeśli nie znajdziemy planety Patris, jesteśmy wszyscy zgubieni. Nawet najnowszy napęd nie zdoła donieść nas tam, gdzie ewentualnie moglibyśmy się osiedlić, nie w granicach ludzkiego życia. A przerobienie Vikingów na statki wielopokoleniowe nie jest możliwe.

– Czemu? – Spytał inżynier Woznansky. – Z punktu widzenia techniki zmiany są wykonalne.

– To prawda – przyznał Willner. – Ale nie z punktu widzenia zwykłej biologii. W warunkach zmiennego ciężenia płód narażony jest na deformacje i uszkodzenia, a wychowywanie dzieci w tak ograniczonej przestrzeni doprowadziłoby do degeneracji psychicznych. Nie możemy ryzykować. W dodatku zapasów nie starczyłoby i dla załogi, i dla kolonistów, gdyby ich obudzić, a my jak wiadomo jesteśmy wszyscy sterylni. Jesteśmy zerowcami. Nie, moi drodzy, Patris to nasza jedyna szansa i miejmy nadzieję, że dotrzemy tam bez przeszkód.

– A ona rzeczywiście istnieje? – Spytała sceptycznie doktor Xiao, mała, nerwowa Chinka o brwiach wygiętych w idealne łuki i wąskiej twarzy elfa. Była córką profesora, który przewodził naziemnemu komitetowi organizacyjnemu i podobno jej IQ przekraczało magiczną liczbę 160.

– Na szczęście tak. Sprawdziłem wszystkie dane z poziomu kapitańskiego dostępu. Ta planeta rzeczywiście została odkryta sto lat temu, pół wieku temu zbadana przez automatyczne sondy i przez ostatnie dwadzieścia lat wysyłano sprzęt oraz automaty. To wbrew zasadzie higieny kosmicznej, ale trzeba to było zrobić. Trudno, w tej kwestii cel uświęca środki. Przygotowując planetę dla osadników trzeba było ją choć trochę przystosować. Jednak musimy wszyscy mieć na uwadze to, że dobrze się tam naharujemy, i to fizycznie.

– Androidy mogłyby trochę pomóc – zauważyła Weronika.

– Do pewnego stopnia tak, panno Hornet – odezwał się O’Leary. – Ale pod ścisłym nadzorem i nie tyle, ile byśmy chcieli.

– Proszę naświetlić sprawę, doktorze – zachęcił go kapitan.

– Współpraca z androidami nie jest łatwa. Przede wszystkim nie są zdolne do wytworzenia w obwodach logicznych ogólnej teorii umysłów, a więc mogą źle interpretować polecenia ludzi, mimika będzie dla nich niepojęta i na pewno zrozumieją tylko to, co zostanie powiedziane wprost. Jeśli dla przykładu ktoś krzyknie „Spadam!”, android nie pospieszy z pomocą, bo weźmie to jedynie za stwierdzenie faktu. Skrót myślowe, normalne i całkowicie zrozumiałe dla ludzi, dla nich są abstrakcją.

– Raul wyciągnął małego Timura z wody, choć nie otrzymał polecenia – wyrwała się Etta.

– Raul, panno Solis, wykazuje nietypowe odchylenie statystyczne – odparł z naciskiem doktor. – Podejmuje decyzje analizując nie tylko otrzymane dane, ale też dane zapamiętane i wprowadzone dużo wcześniej. Nie jest to typowa operacja myślowa u androida i na razie nie wiem, co ją powoduje. Nie mając jednak ludzkiego instynktu może łatwo podjąć tą drogą decyzję zupełnie błędną, a nawet groźną w skutkach. Przyjęty przez niego punkt odniesienia może się łatwo okazać fałszywy, a wtedy... Powtarzam, androidy muszą podlegać ścisłej kontroli, jeśli mają z nami pracować, zatem ich pomoc nie będzie tak efektywna, jakby się wydawało.

– Mam pytanie – odezwał się biolog Callum. – Zakładamy więc, że Patris istnieje. Co wiemy na temat tej planety? Jakies konkrety?

Kapitan popatrzył na pod.

– Klimat podobnie różnorodny jak na Ziemi, bujna roślinność, wiele zbiorników wodnych – odparł. – Średnie ciśnienie atmosferyczne na poziomie mórz to 101,325 milibarów, nachylenie równika 22 stopnie, średnia temperatura powierzchni 16 stopni Celsjusza, ale jest dużo mniej zróżnicowana niż na Ziemi. Oprócz tej planety w układzie Jewel są jeszcze dwie. Nie mam danych na ich temat. Patris jest przyjazne życiu, co wiemy dzięki próbkom pobranym przez automaty. Przed kasacją Globalnego Programu Kosmicznego posłano tam wyprawę załogową, jednak kontakt został zerwany i nie udało się ustalić, co się stało z tamtą

załogą. Statek musiało spotkać jakieś nieszczęście i to nagle, bo do Ziemi nie dotarł nawet standardowy sygnał alarmowy.

– Słyszałem o tym. Wyprawa statku Hawking – mruknął O’Leary.

– Właśnie. I to właściwie wszystkie dane. Jest tego dość, by mieć nadzieję na przetrwanie. Jednak pierw musimy tam dotrzeć, moi państwo. A to, czy dotrzemy, zależy od wielu czynników, między innymi od tego, jaka będzie nasza organizacja. Zatem słucham meldunków służbowych. Jak wygląda sytuacja? Doktor Xiao?

Mała Chinka drgnęła, jak wyrwana z zamyślenia.

– Główne centrum medyczne jest na Vikingu 02 – odparła. – Doktor Gongadze zorganizował tam salę operacyjną i OIOM. Lokalne ambulatoria są odpowiednio wyposażone i wystarczą do leczenia mniej poważnych obrażeń u członków załogi poszczególnych statków.

– Sekcja techniczna?

– Mamy całe mnóstwo zapasowych części i materiały do wykonania prowizorycznych układów w razie, gdyby ich zabrakło. Viking 04 ma dobrze wyposażony warsztat wytwórczy. Na razie wszystko działa bez zakłóceń. Inżynier Bahrani nakazała codzienne wypełnianie arkuszy kontroli technicznej i dostarczanie ich do rąk własnych – odparł Woznansky.

– Żywność?

Technik żywieniowy, jasnowłosy Norweg Stig Larson, uniósł się, jakby chciał wstać, ale zreflektował się i usiadł ponownie.

– Zapasy koncentratów mogą wystarczyć na pięć lat. Hydroponiczna hodowla alg i modyfikowanych genetycznie saprofitów pozwoli zmniejszyć zużycie koncentratów nawet o jedną czwartą. Punkt newralgiczny stanowi oczywiście woda. Zamknięty obieg będzie uzupełniany o efekty syntezy atomowej. Wczoraj sekcja inżynierska uruchomiła selektywny wychwyty atomów wodoru z przestrzeni wokół nas.

– Z próżni kosmicznej? – Przerwał z niedowierzaniem podpułkownik Kovacs.

– Próżnia kosmiczna nie jest pusta – wyjaśnił Larson. – Jest w niej około sto atomów na centymetr sześcienny, to niewiele, ale pokonujemy przestrzeń bardzo szybko, a kolektory ściągają pojedyncze atomy z przestrzeni około pięćdziesięciu metrów od pancerza.

– Wodór jednoatomowy jest niestabilny – wtrącił się chemik Sakura.

– Nie szkodzi. W zbiornikach następuje reakcja niejako „na bieżąco”, więc wyzwolana jednorazowo energia nie jest duża. Używa się jej do zasilenia akumulatorów kolektora. Kolektory działają, dziś rano w zbiorniku nr 1 były dwa centymetry czystej wody. Uwaga na marginesie: uzyskana w ten sposób woda jest całkowicie pozbawiona minerałów, zatem jej spożycie musiałoby być uzupełniane

odpowiednimi preparatami. Jednak będzie stanowić tylko dodatek do wody z obiegu zamkniętego, gdyż zbyt wiele nie zdobędziemy. Jeśli chodzi o możliwość syntetyzowania pokarmu ze składników nieorganicznych metodą resekwenjacji atomów, to wolałbym nie przekonywać się, czy rzeczona aparatura w ogóle działa. Nie mam za grosz zaufania do takiej technologii.

– Baza danych?

– Wszystkie banki pamięci dostępne, komputery działają bez zarzutu – zameldowała krótko Etta.

– Nastroje wśród załogi?

– Z tym różnie. Obawiam się, że to będzie największy problem – powiedziała Weronika. – Musimy być przygotowani na załamania nerwowe, nastroje samobójcze, a nawet akty agresji wśród personelu.

– Tak – kapitan ponownie popatrzył na swoje notatki. – Wy, jako trzon dowodzenia, musicie wiedzieć jeszcze coś: otóż wysłano nas nie dlatego, że jesteśmy najlepsi. Wiem, że nadadmirał Kondratiuk tak nas określił, ale nie jest to prawda. To znaczy, ściśle rzecz biorąc, jesteśmy. Jesteśmy najlepsi z najgorszych.

Przez zgromadzonych przebiegł szmer.

– Tak, moi drodzy. W obliczu zagrażającej katastrofy rząd nie mógł pozbyć się największych asów, więc wyselekcjonował członków ekspedycji spośród tych, którzy nie byli na Ziemi niezbędni. Nie mówię tego po to, by was dołować, przeciwnie: będąc świadomymi własnych niedoskonałości, tego, że nie jesteśmy supermanami, łatwiej wszyscy nagniemy się do pracy w zespole. W naszej sytuacji nie ma miejsca na indywidualne wybryki i pseudoheroiczne działanie w oddzieleniu od grupy. To nie jest czas samotnych jeźdźców. Czy wyraziłem się jasno?

Obecni pokiwali głowami i tylko doktor O’Leary skrzywił chudą twarz w dziwnie smutnym uśmiechu.

– Mam pytanie, kapitanie – odezwała się Weronika. – Jako koordynator muszę coś wiedzieć.

– Proszę pytać, panno Hornet.

– Wiem, że to coś, o czym nieprzyjemnie myśleć, ale musimy dopuścić możliwość popełnienia przestępstwa. Na Vikingu 05 znajduje się sekcja więzienna. Co jednak, jeśli tym przestępstwem będzie morderstwo albo próba morderstwa? Przypominam, że globalny KK, paragraf 66, przewiduje bezwzględną karę śmierci dla każdego, kto poważy się odebrać życie ludzkiej istocie, wyjąwszy przypadki eutanazyjne, których dopuszczalność określona jest w kodeksie etyki lekarskiej.

– Cóż więc chce pani wiedzieć, skoro już wie pani tak dużo?

– Czy autoryzuje pan karę śmierci? A jak tak, to kto ją wykona? Z góry zastrzegam, że jako cywilny koordynator nie dopuszczę, by żołnierze zamieniali się

w katów, nawet jeśli pan uznałby to za akceptowalne.

– Tym proszę się nie martwić – odparł Willner oziębło. – Gdyby do tego doszło, istnieje proste i dobre rozwiązanie.

– Znaczy?

– Sam wykonam taki wyrok. To mój obowiązek jako kapitana. Coś jeszcze?

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero głośny chichot doktora O’Leary. Ironiczny jak zwykle naukowiec nie dał się ogarnąć podniosłej atmosferze i zachował swój zwykły, wisielczy humor.

– Nie wydaję się wam, że jesteśmy śmieszni? – Spytał, wstając od stołu. – Wielcy bohaterowie, ruszający na podbój gwiazd, emisariusze ludzkości. Można pęknać. Wszyscy, jak tu siedzimy, narobimy w portki ze strachu przy pierwszej poważnej awarii czy zagrożeniu z zewnątrz.

– No to się umyjemy i wsadzimy mundury do suchej pralni – odpowiedział spokojnie kapitan. – Nic nie poradzimy na to, że jesteśmy tylko ludźmi. Musimy pogodzić się z tym, że stanowimy jedynie służby, mające dopilnować bezpiecznego lotu. Najważniejsi są koloniści. To ich dobierano i szkolono starannie, by mogli przetrwać we wrogim środowisku. My mamy ich ochraniać i stanowić administrację, po to żeby ci ludzie nie musieli troszczyć się o sprawy organizacyjne.

– Urocze.

Kirk Willner włączył pilotem holograficzny ekran pośrodku stołu.

– Uwaga, wszystkie statki, mówi kapitan. Proszę meldować status.

Na ekranie ukazał się pomniejszony, trójwymiarowy obraz każdej z sal odpraw. Dowódcy poszczególnych statków – komandorzy Lavell, Kaori, Krasusky i Halama – patrzyli wprost w monitory, reszta zgromadzonych wydawała się być przytłoczona sytuacją. Wyglądało na to, że większość odpraw przebiegła w burzliwej atmosferze, która dopiero co uległa uspokojeniu.

– Viking 02 melduje porządek na pokładzie – odezwała się jako pierwsza Cyra Lavell. – Nie wykryto żadnych usterek, cała aparatura sprawna.

– Viking 03, to samo – dołączyła się Yoko Kaori.

– Viking 04, wykryto przeciek chłodziwa, już naprawiony. Wszystko działa prawidłowo – powiedział Sasha Krasusky.

Jako ostatnia zameldowała spokój i porządek Marjem Halama, dowodząca Vikingiem 05. Etta nie mogła oprzeć się myśli, że jeśli weźmie się pod uwagę całą historię ludzkości, to ich wyprawa ma jeszcze jedną cechę nowoczesności – kobiety w dowództwie stanowiły większość. Zresztą nie było to aż tak dziwne, gdy wiedziało się, jaki był stosunek liczbowy zerowych kobiet do zerowych mężczyzn. W tej sytuacji nikogo nie zdumiewało, że nie tylko w pionie technicznym czy naukowym, ale nawet wśród wyselekcjonowanych do lotu żołnierzy przeważały

kobiety.

– Zarządzam całodobową łączność – powiedział kapitan. – Meldunki co trzy godziny. Cisza nocna o 22 czasu pokładowego, pobudka o 5 rano. Każda z wacht i cały personel godzinę dziennie ma spędzać na wspólnych ćwiczeniach fizycznych i godzinę w świetlicy na grach i rozrywkach umysłowych, przeplatanych wykładami naukowymi. Raz na tydzień wspólny seans filmowy. Żadnego izolowania się od kolegów. Koordynatorzy pokładowi ustalą dokładne terminy dla każdej ze zmian. Wszelka niesubordynacja będzie karana odebraniem przydziału żywności na dany dzień lub aresztem, w zależności od wagi przestępstwa. Koniec odprawy.

Zawieszony nad stołem hologramowy obraz zgasł. Wszyscy podnieśli się z krzesel, niezbyt zadowoleni z tego, co usłyszeli. Kirk Willner wprowadzał rządy żelaznej ręki, ustalając życie załóg w niemal wszystkich dziedzinach, tak jakby miał do czynienia z samymi wojskowymi i wyglądało na to, że tak właśnie będzie wszystkich traktował.

– To gorsze niż koszary – mruknął buntowniczo Ian Callum. – Co sobie myśli?

– Że jest kapitanem – odpowiedział O’Leary sucho. – Jest odpowiedzialny za nas wszystkich i każdego z osobna. Nie może być kumplem, musi być surowym ojcem, takim, co to nie wypuszcza rzemienia z ręki. Jeszcze wszyscy to docenicie.

Etta spojrzała na kapitana i spróbowała wyobrazić sobie, co czuje. Musiał utrzymać w ryzach podzieloną na pięć statków załogę i nie okazać słabości, co by się nie działo. Ludzie mogą sarkać, ale muszą jednocześnie na niego liczyć, i ufać bezgranicznie.

– Nie, to nie na siły zwykłego człowieka. – pomyślała. Bardzo chciała teraz podejść do Willnera i powiedzieć parę serdecznych słów, ale dobrze rozumiała, że nie byłoby to właściwe. Szczególnie, że kapitan bardzo się jej podobał jako mężczyzna. Stłumiwszy westchnienie wyszła i skierowała się do kwatery. Po drodze spotkała doktora O’Leary, który stał, przyglądając się ruchomemu hologramowi na ścianie. Przystanęła obok. Trójwymiarowy obraz przedstawiał wodospad i rosnące na brzegu drzewa, chwiejące się w powiewach wiatru. Niemal można było poczuć zapach trawy.

– Co pan o tym myśli? – Spytała Etta cicho. Doktor popatrzył na nią z ukosa.

– Mów mi MacLean – zaproponował nagle. – Nie ma sensu sobie w kółko „panować”, gdy się jest w takiej sytuacji jak nasza. Co myślę? Myślę, że nasz „pierwszy po Bogu” na serio próbuje uchronić członków załogi przed załamaniem. Ciekawi mnie jednak, co będzie...

– Kiedy coś się nie uda?

– Nie, mała. Kiedy to on się załamie.

– Myśli pan... myślisz, że to możliwe?

– A czemu nie? W końcu to człowiek, jak my. I jak wszyscy ma punkt bez

powrotu.

– Miejmy nadzieję, że wytrzyma.

– Ano miejmy. Zresztą chyba nie bez powodu to jego wyznaczono na dowódcę ekspedycji.

O’Leary spojrział na Ettę wyblakłymi oczami. Nie po raz pierwszy dziewczyna pomyślała, że te oczy przeczą całemu zgryźliwemu humorowi i mizantropii podstarzałego naukowca – były jednocześnie mądre, łagodne i ogromnie smutne.

– Zobaczmy, co przyniesie czas. Będziemy go mieli pod dostatkiem – dokończył z westchnieniem.

W ciągu kilku następnych tygodni okazało się, że narzucona przez kapitana żelazna dyscyplina była jedyną możliwą formą zapanowania nad załogą. Klaustrofobia, wywołana szczupłością pomieszczeń prywatnych i socjalnych, odezwała się właściwie u wszystkich, choć nie u każdego z tym samym nasileniem. Zarządzona przez kapitana i surowo egzekwowana integracja pomagała ludziom opanowywać rozdygotane nerwy, choć początkowo burzyli się przeciwko niej, upatrując w tym formę dodatkowego zniewolenia. Wspólne ćwiczenia fizyczne pomagały w utrzymaniu kondycji, wykłady i dyskusje panelowe pozwalały na oderwanie się myślą od sytuacji, w której się znaleźli. Trzeba było sprawdzać kilka razy dziennie aparaturę i temperaturę powłoki, kontrolować kolektory wody, szczególnie pieczołowicie zajmować się kapsułami, w których spali koloniści. A żeby to wszystko prawidłowo robić, załoga musiała być w stanie gotowości i dobrze kontrolować emocje. Pomagały w tym przeprowadzane raz na tydzień, zamiast wykładów, sesje psychoterapii. Ich główną zasadą było to, że można było mówić absolutnie wszystko, nie miało to żadnych reperkusji. Nie wolno było jedynie obrażać się na słowa krytyki, nawet niezasłużone. Sesje przeradzały się więc czasem w prawdziwe awantury, ale wszystko kończyło się za drzwiami. Pomagało to rozładować atmosferę, złagodzić wzajemne animozje, a nade wszystko – pozwalało zapomnieć na chwilę o tym, gdzie są.

Po upływie dwóch miesięcy od startu nikt nie mówił na statek, którym podróżowała załoga, inaczej jak „ta cholerna puszka”. Lekarze musieli przygotować program podawania środków uspokajających, które pomagały opanować „nerwicę kosmiczną”. Okazała się wrogiem groźniejszym, niż przypuszczano na Ziemi. Sama świadomość tego, jak niewiele dzieli garstkę ludzi od śmiertelnie groźnej próżni na zewnątrz, powodowała narastanie objawów neurotycznych i związanego z tym zagrożenia dla bezpieczeństwa misji – przecież najmniejsze niedopatrzenie mogło mieć katastrofalne skutki. Nie wolno było do tego dopuścić.

Nieocenioną pomocą okazały się androidy. Zawsze spokojne i wyważone,

bez trudu zaadaptowały własny model operacyjny do zaistniałej sytuacji i uzupełniły wiedzę tak, by móc sprawdzać szczelność przewodów i sprawność aparatury pokładowej. Inicjatorem poszerzenia ich roli był Leonard Derkacz i on też wziął na siebie nadzór nad nimi. Jak mawiali złośliwi, sam niewiele różnił się sposobem bycia od swych podopiecznych, dlatego tak dobrze się z nimi dogadywał. Jakkolwiek było, jego zadanie zostało wykonane w 100%. Zakończywszy szkolenie na jednym statku Derkacz leciał promem na drugi, gdzie czekała następna „sesja”. A wszędzie towarzyszyła mu Raina, nieodłączny wierny cień.

– Właściwie dlaczego te twory nie mogą same się szkolić? – Spytał Ian Callum podczas jednej z „godzin naukowych”, poświęconych konstrukcji androidów. – Wystarczy przecież, żeby podłączyły się do komputera.

– W zasadzie tak – zgodził się prowadzący spotkanie O’Leary. – Jednak mechaniczne przyswojenie wiadomości nie oznacza prawidłowej interpretacji tychże. Dlatego właśnie androidy potrzebują szkoleń. Jeśli wytworzą sobie błędny obraz jakiejś sytuacji, skutki mogą być opłakane.

– No właśnie. Obraz sytuacji. Jak sztuczne umysły tworzą coś takiego? – Spytała doktor Xiao.

MacLean O’Leary wyszukał w bazie danych odpowiednie zdjęcie i wyświetlił na ekranie projektora. Obraz przedstawiał coś, co w ogólnych zarysach przypominał spłaszczoną u dołu kulę ze zwiniętej spiralnie koralikowej siatki.

– To co państwo widzicie, to konstrukcja mózgu androida, zwana potocznie ślimakową – zaczął. – Wszystkie elementy, takie jak obwody logiczne, procesory sterujące, banki pamięci, to wszystko jest zespolone w sztywną, trójwymiarową sieć połączoną z puszką mózgową androida. Oczywiście jeden element nie może stykać się z drugim. Rozmieszcza się je ręcznie, gdyż tylko to może zapewnić pożądany rozrzut statystyczny osobowości, i łączy z receptorami bodźców zewnętrznych. Najwięcej trudności sprawia podłączenie receptorów nacisku, gdyż ich zakończenia mieszczą się w syntetycznej skórze androida i jakakolwiek pomyłka spowodowałaby wadliwe działanie gotowego osobnika. Po ukończeniu montażu puszkę mózgową wypełnia się chemożelem, którego skład stanowi tajemnicę produkcji. Chemożel jest odpowiednikiem stosowanego kiedyś biożelu, ale jest dużo trwalszy i stabilniejszy. Ma podobne właściwości organizacyjne, to znaczy, że pod wpływem słabych bodźców elektrycznych molekuly żelu tworzą synapsy i dendryty, łączące poszczególne podzespoły i umożliwiające swobodny przepływ informacji oraz bodźców. Jak już dawno udowodniono, minimalne różnice odległości między elementami nieruchomymi są przyczyną zróżnicowania osobowości androidów.

Wskazał na jeden z punktów konstrukcji.

– Tutaj mieści się ośrodek świadomości płci. Początkowo, gdy jedynie udoskonalano roboty domowe, nadając im coraz bardziej ludzkie kształty, ignorowano ten problem. Uważano, że wystarczą atrybuty zewnętrzne, jednak przy technologii bardziej zaawansowanej, gdy android był świadomym istnieniem Towarzyszem, to nie wystarczyło. Okazało się niezbędne opracowanie procesora identyfikacji seksualnej. Ujmując rzecz inaczej, kobiecie android wie, że jest kobietą i nie dałoby się przerobić go zewnętrznie na androida męskiego bez ryzykowania poważnych komplikacji osobowościowych.

Biolog Callum podniósł rękę, jakby siedział w szkolnej ławce.

– Przepraszam, ale mówił pan o skórze. Jak udało się rozwiązać problem właściwego działania receptorów nacisku i temperatury?

– Miałem o tym mówić później, ale proszę, można teraz: cały układ działa na zasadzie wewnętrznego sprzężenia magnetycznego. Sztuczna skóra jest najlepszym izolatorem, jaki udało się stworzyć, ale i tak natężenie zewnętrznego pola magnetycznego rzędu dwóch tesli może zakłócić działanie sensorów aż do całkowitego rozstrojenia włącznie.

– Ciekawe – mruknął Callum. – Czy to dotyczy też innych czujników?

– Nie, tylko sensorów nacisku. Czujniki temperatury, umieszczone w opuszkach palców i małżowinach usznych działają na innej zasadzie, podobnie jak mierniki natężenia prądu elektrycznego. Dodatkowym zmysłem, w jaki wyposażono androidy na etapie projektowania, jest radiast czyli możliwość wyczuwania promieniowania jonizującego. My jej nie mamy, gdyż w procesie ewolucji ssaków taki zmysł po prostu nie był do niczego potrzebny.

– Wzrok i słuch to sprawa prosta – odezwała się doktor Xiao. – A sztuczny błędnik jak działa? To żyroskop?

– Częściowo. W razie, gdyby zawiódł, istnieje dodatkowy układ, działający na zasadzie echosondy. Jest też pomyślany tak, by w razie uszkodzenia układu wzrokowego przejął jego funkcję. Pod tym względem androidy są doskonalsze od nas. Nic w tym zresztą dziwnego, projektowano je, mając na uwadze słabości ludzkiego organizmu. Przejdźmy do układu motorycznego. Kościec androidów wykonany jest węglików spiekanych i tytanu. Jest dokładnym odwzorowaniem ludzkiego szkieletu, nie z sentymentu, a z powodu funkcjonalności.

Etta słuchała wykładu, nie spuszczać oczu z O’Leary’ego. Budowa Towarzyszy nie stanowiła dla niej nowości, czytała bowiem podręczniki andropologii, te książki były jednak tak naszpikowane wzorami i fachowymi zwrotami, że niewiele rozumiała. Brakowało jej podstaw fizyki, chemii i wyższej matematyki. Od dzieciństwa poświęciła się humanistyce, gdyż tak postanowiła Komisja Doboru Profilowego i, zgodnie z regułą nowoczesnego nauczania, nie

traciła czasu ani sił na zgłębianie tajników nauk ścisłych. Tymczasem doktor O'Leary wykładał szczegóły konstrukcyjne androidów w sposób jasny i przejrzysty, zrozumiały dla każdego, nawet dla takiej humanistki. Na usta cisnęło się jej mnóstwo pytań, powstrzymywała się jednak od zadawania ich, nie chcąc zakłócać przebiegu prelekcji.

Dopiero podczas podwieczorku, w jadalni, przysiadła się do stolika doktora.

– Wspaniale mówiłeś – powiedziała nieśmiało. – Czemu o tym wszystkim nie uczą w szkołach? Przecież to ciekawsze niż powieści s-f.

Doktor spojrział na nią z pobłażliwą ironią, mieszając jednocześnie porcję odżywczej pasty z ostrą przyprawą.

– Ależ uczą – odpowiedział. – Tyle że na profilach ścisłych, a ty pewnie byłaś w szkole o profilu humanistycznym.

– A czy nie jest tak, że wszyscy powinni mieć równy dostęp do wiedzy?

– Jest – przytaknął. – I wszyscy mają równy dostęp, ale w sumie, nie w częściach składowych. Nikt nie broni humaniście studiowania problemów matematycznych, ale musi to robić na własną rękę. Oficjalne szkolenie, opłacane przez program rządowy, zakłada działania, które są niezbędne, by wyprodukować jednostkę funkcjonującą z optymalną wydajnością, a do tego konieczna jest selekcja pod kątem wrodzonych uzdolnień. Uczeń nie może się rozpraszać na sprawy, które w jego specjalizacji nie będą miały znaczenia. Po co inżynierowi znajomość historii sztuki, a konserwatorowi obrazów wyższa algebra?

– Niby masz rację, ale według mnie jakoś to wszystko nas zuboża – Etta jadła porcję machinalnie, ledwie czując smak. Myśli wciąż miała zajęte wykładem i tym, czego się dowiedziała.

– System kształcenia ma solidne podstawy – rzekł O'Leary dość obojętnie. – Między innymi to dzięki niemu ludzka społeczność działa sprawnie. Jednak w tych warunkach, w jakich znajduje się załoga, lepiej poszerzać horyzonty nie zawężać.

– Pytałam kiedyś, czy mogłabym być twoją studentką – przypomniała dziewczyna. – Jak uważasz, dałabym sobie radę? Nie powiedziałeś, co sądzisz o moich odpowiedziach na teście, jaki mi zrobiłeś.

– I cóż mógłbym powiedzieć, dziewczyno? Masz poważne braki z podstaw, jednak to można nadrobić. Głupia nie jesteś ani leniwa. Wyniki testów przemawiają na twoją korzyść. Można spróbować.

Potarł nieogolony podbródek i popatrzył z namysłem na Ettę.

– Właściwie to też mogłabyś poprowadzić jakiś wykład – rzekł po chwili. – Większość z nas to naukowcy i mają kiepskie pojęcie o historii.

– A zainteresuje ich to?

– Podobnie jak ciebie budowa androidów. Temat jest ważny, ale jeszcze ważniejsze to, by wykładowca mówił ciekawie. W dodatku, jak sądzę, nie będzie źle, gdy przedstawiciele ludzkości wśród gwiazd dowiedzą się czegoś o tym, co

stworzyło społeczeństwo, które wysłało ich w tę drogę bez powrotu.

To miało sens. Więcej nawet, było kuszące i otwierało przed młodą nauczycielką nowe perspektywy. MacLean O'Leary uśmiechnął się, widząc, jak błyszczą jej oczy i włożył do ust następną łyżkę obiadowej papki.

IV.

Powróciwszy do kwatery Etta była tak zamyślona, że aż zwróciło to uwagę Raula, który siedząc na dolnym łóżku majstrował przy płytce z obwodami logicznymi..

– Czy coś się stało? – Spytał.

– Nie, wszystko w porządku. Czemu pytasz?

– Ostatnio prawie się nie odzywasz. Raina mówiła nawet, że pewnie już mnie nie potrzebujesz.

– Ależ co ty mówisz? – Etta spojrzała ze zdumieniem na Towarzysza i nagle dotarło do niej, że ostatnio rzeczywiście go zaniedbuje. Zarządzona przez kapitana Willnera integracja spowodowała, że chyba mniej potrzebowała towarzystwa androida i dotąd nie pomyślała, że mógł to opacznie zrozumieć.

– Raul, kochany, to nie tak – usiadła obok Towarzysza i wzięła go za rękę. – Wiesz, jak kapitan pilnuje tego, by nikt nie przebywał samotnie i wiesz, czemu to robi. Jednak to nie znaczy, że stałeś się mniej ważny.

Raul milczał przez długą chwilę, nie patrząc na nią.

– Co się dzieje z androidem, który przestał być potrzebny Dominantowi? – Spytał wreszcie powoli, jakby z trudem wymawiając głoski.

– Nigdy nie słyszałam o takim wypadku – zapewniła Etta gorąco. – A tobie na pewno to nie grozi. Jesteś dla mnie kimś absolutnie niezbędnym, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Dopiero teraz Raul uniósł głowę.

– A gdybyś zyskała ludzkiego Towarzysza? – Zapytał – Męża? Musiałabyś wtedy wybrać między nami. Na pewno by się na mnie nie zgodził.

Etta dotknęła dłonią jego policzka. Nie bardzo wiedziała, co może odpowiedzieć na te wątpliwości – sama też zdawała sobie sprawę z tego, że żaden

mężczyzna na świecie nie zniósłby w domu Towarzysza żony. Nie słyszała jednak nigdy, by tego rodzaju konflikt miał gdzieś miejsce, gdyż w Towarzyszy zaopatrywały się kobiety, nie mające na ogół żadnych szans matrymonialnych. To samo dotyczyło mężczyzn, chociaż... Przypomniała sobie to, co opowiedział jej kiedyś kapitan Willner. Tak, mogło być przecież różnie, kobieta mogła znaleźć męża, mężczyzna mógł się ożenić. Co wtedy z androidem? Złomowano go? Brał go ktoś inny, jak stary odkurzacz?

– Nie wiem, jak to jest – rzekła wreszcie. – Ale obiecuję, że nikt nie zajmie twojego miejsca. Nie wyjdę za mąż. Wcale tego nie chcę.

– Podoba ci się kapitan. Wiem, że tak jest – Raul spojrzał jej prosto w oczy. Na próżno powtarzała w myśli, że organy wzroku Towarzysza to tylko polimerowe kulki, zawierające miniaturowe układy śledzące. Mimo świadomości, jaka jest ich budowa, wciąż miała wrażenie że widzi w nich coś więcej niż gładką obudowę, soczewkę i światłowody, przekazujące obraz do sztucznego mózgu. Co się działo z jej androidem? Czemu był tak bardzo inny od swych pobratymców i czy rzeczywiście był inny?

– Tak, podoba – przyznała. – Wielu mężczyzn mi się podoba. Z tego jednak nic nie wynika i dobrze o tym wiesz. Czemu nagle naszły cię wątpliwości?

Raul wstał.

– Czemu ludzie dali nam takie układy? – Wyrzucił nagle jak z głębi serca. – Czemu nie możemy być po prostu lojalni wobec ludzkości, czemu musimy wymagać towarzystwa jednego konkretnego człowieka?

– Wymagać? – Powtórzyła Etta. – Chyba „pragnąć”?

Chwilę milczała, zszokowana tym, co oznaczały słowa jej Towarzysza. Raul rozwijał się bardziej, niż przewidywał program. Zaczynał stawiać pytania, na jakie nie była przygotowana. Nie wiedziała, co odpowiedzieć i milczała, póki szmer za plecami nie kazał jej odwrócić głowy. W progu kwatery stał doktor O’Leary, trzymając w dłoni jej osobisty pod. Zostawiła go widać na stole w jadalni. Doktor patrzył na jej towarzysza smutnymi, bladoniebieskimi oczami i nie wydawał się być jakoś szczególnie zaskoczony.

– Androidzie Raul, ludzie nie dali wam tych układów – przemówił. – Wytwarzacie je sami. Masz trochę racji: tworząc sztuczną inteligencję przekraczającą tak zwany próg Gonzagi ludzkość sama zapędziła się w kozi róg.

„Próg Gonzagi” – graniczna wartość IQ, powyżej której sztuczny mózg zaczyna myśleć naprawdę samodzielnie i samodzielnie podejmować decyzje. Obliczył ją profesor Emmanuelo Victor Gonzaga w roku 325 Nowej Ery. Drugi rozdział „Andropologii”. Etta mimowolnie przypomniała sobie odpowiedni wzór i wyszeptała cicho.

– Okazuje się, że emocje nie muszą być czymś stymulowanym chemicznie,

jak kiedyś sądzono – ciągnął O’Leary. – Powyżej progu Gonzagi zaczyna się samotworzenie odczuć, tak jakby były przypisane do rozumu wyższego rzędu. Ich mechanizm nie był dotychczas badany, gdyż cała sprawa jest stosunkowo świeża, wcześniej zaprzeczano, jakoby była w ogóle możliwa.

Postąpił krok naprzód i położył pod Etty na stoliku.

– Zależność od jednego konkretnego Dominanta to mechanizm wciąż niezbadany, ale bezsprzecznie istniejący. W programie pierwotnym nie ma nic, co mogłoby go uruchomić. Uwierz, Raul, ludźmi nie kieruje jakaś szczególna perfidia w stosunku do androidów. Kiedyś ich rolę w społeczeństwie pełniły psy i koty domowe, ale skonstruowanie prototypu Towarzysza było wielkim krokiem naprzód. Ludzie samotni zyskali kogoś, z kim mogli porozmawiać. Zwierzę, nawet najmilsze i najbardziej kochane, nie było partnerem do konwersacji, a Towarzysz od początku nie tylko odpowiadał na pytania, nie tylko reagował na słowa człowieka, ale uczył się i przejawiał samodzielne myślenie. To było zresztą główne założenie. Inaczej równie dobrze moglibyśmy produkować katarynki.

– Istniejemy tylko po to, żeby wam służyć.

– Nie. To błędny wniosek. Istniejecie, ponieważ was potrzebujemy, podobnie jak dziecko rodzi się, bo ktoś na nie czeka. Ratujecie ludzi przed chorobami psychicznymi i samobójstwem. Nie tylko. Czy naprawdę nie zrozumiałeś dotąd, że obecność androidów w składzie wyprawy jest najlepszą gwarancją tego, że dolecimy cało?

Raul pochylił głowę. Można się było domyślić, że przetwarza otrzymane dane i konfrontuje ze sformułowanymi wnioskami.

– Dlaczego najlepszą? – Spytał wreszcie.

– Bo możecie nam pomagać nawet w najbardziej niebezpiecznej sytuacji – odpowiedział doktor. – Nie straciecie zimnej krwi, w waszym przypadku trudno mówić o takowej, ale chyba wiesz, o co chodzi. Wy, Towarzysze, zawsze byliście lojalni i pomocni. Jesteście wytrzymali, logiczni i nie możecie zwariować. Jeśli idzie o mnie, mam do androidów więcej zaufania niż same androidy.

Raul uniósł głowę i przez chwilę patrzył na spokojnego jak zawsze Irlandczyka. Później na jego twarzy pojawił się słaby, ale jednak – uśmiech. To był sztucznie wygenerowany grymas ust, nie towarzyszył mu błysk w oczach jak u ludzi, ale miał mimo to podobną wymowę.

– Dziękuję panu, doktorze.

Etta zapaliła się do pomysłu ponownego wejścia w rolę nauczycielki, choć tym razem uczniami mieli być ludzie nie tylko dorośli, ale i wysoko wykształceni. Uzyskawszy akceptację kapitana przygotowała „Krótkie wprowadzenie do historii najnowszej”, jak nazwała wykład. Okazało się, że początkowe obawy były

bezpodstawne. Zarówno słuchacze bezpośredni, jak i ci, którzy uczestniczyli w szkoleniu za pomocą wideołączy, słuchali równie uważnie, jak dzieci z klas, które uczyła. Doktor O'Leary miał rację – to, o czym mówiła, stanowiło w przeważającej części całkowitą nowość dla naukowców i techników.

– W pierwszych latach po katastrofie ekologicznej zapanowałby całkowity chaos, gdyby rządów nie przejęły organizacje wojskowe. Mimo że zwykli obywatele burzyli się przeciw temu, system pozwolił nie dopuścić do dezorganizacji państw. Sytuacja była bezprecedensowa w historii ludzkości: wytwory myśli technicznej już wcześniej były dostępne dla każdego i to nie uległo zmianie, ale towarem silnie deficytowym, niezależnie od kraju, stała się żywność. Było jej tak mało, że nie można było wprowadzić nawet racjonowania. By uniknąć masowej klęski głodu, zarządzono coś, co do tej pory było praktykowane tylko w jednym niewielkim państwie, Kambodży: żywienie zbiorowe. Ludziom, niezależnie od statusu majątkowego, wolno było jeść wyłącznie w zakładach żywienia zbiorowego i dostawali ściśle wyliczone porcje, mające zaspokoić zapotrzebowanie energetyczne organizmu. Wyjątek stanowili ludzie zbyt chorzy i starzy, by chodzić do tych zakładów – dla nich tworzono specjalne ośrodki opiekuńcze czasowego lub stałego pobytu. Państwo, o którym wcześniej wspomniałam, wsławiło się szczególnie krwawym terrorem i dlatego skojarzenie nowego prawa z tym, co tam się działo, wywołało rozruchy. Zostały brutalnie stłumione i system wprowadzono. Nie wolno było posiadać żywności na własny użytek, z wyłączeniem tak zwanej porcji dodatkowej, czyli czterech do sześciu kostek sprasowanych protein, których nie można było zostawiać w domu – trzeba było nosić je przy sobie. Początkowo nierzadkie były napady rabunkowe w celu zagarnięcia tego dodatkowego przydziału, ale bezwzględny system karny szybko je wyeliminował. Warzywa, mięso czy owoce w stanie naturalnym stały się niedostępne dla szerokich mas. By uzyskać możliwie najwydajniejsze porcje odżywcze, preparowano dostępne produkty w jednolite masy o niewielkim różnicowaniu smakowym. Wszyscy jedli to samo, co oczywiście nie każdemu się podobało. Najbogatsza warstwa społeczeństwa próbowała przejąć rezerwy żywności lub wywalczyć dodatkowe przydziały. Wojsko zareagowało stanowczo, wprowadzając ostre prawo, dopuszczające konfiskatę majątku i egzekucje wicherzycieli. Ludzie bogaci musieli w końcu pogodzić się z tym, że mogą mieć wszystko lepsze niż warstwa średnia i robotnicza, za wyjątkiem pożywienia. Inną sprawą, która wywołała społeczne protesty, była drastyczna konieczność wybicia prawie wszystkich zwierząt domowych. Niewiele z nich ocalało dzięki odważnym i bogatym ryzykantom, którzy przechowali je w ukryciu. Jak zaznaczają socjologowie, była to dla wielu ludzi osobista tragedia, ale niestety konieczna, gdyż szło o przetrwanie. Mając na uwadze cel wyższy wprowadzono też w życie pierwszy program poprawy genetycznej pokoleń.

Musicie wszyscy zrozumieć, że przez tysiąclecia prawo posiadania własnego potomstwa było przez ludzi traktowane jako rzecz oczywista i święta, jak prawo do powietrza i oddychania. Wprowadzane restrykcje wywołały burzę nie mniejszą niż ta, która towarzyszyła wdrożeniu programu zbiorowego żywienia, może nawet jeszcze gwałtowniejszą. Ludzie nie rozumieli, jak ważne jest to, by rodzące się dzieci były jak najsilniejsze i jak najzdrowsze. Nie akceptowali tego, że jest to daleko ważniejsze z punktu widzenia społecznego niż zaspokojenie atawistycznych i egoistycznych instynktów przekazania własnych genów. Nawet to, co działo się po katastrofie ekologicznej ze słabszymi osobnikami, okres zwany przez historyków Epizodem Selekcji Naturalnej, niczego ich nie nauczył.

– Przepraszam, a co to był za epizod? – Spytał inżynier Woznansky.

– Ponieważ zabrakło wielu rodzajów profilowanej żywności, a także dużej ilości leków naturalnego pochodzenia, nastąpił istny pomór wśród ludzi przewlekle chorych, z osłabioną odpornością i wymagających stałej terapii – wyjaśniła Etta. – Co prawda nie ziściły się czarne scenariusze antyutopistów, przewidujące planowe mordowanie ludzi „nieprzydatnych”. Przeciwnie, ludzie z determinacją bronili przed głodową śmiercią członków rodzin, którzy nie mogli pracować z powodu wieku lub chorób. Przypadki pozbywania się ich były rzadkie, wręcz marginesowe. Jednak brak odpowiedniej diety, leków i możliwości rehabilitacji robił swoje. Przy życiu zostali ci, którzy mogli się przystosować do nowych warunków i nie wymagali pewnych określonych rodzajów medykamentów. Jednym słowem, genetycznie poprawni, jak się wtedy mówiło. Oczywiście nie było to aż tak jednoznaczne, bo lekarze po dawnemu ratowali, kogo tylko mogli, szkopał w tym, że znacząco zwiększył się odsetek zarówno ludzi już żyjących, jak i dopiero przychodzących na świat, którym medycyna pomóc nie mogła.

Przerwała na moment. Fizycy, inżynierowie i chemicy siedzieli wpatrzeni w prelegentkę. Na ich twarzach malowała się jakaś niemal dziecinna ciekawość. Podobną ciekawość widziała w oczach słuchaczy, widocznych na miniaturowym podglądzie z wideołącza. Wykłady zawsze gromadziły słuchaczy nie tylko obecnych na pokładzie danego statku, ale też tych z czterech innych. Ten konkretny był dla nich – mogło by się wydawać – szczególnie interesujący. Etta nie chciała jednak zbyt dokładnie omawiać „czasów mroku”, gdy grasowały uzbrojone bandy, a wojsko przeprowadzało egzekucje na miejscu, nie zawracając sobie głowy procesami sądowymi. To wtedy nastąpił swoisty rozbrat ludności cywilnej i wojska. Chociaż wszyscy obywatele, oprócz, ma się rozumieć, tych łamiących prawo wiedzieli, że żołnierze bronią ich i umożliwiają otrzymywanie przydziałów, zaczęto się ich bać. Pomyślała ze współczuciem, jak trudne musiały być to czasy. Pozbawione smaku, wydzielane w ściśle obliczonych racjach kostki proteinowe,

brak możliwości wyodrębnienia specyficznej diety i w rezultacie rozpacz ludzi, którzy musieli patrzeć na śmierć najbliższych. Frustracja lekarzy, którzy nie mogli pomóc mimo zaawansowanej technologii. Potem trochę się poprawiło. Przeklinana przez wszystkich jednostajna dieta spowodowała znaczny spadek zachorowalności na miażdżycę, cukrzycę typu B, choroby układu krążenia, a nawet nowotwory złośliwe. Swoje robiło też zmuszanie ludzi do wysiłku fizycznego. Chyba wtedy po raz pierwszy nakazano każdemu „wyrobienie” określonej ilości godzin na zajęciach sportowych i egzekwowano to, karząc opornych odebraniem jednego lub więcej posiłków. Co prawda zastosowano tę metodę jako terapię przeciwdepresyjną (depresja stała się wtedy chorobą występującą wręcz epidemicznie), ale okazała się przy okazji doskonałym środkiem, zapobiegającym zawałom. Otyłość stała się zjawiskiem niemal nieznanym, ludzie cierpiący na choroby kręgosłupa też zdarzali się rzadziej. Tak, nie było to wszystko tylko złe.

Te wydarzenia dały przecież początek społeczeństwu Ziemskiej Unii. Ludzie zapłacili ogromną cenę za bezmyślność dnia wczorajszego, za dzisiejsze bezpieczeństwo i spokój, jednak to było za nimi. No, może nie całkiem. Prawie połowa kuli ziemskiej nadal była skażona, z oceanów znikło wypełniające je kiedyś bujne życie. Dopiero względnie niedawno pojawiły się w słonych wodach pierwotniaki i glony, co dawało pewne nadzieje na odrodzenie wodnego ekosystemu. Tylko kiedy?

– Przez ponad sto lat kradzież żywności, leków pochodzenia naturalnego, czystej wody i nielegalny handel były karane doraźną egzekucją, nawet w przypadku dzieci, gdyż zmiana globalnego prawa spowodowała zrównanie wszystkich obywateli w obliczu odpowiedzialności karnej. Potem, w miarę zwiększania się rezerwy dostępnych produktów, łagodzono prawo aż wreszcie można było z systemu zbiorowego żywienia przejść na system przydziałów.

Po wykładzie wywiązała się ożywiona dyskusja, która przerwał dopiero dzwonek oznajmiający wezwanie na kolację.

– Skoro nie dokończyliśmy, proponuję kontynuować dalsze rozważania w godzinie integracyjnej po kolacji – powiedziała Etta, co spotkało się z gorącym aplauzem i po posiłku prawie wszyscy uczestnicy wykładu ponownie zgromadzili się w świetlicy. Również na wideołączu widniała większość poprzednich zdalnych słuchaczy.

– Proszę wyjaśnić, czemu ludzie protestowali przeciw kontroli genetycznej – zaczął doktor Gongadze, obecny na wideołączu. – Przecież w czasach, o których pani mówiła, musieli już mieć świadomość tego, jak ważna jest odpowiednia pula genowa.

– Rzecz w tym, doktorze, że zaszłości historyczne eugeniki były bardzo mroczne – odparła Etta. – Wiązały się z niewyobrażalną przemocą i chorymi

ideami o „rasie panów”. Dziś już wiemy, że nie istnieje i nigdy nie istniało coś takiego jak „rasy” w obrębie gatunku Homo Sapiens Sapiens. Są jedynie różne podtypy fizjonomiczne, co nie ma żadnego pokrycia w profilu przydatności genetycznej. Kiedyś jednak determinowało to pozycję człowieka w społeczeństwie, i to znacznie bardziej niż dziś stopień przydatności rozrodczej. Najwyżej ceniono podtyp „biały”, drugi w hierarchii był „żółty”, potem „czarny”, a najniżej stał „smagły”, zwany też przez historyków „indyjskim”. W pewnym okresie historii zakazano prawnie małżeństw mieszanych, uważając że zrodzone potomstwo będzie niepełnowartościowe. Potrzeba było stuleci, by to zmienić. Potem następne dekady trwała walka i głupie spory, który podtyp jest naprawdę lepszy, aż wszystkich zrównała wobec siebie katastrofa ekologiczna.

– Co to były za zaszłości, o których pani wspomniała na początku? – Spytała inżynier Lucy Camarro z Vikinga 02. Była czarna i po raz pierwszy w życiu usłyszała, że z tego jedynie powodu mogła być kiedyś potraktowana jak gorszy materiał genetyczny, i to bez żadnych badań.

– Wiązały się z planowym wyniszczaniem pewnych grup etnicznych, narodowościowych i społecznych w ramach źle pojętej teorii ewolucji. Marnotrawstwo talentów, dorobku i możliwości było wręcz niewyobrażalne. Nie wspominając już o ludzkich tragediach.

Leonard Derkacz uniósł rękę.

– Chwileczkę, panno Solis – powiedział. – Proszę nam coś wytłumaczyć. Brałem lekcje historii ludzkości jako nadprogram i nie mogę zrozumieć pewnej nielogiczności. Ludzie żyjący w XX wieku tak zwanej „ery AC”, nie mówiąc już o ich wieku XXI, przeżywali gwałtowny rozwój medycyny i biologii. Jak to możliwe, że nie wdrożyli programu sterylizacji ludzi chorych umysłowo, uzależnionych od środków odurzających i upośledzonych od urodzenia? Przecież nawet ówczesni uczniowie klas podstawowych musieli wiedzieć, że defekty genetyczne są dziedziczne i jeśli nawet nie odezwą się w pierwszym pokoleniu, to stanowią prawdziwą bombę zegarową. Jednak nic z tym nie robiono. Dlaczego?

– To prawda – przytaknęła Etta. – Na przeszkodzie temu stały powody natury historycznej, o których wspomniałam wcześniej, oraz kulturowej i religijnej. Ludzi domagających się wdrożenia takich programów traktowano jak zagrożenie społeczne, spychano na margines, a jeśli byli naukowcami, to ich własne środowisko zawodowe dosłownie ich niszczyło. Czasami byli też mordowani. Opór był zbyt silny, żeby przeprowadzić rozsądne reformy. Można śmiało założyć, że gdyby wprowadzono je w XX wieku, ofiar po katastrofie ekologicznej byłoby znacznie mniej, a i powstały wtedy chaos dałby się dużo łatwiej opanować.

– Aż trudno uwierzyć w taką zbiorową głupotę – Weronika Hornet pokręciła głową, a potem wsparła swoim zwyczajem brodę na zwiniętej pięści. – Nasi

przodkowie jako społeczeństwo sami kładli głowę pod topór.

– Nie tylko to było wtedy dziwne – powiedział podpułkownik Steve Borden z Vikinga 05, specjalista od prawa cywilnego i karnego. – Również funkcjonujące w tych czasach prawo było co najmniej osobliwe. Chroniło raczej przestępców, nie praworządnych obywateli. Czasem nie rozumiem, jakim cudem ludzkość przetrwała.

– Była płodna, to i przetrwała – mruknął sarkastycznie O’Leary.

– Tak, ale biorąc pod uwagę, jakie geny miały największe szanse na reduplikację.

– Chciałbym wiedzieć, czemu ostatecznie postawiono na rozmnażanie tradycyjne – wypalił Woznansky. – Sztuczne zapłodnienie dawałoby większą skuteczność i eliminowałoby większość problemów.

– Wcale nie – zaprzeczyła Xiao. – Myśli pan, że tego nie próbowano? Po pierwsze, koszty wprowadzenia i utrzymania takiego programu pochłonęłyby 10% dochodu narodowego brutto, a to jest poważny argument przeciw. Po drugie, dochodziłby koszt kuracji hormonalnej zapobiegającej odrzuceniu wszczepionego zarodka. Hormony nadwyrężałyby zdrowie matki, w dodatku efekt i tak trudno byłoby przewidzieć. Wśród miliardów komórek statystyczny rozrzut nieprawidłowości rozwojowych jest nie do oceny. W ciągu dziesięciu lat działania próbnego programu stwierdzono, że przy zastosowaniu sztucznego zapłodnienia materiałem o najwyższej możliwej czystości genetycznej 25% dzieci urodzonych z ochotniczych matek wykazuje nieprzewidziane problemy zdrowotne.

– Jakże?

– Do najczęstszych należały nowotwory, głównie wątroby, ale też epilepsja i choroby układu odpornościowego. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest dyskusyjna, ale najwięcej zwolenników ma teoria, że problemy rodzą się z niezgodności genetycznej matki i embrionu. Były też późniejsze kłopoty natury psychologicznej. Ostatecznie sztuczne zapłodnienia ograniczono do przypadków, gdy materiał genetyczny pobierany jest od przyszłych rodziców i jedynie „oczyszczany”. Jednak i to nie daje gwarancji, gdyż mimo setek lat badań ciągle nie wszystko wiemy. No i jeszcze sprawa psychologii.

– Znacząco? – Spytał Callum. – Matki mniej kochały dziecko pochodzące z obcego materiału genetycznego?

Xiao wzruszyła ramionami. Nie była psychologiem, ale postarała się wyjaśnić wszystko, jak umiała najlepiej:

– Niekoniecznie. Jednak bywało i tak, że rodzice nie czuli po prostu więzi rodzinnej z takim dzieckiem, lub tę więź powoli tracili, widząc, że podrastające dziecko w niczym ich nie przypomina. Dawało to niepożądane skutki w postaci skrzywień psychicznych u skądinąd zdrowego potomstwa. Tak więc ku wielkiej zgryzocie zwolenników eugeniki „próbówkowej” okazało się, że z punktu widzenia

społecznego najlepsze rezultaty daje rozmnażanie metodą tradycyjną, oczywiście przy zachowaniu kontroli genetycznej.

Dyskusja trwała jeszcze długo, a przerwało ją dopiero ogłoszenie capstrzyku. Kładąc się spać Etta pomyślała, że pewnie jeszcze niejeden wykład przyjdzie jej wygłosić, skoro załogę aż tak zainteresowała historia ludzkości. Nie spodziewała się tego, ale było jej bardzo miło.

V.

W trzecim miesiącu podróży zaczęły się pierwsze kłopoty. Przede wszystkim któregoś wieczoru Roger 7E, odbywający rutynowy obchód maszynowni Vikinga 05, wykrył otwarty obwód ogniwa reaktora. Zamknął go i wpisał do odpowiedniej rubryki, co się stało. Drobiazgowie śledztwo ujawniło, że było to zwykłe niedopatrzenie, jednak sam fakt, że zaistniało, był niepokojący. Doktor Gongadze natychmiast zarządził kontrolne badania kondycji psychicznej wszystkich załóg, jednak nie wykazały szczególnych odchyłeń od normy. Rutynowa kontrola statków również zakończyła się wynikiem negatywnym – wszystko działało, hodowle alg, mających wzbogacić jadłospis, wydawały pierwsze plony, a kolektory wychwyty selektywnego działały nawet lepiej niż przewidywano. Jedynym mankamentem było to, że otrzymana w ten sposób woda była – jak przewidywano – całkowicie pozbawiona niezbędnych do życia składników mineralnych. Z tym jednak radzono sobie, podając członkom załogi zabrane z Ziemi suplementy.

Kilkanaście dni później, gdy wszyscy zaczęli zapominać o wypadku w maszynowni, zdarzyło się coś dużo bardziej niepokojącego. Stało się to podczas wykładu biologa Calluma, który postanowił zaznajomić słuchaczy z tajnikami podejmowanych kiedyś prób uzyskania „genetycznej nieśmiertelności”. Po zarzuceniu tego programu dość szybko o nim zapomniano i większość astronautów słyszała o tym po raz pierwszy.

– Założenia były bardzo logiczne i skądinąd słuszne – tłumaczył Callum – Ludzie od zawsze poszukiwali nieśmiertelności. Enzym telomeraza zwiększa przeżywalność wirków. Odpowiednio dozowane kalorie, powodujące „głód komórkowy”, ponad dwukrotnie wydłużają życie myszy. Proste, skuteczne terapie. Czemu więc nie można po prostu wyizolować genu, odpowiedzialnego za proces starczego zwyrodnienia komórek, a potem go wyłączyć? Okazało się, że można,

jednak początkowa euforia szybko ustąpiła miejsca przerażeniu. Ludzie bardzo chętnie podniecali się wieściami, dotyczącymi zwiększonej przeżywalności pierwotniaków, natomiast ignorowali fakt, że doświadczenia genolokacyjne na muszkach owocowych dawały całkiem nieoczekiwane negatywne wyniki. Na przykład manipulacje przy jednym tylko genie, odpowiedzialnym za kolor oczu muszki, skutkowało niespodziewaną „schizofrenią”: dojrzałe osobniki ze zmienionym genem zachowywały się nielogicznie i niezrozumiale. Opinia publiczna była przekonana, że skoro umiemy naprawiać wadliwe geny, możemy też je dowolnie zmieniać lub blokować. Nic bardziej mylnego.

– Czemu? – Spytała Aisha Bahrani.

– Powód wykryto stosunkowo niedawno. Kiedyś podejrzewano jego istnienie, ale wskutek niedoskonałości aparatury badawczej nie umiano nic udowodnić. Otóż wszystkie geny są powiązane. Czasem jest to połączenie dwóch–trzech, ale czasem jest to cały łańcuch, w którym jedno ogniwo ściśle zależy od drugiego. Gen aktywujący procesy starzenia jest powiązany z wszystkimi innymi.

– Nie próbowano go wyłączyć? – Spytał z wyraźną nutą zawodu w głosie główny inżynier z Vikinga 05, Shamir Om.

– Próbowano, a jakże. Powodowało to straszne skutki. Głównie były to fizyczne dolegliwości i spotwornienia, ale też nietypowe choroby neurologiczne i psychiczne. To wszystko doprowadziło do bezterminowego zawieszenia programu.

– I bardzo dobrze – mruknął posępnie technik Warens z Vikinga 03. – Wieczne życie, też pomysł.

– A co, nie chciałby pan trochę pożyć? – Spytał go O’Leary. W jego głosie brzmiała tylko spokojna ciekawość, bez śladu ironii czy kpiny, ale technik zareagował niespodziewanie, jakby dostał w twarz. Zerwał się gwałtownie ze swego krzesła, przewracając je przy okazji.

– Ludzie nie zasługują na nieśmiertelność! – Krzyknął. – Gdyby zasługiwali, byłaby im dana! Słyszycie?! Nie zasługujemy na to, żeby być nieśmiertelni, mamy starzeć się i umierać, bo to jedyny sposób, by świat się nas kiedyś pozbył! Pchamy się w gwiazdy, jakby tam ktoś na nas czekał z otwartymi ramionami, choć ani się śni, żeby tak było!

Jego głos załamał się nagle w szloch.

– Wspomnicie moje słowa: żaden z nas nie przeżyje tej podróży.

Doktor Kenneth Linde przepchnął się przez zgromadzonych i spróbował uspokoić histeryzującego mężczyznę, ten jednak nieoczekiwanie wpadł w furję. Do obezwładnienia szaleńca trzeba było wezwać żołnierzy i dopiero podawszy delikwentowi dużą dawkę środków uspokajających doktor zdołał opanować sytuację.

– Zabierzcie go do gabinetu diagnostycznego i przywiążcie do łóżka –

polecił. – Zobaczę, co da się zrobić.

Całe zdarzenie wywarło przygnębiający wpływ na podróżników. John Warens był uważany za spokojnego i zawsze zrównoważonego członka zespołu, więc takie nagłe załamanie zaskoczyło wszystkich kolegów z załogi.

– Nie jestem zaskoczony – oświadczył spokojnie doktor O’Leary na naradzie dowództwa. – Według mnie i tak długo wytrzymaliśmy bez poważniejszych ekscesów.

– Co pan może o tym wiedzieć? Jest pan specjalistą od sztuczniaków, nie od żywych ludzi – warknął Tengiz Gongadze.

– Żeby móc programować sztuczne mózgi i kierować rozwojem androidów, trzeba najpierw dobrze poznać ludzi – odpowiedział spokojnie Irlandczyk. – Jestem po psychiatrii i socjologii. Andrologia to dopiero trzecia specjalność w moim CV. W moim zawodzie znajomość ludzkiej fizjologii i behawioryzmu jest niezbędna.

– Cóż zatem mówi panu ta wiedza?

– To samo, co i panu, i wszystkim lekarzom wyprawy. Ludzie zwyczajnie nie są przystosowani, z punktu widzenia ewolucji, do takich wyzwań. Pamiętacie próby z podwodnymi miastami? Po pierwszych zachwytach nad „wspaniałym osiągnięciem cywilizacji” ludzie uciekali stamtąd, gdzie pieprz rośnie, mimo że budowle wyposażono we wszelkie możliwe udogodnienia.

– Jednak nie mamy wyboru, musimy przetrwać – odezwał się kapitan. – Doktorze Linde, jaki jest stan pacjenta?

Doktor pokładowy z Vikinga 03 skrzywił się lekko. Przy swych jasnych włosach i dziewczęco gładkiej twarzy wyglądał na kogoś stanowczo zbyt młodego na tak odpowiedzialne stanowisko i pułkownik Gongadze zastanowił się przelotnie, czemu ktoś tak zapewne niedoświadczony dostał ten przydział. Odłożył jednak te rozważania na później.

– Wyprowadzę go z tego – oświadczył Linde. – Trochę to potrwa, ale dysponuję zarówno lekami, jak i aparaturą, która będzie pomocna w tym zadaniu.

– A propos aparatury, kto zajmie jego miejsce w maszynowni?

– Nikt – odparła komandor Kaori. – Zdecydowaliśmy się na uruchomienie androidów technicznych. Właściwie radziłabym to wszystkim maszynowniom.

Androidy techniczne, określane w skrócie AT (w odróżnieniu od AC, jak nazywano ich bardziej zaawansowanych „krewniaków”), były bliższe robotom niż Towarzyszom. Ich zadaniem było dogłądanie powierzonych według rozdzielnika odcinków, kontrolowanie pracy maszyn i szczelności powłok statków, posiadały też pewien margines wolności osobistej w podejmowaniu decyzji. Mimo że człekokształtne, charakteryzowały się mniejszą starannością wykonania, co widać było zwłaszcza w szczegółach twarzy, często prawie pozbawionych rysów. Nie

wszczepiano im też peruk. Na ogół robota, którą wykonywały, była brudna i brak włosów ułatwiał zachowanie czystości. Jak powszechnie mawiano, w wielu branżach sprawdzały się jako pomoc techniczna, jednak ich wskaźnik inteligencji był bardzo niski i nie podlegał rozwojowi. Nie nadawałyby się też na samodzielnych robotników. Choć określano je jako androidy, robiono to wyłącznie z uwagi na schematyczne podobieństwo do ludzi, gdyż w zasadzie były jedynie robotami, łatwymi do programowania i niezdolnymi do refleksji.

Każdy z Vikingów wyposażony był w pięć androidów technicznych, dotąd nieaktywnych i traktowanych przez załogę jako rezerwowa siła pomocnicza. Propozycja uruchomienia ich spotkała się z gniewnym pomrukiem obecnych na naradzie inżynierów. Nie lubili AT, woleli pracować z ludźmi.

– Czy udzieliłem komuś głosu? – Krzyknął gniewnie kapitan Willner. – Komandor Kaori ma rację, potrzebujemy wsparcia i to nie podlega dyskusji. Na razie tę rolę pełnili Towarzysze, ale nie do tego zostali przecież stworzeni. Proszę aktywować zespoły AT i przydzielić każdemu z nich zadanie. Od tej pory obowiązują dwa arkusze dziennego raportu: człowieczy i bezludny. Wszyscy Towarzysze mają po dawnemu zająć się jedynie sprawami Dominantów.

– A to już naprawdę mądre zarządzanie – mruknął pod nosem O’Leary. W jego głosie brzmiało rzeczywiste uznanie. Wyglądało na to, że kapitan słuchając prowadzonych przez niego wykładów, zrozumiał jakie niebezpieczeństwo może się kryć w nadopiekuńczości androidów względem ludzi. Gdyby coś takiego się ujawniło, to lepiej, by dotyczyło jednego człowieka, a nie całej załogi.

– I dobrze – powiedział półgłosem Ian Callum. – Nie wiem jak inni, ale dostaję dreszczy na widok tych sztuczniaków.

– Czemu? – Spytała ostro Weronika.

– Bo jak sobie pomyślę, że te sztuczne twory przeżyją nas wszystkich...

– Ian, bądźże logiczny. Nie zachowuj się jak dureń – zwrócił mu uwagę Derkacz. – Androidy nie są winne swej konstrukcji, poza tym jeszcze nie wiemy, ile mogą, że tak powiem, „żyć”. Wiemy natomiast, że są podatne na czynniki środowiskowe, bardzo więc prawdopodobne, że wcale nas nie „przeżyją”. Twoja zazdrość jest po prostu śmieszna.

Callum rzucił mu mordercze spojrzenie. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie jak Warens, ale zdołał jakoś powściągnąć gniew.

– To ty jesteś śmieszny – rzekł. – Wielbisz te ożywione lalki i uważasz za lepsze od ludzi, a nawet twoja Towarzyszka przy tobie nie wytrzymała.

To było coś nowego i Etta spojrzała na Derkacza z ciekawością. Jednak na chudej twarzy cybernetyka nie drgnął ani jeden mięsień.

– Dałem Rainie wybór, na który zasługuje – odpowiedział spokojnie. – Już nic więcej nie mogłem dla niej zrobić.

– Twoim zdaniem robot ma sam o sobie decydować?

– Inteligencja, Ian, wiąże się z wolnością wyboru. Raina nie była zbudowana dla mnie. Jej Dominant ją zwyczajnie ukradł, a ja jedynie podjąłem się naprawienia szkód, które wyrządził jej osobowości. Nie potrzebuję Towarzyski, pozwoliłem więc zdecydować tej małej, do kogo chce należeć. Nie wiem, czemu tak cię to gorszy.

– Niedługo moja golarka zacznie wyrażać życzenia, jak się nią zajmiesz, a wtedy...

Callum nie dokończył i wyszedł, robiąc przy tym taki ruch, jakby chciał trzasnąć drzwiami. Doktor Xiao pospieszyła za nim z pionową zmarszczką na czole. To był drugi przypadek utraty kontroli nad emocjami, choć łagodniejszy i lekarka postanowiła wkroczyć z terapią, nim Callum całkiem się załamie.

Etta spojrzała na stojącego obok Raula.

– Kogo wybrała Raina? – Spytała cicho. Domyślała się odpowiedzi, ale chciała, by ktoś potwierdził jej domysły.

– Kapitana – odpowiedział równie cicho Raul. – On od początku był nią zainteresowany.

Etta stłumiła westchnienie. Gdzieś tam głęboko, na dnie serca, ukrywała nadzieję, że kiedyś Kirk Willner spojrzy na nią jak na kobietę, nie jak na podwładną, jednak musiała uczciwie przyznać, że było to mało prawdopodobne. Żołnierze są zbyt zdyscyplinowani na coś takiego. Kapitan był zawodowcem, a migracja została zmilitaryzowana tak silnie, że nawet Cywilny Koordynator też musiał być wojskowym. Tyle że koloniści mieli o tym nie wiedzieć. Ciekawe, czy się domyślali?

Na pokładzie ludzie dawno zdążyli połączyć się w pary. Tak długa podróż w warunkach celibatu byłaby przecież nie do wytrzymania i nikt tego od załogi nie wymagał. Wyjątkami byli ci, którzy lecieli w towarzystwie androida, ale nie zawsze. Byli wśród nich tacy, jak na przykład komandor Cyra Lavell, którzy nie odmawiali sobie przygodnych randek mimo posiadania Towarzysza. Nawet Etta dała się namówić na dwa spotkania przystojnemu Jake'owi Lockerby, ale jakoś nie kusiło jej, by ciągnąć ten romans. Miała przecież Raula, a do tej pory zawsze wystarczał by zapęłnić pustkę w jej życiu.

Młoda nauczycielka pomyślała mimo woli o braciach, którzy spali w kapsułach wypełnionych wodą na pokładzie Vikinga 05. Nawet nie zdążyła zobaczyć się z nimi przed odlotem. Nie wiedziała, co myślą o całej sprawie. Zostali wyrwani ze środowiska, które znali, poddani kompleksowym badaniom i uśpieni na czas podróży. Co czuli? Jak przyjęli to, co im powiedziano? Etta tego nie wiedziała, a nikt nie chciał udzielić jej informacji. Miała tylko nadzieję, że po dotarciu na Patris – o ile w ogóle tam dotrą – Diogo i Nando zrozumieją sytuację i nie będą na nią źli. W końcu nic nie miała do powiedzenia w ich sprawie. Nie

zauważyła, że obok stoi doktor O'Leary i bacznie się jej przygląda. Gdy wreszcie odwróciła głowę i dostrzegła baczny wzrok, speszyła się nieco i poczerwieniała.

– Czemu tak patrzysz?

– Zastanawiam się.

– Nad czym?

– Przed odlotem psychologowie kreślili schematy możliwego rozwoju sytuacji.

Gdy wyliczali ludzi, mogących się załamać, na pierwszym miejscu byłaś ty. Tymczasem...

– Takie prognozy czasem okazują się mylne. Przed katastrofą ekologiczną uważano, że cokolwiek się wydarzy, przeżyją głównie ci, którzy byli wtedy „najbliżej natury”, bo umieli przetrwać w pierwotnym środowisku. Tymczasem życie zażartowało sobie w okrutny sposób. Przeżyli mieszkańcy najbardziej rozwiniętych krajów. Mieli po swojej stronie technikę i byli najlepiej zdyscyplinowanymi społecznościami, plemiona prymitywne wyginęły co do jednego, państwa słabiej rozwinięte zostały wchłonięte przez silniejszych sąsiadów.

O'Leary wzruszył ramionami.

– Uznaj to za rodzaj ewolucji darwinowskiej – poradził. – Przeżyli najlepiej przystosowani, choć nie do środowiska naturalnego, a do zmian, które nastąpiły. Ci, którzy uparcie unikali cywilizacji, zginęli razem z ich habitatem.

– Co za tragedia. – westchnęła Etta. Przypomniała sobie opracowania historyczne, bohaterskie próby ludzi ratujących Indian z amazońskich dżungli czy Papuasów z Nowej Gwinei, ekipy przemierzające umierającą Afrykę i zbierające z pustyni dzieci podobne do wynędzniałych małpiątek.

– Niewielu udało się ocalić – szepnęła. – Tylko najmłodszych. Dorośli, nawet w czas zabrani do miasta, umierali z tęsknoty za swym dzikim domem i otwartą przestrzenią. Nie byli zdolni przystosować się z dnia na dzień ani do cywilizacji, ani do postkatastroficznego reżimu.

– A nic ci nie mówi to, że ludzie przynajmniej próbowali? – Przerwał cierpko O'Leary. – Przypomnij sobie, ilu pisarzy straszło czytelników kompletnym zbydłenciem ludzkości w obliczu wielkiego kataklizmu, tymczasem rzeczywistość okazała się lepsza.

– Generalnie lepsza, ale to nie znaczy, że wszyscy stali się nagle aniołami. Wielu uważało, że uciekinierzy zabierają środki przeżycia „miejscowym” i głosiło, że należy się ich pozbyć, bo „bliższa ciału koszula”. Nie było tak różowo. Zbrojne ataki na imigrantów były przez pewien czas codziennością, opanowaną dopiero przez wojsko i policję.

Doktor prychnął lekko, ale nic nie powiedział. Być może myślał teraz o Irlandii, tej prawdziwej, z której pochodziła jego rodzina. Od dawna była niezdatna do zamieszkania, podobnie jak większość Europy, ale gdzieś w genach wszyscy

Irlandczycy nosili wielką tęsknotę za utraconą, zieloną wyspą.

– Myślisz, że takie załamania będą się powtarzać? – Przerwał jego rozmyślenia kapral Lockerby z ochrony. Był dalekim powinowatym doktora i cenił sobie jego poglądy znacznie bardziej niż zdanie lekarzy i psychologów. O’Leary wzruszył chudymi ramionami.

– Pewnie. Poruszamy się ze średnią prędkością dwóch jednostek astronomicznych na miesiąc.

– Jednostka to co to za diabeł? – Kapral był żołnierzem i nie uczono go astronomii.

– Jedna jednostka astronomiczna to średnia odległość Ziemi od słońca. Weź się poucz, Jake. No więc idźmy dalej. Mamy jeszcze do przebycia co najmniej 30 jednostek astronomicznych, to kawał drogi i kupa czasu. Pas Kuipera to nie jest coś, co leży o rzut butelką od Ziemi, a przestrzeń wewnątrz statków jest bardzo ograniczona. Łatwo o klaustrofobię, z której wynikają inne neurozy.

– Nie dałoby rady przyspieszyć, do cholery? Chyba nasz napęd to ostatni cud techniki, w każdym razie tak mówiono na szkoleniach.

– Dałoby radę, czemu nie. Z tym, co mamy do dyspozycji, można osiągnąć nawet połowę prędkości światła. Tyle że z nas samych zostałaby mokra plama, a kosmiczne śmieci zrobiłyby z pancerzy durszlak. Nie mamy ani odpowiedniej amortyzacji, ani deflektorów, które wytrzymałyby takie przyspieszenie.

– Ale...

Etta zostawiła diskutujących mężczyzn i poszła szukać kapitana, który tymczasem opuścił zgromadzenie. Znalazła go w kabinie, siedzącego na koi. Zapisywał coś na małym podzie, prawdopodobnie raport z ostatnich wydarzeń. Etta rozejrzała się dyskretnie. Kwatera kapitana nie różniła się w zasadzie od innych kwater, tyle tylko, że była dodatkowo wyposażona w rodzaj małego, zawalonego podami biurka. Nad krawędziami blatu wznosiły się wąskie, ale wytrzymałe wsporniki magnetyczne, nie pozwalające w razie nagłego wstrząsu czy przechyłu na to, by coś spadło i roztrzaskało się na podłodze.

– Czego szukasz, maleńka? – Spytał serdecznie Kirk Willner, podnosząc wzrok znad raportu. – Rozglądasz się, jakbyś coś zgubiła.

– Nie, tylko... – Etta zatrzymała się na moment niepewnie. – Dopiero teraz uderzyło mnie to, że na całym statku nie ma bulajów. Myślałam, że muszą być w każdej kabinie, jak na filmach czy w książkach.

Kapitan odłożył pod.

– A po co one komu? – Spytał. – Co byśmy przez nie widzieli? Nie pamiętasz startu? Czy wiesz, że względem gwiazd nasze położenie pozornie nie ulega żadnej zmianie? Ludziom zdawało by się, że stoimy w miejscu i dopiero mielibyśmy Meksyk z Sajgonem. Wizjery są tylko na mostku, gdzie nikt poza mną

i pilotami nie ma wstępu, chyba że w szczególnych przypadkach. Takich jak start.

W tym, co mówił, było sporo racji, ale Etta poczuła, że tęskni za oknami, przez które można by wyjrzeć na zewnątrz. Inna rzecz, że gdy ich nie było, to człowiek mógł wmawiać sobie, że w ogóle nigdzie nie leci, a siedzi na Ziemi w eksperymentalnej biosferze. Dla niektórych była to pewnie pomyślna okoliczność, jednak Etta nie czuła jak dotąd potrzeby samooszukiwania. Nagle uświadomiła sobie z pełną jasnością, że to dzięki Raulowi zachowuje spokój i równowagę psychiczną. Jego obecność u boku, zawsze pewna i niewzruszona, dawała punkt oparcia, którego pewnie brakowało tym, co się załamywali.

Kapitan wstał.

– Chodź na mostek – powiedział. – Zawołałem tam Kovacsa i Weronikę, też się przydasz.

– Jako kto?

– Jako kronikarz. Powiem coś, co musisz zapisać.

Zbita nieco z tropu Etta ruszyła za Willnerem przez wąskie korytarze. Po drodze minęli dwóch dyskutujących techników z nadwachtę, patrol ochrony i Raula, który szedł dokądś w towarzystwie jednego z androidów technicznych. Różnica między nimi była aż nadto widoczna. AT był niski i drobny, bezwłosy, o kanciastej twarzy pozbawionej rysów i dodatkowym oku na środku czoła. Etta wiedziała, że tak naprawdę nie było to oko, a źródło światła, zasilane z baterii zastępującej androidom serce. Dzięki niemu AT mogły pracować w każdych warunkach.

– Raul, czy coś się stało? – Spytała przystając.

– Było doniesienie o drobnej awarii zasilania w kuchni. Idziemy to sprawdzić. A-3 jeszcze nie zna rozkładu pomieszczeń.

Etta skinęła głową. AT były dopiero wdrażane do obowiązków – od maszyn różniły się tym, że nie działały według sztywnego programu, a to oznaczało konieczność dokładnego wytłumaczenia, co mają robić. Potem jednak pracowały precyzyjnie i niezawodnie, póki nie otrzymały innego rozkazu.

Dotarwszy do sekcji mostka kapitan zatrzymał się przed kompozytową grodzią i powiedział do mikrofonu ściennego panela:

– Kirk Willner, uruchom procedurę otwarcia przejścia.

– Autoryzacja głosu ukończona. Podaj kod numeryczny – odezwał się po chwili mechaniczny głos.

– A01011.

– Kod potwierdzony. Witam na mostku, kapitanie.

Gródź rozsunęła się z lekkim sykiem.

– Nie zamykaj, póki nie przyjdą podpułkownik Kovacs i porucznik Hornet.

– Tak jest, kapitanie.

Etta przekroczyła próg mostka z mocno bijącym sercem. Nie była tu od momentu startu. Zazwyczaj bywał tu tylko kapitan lub któryś z jego zastępców, i piloci. To było ich królestwo, a choć ostatnie słowo zawsze należało do kapitana, nie próbował on wchodzić w kompetencje ludzi od dziecka szkolonych do zawodu. Cieszyli się oni powszechnym szacunkiem, a przez resztę załogi byli traktowani niczym arystokraci. Zasługiwali na to. Właśnie dzięki nim można było mieć nadzieję, że podróż Vikingów zakończy się szczęśliwie.

Za przezroczystą taflą, oddzielającą kokpit od reszty mostka, siedzieli tego dnia Amal Casimir i de Bernal. Gdy odpowiedni sygnał ostrzegł ich, że ktoś wszedł na mostek, obejrzeni się, wstali i zaszalutowali dowódcy. Potem skinęli głowami towarzyszącej mu dziewczynie i z powrotem zajęli miejsca za konsolą. Etta rozejrzała się pobieżnie i z pewną lękliwą ciekawością spojrzała na wprost, na olbrzymi ekran, na którym widać było panoramę odległych gwiazd, galaktyk i mgławic.

– Rzeczywiście wygląda to tak, jakbyśmy stali w miejscu – szepnęła.

Kapitan trącił ją w ramię i wskazał monitor zapasowej konsoli sterowania. Widać było na nim stałą przyspieszenia i liczbę przebytych mil, zwiększającą się w jakimś absurdalnie szybkim dla ludzkiego oka tempie.

– Teraz rozumiesz, maleńka, czemu lepiej nam bez bulajów – rzekł poważnie.

Podpułkownik Kovacs i Weronika dotarli na mostek dopiero kilkanaście minut później, co ściągnęło na nich gniewne spojrzenie kapitana.

– Proszę wybaczyć, panie kapitanie, sprawdzaliśmy awarię w kuchni – powiedział służbiście Kovacs.

– Od kiedy należy pan do personelu maszynowni? A pani, porucznik Hornet?

– To był sabotaż – wyjaśniła krótko Weronika. Kapitan zmarszczył czoło, a jego spojrzenie pomroczało. Potarł usta kciukiem, następnie przeszedł się wolno po mostku i zasiadł w fotelu dowódcy.

– Raport – zażądał krótko.

– Nadcięta spirala grzewcza. Gdyby Larson tego nie zauważył, mogło by dojść do naelektryzowania płyt podłogowych i ścian, a w rezultacie do czort wie ilu porażen. I... – Kovacs zawahał się.

– Co „i”?

– Na Vikingu 04 ktoś uszkodził system odzyskiwania wody pitnej. To w ogóle pechowy statek. Pracują tam nad usunięciem szkód i zabezpieczeniem śladów, nie sądzą jednak, by coś znaleźli.

– Też nie sądzą – kapitan pokiwał lekko głową i przeciągnął nerwowo dłonią po ciemieniu. Widać było, że z całych sił próbuje zachować spokój i że nie jest to

łatwe. Gdy się w końcu odezwał, jego głos brzmiał już prawie normalnie.

– Moi drodzy, kilka godzin temu komputer łączności odebrał szyfrowaną wiadomość, przeznaczoną tylko dla mnie. Obecnie chcę się nią podzielić z wami. Pan musi o niej wiedzieć, jako szef ochrony. Porucznik Hornet jako koordynator również nie może pozostać w stanie niewiedzy, Jeśli chodzi o podporucznik Solis, to skoro jest kronikarzem wyprawy, powinna mieć w miarę możliwości informacje z pierwszej ręki. Nie muszę jednak dodawać, że to, co usłyszycie, jest ściśle tajne. Właśnie dlatego przyszliśmy na mostek. Tutaj nikt nie może nas podsłuchać.

Sztab generalny pozostaje w łączności ze statkiem dowodzenia, to oczywiście wiecie. Nie wiecie jednak, że na Ziemi wciąż trwa dochodzenie w sprawie organizacji Zielony Październik, do której należeli Dario Cantoralle i profesor Welles. Okazała się zakonspirowana tak głęboko, że do tej pory udało się aresztować ledwie parę osób, i to mniej znaczących. Jedna z nich wszelako miała informację, która jest bardzo niepokojąca: otóż w załodze jest przynajmniej trzech sabotażystów. Wiemy już, że jeden jest na naszym statku, a drugi na Vikingu 04. Nie wiemy, gdzie jest trzeci, a być może i czwarty. Tego wywiad sztabu nie ustalił w sposób jednoznaczny.

– Przepraszam, kapitanie – odezwała się Weronika. – Jeśli coś się stanie, ci ludzie też mogą zginąć.

– Wiedzą o tym. Tyle że to fanatycy. Ich zdaniem powodzenie migracji oznaczać będzie, że ludzkość porzuci Ziemię i nie chcą do tego dopuścić. Najlepszym sposobem, jak sądzą, jest doprowadzenie do klęski wyprawy. Ich sztandarowym hasłem jest, jak napisano w ich ulotkach... zaraz, gdzieś to mam.

Kapitan szukał przez chwilę w pamięci poda, aż wreszcie otworzył właściwy plik i przeczytał:

– „Wszystkie siły dla Ziemi, nie dla gwiazd.” Zdaniem liderów Zielonego Października nasza planeta jest do uratowania, a skupienie się na wyprawach kosmicznych skazuje ją na nieodwracalną degradację.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała w zamyśleniu Weronika. – Czemu akurat październik? Czemu nie maj lub styczeń?

– Bo właśnie w październiku rozpoczęto kiedyś oficjalne wdrażanie programu rekultywacji obszarów zniszczonych w wyniku katastrofy ekologicznej – wytłumaczyła Etta, przypominając sobie odpowiednie wydarzenia. – Słyszałam kiedyś, że pewni ludzie uznali ten miesiąc za symbol odrodzenia Ziemi, ale nie myślałam, że to tacy ekstremiści. Sądziłam, że to takie zwykłe ugrupowanie, rodzaj klubu towarzyskiego.

Przez chwilę wszyscy milczeli, potem odezwała się Weronika:

– Nie pojmuję. Czy nie najłatwiej byłoby sabotować maszynownię? Wybuch reaktora na jednym statku z powodzeniem mógłby uszkodzić pozostałe.

Podróżujemy dość blisko siebie.

– To prawda, ale im nie chodzi o zniszczenie statków. To spowodowałyby tylko zintensyfikowanie badań nad bezpieczeństwem lotów. Raczej chodzi o to, by ludzie nie wytrzymali. By udowodnić, że nie są zdolni do odbycia takiej podróży z jednoczesnym zachowaniem zdrowia psychicznego – oświadczył po namyśle podpułkownik Kovacs. – Tak się zastanawiam, kapitanie.... Być może nasi sabotażyści wcale nie są członkami tej bandy idiotów.

Kapitan popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Co ma pan na myśli?

– Pamięta pan to, co przytrafiło się pannie Solis? Próbowano ją porwać. W jakim celu? To nie jest osobą, która mogłaby mieć jakieś informacje o żywotnym znaczeniu. Mimo to zorganizowano zgrabną zasadzkę w celu schwywania jej.

– Jakże stąd wnioski?

– Ciekawi mnie, kogo jeszcze napadnięto na przepustce. Nie mieliśmy zgłoszeń, ale to nie znaczy, że coś takiego nie miało miejsca. Niewykluczone, że wybranych członków załogi poddano praniu mózgu i nie są teraz w pełni świadomi tego, co robią.

Kapitan Willner skinął głową aprobująco. Widać było, że też musiał o czymś takim myśleć, bo nie był zdziwiony i o nic nie pytał. Etta wzdrygnęła się na myśl o tym, czego uniknęła dzięki braciom.

– Myśli pan, że tak właśnie było?

Podpułkownik skrzywił się niechętnie. Wyglądało na to, że ukuł tę teorię nie mogąc pogodzić się z tym, że wśród jego ludzi mógł się znaleźć zdrajca. Jednak uczciwie musiał przyznać że jest to bardziej prawdopodobne niż sensacyjna wersja z „praniem mózgu”. Kirk Willner pokręcił głową.

– Zobaczymy – rzekł niechętnie. – Póki nie złapiemy tych żartownisiów, wszyscy musimy mieć oczy dookoła głowy. I ani słowa załodze. Nie chcę żadnej paniki.

VI.

Wybuch uszkodził aparaturę oczyszczającą powietrze. Technicy maszynowni ocenili czas potrzebny do naprawy na sześć dni – oznaczało to konieczność skorzystania z rezerwy tlenowej i ten fakt budził poważny niepokój. Tym razem zamachowiec uderzył wyjątkowo celnie, używając bardzo wydajnego materiału wybuchowego nowej generacji, ale też to go zgubiło. Idąc tropem mikrośladów chemicznych jeszcze tego samego dnia odkryto jego tożsamość. Był to jeden z żołnierzy ochrony – to akurat nie stanowiło niespodzianki. Od początku spodziewano się, że sabotażysta musi być jednym z żołnierzy, gdyż zostali

wyznaczeni do ochrony misji prawie w ostatniej chwili. Reszta załogi miała za sobą zbyt długie przygotowania, by nie wykryto na czas powiązań z ekstremistami, wszyscy zostali dokładnie prześwietleni i sprawdzeni. W przypadku żołnierzy uważano, że samo wojsko weryfikuje ich w dostateczny sposób. Ten pogląd okazał się błędny.

Schwytany żołnierz – szeregowy Buster MacBride – został przewieziony promem na Vikinga 01 i przyprowadzony do sali konferencyjnej w dwie godziny po rozpoczęciu śledztwa. Początkowo usiłował wypierać się winy, ale w obliczu niezbitych faktów zamilkł i przybrał zuchwałą minę człowieka pewnego słuszności sprawy którą reprezentuje.

– Możecie robić co chcecie, nic wam i tak nie powiem – oświadczył twardo.
– Niczego nie żałuję i zrobiłbym to raz jeszcze.

– Czemu chcą go jeszcze przepytować? – Spytała Etta doktora O’Leary. – To przecież jasne, że jest winny.

– Tak, ale są jeszcze inni oprócz niego. Warto wiedzieć, co zamierzają.

Kapitan Willner spytał o coś Tengiza Gongadze, który ze względu na powagę sytuacji przybył osobiście na pokład głównego statku, ale ten potrząsnął tylko głową.

– Nie – odpowiedział. – Teraz każdy głupi wie, jak się przed tym zabezpieczyć.

– Kapitan pewnie chciał podać temu śmieciowi serum prawdy – mruknęła domyślnie Weronika.

Kirk Willner podszedł do MacBride’a i przez chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu.

– Czemu pan to zrobił? – Spytał wreszcie łagodnie.

– Miałem swoje powody – odburknął wojowniczo żołnierz.

– Jakie? Takie by zabić kolonistów, nas i siebie?

– Nie, takie, abyśmy zawrócili! Trzeba ratować planetę z której pochodzimy, a nie marnować siły i środki na jakieś fantasmagorie!

– Kwestia punktu widzenia – Willner patrzył z pełnym spokojem, a nawet pewną, mogło by się zdawać, życzliwością w niebieskich oczach. – Wiemy, że nie działał pan sam, i nie sądzę, żeby to co działo się do tej pory, było wszystkim, na co was stać.

– A żeby pan wiedział. Niedługo się pan przekona. Będzie pan musiał zawrócić.

– Co przygotowaliście?

– Nie powiem. Przekonacie się wszyscy, że nie należało w ogóle opuszczać Ziemi!

Zgromadzonych w sali przeszedł dreszcz. W głosie żołnierza brzmiała taka

zajadłość i fanatyczna pewność swoich racji, że trudno było nie ulec grozie.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że zarobił pan na karę śmierci? – Spytał chłodno podpułkownik Kovacs. MacBride roześmiał się wzgardliwie.

– Może i umrę, ale Ziemia będzie żyć.

– Zastanów się, człowieku, co pleciesz! Mów, co wiesz, póki jeszcze możesz! – Zawołała doktor Xiao. Żołnierz odpowiedział wulgarnym gestem i dodał kilka słów, z których jasno wynikało, że nic na świecie nie zmusi go do sprzeniewierzenia się macierzystej organizacji.

– Niech pan będzie rozsądny! Kapitan na pewno daruje panu życie, jeśli wszystko pan powie – próbował przekonać go Leonard Derkacz, ale podobnie jak jego poprzednicy nic nie wskórał.

Młody szeregowiec kpił sobie w żywe oczy z otaczających go towarzyszy podróży i z argumentów którymi szermowali. Mógł sobie na to pozwolić – konwencja praw cywilnych i wojskowych jasno określała jego przywileje, których nie łamano nigdy, a jednym z nich było prawo do odmowy zeznań.

– Proszę w tej chwili powiedzieć, co szykujecie! – Krzyknął w końcu rozkazująco kapitan, który wyraźnie miał wszystkiego dosyć.

– Nic nie powiem, a po powrocie na Ziemię złożę na wszystkich skargę – odparł hardo żołnierz. – To, co robicie, nazywa się uporczywe nękanie więźnia i jest karalne.

– Ma rację, cholernik – mruknął O’Leary.

– Co też pan – oburzyła się Weronika.

– No prawdę mówię, panno Hornet. Znam dobrze przepisy, na które się powołuje, a zdaje się, że na czas podróży nikt nie ogłaszał zawieszenia obowiązującego prawa.

– Niech ktoś coś z nim zrobi, bo... – zaczął kapitan, ale nie dokończył.

O’Leary chciał powiedzieć coś jeszcze, a Weronika szykowała się do jakiejś ciężkiej riposty, gdy przez zgromadzonych ktoś się przepchnął. Była to Raina. Szybkim krokiem podeszła do MacBride’a.

– Kapitan kazał panu odpowiedzieć – rzekła równym, spokojnym głosem („Tonacja nr 1, oznajmiająca.” pomyślała machinalnie Etta).

– A tobie co do tego, manekinie? – Prychnął wzgardliwie MacBride.

– Proszę odpowiedzieć.

– Ani mi się śni, zjeżdżaj, bo jak cię kopnę, to śrubki pogubisz.

Żołnierz jeszcze nie skończył, gdy Raina błyskawicznym ruchem chwyciła go za mały i serdeczny palec lewej ręki i wykręciła tak, że z wrzaskiem bólu opadł na kolana. Twarz androidki pozostała taka sama jak przedtem – spokojna i łagodna, a głos tak samo cichy.

– Kapitan o coś pytał.

- Puść!
- Proszę odpowiedzieć.
- Główny komputer, wirus! Nic więcej nie wiem! Mieliśmy odwrócić waszą uwagę, żeby nikt nie wykrył przedwcześnie zagrożenia! Błagam, niech ktoś ją zabierze!
- Raina, przestań! – Krzyknął kapitan, który dopiero teraz odzyskał głos. Wszystko działo się tak szybko i było tak nieoczekiwane, że nie tylko on, ale i nikt inny nie zdążył jeszcze pomyśleć o tym, by jakoś zainterweniować.
- Androidka puściła ofiarę, która z przeciągłym jękiem zwinęła się na podłodze.
- Zajmijcie się tym szczurem – polecił Willner, podchodząc do stojącej nieruchomo Towarzyszki i obejmując ją delikatnie. – Spokojnie, moja maleńka... Spokojnie.
- Patrzył na nią z troską. Stała nieruchomo, patrząc w martwy punkt i sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała jego słów. Leonard Derkacz podszedł, odsunął kapitana i poświecił Rainie w oczy małą latarką.
- Dlaczego to zrobiłaś? – Spytał.
- Nieposłuszeństwo. Kara. To konieczne. Nieposłuszny jest ukarany.
- Skąd wiesz?
- Wcale tego nie chcę, ale muszę. W domu jest tylko jeden szef. Kara ma przyczynę. Nie ma przyczyny, nie ma kary.
- To słowa pierwszego Dominanta, zapamiętała jako regułę – powiedział domyślnie O’Leary. – Nikt ich nie unieważnił, więc nadal sądzi, że tak ma być. Hej, ludziska, nie gapcie się tak! Nic się nie stało.
- Ciekawy wniosek – mruknął sarkastycznie Kovacs, podczas gdy Gongadze i Xiao oglądali pilnie rękę MacBride’a. Żołnierz przestał jęczeć, ale stracił całą arogancję i wyraźnie spokorniał.
- Prawie nic mu nie jest – oznajmił wreszcie doktor Gongadze. – Wiedziała, jak złapać. Panie Derkacz, czy ta lala jest bardzo niebezpieczna? Jako lekarz naczelny wyprawy muszę mieć świadomość, czego się spodziewać.
- Raina w ogóle nie jest niebezpieczna – odpowiedział spokojnie zapytany, chowając latarkę. – Potrzebuje tylko dodatkowej reedukacji z zakresu praw jednostki. Przyznaję, że to coś, o czym po prostu nie pomyślałem. Ta mała była świadkiem przemocy domowej, a ponieważ działo się to w okresie kształtowania świadomości, uznała to, co widziała, za prawo powszechnie stosowane.

Etta wzdrygnęła się nieznacznie. Od dawna podejrzewała, że Dario maltretował jej siostrę, miała jednak nadzieję, że to tylko jakieś niemądre przywidzenia. Jeśli znęcał się nad własną rodziną, to czemu Nayeli tak go broniła? To było zupełnie niezrozumiałe. Starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi

wysunęła się z sali. To, czego była świadkiem, wstrząsnęło nią do głębi, tak bardzo, że ledwie mogła wytrzymać. Nagle poczuła, że nienawidzi tego statku, że wszystko oddałaby za spacer po parku, zakupy w osiedlowym sklepie i codzienny widok z okna. Rozpaczliwie zapragnęła wziąć normalną kąpiel, nie „ozonowy prysznic” – na pokładzie Vikinga, żeby się „umyc”, trzeba było włożyć małą maskę z zapasem tlenu na dziesięć minut i wejść do ciasnej tuby o przekroju kilkudziesięciu centymetrów. W jej wnętrzu po naciśnięciu odpowiedniego przycisku wirował rodzaj „ozonowego wiatru”, usuwający wszystkie zanieczyszczenia ze skóry. Po jakimś czasie powodowało to tęsknotę za czymś tak zwykłym jak wanna. Ludzie o tym nie mówili, ale każdy z nich już teraz oddałby rok życia za jedną kąpiel w dziesiątkach litrów bezcennej wody. Wszyscy zużywali jakąś część dziennego przydziału na „normalne” umycie twarzy czy szczególnie delikatnych części ciała. Etta miała tego serdecznie dość, a dzisiejsza scena spowodowała, że podróż wydała się jej czymś niewypowiedzianie wstrętnym. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z czymś tak brutalnym. Prawie biegiem dotarła do kabiny, pragnąc schować się pod przydziałowym kocem i wypłakać w ukryciu, uspokajając w ten sposób rozdygotane nerwy.

W kabinie zastała Raula. Android porządkował kwaterę, pedantycznie wyrównując pościel na łóżkach i układając we wzorowym porządku wszystkie drobiazgi. Ścierać kurzu nie musiał, w kosmosie nic się nie kurzyło, ale z przyzwyczajenia wycierał elementy wyposażenia miękką szmatką. Spojrzawszy na Ettę przekrzywił lekko głowę, co w jego języku gestów oznaczało nieme zapytanie.

– Nie mów nic – powstrzymała go dziewczyna. – Po prostu mnie przytul. Przytul mocno.

Raul nic nie rozumiał, ale posłusznie objął ją i przycisnął do pięknie wysklepionej klatki piersiowej.

– To dziwne – pomyślała Etta, wtulając twarz w jego koszulę. – Nie jest człowiekiem, nie oddycha, jego serce nie bije, a mimo to kontakt z nim tak bardzo uspokaja, że nie potrzebuję już nic innego.

Kapitan Willner siedział w kabinie dowódcy, dopracowując meldunek dla ziemskiego sztabu. Opisywał zwięźle, co się stało i to, jakie podjął kroki. A były poważne. Cała kawalkada została zatrzymana, ludzie szczegółowo przebadani i prześwietleni pod kątem przeszłości. Jednak dopiero zręczna prowokacja pozwoliła na wykrycie pozostałych dwóch sabotażystów – jednego na Vikingu 04, a drugiego na Vikingu 05. Wyglądało na to, że statki 02 i 03 są „czyste”, jednak na wszelki wypadek przeszukano je starannie. Wynikły z tego pewne animozje między żołnierzami a resztą personelu, gdyż to właśnie żołnierzom trzeba było najdokładniej się przyjrzeć. Niektórzy potraktowali to wręcz jak osobistą zniewagę.

Wszyscy technicy pracowali nad systemem komputerowym statków, poszukując wirusa. Reszta załogi sumiennie sprawdzała każdy kąt statku, ze szczególnym uwzględnieniem punktów newralgicznych. Kiedy podsumowano wyniki poszukiwań, doktor O’Leary parsknął suchym śmiechem i zauważył cierpko, że w sztabie na Ziemi cały wydział kontroli wewnętrznej powinien popełnić solidarne seppuku (prawie nikt nie rozumiał tego słowa, wyjaśnił więc, że chodzi o rytualne samobójstwo). Na każdym statku znaleziono niewielkie ładunki wybuchowe, umieszczone w węzłach energetycznych i gotowe do odpalenia, a w zintegrowanym systemie komputerowym – nie jeden, a co najmniej sześć różnego typu wirusów. Jak twierdzili półgębkiem informatycy, to może być jeszcze nie wszystko.

– Poprośmy Rainę o przepytanie więźniów, ciekawe, co jeszcze powiedzą – zaproponował podpułkownik Kovacs.

– Dość, Imre – warknął kapitan i zwrócił się do Stiepana Pavlova, nieformalnego szefa informatyków, obecnego na wideołączu. – Jak długo będziecie się z tym babrać?

– Co jak długo? – Nie rozumiał Pavlov. – Chodzi o to, kiedy oczyścimy system, czy kiedy dowiemy się, co to za wirusy?

– Jedno i drugie.

– System trzeba zresetować. Potrzebujemy kilku, może nawet kilkunastu godzin na przeprowadzenie wszystkich testów. Wirusy zdecydowaliśmy się przenieść do podręcznego komputera, pozbawionego łączności z innymi i zanalizować po kolei. To może trwać tygodniami, bo są ogromnie skomplikowane. Ktokolwiek je opracował, dysponuje wielkimi umiejętnościami i nie mniejszą pomysłowością.

W głosie Pavlova brzmiał nieukrywany podziw dla nieznanych hakerów, niezależny od tego, że przysporzyli mu mnóstwo pracy jego zespołowi. O ile bowiem zintegrowany system kawalkady i autonomiczne podsystemy dały się względnie szybko oczyścić, o tyle rozpracowanie wirusów wydawało się niemal niemożliwe. Po kilku dniach wytężonej pracy wszyscy informatycy doszli do zgodnego wniosku, że złośliwe oprogramowanie miało zostać aktywowane jakąś konfiguracją wyliczeń, nie zaś komendą wydaną przez człowieka.

– Inaczej mówiąc, miały nas unieruchomić, gdy będziemy w pewnej określonej odległości od Ziemi i zmusić do zawrócenia – zakonkludował Leonard Derkacz

– Unieruchomić tak, ale zmusić do zawrócenia? – Spytał z powątpiewaniem inżynier Woznansky. – Przecież dalibyśmy chyba sobie radę z naprawą.

– Niekoniecznie. Wydaje się, że wirus, który rozpracowywałem osobiście, miał przejąć kontrolę nad układem sterowania tak, by odczyty były inwertywne.

– Znaczy co?

– Przepraszam. Znaczy lustrzane. To żargon andropologików.

Specjalistów od konstrukcji i działania mózgów androidów nazywano andropologikami – termin „andropolog” byłby zbieżny fonetycznie ze słowem „antropolog” i powodowałby nieporozumienia w dyskusji.

– Lustrzane? Czyli co, odwrócone?

– Dokładnie tak. Myśląc, że lecimy w kierunku pasa Kuipera, w rzeczywistości wracalibyśmy na Ziemię.

– Ładne rzeczy.

– Porucznik Denberry meldował, że u nich jeden z ładunków podłożony był w przedziale kapsuł – wtrącił się Kovacs. – Nie uważa pan, że to można podciągnąć pod próbę morderstwa?

Kapitan zmarszczył czoło, następnie włączył holograficzny ekran i wywołał Vikinga 04.

– Wzywam porucznika Denberry’ego.

– Melduję się na rozkaz – odezwał się po chwili dźwięczny baryton i nad stołem okazał się hologram młodego mężczyzny w mundurze.

– Jakie szkody wyrządziłby ładunek wybuchowy, który znaleźliście w przedziale pasażerskim?

– Całkiem spore. Na pewno uszkodziłby system automatycznej kontroli i monitoringu. Musielibyśmy na gwałt budzić wszystkich pasażerów i nastalby Armageddon. Nie mamy ani miejsca, ani zapasów dla tylu ludzi.

Kapitan Willner milczał przez kilka sekund, potem włączył multiłącze i powiedział:

– Do wszystkich sekcji ochrony: o godzinie 16.00 czasu pokładowego narada na pokładzie statku dowodzenia. Wszyscy szefowie ochrony mają się stawić osobiście. Sprawa priorytetowa. Bez odbioru.

Ze wszystkich statków posypały się potwierdzenia, potem multiłącze zamilkło. Podpułkownik Kovacs również mruknął potwierdzenie i w odpowiedzi usłyszał:

– Niech pan zawiadomi porucznik Hornet i podporucznik Solis. Obie mają być obecne na naradzie.

– Tak jest – odparł słuźbiście Kovacs i wyszedł na korytarz. Niemal od razu natknął się na Ettę, powtórzył jej słowa kapitana i poszedł szukać Weroniki. Natomiast Etta, zdziwiona i zaniepokojona, zapukała do kabiny dowódcy.

– Proszę! – Zzawołał Kirk Willner i uniósł lekko brwi na widok dziewczyny.
– Czy coś się stało?

– Nie, ja tylko... skoro to narada ochrony, to czemu ja...? – Jąkała się Etta, nagle onieśmielona ostrym spojrzeniem kapitana.

- Musi być pani obecna jako kronikarz wyprawy – odparł oficjalnym tonem.
- Kronikarz? Znaczy mam pisać wszystko, czy tylko niektóre rzeczy?

Willner złagodził nieco spojrzenie niebieskich oczu i nawet pozwolił sobie na uśmiech.

- Niby: co chcę, żeby pani zapisała?
- Właśnie.

– Ależ, maleńka... to znaczy, podporuczniku Solis, nic nie mogę pani w tej sprawie rozkazać. Pani praca jako kronikarza wyprawy jest poza moją jurysdykcją. Nawet nie mam prawa żądać wglądu w pani zapiski.

- Jest pan kapitanem...

–... „pierwszym po Bogu”. Jednak czasy się zmieniły. Nie do wszystkiego wolno mi się wtrącać. Napisze pani to, co uzna za stosowne. Ziemia obdarzyła panią pełnym zaufaniem jako osobę uczciwą i prawdomówną, dlatego dostała pani tę funkcję. Mnie osobiście wystarczy, gdy będzie pani pisać po prostu prawdę.

– Tak jest – Etta zasalutowała, uśmiechnęła się i wybiegła. Kronika wyprawy była dla niej czymś ogromnie cennym, ale niejedną raz zastanawiała się, jak zapisać jakieś wydarzenie, by opis zawierał prawdę, ale nie stanowił oskarżenia pod czyimś adresem. Tak było, na przykład, w sprawie dziwnej akcji Rainy. Męczyła się nad tym tak bardzo, że do tej pory nie miała ostatecznej wersji. Po namyśle postanowiła skorzystać z okazji i zasięgnąć rady doktora O’Leary.

Z tą myślą skręciła w korytarz nr 4, gdzie mieściła kwatery doktora. Mieszkał razem z Leonardem Derkaczem, co było bardzo praktyczne, gdyż obaj wciąż prowadzili pracę koncepcyjną i bez przerwy konsultowali się ze sobą. Teraz jednak był sam w kabinie. Derkacz znajdował się w maszynowni, gdzie przeprowadzał rutynową diagnostykę AT, zaś O’Leary obliczał coś na podręcznym komputerze i w pierwszej chwili nawet nie usłyszał pukania Etty. Dopiero za drugim razem krzyknął coś, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za zaproszenie.

– A, to ty – powiedział na widok dziewczyny. – Jakiś problem, czy zwabiła cię tu moja sława playboya?

- Bądźże raz poważny – westchnęła Etta. – Możesz coś doradzić?
- Zależy co.

– Nie wiem, jak ostatecznie opisać zajście z Rainą. Muszę zarejestrować prawdę, ale nie chcę, by wyszło na to, że jest ona niebezpieczna. Ktoś mógłby to fałszywie odczytać.

O’Leary zostawił komputer i wyciągnął z szafki płaską butelkę z plastonu – tworzywa wizualnie przypominającego szkło, ale lżejszego niż bibuła.

- Napijmy się – zaproponował. – To rozjaśni zagadnienie.
- Alkohol? Jak go przemyciłeś na pokład?!

– Niczego nie musiałem przemycać. Tyle że zamiast stosu łańców i bibelotów miałem w podręcznym bagażu whisky, gin i trochę brandy. Ba, nawet koniak na specjalną okazję.

– Trochę więc tego jest, ale i tak kiedyś się skończy – Etta patrzyła z pewną dezaprobatą, jak doktor nalewa bursztynowy płyn do dwóch laboratoryjnych miarek.

– A od czego jestem naukowcem? W średniowieczu każdy analfabeta umiał napędzić samogonu z byle czego, mnie też się uda. No to siup.

O’Leary napił się i usiadł naprzeciw Etty z miarką w dłoni. Dziewczyna również pociągnęła niewielki łyk. Zwykle nie piła, jednak od jakiegoś czasu miała ochotę na coś mocniejszego.

– Pytałaś o Rainę – zaczął Irlandczyk. – Problem w tym, moja droga, że nasza słodka czekoladka jest niebezpieczna. Być może stary nad nią zapanuje, ale tylko być może. Androidy są bardziej do nas podobne niż myślisz. Uczą się na przykładach z otoczenia, jak dzieci, są jednak mniej... jakby to powiedzieć, elastyczne. To, czego doświadczają w pierwszym okresie istnienia, utrwała się w obwodach logicznych i trudno później zmienić sposób, w jaki myślą. Raina jest przekonana, że przemoc to naturalna metoda rozwiązywania różnych spraw i nawet nie rozumie, że to może być czymś niewłaściwym. Wie, że jej obecny Dominant jest temu przeciwny i tylko dlatego możemy spać spokojnie. Jednak w sytuacji niestandardowej ta urocza dzidzia może zachować się bardzo niekonwencjonalnie. I możemy za to podziękować twojemu szwagrowi.

– Nie powiedziałeś o tym kapitanowi i ochronie – szepnęła Etta.

– Kapitanowi powiedziałem. Musi wiedzieć, czego się spodziewać. Ale nikomu więcej. Ochrona mogłaby zażądać „dezaktywacji” czyli praktycznie egzekucji groźnego androida. Nie chcę tego. Wierzę zresztą, że z czasem Raina zmieni sposób myślenia, potrzeba do tego tylko cierpliwości i łagodnego traktowania.

O’Leary napił się ponownie i pochylił ku młodej nauczycielce długą, jak zwykle niedogoloną twarz. Etta widziała z bliska jego wyblakłe tęczy, czerwone żyłki na białkówkach i czający się głęboko w spojrzeniu smutek, zawsze widoczny, nawet gdy doktor żartował i śmiał się z innymi.

– Powiem ci w tajemnicy, że prawdopodobnie właśnie kwestia Rainy ocali skórę aresztowanych sabotażystów.

– Jak to?

– Zobaczysz. Kirk Willner nie zaryzykuje pokazania jej, że niewygodnych ludzi można ot, tak – doktor pstryknął wymownie palcami – zlikwidować i iść na kolację. Nie wiadomo, jaki efekt miałaby taka wiedza u naszej Panny Bojowej.

– Myślisz?

- Za dwie godziny sama się przekonasz.
- Podśluchiwałaś kapitana?!
- Lubię być dobrze poinformowany.

Taka bezczelność doprawdy była oburzająca, ale u MacLeana O’Leary nie dziwiła. Etta myślała zresztą teraz o czymś innym. Wciąż miała przed oczami szczupłą postać androidki i delikatną, jasnoczekoladową twarz,

– To nie jej wina – szepnęła wreszcie. – Myśli, że tak ma być.

– To normalne. Dobro i zło to sposób patrzenia. Bite dziecko, któremu mówi się „Biję, bo cię kocham i chcę dla ciebie dobrze.” już zawsze będzie uważać, że tak przejawia się miłość. Rainy nikt nie przekonywał, że ją kocha, ale widziała, jak Dario znęca się nad rodziną, tłumacząc to troską o dobro, przepraszam, miałem o tym nie mówić.

Etta napiła się odruchowo, nie myśląc o tym, co robi. Zakaszła lekko, gdyż brandy była mocniejsza, niż początkowo sądziła.

– Sama się domyśliłam. Jednak czemu Nayeli tak gwałtownie zareagowała zamiast cieszyć się, że będzie miała wreszcie spokój?

– Syndrom sztokholmski, drogie dziecko, ewentualnie helsiński. Historycy nie są co do tego zgodni. Otóż oprawcy bardzo często potrafią całkowicie zdominować ofiarę, zwłaszcza, gdy nie jest zbyt mądra. Twoja siostra do końca życia może nie zrozumieć, jak wielkim nieszczęściem był dla niej Dario Cantoralle.

Powróciwszy do kwatery Etta otworzyła rejestrator i po głębokim namyśle zapisała:

– Androidka Raina wymusiła zeznanie na więźniu, nim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Jak później się okazało, źle zinterpretowała wypowiedź kapitana. Nie wyrządziła Busterowi MacBride żadnej istotnej krzywdy. Doktor Leonard Derkacz podjął się skorygowania procesów myślowych, które uległy u niej skrzywieniu pod wpływem niewłaściwego Dominanta...

O wyznaczonej godzinie wszyscy szefowie ochrony – Denberry, Kovacs, Perez, Lavatto i Denham – zebrali się w sali konferencyjnej na pokładzie Vikinga 01. Oprócz nich w sali obecna były Weronika i Etta. Jako ostatni zjawił się kapitan, jak zwykle spokojny i nienaganny.

– Widzę, że są już wszyscy – zaczął. – Proszę zająć miejsca za stołem. Sądzę, że wszyscy obecni oficerowie domyślają się celu narady. Otóż musimy podjąć ostateczną decyzję w sprawie sabotażystów.

– Jest ich w sumie trzech, prawda? – Spytała porucznik Lavatto z Vikinga 05.

– Prawda. Nie możemy trzymać ich w sekcji więziennej, bo to ma być miejsce czasowego pobytu, a ja nie przewiduję sytuacji, w której można by ich wypuścić na wolną stopę.

– Zatem nie ma nad czym dyskutować. Egzekucja – powiedział Kovacs.

– Chwileczkę – zaproponował Denberry. – Żaden z nich nikogo nie zabił. I jest nad czym dyskutować. Porucznik Denham jest prawniczką, o ile się nie mylę.

– Ja też jestem – przerwał Kovacs. – Możemy długo przerzucać się argumentami i kontrargumentami, wyciągać precedensy i kruczki prawne, ale to nie zmieni faktów. A fakty są takie, że ci ludzie to sabotażyści i stanowią zagrożenie dla migracji.

– Priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa kolonistom – dodał porucznik Perez. – Przypominam, że jeden z ładunków został podłożony w przedziale pasażerskim.

Etta pomyślała mimo woli o swych braciach, śpiących bezpiecznie w kapsułach. Czy byłaby zdolna zabić, gdyby ktoś im zagroził? Doszła ze zgrozą do wniosku, że to całkiem możliwe. Widocznie wpajana dzieciom od małości etyka wcale nie była taka znów niewzruszona.

– Rozbroiliśmy wszystkie ładunki i nikt nie ucierpiał – powiedziała Carla Denham. – Porucznik Denberry ma rację, z punktu widzenia kodeksu karnego nie mamy podstaw do egzekucji tych ludzi. Co najwyżej możemy ich uwięzić, ale zgadzam się, że to na dłuższą metę byłoby niezgodne z kartą praw jednostki.

– Pozostaje więc lobotomia – rzekł Lavatto.

– Nie zgadzam się! – Krzyknęła Weronika z oburzeniem. – To gorsze niż śmierć.

Lavatto rozłożył ręce.

– Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, bo zawsze ktoś się nie zgadza, więc co mamy zrobić? Wysadzić ich na najbliższej asteroidzie? – Spytał ironicznie.

Kapitan zadzwonił łyżeczką w metalowy kubek i wszyscy zamilkli, zwracając na niego spojrzenie.

– W pewnym sensie to właśnie chciałem zaproponować – rzekł. – Musimy poświęcić jeden z promów i wysłać naszych więźniów w stronę stacji naukowej Max Planck, na orbicie Wenus. Rozmawiałem z dowództwem stacji, zgodzili się ich przejąć i poczekać, aż przylecą po nich z Ziemi.

– Prom nie doleci do stacji. Jesteśmy za daleko – zaproponował Perez.

– To prawda, jednak może dolecieć do punktu, z którego weźmie go na hol statek wysłany przez Plancka. Camus de Bernal zaprogramuje autopilota promu tak, by zminimalizować możliwość wypadku – wyjaśnił kapitan. – Klucz kodowy prześlemy ochronie stacji, tak że będą mogli bez trudu przejąć kontrolę nad promem.

Oficerowie popatrzyli na siebie i wymienili półgłosem kilka uwag.

– Pomysł nie jest zły – rzekł wreszcie Kovacs. – Nie będzie im tam za wygodnie, ale nie mamy potrzeby troszczyć się o komfort takich szumowin.

Szkoda tylko promu. Uszczupli to nasze rezerwy. Zresztą nadal uważam, że należy się im doraźna egzekucja.

– Ja też, ale nie możemy działać zbyt emocjonalnie – odparł Kirk Willner, bawiąc się w zamyśleniu podem. – Niech pan zresztą pomyśli, co o tym w swoim czasie powiedzieliby koloniści. Tak bezprecedensowa wyprawa, a musiała się zacząć rozlewem krwi.

– Właśnie – wtrąciła się ponownie Weronika. – Proszę nie zapominać, że nie można doprowadzić do sytuacji, w której koloniści zaczęliby postrzegać żołnierzy jako potencjalne zagrożenie. I tak nasze społeczeństwo nie ufa wojsku. Skoro dla ich komfortu psychicznego jest ważne, by uważali mnie, koordynatora z ramienia agencji, za pracownika cywilnego, tym bardziej żołnierze muszą starać się, żeby zyskać ich zaufanie.

– To nie my dążyliśmy do rozlewu krwi.

– Wiem – rzekł kapitan. – Mimo wszystko uważam, że tak będzie lepiej. Czy panowie akceptują mój punkt widzenia?

Oficerowie ponownie poszeptali między sobą, a Etta i Weronika wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Kapitan wyraźnie zostawiał otwartą furtkę dla zwolenników egzekucji. Gdyby wszyscy szefowie ochrony jej zażądali... Na szczęście tak się nie stało.

– Zgadzą się na takie rozwiązanie, kapitanie – powiedział wreszcie porucznik Kovacs. – Rzeczywiście takie jest najlepsze.

– Panno Solis, proszę zanotować, że oficerowie obecni na naradzie zdecydowali o usunięciu sabotażystów ze statku i przekazaniu ich pod tymczasową straż korpusu ochrony stacji naukowej Max Planck – zwrócił się kapitan do Etty. – Zamykam naradę i proszę wszystkich o powrót do pełnionych obowiązków.

– Miejmy nadzieję, że to już koniec kłopotów – zamruczała Weronika z wyraźną ulgą. Nie przyznawała się do tego nikomu, ale czuła nieprzyjemne dreszcze na samą myśl, że dzieli szczupłą przestrzeń statku z kimś, kto w imię chorych idei gotów jest narazić na szwank bezpieczeństwo ponad tysiąca ludzi.

VIII.

Zwarcie w instalacjach Vikinga 01 było o tyle niezwykle, że wyłączyło od razu wszystkie systemy, pogrążając statek w ciemności i ciszy. Po chwili na korytarze wylegli członkowie załogi, uzbrojeni w podręczne latarki, starając się zorientować w sytuacji. Światła awaryjne nie działały – dziwne, gdyż wyglądało na to, że ich podsystem został uszkodzony dużo wcześniej. Ze skąpych wypowiedzi AT można było wywnioskować, że impuls nie mógł przeskoczyć na obwody awaryjne. Potwierdził to zresztą cały zespół inżyniera Woznansky'ego, mocno zakłopotanego powstałą sytuacją.

– No to co tak stoicie? Brać się zaraz do roboty – pogonił ich ostro kapitan. Zaabsorbowany tym, co się stało, wyszedł na korytarz w samych slipkach i teraz wszyscy mogli bez przeszkód podziwiać jego ciało. Przyglądając mu się w świetle latarki Etta pomyślała, że mimo niezbyt wysokiego wzrostu i krępej budowy Kirk Willner prezentuje się znakomicie. Nie wyglądał jak kulturysta, ale znać było po nim siłę i wytrzymałość. Jego ręce, nogi i szeroka klatka piersiowa pozbawione były nawet najmniejszego włoska – Etta odnotowała ten fakt z zadowoleniem, nie znosiła bowiem nadmiernie owłosionych mężczyzn. Potem zreflektowała się nieco. Właściwie co ją obchodziło, jak kapitan wygląda bez koszuli?

Cholernie seksownie, musiała to przyznać.

– Nie gap się tak – szepnęła wesoło Weronika, która znalazła się tuż przy

niej. – Wasi Towarzysze staną się zaraz zazdrośni.

Etta spojrzała na Raula, a potem na Rainę.

– Przesadzasz – mruknęła, jednak coś ją zakłuło w sercu. Przypomniała sobie, jak Raul potrząsał Dariem, choć wcale nie musiał tego robić. Niby androidy nie powinny być zdolne do takich uczuć jak zazdrość, ale poznając je bliżej Etta dochodziła do nieodpartego wniosku, że autorzy „Andropologii” nie mieli żadnego pojęcia o tym, jak myśli sztuczny człowiek. Wiedzieli, jak jest zbudowany. Wiedzieli, jakie zmiany potencjałów zachodzą w sztucznych mnemonach. Znali te procesy z punktu widzenia techniki, jednak życie wewnętrzne AC stanowiło dla nich nie lada zagadkę. A raczej – stanowiłoby, gdyby zechcieli zaprzętać sobie nim głowę. Bo chyba nie chcieli. Starczało, że podobnie jak automaty nie były zdolne do otwartego buntu.

Z bocznego korytarza rozległy się tłumione przekleństwa, potem wynurzył się stamtąd inżynier Woznansky. Obok niego szedł AT-4, oświetlając usługnie drogę swym trzecim okiem.

– Ktokolwiek to zrobił, postarał się – oświadczył wściekle inżynier. – Jesteśmy ślepi, głusi i kompletnie bezradni.

– Co nie działa? – Spytał go kapitan. Woznansky wzruszył ramionami.

– Nic nie działa – odparł. – Światła, ogrzewanie, system oczyszczania, łączność, stery... padło wszystko.

– Przeoczony wirus?

– Tak, ale nie ośrodkowy. Raczej coś na stykach. Mam pewną teorię, ale potwierdzę ją dopiero, gdy AT dotrą do odpowiednich obwodów. No i jeszcze ten impuls, który wywołał awarię. Był bardzo dziwny i na pewno nie wynikł z awarii generatorów. Wszystkie mają zabezpieczenia przeciwprzebieciowe.

– Zabezpieczenie może puścić.

– Jedno może tak, ale nie wszystkie naraz! Ktoś musiał to przygotowywać od dawna, i to już w podróży, bo przed startem przecież wszystko sprawdzono.

– To znaczy – rzekł powoli kapitan – że nie wszystkich sabotażystów udało się schwytać podczas niedawnej akcji. Jest jeszcze co najmniej jeden i to tu, na statku dowodzenia.

– Nic w tym dziwnego. Sztab zawsze jest logicznym celem ataku – mruknął O’Leary, tłumiąc ziewanie. Stał obok Etty w zbyt luźnej piżamie, bosy i ze smętną miną człowieka, który marzy jedynie o powrocie do łóżka. To, co się stało, najwyraźniej nie było w stanie wytrącić go ze zwykłego marazmu. Jego asystent był równie spokojny, ale wydawał się być bardziej zainteresowany tym, co się stało.

– Czemu nie wysiadły układy sztucznej grawitacji i nie fruwamy jak motylki? – Spytał.

– Bo są zaopatrzone w ogniwa niezależne od sieci statku – odparł inżynier. –

Sztuczna grawitacja działa na innej zasadzie niż reszta sprzętu. To autonomiczny magnetopulsator,. Wytwarza też niezbędną magnetosferę wokół statku i myślę, że będzie działać, gdy my już się podusimy niczym szczury w butelce.

– Może dość tych odzwierzęcych porównań – przerwał zimno jego przemowę kapitan. – Kiedy zawartość tlenu w powietrzu spadnie poniżej dopuszczalnego poziomu?

Ian Callum dokonał szybkich obliczeń w pamięci i odpowiedział:

– Biorąc pod uwagę wszystkie parametry za dwanaście godzin. Wewnętrzne podtrzymanie życia w kapsułach pasażerskich wytrzyma ze dwie godziny dłużej.

– No to przynajmniej wiemy, ile mamy czasu na usunięcie awarii – rzekł kapitan. – Czy możemy jakoś połączyć się z resztą statków?

– Nie, kapitanie – odparł pilot Jimenez. – Nawet ich nie widzimy, bo zabezpieczenia pomocnicze zatrzasnęły grodzie ochronne na wizjerach. Obecnie cała automatyka i układy ręczne są zablokowane.

W jego głosie pobrzmiwała gorycz człowieka, który właśnie został okradziony. Piloci traktowali oprzyrządowanie mostka i kokpitu jak prywatną własność, niemal część własnego ciała i bez nich czuli się bezradni jak ktoś, kto wie, że jest do niczego niezdatny.

– Odblokujcie je więc – kapitan zmarszczył czoło. – O ile mi wiadomo, znacie się na tym.

– Nic nie zdziałamy bez zasilania.

– A zapasowe baterie?

– Są w ładowni. Gródź zatrzaśnięta i nie da się jej odblokować ręcznie. Potrzebujemy w tym celu elektryczności. Błędne koło.

– Kłopot z cywilizacją jest taki, że człowiek zbyt szybko przyzwyczaja się do tego, co ona oferuje i jego kreatywność w końcu diabli biorą – parsknął O’Leary. – Woznansky! Zasilanie którego układu jest konieczne do napraw całej reszty?

– Oczywiście narzędziowni. Wszystkie instrumenty są rozładowane, mikrostop przeszedł w stan jałowy. Mówiłem, że ktoś działał planowo i skutecznie.

– Mam to gdzieś, jak ten szczur działał. Niech pan przyda się na coś i pogrupuje narzędzia w kolejności od najważniejszych do najmniej ważnych.

– Po co? – Inżynier zmierzył wzrokiem niechlujną postać doktora z takim zdumieniem, jakby widział go po raz pierwszy.

– Po jajco. Już pan wie po co? A teraz uwaga wszyscy! Cokolwiek kto ma na baterię, niech przyniesie do sali konferencyjnej. Latarka, golarka, czytnik, palmtop, wszystko jedno co, aby miało źródło zasilania – O’Leary podrapał się pod piżamą i dodał gderliwie. – Cholera, chwili spokoju nie ma na tej łajbie.

W ciągu następnych kilkunastu minut okazało się, że mimo różnych

zastrzeżeń do podstarzałego dziwaka ludzie mu ufali na tyle, by wykonać każde polecenie bez szemrania. Wkrótce w sali konferencyjnej piętrzył się stos przeróżnych drobnych gadżetów codziennego użytku, zebranych ze wszystkich kabin. Po dłuższej chwili zjawił się tam też doktor O'Leary, niosąc ciężkie i toporne z wyglądu urządzenie, którego nikt nie znał.

– Akumulator – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenia. – Coś tak przestarzałego, że gdy jeszcze na Ziemi zażądałem do niego części, patrzono na mnie jak na wariata. Budowałem go w wolnych chwilach, dla odprężenia. Przy odrobinie szczęścia zdołam ściągnąć z tych małych pluskiew dość energii, by uruchomić rezerwę reaktora, a potem samo poleci.

– Czy ktoś już mówił, że jesteś geniuszem? – Spytała Etta, podczas gdy inni gapili się na Irlandczyka w zdumionej ciszy.

– Tak, parę osób – odparł spokojnie doktor, podłączając pierwszą z brzegu latarkę do akumulatora. – Ale nigdy dość powtarzania, gdy chce się dobrze zapamiętać lekcję.

– Czy chce pan uruchomić minireaktor przy pomocy... tego? – Inżynier Woznansky patrzył z niedowierzaniem i odrazą na ciężki sześcian, z którego sterczały zaciski i rogi metalowych płyt. Ten, kto go montował, nie zadbał nawet o wygładzenie krawędzi czy estetyczną obudowę i urządzenie wyglądało jak wyciągnięte ze złomowiska w ostatniej chwili przed przetopieniem.

– Nie tylko chcę, ale to zrobię, jeśli tylko zdołam go naładować. Przecież pan powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że wcale nie muszę uruchamiać całego stosu, wystarczy, gdy uda się uaktywnić pomocniczy obwód samoladujący. Gdy napięcie wzrośnie na tyle, by agregat mógł utrzymać w ruchu chłodzenie, będzie można dokonać rozruchu stosu, i to bez żadnego ryzyka. Radzę jednak najpierw naładować najpotrzebniejsze narzędzia. Rozruch reaktora musi potrwać, bo w fizyce, nawet kwantowej, cudów nie ma, a przez ten czas można by dokonać najważniejszych napraw.

– Niech pan poucza swoją babcię – warknął Woznansky. – Jeśli może pan pomóc, to należy się panu wdzięczność, ale proszę oszczędzić mi tego tonu.

O'Leary uśmiechnął się pobłaźliwie, nie przerywając pracy.

– Ciekawa uwaga. Wie pan, że moja babcia umiała zbudować prosty obwód logiczny przy pomocy sreberka z gumy do żucia, miedzianego drutu, kawałka plastiku i scyzoryka? W wieku dwudziestu pięciu lat miała doktorat z chemii i fizyki ciała stałego. Nie sądzę, by dała się pouczać.

– Dość – przerwał kapitan. – Nie tracić czasu ani sił na sprzeczki. Panie Woznansky, czemu pan nie nadzoruje napraw? Tutaj nie jest pan niezbędny.

– Ehm. Tak jest, kapitanie.

Główny inżynier wyszedł z sali konferencyjnej z obrażoną miną, usiłując opanować targający nim gniew. Nigdy nie lubił MacLeana O'Leary, a teraz niechęć

wzrosła w dwójnasób. Przyznawał jednak, że kapitan Willner ma rację. Jego obecność była dużo bardziej potrzebna w maszynowni, gdzie AT usiłowały doprowadzić do porządku uszkodzoną aparaturę. Musiał dotrzeć do niej na ślepo, gdyż swoją przydziałową latarkę oddał O'Leary'emu i nie miał czym sobie oświetlić drogi. Na szczęście rozkład pomieszczeń na statku nie był skomplikowany i każdy od dawna znał go na pamięć.

Gdy wszedł do maszynowni, oświetlonej jedynie latarkami czołowymi AT, inżynier Gudrun Silberstein podniosła się z klęczek. W dłoni trzymała jakiś maleńki przedmiot, wyglądający jak kruszyna węgla.

– Szefie, niech pan spojrzy – powiedziała. – Przy wszystkich ważnych stykach jest to samo.

Woznansky wziął w palce dziwną drobinę i obejrzał uważnie. Jej wygląd brał się stąd, że była zwęglona, zachowała jednak częściowo pierwotny kształt. Nie mógł się mylić. Było to urządzenie do czasowego odpalania, stosowane w awaryjnych obwodach przerywających. Na pewno nie montowano ich przy życiowo ważnych łączach układu podtrzymania życia ani w przedziale reaktora maszynowni.

– Ktoś się naprawdę napracował – mruknął do siebie.

– Jest coś jeszcze – Silberstein otarła dłonie o kombinezon. – Pobieżna diagnostyka, którą przeprowadziliśmy, okazała się nieścista. Działa awaryjne oczyszczanie powietrza i minimalne zasilanie przedziału pasażerskiego.

– Ciekawe, czemu. Nie było ładunku na tamtych łączach?

– Był. Ale nie odpalił.

– Wie pani dlaczego?

– Jeszcze nie. Przerwanie drogi hipotetycznego impulsu, nim dotarł do tamtych rejonów, mogło nastąpić tylko w jednym miejscu, u wejścia do śluzy łączącej przedział pasażerski z załogowym. Czekałam na pana, by tam pójść.

– Słusznie. Niech Kumar i Schroede kontynuują pracę na miejscu, a my pójdziemy rozejrzeć się w terenie. AT 3, idziesz z nami.

Mały robot natychmiast zostawił to, co robił i przyłączył się do obojga inżynierów. Jego trzecie oko rzucało snop halogenowego światła, oświetlając drogę przez wąskie korytarze.

Sekcję pasażerską od załogowej oddzielała podwójna śluza. Była niezbędna, gdyż w przedziale z uspionymi kolonistami nie było atmosfery zdatnej do oddychania, wypełniała go natomiast mieszanina gazów szlachetnych pod dużym ciśnieniem. Stanowiła rodzaj „poduszki powietrznej”, chroniącej delikatniejsze elementy kapsuły. W nich właśnie, niczym poczwarki w kokonach, spali dorośli i dzieci, pogrążeni w głębokim śnie bez marzeń, zanurzeni w wodzie doprawionej

związkiem chemicznym, którego skład był ścisłą tajemnicą,. Byli całkowicie bezbronni, mieli jednak, można rzec, ochronne tarcze na wszelkie ewentualności. Gazowa mieszanka pełniła rolę izolacji termicznej i jednocześnie dodatkowego amortyzatora wstrząsów. Miała też tę dodatkową zaletę, że nie podtrzymywała procesu spalania i w razie pożaru autonomicznego układu jednej z kapsuł (wypadki się zdarzają, zwłaszcza gdy w grę wchodzi elektryczność) ogień nie przeniósłby się na inne. Konstruktorzy naprawdę pomyśleli o wszystkim.

Przed śluzą znajdowało się małe pomieszczenie z kombinezonami ochronnymi, niezbędnymi w przypadku konieczności podjęcia jakiejś akcji ratunkowej lub dokonania napraw. Właśnie przez ten niewielki składzik wchodziło się do rozdzielni, o której wspomniała inżynier Silberstein. Jedyne personel techniczny wiedział, że tam jest – Viking 01 miał swe tajemnice, a każda z nich była znana tylko tym, dla których ta wiedza była niezbędna.

– Kto tu wchodził jako ostatni? – Spytał Woznansky.

– Trudno stwierdzić. Według mego skanera drzwi były niedawno używane, ale on nie czyta śladów DNA. To urządzenie do diagnostyki maszyn. AT, poświęć.

Mały robot wysunął się posłusznie do przodu, oświetlając wnętrze rozdzielni. Przez chwilę dwoje inżynierów milczało, kontemplując widok, jaki ukazał się ich oczom. Potem Silberstein szepnęła:

– O Boże, szefie. Jak jej o tym powiemy?

Nikt nie spodziewał się tak silnej reakcji nerwowej. Weronika szlochała, krzyczała i załamywała ręce, błagając rozpaczliwie:

– Brent, odezwij się! Spójrz na mnie! Powiedz coś! Nie umieraj, co ja bez ciebie zrobię?! Brent!!!

– Do jasnej cholery, niechże pani przestanie wrzeszczeć! – Huknęła wreszcie doktor Xiao, szukając nerwowo w podręcznej torbie ampułki ze środkiem uspokajającym. – Robienie hałasu nic teraz nie pomoże!

– Breeent!! – Zawodziła dziewczyna, klęcząc nad nieruchomym androidem i w ogóle nie słuchając tego, co do niej mówiono.

– Niech pani przestanie, z łaski swojej, przypasowywać do androidów ludzkie imiona – zniecierpliwiała się lekarka, przytrzymując jej ramię celem zrobienia zastrzyku. – Ten robot nazywa się Rasmus. Brent to imię dla człowieka, nie dla maszyny.

– On nie jest maszyną, ty kiepska znachorko! – Wrzasnęła Weronika. Przez chwilę zdawało się, że uderzy filigranową Chinkę, ale na szczęście zdołała się powstrzymać.

– Fanaberie – prychnęła wzgardliwie Xiao, wrzucając zużytą strzykawkę do odpowiedniej przegródki w torbie. – Wszyscy możemy zginąć, a ta ryczy nad zepsutą zabawką.

– Sama jest pani zepsuta!

– Spokój – zażądał ostro MacLean O’Leary, który zjawił się właśnie w rozdzielni. – Co to za nieobyczajne zachowanie? Zupełnie jak dzieci w przedszkolu, słowo daję.

Odsunął bezceremonialnie roztrzęsioną Weronikę, a przybyła wraz z nim Etta objęła ją, usiłując uciszyć. Jej własne serce waliło teraz jak młotem i z trudem utrzymywała spokój. Tymczasem doktor O’Leary badał leżącego nieruchomo androida pożyczonym od Gudrun Silberstein skanerem technicznym na baterię. Szczęściem przy ładowaniu akumulatora nie zdążył rozładować inżynierskich skanerów. Rasmus-Brent wyglądał teraz jak wyłączona lalka, w której nigdy nie tlił się nawet pozór życia. Jediną oznaką tego, że coś musiało ten stan wywołać, był ślad osmalenia na policzku i drugi taki sam, ale mocniej widoczny, na lewej dłoni. Zaciśnięte palce obejmowały jakiś przedmiot.

– Taaak – rzekł wreszcie O’Leary. – Ciekawa sprawa. Jakimś cudem nasz sztuczny Einstein musiał nakryć kolejnego sabotażystę w momencie, gdy ten majstrował w rozdzielni. Nie skorzystał z okazji, by obezwładnić sukinsyna, a szkoda, za to wyrwał rozdzielnik wmontowany przez niego w obwód. Musiał nie mieć czasu, bo nie szukał narzędzi, a zrobił to gołą dłonią. Cały impuls, który miał uszkodzić sterowanie przedziałem pasażerskim i awaryjną aparaturę uzdatniania powietrza, poszedł na niego.

Weronika krzyknęła boleśnie, jakby ktoś ją zranił.

– Spokój tam – O’Leary zmarszczył czoło z niezadowoleniem. – Ach, te baby. Większość z was ma mniej rozumu niż cybernetyczny żółw. Czy powiedziałem, że tego się nie da naprawić?

– Da się?

– Jak tylko przywrócimy zasilanie. Co prawda przewiduję kilkugodzinną pracę, zwłaszcza, że z mojego zespołu jestem tu tylko ja i Leo, ale postawimy tego chłopaka na nogi.

Weronika otarła zapuchniętą twarz i wzięła głęboki oddech. Podany środek uspokajający zaczynał działać, słowa Irlandczyka były trzeźwiaco rzeczowe, odzyskiwała więc panowanie nad nerwami.

– Mogę wam pomóc – zaproponowała. – Studiowałam cybernetykę i bionikę.

O’Leary pokręcił głową.

– Studiowała pani, ale na Akademii Medycznej, nie na Politechnice. Na pewno wie pani wszystko o implantach i bioprotezach, ale przy naprawie androida pani wiedza będzie na nic. To zupełnie inny ciężar gatunkowy.

Podniósł się ociężale i przeciągnął.

– Woznansky, zaraz skończę ładowanie akumulatora – rzucił. – Wygląda na

to, że będziemy mieli akurat dość energii, by uruchomić obwód samoladujący w konsoli reaktora.

Główny inżynier wyglądał na mocno zaskoczonego, a jednocześnie jakby trochę zawiedzionego. Etta pomyślała, że w jakimś zakątku umysłu Martin Woznansky hodował nadzieję, że O'Leary pokpi sprawę, a wtedy okaże się, że to on miał rację. Potem jednak odsunęła od siebie tę myśl. To byłoby absurdalne, nikt nie życzyłby sobie czegoś takiego, kiedy stawką było życie wszystkich.

– No to chodźmy do tego kawałka śmiecia, który pan nazywa ocaleniem – mruknął inżynier. Wciąż nie bardzo wierzył w możliwość uzdrowienia sytuacji za pomocą czegoś tak archaicznego. Nie potrafił też zrozumieć, po co MacLean O'Leary go zbudował – czyżby przewidywał taką katastrofę?

Etta wiedziała, dlaczego. Nie zapomniała napomknięcia doktora o pędzeniu samogonu. O'Leary chciał mieć niezależne źródło energii, rodzaj baterii, by zasilać aparat destylacyjny, jednak przypadek sprawił, że skonstruowany po cichu akumulator miał posłużyć dużo ważniejszemu celowi.

– Przenieście ostrożnie Rasmusa do warsztatu przy maszynowni – polecił O'Leary. – Niech go nikt więcej nie rusza. Zajmę się nim od razu, jak tylko będzie można podładować narzędzia.

Godzinę później główny inżynier i doktor O'Leary stali przy konsoli reaktora, obserwując z niepokojem mrugające wskaźniki. Gdy zaświeciło wreszcie zielone światełko, oznaczające gotowość do pracy ogniwa samoladowania, obaj odetchnęli z ulgą.

– Jak długo to potrwa? – Spytał O'Leary.

– Trochę musi – odparł Woznansky. – Mogą być wahania, bo nie przeprowadzaliśmy dokładnej kalibracji, ale czas nie powinien przekroczyć pięciu godzin. Potem nastąpi rozruch stosu i pół godziny później powinniśmy mieć prąd. AT akurat skończą lutować uszkodzone łącza. Nie do wiary, jak te małe szkraby szybko pracują.

– Komandor Kaori należy się awans. Gdyby nie jej sugestia, nie aktywowalibyśmy ich do dziś i diabli wiedzą, jak to wszystko by się skończyło.

– Niech pan jeszcze powie, że to dzięki atakowi hysterii Warrensa wszyscy żyjemy.

– Cóż, w pewnym sensie tak jest – odpowiedział poważnie O'Leary. – Nie wykluczam, że do tej pory i tak aktywowalibyśmy zespoły AT, ale kto wie? Jak sam pan widzi, nawet ludzkie słabości mogą się czasem przydać. Tak jak moja słabość do majsterkowania.

Woznansky zmarszczył nos, gdy jego wzrok ponownie padł na akumulator – byle jak złożony i pospawany, ale działający bez zarzutu.

– Radosna twórczość – mruknął. – Jednak spisała się. Nadal nie wiem, po

jakiego diabła męczył się pan z kawałkami złomu, zamiast wziąć którąś z zapasowych baterii, skoro pan potrzebował.

– Powiedziałem: lubię majsterkowanie. – O’Leary nie zamierzał tłumaczyć się z tego, że potrzebował źródła prądu do czegoś, co nigdy nie uzyskałoby akceptacji kapitana i podporucznik Chorvat, odpowiedzialnej za zaopatrzenie. Oczywiście mógłby się do niczego nie przyznać, ale przy wszystkich swoich wadach był człowiekiem uczciwym i prawdomównym. Wolał poradzić sobie w inny sposób.

– Dobra. No to pilnuj pan interesu, idę pospać – rzekł wreszcie. – Na dziś skończyłem, a za naprawę Rasmusa i tak będę mógł wziąć się dopiero wtedy, gdy będzie pełne zasilanie.

– Naprawi go pan?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Na pewno trzeba będzie wymienić chemozół, a czy banki pamięci zostały uszkodzone i tak dowiemy się dopiero później. Być może stanie się kimś zupełnie innym niż dotąd. Oczywiście nie mogłem o tym powiedzieć tej Hornet, jest z nim bardzo związana.

– Nie wiem, jak można zastąpić człowieka robotem w „tych sprawach” – mruknął Woznansky.

– Nie bądź pan wulgarny. Poza tym w przypadku Hornet android to tylko przyjaciel. Ta ślicznotka romansuje sobie z ludźmi, i to bez żadnych problemów. Była związana z Nakamarą, a teraz ma kochankę tu, wśród załogi.

– Kogo?

– Nie pana sprawa. Ani nie moja. Dobra, idę spać.

O’Leary ziewnął rozziewając i powłókł się do kwatery. Posuwał się korytarzem na oślep, póki nie spotkał jednego z żołnierzy ochrony, uzbrojonego w służbową latarkę. Ten odprowadził go dna miejsce, gdzie doktor od razu, jak stał zwałił się na kolę, nawet nie zdejmując butów.

– Wszystko w porządku? – Spytał Leonard Derkacz z górnego łóżka.

– W najzupełniejszym – zamruczał O’Leary. – Śpij, teraz poradzają sobie bez nas.

Tymczasem po całym statku rozeszła się wieść, że zasilanie zostanie wkrótce przywrócone, a jego brak póki co nie zagraża nikomu. Ludzie przyjęli tę wiadomość z ulgą i rozeszli się do kwater. Byli zdecydowani przespać resztę nie planowanego „zaciemnienia”, szczególnie że w łóżkach czekała pościel termoizolacyjna, a temperatura na statku spadła już w odczuwalny sposób. Tym, którzy byli zbyt zdenerwowani, by spać, doktor Xiao rozdała pastylki uspokajające i niedługo cały statek ucichł. Na nogach został tylko dyżurny personel w maszynowni, jeden z pilotów w kokpicie i patrol ochrony.

Rozruch reaktora rozpoczął się w przewidzianym czasie. Inżynierowie, obserwujący wykres funkcji na ekranie kontrolnym, odetchnęli z ulgą, bo wszystko przebiegało z podręcznikową sprawnością i można było założyć, że sam reaktor nie ucierpiał. Sprawdzony skrupulatnie przez AT układ chłodzenia też działał bez zarzutu, można było więc pójść i przespać się trochę.

– Idź ty, Gudrun – powiedział inżynier Woznansky. – Jeszcze tu zostanę, potem obudzę Kumara i spróbuję złapać trochę snu przed pobudką. Ta noc wszystkim dała w kość.

– Trudno zaprzeczyć – ziewnęła Silberstein, z ulgą zdejmując przepocone rękawice i maskę ochronną. – No to dobranoc, szefie.

– Kolorowych snów. Włóż coś cieplejszego, zanim się położysz, ogrzewanie nie włączy się jeszcze przez kilka godzin. Są ważniejsze systemy.

– Wiem. Obliczyłam, że mimo warstw izolacyjnych powłoki temperatura spadnie do około 10 Celsjusza, nim generatory uruchomią klimatyzację. Przeżyjemy to.

Woznansky został sam. Właściwie teraz proces rozruchu nie wymagał niczyjej obecności, ale główny inżynier zawsze wolał osobiście dopatrywać każdego drobiazgu. AT nie były, według jego opinii, do końca godne zaufania. Nie całkiem miał w tym rację, ale nikt nie protestował, gdy wyznaczał dyżury w maszynowni tak, by zawsze był w niej obecny przynajmniej jeden człowiek.

Teraz usiadł i wsparł podbródek na obudowie konsoli, nie odrywając oczu od monitora. Uspokajająco pulsował na nim zielony ognek – wskaźnik poboru mocy przez reaktor i migwały kolejne szeregi cyfr, które rozumieli tylko wtajemniczeni. Niedługo reaktor zacznie produkować energię, na całym statku zabłyśnie światło, a silniki ruszą. Będzie można nawiązać łączność z resztą statków, dokończyć naprawy i ruszyć w dalszą drogę. Wszystko wróci do normy. Na razie.

Zegar pokładowy wydzwonił cichutko godzinę czwartą. Drzwi warsztatu lekko drgnęły, a potem uchyliły się bezszelestnie. Ktoś wszedł do środka, świecąc latarką. Snop światła omiótł pomieszczenie, a potem zatrzymał się na stole, gdzie widniał nieruchomy kształt. Ktoś podszedł do leżącego na stole androida, odłożył latarkę i wyciągnął zza paska jakiś niewielki przedmiot. Zbliżył go do głowy Rasmusa. W tej samej chwili ktoś silnie chwycił go za prawy nadgarstek, a w warsztacie zabłysło awaryjne światło. Zaskoczony przybysz spróbował wyrwać rękę z kleszczowego uścisku, ale nie dał rady, za to drugi chwyt unieruchomił również lewą dłoń. Spojrzał na napastnika i ku swemu zdumieniu ujrzał Rainę. Twarz androidki jak zwykle nie wyrażała nic poza łagodnym spokojem, ale jej ręce ścisnęły dłonie człowieka niczym stalowe cęgi.

– No proszę, Imre Kovacs – zabrzmiał głos kapitana Willnera. – Wiedziałem, że ktoś tu przyjdzie, ale nie przypuszczałem, że będzie to akurat pan.

Podpułkownik Kovacs obejrzał się. Kapitan stał za nim, mierząc wprost w pierś ze służbowej broni.

– Ja... – zaczął i urwał.

– Tak, właśnie pan – przytaknął kapitan. – To przykre.

Sięgnął po przenośny nadajnik i włączył go.

– Tu kapitan. Ochrona do maszynowni – zażądał.

Po chwili rozległ się tupot nóg i do warsztatu wpadło dwóch żołnierzy. Zatrzymali się w progu, zdezorientowani.

– Proszę aresztować pana Kovacsa – rozkazał spokojnie kapitan. – Od teraz nie jest szefem ochrony, odbieram mu stopień i wszelkie przywileje. Ma być pod stałą strażą do czasu, aż podejmę decyzję co do jego losu. Raina, puść go, ale przedtem odbierz to, co trzyma.

Raina bez trudu rozgięła zaciśnięte palce Kovacsa i mimo oporu wyjęła mały skalpel laserowy zasilany mikroskopijną baterią uranową – niewielkie, ale bardzo precyzyjne narzędzie tnące. Miało dość mocy, by rozciąć czaszkę androida i zniszczyć bezcenny mózg razem z niebezpieczną pamięcią.

– Tak pan zamierza rządzić? Szczując maszyny na ludzi? – Spytał Kovacs gorzko.

– Nie ma pan teraz prawa do krytykowania kogokolwiek. W pana sprawie wypowie się sąd koleżeński. Zabrać go.

– Pożałujesz tego, Willner! – Krzyknął Kovacs wściekle. Kapitan wzruszył jedynie ramionami.

– Nie wiem, jak ja, ale pan na pewno – odpowiedział. Wyszedł z warsztatu do głównego pomieszczenia maszynowni, gdzie jeden z pielęgniarzy cucił właśnie inżyniera Woznansky'ego.

– Co z nim?

– Dostał po głowie, ma sporego guza – odparł pielęgniarz. – Trzeba przeprowadzić szczegółowe badania, na oko jednak to nic poważnego.

Stojąca obok niego inżynier Silberstein sprawdzała wskazania na konsoli reaktora.

– Na szczęście nic tu nie zmajstrował – rzekła wreszcie z widoczną ulgą. – Chodziło mu tylko o androida, przynajmniej na razie. Kapitanie, skąd pan wiedział, że Kovacs przyjdzie do warsztatu?

– Nie wiedziałem, że on – Kirk Willner schował wreszcie broń i poklepał towarzyszącą androidkę po ramieniu. – Dobra robota, Raina. Prawdę mówiąc, Kovacs byłby ostatnim logicznym podejrzanym na mojej liście. Nie wiedziałem, kto narobił nam kłopotów, dlatego się zaczałem. Rasmus mógł go widzieć, mógł

zdemaskować i na tym oparłem swoje rachuby.

Martin Woznansky jęknął przeciągle. Przytomność wracała do niego opornie i było widać, że ból głowy musi być koszmarny. Pielęgniarka sięgnęła po inhalator ze środkiem przeciwbólowym.

– Dwa głębokie wdechy, inżynierze – nakazał. – Zaraz poczuje się pan lepiej.

– Gorzej i tak nie mogę.

Woznansky zaciągnął się chciwie medykamentem w sprayu i po chwili doszedł do siebie na tyle, by zaniepokoić się stanem reaktora. Sprawdzał wszystkie parametry i dopiero potem wziął następną dawkę leku.

– Wszystko idzie dobrze – powiedział. – Za godzinę będziemy mieć światło, a ogrzewanie za dwie i pół.

– To dobrze – Willner skinął głową z zadowoleniem. – Rzeczywiście, rzeško się tu zrobiło. Dobra, zostawiam pana w tym pańskim królestwie i wracam do kwatery. Chodź, moja śliczna, prześpimy się troszeczkę. To była długa noc.

Następnego dnia okazało się, że właściwie wszyscy zaspali. Stało się tak, gdyż pokładowy zegar, wyznaczający rytm dobowy załogi, rozregulował się skutkiem awarii i odgwizdał pobudkę dopiero koło pory obiadowej, gdy załoga i tak była od dawna na nogach. Temperatura i wilgotność powietrza doszły niemal do normy, ale mimo to prawie wszyscy narzekali na ból głowy i zdenerwowanie. Po raz pierwszy od startu z Ziemi, Stig Larson zaserwował posiłek z opóźnieniem, w dodatku na zimno. Jak wyjaśnił, automat kuchenny „zepsuł się ździebelko” i na razie nie ma możliwości przyrządzenia gorącego obiadu. Larson nie przejmował się tym zbytnio. Dla niego ważniejsze było to, że mimo tych wszystkich perturbacji nie ucierpiały hydroponiczne hodowle grzybów, alg i porostów, którymi wzbogacał zabrane z Ziemi koncentraty spożywcze.

Szczęśliwie nie uległy też uszkodzeniu kolektory zewnętrzne. Podczas awarii oczywiście nie pracowały, ale natychmiast po przywróceniu zasilania rozpoczęły normalną działalność.

– Wiesz, trochę to dziwne – zwierzyła się Etta Leonardowi Derkaczowi. – Kosmos to głównie próżnia, a tu tyle wodoru się nabiera.

– Pojedyncze atomy – poprawił Derkacz. – Około setki na centymetr sześcienny próżni. Gdzieniedzie latają nawet całe molekuly. Jest ich więcej niż kiedyś myślano. Głównie pochodzą z komet i lodowych meteorów. Co prawda kiedyś uważano też, że takie selektory atomowe nie są możliwe do zbudowania.

– Jak właściwie działają?

– Jakby to wytłumaczyć, żebyś zrozumiała... Dam ci przykład: wyobraź sobie komorę bez grawitacji, w której unosi się rozproszona garstka żelaznych opiłków, wymieszanych z aluminium, miedzianymi, tytanowymi. Są tak małe i

jest ich tak niewiele, że nie widać ich gołym okiem. Uruchamiasz elektromagnes i wszystkie żelazne drobiny do niego przywierają. Tylko one. Na podobnej zasadzie działają selektory, choć oczywiście nie ma w nich magnesów. Jest natomiast urządzenie, wytwarzające „lustrzany spin elektronowy”, który działa analogicznie. A synteza z tlenem przebiega na bieżąco. Potem otrzymana para wodna jest skraplana i voila!

– Dla mnie to za mądre – westchnęła Etta. Siedziała obok Derkacza w sali konferencyjnej, czekając na kapitana i resztę wezwanych na naradę członków załogi. Odprawa została zwołana dosłownie z chwili na chwilę, co było zresztą usprawiedliwione nietypową sytuacją.

W sali zjawili się jeszcze inżynier Woznansky, doktor Xiao, Weronika Hornet, Camus de Bernal, a na końcu kapitan Willner.

– Gdzie doktor O’Leary? – Spytał, rzuciwszy okiem na zebranych.

– Przygotowuje wszystko do naprawy Rasmusa – pospieszyła z odpowiedzią Weronika.

– Dobra – kapitan machnął ręką i usiadł za stołem. – Zatem, żeby się nie rozdrabniać: panie de Bernal, raport.

Szef pilotów odkasznął lekko.

– Łączność przywrócona. Reszta statków, zauważywszy że stanęliśmy w miejscu, zawróciła i otoczyła nas, czekając na rozwój sytuacji – zaczął. – Dowódcy statków odbyli naradę na wideołączu i powzięli decyzję. W przypadku braku oznak aktywności przez sześć godzin mieli zamiar zastosować awaryjną metodę ratunku. Na szczęście do tego nie doszło, bo to niszczycielska procedura. Dalej: restart silników i konsoli sterowania odbył się bez zakłóceń. Obecnie pracujemy nad uzyskaniem poprzedniego przyspieszenia. To chyba wszystko.

– Doktor Xiao?

– Nikt nie ucierpiał, jeśli nie liczyć zdenerwowania. Wskutek skoków temperatury mogą wystąpić oznaki lekkiej infekcji gardła, ale mamy na to leki. Dział biologiczny nie odniósł poważnych szkód. Uprawy przetrwały, choć niektóre kultury mogą na jakiś czas przestać rosnąć.

– Panie Derkacz?

– Cała aparatura działa. Szkody naprawiono. To wszystko.

– Panno Hornet?

– Nastrój wśród załogi dość dobry, tylko... – Weronika zawahała się lekko. – Kto teraz będzie szefem ochrony, gdy Kovacs siedzi?

– Pomyślałem o tym – kapitan nacisnął guzik przywołania. Drzwi sali rozsunęły się i na progu stanął wysoki, zwalisty mężczyzna w mundurze z dystynkcjami majora. Miał dobroduszną twarz i jasne, bardzo wesołe oczy, z których przebijał szczery charakter. Nie było to wrażenie mylące – major La Ver

znany był z uczciwości i otwartości, a ponadto całkowitego oddania służbie.

– Panie La Ver, mianuję pana szefem ochrony statku dowodzenia – zwrócił się do niego kapitan. – Zajmie pan dotychczasową kwaterę podpułkownika Kovacsa, który został zdjęty z pełnionej funkcji za zdradę. Podpułkownik Borden, obecny zwierzchnik żołnierzy, zatwierdził pana nominację

– O matko... to znaczy, tak jest, kapitanie! – LaVer zasalutował, ale jego okrągła twarz nadal wyrażała zdumienie. Etta zauważyła kątem oka błysk niekłamanego zadowolenia w oczach przyjaciółki i z trudem powściągnęła uśmiech. Już dawno podejrzewała, że Weronika i ten wyglądający jak niedźwiedź żołnierz „mają się ku sobie”, ale o nic nie pytała. Zawsze była bardzo dyskretna i nawet gdy nie pochwałała przygód Weroniki, nic o tym nie mówiła. Jednak tym razem aprobowała z głębi serca jej wybór. Sherman LaVer, specjalista od uzbrojenia i taktyki bojowej był może najlepszym kandydatem z całej załogi. Mimo rozmiarów ciała i groźnej profesji był łagodny i promieniał wewnętrznym ciepłem – co zresztą nie zmieniało faktu, że jak mało kto umiał utrzymać dyscyplinę wśród podległych żołnierzy. Jego nominacja była dobrym posunięciem.

Prosto z narady Weronika pobiegła do maszynowni. Etta poszła za nią, choć nieco wolniej. Ją również żywo interesował stan Rasmusa, ale w odróżnieniu od przyjaciółki miała pewne pojęcie o budowie i funkcjonowaniu androidów, a co za tym idzie – mniejszą nadzieję na przywrócenie Towarzysza Weroniki do poprzedniego stanu. Szok elektryczny, który wywołał taki efekt, mógł uszkodzić banki pamięci, a prawie na pewno nowe synapsy nie będą funkcjonowały tak jak te, które zostały zniszczone. Rasmus mógł się stać kimś zupełnie innym niż dotąd.

– Brent – poprawiła się w myślach – Weronika chce, żeby to był Brent.

Po drodze wyminał ją Leonard Derkacz.

– Nie idźcie tam – powiedział stanowczo. – MacLean nie cierpi, gdy laicy patrzą mu na ręce. Jak tylko skończymy, zawiadomi was.

Weronika zatrzymała się. Jej twarz wyrażała teraz konsternację i złość, jak u siostry, której nie pozwalają na towarzyszenie ukochanemu bratu w trudnych chwilach.

– Chciałam poczekać przed maszynownią.

– A po co? To i tak potrwa kilka godzin. Nie lepiej zająć się czymś pożytecznym? – Derkacz przystanął i ściągnął krzaczaste brwi. – Dziewczynki, maszynownia to nie wasze miejsce. Idźcie gdzie indziej, mówię poważnie.

Wszedł do warsztatu i starannie zamknął drzwi.

– Dziewczynki – burknęła z niezadowoleniem Weronika. – Też coś. Stary piernik.

– Nie jest chyba tak bardzo stary – Etta spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem, a potem popatrzyła za odchodzącym cybernetykiem.

– Jak nie jest? Ma z sześćdziesiąt lat. Wiem że nie bardzo wygląda na taki wiek, ale widziałam akta i wiem, kiedy kończył studia.

Nauczycielka ujęła ją stanowczo za ramię i pociągnęła za sobą.

– Chodź do mojej kwatery. Pogramy z Raulem w karty i odprężymy się trochę. Tutaj i tak nie możemy pomóc, a inżynier Kumar już krzywo na nas patrzy.

To, że personel maszynowni nie lubił intruzów w swojej sekcji było powszechnie wiadome. Miało też podstawy – tylko odpowiednio wyszkoleni ludzie znali się na delikatnym wyposażeniu maszynowni, od którego zależało wszystko na statku. Kochali to miejsce, utrzymywali je w stanie nieskazitelnej czystości, aż miło spojrzeć. Żeby tylko nie było tu tak strasznie gorąco.

Nagle, z zupełnie niezrozumiałego powodu, Etta zamiast maszynowni zobaczyła co innego – pustkowia, wypalone ruiny, deformowane ludzkie szkielety zbite w stado jak drapieżniki. Zbliżały się, okryte jakimiś strzępami, spotworniałe, poszukujące czegokolwiek, co dałoby się zjeść. Obrazy znane z rycin, Europa po Pierwszej Katastrofie, którą ludzie sami wywołali... nie, nie ludzie, oszalałe z chciwości i pychy rządy, pragnące zagarnąć jeszcze więcej pod panowanie. Atak, potem odpowiedź na atak, a potem nie było już komu rządzić ani czym rządzić. I piękny niegdyś Stary Świat wyglądał jak księżycowe pustkowia, w którym nawet powietrze było śmiertelnym zagrożeniem. Wszystko skażone, kto nie zdążył uciec, ten umierał. Wśród uciekinierów też wielu zmarło, głównie na chorobę popromienną. Ale co ona tu teraz robiła?

– Etta, co ci jest? – Głos Weroniki dotarł jak z wielkiej odległości. Szkolenie, pamiętaj o szkoleniu. Nie pozwalaj, by mózg dał się omamić zmysłom. Nie wszystko, co widać i słyszać, jest realne. Ale ta wypalona ziemia, osmalone ruiny, zniekształcone, niezdarnie poruszające się sylwetki i to upiorne niebo, zwieszające się nisko, czerwone jak krew ten wszechobecny pył, co wiruje, wiruje, wiruje...

– Zabierz mnie stąd, szybko – wyszeptała, nim wreszcie zemdląca, osuwając się na podłogę i krzyku przyjaciółki już nie usłyszała.

X.

Etta była pierwszą ofiarą dziwnej epidemii. Po niej zachorowali jeszcze technicy z maszynowni, dwóch żołnierzy, biolog Callum, doktor O’Leary i dwóch spośród trzech pilotów. Objawy były zawsze takie same: gorączka, halucynacje i

wreszcie utrata przytomności. Początkowo podejrzewano kolejny sabotaż, potem zakażenie wirusowe lub bakteryjne. Jednak żadne testy nie wykazały obecności mikroobów. Dopiero po dłuższym poszukiwaniu czynnika chorobotwórczego doktor Xiao wyizolowała mikroorganizm, który „dogodził” załodze. Był to grzyb, rzadki gatunek sztucznie uzyskiwanego pędzłaka, który niejako zabrał się z astronautami na gapę.

– Jak to możliwe? – Zmartwił się kapitan. – I co teraz? Nie możemy zastosować fungicydu, bo to zniszczyłoby hodowle, a dalsze wdychanie tego paskudztwa.

– Nie pozbedziemy się go i trzeba pogodzić się z tą myślą – zauważyła sucho pani doktor. – Trzeba będzie obniżyć wilgotność powietrza, to utrzyma go w ryzach. Sporządzę szczepionkę uodparniającą, która uchroni resztę załogi i kolonistów po wybudzeniu.

– Czemu jedni zachorowali, a drudzy nie?

– Cóż, grzyb wywołał reakcję obronną u tych, którzy kiedyś chorowali na infekcje dróg oddechowych. Panna Solis uległa jako pierwsza, bo stosunkowo niedawno leczono ją na wirusowe zapalenie gardła. To ten sam mechanizm, który w średniowieczu powodował, że na dżumę podczas epidemii w pierwszej kolejności umierali ci, co przedtem przeszli zapalenie płuc. Dobrze chociaż, że ta odmiana pędzłaka jest mało złośliwa. Wie pan, została uzyskana sztucznie. Robią z niej leki psychotropowe. W stanie czystym wywołuje urojenia niczym tak zwane „psie grzybki”. Zakażenie powoduje wysoką gorączkę, dezorientację i problemy z oddychaniem, ale na szczęście łatwo to będzie wyleczyć. Odizolowałam chorych na wszelki wypadek. Zajął się nimi Raul i przyznaję, pielęgniarka jest z niego idealna. Nawet odkazić go łatwiej niż człowieka, bo promieniowanie UV mu nie szkodzi.

Doktor Xiao ziewnęła mimo woli. Nie spała od trzech dni i nocy. Jej zbyt długo podtrzymywany stymulantami organizm gwałtownie domagał się wypoczynku. Kapitan Willner uśmiechnął się.

– Myślałem, że nie lubi pani androidów – rzucił przekornie. Lekarka wzruszyła ramionami.

– Czemu miałabym je lubić lub nie? Czy lubię zacisk chirurgiczny albo aparat do mierzenia ciśnienia? Są pożyteczne. Akceptuję je i tyle. Z androidami rzecz ma się tak samo. Nie należy traktować ich jak ludzi, a i one same powinny znać swoje miejsce, wtedy wszystko będzie jak trzeba. A prawda, wie pan co z tym Rasmusem? Akurat teraz bardzo by się przydał.

– O’Leary twierdzi, że renowacja przebiegła pomyślnie. O resztę niech pani spyta Weroniki Hornet.

– O, to może lepiej nie. Raczej nie żywi do mnie przyjaznych uczuć.

– Niech pani przy niej nie obraża androidów, to będzie się zachowywać uprzejmie.

Xiao skinęła głową ze znużeniem. Wąskie oczy lekarki były głęboko podkrążone, elfia twarz poszarzała i zapadnięta. Można jej było nie lubić, miała sarkastyczny charakter i skostniałe poglądy na życie, ale gdy pracowała, to oddawała tej czynności całą siebie. Jak się okazało, nie dbała przy tym zupełnie o własne zdrowie.

– Natychmiast proszę iść spać – rzekł surowo kapitan Willner. – Pani zespół da sobie radę ze wszystkim, a w ostateczności zawsze będzie można panią obudzić. Bez dyskusji, rekrucie Xiao, odmaszerować!

Mimo krańcowego wyczerpania lekarka zdobyła się na uśmiech.

– Jeszcze chwila, kapitanie, zanim wykonam rozkaz – powiedziała. – Muszę pana o czymś poinformować. To nie może czekać.

– Co to takiego?

– Kiedy ludzie zaczęli chorować, zbadałam wszystkim krew, także więźniowi. I odkryłam coś zastanawiającego. Grupa krwi nie zgadzała się z zapisami w aktach. Wie pan, oznaczenie grupy krwi zawsze pojawia się w wydruku jako pierwsze. Dla pewności sprawdziłam dwa razy, ale nie popełniłam omyłki. Włożyłam próbkę do sekwensera DNA. Ktoś pana powiadomi, gdy tylko otrzymamy wynik.

Kirk Willner gwizdnął przez zęby.

– Takie buty – mruknął. – Nie ukrywam, że byłoby to dla mnie dużą ulgą. Znam Imre Kovacsza od dziecka i jego zdrada leżała mi kamieniem na sercu. Jeśli udowodnimy, że ten więzień to oszust... Dobra, już pani powiedziała co trzeba, a teraz, doktoro, zmiatamy grzecznie do kwatery i kładziemy się pod kocyk, albo niedobry pan kapitan da klapsa w pupę. Jasne?

– Aye, sir! – Xiao zaszalowała żartobliwie i poszła do kabiny, zostawiając Willnera samego zniewesołymi myślami.

W tym samym czasie Etta leżała na pościeli w prowizorycznym szpitalu, wsparta wygodnie na poduszkach i popijała małymi łykami koktajl, zalecony przez lekarza. Zawierał składniki odżywcze, preparaty wzmacniające, jakieś leki i kompleks witaminowy. Na razie musiał wystarczyć, nie mogła jeść nic stałego, ale i tak była zbyt osłabiona, by czuć głód.

– Mogłam umrzeć – powiedziała do Raula pomiędzy dwoma łykami. Głos miała zdumiony, tak jakby dopiero teraz dotarła do niej świadomość kruchości i przemijalności własnego ciała.

– Raczej nie – rzekł łagodnie Raul. – Twoje ciało zwalczyłoby infekcję nawet bez leków. Jesteś silniejsza, niż ci się zdaje.

Pewnie było tak, jak mówił. Androidy nie kłamały, chyba że dostały wyraźne polecenie.

– Nim zemdlałam, widziałam krajobraz po wybuchu nuklearnym – Etta wstrząsnęła się. – To był wideoplastyczny projekt, praca semestralna moja i Jima Mildreda. Czemu zobaczyłam akurat te potworności?

– Bo dobrze je pamiętasz z lekcji i pokazów. Bo ciągle myślisz o wydarzeniach, które poprzedzały naszą epokę – odezwał się doktor O’Leary ze swego posłania. – Mało kto ma taką świadomość tego wszystkiego jak ty. Czy wiesz, do czego używa się prac zaliczeniowych studentów historii?

– To ich się do czegoś używa?

– Ależ tak. Pokazuje się je wszystkim buntownikom przeciw obowiązującemu porządkowi. Uświadamia się tym ludziom, do czego doprowadziła niemal nieskrępowana wolność jednostki, szczególnie tej bogatszej. Ktoś, kogo karmi się przez kilka dni obrazami z tego, co działo się zaraz po Wojnie–Przez–Pomyłkę, w Epoce Selekcji Naturalnej i stopniowo przez lata chaosu i terroru, wychodzi z ośrodka terapii wdzięczny za to, że ma co jeść i czym oddychać.

O’Leary podłożył długie ręce pod głowę. Zauważył już wcześnie, że gdy Etta wygłasza historyczne wykłady, pomija lub łagodzi to, co w przeszłych czasach było najstraszniejsze. Znał historię, i to bardzo dobrze, i nieraz miał ochotę dodać to, co młoda kobieta pomijała z litości nad słuchaczami

– Czy to prawda, że półkula zachodnia nie została zniszczona przez tamtą wojnę, bo żyli na niej mądrzejsi ludzie? – Spytał nagle Raul. Wszyscy spojrzeli na niego, zaskoczeni tym, co zainteresowało sztucznego człowieka. Doktor roześmiał się ironicznie.

– Skąd. Po pierwsze, w grę wchodził zwykły łut szczęścia, a po drugie wstrząs wywołany tym, co się działo na wschodniej, po prostu otrzeźwił ludzi z wojennych zapałów. Poza tym nie można mówić, by nasza półkula nie ucierpiała. Skażenie radioaktywne, masowe wymieranie zwierząt i roślin, to wszystko było znane i u nas. Niby skąd wziął się późniejszy chaos?

Mówił prawdę. Brak żywności, czystej wody, leków. Zalew uchodźców, którymi trzeba było się zaopiekować. Większość umierała, niektórzy jednak przeżywali, zwłaszcza ci, którzy zdążyli uciec przed falą skażenia. Przeważnie osiedlali się na terenach, jak wówczas mówiono, łacińskich. Przyjmowano ich czasem życzliwie, a czasem wrogo. Wszystkich czekały jeszcze ciężkie czasy, całe dziesięciolecie walki o byt, wyrzeczeń i wojskowego terroru. Patrząc na to z perspektywy swojego świata Etta czuła się niemal winna. Ludziom jej pokolenia już właściwie niczego nie brakowało. Co prawda dysponowała przydziałem punktowym jak wszyscy inni, ale sama decydowała, co chce kupić w zamian za te

punkty. Rodzice pamiętali jeszcze przydziały na kartki. Każdy otrzymywał co miesiąc bloczek cienkiego plastiku, na którym wypisano: tyle a tyle koncentratu proteinowego, skrobi spożywczej, błonnika, sacharozy, oczyszczonej wody. Ani grama więcej. Wszystko się poprawiło, odkąd zaczęto eksploatować złoża księżycowe po ciemnej stronie. Coś tam znaleziono – Etta nie wiedziała dokładnie co, ale zaraz potem wzrosła produkcja żywności na Ziemi, więc pewnie był to jakiś związek chemiczny, działający jak nawóz. Księżyc w ogóle okazał się skarbnicą użytecznych kopalin.

– Mac, powiedz mi coś – odezwała się dziewczyna, odstawiając pusty kubek.
– Jak to się stało, że odkryto współczesny napęd? Bez niego przecież ten lot byłby nie do pomyślenia, ani stacje naukowe na innych planetach, ani nawet górnictwo księżycowe. Czemu to superpaliwo umknęło uwadze naszych przodków?

O’Leary poprawił się na posłaniu.

– Dlatego, mój kwiatku, że diabeł tkwi w szczegółach. Nie paliwo było ważne, a silnik. Reaktor działający na zasadzie „fabryki absolutu”.

– Co to takiego?

– Książka Karela Čapka, tego od „R.U.R.” Napisał kilka bardzo ciekawych pozycji, między innymi powieść o motorze, pozwalającym na pełne wykorzystanie energii spalania. Wtedy była to fantastyka, ale znacznie później, w czasach dużego głodu paliwowego, znaleźli się inżynierowie, którzy tak długo i tak cierpliwie kombinowali, aż wreszcie zbudowali działający prototyp. Oczywiście nie działał z przepowiedzianą przez Čapka stuprocentową wydajnością, ale osiągał i tak 96%, to bardzo dużo.

– Zbudowali go i co?

– I wybuchł. Podobno wyrwał w ziemi taki krater, że proszę siadać, a był w nim tylko kawałek węgla kamiennego wielkości włoskiego orzecha. Jeden z konstruktorów zginął na miejscu, drugi walczył o życie w szpitalu przez dwa następne miesiące. Udowodnili jednak, że to, co wydawało się niemożliwe, jest możliwe. No i kiedy przyszedł na to czas, dopracowano zabezpieczenia i niejako całkiem ubocznie wyprodukowano pierwsze współczesne ogniwo samoladujące.

– Moje serce – rzekł bardzo cicho Raul, kładąc rękę na torsie. O’Leary zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

– Ty, taka wiedza jest dla was zakazana – przypomniał. – Android może mieć dostęp do każdego rodzaju wiedzy z wyjątkiem andropologicznej. To po to, żebyście nie budowali własnych replik.

– Tak, wiem.

To przypomniało Etcie o czymś ważnym.

– Raul, co z Brentem? Rozmawiałaś z Weroniką?

– Rasmus dochodzi do siebie – odparł Raul. – Początkowo miał trudności z

formułowaniu zdań, a nawet pojedynczych słów, ale to minęło. Ma też pewne luki w pamięci i problem z motoryką narządu mowy. Jednak poza tym nie ucierpiał, a pan Derkacz mówi, że i tamto naprawi.

– Weronika pewnie szaleje ze szczęścia. Nie wyobrażam sobie, co by to było, gdyby go straciła.

– Signum temporis – westchnął O’Leary. Podrapał się leniwie pod piżamą i usiadł.

– Czemu tak pan mówi? – Spytał jeden leżących niedaleko pacjentów, technik ogólny. Irlandczyk posłał mu krótkie spojrzenie.

– Dlatego, panie Chiavez, że tak jest – odparł. – Ludzie pewnego sortu, mam na myśli introwertycznych zerowców, są skazani na towarzystwo androidów i obdarzają ich takimi uczuciami, jak inni najbliższe rodziny. Tak to już jest, że człowiek musi mieć coś do kochania. W przypadku panny Hornet to o tyle dziwne, że nie narzeka chyba na brak towarzystwa, szczególnie męskiego. Widać przyjaciel jest trudniejszy do zdobycia niż kochanek.

– Sam pan chyba wie, jak to jest być zerowcem – mruknął Chiavez.

– Nie, nie wiem.

– Jak to? – Technik i inni pacjenci spojrzeli na niego ze zdumieniem, Etta tylko z zaciekawieniem. Już dawniej domyślała się, że doktor mógł mieć inną kategorię, był przecież kiedyś żonaty, ale wśród reszty załogi utarło się przekonanie, że doktor jest zerowcem i stąd bierze się jego cierpki charakter..

– Jestem „trójką” – uświadomił ich krótko O’Leary.

– Tak?! To co pan tu robi? Jak to możliwe? Czemu nie ma pan normalnej rodziny? – Posypały się gorączkowe pytania. Nawet wciąż bardzo chora kapral Svensen uniosła się na łokciu, by lepiej słyszeć. O ,Leary prychnął z rozbawieniem i politowaniem.

– Dlatego, że ktoś powinien zachować zdrowy rozsądek – powiedział, wstając. – To że mogę się rozmnażać, nie znaczy, że zaraz muszę. Nie jestem królikiem hodowlanym. A teraz wybaczcie, miło się gawędzi, ale muszę teraz udać się w miejsce jak najbardziej ustronne.

Wygłosivszy to niezbyt zrozumiałe zdanie wyszedł, kierując się do jednej z pokładowych latryn, przydzielonej na potrzeby szpitala. Wśród pacjentów wybuchła natychmiast ożywiona dyskusja, w której wzięła udział nawet wstrząsana co chwila mdłościami Svensen. To było nie do pomyślenia – ktoś, kto może mieć dzieci, ale nie chce!

Etta nie brała udziału w skądinąd interesującej rozmowie. Zapatrzyła się w sufit i zatopiła w rozmyślnościach. Jako zawodowy historyk lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę z tego, co doprowadziło do ugruntowania takich schematów myślowych. Pozwolenie na urodzenie dziecka otrzymywano przecież

nie tylko na podstawie przydatności prokreacyjnej. W grę wchodził też ogólny stan zdrowia, stabilność emocjonalna, wykształcenie, praca lub jej brak, kartoteka policyjna. Pilnowano tego bardzo surowo. Nielegalnie urodzone dzieci odbierano rodzicom natychmiast i przekazywano specjalnie wyselekcjonowanym rodzinom zastępczym. Dzieci odbierano też przestępcom, ofiarom nałogów, chorym nerwowo i psychicznie. Urodzenie dziecka w jakiś sposób kalekiego automatycznie wykluczało i matkę, i ojca z dalszego procesu reprodukcyjnego. Rodzice Weroniki otrzymali pozwolenie na jeszcze jedno dziecko w drodze wyjątku – według opinii lekarzy rozszczep podniebienia u dziewczynki był wywołany losowym uszkodzeniem pojedynczego chromosomu, drobiazgowo testy nie wykazały żadnych odchyleń w materiale rozrodczym. Burton urodził się zdrowy i silny.

Kiedyś, by wprowadzić system kontroli prokreacyjnej, potrzebny był brutalny terror, teraz wszyscy godzili się z tym stanem rzeczy, od dziecka uczeni, co to jest dobro społeczne. Wojsko i policja – sprawne narzędzia ucisku – pomogły stworzyć warunki pracy dla naukowców i budowniczych. To oni skonstruowali sterylne, bezpieczny świat, w którym naczelną regułą brzmiała „Stosuj się do zasad, nie wpadniesz w kłopoty”. A kłopoty mogły być naprawdę poważne, aż do bezterminowego więzienia włącznie. Organy ścigania działały z bezlitosną precyzją i skutecznością nieznaną jak dotąd w historii ludzkości, ludzie więc nauczyli się, że lepiej nie popełniać przestępstw. Dzięki temu w dzisiejszym świecie było bezpiecznie. Jedyne, co pozostało z Mrocznych Czasów to irracjonalna, podświadoma odraza zwykłych obywateli do wszystkich noszących mundury. Jak wobec tego odbywał się nabór? Tego Etta nie wiedziała i postanowiła, że przy najbliższej okazji wypyta o to kapitana. Albo może lepiej majora La Ver. Będzie rozmowny ze względu na Weronikę – był w niej zakochany, to można było ujrzeć na kilometr. Nie umiał zbyt dobrze ukrywać uczuć. Tak, będzie musiała z nim porozmawiać. Na razie przymknęła oczy i niepostrzeżenie zapadła w pokrzepiający, długi sen.

Raul odgarnął łagodnie włosy z twarzy Dominy i okrył ją kocem. Upewniwszy się, że dziewczyna śpi, podszedł do łóżka kapral Svensen i podał jej przepisane przez doktor Xiao leki. Nikt więcej nie potrzebował na razie jego pomocy. Epidemia wygasła, ludzie mieli się coraz lepiej, kwarantanna miała się niedługo zakończyć. Narzekali na nią przede wszystkich chorzy piloci, którzy chcieli jak najszybciej wrócić do pracy. Co prawda Mitsuo Quang, który jako jedyny został na stanowisku, dawał sobie radę świetnie – statkiem i tak kierowały automaty, rolę pilotów był wyłącznie nadzór nad aparaturą. Byli też „ludzką rezerwą” w razie awarii – umieli pilotować, ale nie mieli przecież tej precyzji i szybkości reakcji co automaty. Jednak w razie jakiejś awarii byli jedyną szansą załogi na ratunek, i dobrze znali swoją wartość.

* * * * *

Doktor Celine Xiao została wybrana na lekarza statku dowodzenia nie dlatego, że była córką profesora Xiao, ale ze względu na osiągnięcia naukowe. Pułkownik Gongadze musiał przyznać, że pewnie nikt inny nie wyizolowałby tak szybko czynnika odpowiedzialnego za chorobę załogi i nie opracował serum uodparniającego.

– Chociaż mogliśmy się tego spodziewać – dodał z westchnieniem. – Grzyby są wyjątkowo podstępne i odporne, właściwie nie da rady się ich pozbyć.

– Właśnie dlatego postanowiłam szukać szczepionki, nie fungicydu – odparła doktor Xiao. – Oczywiście wykonamy dezynfekcję wszystkiego, co tylko się da, ale i tak nie zwalczymy tej zarazy do końca. Ten preparat uodporni załogę na toksyny, wydzielane przez pleśnie. Trzeba go podać wszystkim, bo jeśli to jest na jednym statku, to jest i na innych, tylko się pewnie jeszcze nie uaktywnił.

– Właściwie czemu?

– Myślę, że właściwym czynnikiem był szok środowiskowy, który powstał podczas awarii. Najpierw powietrze gwałtownie wyschło, bo stanęły nawilzacze, a cyrkulatory nawiewu wciąż działały. Temperatura dość szybko spadła. Gdy wszystko zaczęło działać, ociepliło się i wilgotność powietrza wzrosła.

Gongadze potrząsnął ogoloną głową. Wcześniej miał obfitą czupryną i nosił wąsy – przypominał wtedy wizerunek jakiegoś dyktatora, którego zdjęcie widniało w jednej z sal Muzeum Wojen. Brakowało tylko fajki w zębach. Doktor Xiao nigdy nie mogła zapamiętać, jak się ten człowiek nazywał, wiedziała tylko, że był jednym z Dawnych Potworów – inaczej o nich nie mówiono.

– Świetnie sobie poradziłaś – powiedział. – A dzięki twojej pracy zdołaliśmy podać anatoksynę, nim choroba zaatakowała inne statki, mogliśmy wdrożyć program odkażania. Rozpylenie fungicydu byłoby szybsze i skuteczniejsze, ale zniszczyłoby hodowle drożdży. Nie możemy sobie na to pozwolić.

– To prawda – przytaknęła Xiao. – Są niezbędne.

Milczeli oboje przez chwilę, potem Gongadze nieznacznie westchnął i spytał:

– A co z więźniem?

– Nie wiadomo – odparła doktor Xiao. – Wciąż nie wiemy, kim jest, wiadomo tylko, że to nie Kovacs. Nie chce mówić, a ma wszyty implant neutralizujący serum prawdy i to żebyśmy wiedziała choć, gdzie. Dzisiejsze implanty są tak wykonane, że nie sposób ustalić, gdzie dokładnie się znajdują. Kapitan połączył się ze sztabem naziemnym i przekazał siedzącym tak sztywniakom wszystko, co zdołaliśmy ustalić. Mają się odezwać, gdy się czegoś dowiedzą.

– Choćby się dowiedzieli, co to teraz da? – Mruknął pułkownik. – Co stary ma zamiar zrobić z tym podrzutkiem?

Lekarka wzruszyła ramionami. Sama się nad tym zastanawiała. Odesłanie więźnia było teraz niemożliwe, pozostawało bezterminowe więzienie lub doraźna egzekucja. Nikomu nie uśmiechało się ani jedno, ani drugie.

– Podajmy serum reszcie załogi – powiedziała z westchnieniem. – Muszę jeszcze oblecieć inne statki, Jimenez nalegał, żebym się streszczała.

– No to musisz go słuchać.

Komunikację między statkami w sensie fizycznym umożliwiały promy, ale obsługiwać je mogli tylko piloci. Wielu spośród żołnierzy miało zaliczone kursy pilotażu, ale nie mieli koniecznych uprawnień i nikt nie dopuściłby ich za ster promu. Nie była to jakaś fanaberia zawodowych pilotów, a konieczność. W przeciwieństwie do części pasażerskiej promu kokpit miał wizjery, konieczne przy ręcznym sterowaniu. Widok nieskończonej próżni, usianej dalekimi gwiazdami, mógł wywołać atak nerwowy u kogoś mniej odpornego niż wyselekcjonowani i odpowiednio uodpornieni na takie widoki kandydaci. Ktoś, kto siedząc za konsolą sterowniczą promu tracił kontrolę nad emocjami, przeważnie robił coś niespodziewanego i ginął, niszcząc w dodatku cenny sprzęt. Dlatego więc Agencja Lotów Kosmicznych wprowadziła restrykcyjne ograniczenia i trzymano się ich. Wybierano ludzi stuprocentowo odpornych, poddawano rygorystycznemu szkoleniu i setkom testów na wytrzymałość, a także uczono, jak zdiagnozować uszkodzenia awioniki i naprawić je własnoręcznie. Ci ludzie byli bezcenni w każdej, nawet krótkiej wyprawie poza ziemską orbitę.

Doktor Xiao odwiedziła więc pozostałe statki i wszędzie zaaplikowała serum, zapędzając jednocześnie załogę do przeprowadzenia dezynfekcji pokładów. Rozwinięte stadium choroby zanotowano tylko na statku dowodzenia. Do tego należało doliczyć początkową fazę choroby u Aishy Bahrani i obecne we krwi patogeny u kilkunastu załogantów ze wszystkich statków.

– Dobrze, że to nic gorszego – stwierdził filozoficznie Kenneth Linde podczas późniejszej wideokonferencji wszystkich lekarzy. – Póki co dajemy sobie radę. Leki przeciwnerwicowe okazały się skuteczne, załoga przywykła do lotu, a ciąży chyba żadnej nie przewidujemy.

– Jeśli to miał być dowcip, to marny – stwierdziła surowo Lisbeth Mell z Vikinga 04. – Sprawdziłam dokładnie akta załogi i ku memu przerażeniu mamy w pionie obsługi trzy płodne kobiety. Co pan na to, doktorze Gongadze?

– Jakie to kobiety?

– Sookie Hashimoto, Perla Jones i Gudrun Silberstein. Wszystkie mają klasyfikację jedyńkową.

– Trzeba sprawdzić, jak dobrze są zabezpieczone. Wiem, że kolega Linde

żartował, ale w naszej sytuacji cięża na pokładzie byłaby czymś mało komfortowym.

– Byłaby czymś niemożliwym do zaakceptowania – podkreśliła z naciskiem Celine Xiao. – Grawitacja ma zmienną wartość, podobnie jak wszystkie parametry, nie mamy dostępu do naturalnego promieniowania słonecznego, mleko pozostaje w sferze marzeń. Zresztą martwić nas może tylko inżynier Silberstein.

– Czemu?

– Hashimoto i Jones są kochankami. Ich orientacja seksualna wyklucza zajście w ciążę, przynajmniej póki któraś nie zmieni zdania i nie wyjdzie za mąż. Przy obowiązującym prawie rodzinnym żadna nie dostanie licencji na dziecko.

– No proszę, a już się zastanawiałem, co robią „jedyńki” w obsłudze takiej misji jak nasza – zaśmiał się nieprzyjemnie Linde. – Przypominam jednak szanownej koleżance, że tutaj nie mamy filii Departamentu Demograficznego, a to może wpływać rozluźniająco na praworządność.

– Niech pan nie oskarża nikogo bez powodu – Tengiz Gongadze zmarszczył groźnie czoło. – Hashimoto i Jones należą do załogi mojego statku i znajdują się pod moją opieką. Zapewniam, że to rozsądne i uczciwe dziewczyny. Żadnej nie przyszłoby do głowy robić głupstwa. Inna sprawa z Silberstein. Warto z nią porozmawiać.

– Już to zrobiłam – rzekła sucho doktor Xiao. – Poradziła, żebym trzymała nos w dziale medycznym i nie wtykała go do maszynowni.

Lekarze wybuchnęli śmiechem, słysząc tę niespodziewaną uwagę. Wszyscy inżynierowie znani byli z drażliwości i ciętego języka, ale akurat po Gudrun Silberstein nikt się czegoś takiego nie spodziewał. Na ogół była cicha i spokojna, nikomu nie wchodziła w drogę, oddana bez reszty silnikom i komputerom diagnostycznym.

– Nie ma się z czego śmiać! – Oburzyła się Xiao. – To poważna sprawa. Dobrze chociaż, że nie wiadomo nic o tym, by ta kobieta była z kimś związana. Miejmy nadzieję, że nie jest, albo że chociaż jest ostrożna.

Kiedy echa tej narady dotarły do doktora O’Leary, ten parsknął śmiechem i zauważył, że jak świat światem jeszcze nikt nie upilnował kobiety mającej ochotę na romans. Dodał jeszcze, że zamiast dyskutować o hipotetycznej ciąży, lekarze powinni zająć się bieżącymi problemami. Miał trochę racji, bo nie wszystko szło jak należy. Ledwie opanowano epidemię gorączki urojeniowej, wywoływanej przez zmutowanego pędzłaka, pojawiły się nowe niepokojące objawy, tym razem niemal jednocześnie na wszystkich statkach. Ludzie uskarżali się na bóle zębów, krwawienia z dziąseł, a nawet problemy z mówieniem. Dokładne badanie krwi i środowiska nie wykryło żadnych patogenów – zresztą krwawieniom nie towarzyszyła gorączka ani złe samopoczucie. Diagnostyka uzębienia ujawniła za to

u prawie wszystkich członków załogi osłabienie zgryzu i początki paradontozy, co wreszcie naprowadziło pułkownika Gongadze na ślad.

– Doprawdy wszyscy powinniśmy schować się pod ziemię ze wstydu, że wcześniej na to nie wpadliśmy – oświadczył. – To znaczy, gdyby tu była ziemia. To wszystko wynik odżywiania się papkami i tej przeklętej zmiennej grawitacji. Czy nie dałoby się jej jakoś podregulować?

– Niestety nie – powiedziała stanowczo inżynier Bahrani. – Układy sztucznej grawitacji pracują nierówno wskutek koniecznych zmian pola magnetycznego. Dzięki nim w ogóle wytwarzają pole grawitacyjne. Gdybyśmy zlikwidowali pulsację, ciężenie by zanikło. Musi oscylować w granicach 0.7–0.9 g i cieszyć się, że rozrzut jest tak mały. Kiedyś uważano, że dla utrzymania ciągłości ciężenia konieczna jest amplituda rzędu 0.5 g. Wyobrażacie sobie, jak wtedy wyglądał lot? Wszyscy mieli ciągłe zawroty głowy i wymiotowali przez połowę czasu. A i tak było to duże osiągnięcie w porównaniu ze stanem nieważkości na pokładach.

– Proszę nie robić szczegółowego wykładu – przerwał jej Gongadze. – Starczy, że nie można nic z tym zrobić. Musimy zatem leczyć objawowo, skoro przyczyny usunąć się nie da.

– Objawowo czyli jak? – Spytał kapitan Willner.

– Podamy sole wapnia, a technicy żywniowi będą musieli zsyntetyzować coś w rodzaju twardej gumy do żucia. Ludzie muszą ćwiczyć szczęki na czymś odpowiednio spoistym, bo inaczej potracą zęby, nim dolecimy na miejsce. Założywszy oczywiście, że dolecimy.

Kapitan Willner zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

– Bez takich uwag proszę – zażądał stanowczo.

– Przepraszam, kapitanie. Czasem tracę wiarę. Na Vikingu 05 dwóch członków załogi próbowało „wysiąść”, na Vikingu 02 mieliśmy samobójstwo jednego z inżynierów, a bez środków stabilizujących umysł już dawno wszyscy rozsypaliby się psychicznie.

– Jak to „wysiąść”? – Zdziwiła się Weronika, która również była obecna na naradzie, choć jedynie jako koordynatorka, nie specjalistka w dziedzinie medycyny.

– No po prostu, uciec z pokładu, choć pojęcia nie mam, dokąd. Po krótkiej kuracji sedalitiem wrócili do pełnej równowagi psychicznej, nie mamy jednak gwarancji, czy takie ekscesy się nie powtórzą.

– Gwarancji to nie mamy na nic. Wszystko zależy od nas samych – powiedział kapitan sucho. – Proszę zająć staranniejszym zdrowiem załogi, panowie doktorzy. Mamy części zamiennie do całej aparatury, ale ludzi nic nie zastąpi. I tak straciliśmy kilku, a jeden siedzi w areszcie i nie wyjdzie stamtąd, póki mam coś do powiedzenia.

Ten bezimienny więzień był solą w oku całego dowództwa. Nadal nie było wiadomo, kim jest, choć ku uldze Willnera odpowiednie służby na Ziemi ustaliły, że prawdziwy Imre Kovacs żyje. Co prawda jego kondycja nie była najlepsza – wszystko wskazywało na to, że został przez kogoś potraktowany bardzo brutalnie.

– Prawdopodobnie to był niwelator Tesli – powiedział Willnerowi pułkownik Tomasi ze sztabu. – Facet nic nie pamięta.

Niwelator Tesli używany był w skrajnych przypadkach przez psychiatrów, lecz jego etyczność budziła ogromne kontrowersje. Operujące niezwykle silnym polem magnetycznym urządzenie dosłownie „czyściło” pamięć pacjenta, powodując trwałą amnezję i w praktyce oddając go na łaskę i niełaskę resocjalizatorów. Pod ich nadzorem człowiek uczył się wszystkiego na nowo i stawał kimś zupełnie innym, niż był. Rozważano możliwość neutralizacji za jego pomocą groźnych przestępców, ale jak dotąd projekt nie mógł przebić się przez opór prawników. Możliwość, że tak niebezpieczne urządzenie trafiło w ręce ekstremistów, wywołała duże zaniepokojenie w rządzie i sztabie generalnym.

Co jednak można było zrobić z sobowtórem Kovacsa? Na Ziemi nie wahano by się i zostałby stracony. Jednak w statku kosmicznym, znajdującym się tak bardzo daleko od rodzinnej planety, punkt widzenia uległ zmianie. Każdy człowiek stawał się ważny jako element nie do zastąpienia i Kirk Willner po prostu nie mógł zdobyć się na wydanie wyroku. Tak więc „więzień”, jak go teraz po prostu określano, przebywał w zamkniętej kwaterze, pilnowany dzień i noc przez żołnierzy. Wśród załogi zdania na jego temat były podzielone. Jedni uważali, że powinien zostać stracony, inni – że trzymanie go w takiej klitce jak standardowa kabina na Vikingu jest niewiele lepsze od tortur i trzeba znaleźć inne rozwiązanie. Jediną osobą, która nie wypowiadała się na jego temat, była Weronika. Nienawidziła tego człowieka za to, że próbował zniszczyć Rasmusa i właśnie dlatego wołała milczeć. Wiedziała, że cokolwiek powie, nie będzie to obiektywne.

– Musimy jednak coś postanowić – powiedział doktor O’Leary, gdy zapytano go o zdanie. – Inaczej nasz Malcolm X zwariuje z klaustrofobii i dopiero będziemy mieli problem.

Na razie jednak nikt nie mógł wymyślić nic, co byłoby bezpieczne dla załogi i jednocześnie dla więźnia, pozostawał więc w zamknięciu.

XI.

Ryk syreny w samym środku pokładowej nocy to nic miłego, szczególnie gdy przez cztery poprzednie dni wszyscy odbywali obowiązkowe ćwiczenia „na wypadek kolizji z drobnym ciałem niebieskim”, jak wyjaśnił major LaVer.

– Czemu z drobnym? – Spytał nieprzyjaźnie Ian Callum, który bardzo nie lubił, jak coś odrywało go od pracy.

– Bo jakby kolizja była z większym, to byś pan nawet nie zdążył westchnąć do Wielkiego Przedwiecznego – wyjaśnił mu LaVer z niezmaconym spokojem.

Manewry odbyły się na wszystkich statkach jednocześnie, trwały pełne cztery doby i wymęczyły ludzi ogromnie. Dały jednak odpowiedź na dość ważne pytanie: czy ludzie nie zapomnieli tego, czego ich uczono w Ośrodku Doboru Kadr? Czy dali by sobie radę w sytuacji awaryjnej?

Wyniki mieli opracować szefowie ochrony poszczególnych statków i razem wyciągnąć wnioski. Musiało to jednak potrwać, a tu wyglądało na to, że tym razem

alarm może być prawdziwy. Ku niepomiernej uldze załogi okazało się, że wszystkie systemy na statkach działają bez zarzutu. Nim ludzie zdążyli ochłonąć na tyle, by skłócić niespodziewaną pobudkę i zacząć szukać winnego, alarm odezwał się ponownie. Tym razem towarzyszyły mu słowa:

– Uwaga wszystkie pokłady, człowiek w niebezpieczeństwie.

Była to formuła, oznaczająca wezwanie do pełnej gotowości dla wszystkich bez wyjątku i jednocześnie informację, że wszystkie statki dostały polecenie „cała stop”. Dotąd nie użyto jej ani razu, mimo sabotażu i wypadków na statkach, czyli że zdarzyło się coś naprawdę złego.

W ciągu kilku minut wszyscy – ludzie i androidy – byli w mundurach i meldowali się na stanowiskach. Podróż trwała od wielu miesięcy, jednak nie zdarzyło się nic aż tak poważnego. Bywały problemy – sabotaż, uszkodzenie poszycia, choroby – ale nie działo się nic takiego, by postawiono w stan gotowości wszystkie statki. Załoga mawiała półzartem, że coś takiego grozi tylko w przypadku natknięcia się na statek kosmitów i ta możliwość było pierwszą rzeczą, która teraz przyszła do głowy kilku załogantom, obdarzonym bujniejszą wyobraźnią.

– Co za bzdury – rzekł zrezygnowanym głosem Leonard Derkacz, gdy doszły do niego te plotki. – Nawet gdyby jakimś pozaziemskim geniuszom przyszło do głowy odwiedzić taki zapyziały zakątek (choć nie mam pojęcia, czego mogliby w nim szukać), to skąd pomysł, że będą lecieć akurat tym kursem? Kosmos to nie autostrada A-3, gdzie każdy może wpaść na każdego. Rachunek prawdopodobieństwa.

– Doktorze, z całym szacunkiem, ale w panu nie ma ani krzty fantazji – przerwał technik Larson, rozczarowany takim brakiem entuzjazmu dla idei spotkania kosmitów. Derkacz popatrzył na niego ze zdumieniem.

– To nie fantazja, to zwyczajna ignorancja – oświadczył. – Pan jest kucharzem, mogę więc zrozumieć pana pomysły, ale czemu powtarza je inżynier Bahrani, tego nie pojmem. Po tej kobiecie spodziewałbym się większego rozsądku.

– Ten facet nie tylko wygląda jak android, ale i tak się zachowuje – mruknął Norweg do kaprala Svensen, która zdawała się całkowicie podzielać jego zdanie. Nie ona jedna zresztą. Leonard Derkacz uważany był za największego dziwaka w załodze, gorszego niż MacLean O’Leary i nie starał się zmienić wizerunku. Mawiano, że nawet sztuczna kobieta z nim nie wytrzymała – nie było to całkowitą prawdą, po prostu Derkacz nie potrzebował Towarzyszki i dlatego Raina była obecnie z kapitanem. Nadal jednak łączyła ją z doktorem osobliwa forma przyjaźni. Androidka wyraźnie miała świadomość tego, jak bardzo ten człowiek jej pomógł i odnosiła się do niego niemal jak córka do ojca. Ze swej strony Leonard Derkacz traktował ją ciągle jak ulubioną podopieczną i dlatego w załodze nazywano go czasem żartobliwie „teściem starego”.

– Czy wiadomo dokładnie, co się stało? – Spytał MacLean O’Leary, gdy kapitan Willner pojawił się w sali odpraw.

– Wiadomo – odparł Kirk Willner ponuro. – Podczas kiedy cała załoga prowadziła manewry, technik John Warens ukradł jeden z promów, załadował do niego kapsułę hibernacyjną pasażerki o nazwisku Leila Sabatini i wziął kurs na Enceladusa. Prawdopodobnie chce tam prosić o azyl.

– Oszalał! Enceladus Prime to kolonia naukowa, nie udzielne księstwo! – Zawołał Ian Callum.

Willner wzruszył ramionami na znak, że nie wie, jakimi torami idą myśli Johna Warensa.

– Czemu wybrał akurat kapsułę Leili Sabatini? – Zwrócił się do komandor Kaori, która pojawiła się właśnie na łączu. Dowódca Vikinga 03 nie wyglądała na zdruzgotaną tym, co się stało, ale była poważnie zaniepokojona.

– Nie wiem – odparła. – Ale sprawa jest jeszcze poważniejsza, niż myśleliśmy. John Warens, jak wynika z akt, nie otrzymał uprawnień pilota wyłącznie z powodu zbyt niskiego progu odporności psychicznej. Ma wszystkie potrzebne umiejętności. W dodatku jest coś jeszcze. Kapsuła pani Sabatini była dwuosobowa. Warens zabrał ze sobą kobietę i sześciomiesięczne dziecko, chłopca imieniem David.

– Coś ich łączy?

– Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że Warens niejedną raz wypowiadał się, iż nie wierzy w istnienie układu Jewel i w planetę Patris. Był zdania, że tak czy inaczej trzeba będzie zawrócić na Enceladusa, a przedłużająca się podróż zagraża wszystkim.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie też nie. Jeśli Warens uszkodzi kapsułę, oboje – matka i dziecko – mogą umrzeć.

– Wiadomo, kiedy wyruszył?

– Dokładnie trzydzieści dwie godziny temu. Tlenu i zapasów starczy na tydzień.

Kapitan wcisnął guzik interkomu.

– Kokpit, obliczcie odległość od Enceladusa i czas dotarcia tam promem przy najwyższym przyspieszeniu, dopuszczalnym dla człowieka. Wyliczcie też trajektorię pościgową – polecił.

Za sali odpraw zapadła cisza. Pościg za promem oznaczałby rzecz surowo zakazaną – zejście z kursu – nikt więc nie wiedział, co właściwie kapitan zamierza robić, wszyscy jednak patrzyli na niego z wyrazem całkowitego zaufania. Był ich dowódcą i musiał znaleźć rozwiązanie. Inne wyjście było nie do pomyślenia.

Jeśli kapitan Willner wątpił w tym momencie we własne możliwości, to i tak nie było tego po nim widać. Stał bez ruchu, czekając na zgłoszenie się pilotów, z rękami założonymi na szerokim torsie i twarzą równie spokojną jak oblicze nie odstępujące jego boku Rainy. Wreszcie, po kilkunastu bardzo długich minutach, odezwał się brzęczyk łączności wewnętrznej.

– Trajektoria obliczona, kapitanie – odezwał się pilot Jimenez. – Według zapisu sygnałowego Warens szedł kursem 3.9.02 i zwiększył dopuszczalne obciążenie niemal dwukrotnie. Mimo to nie ma żadnych szans na dotarcie do kolonii naukowej. Prom powinien być w odległości, która umożliwi przechwycenie go innym promem jedynie przy czterokrotnym dopuszczalnym przeciążeniu. Nadaliśmy wezwanie głosowe i elektroniczne. Prom nie odpowiada.

O’Leary gwizdnął krótko przez zęby, reszta obecnych wymieniła spojrzenia. To nie była zła wiadomość, raczej tragiczna. Wynikało z niej, że albo któryś ze statków zmieni zaprogramowany kurs, albo prom z Vikinga 03 i trójkę pasażerów należy spisać na straty.

– Że nie odpowiada, to akurat logiczne. Nie po to kradł prom i kapsułę, by wracać na pierwsze wezwanie – mruknęła Weronika.

–Ja polecę – odezwał się nagle major LaVer. – Mam doświadczenie z pracą w warunkach przeciążenia.

– Bzdura – oświadczyła energicznie doktor Xiao. – Nie chodzi o kilka minut w komorze decelacji, a o całe godziny lotu. Mięśnie oddechowe odmówią panu posłuszeństwa. Zabraniam.

– Żaden człowiek nie wytrzyma takiego lotu – dodał autorytatywnie inżynier Woznansky.

– Człowiek nie – zgodził się kapitan. Wszyscy spojrzeli na niego z błyskiem zrozumienia w oczach.

– A pilotaż? – Spytał po chwili Camus de Bernal.

– Rasmus umie pilotować prom – odparł spokojnie O’Leary. – Był szkolony w różnych dziedzinach. Jest teraz w pełni sprawny i może to zrobić.

Weronika pobladła, w oczach stanęły jej łzy, ale wysiłkiem woli powstrzymała się od protestu. Etta ścisnęła współczująco dłoń przyjaciółki. Sama była zdenerwowana, choć rozumiała, że nie ma innego wyjścia. Androidy były odporne na przeciążenie, brak tlenu i inne niesprzyjające warunki, działały logicznie, reagowały szybciej niż ludzie i nie mogły ulec panice.

Kapitan wcisnął ponownie włącznik interkomu, tym razem ustawiając go w pozycji multiłączności.

– Uwaga wszystkie statki – powiedział. – Wysyłamy prom ratunkowy na poszukiwanie zaginionych. Przygotują się Rusłana 39F, Roger 7E i Roy 98D. Pilotem będzie Rasmus 101A, dowódcą ekipy Raul 209C. Pułkownik Denberry, ma pan nadzorować przygotowanie promu pościgowego. Za dziesięć minut proszę

meldować gotowość promu do lotu.

– Tak jest, kapitanie.

Etta poczuła, że jej ręce ziębną. Spojrzała na Weronikę. Oczy koordynatorki były utkwione w podłódze, a usta poruszały się lekko, jakby coś szeptała.

– Co mówisz?

– Mówię – Weronika uniosła głowę i spojrzała na Ettę – że dopiero teraz coś mnie uderzyło.

– Co?

– Pułkownik Denberry jest człowiekiem?

– Ależ oczywiście, czemu?

– Ma na imię Rod.

Etta westchnęła ciężko. Też sobie Weronika znalazła moment na takie rozważania!

– Ma na imię Elrod – wyjaśniła. – Mówią na niego Rod, bo dostał takie przydomko w szkole. Przyszedł ciężkie obustronne zapalenie nerwu twarzowego i przez długi czas jego twarz wyglądała jak maska. W ogóle zero mimiki, dobrze jeszcze, że mógł mówić. Wiesz, jakie są dzieci. Drażniły się z nim, nazywając androidem i zamiast mówić do niego Danny, jak wcześniej, zaczęły nazywać go Rod. I tak już zostało.

Weronika pokiwała głową, po czym nagle odwróciła się i wybiegła, by nikt nie zauważył jej łez. Etta też po chwili wyszła po chwili. Jej też było ciężko na sercu i drętwiała na myśl, że wyprawa ratunkowa może zakończyć się katastrofą, ale ku swemu zdumieniu była bardziej opanowana niż przyjaciółka. Jej reakcja była być może wynikiem tego, że wcześniej przeżyła lęk o utratę Towarzysza, ale i tak Etta musiała coś przyznać – Weronika zrobiła się ostatnio bardziej nerwowa niż kiedykolwiek. Chciała ją trochę pocieszyć, ale zajrzawszy do kwatery zobaczyła, że jest tam Sherman LaVer. Obejmował dziewczynę i przytulał do swego potężnego ciała, szepcząc przy tym coś do ucha. Etta wycofała się bezszelestnie.

– Miłość to jednak coś bardzo sympatycznego – pomyślała z pewnym żalem. LaVer naprawdę zakochał się w Weronice, a ona, zazwyczaj przebiegająca w mężczyznach jak w przysłowiowych ulęgałkach (Etta nie miała pojęcia, co znaczy to słowo) – chyba odpowiedziała podobnym uczuciem. Na oko trudno było znaleźć mniej dobraną parę, a jednak...

W ogóle lot zbliżył ludzi do siebie, nawet tych, którzy w innych okolicznościach nie zwróciliby na siebie nawzajem uwagi. Nie chodziło tylko o zaspokojenie potrzeb czysto fizjologicznych. Właśnie teraz dobrze było widać, jak bardzo ludzie potrzebują wzajemnego towarzystwa, wymiany myśli, dotyku rąk podczas wspólnej lektury, nawet drobnych sprzeczek. Wszyscy ulegali temu imperatywowi. Nawet doktor O’Leary nawiązał jakieś bliższe relacje z doktor

Xiao, nawet Leonard Derkacz, oddany bez reszty swojej pracy, coraz więcej czasu spędzał z inżynier Silberstein. Niewielu pozostało samotnych, chyba tylko kapitan Willner i Etta. Kapitanowi może zresztą nie wypadało wdawać się w romans na pokładzie statku, którym dowodził. Musiał trzymać dystans w stosunku do załogi, miał zresztą Rainę, która go nie odstępowała i odnosiła się do niego jak do pana życia i śmierci. Nie umiał jej tego oduczyć. W głębi pamięci androidki utkwiło – niczym odłupany fragment pocisku w żywym ciele – przekonanie, że nie została dotąd zniszczona jedynie wskutek dobrej woli Dominantów: najpierw Daria, potem Leonarda Derkacza, a teraz kapitana. Uważała, że człowiek, któremu podlega, ma prawo zrobić z nią co będzie chciał i że taki stan rzeczy jest absolutnie w porządku. Żadne rozmowy z Derkaczem nie mogły tego zmienić. Nie sposób było jednak przewidzieć, jak zareaguje, jeśli kapitan Willner kiedykolwiek zechce związać się z kobietą z krwi i kości.

Etta, nieśmiała introwertyczka, również nie szukała sobie towarzystwa wśród męskich członków załogi. Do tej pory zgodziła się chyba tylko na dwie randki i nie miała zamiaru wiązać się z kimś bliżej. Do szczęścia wystarczał Raul i przyjaźń z doktorem O’Leary’em, u którego regularnie pobierała lekcje andropologii. Dobrze się rozumieli i lubili, ale pozostawali tylko przyjaciółmi. Czasem dziewczyna miała wrażenie, że kapitan Willner mógłby dla niej być kimś więcej, ale ukrywała to dobrze. Robienie awansów dowódcy wyprawy byłoby w jej pojęciu co najmniej niewłaściwe, jakkolwiek by się jej ten mężczyzna nie podobał.

Pomyślawszy chwilę Etta udała się na pokład hangarowy. Kirk Willner już tam był. Rozmawiał z Rasmusem, dając androidowi ostatnie wskazówki i starając się mówić jak najprecyzyjniej, by uniknąć nieporozumień. Ettę zaskoczyło to, że Willner zwracał się do Rasmusa per „Brent”, tak samo jak Weronika, tak jakby uznawał jego prawo do ludzkiego imienia. Mimo woli pomyślała, jakie też ludzkie imię pasowałoby do Raula. Clark? A może Lorenzo?

– Nie – zdecydowała po chwili. – Raul to Raul. Tak się nazywa i koniec.

Jak na zawołanie jej własny Towarzysz wszedł do hangaru. Miał na sobie, oprócz munduru, pas z dodatkowym wyposażeniem i przewieszoną przez ramię apteczkę.

– Pomyślałem, że wezmę to na wszelki wypadek – powiedział. – Inżynier Warens może potrzebować doraźnej pomocy.

– Bardzo słusznie – pochwalił go kapitan. – Wzięłeś też coś na uspokojenie, w razie gdyby trzeba go było spacyfikować?

Raul wyjął z apteczki niewielki przedmiot, przypominający uproszczony pistolet. Była to strzykawka odegłosciowa – w odróżnieniu od iniektorów ciśnieniowych, to urządzenie wystrzeliwało maleńki pocisk, zakończony krótką, cienką i bardzo ostrą igłą. W zakończonej stabilizatorem lotu ampulce mieściła się

odmierzona porcja leku i nie większa niż ziarnko piasku kapsułka, która w momencie uderzenia igły w cel rozprężała się gwałtownie, wprowadzając medykament do ciała pacjenta.

– Doktor Xiao dała nam sedator – powiedział. – W razie potrzeby uspi inżyniera natychmiast.

– Dobrze. Proszę jednak unikać zbędnej przemocy. Może John Warens usłucha głosu rozsądku i będziecie mogli go po prostu stamtąd zabrać.

Ettę przeszedł irracjonalny dreszcz. Iniektory ciśnieniowe obydwały się bez igieł, które jeszcze przed katastrofą ekologiczną stosowano tylko przy pobieraniu krwi i w kroplówkach. Podczas podawania leku iniektorem czuło się co prawda słabe ukłucie, spowodowane wniknięciem leku w tkanki, ale było to niczym w porównaniu z igłami, które Etta знаła z opracowań historycznych. Zrobiły na niej okropne wrażenie i nie dziwiła się, że niektórzy ludzie dosłownie mdleli na ich widok.

– Proszę się nie obawiać, kapitanie. Zrobimy, co będzie w naszej mocy, by ludzi nie spotkała żadna krzywda – rzekł Raul, chowając pieczołowicie pistolet sedacyjny.

Kirk Willner odwrócił się i jego spojrzenie padło na Ettę. Uśmiechnął się krzepiąco.

– To sprawa bez precedensu, prawda? – Powiedział. – Drużyna ratunkowa, złożona z samych androidów, działająca w warunkach przestrzeni kosmicznej. Niestety nie możemy wysłać ludzi, zatem musimy zawierzyć Towarzyszom.

– Oni nie zawiodą. Jestem tego zupełnie pewna.

– Ja też. Jednak to pierwszy taki wypadek, mam więc prawo być trochę spięty.

Wyglądało na to, że nie tylko trochę. Był blady, a na jego czoło i skronie wystąpiły krople potu. Widać było, że z trudem utrzymuje narzucony sobie spokój. Ziemskie prawo stanowiło, że w żadnej sytuacji nie należy uzależniać ludzkiego życia wyłącznie od tego, co robi android. Tymczasem Kirk Willner nie miał wyboru. Wyzaczył do tej misji te androidy, do których miał rzeczywiste zaufanie – nie wszystkie były dostatecznie przewidywalne, by ryzykować. W odróżnieniu od robotów nie miały przecież zaprogramowanego posłuszeństwa wobec ludzi. Jeśli rozkaz im nie odpowiadał, jeśli w jakiś sposób kłócił się z ich obrazem wydarzeń, mogły odmówić wykonania. Niezależne myślenie oznaczało wolność wyboru, jakkolwiek nie podobałoby się to ludziom – ten argument zresztą często podnosili przeciwnicy „andropologizacji” społeczeństwa.

– Nie wiemy, co chodzi im po głowie, a jeśli nie muszą wypełniać czyichś poleceń, mogą zdrowo narozrabiać – tłumaczono, przy czym pomijano całkowicie fakt, że android musiałby wpierw znaleźć logiczny powód, by „rozrabiać”. Demonizowano sztucznych ludzi wbrew faktom i właściwie bez istotnego powodu.

Lobby „antyszczucniowców”, jak ich nazywano, było na tyle silne, że nie dopuszczono dotąd nawet do czegoś tak pożytecznego, jak udział androidów w ekipach ratunkowych. A teraz miała wyruszyć – na ratunek trojgu ludziom – drużyna złożona wyłącznie z androidów i pozbawiona ludzkiego nadzoru. Kirk Willner nie miał wątpliwości, że na Ziemi nikt by czegoś takiego nie zaakceptował.

– Uwaga, do statku podchodzi prom – zabrzmiał na pokładzie hangarowym mechaniczny głos komputera.

– Pozwolić na dokowanie – powiedział kapitan do mikrofonu ściennego.

– Potwierdzam rozkaz. Proszę odsunąć się od linii demarkacyjnej.

Wszyscy cofnęli się o krok, choć byli dostatecznie daleko od grodzi. Kilka sekund później ciężka tafla przezroczystego tworzywa zatrzasnęła się, odcinając część tlenową od części dokowej.

– Dekompresja – obwieścił komputer. Pompy tlenowe odessały ceną atmosferę i kłapa hangaru uchyliła się. Do środka wpłynął prom z napisem „Viking 04” i osiadł na jednym z pustych stanowisk, a magnetyczne zaciski natychmiast unieruchomiły go w miejscu. Kłapa automatycznie zamknęła się za nim.

– Faza tlenowa – oznajmił komputer i na pokładzie hangarowym rozległ się syk sprężonego powietrza. Jeszcze chwila i gródź uniosła się. Można było bezpiecznie wejść do drugiej sekcji.

Właz promu szczękniętą i uchylił się. Kapitan spojrział na Raula i Rasmusa.

– No to idźcie – powiedział. – Nie mamy czasu na długie i podniosłe mowy, a więc Powodzenia.

Etta chciała coś dodać, ale powstrzymała się. W duchu była zadowolona, że major LaVer zatrzymał Weronikę w kwaterze i przekonał, by tu nie przychodziła. I tak było jej ciężko, a gdyby asystowała przy odlocie, byłoby jeszcze ciężej. Emocjonalny związek przyjaciółki z Rasmusem, czy też Brentem, nawet dla niej był w pewnym stopniu zaskakujący. Kto jak kto, ale Weronika nie mogła narzekać na brak ludzkiego towarzystwa. Wesoła, bardzo ładna, pełna wdzięku i bezpośrednia, łatwo zjednywała sobie zarówno mężczyzn, jak i kobiety, i zdawało by się, że jest ostatnią osobą, której potrzeba Towarzysza. Tak, właściwie go nie potrzebowała, Rasmus został jej przydzielony do pomocy w pracy naukowej, jednak bardzo się z nim zżyła. Stał się dla niej niezbędny, nie wyobrażała sobie życia bez niego, choć merytorycznie rzecz biorąc nie był Towarzyszem, a jedynie sztucznym asystentem. A teraz szedł do promu, z którego właśnie wysiadł Vito Carver, jeden z pilotów Vikinga 04.

– Wszystkie systemy sprawne – powiedział do androida. – Osobiście sprawdziłem też rezerwowe butle tlenowe. Człowiek będzie ich potrzebował.

– Wiem, pilocie Carver – odpowiedział Rasmus. – Przejmuję stery.

Pilot podał mu naręczny dekodery, zdjęty z własnego nadgarstka. Bez tego

urządzenia nie można było uruchomić promu, piloci pilnowali ich jak oka w głowie i pozostawało zagadką, jak jedno z nich wpadło w ręce Warensa. Śledztwo w tej sprawie odłożono na później. Na razie priorytetem było sprowadzenie uciekiniera i porwanej przez niego kobiety z dzieckiem.

Raul i Rasmus wsiedli do promu. Chwilę potem właz zamknął się, opadła na niego hermetyczna osłona i ponownie rozległ się ostrzegawczy głos komputera. Przezroczysta gródź ponownie odcięła część dokową hangaru od tlenowej. Pompy wessały powietrze do obiegu, kłapa hangaru uniosła się i prom wyleciał w otaczającą statek próżnię. Od tej pory drużyna androidów była zdana tylko na siebie.

Kapitan nie pozwolił nikomu na ślęczenie przy hangarze. Wszyscy mieli zająć się codziennymi obowiązkami, a jeśli nie mieli nic do roboty, dostali rozkaz zrobienia jeszcze raz tego, co ukończyli wcześniej.

– Gdy tylko będzie coś wiadomo, sam przekażę załodze – powiedział Willner kategorycznie i poszedł na mostek, do konsoli łączności.

Etta zabrała się do uzupełniania kroniki, jednak nie mogła przestać myśleć o ekipie ratunkowej i o kapitanie, siedzącym samotnie na mostku. Znała go dobrze, wiedziała, że nie będzie ani jadł, ani spał, póki nie otrzyma wiadomości z promu. Czowała, że sama też nie zdoła zasnąć i nic nie przełknie.

Ktoś zapukał lekko do drzwi kwatery.

– Proszę! – Zawołała. Była przekonana, że to Weronika albo doktor O’Leary, ale ku jej zdziwieniu do kabiny weszła Raina. Stała w progu, patrząc w podłogę, tak jakby krępowała się podejść bliżej i bała się spojrzeć człowiekowi prosto w twarz.

– Czy mogę o coś spytać, panno Solis? – Odezwała się po chwili.

– Oczywiście – odparła dziewczyna serdecznie. – I mów do mnie „Etta”, jak wszyscy.

– Dobrze, panno Solis, Etta.

– Powiedz, czego potrzebujesz?

– Chciałabym zostać poinstruowana, jeśli robię coś niewłaściwie – Raina podniosła na chwilę sarnie oczy, a potem znów je spuściła. – Raul mówił, że do pani zawsze mogę się zwrócić.

Etta odłożyła stylus i wstała. Podeszła do androidki i wzięła ją palcami pod brodę, unosząc jej twarz ku sobie.

– Zawsze we wszystkim pomogę – rzekła łagodnie i życzliwie. – Ale czemu akurat ja, nie Leonard Derkacz albo MacLean O’Leary?

– Bo oni są bardzo ważni, panno Solis, Etta. Nie wolno im przeszkadzać, jeśli nie jest to bezwzględnie konieczne.

– Usiądź – Etta przyciągnęła Rainę do koi. – Powiedz, dlaczego obawiasz

się, że robisz coś źle. Bo przecież musi być jakiś powód, prawda?

– Bo ludzie chyba... chyba się mnie boją.

Etta westchnęła. Zaczynała rozumieć, w czym rzecz i wiedziała, że czeka ją trudne zadanie.

– Czy pan Derkacz nie wytłumaczył ci, czemu nie wolno ludzi krzywdzić? – Spytała.

– Pan Derkacz mówił wiele rzeczy, ale nie wszystko rozumiem. Ja przecież nikogo nie krzywdzę.

– A szeregowy McBride? Omal nie wyłamałaś mu palców.

– To było konieczne. Kapitan dowodzi i jak powie, tak ma być. To było dla dobra pana McBride.

– Dobro, Raino, nie może wiązać się z przemocą fizyczną, z zadawaniem bólu.

– Nie rozumiem. Nigdy?

Etta zamilkła. Nagle zrozumiała, że na to pytanie nie istnieje dobra odpowiedź. Szarpnięcie dziecka za rękę sprawi mu ból. Ale co, jeśli tylko w ten sposób można je uchronić przed upadkiem w przepaść? Kiedyś nawet leczenie zębów było bolesne. Czy zaprzestano to robić? Na miejscu wypadku zdarza się, że trzeba odciąć uwięzioną kończynę, by ratować życie delikwenta. Ból musi być straszny, a jednak tak być musi. Tylko jak to wszystko wytłumaczyć androidowi i mieć pewność, że pojmie to we właściwy sposób? Ręce Rainy w jej dłoniach były spokojne – takie wąskie, drobne i gładkie, aż trudno było uwierzyć, jak wielką siłą dysponują.

– Powiem tak: zadawać ból człowiekowi, w określonych okolicznościach, wolno tylko drugiemu człowiekowi – rzekła wreszcie. – Android, taki jak ty, łatwo może popełnić błąd, bo ma mniejsze rozeznanie w kwestiach biologicznych. Wyjątek jest jeden: gdyby ktoś chciał skrzywdzić kapitana i rzeczywiście mu zagrażał, możesz go powstrzymać. Nawet musisz. Powiedz teraz szczerze, czy twój pierwszy Dominant bił żonę i dzieci?

– Jeśli zasłużyli. Zawsze mówił, że to dla ich dobra, by wiedzieli, że tak postępować nie można.

– Rozumiem. Dario to zły człowiek, Raino. Ma, jakby to powiedzieć, popsute układy logiczne. Wiem, że zmuszając szeregowego McBride do mówienia chciałaś tylko pomóc, ale zwyczajnie na przyszłość nie rób takich rzeczy. Niech ludzie sami załatwiają swoje sprawy.

– Chyba żeby ktoś chciał uszkodzić pana Kirka, prawda?

– Dokładnie tak – Etta wcale nie miała pewności, czy robi dobrze, ale chciała zostawić Rainie możliwość obrony kapitana, na wszelki wypadek. – Zrozumiałaś to, prawda?

– Tak, panno Solis, Etta.

– Tylko „Etta”. Tak jest poręczniej. Gdybyś miała jeszcze jakieś pytania, zawsze możesz przyjść i spytać. Chciałabym, żebyś uważała mnie za przyjaciółkę.

Raina milczała przez chwilę. Jej słodka twarz pozostawała nieruchoma, jedynie długie rzęsy lekko drżały, zdradzając ruch powiek. Wyraźnie usłyszała słowo, które było jej znane, ale którego nie umiała zastosować do otrzymanych danych.

– Przy-ja-ciół-kę – wyskandowała wreszcie powoli i przechyliła lekko głowę na bok. – A czy tak wolno?

– Wolno – zapewniła ją Etta. – Przecież przyjaźnię się z Brentem, to znaczy z Rasmusem. To nie to samo, co relacja z własnym Towarzyszem, ale mimo wszystko miłe. Ja cię Bardzo cię lubię, Raino.

– To ja... – androidka wyraźnie, bardzo po ludzku zawahała się, nim dokończyła. – Mam prośbę. Nauczysz mnie technik masażu ciała i prac domowych?

To było tak nieoczekiwane, że młoda kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Chętnie, ale dlaczego?

– Słyszałam, jak pani doktor mówiła do pani kapral Svensen, że Kirk zasługuje na prawdziwą dziewczynę, taką, która umie wszystko robić. Chcę się nauczyć wszystkiego. Dla Kirka.

Etta pogładziła Rainę po ciemnym policzku, wyczuwając pod palcami delikatną jak jedwab sztuczną skórę. Ta śliczna istota budziła w niej opiekuńcze uczucia, może dlatego, że pamiętała ją, leżącą jak zepsuty manekin krawiecki w magazynie na tyłach ośrodka. A może gdzieś na dnie leżało irracjonalne poczucie wstydu, jakiejś współodpowiedzialności za los Rainy. W końcu Dario Cantoralle był szwagrem Etty.

– Nauczę cię – obiecała. – Nauczę wszystkiego, co chcesz umieć. Odpowiedz jednak na jedno pytanie. Czemu wybrałaś kapitana?

Raina ponownie przekrzywiła lekko głowę i rozchyliła usta w czymś, co przypominało uśmiech.

– To on mnie wybrał – odpowiedziała. – Nie, nie tak. Jeszcze inaczej. Kiedy pan Derkacz powiedział, że już nic więcej nie jest w stanie dla mnie zrobić i musi zająć się inną pracą, Kirk spojrział wtedy na mnie i zapytał: „Raino, czy zostaniesz moją Towarzyszką?” Ja... mnie nigdy nikt nie pytał, czy się na coś zgadzam. On pierwszy.

Mówiła tym samym tonem, co zwykle, w trybie niezobowiązującym, ale Ectie wydało się, że wyczuwa drgającą w nim jakąś niezwykłą nutę.

– Chciałabym, żeby usłyszeli to teraz ci, którzy odmawiają androidom duszy – pomyślała. Kapitan Willner potraktował Rainę tak, jakby była człowiekiem, a ona – jak widać – umiała to docenić. Była mu wdzięczna, co stało się punktem wyjścia do prawdziwego przywiązania. Poczuli się nagle wzruszona, jak tego dnia,

gdy po raz pierwszy dotarło do niej, że Raul naprawdę nie jest świetnie zaprogramowanym robotem, a kimś, kto myśli całkowicie samodzielnie i dysponuje własnymi poglądami na wszystko dookoła. To wtedy zrozumiała, że androidy nie tylko kopiują zachowania ludzi, ale na ich podstawie tworzą własne schematy postępowania. Przykład Rainy potwierdzał tylko tę obserwację.

* * * * *

Chociaż nikt na ten temat nie mówił, wszyscy myśleli o jednym: jak też radzą sobie androidy, ścigające prom uciekiniera. Zajęci codzienną pracą ludzie byli duchem na mostku, przy kapitanie, i mylili się w najprostszych czynnościach. Nawet kucharz zaserwował tego dnia zamiast zwykłej papki obiadowej coś, co przypominało wyglądem żwir, spoistością suchary i okazało się zaskakująco smaczne. Pomylenie poziomu temperatury z poziomem wilgotności w automacie kuchennym spowodowało, że nastąpiło skarmelizowanie części cukrów zawartych w masie, tworząc w rezultacie nową potrawę o słodkawym smaku i chrupkiej konsystencji. Widząc, że ludziom bardzo zasmakowało to nieoczekiwane danie, technik Larson wpisał jego recepturę do bazy i postanowił nie przyznawać się nikomu, że wynalazł je przez pomyłkę.

A Kirk Willner siedział samotnie, wsłuchany w szумы z głośnika łączności i milczał, by nic nie mąciło ciszy tego miejsca, oddzielonego od kokpitu dźwiękoszczelną grodzą. Żaden z androidów nie pomyślał o tym, by skontaktować się z nim podczas samego pościgu. Na razie nie mieli o czym meldować, nie potrzebowali też dodatkowych wytycznych, nie istniał więc powód do nawiązania łączności. Upłynęło osiem długich godzin, zanim na mostku zabrzmiał wreszcie tak bardzo wyczekiwany sygnał wywołania.

Kirk Willner wcisnął pospiesznie guzik odbioru.

– Zespół ratunkowy, meldujcie! – Zawołał do mikrofonu.

Z głośnika zabrzmiał zniekształcony przez szумы głos Raula:

– Mamy kontakt wzrokowy z utraconym promem.

– Opis?

– Silniki są wygaszone. Prom nosi wyraźne ślady uderzenia o jeden z odłamów skalnych, które tu krążą. Próby wywołania pozostają bez odpowiedzi.

– Możecie dostać się do środka bez stwarzania niebezpieczeństwa dla istot biologicznych? – Spytał po chwili kapitan, a do siebie mruknął – Tego brakowało...

Po drugiej stronie zapanowało milczenie, potem Raul odezwał się ponownie:

– Tak, możemy to zrobić, wystrzeliwując rękaw na właz awaryjny i odblokowując go kluczem kodowym.

„Rękaw” była to składana w harmonijkę rura z niezwykle wytrzymałego

materiału, umożliwiającą – dzięki magnetycznemu uszczelniaczowi – stworzenie hermetycznego przejścia między dwoma pojazdami. Wszyscy członkowie załogi, również androidy, ćwiczyli posługiwanie się tym urządzeniem, ale tylko w warunkach ziemskiej symulacji. Kapitan sam nie wiedział, jak by się zachował, gdyby przyszło mu czołgać się przez rękaw z promu do promu, mając świadomość że od żarłocznej, lodowatej próżni oddziela go tylko cienkie tworzywo. Szczęśliwie androidy nie znały uczucia strachu, a panika nie mogła zakłócić ich osądów i działania. Cokolwiek się stanie, postąpią logicznie. Żeby tylko ta logika nie spowodowało mimo wszystko jakiegoś wadliwego działania.

– Uwaga, ekipa ratunkowa – powiedział kapitan do mikrofonu. – Przed podjęciem każdej akcji macie się konsultować ze mną, chyba żeby spowodowane tym opóźnienie działania było niebezpieczne dla ludzi lub akcji. Jak mnie zrozumieliście?

– Konsultować akcję, jeśli nie wymaga natychmiastowego działania. Zrozumieliśmy – odpowiedział Raul. – Przygotowujemy się do wystrzelenia rękawa.

– Kontynuować.

Kirk Willner pomyślał gorzko, że przydałby mu się teraz dobry podgląd do monitorowania tego, co się działo. Niestety wszystko, czym dysponowały Vikingi, miało zbyt małą rozdzielczość, by śledzić na tak dużą odległość coś, co w kosmicznej skali jest tak małe jak prom. Na ekranie czujnika radarowego widział tylko bezosobowe punkty – zielone kropki na tle czerwonych, oznaczających większe odłamy skalne. Kapitan nałożył otrzymany obraz na oficjalną mapę tego wycinka przestrzeni i po chwili zrozumiał, co doprowadziło do katastrofy. Konfiguracja uległa pewnej zmianie wskutek bliskiego przejścia komety. Licencjonowany pilot poradziłby sobie z konieczną korekcją lotu, a Warens zapewne ustawił autopilota według starych namiarów i uznał, że to wystarczy.

– Żeby choć przełączył system na dynamiczny – mruknął Willner do siebie. W jego głosie nie było złości, jedynie zgryzota. Inżynier wyraźnie rozumował z logiką szaleńca – z jednej strony zawierał aparat, z drugiej nie chciał pozbawiać się możliwości przejęcia sterów w każdej chwili. System dynamiczny nie pozwalał na to – autopilot sam prowadził pojazd z punktu A do B, decydując o każdym ruchu bez zasięgania opinii człowieka.

Głośnik szczyknął i na mostku ponownie odezwał się głos Raula:

– Kapitanie, jesteśmy na pokładzie uprowadzonego promu.

– Jaka sytuacja?

– Powłoka utrzymała szczelność, ale nastąpiło wgłobienie fragmentu jednej z płyt w kokpit. Powietrze wykazuje prawidłowe parametry, ale termostat nie działa. Inżynier Warens leży na fotelu pilota. Proszę zaczekać.

Zapadła cisza, potem kapitan usłyszał odległą wymianę zdań, z której nic nie

mógł zrozumieć, widocznie android odsunął mikrofon przenośnego komunikatora od ust. Wreszcie Raul znów zwrócił się bezpośrednio do niego:

– Inżynier Warens nie żyje.

– Na pewno?

– Brak najważniejszych czynności życiowych, oddechu i sygnałów obiegu krwi. Oczy otwarte, nieruchome, źrenice nie reagują na światło. Na ubraniu i wokół ust widoczne zaschnięte płyny ustrojowe. Kończyny wykazują pierwsze oznaki sztywności.

– Rzeczywiście, trudno być bardziej martwym – mruknął do siebie kapitan, a na głos dodał. – Czy prom na pewno jest szczelny?

– Na pewno, kapitanie. Rusłana bada właśnie kapsułę. Sygnalizuje, że urządzenie wygląda na uszkodzone. Czujnik jest zepsuty, nie można określić, czy pasażerowie żyją.

– Zatem bierzcie pojazd na hol i wracajcie, tylko wolniej, żeby nie przeciążyć kapsuły. Może da się ich uratować. Nic więcej i tak nie możecie zrobić. Kierujcie się od razu do Vikinga 02, będzie tam czekał doktor Gongadze z ekipą medyczną.

– Tak jest, kapitanie.

Sekcja zwłok wykazała, że John Warens zginął wskutek chwilowego przeciążenia, które rzuciło go na konsolę sterową. Czas zgonu określono na mniej więcej dziesięć godzin przed przybyciem ekipy ratunkowej, choć tego nie można było być stuprocentowo pewnym wskutek wyiębienia wnętrza pojazdu. To samo przeciążenie uszkodziło termostat oraz sterownik kapsuły hibernacyjnej. Na pokładzie Vikinga 02 dokonano awaryjnego otwarcia hibernatora, przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności. Było jednak za późno, by uratować Leilę Sabatini, drobną brunetkę o wschodnich rysach twarzy. Badając dokładnie wnętrze kapsuły i zapis z rejestratora doktor Gongadze odtworzył przebieg wydarzeń: powstałe w momencie zderzenia z meteorem przeciążenie i wstrząs spowodowały omyłkowe uruchomienie procedury szybkiego budzenia. Do tlenu, którym oddychała pasażerka, układ kontroli wpuścił antidotum na gaz anastetyczny, które spowodowało częściowe wybudzenie kobiety. Wciąż otumaniona, ale już na wpół przytomna Leila ściągnęła odruchowo maskę i zachłysnęła się wodą, wypełniającą kapsułę.

Sześciomiesięczny David Sabatini na pierwszy rzut oka również nie rokował większych nadziei. Zespół doktora Gongadze podjął się jednak reanimacji dziecka i udało się przywrócić, a następnie ustabilizować funkcje życiowe małego.

– Jeszcze nie wiwatujemy – powiedziała doktor Xiao na zebraniu, gdy podsumowywano całą sytuację. – Dziecko jest w bardzo ciężkim stanie. Ma

uszkodzone płuca, a wskutek niedotlenienia mogła u niego wystąpić retinopatia. Jeśli przeżyje, może zostać inwalidą. Nie wiem, czy w tej sytuacji jest sens utrzymywać go przy życiu.

– Może zostać, ale nie musi – zaproponowała Etta.

– Niebezpieczeństwo jest bardzo duże – poparł koleżankę doktor Linde. – Robimy, co możemy, ale...

Potrząsnął głową z powątpiewaniem.

– Właśnie. Czy w naszej sytuacji jest sens utrzymywać przy życiu niepełnowartościowego osobnika? – Spytała Xiao.

– Coś pani taka cięta na to maleństwo? – Parsknął major LaVer. Stał pod ścianą, założywszy potężne ramiona na szerokiej piersi i przyglądał się wszystkim spokojnie, jakby ich pilnował. Doktor Xiao zeszywniała.

– Jestem lekarzem – oświadczyła. – Mam klasę przydatności zawodowej A3 i nie będę tłumaczyć się żadnemu żołnierzowi.

– Dobrze, ale czy trzeba od razu usypiać to dziecko?

– Woli pan, żeby cierpiało?

– Niech pani nie dramatyzuje, mały nie cierpi, a jest szansa, że będzie w miarę zdrowy.

– Co pan o tym może wiedzieć?

– Spokój! – Zażądał kapitan. – Co to, przedszkole? Panno Hornet, pani zdaje się chciała coś powiedzieć.

Oczy wszystkich obecnych – także tych z wideołącza – zwróciły się na Weronikę. Dziewczyna chrząknęła z zakłopotaniem.

– To, co powiem, jest tajemnicą o znaczeniu globalnym, ale w naszej sytuacji mogę chyba się tym nie przejmować. Otóż już dawno temu wprowadzono technikę blokady odwracalnej u zerowców. Departament Demograficzny liczy na to, że po rekultywacji zniszczonych terenów i zwiększeniu produkcji żywności można będzie dopuścić do urodzin większej ilości dzieci...

– Jakich? Kalekich?! – Krzyknęła z pasją doktor Xiao.

– Niekoniecznie. Być może słabszych fizycznie, ale mogących w przyszłości samodzielnie funkcjonować.

– Po co?

Weronika ponownie westchnęła. Trudno było mówić o tych kwestiach, ale skoro zaczęła, nie zamierzała się wycofywać.

– Nie wiem, czy któreś z was obecnych zwróciło uwagę na pewien fakt – powiedziała. – Nasze społeczeństwo rozwija się technicznie i naukowo, ale powieliła tylko otrzymane wzorce. Od dawna nie mamy nowych, rzeczywiście rewolucyjnych wynalazków. Sztuka uległa całkowitej stagnacji. Właściwie nie ma między nami poetów, malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy, mamy tylko to, co odziedziczyliśmy po przodkach. Dzieje się tak dlatego, że sami eliminujemy ludzi,

u których ciało jest słabsze, za to silniejsza wrażliwość i fantazja. Przyroda wszystko rozkłada równo. Jeśli ktoś ma zdrowe i sprawne ciało, precyzyjny umysł, raczej nie zostanie artystą. Artyzm we krwi to rodzaj kompensacji niedostatków fizycznych, słabości, z którymi człowiek musi się zmagać. A kultura, moi państwo, to na dobrą sprawę jedyne, co odróżnia nas od zwierząt. Dlatego Departament liczy na to, że przy wzroście ilości zasobów będzie można nieco rozluźnić rygory czystości genetycznej i tym samym dać szansę, by znów pojawili się na Ziemi malarze, wizjonerzy i poeci.

– Co za bzdury. – prychnął wzgardliwie doktor Linde. MacLean O’Leary uniósł lewą brew.

– To nie bzdury – rzekł spokojnie. – Milton wcześniej oślepl, Toulouse Lautrec był odrażającym kaleką, Guy de Maupassant chorował psychicznie. James Watt miał tak słabe ciało, że chcąc mu dopomóc skonstruował pierwszą maszynę parową. A Stephen Hawking, genialny astrofizyk z przełomu XX i XXI wieku, cierpiał na stwardnienie zanikowe boczne. Nie mógł poruszać się ani mówić, a mimo to pracował, tworząc wspaniałe rzeczy. Przykłady można by mnożyć. Mało który artysta był całkiem zdrowy na ciele i umyśle. My stworzyliśmy społeczeństwo zdrowe i silne, ale niewiele różniące się od roju owadów. Brakuje nam tego, czym dysponowali nasi przodkowie – pierwiastka duchowego.

– Zaraz, co pan proponuje? Utworzenie jakiegoś azylu dla inwalidów utrzymywanych z łaski państwa po to, by patrzeć, czy nie wykluje się tam jaki talent do mazania farbą po płótnie? – Spytał sceptycznie Ian Callum. O’Leary uśmiechnął się ze smutnym politowaniem.

– Panie Callum, jest pan typowym produktem współczesności – powiedział. – Niech pan sobie wyobrazi, że traci pan rękę lub nogę i nie może jej pan zastąpić elektroniczną protezą,. Mogę się założyć, że doprowadziłoby to pana do samobójstwa. A kiedyś tacy ludzie nie tylko żyli, ale umieli jeszcze pracować, śmiać się i tworzyć. Widziałem przepiękne, realistyczne obrazy, wykonane za pomocą pędzelków trzymanyh w ustach lub palcach stóp przez osoby pozbawione rąk. Ludzie w ten sposób malowali i pisali, bo nie mieli protez. Niewidomi czytali, dotykając wypukłych kropek opuszkami palców i poruszali się sprawnie po mieście, używając laski do wyczuwania przeszkód lub polegając na zwierzęciu szkolonym w roli przewodnika. Elektroniczne kamery wszczepiane w oczodół nawet im się nie śniły, ale nie załamywali się, tylko żyli dalej. Byli znacznie silniejsi niż my. Bardzo wiele wynalazków, które dziś uważamy za oczywiste, powstało celem skompensowania braków fizycznych twórcy lub bliskiego mu człowieka.

Teraz w sali konferencyjnej wybuchł taki harmider, że aby go opanować, kapitan musiał wstać i huknąć pięścią w stół. Ludzie byli oburzeni, wręcz

zszokowani. To, o czym mówili Weronika i doktor O'Leary, stało w jaskrawej sprzeczności z wpajanymi ludziom od dziecka wartościami i oceną zjawisk społecznych i to do tego stopnia, że poczuli się zagrożeni. Kategoryczny rozkaz kapitana przywrócił jaki taki porządek i Weronika mogła mówić dalej:

– Nie zrozumieliśmy się, moi państwo. Chodzi jedynie o to, by nie eliminować każdego słabego dziecka, tak jak się to teraz robi. Takie dziecko wyrośnie na człowieka chorowitego co prawda, ale samodzielnego, a jego umysł może przewyższać wszystko to, co mamy.

– Pozwólcie, że coś wtrączę – odezwała się Etta. – Znam problem, o którym mówi Weronika. Nie jest żadną nowością w historii ludzkości. Dawno temu istniało potężne państwo, które nazywało się Sparta. Jego obywatele prowadzili tak rygorystyczną politykę zdrowia społecznego, że przeżyć mogły tam tylko najsilniejsze dzieci. Skutkiem tego Spartanie byli społeczeństwem znakomitych wojowników, ale w końcu ulegli narodowi filozofów, artystów i naukowców, Ateńczykom. Stało się tak, bo Spartanie nie mieli wśród siebie taktyków wojskowych, którzy potrafiliby opracować nowe strategie wojenne ani wynalazców, mogących usprawnić uzbrojenie. Konkretnie ludzi z wyobraźnią. Mieli tylko żołnierzy, doskonałych wykonawców rozkazów i nieustraszonych, lecz tępych wojowników. Jednostki twórcze eliminowali, jak się okazało, zaraz po urodzeniu. Tak więc Sparta, choć dysponowała najsilniejszym i najzdrowszym społeczeństwem antycznego świata, przestała w końcu istnieć, pokonana przez słabeuszy o lotnych umysłach.

Zapadło krótkie milczenie.

– Kiedyś wszyscy się bili ze wszystkimi – odezwał się wreszcie biolog Callum. – Teraz nie mamy wojen. Sytuacja jest zupełnie inna.

– Tak, to prawda. Sądzę jednak, że nie będzie dobrze, jeśli zapomnimy, co to właściwie znaczy być ludźmi. Program doboru genetycznego jest wielkim osiągnięciem, jednak należałoby może rozluźnić nieco rygory. Jestem nauczycielką klas podstawowych. W ciągu tych kilku lat, gdy pracowałam w szkole, ani razu nie widziałam dziecka, które potrafiłoby narysować coś w sposób zdradzający jakieś własne spojrzenie świat. Były bardzo utalentowane w dziedzinie nauk ścisłych. Kilkoro umiało po jednorazowym przeczytaniu lub usłyszeniu jakiegoś tekstu wyrecytować go bezbłędnie, nawet jeśli go nie rozumiały. To skutek suplementacji acetylocholinowej w odpowiedniej fazie życia płodowego, niektórych rodziców na to stać. Jednak żadne nie układało wierszyków ani bajeczek, choć lubiły, gdy im coś opowiadałam. To właśnie efekt naszej sterowanej ewolucji. Dla nas liczy się tylko ktoś sprawny fizycznie i zdrowy intelektualnie. Kiedyś mawiano, że każdy człowiek jest ważny. Każdy.

– Pewnie dlatego tak wielu ludzi umierało z głodu, nędzy i chorób – mruknął sarkastycznie doktor Gongadze.

Doktor Xiao zwilżyła małe, pełne wargi czubkiem języka.

– Powiedzmy, że tak jest – rzekła. – Czy jednak mamy poświęcić wszystko, co osiągnęliśmy, w imię takich idei? Przypominam, że ludzkość zapłaciła ogromną cenę za dawną bezmyślność w kwestii rozmnażania.

– Nie, oczywiście że nie – odpowiedziała Weronika. – Jednak nie rezygnujemy tak szybko z jednostki, która może być przydatna, choć może w inny sposób niż myślimy. Mózg chłopca pozostał nienaruszony, prawda?

– Prawda. To niezwykle, ale mózg tego dziecka nie ucierpiał.

– Zatem dajmy mu szansę. Będzie miał gorszą wydolność oddechową, ale nie musi być sportowcem. Jeśli nie będzie widział, sama skonstruuję implanty wizyjne do wszczepu. Mamy wszystkie potrzebne do tego materiały, a ja dysponuję niezbędną wiedzą i narzędziami. Do licha, przecież tak właśnie się robi, gdy ktoś straci wzrok!

– No owszem – doktor Xiao zawahała się i spojrzała pytająco na Tengiza Gongadze. Ten wzruszył ramionami. Być może myślał teraz o Timmy’ m i dziękował w duchu Wielkiemu Przedwiecznemu, że szaleniec nie zabrał kapsuły z jego synkiem. Na miejscu małego Davida mógł być teraz Timmy, a całe to zgromadzenie decydowałoby w tej chwili o jego życiu i śmierci. Wolał nawet nie rozważać takiej opcji.

– Myślę, że możemy poczekać – rzekł wreszcie ostrożnie. – Uszkodzenie płuc na pewno spowoduje gorszą wentylację w przyszłości, ale nie krytycznie złą. Co do wzroku, to panna Hornet ma rację: ślepotą jest kalectwem, któremu możemy zaradzić nawet w naszych warunkach. Uprzedzam jednak, że gdyby wystąpiły dalsze komplikacje, sam będę głosował za eutanazją. Wszystko ma granice, nawet w naszej sytuacji.

Kapitan skinął głową i potoczył spojrzeniem po obecnych.

– Więc jak? – Spytał. – Dajemy małemu szansę?

Zebrani poszeptali jeszcze chwilę pomiędzy sobą i wreszcie zgodzili się na proponowane rozwiązanie, z zastrzeżeniem, że ostateczna decyzja będzie zależała od rozwoju sytuacji. Potem wszyscy rozeszli się do codziennych zajęć, pilnie kryjąc jedno przed drugim, jak bardzo im ulżyło. Chociaż eliminacja noworodków i niemowląt nie rokujących nadziei była podstawą stabilizacji społecznej, w skrytości ducha mało kto ją akceptował. Pewnie dlatego tak pilnie przestrzegano badań prekoniunkcyjnych i później prenatalnych. Łatwiej pogodzić się z utratą wczesnego płodu niż z uśpieniem niepełnosprawnego dziecka.

XII.

Przez następne dwa tygodnie na wszystkich statkach mówiło się tylko o stanie zdrowia małego Davida. Chłopczyk toczył zaciętą walkę o życie, lekarze dyżurowali przy łóżeczku pacjenta dwadzieścia cztery godziny na dobę, panikując lub wpadając w euforię przy każdej zmianie odczytów. Jednocześnie technicy żywieniowi próbowali rozwiązać inny problem, nie mniej ważny niż wyleczenie dziecka: czym je karmić, gdy zostanie odłączone od kroplówek? Nic z tego, czym dysponowali, nie było przewidziane dla niemowląt, zatem trzeba było z dostępnych składników zsyntetyzować odpowiednią odżywkę. Do pracy nad tym włączyli się biolodzy i chemicy. Odżywka musiała mieć nie tylko odpowiedni skład, ale i smak, który przypadłby do gustu tak małemu dziecku.

– Wszyscy mamy nadzieję, że David Sabatini przeżyje – pisała Etta w kronice. – Jednak wygranie walki o życie malucha to dopiero część zadania medyków. Trzeba jeszcze odpowiednio się nim opiekować i utrzymać w dobrej kondycji do czasu, gdy zajmą się nim wybrani koloniści. Nadal też nie wiemy, jak dalece będzie sprawny.

Przerwała zapis. Tak, tego nikt nie mógł przewidzieć. Co prawda wyprawa dysponowała znakomitymi lekarzami, na wyposażeniu była też najlepsza aparatura medyczna, ale niestety spoczywała w ładowniach. Ambulatoria na statkach miały tylko to, co mogło okazać się potrzebne dorosłym. Szczęśliwie cybernetycy zdołali przystosować dostępne aparaty tak, żeby mogły podtrzymywać krążenie i oddech chłopczyka, ale i tak nie było dobrze. Potrzebna była komora hiperbaryczna, i to ze specjalnym osprzętem, a że jej nie było, lekarze zadowalali się manipulacją przy ciśnieniu powietrza w prymitywnym namiocie tlenowym. Dla tak małego ciała mogło to wystarczyć, ale nikt za to głowy nie dawał. Niepostrzeżenie cierpiące dziecko stało się dla wszystkich niczym ktoś w rodzaju dawnego „syna pułku” – nie było ani jednego człowieka w pięciu załogach, który by nie interesował się żywo jego losem. Nawet cyniczny jak zawsze MacLean O’Leary dowiadywał się codziennie o jego stan. Również doktor Xiao, choć głośno mówiła, że nie lubi dzieci, a „cały ten eksperyment” uważa za absurdalny, cały czas myślała o małym Davidzie i bezustannie szukała sposobu, żeby mu pomóc.

A jeśli maluch rzeczywiście nie będzie sprawny, to co wtedy? Kim się stanie? Etta nie była taka znów pewna głoszonych teorii, choć pisała o nich pracę magisterską, za którą dostała nagrodę im. Tacyta. Udowadniała w niej, za pomocą ścisłych wyliczeń statystycznych i opierając się na biografiami wielkich pisarzy, że stagnacja w literaturze spowodowana jest przez sterowaną płodność rodzaju ludzkiego. Eliminacja wadliwych genów somatycznych spowodowała zanik wyobraźni abstrakcyjnej – ludzie nie odczuwali teraz potrzeby kompensowania własnych słabości za pomocą wymyślonych historii. Literatura dnia dzisiejszego skurczyła się do pisanych seryjnie kryminałów i romansów, natomiast bardzo

rozwinął się rynek poradników i podręczników popularnonaukowych. Ludzie chętnie korzystali z ogromnych zasobów literackich sieci bibliotek elektronicznych, zaczytywali się dawnymi powieściami i wierszami, ale właściwie nikt teraz nie umiał napisać czegoś, co byłoby podobne do tamtych dzieł. Czy naprawdę działo się tak dlatego, bo w dzisiejszym świecie nie było ludzi słabych?

Etta westchnęła ciężko.

– Proszę! – Odpowiedziała na pukanie do drzwi.

Do kwatery wszedł ociężałym krokiem kapitan Willner. Wyglądał na bardzo zmęczonego, oczy miał podkrążone, a rysy twarzy ściągnięte.

– Pisziesz o tym małym, prawda? – Spytał, siadając obok Etty.

– Muszę. Przecież to kronika.

– Wiem. Nie jestem pewny, czy podjąłem dobrą decyzję co do tego dziecka. Boję się, że to za wcześnie.

– Co za wcześnie? – Etta spojrzała ze zdumieniem na kapitana. Siedział obok, zwisiwszy głowę i wcale teraz nie wyglądał na charyzmatycznego przywódcę wyprawy ku gwiazdom.

– Ludzie nie są jeszcze gotowi na zmianę sposobu myślenia. Wykład o Sparcie na pewno ich poruszył, ale to nie starczy.

– Są spłoszeni. Myślą, że ktoś na górze chciałby powrotu do dawnego dzikiego rozrodu. Wiem, że nie chodzi o to, przyznam jednak, że i mną wstrząsnęły rewelacje Weroniki.

– Niepotrzebnie. Z tego, co mi mówiono, Departament chce dopuścić do kontrolowanego rozrodu tak zwanych pograniczników, na razie na próbę. Jeśli statystyka będzie po ich stronie, wszyscy na tym zyskają. W końcu wszystko wszystkim, ale ujemny przyrost naturalny nie jest teraz dla ludzkości korzystny.

„Pogranicznicy” byli to ludzie, u których przydatność genetyczna wahała się między zdecydowanym zerem a jedynką. Nie do końca było wiadomo, jak ich traktować, więc na wszelki wypadek dostawali grupę zero. I stawali się wyrzutkami, jak oni.

– Ech, pieprzone życie – szepnął nagle kapitan z rozpaczą i spojrzał na siedzącą obok dziewczynę. – Nigdy nie chciałaś mieć rodziny? Własnych dzieci?

– Pytanie – szepnęła Etta. – Niby dlaczego poszłam do pracy w sektorze oświaty podstawowej? Kocham dzieci, ale nigdy nie będę matką. Nie wolno mi. Jestem jak uschła gałąź.

Willner objął ją bez słowa i przytulił do szerokiej piersi.

Raul stał w korytarzu przy drzwiach. Przechodzący ludzie nie zwracali na niego uwagi, natomiast on śledził ich uważnie, choć niezauważalnie. Był czujny, jak zawsze.

– A co będzie z nami? – Spytała stojąca obok Raina, podnosząc na niego swe sarnie oczy – Jeśli będą razem, co się z nami stanie? Nie będą nas potrzebować.

– Będziemy dalej z nimi – odparł Raul. – Uwierz, zawsze będą nas potrzebować. Nie są tacy jak inni ludzie Traktują nas jak równych sobie, jak prawdziwych przyjaciół.

– Zostawią nas.

– Nie zostawią. Raina, czy ty w ogóle nie rozumiesz ludzi?

Androidka pokręciła sztywno głową.

– Nie, nie rozumiem – przyznała bezradnie. Raul przytaknął ruchem powiek.

– Zauważyłem to już dawniej. Dam ci książkę Rivasa o ludzkim behawioryzmie. To pomoże ci w relacjach.

– Ale ja...

– Co?

– Nie umiem czytać.

Gdyby Raul mógł odczuwać podobne emocje, na pewno by się zdziwił. Jako android mógł jedynie poczuć się lekko zbity z toku rozumowania.

– Czy pan Derkacz tego nie zauważył?

– Nie pytał o to i nie dawał mi książek. Tylko rozmawiał.

– To nic. To rzecz do nadrobienia. My wszyscy bardzo szybko przyswajamy wiedzę. Sam cię nauczę.

– Myślałam, że nie wolno mi się uczyć.

– Wolno. Nawet trzeba. Jeśli mamy być w pełni przydatni, musimy umieć czytać.

– Mój pierwszy Dominant zabraniał mi się uczyć.

– Zapomnij o tym.

– Wiesz, że nie mogę.

– Wiem. To tylko takie ludzkie sformułowanie. Oznacza, że masz o tym nie myśleć. To przedawnione. Teraz twoim Dominantem jest Kirk Willner. On chyba niczego ci nie zabrania.

Raina milczała przez chwilę.

– Jaki jest? – Ponaglił ją łagodnie Raul. Spojrzała na niego.

– Nigdy nie krzyczy. Mówi zupełnie inaczej niż pan Cantoralle czy pan Derkacz. Jest inny niż oni. On mnie zauważa. Nie chcę od niego odchodzić. Gdy przy nim jestem, wszystko jest... jakoś... tak jak być powinno.

– Stworzyliście zatem więź, której nie miałaś z tamtymi. Pierwszy był brutalny, drugi postrzegał cię jak zadanie do wykonania. Dla kapitana jesteś prawdziwą Towarzystką.

Milczeli teraz oboje, póki nie dołączył do nich Rasmus. Jego precyzyjny umysł doszedł już do równowagi po ataku sobowtóra Kovacsza, choć pozostały mu pewne luki w pamięci. Doktor O'Leary tłumaczył to uszkodzeniem kilku

mnemonów, których z przyczyn technicznych nie można było wymienić.

- Szukam kapitana Willnera – powiedział.
- Jest u mojej Dominy – odparł Raul. – Jeśli to nic pilnego, poczekaj.
- Poczekam. Mam czas, Weronika kazała wrócić dopiero w porze obiadu.

Umówiła się z majorem LaVer.

- Są teraz razem?
- Chyba tak. Często teraz są razem.
- Czy major akceptuje twoją obecność? – Spytała Raina. Rasmus spojrział na

nią żółtymi oczami niemal ze zdziwieniem.

- Nie przeszkadzam gdy chcą być ze sobą, zawsze wychodzę.
- Pytam, czy major nie wolałby, żebyś nie był Towarzyszem Weroniki.
- Czemu miałyby mu to zawadzać? Jestem asystentem Weroniki, pracuję z

nią.

- Ludzie cenią wyłączność posiadania.
- Co to ma wspólnego z nami?

Raina wstrząsnęła się, jakby szarpnęło ją wyładowanie elektryczne. Potem zeszytywniała, a jej oczy znieruchomiały jak u lalki.

– Po co ją tu przywlokłeś? – Wyrzuciła nagle z siebie obcym głosem. – Na co ci sztuczna kochanka? Masz rodzinę! Wybieraj, albo ja w tym domu, albo ona!

– Raino...

– Zamknij się! Tu rządzą ja i ma być, jak mówię! Chcesz, żebym cię ukarał?

Tego chcesz?

Raul podniósł do ust komunikator.

– Doktorze O’Leary, tu Raul 209C. Mamy problem wymagający pana wiedzy – powiedział. – Jesteśmy pod drzwiami panny Etty Solis. Czy mógłby pan tu przyjść?

– Zaraz będę – odpowiedział zwięźle głos doktora. Niedługo potem w korytarzu zjawił się O’Leary, potargany, bosy i w niedopiętym mundurze. Widać było, że dopiero co wstał z łóżka.

– Co jest? – Spytał zwięźle.

– Z Rainą dzieje się coś dziwnego.

Cybernetyk przyjrzał się androidce, która wciąż stała nieruchomo, wpatrzona w martwy punkt i nie reagująca na próby zwrócenia na siebie uwagi.

– Ktoś coś jej powiedział?

Wyciągnął z kieszeni małą latarkę i zajrzał w źrenice Rainy. Raul powtórzył dokładnie treść rozmowy, modulując głos tak, by wyróżnić, kto co mówił. Bezbledne zapamiętywanie wszystkiego, co się dookoła działo, było jedną z bardzo przydatnych cech androidów.

– Hmm... mamy tu wyraźną niekompatybilność zakodowanej informacji z okresu kształtowania świadomości z informacjami otrzymywanymi obecnie – rzekł

po chwili O'Leary. – Coś, co andropolicycy nazywają konfliktem dogmatycznym. Mała jest zdezorientowana, nie umie zdecydować, co ma odrzucić.

– Czy Raina się zawiesiła? – Spytał Rasmus.

– Na szczęście nie. Jest tylko splątana. Zaraz temu zaradzimy. Pilnujcie jej.

O'Leary ruszył szybkim krokiem do kwatery, skąd wrócił po chwili z niewielkim urządzeniem, przypominającym antyczną krótkofalówkę. Była to przetwornica, służąca do przekazywania androidom bezpośrednich sugestii – sprzęt bardzo zaawansowany i używany wyłącznie przez cybernetyków. Starannie ustawił częstotliwość, po czym powiedział do mikrofonu:

– Raino, cokolwiek mówił pierwszy Dominant, ulega z tą chwilą deaktualizacji. Wszystko, co odtąd usłyszysz, jest ważniejsze niż to, co słyszałaś dotąd.

Raul i Rasmus zasłonili uszy dłońmi, gdy tylko przetwornica zaczęła pracować, zmieniając słowa doktora z strumień cyfrowej informacji, nadawanej na paśmie poddźwiękowym. Bardzo niewielu specjalistów znało częstotliwość, na jakiej należy nadać przekaz, by android uznał zasłyszaną wiadomość za priorytetową. Równie niewielu miało dostęp do odpowiedniej aparatury.

Usłyszawszy przekaz Raina przestała wreszcie wpatrywać się w pustkę, zamrużyła powiekami i zwróciła wielkie oczy na doktora. Ten objął ją i pogładził po kędzierzawej głowie.

– Wszystko w porządku, mała – powiedział.

– Czemu pan Derkacz od razu tego nie użył? – Spytał Rasmus

– Ponieważ to urządzenie stosuje się tylko w przypadkach wyjątkowych – odpowiedział O'Leary. – Jest nieetyczne. Widzicie, prawo nie nadąża za rozwojem technologii, zresztą nie po raz pierwszy w historii ludzkości. Wskutek tego andropolicycy musieli wypracować własny kodeks etyczny i przestrzegać go, bo lepiej niż ktokolwiek inny wiedzą, że mają do czynienia nie z jakimś wyjątkowo skomplikowanym mechanizmem, a ze świadomą istotą.

Pomyślał nagle o czytanych dawno temu pamiętnikach Henry'ego Karpinsky'ego.

– Dziś rano przeżyłem szok – pisał wielki uczyony. – Okaz L34, postawiony przed lustrem, uniósł rękę i odgarnął włosy do góry, by bardziej przypominały moją fryzurę. Wiedziony impulsem podałem mu grzebień. Użył go, trochę niezgrabnie, ale jednak! Wygląda na to, że L34 przekroczył magiczną barierę. Wie, że obraz w błyszczącej powierzchni to on, a to znaczy, że ma świadomość własnego ja.

– Co może być nieetycznego w pomocy, udzielonej jednemu z nas? – spytał Raul. Doktor spojrział na niego, zaskoczony takim zrozumieniem wypowiedzianych przez niego słów.

– Nie o to chodzi – odparł po chwili. – Rzecz w tym, że za pomocą tego

urządzenia andropologik może przejąć kontrolę nad zachowaniem i nad myślami androida. Tak nie wolno.

– Dlaczego? Jeśli w ten sposób chce pomóc.

– Zbyt łatwo byłoby nadużyć tej furtki. Dlatego laicy nawet nie wiedzą o istnieniu takiego urządzenia i lepiej, żeby nic o nim nie wiedzieli, bo...

Urwał, gdyż w korytarzu pojawił się jeden z pielęgniarzy.

– Jest źle – rzekł ponuro. – David Sabatini ma zapaść. Nie widzieliście kapitana?

Tym razem ustabilizowanie malca zajęło lekarzom całe trzydzieści sześć godzin. Cały zespół medyczny, zgromadzony na Vikingu 02, walczył o jego życie, wychodząc z założenia że skoro raz podjęto trudną decyzję o ratowaniu chłopca, należy to robić do ostatka. Na wszystkich statkach zapanowała nerwowa atmosfera – przez półtorej doby nikt nie spał, czekając na jakiegokolwiek wiadomości z centrum medycznego. Nawet doktor Xiao, choć nie omieszkała powiedzieć „A nie mówiłam?”, cały czas była na nogach, wyczekując na choćby najmniejszą wiadomość z Vikinga 02. Była dużo bardziej zdenerwowana, niż wszyscy sądzili. O’Leary, zaszedłszy do sekcji medycznej, zastał ją płaczącą przy służbową biurku.

– Czyżbyś aż tak się przejęła stanem tego dzieciaka? – Spytał ze zdziwieniem. Nie spodziewał się takiego widoku.

– Oczywiście! Naprawdę sądzisz, że nie mam serca? – Zgnębiona Chinka rozszlochała się jeszcze mocniej i w końcu cybernetyk musiał długo ją pocieszać.

Szczęśliwie czyhająca przy dziecku śmierć jeszcze raz zdecydowała się usunąć na bok i lekarze odetchnęli z ulgą. Od tego dnia stan małego Davida zaczął się systematycznie poprawiać, zaś wszystkie działy powróciły do swoich zadań, mocno zaniedbanych w tym okresie wielkiego niepokoju. Od razu też wyszło na jaw coś, czego nikt nawet nie podejrzewał – John Warens jakby nigdy nie istniał. W bazie danych były o nim jedynie szczątkowe informacje i to te najmniej ważne.

– To przechodzi wszelkie granice! – Krzyknął kapitan, gdy otrzymał wiadomość. – Czy w wydziale kontroli wewnętrznej siedzą sami idioci?! Najpierw oszust, co się podszył pod Kovacsa, teraz to znowu!

– Jakiś wytrawny haker grzebał przy tych danych – wyjaśnił główny informatyk Pavlov. – Vanka i Casseres usiłują coś odzyskać.

– Jakież poszlaki?

– Na razie żadnych. Jak tylko będziemy coś mieli, od razu pana zawiadomię.

Jedno ustalono dość szybko: John Warens na pewno nie był sabotażystą. Raczej – choć wydawało się to niewiarygodne – był kimś w rodzaju pasażera na gapę, którego przerosła oczekiwana przygoda. Nie podszywał się pod nikogo. Jego DNA zgadzało się z profilem bazowym, tyle że właściwie nic nie było wiadomo o

człowieku, od którego pochodziło. Urodził się, ukończył szkoły i to wszystko. Żadnej wzmianki o miejscu pracy czy szkoleniu. Dopiero od momentu zgłoszenia się Warensa do Ośrodka Doboru Kadr zaczynały pojawiać się krótkie notatki. Po kilku dobach wytężonej pracy informatycy odzyskali wreszcie część danych, które wprawiły ich w osłupienie. Okazało się, że John Warens naprawdę nazywał się Gianni Sabatini i był mężem zmarłej Leili.

– Nie całkiem – dodał Vanka, który przekazywał wiadomości kapitanowi. – Byli rozwiedzeni. Warens zmienił nazwisko legalnie tuż przed złożeniem podania do Kierownictwa Ośrodka. Jako powód podał że „nie chce, by coś mu przypominało o byłej żonie”. Niekarany sędownie, brak wpisu o leczeniu psychiatrycznym, wzorowy przebieg nauki i praktyk, nie miał więc z tym żadnych kłopotów.

– Czy Leila Sabatini zapisała się do programu przed czy po nim? – Spytał kapitan. Vanka przebiegł palcami przez sensorową klawiaturę.

– Dziesięć tygodni wcześniej – odparł krótko. – I na dwa tygodnie przed złożeniem przez Sabatiniego podania o zmianę nazwiska.

Kirk Willner pokręcił głową. Tym razem nie miał do czynienia ani z sabotażem, ani z zaniedbaniem komisji – i zaczynał odczuwać litość nad człowiekiem, który pomimo braku przekonania co do wyprawy gotów był na wszystko, by ocalić byłą żonę i synka. Z jego punktu widzenia działał logicznie, szkoda tylko, że wysnuł fałszywe wnioski i podjął nieprawidłowe działania.

– Dobrze, że choć ten mały ocalał – pomyślał. – Ale szkoda, że nie udało się uratować matki.

– I jeszcze jedno, kapitanie – przerwał jego rozmyślania Vanka. – Dostaliśmy wreszcie odpowiedź z Ziemi w sprawie sobowtóra. Sprawdzili jego DNA w bazie. Naprawdę nazywa się Ivo Hasek i pochodzi z nowozelandzkiego miasta Golden Praha. Jako dziecko uczestniczył w HPCSE, Hiperpotencjal Children Special Education, programie specjalnego szkolenia dzieci z wyjątkowo wysokim IQ. Licencjonowany pilot cywilny, zwolniony z pracy z powodu konfliktowego charakteru. Odmówił poddania się terapii. Dwukrotnie aresztowany za działalność wywrotową.

– Ładny ptaszek. Coś jeszcze?

– A nie wystarczy, kapitanie?

Willner zamyślił się. Skoro więzień był aż tak inteligentny, to może można by go było przekonać? Byłby wtedy cennym członkiem kolonii. Niewątpliwie można było użyć którejś z tak zwanych „twardych technik psychoterapeutycznych”, ale nie chciał posuwać się do ostateczności. Ingerowanie w czyjąś świadomość wydawało mu się ohydne, niezależnie od sytuacji i nie chciał się na to decydować, choć zespół medyczny wyprawy dysponował odpowiednią aparaturą i chemikaliami.

– Dlaczego, kapitanie? – Spytała Weronika ze zdumieniem, gdy podczas obiadu zwierzył się obu przyjaciółkom ze swego wahania. – To bezpieczne procedury i powszechnie stosowane.

– Kiedyś, gdy byłem dopiero porucznikiem, jeden ze znajomych mojej matki okazał się mordercą – odparł ponuro Willner. – Śmiertelnie zranił żonę w przystępie zazdrości. Istniały poważne okoliczności łagodzące: próbował ją potem ratować, dzwonił na pogotowie, dano mu więc do wyboru: egzekucję lub twardą psychoterapię. Wybrał to drugie. Zrobili z niego kalekę. Pracuje teraz w jakimś małym, państwowym zakładzie dla byłych więźniów i nie opuszcza terenu przyzakładowego. Boi się otwartej przestrzeni, nie patrzy w oczy podczas rozmowy, nic go nie interesuje, nic nie cieszy. Poza pracą śpi lub siedzi na ławce i patrzy tępo w przestrzeń, pijąc puszkowe piwo. To już nie jest życie, to wegetacja. Kiedyś to był żywiołowy facet, często się śmiał, uwielbiał wspinaczkę, grał w drużynie hokejowej i co tydzień brał udział w jakimś turnieju. Widziałem go raz po terapii i więcej bym się na to nie odważył.

– Cóż, to morderca – mruknęła cicho Etta.

– To, co mu zrobiono, to też morderstwo, przynajmniej w moim odczuciu. Widzicie, dziewczęta, nie jestem bynajmniej ideałem, ale mam zasady, których nigdy nie łamię. Osobowość istoty ludzkiej, nawet zła, nawet spotworniała, to rzecz nietykalna. Gdy trzeba kogoś stracić, powinno się to odbyć z zachowaniem maksimum szacunku dla niego jako dla odrębnej istoty ludzkiej. Twarda psychoterapia odbiera człowiekowi godność.

– Niektórzy ludzie mają wspólny z pojęciem człowieka tylko wygląd.

– Wiem. I też uważam, że należy ich usuwać ze społeczeństwa, ale nie zmieniać w kadawry albo, jak kiedyś bywało, trzymać całymi dekadami w klatce, gdzie ulegali dalszemu zezwierzczeniu. To niegodne istot cywilizowanych.

– Kiedyś uważano, że nie wolno nikomu odbierać życia. To była podstawa systemu społecznego – Etta wyskrobała z miseczki resztę obiadu i odłożyła łyżkę. – Sądono, że prawo nie może sankcjonować tego, czego jednocześnie zabrania całemu społeczeństwu. Nie zabijaj to nie zabijaj. Trzeba było setek lat, by wprowadzono zapis o „prawie do operacji na tkance społecznej”. Zapis w Nowej Konstytucji, mówiący że morderca jest to skupisko zrakowaciałych komórek, które trzeba usunąć dla dobra organizmu, był chyba najzjadlejszym atakowanym zapisem z początków Nowej Ery.

– Ludzie nie wiedzieli, co dla nich dobre – Weronika spojrzała na swoją porcję gorącej pasty i skrzywiła się. – Mam wyżej uszy tego znormalizowanego święństwa. Larson robi co może, a i tak wszystko smakuje podobnie. Jak odpadki. I pachnie też podobnie. Jeśli znajdzie się wolna kapsuła, to chyba się w niej położyć.

Wszyscy, nie tylko ona, mieli dość jednostajnego pożywienia i nieprzyjemnej w smaku wody, której większa część pochodziła z obiegu

zamkniętego. Kolektory atomowe sprawdzały się dobrze, ale ich wydajność była niewielka. Świeża woda stanowiła jedynie dodatek, wydawany w małych ilościach. Nikt jednak nie narzekał. Pod tym względem androidy miały niezaprzeczalną wyższość nad ludźmi. Nie potrzebowały pożywienia ani płynów, nie musiały nawet oddychać. No i z pewnością nie szkodziła im kosmiczna radiacja. Choć statki były ekranowane, ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że warstwy ochronne nie odcinają całego promieniowania. Był to jeden z powodów, dla których do wydziału astronautyki od początku rekrutowano niemal wyłącznie zerowców – nie było niebezpieczeństwa, by napromieniowanie gonad odbiło się niekorzystnie na późniejszym potomstwie. Koloniści w kapsułach byli bezpieczniejsi niż załoga. Chronił ich dodatkowo materiał, użyty na powłokę hibernatorów – masa plastyczna o wysokiej zawartości soli ołowiu – oraz warstwa wody wewnątrz. Na szczęście spali. Nie musieli zmagać się z problemami lotu ani jeść koncentratów, a gdy się obudzą, nie będą nawet świadomi tego, ile czasu upłynęło.

– Mowy nie ma, jesteś nam potrzebna – burknął kapitan. – Jeśli cię to pocieszy, to nasza żywność jest pod względem smaku dużo lepsza niż wojskowe racje.

– Tak źle was karmili w wojsku? – Zainteresowała się Etta. Rozmowa zeszła na temat, który ją bardzo interesował – sposobu życia służb mundurowych, ignorowanych przez cywilne społeczeństwo. Najchętniej zapomniano by o ich istnieniu, choć to oni ocalili ludzkość i nadal ją chronili.

– Żołnierzy obowiązuje dyscyplina ciała i umysłu. W koszarach nie ma obżerania się przysmakami. Jedynie w święta można liczyć na coś extra, tak to dostaje się zupę, prasowane koncentraty i suszony substytut mięsa. Smakuje jak tektura, ale zawiera wszystkie potrzebne składniki i zero szkodliwych substancji – wyjaśnił Willner. – Żołnierz musi być zdrowy, więc nie je niczego, co zatruwa organizm, a niestety tak już jest, że to, co nie jest korzystne, najbardziej smakuje. Solone chrupki, słodczyce, tłuste dania.

– Litości, kapitanie, za chwilę rozum mi się pomiesza – westchnęła boleśnie Weronika. – Zabiłabym za kotlet z tłuszczem i lody. Nie nadaję się na żołnierza.

– A kto się nadaje? – Etta skończyła obiad i oparła podbródek na rękach. – Zawsze byłam ciekawa, na jakich zasadach rekrutujecie nowych.

Kirk Willner uśmiechnął się.

– Sami przychodzą – odparł. – Kto naprawdę chce, ten drogę znajdzie. Uwierz, nie jest ich wcale mało.

Weronika uniosła brwi z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wy dwie, jakby to powiedzieć, jesteście zerówkami i na pewno przeszłyście swoje, ale mimo to można powiedzieć, że wzrastałyście niejako pod kloszem. Wasi rodzice pochodzą z klasy uprzywilejowanej. Nie miałyście

większych problemów, łatwo dostałyście się na studia, nigdy nie zastanawialiście się, jak opłacie rachunki. Nie wszyscy mają ten komfort.

Etta milczała. Wiedziała, o czym kapitan mówił. Obywatele z obrzeży miast, gdzie lokowano robotników i ich rodziny, zawsze wydawali się jej ludźmi niesprawiedliwie potraktowanymi przez los. Przeważnie charakteryzowali się niskim IQ i z tego powodu nie mogli pracować w bardziej eksponowanym zawodzie, a to przekładało się na niższe zarobki i mniejsze przydziały. Jeśli ich dzieci miały większe możliwości intelektualne niż rodzice, było im trudniej utrzymać się do ukończenia studiów. Nieraz musiały jednocześnie uczyć się i pracować. Czyżby z tej warstwy wywodziła się większość żołnierzy?

– Często do punktów rekrutacyjnych zgłaszają się ludzie, którzy po prostu nie widzą sensu w życiu – ciągnął kapitan. – Bywa, że taka decyzja jest podejmowana przez małżeństwo, a wtedy dzieci automatycznie wychowywane są na członków armii. Podobnymi zasadami rządzi się policja. Wasze życie, dziewczynki, cokolwiek by o nim nie mówić, zawsze miało sens możecie więc tego nie rozumieć.

Do stolika podeszła kapral Svensen.

– Wybacz pan, kapitanie, ale ten podrabiany Kovacs chce z panem mówić – powiedziała.

– Rychło w czas się zdecydował, świtkiem pod południe – parsknęła Weronika. Kapitan uciszył ją krótkim spojrzeniem.

– Już idę – powiedział, wstając od stołu. – Kazałem dać temu ancymonkowi trochę materiałów źródłowych do poczytania, może zmądrzał.

– Zobaczmy – mruknęła Weronika. Włożyła do ust następną łyżkę papki obiadowej i przełknęła, starając się nie krzywić zbyt. Najchętniej zrezygnowałaby w połowie posiłku, ale byłoby to nierozsądne – żywy organizm potrzebował pokarmu w odpowiedniej ilości i trzeba było go regularnie dostarczać, nawet jeśli smak spreparowanego pożywienia dawno wszystkim obrzydł.

Kirk Willner wszedł do kwatery podpułkownika Kovacsa, zamienionej na tymczasowy areszt. Mimo wszystkich problemów, jakie przysporzył wyprawie Ivo Hasek, dowódca współczuł mu z powodu tego zamknięcia, na pewno wyjątkowo przykrego dla czynnej natury. Jeśli wszyscy uczestnicy wyprawy cierpieli z powodu klaustrofobii, tym bardziej musiała się dać we znaki nieszczęsnemu więźniowi, zamkniętemu w malutkiej kabinie i pozbawionemu nawet możliwości spacerów. Jednak kapitan nie miał wyboru. Nie mógł ryzykować wypuszczenia sabotażysty na wolną stopę.

– Chciał pan o czymś porozmawiać? – Spytał oficjalnym tonem, stając w drzwiach. Ivo Hasek podniósł głowę znad czytnika książek.

– Owszem – odparł. – Chciałem zadać dość ważne pytanie: czy pan

naprawdę wierzy w to, że uda się stworzyć funkcjonującą kolonię na tej mitycznej planetce, zakładając, że istnieje i nadaje się do życia?

Kirk Willner wszedł do kwatery Kovacsa, a drzwi zamknęły się za nim z lekkim syknięciem. Nie spuszczać oczu z rozmówcy przysunął składany stołek i usiadł.

– Pytanie wydaje się źle sformułowane – rzekł. – Moja wiara lub niewiara nie mają znaczenia. Otrzymałem rozkaz i wykonam go. A prywatnie...

Zawahał się. Nie miał pewności, czy powinien to mówić, jednak spojrzenie więźnia budziło w nim nieokreślone wyrzuty sumienia.

– Prywatnie panu powiem, że jeśli Patris nie istnieje, nie starczy nam paliwa na powrót. Jednak to mało prawdopodobny scenariusz. Gdyby nie pole wytlumiające dysku Schoumakera, Jewel została odkryta dawno temu. Przez wieki odczytywano ją jako zakłócenia odbioru, bliki na teleskopach optycznych czy zanieczyszczenia obiektu, ale technika posunęła się naprzód. Teraz mamy świadomość, że ta gwiazdka jest tam i że ma własny układ planetarny.

– Wiemy też, że ma przed sobą krótkie życie.

– Krótkie w skali astronomicznej. Jednak dla nas 25 tysięcy lat stabilizacji to bardzo dużo. Dość, żeby znaleźć rozwiązanie najpoważniejszych problemów.

– Kapitanie – przerwał Hasek. – Nie zdołamy dolecieć w rozsądnym czasie na żadną rozsądną odległość. Na przeszkodzie stoją podstawowe prawa fizyki i biologii. Szybkość nadświetlna jest teoretycznie możliwa, ale nawet jeśli zdołamy ją osiągnąć, to żadna złożona materia jej nie przetrwa. Dla zabicia czasu obliczałem możliwości statków i doszedłem do niewesołych wniosków. Nie opuścimy danego nam przez los zakątka Drogi Mlecznej w jednym kawałku.

– Niech pan to zostawi naukowcom – poradził mu Willner. – Mamy jedynie zorganizować kolonię dla tego kawałka ludzkości, który jest pod naszą opieką. Po to, by przetrwała, jeśli dojdzie do zagłady Ziemi.

Więzień opuścił wzrok na czytnik. Wyglądał na zmęczonego. Był bardzo blady, a pod jego oczami wystąpiły ciemne kręgi.

– Jeśli stracimy Ziemię, stracimy też wszystko, o co warto walczyć i dla czego warto żyć – rzekł wreszcie bardzo cicho, z beznadziejnym smutkiem. Potem oparł czoło na złożonych rękach i gorzko zapłakał.

Kirk Willner nie wiedział początkowo, jak ma zareagować. Wreszcie pochylił się i dotknął ramienia Haska.

– Ta wyprawa nie ma nic wspólnego z walką o bezpieczeństwo Ziemi – rzekł. – Jesteśmy rodzajem Świętej Arki, depozytem dla przyszłych pokoleń, wysłanym na wszelki wypadek. Czytał pan Biblię?

Więzień uniósł głowę i spojrzał na niego z bezmiernym zdziwieniem.

– Przecież to książka z indeksu dzieł zakazanych. Tylko historykom wolno czytać traktaty religijne.

– Oczywiście, ale nie czarujmy się, przecież obaj jesteśmy dorośli. Ludzie, szczególnie w cielecym wieku, od tysiącleci najbardziej lubią robić to, czego nie wolno, a wszyscy byliśmy kiedyś młodzi. No więc czytał pan czy nie? Pytam nieoficjalnie.

– Trochę. Kolega kiedyś przyniósł nielegalną kopię Pierwszej Księgi.

– Legendę o Noe pan zna?

– Tak

– Zatem coś panu pokażę.

Kapitan podszedł do panelu łączności wizyjnej, odblokował wstukując kod autoryzacyjny i wybrał czterocyfrowy symbol jednego z pomieszczeń ładowni. Na ekranie ukazało się coś, co przypominało wielką szafę z tysiącami miniaturowych szufladek i setkami pomrujących kontrolki. Zaintrygowany Hasek wstał i podszedł do monitora.

– Co to?

– Chłodnia. Każda z przegródek zawiera próbki z zestawem pełnej puli genowej dla danego gatunku zwierzęcia lub rośliny. To nowa Arka. Za pomocą tych próbek można, wykorzystując organizmy dowolnych żyworodnych samic, odtworzyć pogłowie ssaków, a dysponując stworzeniami jajorodnymi – ptaków i gadów. Możemy sprawić, że wybrana planeta zaroi się od motyli i wazek lub że wyrosną tam ziemskie stokrotki.

Kapitan ponownie stuknął w klawisze i na ekranie pojawił się inny obraz – zestaw nośników pamięci różnego kształtu i rodzaju.

– Cała wiedza i wszystkie dokonania ludzkości. Historia planety Ziemia i każdej znanej cywilizacji.

Więzień wzruszył ramionami i odszedł od panelu.

– Bez odpowiednich urządzeń do odtwarzania cała ta pańska kolekcja jest bezużyteczna – powiedział, siadając na koi. – Są tacy, którzy utrzymują, że całą podstawową wiedzę podarowali jaskiniowym Ziemianom kosmici. Jeśli mają rację, to niech pan pomyśli, co z tego wynika. Kto wie, co mogli zostawić, tyle że nikt tego później nie był w stanie odczytać. Co zrobiliby starożytni Grecy z choćby zwykłym pendrive’em? Powiesiliby sobie na szyi?.

– Mamy odpowiednie urządzenia i schematy, opracowania wydrukowane i zatopione w duropląście, niemal niezniszczalne. Jeśli będzie trzeba, wryjemy je w metalu i kamieniu, by przyszłe pokolenia wiedziały, co robić.

– Gdyby historia zatoczyła koło, archeolodzy za dziesięć tysięcy lat uznają owe wspaniałe schematy za malowidła rytualne ku czci jakiegoś bóstwa. Niechże pan będzie poważny. Już po upływie dwóch, no niechby trzech pokoleń nastąpi regres cywilizacyjny i wkrótce potem całą pańską pulę genową będzie można wyrzucić na śmietnik, bo nikt nie będzie wiedział, jak naprawić chłodnię ani co zrobić z próbkami.

– Straszny z pana czarnowidz, panie Hasek.

– O, wie pan już, jak się nazywam? Gratulacje. Jakie to ma jednak znaczenie? Człowiek to nie tylko nazwisko, tak samo jak jakaś zbieranina to nie część ludzkości, a co najwyżej początek czegoś zupełnie nowego. Może mnie pan tu trzymać, aż oszaleję, a i tak nie zmieni to faktów. Prowadzi pan tych nieszczęśników na zatracenie.

Kapitan odetchnął głęboko i policzył w myślach do dziesięciu.

– To pana zdanie – rzekł po chwili, gdy się uspokoił. – Moje jest inne, a kto ma rację, to i tak się okaże dopiero za kilkadziesiąt lat. W każdym razie powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że koloniści to nie przypadkowi gapie, a bardzo starannie dobrani przedstawiciele różnych zawodów. Plan migracji został opracowany tak, by dorobek ludzkości był w kolonii chroniony, przechowywany i rozwijany. Przez całe dekady pracowali nad tym ludzie mądrzejsi niż pan czy ja. Czemu nie zaufa pan w ich dobrą wolę?

Ivo Hasek spojrział na niego z wahaniem. Widać było, że jest w rozterce i nie wie, co powiedzieć. Wychowywano go na członka organizacji pro–ziemskiej, od dziecka przesiąkł ideami głoszącymi, że człowiek w żadnym wypadku nie powinien porzucać ojczystej planety. Jego ugrupowanie wykonało kawał dobrej roboty po to, by mógł zająć miejsce Imre Kovacza i przeprowadzić akcję sabotażową, ale ta nie dała spodziewanego rezultatu. Kawalkada nie zawróciła, a on został schwytany. Jego pomocnicy wpadli jeszcze wcześniej i mieli to szczęście, że zostali odesłani. Wyszedł na całej sprawie najgorzej.

– Niech mnie pan wypuści – poprosił. – Nie będę bruździć.

Kirk Willner spojrział ze współczuciem.

– Choćby chciał, nie mogę – odparł. – Ludzie panu nie zaufają, a nie mogę pozwolić sobie na dopuszczenie do stanu powszechnej paranoi. Musi pan jeszcze wytrzymać. Uwolnimy pana w kolonii.

– Jeśli kiedykolwiek powstanie...

Drzwi kwatery rozsunęły się i stanął w nich de Bernal.

– Kapitanie, chciałem zameldować, że za trzy godziny wejdziemy w obszar pasa Kuipera – powiedział. Willner spojrział ze zdumieniem na zegarek.

– Rzeczywiście! Proszę poczekać, pójdziemy razem na mostek. Po drodze niech pan nada komunikat, że za kwadrans walne zebranie.

Wyłączył panel komunikacyjny i zablokował.

– Proszę wziąć się w garść – zwrócił się surowo do więźnia. – Jeszcze dziś przedstawię załodze propozycję, by mógł pan korzystać ze spacerów, ale nie mogę zrobić dla pana nic więcej.

– Tak przypuszczam – mruknął gorzko Hasek. Nie wydawał się być przekonany.

XIII.

Większość załogi Vikingów miała dość mgliste pojęcie o tym, czym jest pas Kuipera. W czasach nauczania specjalizacyjnego mało kto wiedział więcej, niż wymagała tego praca którą wykonywał i pozycja społeczna. Program wiedzy ogólnej był okrojony do minimum i nie obejmował kosmologii, a w skład załogi nie wszedł ani jeden astrofizyk. Jedynie piloci posiadali drobiazgową wiedzę na temat budowy układu słonecznego i najbliższych okolic. Kapitan Willner zaczął studiować astronomię dopiero na pokładzie statku, używając do tego zabranych z Ziemi podręczników i tylko dzięki temu miał jakieś pojęcie o tym, co meldowali piloci. Nauka szła mu tym łatwiej, że z wykształcenia był inżynierem, miał więc ścisły umysł. Teraz świeżo nabyta wiedza pomagała odpowiadać na pytania, którymi zasypywali go członkowie załogi podczas zebrania informacyjnego.

– Dysk Schoumakera został nazwany na cześć wielkiego uczonego z XX wieku. Jest składową częścią pasa Kuipera, jak inne dyski, ale zawiera materiał odmienny niż reszta tej formacji – wyjaśniał cierpliwie. – Pas ma strukturę podobną do pasa planetoid między Ziemią a Marsem, ale składa się z obiektów raczej lodowych, nie skalnych. To głównie zestalone gazy. Jednak dysk Schoumakera to inna bajka. Wytlumia wszelkie sygnały, dlatego tak długo nie wiedziano o istnieniu Jewel.

– Czy to prawda, że istnienie mikrogwiazdy, w dodatku tak blisko o słońca, przeczy prawom fizyki? – Spytał Ian Callum. Jego szare oczy płonęły ciekawością. Kapitan wzruszył ramionami.

– Nasze słońce jest karłem – odparł. – Jego oddziaływanie jest relatywnie niewielkie, a Jewel to maleństwo. Bliskość nie jest więc problemem. Raczej sam fakt istnienia. Nie, nie sądzę, żeby to przeczyło prawom fizyki. Raczej któregoś z tych praw ludzie jeszcze nie poznali.

– Żeby to jednego – mruknął sarkastycznie O’Leary. On jeden nie przejmował się zbyt dyskiem, minigwiazdą ani innymi takimi rzeczami. Przyjmował sprawy takimi, jakie były i nie zastanawiał się nad nimi. Jego umysł pochłaniały zupełnie inne kwestie, daleko mniejsze, ale za to nieskończenie bliższe – problemy sztucznej inteligencji. Androidy stworzono po to, by służyły ludziom, ale MacLean O’Leary, praktykujący cybernetyk, służył androidom. Tym żył, to stanowiło cel wszystkich jego działań – pomagać tym dzieciom ludzkości, którym odmawiano często nawet miana żywej istoty. To prawda, że nie spełniały pewnych kryteriów życia. Ich syntetyczne ciała nie znały przemiany materii, nie mogły się też rozmnażać. Jednak ich umysł pod wieloma względami nie ustępował człowieczemu i to, zdaniem a-etyków, wystarczało by podnieść ich status.

Przeciwnicy rozwiązań prawnych argumentowali, że postrzeganie androidów jako istot „ludzkich” wynika z ich zewnętrznej powłoki – wyglądają jak ludzie, i automatycznie niektórzy tak ich traktują. Jeden z andropologów przeprowadził więc eksperyment określany kryptonimem Kappa-504. Wybranemu losowo człowiekowi z listy oczekujących na Towarzysza podarowano – pod pretekstem rekompensaty za „przypadkowe wykasowanie akceptacji władz” – sztuczny umysł zamknięty w kolorowym pudełku zaopatrzonej jedynie w aparat komunikacji głosowej. Po jakimś czasie przeprowadzono badania psychometryczne. Okazało się, że człowiek będący obiektem eksperymentu przywiązał się do gadającego pudełka niczym do żywej istoty i odmówił proponowanej mu później zamiany „niepełnowartościowego gadżetu” na typowego androida.

Oto, co zaprzętało głowę doktora O’Leary. Jednak znajdował się teraz na pokładzie jednego ze statków, które wiozły kolonistów na nieznaną planetę i musiał choć trochę interesować się szczegółami technicznymi wyprawy.

– Jeśli dysk Schoumakera emituje jakieś pole wytłumiające, to jak porozumiemy się z centralą, gdy go przekroczymy? – Spytał. Kirk Willner dotknął panelu wyświetlacza i nad stołem pokazał się trójwymiarowy, holograficzny obraz – mapa tego sektora przestrzeni.

– To jest dysk – kapitan zakreślił laserowym wskaźnikiem odpowiedni obszar. – A tutaj, w odległości tysiąca kilometrów od jego krawędzi, ale dalej od Ziemi niż o prawie dwie świetlne minuty, znajduje się automatyczna stacja przekaźnikowa Michio 2, wystrzelona przed rozpoczęciem badań nad Patris. Bez niej nic byśmy nie wiedzieli. Lądujące na planecie automaty przesyłały meldunki oraz pakiety danych do stacji, a ona automatycznie przekierowywała je na Ziemię. System okazał się skuteczny, zatem i my na tym skorzystamy.

– Czy stacja działa w obie strony? – Spytała obecna na wideołączu Aisha Bahrani.

– Oczywiście, pani inżynier. Inaczej byłaby praktycznie bezużyteczna.

– A czy nie jest rzeczą możliwą, że przesłane rzekomo przez sondy badawcze i automaty dane zostały sfingowane? – Spytał sceptycznie doktor Linde. Jego chłopięca twarz, widoczna na jednym z wyświetlaczy, wyrażała sceptycyzm i kapitan wiedział, dlaczego. Po aferze z sobowtórem Kovacsza Linde zamówił rozmowę na kodowanym paśmie i przyznał się Willnerowi, że jeszcze na studiach należał do organizacji Zielony Październik. I że do tej pory nie może pozbyć się wątpliwości. Kapitan docenił odwagę lekarza i szczerść, zachowując to wyznanie dla siebie.

– Raczej nie – odparł. – Gdy tylko stacja Michio znalazła się w zasięgu, ściągnąłem umieszczone w jej pamięci dane. Wszystko się zgadza. Zdjęcia ukazują, zresztą popatrzcie.

Ponownie dotknął przycisków. Trójwymiarowy ekran ukazał gęszcz drzew przypominających ziemskie, rozległe równiny porośnięte roślinami, góry, rzeki i wielkie jeziora.

– Patris nie ma oceanów, jak Ziemia, ani nawet mórz – kontynuował kapitan.
– Prawdopodobnie niektóre z jezior są słone, ale pozostają jeziorami. To młoda planeta, jeszcze dość pierwotna. Astronomowie sądzą, że jest to glob przechwycony przez Jewel.

– To możliwe technicznie, takie przechwycenie?

– Oczywiście. Tryton, jeden z księżyców Neptuna, został przechwycony właśnie z obiektów pasa. Ziemia powstała z materii naszego słońca, podobnie jak inne planety układu, ale Jewel to inny twór niż Sun, nie miałby dość budulca, by stworzyć własne planety. W każdym razie ta mikrogwiazda przygarnęła niejako w obręb swojej grawitacji trzy skalne bryły, które stały się jej planetami. Są to Cesarea, Patris i Eppia. Cesarea jest najbliższej Jewel i nie ma atmosfery, bo jest zbyt mała, by ją utrzymać. Patris znajduje się w tak zwanym paśmie ekologicznym, czyli mogło rozwinąć się na niej życie i, jak widać, skorzystało z tej możliwości. Eppia to największa z planet systemu Jewel i najchłodniejsza. Ma grawitację 2.5 g, zaś atmosfera jest dość gęsta. Na niej też może istnieć życie, aczkolwiek nie badano, jakie. Nie było po co, dla nas się nie nadaje.

– Jest piękna – szepnęła komandor Cyra Lavell. Tengiz Gongadze uniósł małego Davida, by i on popatrzył, jednak chłopczyk nie wykazał zbytniego zainteresowania. Pozostali milczeli, oczarowani zdjęciami miejsca, które miało stać się ich domem. Jedynie Leonard Derkacz wydawał się być zatroskany.

– To środowisko, o którym praktycznie nic nie wiemy – rzekł. – Nie mamy pojęcia, z czym się zetkniemy. Czy jesteśmy odpowiednio dobrze przygotowani?

– Tak. Na tyle, na ile mogliśmy zostać przygotowani. – odpowiedział kapitan. – Nie da się przewidzieć wszystkiego. Mamy jednak pełen zestaw aparatury naukowej, medycznej, inżynierskiej, no i własne mózgi. Historia ewolucji życia na naszej planecie pokazuje, że w walce o przetrwanie ludzki mózg był bronią skuteczniejszą niż kły, pazury i zwały mięśni, a nawet przewaga liczebna.

– Są tam duże zwierzęta? – Spytał trzeźwo podpułkownik Borden.

– Nie wiem. Organizmy złożone tam powinny istnieć, sądząc po wynikach analizy składu powietrza i gruntu, jednak automaty nie sfotografowały zwierząt naziemnych. Te, które robiły zdjęcia formacji chmur, uchwyciły coś podobnego do klucza ziemskich ptaków. Coś więc tam żyje, choć co dokładnie, nie wiemy.

– Automaty nie zdołały odpowiedzieć na to pytanie? – Zdziwił się Voznansky. O’Leary parsknął śmiechem.

– Wyślij pan na nieznaną planetę najbardziej specjalistyczny automat i sześćoletnie dziecko, a zobaczymy, kto prędzej znajdzie dowód na istnienie życia

- rzekł ironicznie. – Android sprawiłby się pewnie lepiej, ale automat?
- Androidów nie można było wysłać i wie pan, dlaczego. Głównie dzięki takim jak pan.
 - I jestem z tego dumny.
 - Dość. Bez wycieczek osobistych, proszę – uciął gniewnie kapitan. – Ma ktoś jakieś pytania? Nie? To dobrze. Statki zaraz rozpoczną procedurę wytracania prędkości. W obszarze pasa nie możemy lecieć tak szybko jak dotąd, bo niebezpieczeństwo zderzenia jest dużo wyższe niż w tak zwanej czystej próżni. Grawitacja na razie zmaleje, ponieważ jest zależna od przyspieszenia. Będzie wynosić mniej więcej 0.5 g i wzrośnie, gdy kompensatory dostosują pola magnetyczne. To potrwa jakieś...
 - Dwanaście godzin – podrzucił usłudźnie inżynier Ramsay z Vikinga 04.
 - Właśnie. Bądźcie ostrożni i nie zróbcie sobie krzywdy przez ten czas. W warunkach zmniejszonego ciężenia diabelnie o to łatwo.

Hamowanie rozpoczęło się pół godziny później. Jak zauważył O'Leary, było to też co najmniej o pół godziny za późno, gdyż wszyscy odczuli drżenie kadłuba, spowodowane wzmożonym bombardowaniem drobnymi okruchami w tarczy osłonowej. Kapitan, obecny przez cały czas na mostku, śledził niespokojnie odczyty i jednocześnie sprawdzał przez ekran wizyjny szyk pozostałych statków. Wiedział, że w obrębie pasa Kuipera czyha na podróżników największe niebezpieczeństwo. Gdyby osłony, odchylające tor kosmicznego gruzu, przestały działać choć na ułamek sekundy, te maleńkie cząsteczki skał uderzyłyby w powłokę statku i przebiłyby na wylot. Willner nigdy nie uwierzyłby w coś takiego, gdyby nie był świadkiem pokazu, zorganizowanego dla wyższych oficerów w Centrum Lotów Kosmicznych.

– Nie potrzeba wcale kosmicznych prędkości, by narobić szkody – mówił wykładowca, drobny, siwiejący Japończyk, profesor astrofizyki. – Patrzcie: oto zwykła, stearynowa świeczka, a to deska o grubości dwóch i pół cala. Za pomocą urządzenia, które tu widzicie, wystrzelę świeczkę w deskę z prędkością dźwięku, czyli jednego macha.

– Zostaną z niej okruszki. – zawołał wesoło jeden z oficerów. Japończyk uśmiechnął się zagadkowo, po czym włożył świeczkę do lufy urządzenia i wycelował w odległą o kilkadziesiąt metrów deskę. Nacisnął guzik wyzwalacza. Rozległ się huk i w desce otworzyła się nagle poszarpana dziura, z której sterczały drzazgi, niczym zęby jakiegoś groźnego stworu. Wykładowca uprzejmym gestem zaprosił zdetonowanych tym pokazem słuchaczy, by poszli za nim. Razem podeszli do deski i ujrzeni, że po drugiej stronie wisi, uwięziona w eladrurowej siatce zabezpieczającej, niemal nietknięta świeczka. Kilku bardziej sceptycznych podawało ją sobie z rąk do rąk, by obejrzeć, dotknąć i przekonać się, że jest to

najwyklesza świeczka, odrobinę tylko ukruszona na czubku. Profesor uśmiechnął się, widząc ich zdumienie.

– Sami widzicie, szanowni słuchacze, jak bardzo siła rażenia zależna jest od szybkości pocisku. Moglibyście teraz spytać: co nam do tego, to my będziemy w ruchu, nie mikrometeory. Tymczasem jeśli przedmiot A i przedmiot B poruszają się w przestrzeni kursem kolizyjnym względem siebie, to jest sprawą wyboru mówić, który jest celem, a który pociskiem. A to, co napotkacie w przestrzeni kosmicznej, zawsze będzie w ruchu. Wyrażę to bardziej obrazowo: jeśli w nieruchomego człowieka ktoś ciśnie dzidą, zada mu bardzo poważną, być może śmiertelną ranę. Jednak jeśli ten sam człowiek zostanie z identycznym przyspieszeniem i pod takim samym kątem rzucony na trzymaną nieruchomo dzidę, efekt będzie ten sam.

– Siła to masa razy przyspieszenie. Masa dzidy jest stosunkowo niewielka, a masa człowieka... – zaczął jeden z kadetów.

– A co z zasadą, że jeśli ciało A działa na ciało B z siłą F ? – wpadł mu w słowo drugi.

– Moi panowie, mówimy o ciałach poruszających się w próżni. Jest rzeczą oczywistą, że człowiek, rzucony na dzidę, dozna większych obrażeń sumarycznych niż po prostu trafiony dzidą, gdyż grawitacja planety podziała na jego niekorzyść. Jednak w próżni nie ma grawitacji, a rozważamy tu przecież kwestię pojazdów międzyplanetarnych, narażonych na tak zwane „kosmiczne śmieci”. Jeśli statek leci ze stosunkowo niewielką prędkością, mały kamyczek po prostu zrykoszetuje od pancerza. Jednak obecnie osiągnięta szybkość jest dużo wyższa niż to, czym mogli poszczycić się pierwsi astronauty, zdobywający zaledwie księżyc planety Ziemia i taki kamyk może przebić statek od dziobu po rufę. Gdyby nie tarcze i niwelatory przeciążeniowe, nie moglibyśmy nawet marzyć o dalszych podróżach.

Ten wykład miał uświadomić przyszłym dowódcom, jak ważne są osłony. Ich koszt wynosił 1/3 wartości całego statku, a technologia była najbardziej zaawansowana ze wszystkich, użytych przy budowie Vikingów. Przewyższała nawet kolektory, nieprzerwanie zbierające atomy wodoru z mijanej przestrzeni i uzyskujące w procesie ciągłym skroploną parę wodną. Mimo to tarcze nie były niezawodne i dwa razy dziennie każdy z kapitanów osobiście przeprowadzał ich diagnostykę, z drżeniem serca szukając najdrobniejszych odchyłeń od sztywnych norm.

Teraz – w obszarze pasa Kuipera – nawet stuprocentowo sprawne osłony mogły okazać się niewystarczającą ochroną i dlatego trzeba było zwolnić. Jeszcze gorzej być miało, gdy kawalkada osiągnie brzeg dysku Schoumakera. W jego obrębie zamilknie cała łączność, zgasną ekrany wizyjne, pozostanie jedynie kontakt

wzrokowy przez płyty przeziernikowe kokpitów. Te przezroczyste tafle wykonano z syntalu – stopu uzyskanych sztucznie substancji, których skład stanowił ścisłą tajemnicę. Były doskonale przejrzyste i charakteryzowała je niemal nieograniczona wytrzymałość na uderzenia, rozciąganie i różnice temperatur. Tworzywo doskonałe. Jednak syntal miał wadę – trudno go było uzyskać. To dlatego stosowano go wyłącznie w technologii lotów międzyplanetarnych.

Vikingi zwalniały, powoli, płynnym ruchem przechodząc z trzeciej prędkości astronautycznej w drugą, a potem w pierwszą. Wpatrzony w przedni ekran i wbijający palce w oparcie fotela kapitan nie od razu dostrzegł, że dzieje się coś niedobrego: Viking 04 złamał szyk i zaczął wysuwać się na czoło kawalkady.

– Czwórka, co z wami?! Natychmiast zwolnijcie! – Krzyknął do interkomu, gdy wreszcie zorientował się w sytuacji. Z głośnika dobiegły szумы i trzaski, a na ich tle pełen napięcia głos Titosa Brazankisa, głównego pilota Vikinga 04:

– Nie możemy! Ster nie reaguje! Przechodzę na układ wspomagający!

– Wyłączcie silniki, natychmiast!

W głośniku zabrzmiała nagła kakofonia wielu głosów. Piloci poszczególnych statków przekrzykiwali się nawzajem, usiłując pomóc kolegom z Vikinga 04 – Willnerowi zdawało się, że trwa to bez końca, choć w rzeczywistości dramat rozegrał się w ciągu kilkunastu sekund. Pozbawiony sterowności statek zboczył z kursu i otarł się o wielką bryłę kosmicznego lodu. Wybity z trajektorii lotu Viking zakręcił się wokół własnej osi, wytracając gwałtownie prędkość. Jego gładkie dotąd poszycie znaczyło teraz rozległe wgniecenie na prawej burcie, część rufowa pojaśniała od przegrzania metalu, a potem ściemniała, przybierając barwę grafitu

– Wszystkie okręty, cała stop! – Krzyknął kapitan do interkomu. – Drużyny ratunkowe do promów!

Rzucił się do drzwi, otwierając je niecierpliwym uderzeniem dłoni w panel sterujący. W korytarzu niemal wpadł na załogę – wszyscy byli uzbrojeni w zestawy ratunkowe i gotowi do akcji. Pospiesznie wciągali kombinezony ochronne, pomagając sobie nawzajem w dopięciu i zabezpieczeniu czego było trzeba, gdyż niejednemu trzęsły się palce z emocji. Jedynie androidy były spokojne i niewzruszone jak zawsze. Kapitan niemal się uśmiechnął.

– Moi drodzy, doceniam waszą gotowość, ale nie trzeba aż takiej gromady – rzekł. – W końcu z każdego statku ktoś poleci. Biorę ze sobą kapral Svensen.

– Chwileczkę – wtrącił się major LaVer. – Pan jest dowódcą. Nie może się pan narażać.

Willner spojrział na niego ze zdziwieniem, wytrącony z toku rozumowania.

– To jest ujęte w regulaminie i zgodne ze zdrowym rozsądkiem – wyjaśnił LaVer. – Nie może pan przecież nas osierocić. Z jakiegoś powodu to pan jest dowódcą całego kramu, nie komandor Kaori czy Halama. Wszyscy od pana zależyśmy.

– Hmm – kapitan stropił się wyraźnie. – Rzeczywiście ma pan rację. W takim razie to pan dowodzi drużyną. Bierze pantakże Raula i Rasmusa, a co do ludzi, niech pan sam zdecyduje.

Etta zadrżała. Choć wiedziała, jak ważny jest jej Towarzysz w takiej akcji, nie mogła oprzeć się egoistycznej myśli, że najchętniej nie pozwoliłaby mu lecieć. Bała się o niego równie mocno jak o tamtych, uwięzionych obecnie na pokładzie uszkodzonego statku.

– Pójdę z wami! – Zawołała, nim zdążyła pomyśleć, jak to zabrzmie. Sherman LaVer rzucił jej spojrzenie pełne ledwie powściąganego politowania, aż zaczerwieniła się pod jego wzrokiem. Przy nim, mierzącym 185 cm wzrostu i ważącym ponad sto kilo, musiała wyglądać śmiesznie – niska, szczupła, drobnokoścista dziewczyna o prawie dziecinnej twarzy. Co mogłaby pomóc?

– Przykro mi, ale będę potrzebował ludzi silnych i wyszkolonych – powiedział. – Nie, Weroniko, nic nie mów, ty też zostajesz. Obie jesteście w wojsku, bo taki był wymóg misji, ale żadne z was żołnierki, bez urazy.

– Miły jesteś – parsknęła gniewnie Weronika. – Przynajmniej oddaj mi tę przysługę i uważaj na Brenta.

– Na Rasmusa, jeśli już! I raczej na ludzi pan uważaj! – Krzyknęła ze złością doktor Xiao. – Roboty same się o siebie zatroszczą. I jakby coś się działo, to skup się pan na ludziach, bo jeden człowiek wart jest co najmniej stu androidów, które można produkować ile wlezie. I właściwie skąd to imię „Brent”?

– Nie pani sprawa – warknęła Weronika i dodała nagle. – Ale i tak powiem. To imię mego wymyślonego przyjaciela z dzieciństwa. Nazwałam tak Rasmusa, gdy zaczęłam go lepiej rozumieć. Właściwie czemu android nie zasługuje na normalne imię?

– Będę uważać na jednych i drugich, a pani niech się tak nie żołądkuje, bo złość piękności szkodzi – przyciął lekarce LaVer. Następnie podniósł głos do gniewnego krzyku, zwołując wytypowaną drużynę do hangaru promów. Raul i Brent poszli.

– Wie pani, że kiedyś tak właśnie traktowano czarnoskórych? – Zwróciła się Etta do lekarki. – W razie jakiejś katastrofy ratowano ich tylko o tyle, o ile mogli się przydać na plantacji. Rannych dobijano, by nie ponosić kosztów leczenia.

– Co pani tu za farmazony opowiada?! Androidy nie są ludźmi!

– W tych czasach czarnych też nie uważano za ludzi. Byli to tylko Murzyni, ich śmierć uważano wyłącznie za stratę finansową.

Mała Chinka szykowała się do ciętej riposty, gdy kapitan przerwał rodzącą się awanturę krótkim rozkazem:

– Cisza na pokładzie. Na kłótnie będzie czas później. Teraz wszyscy musimy być w pełnej gotowości.

Promy drużyn ratunkowych dotarły do włazów awaryjnych Vikinga 04 w przepisowym czasie. Regulamin zabraniał ponadnormatywnego przyspieszenia nawet w sytuacji zagrożenia życia, a wykładowca, który wbijał załodze poszczególne punkty do głowy, wyjaśnił to krótko:

– Nawet w najgorszej sytuacji pomoc mogą tylko żywi. Martwi na nic się nie zdadzą, a uszkodzony prom nie spełni zadania.

Tak więc, choć pilotom drżały ręce z niecierpliwości, promy leciały do unieruchomionego statku bez przekraczania czerwonego punktu z skali szybkościomierza.

Po dotarciu na miejsce wystrzelono „rękawy”. Oba włazy zostały rozkodowane i drużyny ratunkowe przedostały się kolejno do wnętrza Vikinga. Było tam ciemno. Słabe światła awaryjnych lamp z trudem przebijały się przez kłęby dymu, rozświetlane gdzieś punktowymi wyładowaniami iskier ze spięć w przewodach elektrycznych. Śwąd tłącej się instalacji i uwolnionych ze zbiorników chemikaliów był nie do zniesienia.

– Maski na dzioby – warknął LaVer do komunikatora. – Niech nikt nie waży się zdejmować się swojej, póki nie pozwolę, bo osobiście mordę obję, bez względu na wiek czy płeć.

Wszyscy oprócz androidów zapięli pospiesznie na głowach kaptury ochronne, połączone z maskami tlenowymi i zaczęli przeszukiwać kolejne pomieszczenia, kierowani krótkimi komendami dowódcy. Trzeba było opanować tłący się tu i ówdzie ogień, dokonać oceny uszkodzeń, a przede wszystkim ewakuować załogę. Zajął się tym drużyna z Vikinga 02, gdzie było główne centrum medyczne. Ratownicy wywlekali nieprzytomnych lub oszołomionych ludzi w ich kabin i ze stanowisk służbowych, przeprowadzali lub przynosili przez „rękawy” i układali na zawczasu przygotowanych miejscach. Ciężej rannych przed przeniesieniem na pokład promu kładziono na kompaktowych noszach. Każdy z drużyny miał takie przy sobie – na rozkładanych teleskopowo drążkach była zamocowana bernitowa siatka o wytrzymałości do 150 kilogramów, czyli w tych warunkach wystarczającej aż nadto. Androidy zostały skierowane do maszynowni i przedziału pasażerskiego, Sherman LaVer natomiast razem z dwoma żołnierzami ruszył na mostek.

Ta część Vikinga ucierpiała najbardziej. Uderzenie lodowego meteoru wgniotło poszycie, które jakimś cudem zachowało szczelność, ale za to wewnętrzna struktura korytarza i kokpitu wyglądała teraz jak potrzaskane złomowisko. Na korytarzu klęczało dwóch pilotów. Obaj nie mogli się podnieść, a mimo to próbowali odrzucać kawałki metalu i mas plastycznych, blokujące drogę.

– Raport, żołnierzu! – Krzyknął major, potrząsając jednym z nich. Ten zwrócił ku niemu pokrzwawioną, półprzytomną twarz.

– Brazankis nie żyje – wykrztusił. – Denberry i Krasusky tam zostali.

– Żyją?

– Nie wiem, majorze.

LeVer prychnął gniewnie pod maską i zaczął odrzucać blokujące przejście odłamy. Jeden z żołnierzy sprowadził jakiegoś ratownika i razem zajęli się pilotami, a drugi obserwował poczynania dowódcy, świecąc latarką ręczną.

– Ostrożnie, majorze – ostrzegł, gdy LaVer zaczął zagłębiać się wśród gruzu.

– Jeśli to rumowisko osunie się na pana, będzie klops.

– Wsadź sobie taką radę – mruknął LaVer. Włączył latarkę zamocowaną na kapturze. Do tej pory była zgaszona, by oszczędzać akumulator wbudowany w skafander, ale teraz potrzebował jej, by cokolwiek widzieć.

Mostek przypominał zgnieciony i pokruszony w czyjejs dłoni płat plastiku. Snop światła wydobył z zadymionej ciemności roztrzaskane panele i – w pewnym oddaleniu – niemal nietknięty kokpit za przejrzystą grodzią. Na przednim fotelu leżał człowiek z odrzuconą w tył głową i dłońmi zaciśniętymi kurczowo na dźwigni centralnego wyłącznika. Sherman LaVer od razu pojął, że to pilot Brazankis. Mógł uciec, a jednak został w kokpicie, zatrzasnąwszy awaryjną gródź. Uratował wszystkich, odcinając zasilanie reaktora i wprowadzając go automatycznie w stan jałowy, ale sam zginął wskutek wytworzonego podciśnienia. Jeden z wizjerów bezpośrednich był rozszczelniony. Wystarczyła cienka jak włos szpara między syntalową płytką a obudową, by cenne powietrze uleciało w próżnię, podobnie jak życie pilota.

LaVer odruchowo zsalutował zwłokom Brazankisa i dopiero potem rozejrzał się, szukając kapitana jednostki i pułkownika. Byli tu obaj. Sasha Krasusky właśnie podnosił się chwiejnie na czworaka, kaszląc przeraźliwie, Denberry leżał bez ruchu, przygnieciony wspornikiem jednej z konsol. Po skroni i lewym policzku sączyła się krew. Major złapał Krasusky'ego i mimo oporu zawlókł do wygrzebanego przejścia.

– Ani słowa, teraz ja dowodzę – warknął w odpowiedzi na słabe protesty. – Mori, zabieraj komandora do promu!

– A pan? – Spytał żołnierz, chwytając fachowo chwiejącego się Krasusky'ego pod ramiona.

– To rozkaz! Zjeżdżajcie, kapralu, pókim dobry, bo jaja wam wyrwę! – ryknął LaVer z wściekłością. Młody żołnierz pospiesznie zastosował się do rozkazu, zaś major wrócił do nieprzytomnego pułkownika.

Żeby odrzucić wspornik, a jednocześnie nie naruszyć spiętrzonych kawałków grodzi i urządzeń, musiał wyteńczyć wszystkie siły. Dwukrotnie zdawało mu się, że osypisko zaraz zwali mu się na głowę, jednak poza złowieszcym skrzypieniem nic się nie stało. Uwolniwszy pułkownika obejrzał go dokładnie. Niewątpliwie Denberry był poważnie kontuzjowany, ale żył, a nawet był

przytomny. Potwierdziło to uchylenie powiek, gdy tylko LaVer uniósł jego głowę.

– Sherman, stary koniu – szepnął słabo. – Po coś tu wlaź?

– Sam nie wiem. Skoro jednak tu jestem, wynosimy się stąd obaj.

LaVer podźwignął ciało pułkownika, który krzyknął z bólu.

– Zostaw mnie – wyrzęził. – Tu wszystko zaraz runie i pogrzebie nas, albo poszycie wreszcie pęknie, i tak jestem na straty.

– Uwierz, tak zrobiłbym najchętniej – LaVer, nie zważając na krzyk i jęki, zarzucił sobie Denberry’ego na plecy. – Dobrze mnie znasz i wiesz, że kocham cię jak zarazę, a nie jestem żadnym pieprzonym altruistą. Jednak w naszej sytuacji każdy człowiek jest na wagę złota. I tylko dlatego narażam się, by wyciągnąć stąd twój żaloszny tyłek.

Ostrożnie, by nie otrzeć się o te ze strzaskanych odłamków, na których wspierały się inne, wyniósł pułkownika na korytarz i przekazał ratownikom.

– Niech nikt na razie nie wchodzi na mostek – przykazał. – W każdej chwili wszystko może się tam zapaść. Raport.

– Znaleźliśmy wszystkich – zameldował chorąży Kurosawa z Vikinga 03. – Główny inżynier Ramsay nie żyje, dwóch techników z jego zmiany jest w ciężkim stanie.

– Nie żyje też jeden z pilotów – uzupełnił LaVer. – Na razie jednak nie możemy wyciągnąć ciała. Jakie uszkodzenia?

– Kasza, panie majorze. System oczyszczania powietrza zniszczony, ogrzewanie też. To nie kwestia nałożenia kilku łąt, a robienia wszystkiego od nowa.

– Przedział pasażerski?

– Nietknięty – powiedział Brent, który właśnie nadszedł korytarzem. – Całe oprzyrządowanie kapsuł działa, ciśnienie w środku jest prawidłowe, szczelność utrzymana.

W kłębach dymu, bez skafandra i maski tlenowej, spokojny niczym posąg, wyglądał paradoksalnie jak jedyny człowiek między dziwnymi stworami o wizjerach zamiast oczu i wydłużonym w trąbę pysku.

– To dobrze – LaVer skinął głową. – Czy tutejsze AT są na chodzie? Znaczą, czy działają?

– Tak, panie majorze. Pomagały ratownikom w ewakuacji.

– Doskonale. Zostajecie więc razem z nimi i przeprowadzacie dokładną diagnostykę statku. O jednym przecieku wiem, jest w kokpicie, szukajcie pozostałych. Załatajcie powłokę od wewnątrz i uprzątnijcie mostek, a nade wszystko uważajcie na kapsuły. To póki co wszystko. Wkrótce się z wami skontaktujemy.

XIV.

Pełna diagnostyka uszkodzonego statku nie pozostawiała wątpliwości. Żeby go przywrócić do stanu użyteczności, trzeba by było kilku miesięcy i wyspecjalizowanej ekipy inżynieryjnej, choć nie wszystkie systemy uległy uszkodzeniu. Bez kłopotów pracował podobwód, zasilający przedział pasażerski, wkrótce AT naprawiły też chłodzenie reaktora i można było dokonać próbnego rozruchu. Podjęła się tego Aisha Bahrani i wróciwszy na swój statek mogła zameldować, że wszystko działa bez zarzutu. Pracujący reaktor pozwolił na uruchomienie elektronarzędzi i sterów. Była to pomyślna okoliczność, gdyż na pokładach czterech pozostałych Vikingów nie było miejsca na ponad dwieście indywidualnych kapsuł z „czwórki”. Dzięki temu, że udało się uruchomić reaktor, nim wyczerpały się rezerwowe akumulatory, można było rozważyć inne opcje. Niestety nie było ich wiele. System oczyszczania i cyrkulacji powietrza był bezpowrotnie zniszczony, podobnie jak aparatura do odzysku wody pitnej. Bardzo ucierpiała sieć grzewcza i kolektor wodorowy. Z największym trudem można było

uzyskać na pokładzie uszkodzonego Vikinga temperaturę – 10 stopni

– Pal sześć ten mróz, gorzej, że nie ma tam czym oddychać – zakończył raport Bahrani. – Musimy coś postanowić, bo przecież nie zostawimy chyba kolonistów.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział kapitan. – Jakież sugestie?

Ludzie zebrani w sali odpraw i obecni przy wideołączach poszeptali między sobą nerwowo.

– Naprawdę nie możemy ich jakoś rozdzielić na pozostałe statki? – Spytał wreszcie doktor Linde.

– Wybij pan to sobie z głowy – parsknął inżynier Woznansky. – Brak miejsca i aparatura nie wyrobi. Ledwie załogę upchaliśmy.

Doktor O’Leary chrząknął znacząco.

– Moi państwo – rzekł, splatając palce i opierając łokcie o stół. – Według mnie sprawa jest bardzo prosta. Żaden człowiek nie może poprowadzić Vikinga 04, choć napęd działa i stery działają, a dekompresja została zlikwidowana. Wzięcie statku na hol też odpada, bo naraziłby to dwie jednostki, zamiast jednej. Pozostaje ostatnia opcja.

– To śmieszne! – Zaprotestował gwałtownie pilot Al Salazar z Vikinga 02. – Pan chce, żeby android sterował statkiem klasy Zodiak?!

– Ma pan inny pomysł?

– Nie, ale to przecież absurd!

– W naszej sytuacji i absurd dobry, byle był rozsądny.

Wśród zebranych rozległy się ożywione głosy. Jedni brali stronę cybernetyka, drudzy pilota i wkrótce zrobił się harmider, w którym każdy usiłował przekrzyczeć sąsiada. Kapitan uznał wreszcie za stosowne przerwać spór i zadzwonił trzonkiem noża w blaszany kubek. Na ten dźwięk wszyscy zamilkli, a kapitan zwrócił się do Weroniki:

– Wiemy, że Rasmus umie pilotować prom i że robi to dobrze. Czy poradzi sobie ze statkiem tej klasy co Viking?

Oczy obecnych zwróciły się na Weronikę. Dziewczyna przeciągnęła nerwowo dłonią po ogolonej na zero głowie i wbiła oczy w blat stołu.

– Nie wiem – mruknięła niechętnie. – Trzeba go spytać.

– Spytaamy. Tymczasem chciałbym postawić jasno jedną sprawę.

Urwał na chwilę. Wokół zaległa cisza, w której słyhać było jedynie oddechy ludzi i słaby pobrzęk, sygnalizujący włączony tryb multiodbioru.

– Jesteśmy daleko od Ziemi. Bardzo daleko. Przebyliśmy dopiero połowę trasy i jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Mimo to na pokładach statków pod moim dowództwem wciąż obowiązuje prawo Ziemi a ja jestem od tego, by strzec tego prawa. A zgodnie z nim (nieważne, czy to sprawiedliwe czy nie), Rasmus stanowi własność panny Hornet i to do niej należy decyzja, czy pozwala na

oddelegowanie go w charakterze zastępczego pilota.

Weronika wzruszyła ramionami.

– A mam jakieś wyjście? – Spytała szorstko. – Jeśli nie ma innego sposobu, muszę się na to zgodzić. Przecież nie pozwolę na śmierć kolonistów dlatego tylko, że chcę mieć Brenta przy sobie i że boję się o niego.

– A co może się stać? – Burknęła pogardliwie doktor Xiao. – Niech pani nie robi z siebie większej idiotki, niż to konieczne.

– Dość – uciął kapitan. – Nie jesteśmy tu po to, by się kłócić. Przed nami wiele miesięcy trudnej żeglugi, bo pas jest dość gruby i nie jest to czysta próżnia. Panie de Bernal, pan jest głównym nawigatorem. Co pan sądzi o tym, by Rasmus sterował uszkodzonym Vikingiem?

Camus de Bernal wyglądał w tej chwili na człowieka, który nie wie, co robić. Pewnie nigdy nawet nie podejrzewał, że przyjdzie mu podejmować takie decyzje, a zdawał sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

– Jeśli da się zapewnić łączność w systemie stałym, to czemu nie? – Rzekł wreszcie. – Androidy są bardzo dokładne i systematyczne, choć problem z nimi taki, że nie mają instynktu. W sytuacji, w której logika zawodzi, one też zawodzą. Dlatego potrzebują nadzoru, i to stałego.

– To da się zrobić – powiedział szef informatyków Ivanov. – Ustabilizujemy stałe łącze między kokpitem Vikinga 04 a kokpitem Vikinga 01. Starczy?

– Oczywiście. Dyżurujący pilot będzie w ciągłej łączności z Rasmusem, który chyba nie potrzebuje zmiennika.

– Potrzebuje. Co najmniej raz na dwa dni powinien aktywować samoladowanie, a w tym czasie sam musi być niejako „wyłączony” przez jakieś cztery godziny – wtrąciła się Weronika.

– Niekoniecznie. Może czerpać energię z zasilania konsoli sterów przez moduł dostępu bezpośredniego – rzekł O’Leary. – I myślę, że w tej sytuacji to będzie najlepsze wyjście.

W dalszej dyskusji ustalono, że na pokładzie uszkodzonego statku zostanie też Roy 98D, android Barbry Wong z Vikinga 03. Barbara była inżynierem i wyszkoliła Roya na dobrego pomocnika, mógł więc teraz kierować zespołem AT z Vikinga 04 i dopatrywać maszynowni. Również Rosamunde 305F miała zostać na pokładzie. Jej Dominantem był pilot Brazankis, który wiele ją nauczył. Znała się dość dobrze na aparaturze przedziału pasażerskiego. Obecnie postanowiono nie rozważać, co dalej z nią będzie – póki co miała pilnować kolonistów.

Gdy zamknięto już sprawę pilotażu uszkodzonego Vikinga, zespół medyczny poruszył inną kwestię. Pułkownik Denberry odniósł bardzo poważne obrażenia. Rdzeń kręgowy został uszkodzony w takim stopniu, że nie było nadziei na samodzielne odzyskanie sprawności. Konieczne stało się wszczepienie implantu rdzeniowego, przewodzącego impulsy nerwowe. Taka operacja nawet w

warunkach stacjonarnych była niezwykle precyzyjnym zabiegiem, a na pokładzie statku przeprowadzenie jej wydawało się niemożliwe. Co do samego implantu, Weronika podjęła się złożenia go z dostępnych w zapasach podzespołów. Potrzebowała do tego tylko mikroskopu elektronowego, będącego na wyposażeniu laboratorium i narzędzi, które na szczęście wzięła ze sobą.

– Nie wiem, czy w tych warunkach zdołamy prawidłowo wszystko wykonać – rzekł Tengiz Gongadze z powątpiewaniem. – O skuteczności takiego wszczepu decydują dosłownie mikrony, a szerokość łączonych punktów liczy się w angstromach. Jednak zrobimy, co będzie można.

– Pułkownik wyraził zgodę na eutanazję w razie niepowodzenia operacji – powiedziała Lisbeth Mell, jedyny specjalista neurolog w załodze. – Miejmy jednak nadzieję, że nie dojdzie do ostateczności.

Wszyscy lekarze mieli taką nadzieję. Jednego z ciężiej rannych już stracili – obrażenia były tak rozległe, że nie rokowały szans na odzyskanie sprawności i można było jedynie pomóc mu godnie umrzeć. Od czasu uchwalenia Prawa Własności Ciała lekarz nie mógł odmówić pacjentowi pomocy w zakończeniu życia, jeśli tylko ten wyrażał taką wolę w formie przyjętej przez kodeks cywilny. Wbrew ponurym prognozom wprowadzenie tego prawa nie spowodowało bynajmniej zaniku szacunku dla życia, a przeciwnie. Zaowocowało przyspieszonym rozwojem biotechnologii, likwidującej praktycznie wszystkie kalectwa za pomocą bioprotez i wszczepów przewodzących, gdyż ani naukowcom, ani lekarzom nie uśmiechało się asystowanie przy wspomaganej śmierci. Również badania nad sposobami leczenia chorób przewlekłych typu stwardnienie rozsiane i cukrzyca czy chorób degeneracyjnych nabrały tempa. Z drugiej strony liczba samobójstw wśród przewlekle chorych spadła znacząco. Wiedząc, że w każdej chwili mogą zakończyć trudną egzystencję, pacjenci z reguły odzyskiwali spokój i siłę do walki o każdy kolejny dzień. A medycyna dokładała wszelkich starań, by walkę ułatwić.

W kolonii będzie o to trudniej. Wszyscy wiedzieli. Jednak mieli przynajmniej odpowiednią wiedzę i możliwość stworzenia dobrego zaplecza. Jeśli mogli poradzić sobie z trudnym przypadkiem w warunkach podróży kosmicznej, to na powierzchni planety tym bardziej powinni dać sobie radę. Doktor Gongadze nakreślił nawet plan budowy centrum medycznego. Na zwróconą uwagę, że to za wcześnie, odpowiedział oziębło:

– Kiedyś osadnicy, przybywając na jakieś miejsce, najpierw stawiali obiekt religijny. My postawimy szpital. Będzie na pewno bardziej przydatny.

I kapitan Willner zaakceptował tę propozycję, włączając plan centrum do grafiku pierwszych prac budowlanych na Patris.

XV.

– Od siedmiu miesięcy przemierzamy obszar pasa Kuipera – pisała Etta w kronice wyprawy. – Statek, zniszczony wskutek uderzenia o lodowy meteor, został zabezpieczony i częściowo naprawiony. Pilotuje go android Rasmus 101A, pozostający w stałej łączności z nawigatorami statku dowodzenia. Wśród załogi narasta zmęczenie podróży i panującymi na statkach warunkami. Zapasy easyhalu i opti są na wyczerpaniu. Wspólne pokazy filmowe i wykłady nikogo już nie bawią. Nie możemy doczekać się chwili, gdy będzie można opuścić pokład i stanąć na powierzchni nowej planety. Kobiety marzą o chwili, gdy będą mogły pozwolić odrosnąć włosom, a wszyscy tęsknią do tego, by umyć się w wodzie, choćby słonej.

Rekonwalescencja pułkownika Elroda Denberry przebiegła pomyślnie i obecnie jego sprawność fizyczna nie odbiega od normy. Bioimplant, przygotowany przez Weronikę Hornet, przyjął się i wrósł w tkanki bez żadnych komplikacji. Pozostali członkowie załogi Vikinga 04 również odzyskali zdrowie i sprawność. Ich adaptacja na nowych miejscach przebiegła bez zakłóceń. Nie udało się ustalić, co dokładnie spowodowało awarię konsoli sterów podczas wchodzenia w pas Kuipera, wykluczono jednak kolejny sabotaż. Prawdopodobnie doszło do niekontrolowanego zwarcia, które zablokowało stery. Usterka została usunięta i obecnie podróż przebiega planowo.

Ivo Hasek został wypuszczony na wolną stopę. Znajduje się pod elektronicznym nadzorem i musi nosić niebieski kombinezon zamiast munduru, ale

może poruszać się swobodnie po statku, wyjąwszy pomieszczenia ważne strategicznie. Walne zgromadzenie załogi uznało, że dalsze trzymanie go w zamknięciu byłoby okrucieństwem

David Sabatini rozwija się prawidłowo. Zaczął mówić pierwsze słowa i próbuje sam chodzić, choć ma z tym pewne kłopoty, prawdopodobnie spowodowane wahaniami grawitacyjnymi. Pod względem psychicznym nie odniósł żadnych urazów, jeśli nie liczyć utraty matki, z czego najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy. Pułkownik Gongadze wyraził chęć adoptowania go, gdy tylko koloniści zostaną wybudzeni i jego żona wyrazi zgodę na procedurę przysposobienia. Dla dobra misji, pomimo prawnego rozwodu, doktor Gongadze i Oksana Wysocka postanowili po zakończeniu lotu nadal być małżeństwem, więc będą stanowić pełną rodzinę.

– Panienko Etto, co to znaczy „Irwin”? – spytała Raina. Przyszła do Raula po drugą część „Behawioryzmu ludzi”, ale że go akurat nie było w kabinie, postanowiła zaczekać.

– Hm? – Etta spojrzała na androidkę ze zdziwieniem. – Czemu pytasz?

– Rivas wspominał książkę o Prawie Irwina, ale nie pisał, czemu zostało akurat tak nazwane.

– Aha. Rzadko ktoś się tym interesuje. Prawo pozwalające Strażnikom Natury na zabicie każdego kłusownika bez sądu zostało nazwane po jednym z bojowników na rzecz ochrony przyrody, Steve’ie Irwinie – wyjaśniła nauczycielka.

– Żył w czasach, gdy jeszcze uważano taką postawę za pewne dziwactwo, wynaturzenie. Umarł młodo, ale za życia zrobił bardzo dużo, by uświadomić ludziom pewne sprawy.

– Chciał, by ich zabijano?

– Nie, Raino. Steve Irwin był dobrym człowiekiem. Nigdy nikogo by nie skrzywdził. Nauczył ludzi, jak kochać zwierzęta, których nie da się przytulić ani oswoić. Uświadomił całej ówczesnej ludzkości, że każdej formie życia należy się szacunek, a człowiek nie powinien uważać, że ma jakieś szczególne prawa.

Etta umilkła, zakłopotana. Nie wiedziała, jak wyjaśnić motywy tych, którzy ochrzcili jedno z najbardziej restrykcyjnych praw nowego społeczeństwa nazwiskiem człowieka, słynącego z łagodności i etyki.

– Powiedz szczerze, nie bardzo rozumiesz ludzi? – Spytała wreszcie.

– Wcale ich nie rozumiem – wyznała Raina. – Wiem, jak postępują w określonych okolicznościach, ale czemu to robią, nie wiem. Chyba Rivas też ich nie rozumiał, opisywał tylko ludzkie zachowanie. Panienko Etto, czy mogę o coś spytać?

– Oczywiście.

– Czemu jestem taka bezużyteczna?

– Co takiego?
– Wszyscy androidzi coś robią, a ja tylko chodzę za panem Kirkiem.
– Taka właśnie jest twoja rola. Masz strzec kapitana i pomagać mu, gdyby tego potrzebował. Być pod ręką. Gdyby coś się działo, wtedy go ochronisz.

– Dlaczego?
Etta zamilkła, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi. Sarnie oczy Rainy patrzyły wyczekująco w ciemnej, gładkiej twarzy, na której nie odbijała się żadna emocja.

– Dlatego... dlatego, że jesteś. – odparła wreszcie niezręcznie. Sama wiedziała, że androidka nie zrozumie takiej odpowiedzi, ale nie umiała na poczekaniu sformułować lepszej.

Z kłopotliwej sytuacji wybawił ją Raul, który właśnie zajrzał do kabiny.

– Kapitan cię prosi – powiedział. – Ma jakąś pilną sprawę, zwołuje zebranie.
– Znowu?

Etta odłożyła pod i wstała. Takie wezwanie mogło oznaczać kłopoty, a tego nikt nie chciał. Wystarczającym problemem było utrzymanie spokoju w załodze, w której pomału zaczynała narastać atmosfera frustracji i przygnębienia. Układ Jewel był coraz bliżej, ale jeszcze zbyt daleko, by można było powiedzieć „Nasza podróż dobiega końca”. Mnożyły się narzekania na małe ilości wydzielanej wody i jednostajne pożywienie, choć każdy w załodze zdawał sobie sprawę z tego, że nie można na to nic poradzić. Dodatkowe problemy mogły spowodować wybuch niezadowolenia i konieczność siłowego opanowania niesubordynacji – co miałyby fatalne następstwa.

Po drodze dołączył do Etty milczący i ponury doktor O’Leary. Dziewczyna przyjrzała mu się z ukosa i doszła nagle do wniosku, że czołowy cybernetyk wyprawy wygląda znacznie gorzej, niż można by się spodziewać. Jego twarz była zapadnięta, usta spierzchnięte, a w oczach tlił się nerwowy blask. Coś z nim było nie tak.

– Co ci jest, Mac? – Spytała, zatrzymując się i zmuszając doktora, by również przystanął.

– Nic takiego.
– Mów to swojej babci. Widzę przecież.
– Nic, masz może trochę wody na zbyciu?

Etta sięgnęła po małą manierkę, którą wzorem żołnierzy zawsze miała przy sobie. Sherman LaVer wymagał od wszystkich, by byli przygotowani w dzień i w nocy na najgorsze, a to znaczyło, że muszą, jak to wyraził na szkoleniu, „nosić na stałe przy tyłku wodę, pastylki odżywcze, nóż, latarkę i pakiet medyczny”. Jak twierdził, w razie katastrofy takie podstawowe wyposażenie zwiększa szanse przeżycia o co najmniej 25%, jeśli nie lepiej.

O’Leary pochwycił skwapliwie podaną manierkę i napił się chciwie.

– Dziękuję – westchnął, zwracając naczynie Etcie. – Uratowałaś mi życie.

– Co zrobiłeś z twoim własnym przydziałem? – Spytała surowo dziewczyna. Doktor wzruszył ramionami.

– A jak myślisz? Księżycówka nie robi się z samych drożdży i alg, podkradanych z działu hodowli.

– Czyś oszalał?

– Nie. Chcę się napić.

– Ryzykujesz zaburzenia elektrolitowe, by napędzić sobie bimbru i zatruć organizm? Pewnie dobrą połowę przydziału przeznaczasz na zacier, a to, co uzyskasz, ma dość alkoholu, by cię dodatkowo odwodnić.

– Zdaje się, że tak – O’Leary spojrzał na Ettę ironicznie i wyzywająco zarazem. – Doniesiesz Kirkowi? Złamałem chyba regulamin pokładowy.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Próbujesz umrzeć z pragnienia po to, by się napić. Po co to robisz?

– Bo lubię, skarbie. A laboratorium świetnie nadaje się na pokątną destylarnię, bo w godzinach wypoczynku biologów nikogo tam nie ma. I okazało się, że akumulator nie był potrzebny.

– Przynajmniej zrób to dla mnie i nie daj się złapać – westchnęła Etta. – A teraz milcz, bo jesteśmy na miejscu. Później pogadamy.

– Kiedy tylko zechcesz, księżniczko.

Razem weszli do sali odpraw, zapełnionej prawie do ostatniego miejsca. Ekranów wideołączności, umieszczone nad stołem na wieloramiennym wysięgniku, płonęły jasno, ukazując podobne sale na pozostałych statkach. Jedynie ekran oznaczony symbolem „V04” pozostawał ciemny.

– Wszyscy są? – Spytał retorycznie kapitan. – A zatem proszę o uwagę. Wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Piloci namierzyli pewien dziwny obiekt. Nie jest to lodowy meteor ani skała. Moi państwo, dotychczasowe ustalenia nie pozostawiają wątpliwości: to statek kosmiczny.

W sali zaszumiało. Podniecenie wszystkich obecnych sięgnęło zenitu, gdy trójwymiarowy wyświetlacz ukazał nad stołem holograficzny wizerunek obiektu. Rzeczywiście trudno byłoby założyć, że to twór naturalny. Bez trudu można było wyróżnić krępy kadłub, tępo zarysowany dziób i stateczniki, których obecność znaczyła, że jest to pojazd przewidziany zarówno do podróży w próżni, jak i atmosferze planety.

– Jakie to jest duże? – Spytał po chwili Leonard Derkacz. Na jego chudej twarzy widać było niedowierzanie, pomieszane ze zdumieniem.

– Długość około dwadzieścia pięć metrów, wysokość i szerokość w najgrubszym miejscu to mniej więcej piętnaście metrów na dwadzieścia – odparł Camus de Bernal.

– Łupina. Skąd się tu wziął?

– Tyle wiem, co i pan.

– To statek Obcych? – Spytała inżynier Silberstein. Jej głos drżał z emocji. W przeciwieństwie do wielu innych wierzyła w inteligencję pozaziemską i marzyła o zetknięciu z nią.

– Nie wiemy. To jest dość stare, czujniki nie zanotowały przepływu energii, nie znajduje się też w stanie lotu. Po prostu dryfuje. Moim zdaniem powinniśmy to zbadać.

– A jak nas zainfekuje jakimiś nieznanymi drobnoustojami? – Spytała doktor Xiao – Moim zdaniem to niepotrzebne ryzyko.

– Przeciwnie, jesteśmy to winni ludzkości.

– Zgłaszam się na ochotnika do grupy zwiadowczej! – Zawołała fizyk Heynemann z Vikinga 03. Za nią posypały się następne deklaracje. Możliwość zbadania tajemniczego statku była tak niespodziewanym urozmaiceniem nudnej podróży, że wszystkich ogarnęła nerwowa gorączka.

– Spokój! – Zawołał kapitan. – Na razie nikt nigdzie nie leci. Jeśli to rzeczywiście statek Obcych, może się okazać śmiertelną pułapką, a nie mam zamiaru tracić ludzi.

– Niechże pan nie będzie śmieszny, jakich Obcych? – Parsknął gniewnie Derkacz. – Nie ma tu nic bardziej obcego niż my sami.

– To skąd ten statek? Sam się zbudował? – Spytała napastliwie Lisbeth Mell.

– Póki ktoś nie podetknie mi pod nos namacalnego dowodu na to, że zbudowali go Obcy, nie uwierzę – odparł twardo Derkacz i zacisnął cienkie usta w wyrazie uporu i stanowczości.

– Żeby ten dowód uzyskać, trzeba będzie jednak zbadać to coś – zauważył trzeźwo Woznansky. Widać było, że główny inżynier też płonie chęcią obejrzenia wszystkiego z bliska, a myśl o jakiejś pozaziemskiej technologii przyprawia go o zawrót głowy.

Kapitan wodził spojrzeniem po podkomendnych, wyraźnie bijąc się z myślami. W głębi serca był przekonany, że muszą zbadać tajemniczy statek – nie chodziło tylko o zaspokojenie trawiącej każdego z nich ciekawości, ale i o to, co takie znalezisko przedstawiało sobą dla Ziemi. Nie mogli tak po prostu odlecieć, pozostawiając milczący obiekt w przestrzeni, choć oczywiście należało zachować maksymalną ostrożność.

– Sądzę, że trzeba... – zaczął wreszcie i urwał. Do sali odpraw wszedł drugi pilot z małą, prostokątną płytką nośnikową w dłoni.

– Kapitanie, mamy chyba rozwiązanie zagadki – powiedział. – Zauważyliśmy jakieś znaki na boku obiektu, spróbowałem więc wyostrzyć obraz. Oto, co uzyskałem.

Kirk Willner włożył krystaliczną płytkę do czytnika. Nad stołem wyświetlił się niezbyt wyraźny, ale czytelny trójwymiarowy obraz – bok statku i wypisane na chropowatym metalu znaki. Nie można było się pomylić. To były litery, a choć

nieostre i zamazane w rysunku, układały się w napis. W jedną nazwę.
ESS Stephen Hawking.

W sali odpraw zapadła cisza. Prawie wszyscy poczuli się zawiedzeni i oszukani, jedynie doktor O’Leary tarł ręką czoło i wpatrywał się w hologram z takim natężeniem, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Załoga Hawkinga zamilkła po minięciu Jowisza – rzekł wreszcie. – Czyżby dolecieli aż tu?

– Ale to nie może być Hawking – zaprotestował Leonard Derkacz. – Jest za mały. To raczej kapsuła ratunkowa. Dopiero teraz mamy rzeczywisty obowiązek sprawdzić ten wrak. Może znajdziemy w nim coś, co rzuci jakieś światło na los zaginionych astronautów. Przecież mieli rodziny, przyjaciół, znajomych.

– Oczywiście – przyznała komandor Kaori, obecna na wideołączu, podobnie jak wielu innych. – Tylko że to było zbyt dawno, by ktokolwiek jeszcze czekał na jakąś wiadomość. Jeśli mnie pamięć nie myli, Hawking opuścił orbitę Ziemi dobre pół wieku temu. Dwa lata później skasowano Globalny Program Kosmiczny ze względu na zbyt duże koszty i marne wyniki. Zostały tylko dwie stacje naukowe, badające możliwości przystosowania księżyców gazowych planet oraz wenusjańska stacja obserwacyjna Max Planck.

Weronika Hornet spojrzała prosząco na kapitana, który skinął głową i wskazał na nią, udzielając głosu.

– Globalny Program Kosmiczny został skasowany jedynie na papierze – wyjaśniła. – Chodziło o to, by nie drażnić opinii publicznej. W rzeczywistości nadal prowadzono badania. Czy inaczej doszłoby do wysłania automatycznych statków na Patris i wystrzelenia stacji przekaźnikowej Michio? Czy zbudowano by Vikingi, gdyby nie było ciągłości między pracą zespołów badawczych GPK a naukowcami z obecnego programu Eksploracja i Migracja?

MacLean O’Leary parsknął śmiechem.

– Zawsze mówiłem, że rząd wszystkich robi w konia, a my żyjemy w błogiej nieświadomości – stwierdził wesoło.

– Cisza. Nie pora na polityczne wystąpienia – przerwał ostro kapitan Willner. – Wyznaczam pilota Stanisława Novaka z „Piątki” do misji sprowadzenia wraku w pobliże naszej kawalkady. Pilocie...

– Tak jest, kapitanie – na ekranie łącza z Vikingiem 05 pojawiła się szeroka twarz mężczyzny w wieku ok. trzydziestu pięciu lat, ozdobiona na skroni tatuażem „jednostki idealnie zrównoważonej”.

– Weźmie pan prom, podleci do wraku i przyholuje go do nas. Proszę zachować ostrożność i pozostać w stałej łączności ze statkiem dowodzenia.

– Tak jest, kapitanie.

Novak nie był w stanie ukryć dumy i zadowolenia z faktu, że został wybrany

przez kapitana i pierwszy zobaczy z bliska tę swoistą „kapsułę czasu”. Było to nie lada wyróżnienie.

– Dlaczego właściwie ich tatuują? – Spytała szeptem Etta Weroniki.

– Dla bezpieczeństwa – odparła równie cicho przyjaciółka. – Idealnie zrównoważeni, tak jak stuprocentowo przydatni genetycznie, to najcenniejsi członkowie społeczeństwa. W razie jakiegś katastrofy i akcji ratunkowej ich ratuje się w pierwszej kolejności, a w sytuacji awaryjnej obejmują dowodzenie.

– A Kirk Willner do nich nie należy? Czemu w takim razie właśnie on dowodzi, a nie na przykład de Bernal?

– Kochana, kapitan też jest idealnie zrównoważony, tylko nie dał się wytatuować. W końcu to nie jest wymóg prawny, raczej rodzaj odznaki honorowej. Są tacy, co oddaliby pół życia za taki tatuaż.

Na tym rozmowa się urwała, gdyż kapitan stanowczym głosem nakazał rozejść się i wrócić do pełnienia codziennych obowiązków.

Badanie ściągniętego w pobliże statku dowodzenia pojazdu rozpoczęto z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Od razu ustalono, że jest to rzeczywiście jeden z promów zaginionego statku ESS Stephen Hawking, zachowany w bardzo dobrym stanie, jeśli nie liczyć drobnych wgnieceń. Po dokonaniu standardowych oględzin i sfotografowaniu powłoki ze wszystkich stron przystąpiono do badania wnętrza pojazdu. Zespół badaczy w składzie: biolog Callum, fizyk Heynemann, doktor Linde, inżynier Bahrani i dwóch żołnierzy ochrony, wszedł na pokład przez zamocowany do wjazdu „rękaw”. Wszyscy byli ubrani w uniwersalne skafandry ochronne z maskami tlenowymi, a na wszelki wypadek między hangarem Vikinga 01 a „rękawem” utworzono dodatkową, prowizoryczną służbę dekontaminacyjną. Nalegali na to Callum i Linde.

– Nie wiadomo, co tam może być – powiedzieli i służbę zmontowano, choć inżynierowie sarkali na niepotrzebną ich zdaniem zwłokę i dodatkową robotę.

W końcu jednak można było wejść na pokład przestarzałego promu i rozpocząć pracę. Pojazd okazał się szczelny. Na pokładzie nie było dekompresji, choć zawartość tlenu w powietrzu spadła do 10% i nie nadawało się do oddychania. Reaktor był cały i nieuszkodzony. Obejrzawszy go dokładnie inżynier Bahrani orzekła, że wygasł samoczynnie po zużyciu całego uranu, co oznaczało, że chłodzenie musiało działać do ostatniej chwili. Obecnie przewody były poskręcane ze starości i puste. Chłodziwo dawno się ulotniło, został po nim tylko biały osad w szparach pęknięć.

W kokpicie promu siedział człowiek, a raczej skurczona, zamrożona na kość mumia w granatowym mundurze pilota sprzed pięćdziesięciu lat. Szerokie rękawy z błyszczącymi paskami, stębnowany kołnier i emblemat Programu Kosmicznego na piersi po lewej stronie wciąż były dobrze zachowane. Jedynie w

środkowej części tułowia, nienaturalnie wklęsniętej aż do bioder, wysuszony materiał sprawiał wrażenie zbutwiałego.

– Coś go chyba zjadło od środka – powiedziała ze zgrozą Aisha Bahrani i rozejrzała się nerwowo.

– Zobaczmy – mruknął Kenneth Linde. – Zabieramy zwłoki do centrum medycznego na „Dwójce”. Trzeba przeprowadzić sekcję. Dajcie pokrowiec termoizolacyjny, bo jak dojdzie do ogrzania mumii, zmieni się w kupę luźnych tkanek. Mumie lodowe są bardzo wrażliwe na podwyższoną temperaturę.

– Autopsję trzeba będzie przeprowadzić w chłodni. Chcę być przy tym obecny – zdeklarował się Callum. – Pobiorę próbki dla swego działu.

– Mam nadzieję, że nie sprowadzimy jednocześnie na pokład jakiegoś stwora – Twarz inżynier Bahrani, widoczna za przejrzystą osłoną maski tlenowej, wyraźnie pobladła.

– Niechże pani przestanie z łaski swojej fantazjować – burknął biolog. – Założę się, że to efekt naturalnej dekompozycji. Po śmierci organizmu bakterie, zawarte w jelitach, zaczynają zjadać nosiciela, powodując wstępne stadium rozkładu i powstanie gazów gnilnych, które rozdmymają zwłoki do czasu, gdy znajdą ujście. Wtedy ciało się zapada, a tkanki miękkie...

Urwał, gdyż Aisha na odmianę zzieleniała. Kobieta uniosła bezsensownie rękę do przysłoniętej twardym plastykiem twarzy i Callum przestraszył się, że inżynier zacznie wymiotować.

– Spokojnie, proszę głęboko oddychać – zalecił. – Niech pani powstrzyma mdłości za wszelką cenę, bo się pani zachłyśnie.

Perspektywa uduszenia się własnymi wymiocinami zmobilizowała Bahrani do powstrzymania reakcji na opisowe rewelacje biologa, jednak badania kokpitu musiała dokończyć fizyk Cynthia Heynemann. Pani inżynier wróciła na pokład statku i przez dwa następne dni nie mogła wziąć niczego do ust.

Wstępny raport na temat znalezionej promu był gotowy po tygodniu

– Pilot bez wątpienia zmarł wskutek wyziębienia organizmu i niedotlenienia – powiedział Tengiz Gongadze na walnym zebraniu załogi. – Zwłoki uległy częściowemu rozkładowi, a następnie naturalnej mumifikacji. Zmarły nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nie wiemy więc, jak się nazywał. Autopsja ujawniła, że niedługo przed śmiercią doznał złamania dwóch żeber, ale poza tym nic mu nie dolegało. Nie był chory ani niedożywiony. Jego wiek określiłbym na jakieś trzydzieści lat.

– Problemy spowodowała awaria systemu grzewczego i aparatury oczyszczania powietrza – włączyła się technik Olenska z Vikinga 02. – Już po śmierci pilota wszystko zaczęło znowu działać i pracowało około dwóch tygodni.

– Co wyjaśnia częściowy rozkład zwłok przed ostateczną mumifikacją –

kontynuował Gongadze. – W tkankach nie było żadnego śladu niepokojących środków chemicznych, a fakt, że zwłoki zostały znalezione na fotelu pilota, nie w sekcji napędu promu, sugeruje że denat stracił przytomność, nim zorientował się w awarii.

– Autodiagnostyka promu nie działała – wtrąciła się ponownie Olenska. – Mógł się nie połapać, i po prostu zasnąć.

– Dobrze i to – mruknął posepnie kapitan. – Wiemy, że nie cierpiał. Czy pan Callum ma coś do dodania?

– Nic istotnego – odparł biolog. – W próbkach pobranych z promu znaleźliśmy kilka nieszkodliwych mikroorganizmów. Nie są ujęte w ziemskiej klasyfikacji, więc prawdopodobnie pochodzą z Patris. Są to tlenowce, zatem rzeczywiście jest tam tlen, ale to już wiedzieliśmy przedtem. Zapas wody i pożywienia, uszczuplony o orientacyjnie jedną czwartą ilości początkowej. Jedzenie to żelazne racje astronautyczne. Nic poza tym nie odkryliśmy.

– Pani Olenska, pani zajmowała się diagnostyką konsol. Co może pani powiedzieć?

– Jak już wspomniałam, nie działała autodiagnostyka. Inne systemy wydają się sprawne jeszcze dzisiaj. W konsoli łączności znaleźliśmy, oprócz standardowej czarnej skrzynki, zapisany nośnik danych. Był podłączony do systemu nadawania. Zespół pana Pavlova biedzi się teraz na odczytaniem zawartych w nim informacji.

– Czemu „biedzi”?

– Bo to przestarzały sprzęt, który w dodatku znajdował się w obszarze działania wiroprądów magnetycznych. Zapis został częściowo zatarty, a nośnik nie jest kompatybilny z żadnym naszym sprzętem. Inżynierzy Woznansky i Silberstein podjęli się zmontowania odtwarzacza przy użyciu komponentów konsoli promu, ale i tak nie wiemy, czy zapis w ogóle da się odczytać.

– A co z czarną skrzynką? Panie Pavlov?

Szef informatyków uniósł głowę znad notatek.

– Na razie udało się jedynie odczytać wytyczony kurs promu – powiedział. – Pilot miał przeprowadzić go przez dysk Shoumakera do punktu, z którego będzie możliwe przesłanie wiadomości na Ziemię. To mówi nam właściwie wszystko. Stacja Michio 1 wtedy już nie działała, a Michio 2 nie została jeszcze zmontowana. Pracowały nad nią automaty, a one się nie spieszą. Chcąc przesłać jakąś wiadomość na Ziemię trzeba było minąć dysk Schoumakera i właśnie w tym celu załoga Hawkinga oddelegowała tego biedaka.

– Oddał życie na próżno – szepnęła ze współczuciem komandor Halama.

– Na pewno nie zdążył wyemitować sygnału? – Spytała Etta. Starła się myśleć na zimno, logicznie, ale podobnie jak inni miała przed oczami obraz bohaterskiego człowieka z promu, którego imienia nawet nie знаła. Musiał wiedzieć, że ma minimalne szanse na powrót z takiej misji, a przecież poleciał, sam

jeden w małym pojeździe. Dołożył wszelkich starań, aby tylko osiągnąć punkt, z którego wysłana wiadomość mogłaby dotrzeć do Ziemi. Zgodził się na samotną śmierć w niewyobrażalnej, zimnej pustce – nie mógł wiedzieć, że awaria systemu podtrzymania życia zabije go szybko i bezboleśnie, nim zdąży zużyć zapasy. Na pewno myślał, jak to będzie dryfować tygodniami w przestrzeni bez żadnej nadziei na ratunek, z kurczącymi się bezlitośnie zapasami wody i żywności. Mimo to poleciał i zrobił, co było w jego mocy, by wypełnić misję. I to wszystko na marne.

– Na Ziemię nie dotarł, skoro Hawking został uznany za zaginiony bez wieści. Prawdopodobnie pilot umarł przed opuszczeniem obszaru dysku. Napęd jeszcze jakiś czas działał, osłony też, potem statek leciał siłą inercji. Miał pięćdziesiąt lat, by dotrzeć aż tutaj, to dość, nawet gdyby ruch był minimalny.

Pavlov potrząsnął głową.

– Musimy odczytać wiadomość z nośnika – rzekł po chwili milczenia Sasha Krasusky. – Jesteśmy mu to winni.

Po katastrofie Vikinga 04 Krasusky został na statku dowodzenia jako zastępca kapitana – Kirk Willner zdecydował, że w razie jakiegoś wypadku właśnie on będzie najlepszym dowódcą wyprawy.

– Jak myślicie, co się stało z resztą astronautów? – Spytała Yoko Kaori.

– Na pewno dowiemy się tego, gdy odczytamy dane.

– Nie rozumiem jednego – odezwał się biolog Callum. – Jakim cudem znaleźliśmy ten prom? Przecież to znikomy pyłek w obszarze pasa i właśnie na niego trafia nasz klucz żurawi! To daleko mniej prawdopodobne niż trafić siedem cyfr w totalizatorze.

Wszyscy spojrzeli na Novaka, jedyne go pilota na tej naradzie. Ten uśmiechnął się lekko i odpowiedział :

– To nie aż tak nieprawdopodobne, jakby się zdawało. Pas Kuipera nie jest jednorodny. W jego strukturze występują względnie puste przestrzenie, takie jakby przesmyki, coś jak przerwa Cassiniego w pierścieniu Saturna. Jeden z nich ciągnie się na trasie najkrótszego kursu z Ziemi do układu Jewel i przechodzi przez dysk Schoumakera. Jest jasne, że Hawking leciał właśnie tym, nazwijmy to, korytarzem i tą też trasą astronauta wysłali prom.

– I tak mieliśmy sporo szczęścia, że go namierzyliśmy – stwierdził O’Leary.

– Łatwiej spotkałyby się dwa komary, wypuszczone na przeciwległych biegunach kuli ziemskiej. No, ale w końcu ktoś wygrywa we wspomnianym przez Iana totalizatorze.

– Może nie traćmy czasu na rozważanie, jakie było prawdopodobieństwo i ile mieliśmy fartu – rzekł sucho kapitan. – Proszę dział medyczny o zabezpieczenie szczątków pilota. Pochowamy go po dotarciu na Patris. A informatyków proszę o dalszą pracę nad danymi z promu.

– Mam pytanie: co z samym pojazdem? – Spytała inżynier Camarro.

- Zostawiamy go, oczywiście. To nie szpilka, w mundur nie wepniesz.
- Szkoda – mruknęła Camarro z widocznym żalem. Widać było, że miała wielką ochotę zbadać dokładniej oprzyrządowanie promu, ale nie protestowała przeciw decyzji kapitana.

Zespół informatyków pod kierownictwem Stiepana Pavlova pracował wiele dni nad zabranymi z promu nośnikami danych. Dzięki pomocy Woznansky'ego, który razem z nieodłączną Gudrun Silberstein skonstruował działający odtwarzacz, udało się wreszcie zgrać wszystko z czarnej skrzynki i z nośnika, znalezionego w konsoli łączności. Dopiero teraz można było przystąpić do oczyszczania zapisu i mozolnego odcyfrowywania poszczególnych fragmentów. Już na początku pracy informatycy zrozumieli, że bez względu na trudności muszą odzyskać te dane. Przystarzały nośnik zawierał nie tylko wezwanie pomocy, ale całą historię wyprawy ESS Stephen Hawking, a więc był to dla ziemskiego archiwum bezcenny dokument, zaś dla nich samych – być może jeszcze cenniejszy. Dzięki obserwacjom astronautów sprzed półwiecza załoga Vikingów mogłaby uniknąć popełnienia groźnych błędów. Informatycy pracowali więc na trzy zmiany, próbując zdążyć, nim wejście w dysk Schoumakera uniemożliwi komunikację między statkami.

– Szkoda, że Brent nie może przy tym pomóc – powiedziała Weronika, gdy razem z przyjaciółką wracała z sali ćwiczeń. – Bardzo mi go brakuje, wiesz?

– Domyślam się. Ale przynajmniej masz Shermana. Do takiego miśka pewnie miło się przytulić – Etta uśmiechnęła się łobuzersko. Lubiła czasem podrażnić się z ukochaną przyjaciółką, gdy obie miały lepszy humor. Dobrze wiedziała, że „misiowaty” z wyglądu major w rzeczywistości nie ma w sobie nic z „misia”.

– Żebyś wiedziała – odcięła się Weronika. – To świetny facet, najlepszy, jakiego w życiu poznałam.

– Narzeka, że ci nie dorównuje i zasługujesz na lepszego.

– Brednie. Nie docenia sam siebie. Świetnie by pasował do...

Zamilkła, jakby powiedziała za wiele i spróbowała skierować rozmowę na inne tory:

– Dobrze chociaż, że Brent jakoś sobie radzi.

– Do czego pasowałby Sherman? – Spytała Etta. – Dokończ, skoro zaczęłaś.

Weronika machnęła niechętnie ręką.

– No do programu ulepszania genowego – wyjaśniła z ociąganiem. – Rząd myśli nad wprowadzeniem go za parę lat. Chodzi o tych zerowców, którzy są odpowiednio zrównoważeni psychicznie, a ich geny dominujące wytworzyły zdrowy i odporny organizm. Opracowano koszarnie drogą metodę selektywnej

naprawy uszkodzonych chromosomów. Po tym mogliby dostać kategorię jeden, a nawet dwa. Mamy ujemny przyrost naturalny, trzeba zacząć coś z tym robić.

Etta popatrzyła na Weronikę. Kto by pomyślał, że tak efektowna powłoka kryje nie mniej efektowny umysł, pokłady wiedzy i do tego stalowe nerwy. Nawet z ogoloną głową jej przyjaciółka wyglądała zachwycająco, niczym egipska księżniczka, nie jak „ofiara ciężkiej wszawicy” – tak z humorem określał wygląd załogantek doktor O’Leary. Rzeczywiście dla większości kobiet w załodze wymóg higieniczny, polegający na obcięciu włosów do samej skóry, nie był upiększający, żeby użyć najłagodniejszego określenia. Jedynie Weronika i komandor Marjem Halama nabrały po tym zabiegu jakiegoś egzotycznego, tajemniczego i zarazem godnego wyglądu.

– Dużo wiesz – westchnęła. Nie po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że Weronika znacznie więcej chowa dla siebie niż ujawnia.

– Bardzo dużo. Pracowałam przecież w utajnionej agencji rządowej. Jednak nie próbuj pociągnąć mnie za język. Mówię tyle, ile mogę powiedzieć w danej sprawie, i ani pół słowa więcej.

– Chyba teraz nic by ci nie groziło za zdradę tajemnicy państwowej.

Weronika roześmiała się cicho.

– Kochana jesteś, wiesz? Taka słodka i naiwna.

Ta enigmatyczna wypowiedź zbiła Ettę z tropu. Nie bardzo wiedziała, jak ma ją rozumieć, patrzyła więc tylko pytająco na Weronikę, która w końcu ulitowała się i wyciągnęła ją na korytarz.

– Zauważyłaś, co mówi o ludzkości nasza wyprawa? – Spytała.

– No, że jest silna.

– Bzdura. Nie o to chodzi. Posłuchaj: ważne było, żeby pierwsza migracja ruszyła, zanim ludzkość, od wieków ujęta w żelazne karby, a z drugiej strony rozpieszczona technicznym dobrobytem, zatraci najistotniejsze cechy, rozumiesz?

– Nie.

– Pomyśl, kochanie. Od wieków praktykuje się eutanazję beznadziejnych medycznie przypadków, w tym niepełnosprawnych noworodków. Neutralizuje się w sposób trwały groźnych przestępców i ludzi chorych psychicznie, którym nie da się pomóc. Mimo to nasza załoga była zdolna do tego, by w tak trudnych warunkach walczyć niczym stado lwów o życie jednego niemowlęcia, choć było poważnie zagrożone kalectwem. Ileż oszczędzilibyśmy sobie kłopotów, usypiając Davida. Były do tego prawne podstawy. Dalej: nikt nie żądał kary śmierci dla zdrajców, którzy mogli zabić nas wszystkich, tylko zgodziliśmy się, by ich odesłać na mijaną stację w bezpieczny sposób. Jeszcze mało? Załoga okazała litość Ivo Haskowi, który podszył się pod członka korpusu ochrony i sabotował statek dowodzenia. Do ratowania tych z „Czwórki” rwaliśmy się jak nieprzytomni, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Wiesz, co to wszystko znaczy?

- Chyba zaczynam rozumieć.
- Właśnie. Wciąż jest dla nas nadzieja.

XVI.

Etta zbudziła się z uczuciem, że dzieje się coś bardzo złego. Przez chwilę leżała bez ruchu, starając się przypomnieć sobie coś konkretnego, jednak wspomnienia z poprzedniego dnia urywały się w pewnym momencie. Musiała stracić przytomność, choć nie pamiętała, dlaczego. Całe ciało ciążyło niczym ołów, z trudem mogła zaczerpnąć oddech. Poczawszy czyjś dotyk na twarzy uniosła powieki, wkładając w to wszystkie siły, jakie miała do dyspozycji i jęknęła, gdy poraził ją biały blask. Wszystko ją bolało, jakby padła ofiarą silnego pobicia, nie mogła też głębiej odetchnąć. Uczucie było takie, jakby metalowa obejmą ścisnęła klatkę piersiową – nieznośny i nieustępliwy ucisk, a do tego doszło coś jeszcze. Ktoś usiłował wepchnąć jej coś do ust. Zmrużywszy oczy poznała pochyloną nad nią ciemną twarz Rainy. Androidka próbowała zmusić ją do rozwarcia szczęk, naciskając twardymi palcami na stawy jarzmowe i jednocześnie manipulując czymś zimnym i gładkim, co chciała wsunąć między zęby. Ettę ogarnęła nagła panika. Raina chciała ją zabić, ale dlaczego? Z zazdrości o kapitana? Próbowała się podnieść, odepchnąć ręce androidki, ale nie mogła poradzić sobie z własnym ciałem. Czyżby miała uszkodzony kręgosłup?

– Puść – wybełkotała z trudem. – Zostaw mnie. Co robisz?

– Proszę otworzyć usta, panienko. – usłyszała spokojny głos i ponownie poczuła na wargach i języku chłodny posmak metalu. Z wysiłkiem wykręciła głowę w prawo.

– Zostaw mnie – wychrypiała. – Nic złego nie zrobiłam. Nie zabijaj mnie, błagam. Nic mnie nie łączy z kapitanem. Raino, nie rób tego...

Androidka puściła ją i zaraz potem Etta usłyszała, jak woła:

– Raul, musisz tu przyjść!

Po chwili w polu widzenia przerażonej dziewczyny pojawiła się twarz Raula. Towarzysz Etty położył opiekuńczo dłonie na ramionach leżącej dziewczyny i zaczął przemawiać uspokajająco, jak do dziecka:

– Wszystko idzie dobrze. Nie obawiaj się. Musisz otworzyć usta i pozwolić na założenie aparatu tlenowego. Nie dasz rady sama oddychać przy tym ciężeniu.

– Jakim ciężeniu?

– Mamy teraz prawie 4g. Posłuchaj, Etta, muszę podać ci kriostatynę.

– Nie! Nie usypiaj mnie! Proszę....

Etta rozplakała się ze strachu i bezradności, choć ledwie mogła oddychać. Kriostatyna była używana do wprowadzania ludzi w długotrwałą śpiączkę

farmakologiczną. Ten medykament nie tylko powodował u pacjenta stan głębokiego uśpienia, ale działając na ośrodek termoregulacji w podwzgórzu obniżał znacząco temperaturę ciała, minimalizując w ten sposób szkodę dla organizmu i spowalniając metabolizm. Bywał niestety niebezpieczny – czasem po podaniu antidotum pacjent zaczynał zdradzać objawy szoku termicznego.

Raul ocierał delikatnie łzy z jej policzków, tłumacząc jednocześnie z całą swą cierpliwością i łagodnością:

– Muszę cię uśpić, bo inaczej nie wytrzymasz. Lot przez dysk Schoumakera potrwa tydzień.

– Ale co... się stało?

– Układy grawitacyjne odmówiły posłuszeństwa. Etto, zaufaj mi. Przecież zawsze dotąd ufałaś. Nigdy nie dopuszczę, by stała ci się krzywda.

Dziewczyna z trudem opanowała rozszalałe bicie serca. Przez chwilę chytała oddech półotwartymi ustami, potem szepnęła bezradnie:

– Ufam ci. Dobrze, rób co musisz.

Raul puścił ją i po chwili dziewczyna poczuła na ramieniu ucisk bezigłowej strzykawki. Nigdy dotąd nie była usypiana kriostatyną i bała się tego środka, ale już kilka sekund później strach zelżał, a jego miejsce zajęła narastająca obojętność na wszystko i nieprzewyciężona senność. Jednak ostatnią świadomą myślą Etty było trwożne pytanie, czy w ogóle się obudzi.

– Śpi? – Spytała Raina.

– Tak – odpowiedział krótko Raul. – Załóż jej aparat tlenowy.

Odłożył strzykawkę i zapiął na obnażonym ramieniu Dominy opaskę czujnikową. Miniaturowe ekrany zamigotały, sygnalizując gotowość dokonywania pomiarów. Na środkowym ukazały się przedziały odczytów, na bocznych po chwili zaczęły się wyświetlać wartości parametrów. Tymczasem Raina założyła wreszcie aparat i unieruchomiła metalowym trzymakiem język dziewczyny, zabezpieczając go przed zapadnięciem. Potem podłączyła kroplówkę i sprawdziła przepływ jałowego płynu. Obok leżeli inni członkowie załogi, uśpieni podobnie jak Etta i zaopatrzeni w indywidualne pompy tlenowe, wspomagające oddychanie w warunkach zwiększonego ciężenia.

– Teraz idę do kokpitu – powiedział Raul. – Roy jest w maszynowni, więc ty zajmiesz się ludźmi. Co kwadrans robisz obchód. Sprawdzasz odczyty, notujesz je na indywidualnych arkuszach i idziesz do przedziału pasażerskiego. Odczytujesz czujnik kapsuł na drzwiach śluzy. Jeśli wszystkie diody świecą na zielono, wracasz tutaj. Gdyby któraś zmieniła kolor, zawiadamiasz zespół AT. Na każdym ze środkowych wyświetlaczy masz przedział, w którym muszą mieścić się odczyty z czujnika. Gdyby u któregoś z ludzi zaczęły spadać lub przekraczać podane wartości, zawiadamiasz mnie. Jeśli zacznie się dziać coś naprawdę złego, czujnik

zacznie dawać instrukcje głosowe. Kiedy poziom płynu w butelce z kroplówką spadnie do zaznaczonego poziomu, zmieniasz na drugą, pełną. Dokładnie za trzydzieści dziewięć godzin idziesz do maszynowni by pobrać dawkę energii. Zajmie to akurat te piętnaście minut przerwy między kolejnymi obchodami.

– Zrozumiałam. Wszystko wykonam dokładnie – Raina popatrzyła na Ettę. – Twoja Domina myślała, że chcę ją zepsuć. Dlaczego?

– Zabić – poprawił Raul. – Nie wiem dlaczego. Ludzie łatwo ulegają awarii systemowej i wyciągają wtedy błędne wnioski. Nie jest to teraz ważne.

Mówił spokojnie i rzeczowo, tak samo jak działał. Gdyby był człowiekiem, znajdowałby się teraz w stanie krańcowego napięcia – szczęśliwie był tylko androidem i nie mógł odczuwać ludzkich emocji. W obecnej sytuacji było to błogosławieństwem.

Wydajność układów sztucznej grawitacji spadła drastycznie tuż po wejściu Vikingów w obręb dysku Schoumakera. Wskutek nagłego przeciążenia większość ludzi straciła przytomność, zaś reszta została pozbawiona możliwości działania, a nawet jasnego rozumowania. Nagły odpływ krwi od mózgu spowodował, że nie byli w stanie nawet pojąć, co się stało. Na statku dowodzenia jedynie doktor Xiao zachowała sprawność umysłu – stało się tak, gdyż w momencie awarii wybierała się na rutynową inspekcję do przedziału pasażerskiego i miała już na sobie skafander ciśnieniowy. Zdezorientowana początkowo tym, że wszyscy dookoła padają jak przysłowiowe muchy, wpadła wkrótce w panikę, którą z trudem zdołała stłumić. Kilkadziesiąt bezcennych sekund strawiła na uspokojenie oddechu, a kolejne kilka minut na zorientowanie się w sytuacji – szczęśliwie w jej maleńkim ambulatorium był panel podłączony do głównego komputera. Poznanie całokształtu zagrożenia nie uspokoiło jej zresztą, przeciwnie. Gdy z całą jasnością uświadomiła sobie, że jest jedynym przytomnym człowiekiem na pokładzie Vikinga 01, a być może na wszystkich statkach, ogarnął ją tak przeraźliwy strach, że na chwilę straciła kontrolę nad sobą. Nim zdołała wziąć się w garść, minęły następne trzy minuty. W końcu jednak udało się jej odzyskać samokontrolę.

– Nie poddam się – szepnęła, czując ku swemu zażenowaniu, że podczas ataku paniki zmoczyła majtki. To było irracjonalne, bo przed kim miałyby się teraz wstydzić, jednak nie mogła tego opanować. Z trudem odsunęła pokusę, by natychmiast zedrzeć ciężki skafander – w tej sytuacji mogło się to źle skończyć. Nie zostało jej wiele czasu, a musiała jeszcze wiele zrobić... nawet jeśli nie wierzyła ani przez sekundę, że to coś da.

Brnąc z wysiłkiem przez korytarze (mimo skafandra odczuwała wzmożone ciężenie i zbierało się jej na mdłości) bała się cały czas, że zaraz nastąpi ostateczna katastrofa i musiała zbierać wszystkie siły, by opanować lęk. Dotarłszy na mostek przekonała się, że pilot Joao Jimenez zdążył przed utratą przytomności przełączyć wszystkie układy na system autopilotażu. Widząc przez wizjery bezpośrednio, że

pozostałe statki lecą w tym samym szyku, co poprzednio wywnioskowała, że albo awaria dotyczy tylko statku dowodzenia, albo wszędzie piloci zdążyli postąpić analogicznie.

Lekarka wiedziała, że jest pozostawiona sama sobie i w ciągu kilku minut, opanowawszy narastający atak paniki, podjęła decyzję. Zapas powietrza w skafandrze mógł wystarczyć jeszcze na pół godziny, i to jedynie wtedy, gdy przykręciła przepływ na minimum. Miała nadzieję, że będzie to dość, by zdążyła zrobić to, co musiała. Korzystając z uprawnień zastępcy naczelnego lekarza weszła do programu głównego komputera i czasowo odblokowała wszystkie zabezpieczenia. Potem opuściła kokpit i znalazła Raula, pochylonego nad nieprzytomną Ettą. Siłąc się na spokój, powiedziała sucho i rzeczowo:

– Mamy stałe przeciążenie. Ludzie potrzebują aparatury i opieki medycznej, której nikt teraz nie będzie w stanie im zapewnić. Czy ty i inne androidy wykonacie dokładnie moje polecenia?

Raul wstał.

– Proszę mówić, pani doktor – rzekł krótko.

– Czy jest jakiś sposób łączności z innymi statkami, gdy aparatura nie działa?

– Tak. Światłne sygnały Morse’a.

– Umiesz je nadać?

– Nie, ale mam cały alfabet w podręczniku .

– Przynieś go do kokpitu. I sprowadź Rainę.

Raul uwinął się błyskawicznie.

– Posłuchajcie teraz oboje – zaczęła doktor Xiao. – Przeprogramowałam już komputer i dałam wam nieograniczony dostęp do systemów. Nie wierzę, że dacie sobie radę, ale jesteście naszą jedyną nadzieją i byłoby absurdem, gdybym przynajmniej nie spróbowała z niej skorzystać. Słuchajcie, oto co musicie zrobić...

Poinstruowała androidy w możliwie największym skrócie, co mają zrobić i co przekazać androidom z innych statków, jeśli uda się nawiązać łączność w zaproponowany przez Raula sposób. Zanim zemdlą z braku tlenu, zdążyła jeszcze podać zestaw haseł i udostępnić wejście do biblioteki medycznej statku. Dzięki temu Raul mógł szybko odnaleźć i przy pomocy Rainy wdrożyć właściwą procedurę. W międzyczasie nawiązał też kontakt z innymi Vikingami, gdyż androidy, wiedzione zmysłem logicznym, przede wszystkim szukały wizjerów, pozwalających na zorientowanie się w sytuacji pozostałych statków. Wystarczyło kilka błysnięć, by zrozumiały, jakiego kodu trzeba użyć do porozumienia się. Na wszystkich pokładach panowała ta sama sytuacja, zatem awaria systemu sztucznej grawitacji miała ścisły związek z wytłumiającą emanacją dysku Schoumakera. Mrugając przez wizjer reflektorem halogenowym Raul przekazał na inne statki instrukcje doktor Xiao: należało położyć wszystkich ludzi w tak zwanym „azyłu

awaryjnym”, gdzie znajdował się ogromny zbiornik tlenu pod najwyższym dopuszczalnym ciśnieniem. Każdemu członkowi załogi założono indywidualny zestaw wspomagający, połączony ze zbiornikiem i podano kriostatynę. Oprócz tego trzeba było każdemu podłączyć kroplówkę z roztworem fizjologicznym soli i medykamentem, zwiększającym napięcie statyczne mięśni – pomagało to ciału znieść przeciążenie. Następnie jeden z androidów musiał siedzieć stale w kokpicie i uważać na meteory, mogące uszkodzić pancierz. Autopilot utrzymywał statek na wyznaczonym kursie, jednak ktoś musiał pilnować czystości przestrzeni przed dziobem. Skoro nie można było ich wyminąć ewentualnych przeszkód, należało je sukcesywnie usuwać. Statki były wyposażone w lasery i miotacze wiązek diamagnetycznych – najnowszy wynalazek w dziedzinie „obrony kosmicznej”, jak to nieco na wyrost nazwano. Były to wszakże urządzenia obsługiwane ręcznie, stąd konieczność czyjegoś nadzoru.

Maszynownia została pod dozorem AT. Nieograniczony dostęp do zasobów głównego komputera dawał możliwość szybkiego zapoznania się z najważniejszymi instrukcjami – a Raul mógł przekazać Morseem odpowiednie hasła dostępu, pozostawione przez doktor Xiao. Jeśli by wszystko poszło dobrze, to po opuszczeniu dysku należało zatrzymać kawalkadę, przekazując autopilotowi odpowiednie hasło, i obudzić ludzi. Xiao nie wierzyła, że to się uda, ale zrobiła to, co uznała za najśluszniesze. Same androidy nie rozważały tych kwestii. Po prostu wykonywały to, co im nakazano – i robiły to z maszynową precyzją przez następne siedem dni. Upływ czasu nie był dla nich istotny, nie odczuwały nudy, zmęczenia ani niepokoju. Dano im konkretne zadanie, wywiązywały się więc z niego najlepiej, jak tylko było to możliwe.

Jednak o tym wszystkim załoga dowiedziała się jedynie z zapisów głównego systemu monitorującego.

Kiedy kapitan Willner odzyskał świadomość, przez dłuższą chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Wspomnienia wracały powoli, opornie. Odrętwiałe ciało mrowiło nieznośnie, a co gorsza, nie był w stanie opanować fizjologicznych funkcji. Zdezorientowany i upokorzony tą sytuacją spróbował wstać, ale nie całkiem się to udało, ledwie usiadł. Prawie natychmiast pociemniało mu w oczach i znowu runął na wznak, uderzając potylicą o podłogę. Ból go otrzeźwił i kapitan zaklął słabo. Ciemne, wąskie dłonie przytrzymały jego ciało tam, gdzie leżał.

– Proszę, nie wstawaj – zabrzmiał z wysoka głos Rainy. – Kriostatyna nie przestała jeszcze całkiem działać, a twoje mięśnie muszą zacząć reagować we właściwy sposób. Gdy tylko przekroczyliśmy granicę oddziaływania dysku Schoumakera, obwody sztucznej grawitacji zaczęły prawidłowo działać, ale przez tydzień był pan poddany poważnemu przeciążeniu.

– Chcę się umyć – wychrypiał Willner, nie poznając własnego głosu.
– To nie jest priorytet.
– Co ty tam wiesz.
– Kirk, musisz jeszcze poczekać i wstawać ostrożnie. Twoje ciśnienie tętnicze wciąż nie doszło do wartości z przedziału dopuszczalnych – tłumaczyła cierpliwie Raina, masując jednocześnie jego nogi. – Oddychaj spokojnie i nie myśl o niczym.

– Jak mogę nie myśleć. Co tu się działo?

Raina wygłosiła jednostajnym tonem ułożone przez Raula wyjaśnienie, przechodząc przy tym do masowania ramion Dominanta. Kapitan słuchał i powoli rozjaśniało mu się w głowie. Jak przez mgłę przypominał sobie nagłe uczucie przytłoczenia i rozplywający się przed oczami widok ludzi padających tam, gdzie stali. Potem nie było już nic – aż do teraz.

– Co z innymi? – Spytał, konstatuując z zadowoleniem, że wraca mu zdolność prawidłowego mówienia, a język przestaje być obcym, nieposłusznym ciałem w zdętwiałych ustach.

– Jedna ofiara śmiertelna. Reszta czeka na wybudzenie, ich stan jest stabilny. Kapsuły hibernacyjne w przedziale pasażerskim działają bez zarzutu.

– Kto umarł? – Spytał Willner po chwili, siłąc się na spokój.

– Doktor Celine Xiao. Odczyty – Raina urwała na moment, a potem jej oczy znieruchomiały i wyrecytowała mechanicznie. – Poziom kortyzolu krytycznie niski. Natychmiast uzupełnić. Zaburzona równowaga elektrolitowa. Podać potas. Spada utlenowanie krwi. Arytmia. Kołatanie. Zagrożenie życia. Migotanie przedsionków. Podać adrenalinę dosercowo. Migotanie komór. Natychmiast podać lidokainę. Natychmiast podać potas. Wskazana kardiowersja. Rozpocząć defibrylację. Obrzęk krtani. Podać adrenalinę. Podać atropinę dotchawiczo. Natychmiast wykonać tracheotomię. Asystolia. Obrzęk mózgu. Czas zgonu: godzina 8.54.

– Ach tak... – szepnął Kirk Willner.

– Raul powiedział, że nie wie, gdzie są te preparaty. Nim zdołał je zlokalizować, zastąpiło zatrzymanie funkcji życiowych. Nie wiedzieliśmy, co to jest tracheotomia. Komputer podał definicję, ale to było za mało. Próbowaliśmy resuscytacji, jak na ćwiczeniach, ale nic to nie dało. Czy to nasza wina, że przestała funkcjonować?

Kapitan milczał, poddając się przez chwilę masującym go rękami androidki.

– Nie – rzekł wreszcie. – Jestem pewny, że wszystko zrobiliście, jak trzeba. Żadne z was nie jest androidem medycznym, a przecież nawet AM nie zastąpi lekarza. Mogę wstać?

– Chyba tak.

Kirk Willner podniósł się ostrożnie z podłogi, na której leżał. Była lepka i

brudna, a całe pomieszczenie cuchnęło przeraźliwie. Dookoła spali pokotem pozostali członkowie załogi Vikinga 01, jeszcze nie wybudzeni. Czujniki, związane na ich ramionach, pulsowały światłami odczytów, w powietrzu unosił się miarowy szum aparatury, tłoczącej tlen do płuc nieprzytomnych ludzi. W miarę, jak grawitacja ulegała normalizacji, ciśnienie tlenu zmniejszało się automatycznie i obecnie było na poziomie określonym przez miernik jako „optymalny”. Raul, który właśnie wszedł do „azylu awaryjnego”, zatrzymał się w progu i spojrzał wyczekująco na dowódcę wyprawy.

– Podajcie wszystkim antidotum – polecił kapitan. – Idę na mostek. Trzeba nawiązać łączność z pozostałymi statkami. Tylko najpierw może się jednak przebiore.

– Przygotowałem zmianę odzieży dla członków załogi – rzekł Raul. – Włączyłem też tuby dezynfekcyjne i suchą pralnię. W każdej kwaterze czeka podwójna porcja wody, glukoza w kostkach i pastylki proteinowe z żelaznych racji.

– Gdybyś nie był androidem, dostałbyś order. Ale na razie obudź wszystkich i dopilnuj, by AT sprzątnęły ten chlew. Kiedy znów tu wrócę, podłoga ma lśnić, a powietrze pachnieć fiołkami.

Kirk Willner wyszedł na korytarz, odetchnął głęboko i skierował się do kabiny. Był tak osłabiony, że z trudem tam dobrnął. Przede wszystkim napił się wody, potem włożył do ust kostkę glukozy i dopiero wtedy zdjął zanieczyszczony mundur. Porcja cukru przywróciła mu nieco energii, odważył się więc założyć dziesięciominutową maskę i wejść do tuby dezynfekcyjnej. Nastawił poziom oczyszczania na maksimum.

– Moje królestwo za gorący prysznic – pomyślał czując, jak ozonowy wicher z dodatkiem chemicznych absorbentów owiewa jego ciało w coraz szybszym, wirującym rytmie. – Albo za wannę pełną wody z mydlinami.

Niestety to wszystko pozostawało w świecie marzenia. Kiedy młody porucznik Kirk Willner przystępował do tajnego programu kosmicznego, nie miał pojęcia o tych mniej przyjemnych realiach lotu i nawet przez myśl mu nie przeszło, że może znaleźć się w tak niemiłej sytuacji. Higiena podróży kosmicznych była pomijana w wykładach, po to chyba, by nie zniechęcać wyselekcjonowanych kandydatów.

Wyszedłszy z tuby kapitan stwierdził z zadowoleniem, że z wodą czy bez, urządzenie spełnia swoją rolę. Był czysty aż po palce u nóg i czuł nawet lekkie szczypanie skóry, niczym po mocnym szorowaniu ostrą gąbką. Włożył czysty mundur, a brudne ubranie wrzucił do kolektora suchej pralni. Zamknąwszy klapę wypił jeszcze jeden kubek wody, połknął dwie pastylki proteinowe i poszedł wreszcie na mostek.

Światła na konsolach pulsowały równym, uspokajającym rytmem, wskazującym na sprawność wszystkich systemów. Kapitan usiadł przy stanowisku

łącności i nawiązał połączenie z pozostałymi statkami. Nie był całkowicie pewny, co usłyszy – na innych Vikingach warunki były dużo trudniejsze. Na Vikingu 04 nie było teraz ludzi załogi, ale na każdym z trzech pozostałych znajdował się tylko jeden android oraz zespół AT. W dodatku instrukcja postępowania została przekazana im za pomocą impulsów świetlnych przy użyciu przestarzałego systemu Morse’a. W tej sytuacji nietrudno było o pomyłkę. Jednak Rhonda 12F, Roger 7E i Rusłana 39F złożyli niemal jednobrzmiący raport: wszystkim ludziom podano antidotum, członkowie załogi wybudzają się prawidłowo, żadnych poważniejszych problemów. Na chwilę włączył się też Brent, który z pokładu Vikinga 04 zameldował, że u nich sytuacja jest bez zmian.

– Na Ziemi nigdy by w to nie uwierzyli – pomyślał kapitan. – Biedna Celine też nie przyjęłaby do wiadomości tego, jak bardzo sprawne są androidy.

Ta konstatacja przypomniała mu, że trzeba będzie zarządzić autopsję zwłok lekarki. Jej śmierć była na tyle osobliwym przypadkiem, że należało dowiedzieć się, co dokładnie ją spowodowało. Na to jednak będzie czas później. Na razie załoga musiała dojść do siebie.

Dopiero na trzeci dzień kapitan Willner zarządził walną odprawę. Do tego czasu szok minął, wszyscy doprowadzili się do porządku i zdiagnozowali tę część aparatury pokładowej, za którą byli odpowiedzialni. Mogli więc skupić się na zebraniu, podczas którego kapitan wyświetlił prawie godzinny zapis z akcji zmarłej doktor Xiao.

– Nie ulega wątpliwości – powiedział, gdy trójwymiarowy obraz zgasł – że pani doktor uratowała całą naszą flotyllę. Nie straciła głowy i przekazała androidom szczegółowe instrukcje postępowania. Dzięki temu mogły zająć się nami we właściwy sposób i zadbać o bezpieczeństwo statków. Przeżyli wszyscy, nawet mały Sabatini, co jest nieprawdopodobnym sukcesem sztucznej inteligencji. Wpisałem do raportu wniosek o pośmiertne odznaczenie Celine Xiao orderem Ziemskiej Legii Honorowej.

– Mam pytanie – odezwał się Leonard Derkacz. – Układy grawitacyjne działały wadliwie wskutek emanacji dysku Schoumakera. Jednak Hawking chyba nie miał takich problemów. Dlaczego?

– Bo pięćdziesiąt lat temu nie znano jeszcze autonomicznych układów magnetopulsacyjnych – wyjaśnił inżynier Shamir Om. – Sztuczną grawitację wytwarzano za pomocą ruchu pierścieni obrotowych. To się nie psuło.

– Postęp, psiakrew – zamruczał O’Leary. Myślni wciąż był przy doktor Xiao, której zwłoki leżały teraz w pokładowej chłodni. Nie mógł uwierzyć w to, że mała Chinka, zawsze pełna energii i życia, tak po prostu się poddała. W obliczu tej tragedii nic go nie obchodziły szczegóły techniczne budowy ESS Stephen Hawking. Nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, jak bardzo zależało mu na

lekarce, cierpkiej i sarkastycznej niczym on sam. Czuł w sobie smutek, ciężący jak kamień i odbierający chęć do życia. Wstał i wyszedł, ignorując pytające spojrzenia innych uczestników odprawy.

Etta wstała i, przeprosiwszy zebranych, podążyła za przyjacielem. Dogoniwszy go ścisnęła współczująco jego dłoń.

– Wiem – szepnęła. – Wszyscy ją oplakujemy. To była dzielna i wartościowa kobieta.

Irlandczyk spojrział na nią z ironicznym skrzywieniem ust.

– I jakie to ma teraz znaczenie? Dobry czy zły, po śmierci staje się po prostu kawałkiem mięsa, no chyba, że ktoś wierzy w jakieś pośmiertne bytowanie.

– Ty nie wierzysz?

– Bo ja wiem? Moja rodzina miała tradycje religijne. Matka opowiadała wieczorami mnie i moim braciom o Wielkim Przedwiecznym, ale wiesz, jak to dzisiaj jest. Mało kto się przyznaje do wiary w cokolwiek poza twierdzeniem Fermata i zasadą nieoznaczoności Heisenberga.

– No tak – Etta zawahała się. – Jestem w tej kwestii uprzywilejowana. Historycy jako jedyni wiedzą coś więcej o religiach dawnego świata. Na studiach przeczytałam wszystko: Biblię w kilku wersjach, Koran, Maharabdę, traktaty buddystów, Księgę Umarłych starożytnego Egiptu, wszystkie mitologie. Pisałam z tego rozprawę porównawczą, by zaliczyć czwarty rok. Trochę zazdroścę dawnym kulturom ich wiary. To było piękne.

O’Leary pokiwał lekko głową, a jego długa, zmęczona twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

– Samo w sobie tak, ale sama wiesz, co z tego wynikało. Przez tysiąclecia religie były pretekstem do niewyobrażalnych zbrodni. To dlatego tuż po katastrofie ekologicznej zabroniono jakichkolwiek przejawów identyfikacji religijnej, a wszystkie świątynie zamieniono na muzea. To było konieczne, choć nawet ja wiem, jak długo trwały zamieszki z tego powodu.

– Ludzie walczyli o prawo odprawiania obrzędów religijnych gwałtowniej niż o jedzenie lub wodę. Dziś wydaje się to bezsensowne, sama nie mogę tego zrozumieć. Przecież każdy może wierzyć, w co chce, to jego prywatna sprawa, nie musi informować o tym wszystkich dookoła, by jego wiara nabrała znaczenia.

Doktor O’Leary pogłaskał Ettę po świeżo ogolonej głowie takim ruchem, jakby dotykał małego dziecka.

– Taka ludzka natura – powiedział. – Możesz o tym czytać, mała, ale będąc dzieckiem współczesności nie zdajesz sobie sprawy z tego, czym kiedyś była dla ludzi ich religia. My najwyżej patrzymy w gwiazdy i myślimy „Gdzieś tam jest ktoś, kto jest Początkiem i Końcem” Wiemy, że jeśli ktoś taki rzeczywiście istnieje, to może przebywać w wymiarze całkowicie dla nas niedostępnym, a już na pewno my i On nie potrafilibyśmy się porozumieć.

– Dlaczego właściwie? Mac, czytałam kiedyś traktat Vincente Parkera, ale trudno mi go zaakceptować. Jeśli Wielki Przedwieczny istnieje, czemu milczy? Dlaczego nie mogliśmy go zrozumieć? Przecież nasz mózg jest najdoskonalszy ze wszystkich ziemskich mózgów, umiemy nawet sięgnąć gwiazd.

O’Leary wyjął zza paska manierkę i napił się, rozsiewając wkoło zapach alkoholu. Etta skrzywiła lekko usta, ale powstrzymała się od komentarza.

– Dziecko – rzekł wreszcie doktor. – To kwestia proporcji. Jednodniowe muszki istnieją do dziś. Wytłumacz takiej muszce, co to zima, wiosna, jesień, gdy zna ona tylko jeden letni dzień. Kiedyś na Ziemi żyły małe człękokszałtne, spokrewnione z ludźmi. Niektóre z nich były tak inteligentne, że można je było nauczyć porozumiewania się przy pomocy znaków migowych, języka głuchoniemych. Wtedy nie stosowano eutanazji wobec nieuleczalnych, więc musieli jakoś sobie radzić. No więc wyobraź sobie, że masz taką małą, która umie przekazać znakami „Daj mi jeść” czy „Koko kocha Willa”. Odpowiada też dorzecznie na proste pytania.

– I co dalej?

– A teraz spróbuj przemówić do niej językiem wyższej matematyki. To podobna proporcja. Jeśli Wielki Przedwieczny naprawdę istnieje, to choćby mówił do nas latami, nie zrozumiemy, że w ogóle ktoś do nas przemawia. Czemu więc miałby się trudzić?

– A życie po śmierci?

– Tu jest podstawowy problem: każdy się dowie, jak to jest. Jednak tej wiedzy nikomu już nie przekaze. Wolę nie snuć fantasmagorii. Jeśli okaże się, że gdy moje ciało umrze, świadomość poszybuje w przestworza, będę miał niespodziankę, a czy miłą, to i tak zależy od okoliczności. Setki pokoleń przywódców religijnych nie umiało udowodnić, że to możliwe. Ale jest i druga strona medalu: żaden naukowiec nigdy nie udowodnił, że to nieprawda.

Etta odniosła wrażenie, że zgorzkniały cybernetyk bardzo chce teraz uwierzyć w to, w co wierzyła jego matka. Nie chciał o tym mówić, ale chińska lekarka stała się dla niego w ostatnich miesiącach podróży kimś naprawdę ważnym, a co ważniejsze, chyba odwzajemniała jego uczucia.

– Tak bardzo mi przykro – szepnęła. – Wiem, że doktor Xiao wiele dla ciebie znaczyła. Dobrze się rozumieliście, choć nie podzielała twej fascynacji androidami.

– Fakt – przyznał O’Leary. – Ironia losu. Ona, która uparcie odmawiała androidom osobowości, została zmuszona do zaufania im w kwestii ekstremalnie ważnej. Nie powie już, co wtedy myślała.

Zamilkł, patrząc w podłogę. Przez chwilę milczeli, aż ciszę przerwała Raina, która pojawiła się przy nich.

– Kapitan prosi wszystkich na mostek – powiedziała.

– Po co na mostek? – Zdziwił się O’Leary. Raina przechyliła lekko głowę na lewe ramię, dając w ten sposób wyraz niepewności co do informacji, której od niej żądano.

– Też o to spytałam, a Kirk na to „Po prostu ich sprowadź, Raino” – zaszcebiotała. Doktor uśmiechnął się lekko, samymi kącikami ust. Ta androidka często odpowiadała w zupełnie inny sposób niż standardowe modele – nie tylko udzielała konkretnej odpowiedzi, ale przyozdabiała ją dodatkowo w różne uwagi. W dodatku w takich chwilach barwa i częstotliwość głosu ulegały pewnej zmianie, co sprawiało wrażenie niejkiej figlarności. To wszystko było dostatecznie niezwykle, by uznać ją za nietypową, a O’Leary uwielbiał nietypowe androidy.

– Zatem idziemy – powiedział. – Trzeba słuchać dowódcy.

Na mostku była obecna cała „ludzka” załoga Vikinga 01. Ludzie stali stłoczeni, obserwując z uwagą główny ekran, na którym migły schematy kontrolne (piloci kończyli właśnie testy). Wreszcie Camus de Bernal przełączył centralny rozdzielnik i rzucił do mikrofonu:

– Uwaga całą załoga! Przechodzimy na tryb wizualny.

Ekran ściemniał, a następnie rozjaśnił się, ukazując przestrzeń kosmiczną przed dziobem. Na tle dalekich gwiazd i mgławic świecił okrągły, opalizujący klejnot, niczym diament wśród pereł.

– Jewel – szepnęła Sherman LaVer. – Teraz rozumiem, czemu tak ją nazwali.

– Jest prześliczna – zawtórowała jego słowom oczarowana inżynier Silberstein. Kapitan odchrząknął z wysiłkiem, jakby nie mógł opanować wzruszenia i powiedział:

– Tam jest nasz nowy dom. Nie dolecimy tam dzisiaj ani jutro. Dopiero za dwa miesiące osiągniemy orbitę Patris. Ale od dziś każdy, kto będzie odczuwał ciężar przedłużającego się lotu, ma prawo przyjść na mostek i popatrzeć na naszą gwiazdę przewodnią.

Spojrzał na Ivo Haska, który stał, nie spuszczać oczu z ekranu.

– Jak pan widzi, jesteśmy prawie na miejscu.

Więzień odpowiedział mu twardym, ponurym spojrzeniem.

– Piękna – przyznał. – Ale to nie jest nasze słońce. A ta planeta, na którą nas pan wiezie, nie jest Ziemią.

XVII.

– Nasza podróż nareszcie dobiega końca – pisała Etta, wierna obowiązkom kronikarza wyprawy. – Piloci zdiagnozowali i ustabilizowali połączenie z automatyczną stacją Michio 2, i odebrali z banku pamięci przekazy z ostatniego tygodnia. Każde z nas dostało informacje o pozostawionych na ojczystej planecie bliskich, a bardzo tego potrzebowaliśmy, przyszły też najnowsze wytyczne.

Natychmiast po wejściu w układ Jewel mamy zameldować o warunkach na powierzchni Patris i naszych działaniach. Obecne odczyty mówią, że planeta jest dokładnie taka, jak mówiono – trochę pierwotna, ale zdatna do zamieszkania przez człowieka. Jednak jeszcze nie możemy tego zobaczyć na własne oczy.

Sekcja zwłok doktor Celine Xiao wykazała pęknięcie obu nadnerczy i duży skrzep krwi w lewej komorze serca. Doktor Tengiz Gongadze powiedział, że po raz pierwszy zdarzyło mu się oglądać coś takiego i że przyczyną tego prawdopodobnie był mechanizm wewnątrzwydzielniczy, który zawiódł w chwili wzmożonego stresu. Jakąkolwiek akcję podjęłyby androidy, nie zdołałyby uratować doktor Xiao, a jest nawet mocno wątpliwe, czy ocaliłaby ją natychmiastowa interwencja wyspecjalizowanego zespołu medycznego.

Członkowie załogi wyzdrowieli jużże skutków podania multivaccyny. Dwóch żołnierzy z Vikinga 02 i jeden inżynier z Vikinga 05 cierpieli na krótkotrwałą zapaść krążeniowooddechową, wśród pozostałych odnotowano cztery przypadki biegunki krwotocznej i dwadzieścia siedem przypadków gorączki, przebiegającej z odczynami węzłowymi (wypis z raportu medycznego autorstwa głównego lekarza ekspedycji, pułkownika Tengiza Gongadze). Uderzeniowa szczepionka ma zmobilizować ciała załogantów do walki z tym, co może zaatakować je na Patris. Biolodzy twierdzą, że zaszczepiony w ten sposób organizm, zetknąwszy się z nieznanym wirusem lub bakterią, jest w stanie wyprodukować przeciwciała w ciągu zaledwie godziny. Multivaccyna to najnowsze osiągnięcie medycyny biogenicznej, wciąż ma jednak paskudne skutki uboczne, których jak na razie nie dało się wyeliminować. W każdym razie, wszyscy przeżyli i są zdrowi, a badanie krwi wykazało obecność pożądaných metamorficznych przeciwciał.

Wciąż nie udało się oczyścić wiadomości, która miała zostać przesłana na Ziemię przez astronautów z ESS Hawking. Główny informatyk Pavlov mówi, że się nie poddaje, jednak do tej pory zdołał odczytać ledwie kilka oderwanych słów i końcowe zdanie. Brzmi ono „To zła planeta.” Czy to wyraz rozpaczy, czy ostrzeżenie?

Odkąd możemy oglądać Jewel, a zwłaszcza od kiedy na ekranach pojawiła się Patris, ludziom jest znacznie lżej. Nikogo nie trzeba dyscyplinować, jak przedtem, by zachowywał się zgodnie z procedurami. Kapitan ogłosił nawet amnestię dla tych, którzy ostatnio zostali ukarani aresztem domowym i pozwolił im opuścić kwatery. Byli to: kapral Hansen, który spóźnił się na służbę i doktor O’Leary, przyłapany przez kapitana na picciu nielegalnie wyprodukowanego alkoholu. Nie dotyczy to tylko Ivo Haska, członka organizacji Zielony Październik. Frustracja doprowadziła go do próby samobójczej i obecnie znajduje się w stanie kontrolowanej śpiączki farmakologicznej. Lekarze chcą podjąć u niego terapię psychiatryczną, gdy kolonia zacznie działać.

Przestaliśmy golić głowy, znów urządzamy pokazy filmowe i wieczorne zabawy.

Etta odłożyła stylus. Na chwilę wróciła myślą do wczorajszego wieczora, kiedy Weronika urządziła w mesie potańcówkę. Inżynier Silberstein pomogła odśrubować wszystkie stoły i krzesła, potem udekorowała całe pomieszczenie i zainstalowała kolorowe filtry przy źródłach światła. Pokładowa pielęgniarka, Irina Kral, zrobiła ze skrawków różnych tkanin maseczki karnawałowe i kotyliony dla wszystkich, a kapral Svensen zaprogramowała pokładowy radiowęzeł przy użyciu własnych zasobników z modnymi piosenkami. Przez cały wieczór załoga statku dowodzenia bawiła się, jakby była na balu maturalnym. Etta tańczyła z kapitanem, potem z doktorem O’Leary i prawie zapomniała, gdzie jest. Myśl o tym, że niedługo poczują pod stopami stały grunt, wprowadzała ludzi w tak radosny nastrój, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, co w istocie ich czeka. Tymczasem Patris była coraz bliżej, już ją widzieli, obracającą się powoli w przestrzeni kulkę, pokrytą brunatnymi i zielonymi plamami, z wieloma akcentami błękitu. Nie była tak niebieska jak Ziemia. Pewnie dlatego, że nie miała mórz ani oceanów, choć wody było tam pod dostatkiem. Spektrografy pokładowe pokazywały skład atmosfery, a ich odczyty analizowała skrupulatnie cała ekipa biologów. Byli bardzo zadowoleni. Wszystko wskazywało na to, że na Patris można swobodnie oddychać i ze strony powietrza nie ma się czego obawiać. Zawartość tlenu wynosiła całe 23%, a więc więcej niż na Ziemi, nieco mniej za to było azotu – tylko 70%. Pozostałe gazy była to mieszanka o nieco odmiennym składzie niż na Ziemi, ale – jak stwierdził biochemik z Vikinga 03, Larry West – obojętna w tym stężeniu dla organizmu człowieka. Dalsza analiza ujawniła też dwutlenek węgla i metan, co mogło wskazywać na obecność jakichś zwierząt i na przebiegającą prawidłowo fotosyntezę.

Na powierzchni planety były więc rośliny i zwierzęta. Czy to znaczyło, że naprawdę da się tam żyć? Co ważniejsze, czy przeżyją tam ludzie, przyzwyczajeni do sterylnych, centralnie zarządzanych miast Ziemi? Od wieków nikt poza ludźmi z certyfikatem eko nie miał kontaktu z „dziką przyrodą”. Mieszkańcy miast widywali czasem ptaki, w miastach pojawiały się też motyle – dość duże, szarżółte, o prawie przezroczystych skrzydłach. Podobno kiedyś bywały ich całe roje, różniły się między sobą wielkością, a ich skrzydła płonęły wysyconymi kolorami niczym żywe klejnoty. Zachowały się zdjęcia i okazy zatopione w akrylu. Wielu sądziło nawet, że to mistyfikacja i trudno było się temu dziwić, skoro jedyne znane współczesnej ludzkości motyle były jednostajnie, smutno ubarwione, jakby wypłowiałe. Jak wyglądają, czy też wyglądały dzikie zwierzęta, można było zobaczyć w muzeach i na filmach. „Na żywo” widziało się czasem hodowane na mięso świnię, króliki i kury. Etta też je widziała: świnię przypominały bezkształtne

góry mięsa, zmutowane wskutek selektywnej hodowli, króliki były łyse i nieruchawe, jedynie małe kurczaczki wydały się małej wówczas dziewczynce interesujące. Były ładne i zabawnie popiskiwały, dziobiąc karmę. Chciało się dotknąć kolorowych piórek, jednak gościom farmy nie pozwalano na to, by zminimalizować ryzyko infekcji.

Bardzo bogaci ludzie miewali koty. Etta widziała raz to piękne stworzenie, kiedy żona burmistrza Montepietro zaprosiła ją na urodziny córki. Co prawda państwo Solis pochodzili z zaledwie średniej warstwy ludności, a sama Etta była zerówką, co już wtedy, w dzieciństwie, stanowiło pewne piętno. Jednak pani Alcantar nie miała uprzedzeń i bardzo lubiła grzeczną, delikatną dziewczynkę o buzi lalki. Była zadowolona, że córeczka przyjaźni się z nią mimo dwóch lat różnicy. Etta uśmiechnęła się smutno, wspominając tamto przyjęcie. Było wspaniałe, urządzone w wytwornej rezydencji burmistrza. Grała specjalnie sprowadzona orkiestra, przysmaki i napoje dla zaproszonej dzieciarni zamówiono w najdroższej restauracji, a ponadto każdy z małych gości dostał jakiś upominek. Jednak kot był najpiękniejszy ze wszystkiego. Długi, gibki, o zgrabnym łebku i lśniącej sierści w odcieniu dymnego kryształu, leżał na poduszce, obserwując gości złotymi oczami. Pani Alcantar pozwoliła Etcie pogłaskać go po grzbiecie. Zamruczał. Potem długo w nocy dziewczynka płakała w poduszkę z żalu, że rodzice są zbyt biedni, by kupić takie zwierzątko i w jej serduszkach narodziła się zazdrość wobec Violi, którą dotąd bardzo lubiła. Miała wszystko: piękny dom, mnóstwo słodczy, śliczne sukienki, coroczne wyjazdy nad prawdziwe, nie wideograficzne morze, tego wspaniałego zwierzaka i do tego była „trójką”! To niesprawiedliwe. Etta nosiła się z tym brzydkim uczuciem kilka dni, aż wreszcie nie wytrzymała i wyznała wszystko matce.

Pani Solis była mądrą kobietą. Nie strofowała córki, ale wzięła na kolana i powiedziała:

– Jeśli chcesz mieć coś, co ma ktoś inny, musisz wziąć wszystko, nie tylko tę jedną rzecz, która budzi pożądanie. A wiesz, że Viola jest ciężko chora i został jej najwyżej rok życia? Nawet najlepsi lekarze nie mogą nic pomóc. Ciesz się, że jesteś zdrowa, silna i rozwinięta umysłowo jak mało które dziecko w twoim wieku.

Wtedy po raz pierwszy Etta dowiedziała się, że ktoś może odejść i nigdy nie wrócić. Właściwie to był koniec jej dzieciństwa, choć wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy. A wszystko z powodu kota.

Viola umarła osiem miesięcy później i do końca nie wiedziała, jak bardzo najlepsza przyjaciółka była bliska zniechęcenia jej.

Siedzący na koi Raul uniósł głowę znad czytelnika.

– Czemu nie piszesz? – Spytał. – Coś się stało? Twoja twarz jest mokra.

Etta otarła policzki, zawstydzona własną słabością.

– Wspominałam coś – odparła. – To nieważne. Co czytasz?
– Podręcznik biologii. Postanowiłem się uczyć, by zostać AM.
Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, czując się tak, jakby zabrakło jej nagle tchu.

– Co takiego?!
Android wstał i odłożył czytnik na szafkę.
– Nie gniewaj się – poprosił. – Od dawna o tym myślałem, a teraz wiem, że właśnie tego pragnę.

– Nie starczy, że jesteś AC?
– Nie przestanę nim być, ale chcę też być czymś więcej. Zrozum to, Etta. Zawsze mnie rozumiałaś, mówiłaś, że nie jestem twoją własnością ani niewolnikiem.

– Nie jesteś. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że możesz mieć jakieś niezależne aspiracje. Wybacz mi.

– Nie będziesz się temu sprzeciwiać?
– Oczywiście, że nie. AM przyda się w kolonii, nawet bardzo. Powiedz jednak, czy to dlatego, że cię jakoś zawiodłam?

Raul przechylił głowę na bok w niemym pytaniu.

– Uznałeś może, że cię nie potrzebuję?

– Nie, nie tak.

Android zamilkł, szukając właściwych słów. Miał z tym pewne trudności, mimo że w czasie lotu jego język uległ wyraźnemu wzbogaceniu o nowe pojęcia.

– Nie jestem cały dla ciebie – rzekł wreszcie. – Częściowo jestem dla siebie.

Niezbyt poprawne sformułowanie wskazywało na dopiero stabilizujący się schemat myślowy. Po chwili Raul spojrzał na Ettę.

– Czy to bardzo źle? – Spytał. Zabrzmiało to jakoś bezradnie.

– Skądże – zaprzeczyła dziewczyna. – Po prostu się rozwijasz. Nie wystarczy ci to, co masz, zaczynasz poszukiwać własnej drogi.

Nagle poczuła się niczym matka, która obserwuje dziecko, po raz pierwszy samo decydujące, jak ma postąpić. Chyba stąd właśnie pochodziło to niespodziewane ukłucie żalu w sercu, jakby coś bezpowrotnie się kończyło. Wstała od stołu, podeszła do Towarzysza i położyła mu rękę na ramieniu.

– Cokolwiek zechcesz, będę cię wspierać – obiecała. – Zawsze stanę po twojej stronie.

Wewnętrzny interkom zaterkotał i po chwili dał się słyszeć głos kapitana:

– Uwaga załoga: Za godzinę osiągniemy orbitę synchroniczną z Patris. Drużyny pierwszego zwiadu mają przygotować się do zejścia na stałą powierzchnię. Przypominam o założeniu skafandrów.

Chociaż ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż Patris jest planetą

„przyjazną”, trzeba było zachować ostrożność. Nie znano jeszcze poziomu zagrożenia biologicznego. Mimo zastosowania najnowszej szczepionki, lepiej było wykazać się nadmierną ostrożnością, niż niepotrzebną brawurą. Drużyny pierwszego zwiadu miały pobrać próbki i wrócić na macierzyste statki, gdzie na wszelki wypadek zostaną poddane dekontaminacji. Dopiero po dokładnym zbadaniu próbek będzie można zaryzykować lądowanie bez skafandrów.

To była ciężka próba dla ludzi stęsknionych za stałym lądem, jednak utrzymywana przez całą podróż żelazna dyscyplina dała rezultaty. Zwiadowcy, wysłani promami w różne punkty planety, pobrali próbki ziemi, wody i powietrza, po czym wrócili – choć z żalem – na czekające ich powrotu statki.

– Tam jest cudownie – mówili towarzyszom podróży, słuchającym chciwie tej relacji. – To jak najpiękniejsza symulacja wideoplastyczna. Niebo nie jest tak niebieskie, jak na Ziemi. To znaczy, jest niebieskie, ale ma taką domieszkę różowości. Jewel wydaje się większa niż ziemskie słońce, a rośliny są tak bardzo zielone, jakby ktoś je pomalował!

Biolodzy i chemicy zabrali się od razu za badanie dostarczonego materiału, dbając pilnie o to, by próbki nie uległy zanieczyszczeniu. Analizy, przeprowadzane zdalnie w komorze o najwyższej klasie sterylności, dały zadowalające rezultaty. Okazało się, że przekazywane przez dziesięciolecia odczyty, dokonywane przez automatyczne próbniki i bardziej zaawansowaną aparaturę, były ściśle. Skład wody nie różnił się od ziemskiego, ziemia również była podobna – głównie był to less, czarnoziem i margle. W powietrzu nie wykryto szkodliwych domieszek. Nawet mikroorganizmy wydawały się znajome.

– Nie jest to może aż tak dziwne – tłumaczył później biolog Callum. – Już w XX wieku wiedziano, że w całym dostępnym kosmosie występują te same składniki, co na Ziemi, mało tego, że znajdują się w nim te same aminokwasy, które budują nasze DNA! Czytałem o euforii i niedowierzaniu, z którym przyjęto wykrycie gdzieś daleko w przestrzeni kosmicznej prostych cukrów. Jasne, że organizmy złożone mogą niczego nam nie przypominać, ale składniki ich ciał pozostaną te same. To żadna niespodzianka.

– Czy wykryte wirusy, bakterie i grzyby są dla nas groźne? – Spytał kapitan.

– Tego nie możemy wiedzieć. Na razie nie, z powodu braku powinowactwa, ale wirusy szybko mutują. W przyszłości może się okazać, że powodują jakąś chorobę, na razie jednak nic na to nie wskazuje.

W tej sytuacji należało podjąć decyzję o lądowaniu. Dwa dni upłynęły na szukaniu przygotowanej przez automaty infrastruktury, która okazała się trudna do zlokalizowania. Znaleziono ją w końcu – szeregi kontenerów mieszkalnych, wodociąg i minielektrownia, to wszystko u podnóża wspaniałej, wyniosłej góry. Całość robiła wrażenie. Wysłane z Ziemi automaty nie tylko dotarły na to miejsce, jeszcze zdołały zrealizować wprowadzony program, na pewno nie bezbłędnie, ale

jednak.

– Oto nasz cel – oświadczył kapitan. – Na razie ląduje pierwsza wyznaczona połowa, głównie naukowcy i część ochrony. Tą grupą kieruję ja, zastępcą na statku dowodzenia zostaje komandor Sasha Krasusky. Zbadamy teren i dopiero wtedy dołączy do nas reszta. Na statkach pozostaną piloci i inżynierowie, którzy będą dyżurować w systemie zmianowym. Mamy dość paliwa, by utrzymać komunikację ze statkami za pomocą promów. Żeby nikt nie był poszkodowany, dyżurni będą wymieniać się co 48 godzin.

Załogę ogarnęło gorączkowe podniecenie, co dało się odczuć na wszystkich statkach, poza Vikingiem 04, obsadzonym przez same androidy. Ci, którzy zostali wyznaczeni do pierwszej grupy lądującej, stali się z miejsca obiektem zazdrości, a niejeden z tych, których przeznaczenie i rozkaz kapitana wpisał do drugiej grupy, usiłował „zamienić się” z którymś kolegą. Były to jednak bezowocne wysiłki.

Przed udaniem się do promu kapitan poszedł jeszcze raz na mostek i powiedział:

– Pilocie Jimenez, proszę wysłać na Ziemię raport oraz informację, że schodzimy na ląd. Ponieważ wskutek konieczności korzystania ze stacji przekaźnikowej sygnał będzie opóźniony, nie będę czekać na odpowiedź. Przekaze mi ją pan, jak wrócę.

– Tak jest – odparł Jimenez. Z trudem ukrywał rozczarowanie, że „padło na niego”. Jak wszyscy rwał się do opuszczenia statku, i to jak najszybciej, jednak przyjął rozkaz kapitana bez protestu. Kirk Willner uśmiechnął się, bezbłędnie odgadując jego myśli.

– Nie martw się, stary, wszyscy w końcu zejną na ląd – rzekł pocieszająco. – Jesteśmy już w domu. Trzeba tylko się tu trochę rozejrzeć, nim zaczniemy budzić kolonistów.

Świadomie odwlekał tę decyzję w czasie. Nie chciał wybudzać śpiących ludzi, póki nie będzie w stanie zaoferować im stabilnych warunków życia, a w tym celu musiał wiedzieć, na czym stoi. Na razie niech śpią. Ich ciała, których metabolizm zatrzymała odpowiednia mieszanka medykamentów, nic na tym nie ucierpią.

Cztery promy wylądowały w idealnym szyku na rozległej płaszczyźnie, niedaleko prowizorycznego osiedla. Potwierdziwszy na wszelki wypadek poprzednie odczyty kapitan nakazał otwarcie włazów i jako pierwszy zeskoczył na kamienisty grunt. Zaskoczyły go od razu dwie rzeczy – po pierwsze wiatr, od którego odwykł. Świeży powiew, niosący zapach wilgotnej ziemi i roślin, był czymś niewiarygodnie cudownym, tak bardzo zapomnianym, że wydawał się nieznany. Drugie doznanie nie było już tak miłe. Wskaźnik grawitacji wynosił na

Patris 1.1 g, podczas gdy na pokładach Vikingów z trudem osiągnano wartość 0.8 g. Wskutek powstałej różnicy ciężenia każdy wysiadający z promu poczuł się tak, jakby nagle założono mu na ramiona plecak wyładowany kamieniami.

– Proszę o zachowanie ostrożności – przestrzegł wszystkich. – Żadnych skoków i żadnej brawury. Nie chcę słyszeć o choćby jednej pękniętej kości.

– Zobaczmy, jak to będzie. Wszyscy mamy prawo mieć pewne odwapnienia – Tengiz Gongadze przejechał nerwowo dłonią po odrastających włosach. – Martwię się o małego. Jego kościec dopiero się rozwija, nie wiem, jak zniesie taką zmianę. Dobrze chociaż, że ciśnienie atmosferyczne jest tu dość przyjazne, w granicach 1000 milibarów. Wolałbym nie leczyć tu na piękny początek dziesiątków przypadków choroby kesonowej, zwłaszcza że komorę dekompresyjną mamy tylko jedną.

Lesbeth Mell dokonała szybkich obliczeń w pamięci.

– To nam raczej nie grozi – powiedziała. – Jednak przyłączam się do apelu: uważajmy wszyscy, gdzie stawiamy nogi. Przywykliśmy do pokładów, gdzie miejsca było mało i podłóże proste. No i niech nikt się na własną rękę nie oddala od grupy. Przepraszam, kapitanie, że tak się rządzę, ale to można chyba pociągnąć pod nakaz lekarski, skoro samowolna akcja grozi urazami fizycznymi.

Kirk Willner skinął głową z roztargnieniem. Patrzył w górę, gdzie na tle białoszarych obłoków widać było jakieś stworzenia, lecące w zwartej formacji. Przypominały ptaki, ale tak dużych jeszcze nie widział. Na Ziemi przetrwało niewiele gatunków. Powszechne przed katastrofą ekologiczną zatrucie powietrza powodowało osłabienie skorupki jaj, a nawet masowe padanie dorosłych ptaków. Obecnie żyło ich niewiele i były to małe, najlepiej przystosowane gatunki. Te tutaj wyglądały na duże, stadne zwierzęta, choć leciały za wysoko, by można było stwierdzić jakie są dokładnie.

– Obejrzyjmy to niby osiedle – zaproponował w końcu Kirk Willner, gdy zorientował się, że wszyscy patrzą na niego wyczekująco – Jeśli jest prawidłowo zbudowane, będziemy mieli bazę. Prowadzę. Idźcie za mną i żadnego rozbiegania się na boki.

Zrobił kilka kroków i omal nie skoczył wstecz, gdy dosłownie spod jego nóg zerwała się chmara owadów – błonkówek o wydłużonych ciałach i trzech parach przejrzystych skrzydeł. Owady rozpierzchły się na wszystkie strony i znikły.

– Czekaj nas tu sporo atrakcji – parsknął Elrod Denberry, który szedł tuż za nim. Major LaVer zmierzył go karcącym wzrokiem, ale niewiele zyskał. Fakt, że wreszcie dolecieli na miejsce, podziałał na ludzi – na równi z urokami planety – niczym alkohol. Byli podekscytowani, ich oczy błyszczały gorączkowo, a twarze, które przez lata podróży nabrały „więziennej bladości”, zaróżowiły się wyraźnie.

– Zapewne. Nie zapominajmy, że nic nie wiemy o faunie ani florze tej planety – mruknął O’Leary. On jeden nie podzielał ogólnego optymizmu. Nawet

tak radosne wydarzenie jak udane lądowanie na Patris nie mogło sprawić, by zmienił oschłe, ironiczne podejście do życia.

– Wszystkiego się dowiemy – zapewnił go Sakura, szef chemików. – Zbadamy każdą najmniejszą roślinkę i każde stworzenie, jakie znajdziemy.

Kapitan przystanął odruchowo, a reszta poszła w jego ślady. Za granicą płaskowyżu, między prowizorycznym lądowiskiem a osiedlem mieszkalnym, rozciągała się przestrzeń porośnięta wysoką trawą, a w każdym razie czymś, co bardzo ją przypominało. Kirk Willner pokrył zmieszanie śmiechem.

– Tu nie obowiązuje prawo ekologiczne – powiedział. – Ale jak widać, tkwi mocno zakorzenione we wszystkich. Myślę, że starczy, jeśli będziemy postępować rozsądnie. A póki co, musimy przejść przez te rośliny, bo innej drogi i tak nie ma.

Ruszył przodem, a w jego ślady poszła Raina, za nimi zaś reszta. Nie umawiając się ze sobą ludzie szli prawie gęsiego, starając się zdeptać jak najmniej miejscowej trawy. Jak mamrotał pod nosem Ian Callum, rzeczywiście była to trawa, choć źdźbła miały osobliwy, jakby pierzasty przekrój. Żerowały na nich drobne stworzenia, jakich większość ludzi nigdy nie widziała z bliska, a w powietrzu unosiły się przeróżne owady, jedne ciche, inne wydające przenikliwe dźwięki. Ludzie przyglądali się, oczarowani wspaniałą różnorodnością. Były dla nich czymś zupełnie nowym. Z miast wyeliminowano praktycznie wszystkie owady pełzające – mogły przenosić groźne choroby, zadbano więc o to, by ich nie było. Czasem na przedmieścia, a nawet do centrum zapędzały się motyle Calisto ze zmutowanej po katastrofie ekologicznej, bardzo odpornej na zmiany środowiska odmiany. Znane były z tego, że umiały przeżyć bez pożywienia nawet tydzień i przefrunąć sto kilometrów w linii prostej bez zatrzymywania się na odpoczynek. Bardzo rzadko przy miejskich sztucznych zbiornikach, pełniących rolę rezerwuarów wody, można było ujrzeć wielkogłową ważkę. Oprócz nich widywano czasem muchy, jednak w sterylnym środowisku współczesnych miast nie miały odpowiednich warunków rozwoju, stroniły więc od ludzi. Okazjonalne inwazje komarów likwidowano szybko i skutecznie w trosce o zdrowie mieszkańców. Jedynie ludzie z certyfikatem eko stykali się czasem z większą ilością owadów. Było to wtedy, gdy odwiedzali rezerwaty, gdzie wstęp dla zwykłych obywateli był surowo zabroniony.

Tutaj, na nowej planecie, podróżnicy czuli się, jakby świadomie popełniali przestępstwo, idąc przez brzęczącą tysiącami owadów łąkę. To poczucie winy było całkowicie irracjonalne, ale męczyło wszystkich mimo świadomości, jak bardzo jest w tych warunkach niemądre. Nie znikło nawet wtedy, gdy dotarli wreszcie do osiedla i przystanęli w milczeniu. Przed nimi stały szeregi niemal jednakowych

pudeł z wysokoodpornej masy plastycznej, a nad nimi wznosiła się groźna, szaroczarna góra, sięgająca wierzchołkiem chmur.

– Hmm, zrobiły co mogły – mruknął inżynier Woznansky po dłuższej chwili kontemplowania kontenerów mieszkalnych. Widać było, co ma na myśli.

Automaty działały według planów, wprowadzonych do banków pamięci na Ziemi, ale w podróży, a może też skutkiem niezbyt delikatnego lądowania, coś musiało ulec uszkodzeniu. Montowane z gotowych elementów kontenery były poskładane byle jak, często z niepasujących do siebie części. Z liczącego około trzystu „domków” osiedla do zasiedlenia nadawało się może 10%, resztę trzeba było od razu przeznaczyć do rozbiórki i ponownego montażu. Wodociąg był zatkany piaskiem i ziemią, kanalizacja niedrożna i w kilku miejscach przerwana, jedynie podstacja energetyczna, w całości złożona na Ziemi, wydawała się zdatna do użytku. Jednak okablowanie trzeba było kłaść od nowa – poprzednia sieć była w kawałkach. Zamiast wstępnych oględzin zrobiono więc dokładną diagnostykę zastanego stanu rzeczy i zapisano wstępne wytyczne.

Na drugim końcu osiedla odkryto wiatę, pod którą stały przysłane z Ziemi roboty. Kilka z nich aktywność się nawet automatycznie, wychwyciwszy czujnikami obecność ludzi, jednak wszystkie wymagały remontu. O’Leary i Derkacz natychmiast rozpoczęli dokładne badanie, wymieniając między sobą fachowe uwagi i całkiem zapominając o reszcie ludzi.

Pułkownik Gongadze znalazł wielką halę ze skręcanych na śruby płyt termoizolacyjnych, służącą prawdopodobnie automatom jako miejsce składowania materiałów podczas budowy. Obejrzawszy ją stwierdził radośnie, że da się zaadaptować na tymczasowe centrum medyczne i naukowe. Była dostatecznie duża, by dział medyczny nie wchodził w drogę naukowemu, a zajmując jeden budynek będą mogły sobie wzajemnie pomagać.

Kobiety, bardziej praktyczne w sprawach codziennych, przede wszystkim zbadały kontenery mieszkalne. Były dość duże, wyposażone w niezbędne urządzenia i nawet podstawowe meble, takie jak łóżka i stoły. Każdy składał się z jednego dużego pomieszczenia ogólnego oraz małej łazienki z prysznicem i kuchni, której centralnym elementem była elektryczna płyta grzewcza. W głębi znajdowało się miejsce na sterylizator do przechowywania żywności i szafka na naczynia. Po dokładnym posprzątaniu, położeniu pościeli na łóżka i zawieszeniu zasłon w oknach, a zwłaszcza doprowadzeniu wody i elektryczności, te prowizoryczne schronienia mogły stać się całkiem przytulne.

– Będzie tu sporo roboty, jednak da się to doprowadzić do porządku – zaraportowała kapitanowi Etta, która dokumentowała wszystkie badania dla potrzeb kroniki. – Inżynierowie Bahrani, Woznansky, Om i Camarro twierdzą, że nie opłaca się przerabiać tych domków, które nie nadają się do zamieszkania, bo

ich wnętrze było wystawione na działanie pogody. Te, które są względnie dobre, wystarczą dla nas, gdy tylko je porządnie przystosujemy.

– A koloniści gdzie się pomieszczą?

– Woznansky ma pewien pomysł. Twierdzi że jest idealny, ale wymaga około miesiąca pracy.

– Niech więc działa. Nie obudzę tych ludzi, póki nie będę miał ich gdzie zakwaterować. Co z elektrownią?

– Shamir Om przy niej działa. Założył rdzeń uranowy i podłączył chłodzenie. Mówił, że jak tylko sprawdzi wszystkie elementy, może zacząć próbny rozruch. Na razie mamy podłączyć własne rezerwowe prądnice, ale to jak położymy kable.

– Ile to zajmie?

– Jutro będziemy mieć światło we wszystkich dobrych domkach. Resztę trzeba będzie rozebrać, a ich części zużyć w miarę potrzeby.

Etta podsunęła kapitanowi pod do podpisania i kichnęła.

– Na zdrowie. Przeziębiałaś się? – Spytał z troską Willner, składając zamaszty podpis pod raportem.

– Chyba nie, to od tych zapachów dookoła. Odwykłam od czegoś takiego. Przepraszam – młoda kobieta uśmiechnęła się z zażenowaniem. Kichanie przy ludziach było czymś wysoce niewłaściwym i zawsze ją uczono, by unikać tego skrupulatnie.

Kapitan poklepał ją po ramieniu i poszedł w towarzystwie nieodłącznej Rainy sprawdzić, jak idzie badanie terenu. Nie mówił tego głośno, ale był bardzo zadowolony z załogi. Okazali się dużo rozsądniejsi, niż sądził i nie potracili głów znalazłszy się wreszcie w wymarzonym „raju”. Zamiast biegać jak nieprzytomni po okolicy i cieszyć się świeżym powietrzem, słońcem, dziką naturą – po prostu wzięli się do pracy, w porządku i dyscyplinie, jakby wszyscy, nie tylko część z nich, byli podległymi mu żołnierzami. Wszyscy znali przydzielone zadania i wykonywali je jak trzeba, a choć plotkowano przy tym bez skrępowania, wszystko szło sprawnie. Kirk Willner mógł bez upiększania faktów odnotować w dzienniku, że morale załogi nie pozostawia nic do życzenia, a podejmowane działania przebiegają tak, jak zaplanowano.

Pod wieczór opis całego osiedla i harmonogram najważniejszych prac były gotowe. Ludzie podzielili zdane do użytku kontenery między siebie, postanowiwszy jednogłośnie zanocować na powierzchni. Częściowo skłonił ich do tego zachód Jewel. Chowająca się za horyzont mikrogwiazda tworzyła w atmosferze zjawisko podobne do ziemskiej zorzy polarnej, tak niewyobrażalnie piękne, że przez długi kwadrans wszyscy stali w milczeniu i patrzyli, nie śmiąc nawet głośniej odetchnąć. Po takim spektaklu nikt nie chciał wracać na statek, otworzono więc pojemniki z przygotowanymi zapasami i zjedzono kolację pod

mroczniejącym niebem. Zamiast księżycy widniały na nim dwie niewielkie kuleczki – Cesarea i Eppia, dwa pozostałe globy układu Jewel. Znajdowały się relatywnie blisko i dzięki temu wyróżniały się na tle dalekich gwiazd. Cesarea była mniej więcej czterokrotnie większa na firmamencie niż najjaśniejsza z nich, a Eppia aż sześciokrotnie.

Po kolacji ludzie rozeszli się do domków, zaopatrzeni w koce, zapobiegliwie zabrane ze statków. Było dość ciepło, by wystarczyły jako okrycie. Wszyscy byli tak zmęczeni dniem pełnym wrażeń, że zasnęli niemal natychmiast, z wyjątkiem żołnierzy wyznaczonych przez kapitana na wartę.

– Po co tu warta? – Spytała inżynier Silberstein, usłyszawszy wydany przez Willnera rozkaz. – Przecież na planecie nie ma ludzi poza nami.

– Jesteśmy na obcym terenie i nie wiadomo, co i kiedy tu przyjdzie. – odpowiedział dowódca. – Musimy być na wszystko przygotowani, dlatego wyznaczam wartę, a dookoła kazałem poustawiać czujniki zbliżeniowe. Na wszelki wypadek.

Mimo tych zabezpieczeń Kirk Willner nie zmrużył oka. Całą noc patrolował teren razem z żołnierzami, notując w rejestratorze wszystko, co wydało się niezwykle.

Podniecenie spowodowane pierwszą dobą na powierzchni obcej planety sprawiło, że dopiero następnego ranka, obudziwszy się z krótkiej drzemki, kapitan przypomniał sobie o wysłanym komunikacie. Początkowo chciał spytać pilotów o nowiny z Ziemi przez system komunikacyjny, ale rozmyślił się. Lepiej było dołączyć do tych, co mieli zmienić dyżurnych. Rozmowa osobista ma zupełnie inny ciężar gatunkowy.

Wysiadłszy z promu Willner poczuł nagły przyptyw klaustrofobii. Nie mógł przyznać się do tego przed załogą, ale dotarł do punktu, w którym znienawidził ten statek tak, jak skazaniec nienawidzi celę więzienną. Sama myśl o powrocie na pokład i ponownej beznadziejnej egzystencji przez miesiące i lata podróży była tak wstrętna, że z trudem mógł się opanować. Mimo to wziął się w garść i poszedł na mostek, podczas gdy „druga zmiana” zabezpieczała prom.

Joao Jimenez siedział przy konsoli łączności i w zamyśleniu postukiwał palcami o krawędź panelu. Obok rezerwowego pilota, Mitsuo Quang, studiował pilnie odczyty z monitora. Na odgłos kroków Jimenez obejrzał się i widząc kapitana wstał.

– Siedź pan – Kirk Willner uśmiechnął sięgo przyjaźnie i klepnął pilota po plecach. – Jaka odpowiedź?

Jimenez pochylił lekko głowę.

– Nie ma odpowiedzi – wydusił ze ściśniętego gardła. Kapitan otworzył

szeroko oczy.

– Jak to?

– Na wszystkich częstotliwościach wychwytyjemy jedynie szum tła. Nie ma nawet standardowych sygnałów kontrolnych.

– Awaria stacji Michio?

– Nie. Nadaliśmy pytanie o los naszych sabotażystów do stacji naukowej Max Planck. Tamtejsze dowództwo odpowiedziało, że przekazano ich specjalnym rejssem na Ziemię.

Nie dodał, że nie starczyło mu odwagi, by wprost spytać naukowców z Plancka, co się dzieje.

– Powtórzcie emisję!

– Powtarzamy co pół godziny od wczorajszego wieczora. Bez efektu

Kirk Willner milczał przez chwilę. Cóż mógłby powiedzieć? Spełniał się najczarniejszy scenariusz, ale jemu nie wolno było poddawać się panice. Musiał rozważyć zaistniałą sytuację i podjąć odpowiednie decyzje, ani na chwilę nie tracąc równowagi. Był przywódcą tej małej grupy reprezentantów ludzkości, ludzie liczyli na niego. Przeprowadził ich z Ziemi aż tutaj, a teraz będzie musiał zorganizować tu życie, na planecie, która wisiała pod nimi, brązowozielona, z plamami błękitu, niewyobrażalnie piękna. I tak bardzo obca.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Jesteście wolni. Możecie iść do promu i lecieć na powierzchnię. Sam podyżuruję za was.

Jimenez skinął głową i wyszedł z kokpitu, a za nim Quang. Po ich wyjściu kapitan stał przez chwilę, nie myśląc o niczym, usiłując jedynie opanować bicie serca. Potem usiadł na fotelu pierwszego pilota, wpatrując się tępo w monitor, na którym jednostajnie migotał sygnał wywoławczy.

Ziemia milczała.

K O N I E C



Luiza „Eviva” Dobrzyńska, warszawianka, z zawodu technik medycyny. Pisze od dwunastego roku życia.

Prowadzi blog „Stara panna i morze”, liczący na dzień dzisiejszy ponad dwa miliony odsłon.

Recenzuje nowości książkowe dla portali Szuflada.net i Paradoks.net.pl

Pisze artykuły dla portali Referia i wGospodarce.pl

Jej krótsze formy, zamieszczane w internecie, były kilkakrotnie nagradzane, między innymi przez portale Mythai i Efantastyka. Utwór „I pójde pod cyprysy złorzeczyć jego laurom” otrzymał wyróżnienie w konkursie Polconu „Osiodłać fantazję”. Debiutancka książka „Dusza” zajęła I miejsce w pierwszej edycji konkursu Literacki Debiut Roku, została jednak później zdyskwalifikowana z powodu naruszenia jednego z punktów regulaminu (zakazu wcześniejszej publikacji). Ta sama książka otrzymała też II miejsce w głosowaniu na Nagrodę Nautilusa 2013. Kontynuacja „Duszy”, „Kawalkada”, została wybrana „Książką na wiosnę 2012” w kategorii sf i fantasy w konkursie portalu granice.pl.

